



TLUMACZENIE NIEOFICJALNE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**



## ROZDZIAŁ 1



- ŁADUNKI PODŁOŻONE, Lucan. Detonatory są gotowe. Wystarczy, że powiesz jedno słowo. Na twoją komendę, to wszystko wyleci w powietrze.

Milczący Lucan Thorne stał w zapadającym zmierzchu na pokrytym śniegiem podwórzu bostońskiej kwatery, która tak długo służyła jako baza operacyjna dla niego i niewielkiej grupy jego towarzyszy broni. Przez ponad sto wychodzili z tego miejsca na niezliczone patrole, by strzec bezpieczeństwa w nocy i utrzymywać kruchy pokój pomiędzy niczego nieświadomymi ludźmi, do których należały godziny dnia i drapieżnikami potajemnie żyjącymi pomiędzy nimi, które w głębokim mroku czasami bywały zabójcze.

Lucan i wojownicy z jego Zakonu błyskawicznie wymierzali śmiertelnie skuteczną sprawiedliwość i nigdy nie zaznali smaku porażki.

Dziś wieczorem rozlała się ona gorczyzą na jego języku. - Dragos za to zapłaci - warknął ukazując końcówki kłów.

Wzrok Lucana pałał złocistym blaskiem, kiedy wpatrywał się przez rozległy trawnik w jasną, wapienną fasadę rezydencji utrzymanej w gotyckim stylu. Wiele krzyżujących się śladów opon szpeciło okolicę, pozostałość po porannym policyjnym nalocie, który był odpowiedzialny za wysadzenie głównych, wysokich stalowych bram i podziurawienie kulami frontowych drzwi do siedziby Zakonu. Krew poplamiała śnieg, gdzie strzały organów ścigania położyły trupem trzech terrorystów, którzy zbombardowali bostońską siedzibę ONZ, po czym zbiegli z miejsca zdarzenia z tuzinem glin i reporterami każdej stacji informacyjnej w okolicy na karku.

I to wszystko z powodu... ataku na ludzki obiekt rządowy. Policja otoczona kordonem przedstawiciele mediów wzięła na cel do tej pory utrzymywane w tajemnicy tereny, na których znajdowała się kwatera główna Zakonu... co bez wątpienia zostało zaaranżowane przez największego wroga zakonu, totalnie szalonego wampira, zwanego Dragosem.

On nie był pierwszym przedstawicielem Rasy marzącym o świecie, gdzie ludzkość żyłaby tylko po to, by mu służyć i to służyć w ciągłym strachu. Ale tam gdzie inni przed nim, przejawiający mniejsze zaangażowanie polegli, Dragos wykazywał zadziwiający upór i inicjatywę. Był ostrożny siejąc nasiona rebelii przez większą część swojego długiego życia, potajemnie urabiając sobie zwolenników wśród przedstawiciele Rasy i robiąc Sługusów ze wszystkich ludzi, którzy mogliby mu pomóc realizować jego wypaczone cele.

Przez ponad półtora roku, odkąd odkryli plany Dragosa, Lucan i jego bracia powstrzymywali go, udaremniając jego każdy ruch i zakłócając planowane przez niego operacje.

Aż do dzisiaj.

Dziś, to Zakon został pokonany i zmuszony do ucieczki i Lucan nie mógł przełknąć tej cholernie gorzkiej pigułki. - Jaki jest szacunkowy czas dotarcia do naszej tymczasowej kwatery?

To pytanie skierowane było do Gideona, jednego z dwóch wojowników, którzy zostali z Lucanem by pozamykać sprawy w Bostonie, podczas gdy reszta wyruszyła już do awaryjnej kryjówki w północnym Maine. Gideon oderwał wzrok od trzymanego w dłoni tableta i ponad oprawkami srebrzystobłękitnych okularów spotkał się wzrokiem z Lucanem. - Savannah i inne kobiety są w drodze od niemal pięciu godzin, więc powinny być na miejscu za około trzydzieści minut. Niko i inni

wojownicy są teraz parę godzin za nimi.

Lucan skinął głową, był ponury ale przynosiło mu ulgę to, że ich przeniesienie szło tak gładko jak powinno. Było jeszcze kilka niedokończonych spraw i parę szczegółów do załatwienia. Ale na tą chwilę, wszyscy byli bezpieczni, a szkody jakie Dragos planował wyrządzić Zakonowi zostały zminimalizowane.

Lucan zauważył ruch po swojej drugiej stronie, to był Tegan, kolejny wojownik, który z nimi pozostał, wrócił z ostatniego patrolu granic posesji.

- Jakież problemy?

- Zero - twarz Tegana nie wyrażała żadnych emocji, tylko ponurą determinację.

- Dwaj gliniarze w nieoznakowanym wozie obok bramy ciągle śpią pogrążeni w transie. Po tym gruntownym czyszczeniu pamięci, jakie im zafundowałem, możemy mieć nadzieję, że nie obudzą się do przyszłego tygodnia.

- A kiedy już to zrobią będą mieli gigantycznego kaca. - mruknął Gideon. - Lepsze jest wyczyszczenie umysłów parze bostońskich twardzieli, niż bardzo publiczna masakra obejmująca połowę dzielnic miasta i agencji FBI.

- Cholerna racja - zgodził się Lucan, przypominając sobie rój glin i reporterów, który tego poranka wypełniał teren posesji. - Jeśli sytuacja by się zaostrzyła i którykolwiek z tych gliniarzy albo agentów federalnych postanowił przyjść i walnąć w drzwi do rezydencji... Chryste, jestem pewny, że żadnemu z was nie muszę mówić jak szybko i jak daleko zaszłoby to wszystko zanim minęłoby południe.

Oczy Tegana były poważne i mroczne. - Zgaduję, że powinniśmy podziękować za to Harvardowi.

- Taaa - odpowiedział Lucan. Żył kawał czasu... dziewięć setek lat i jeszcze trochę... i chociażby nie wiadomo jak długo chodził po tej ziemi, to widok Sterlinga Chase'a wychodzącego wolnym krokiem z rezydencji prosto na trawnik pełny uzbrojonych po zęby policjantów i agentów federalnych, po prostu go poraził. W tym momencie ten idiota mógł zginąć na kilka sposobów. Jeśli nie zabiłby go na miejscu, w ataku paniki któryś z nabuzowanych adrenaliną, uzbrojonych ludzi zgromadzonych na trawniku, to zrobiłoby to przebywanie dłużej niż pół godziny w pełnym blasku porannego słońca.

Ale Chase pozornie nie przejmując się żadnym z tych zagrożeń pozwolił założyć sobie kajdanki i odprowadzić przez ludzkie władze. Jego kapitulacja... jego osobiste poświęcenie... kupiło Zakonowi jakże cenny czas. Odwrócił uwagę od rezydencji i tego co się w niej kryło, dając Lucanowi i reszcie okazję, by zabezpieczyć podziemia ich dotychczasowej kwatery i zaraz po zachodzie słońca zorganizować ewakuację jej mieszkańców.

Po serii nerwowych rozmów i wyklinaniu na samego siebie za najbardziej spartaczony zamach na Dragosa, który sprawił również, że twarz Chase'a przez nieuwagę znalazła się w krajowych wiadomościach, był on ostatnim z wojowników, po którym Lucan mógłby spodziewać się wsparcia i odpowiedzialności. To co zrobił dzisiaj nie było niczym innym jak tylko próbą samobójczą.

Znowu, Sterling Chase nie od dzisiaj był na drodze do autodestrukcji. Może to był jego sposób by raz na zawsze zabić wieko do swojej trumny.

Gideon przecesał palcami swoje nastroszone włosy i wyrzucił z siebie siarczyste przekleństwo. - Pieprzony dureń. Nie mogę uwierzyć, że faktycznie to zrobił.

- To powinienem być ja. - Lucan przesunął wzrokiem pomiędzy Teganem i Gideonem, wojownikiem, który był z nim od początku, gdy założył pierwszy Zakon

w Europie i tym, który wieki później pomagał mu werbować wojowników do bazy w Bostonie. - Ja jestem przywódcą Zakonu. Jeśli potrzebne było poświęcenie, by chronić wszystkich, to ja powinienem być tym, który by to zrobił.

Tegan spojrział na niego ponurym wzrokiem. - Myślisz, że jak długo Chase zdoła utrzymać na wodzy swój nałóg krwi? Czy on jest w ludzkim areszcie, czy wolny na ulicach, rządzi nim pragnienie krwi. To go zgubi i on jest tego świadomy. Wiedział o tym, gdy wyszedł dziś rano przez te drzwi. Nie miał niczego do stracenia.

Lucan chrząknął. - A teraz siedzi gdzieś w areszcie policyjnym, otoczony przez ludzi. Dzisiaj zdołał zapobiec odkryciu naszego istnienia, ale co jeśli jego żądza krwi weźmie nad nim górę i skończy się to narażeniem istnienia całej Rasy? Jeden moment bohaterstwa może rozwiązać wieki tajemnicy.

Twarz Tegana wyrażała chłodną powagę. - Przypuszczam, że będziemy musieli mu zaufać.

- Zaufanie - syknął Lucan. - Ostatnio niejednokrotnie sprawił, że ta waluta straciła na wartości.

Niefortunnie, w tym momencie nie mieli wiele do powiedzenia w tej sprawie. Dragos pokazał im właśnie jak daleko jest zdolny się posunąć, by okazać swoją wrogość Zakonowi.

Nie miał żadnego szacunku dla życia, zarówno ludzi jak i swojej własnej Rasy, a na dzień dzisiejszy pokazał, że wyprowadzi swoją walkę z cienia na otwarty grunt. To był bardzo prywatny grunt, za niesamowicie wysoką stawkę. I teraz to się stało bardzo osobiste. Dragos przekroczył pewną linię i nie było już drogi odwrotu.

Lucan rzucił okiem na Gideona. - Już czas. Odpal detonatory. Zróbmy to wreszcie.

Wojownik krótko skinął głową i zwrócił swoją uwagę na ekran niewielkiego tableta. - Kurwa - wymamrotał, ślad brytyjskiego akcentu zabrzmiał w tym przekleństwie. - Więc, miejmy to wreszcie za sobą.

Trzej mężczyźni Rasy stanęli tuż obok siebie w rześkiej, zimnej ciemności. Nad nimi było czyste, bezchmurne niebo, ciemna nieskończoność usiana gwiazdami. Wszystko było tak, jakby ziemia i niebo zostały zamrożone w czasie, zawieszona w tym momencie pomiędzy doskonałą ciszą zimowej nocy, a pierwszym niskim pomrukiem destrukcji rozgrywającej się z grubsza trzysta stóp pod butami wojowników. To wydawało się trwać wiecznie, nie jakieś wielkie pompatyczne widowisko wściekłego hałasu z erupcjami ognia i popiołu, to było ciche, a mimo to całkowicie niszczycielskie.

- Pomieszczenia mieszkalne zostały zaplombowane - ponuro poinformował Gideon, gdy ponury grzmot zaczął cichnąć. Dotknął ekranu swojego tableta i kolejny cykl głębokich pomruków przetoczył się pod pokrytą śniegiem ziemią. - Zbrojownia, szpital... już po nich.

Lucan nie pozwolił sobie na rozczulanie się nad wspomnieniami lub historią zasypaną w labiryncie pokojów i korytarzy, które wybuchały kolejno pod dotknięciami palca Gideona na tym maleńkim ekranie komputera. Ponad sto lat zabrało im, by zorganizować to, co teraz zostało zniszczone. Nie mógł zaprzeczyć, że poczuł chłodny ból w swojej klatce piersiowej, kiedy wszystko było tak systematycznie burzone.

- Kaplica została zaplombowana - zameldował Gideon, po kolejnym naciśnięciu cyfrowego detonatora. Zostało tylko laboratorium.

Lucan usłyszał lekkie zacięcie się w cichym głosie wojownika. Laboratorium było dumą Gideona, mózgiem wszystkich operacji Zakonu. To było miejsce, gdzie



gromadzili się i obmyślali strategię przed każdą nocną misją. Lucan bez wysiłku ujrzał w wyobraźni twarze swoich braci, świetną, obdarzoną honorem grupę odważnych mężczyzn Rasy, zebranych wokół stołu konferencyjnego laboratorium, każdy gotowy, by oddać swoje życie za drugiego.

Niektórzy już to zrobili. A innych prawdopodobnie niedługo mogło to czekać. Podczas, gdy stłumiona perkusja materiałów wybuchowych kontynuowała swoje podziemne dudnienie, Lucan poczuł dotyk czyjejś ręki na swoim ramieniu. Spojrzał w bok, to był Tegan. Jego duża dłoń dawała pocieszenie i wsparcie, chłodne zielone oczy przytrzymały spojrzenie Lucana w nieoczekiwanym pokazie solidarności, podczas gdy ostatni grzmot zniknął w ciszy.

- Zrobione - ogłosił Gideon. - Ten był ostatni. Już po wszystkim.

Przez długą chwilę żaden z nich nic nie powiedział. Nie było żadnych słów. Nic nie zostało wypowiedziane w mrocznym cieniu opustoszałej rezydencji i zrujnowanych kwater poniżej.

W końcu Lucan zrobił krok naprzód. Kły wgrzyły mu się w krawędzie języka, kiedy rzucił jedno, ostatnie spojrzenie w miejsce, gdzie była jego kwatera główna... jego rodzinny dom... przez tak wiele lat. Bursztynowe światło wypełniło mu wzrok, kiedy jego oczy zmieniły się pod wpływem gotującej się w nim furii. Obrócił się twarzą do swoich braci, a kiedy wreszcie znalazł słowa, by przemówić, jego głos był ostry i przepełniony surową determinacją. - Może tutaj już skończyliśmy, ale dzisiejsza noc nie oznacza żadnego końca. To jest dopiero początek. Dragos chce wojny z Zakonem? Więc w takim razie, na Boga, niech go cholera, będzie ją miał.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 2



ARESZT WYDZIAŁU ŚLEDZCZEGO w hrabstwie Suffolk śmierdzał pleśnią, moczem i gryzącym smrodem ludzkiego potu, strachu i wymiocin. Wrażliwe zmysły Sterlinga Chase'a aż skręciły się z obrzydzenia, kiedy spod zmrużonych powiek rzucił spojrzenie na trio niebieskich ptaków, obecnie zakutych w kajdanki i przyskrzynionych razem z nim w akwarium bostońskiego więzienia.

Szeroki na sześć do ośmiu stóp pokój był pozbawiony okien, ćpun siedzący na ławce naprzeciw niego, nerwowo uderzał podkutym obcasem buta w podłogę wyłożoną białym, porysowanym linoleum. Plecami popierał się o ścianę, jego wąskie ramiona garbiły się do przodu pod pomarszczonymi fałdami kraciastej flanelowej koszuli. Ciemno podkrążone oczy ćpuna zapadły się w głąb oczodołów wynędzniałej twarzy, jego spojrzenie biegało tam i z powrotem, od ściany do ściany, od sufitu do podłogi i jeszcze raz. Mimo to przez cały czas uważał, by uniknąć spojrzenia prosto na Chase'a, jak złapany w pułapkę i przerażony gryzoń instynktownie wyczuwał znajdującego się obok, groźnego drapieżnika.

Na drugim końcu długiej ławki siedział nieruchomo jak kamień, pocąc się obficie łysiejący mężczyzna w średnim wieku. Żałośnie rzadkie, zaczesane na „pożyczkę” włosy opadały mu na tłuste czoło. Cicho mruczał pod nosem. Modlił się ledwo słyszalnym szeptem, który Chase słyszał słowo w słowo. Apelowal do swojego Boga o odpuszczenie grzechów, błagał o łaskę z zapalem człowieka stojącego na podeście szubienicy. Nie dalej niż godzinę wcześniej, ten sam człowiek wykrzykiwał swoją niewinność, przysięgając glinom, którzy go aresztowali, że nie ma pojęcia w jaki sposób setki zdjęć nagich dzieci znalazły się w jego komputerze. Chase prawie nie mógł znieść oddychania tym samym powietrzem, co ten pedofil, nie mówiąc już o patrzeniu na niego.

Ale w areszcie był też i trzeci mężczyzna, osiłek o wyglądzie neandertalczyka, który znalazł się tu dziesięć minut temu, świeżo aresztowany za przemoc w rodzinie, to spowodowało, że zęby trzonowe Chase'a zacisnęły się jak imadło. Luźne dzinsy osiłka opadały mu poniżej brzuszyska wzdętego piwną ciężą i przykrytego sportową bluzą Super Pucharu sprzed kilku sezonów. Szara koszula puściła w szwie na ramieniu, a białoczerwone-niebieskie logo po prawej stronie zdobiły pozostałości mięsa duszonego z jarzynami i purée ziemniaczanego z ostatniego posiłku. Sądząc po sinym zgrubieniu na grzbiecie jego bulwiastego nosa i krwawych śladach paznokci po lewej stronie twarzy, jego kobieta nie poddała się bez walki.

Nozdrza Chase'a rozszerzyły się, poczuł łaskotanie w gardle, a jego oczy wpiły się w cztery długie, krwawe zadrapania przecinające policzek człowieka.

- Pieprzona dziwka złamała mi nos - poskarżył się Dżentelmen Roku, opierając plecy o wyłożoną białymi płytkami ścianę aresztu. - Uwierzysz w to gównu? Dałem jej lekkiego klapsa za to, że wywaliła mi obiad na kolana i kazałem jej, kurwa, uważać co robi, a ona, Chryste, jak mi nie przypierdoli. Poważny błąd - burknął, wykrzywiając usta w złośliwym uśmiešku. - Myślę, że teraz już nie będzie taka głupia, by próbować powtórzyć ten wyczyn. A te pieprzone gliny, człowieku! Powinienem był wiedzieć, że uwierzą tej suce, a nie mnie. Dokładnie tak samo, jak ostatnim razem. A teraz dzięki sędziemu i kawałkowi świstka, muszę się trzymać z daleka od mojej własnej żony? Nie mam wstępu do własnego, cholernego domu. Pieprzyć to. I ją też pieprzyć. Już nie raz posłałem ją do szpitala. Następnym razem gdy ją zobaczę, zamierzam dać tej suce taką nauczkę, że już nigdy nie będzie mogła poszczuć mnie glinami.

Chase nic nie powiedział, jedynie słuchał w ciszy i próbował nie wlepić oczu w jaskrawoczerwone strumyki, które ściekały po szczęce damskiego boksera. Widok i zapach świeżej krwi wystarczyły, żeby obudzić drapieżnika w każdym członku Rasy, a tym bardziej w Chasie.

Pochylił nisko głowę w dół, do swojej klatki piersiowej, łapiąc płytkie oddechy. Pod surową obrzydliwością pokoju i miedzianego, cierpkiego smaku koagulujących erytrocytów, wyłapał zapach czegoś jeszcze bardziej niepokojącego... czegoś surowego i zdiczającego, na pograniczu wściekłości.

- Samego siebie.

Uzmysłowienie sobie tego sprawiło, że wykrzywił usta, ale trudno było docenić ironię losu, gdy jego dżiąsła drżały od przymusu, by się pożywić.

Dzięki wściekłemu pragnieniu, które było jego nieodłącznym towarzyszem dłużej niż chciałby się do tego przyznać, jego zmysły zostały zablokowane na przedbiegu. Czuł każdą najmniejszą zmianę w powietrzu wokół siebie. Zauważał każdy tik i skurcz w gestach swoich niespokojnych współwięźniów. Słyszał każdy pełen niepokoju oddech nabrany i wydany, każde rytmiczne uderzenia serca, każdy pojedynczy strumień krwi pulsującej w żyłach wszystkich trzech mężczyzn, którzy znajdowali się z nim w tym pomieszczeniu na odległość niewiele większą niż wyciągnięcie ręki.

Na tą myśl jego usta gorączkowo wypełniły się śliną. Za zaciśniętą górną wargą, końcówki kłów wciskały się jak bliźniacze sztylety w miękką poduszkę języka. Wzrok mu się wyostrzył, zapłonął bursztynem, a pod opuszczonymi powiekami jego źrenice zwęziły się do wąskich szparek.

Kurwa. To nie było dla niego dobre miejsce, zwłaszcza w tym stanie. Złe miejsce, czarne myśli. Żadnej przeklętej szansy na ucieczkę od całej tej sytuacji, żadnej metody ani sposobu.

Nie, żeby uważał, że oddanie się dzisiejszego ranka w ręce policji na trawniku należącym do rezydencji Zakonu było głównianym pomysłem o beznadziejnych

skutkach. Interesowała go wtedy tylko ochrona swoich przyjaciół. Danie im okazji... bardzo prawdopodobnie jedynej, wymodlonej szansy... by uniknąć odkrycia przez ludzką Ochronę Porządku Publicznego i miał nadzieję na znalezienie sposobu, by zwać stamtąd w jakieś bezpieczne miejsce.

Zatem nie sprzeciwiał się, gdy gliny zacisnęły kajdanki na jego nadgarstkach i zaciągnęły go na posterunek. Współpracował podczas siedmiu godzin przesłuchania, udzielając miejscowym gliniarzom i fedasom dość informacji, by jakoś przetrwać niekończące się przesłuchanie i skupić ich uwagę wyłącznie na sobie, jako mózgu i sprawcy przemocy, która miała miejsce w mieście w ciągu kilku ostatnich dni. Przemocy, która rozpoczęła się kilka nocy temu strzelaniną na imprezie w domu dobrze zapowiadającego się zarozumiałego młodego polityka mieszkającego na North Shore.

Nieprzemyślana próba zamachu była dziełem Chase'a, ale planowanym celem nie był złoty młodzieniec senator, ani nawet jego wysoko postawiony gość honorowy, wiceprezydent Stanów Zjednoczonych, jak gliny i agenci federalni byli skłonni wierzyć. Chase tej nocy polował na wampira zwanego Dragosem. Zakon ścigał Dragosa od ponad roku, aż tu nagle Chase natknął się na niego, gdy ten bratał się z ważnymi, ustosunkowanymi ludźmi, podając się za jednego z nich, w celach, jakie Chase mógł sobie tylko wyobrazić i żaden z nich nie był zbyt miły. Co spowodowało, że gdy tylko dostrzegł możliwość sprzątnięcia sukinsyna, nie zawahał się pociągnąć za spust.

Ale niestety atak się nie powiódł.

Nie tylko Dragos najwyraźniej wyszedł cało z napaści, ale Chase znalazł się w ciągu następnych godzin w centrum zainteresowania wszelkich krajowych mediów. Został dostrzeżony na wydawanym przez senatora przyjęciu, a naoczny świadek dał Organom Ścigania jego niemal fotograficzny rysopis.

W połączeniu z zamachem bombowym, który nastąpił nazajutrz na terenie siedziby Organizacji Narodów Zjednoczonych w Bostonie i policyjnym pościgiem za podejrzanymi.. samochodem pełnym uzbrojonych po zęby malkontentów, który dowiózł gliny prawie pod frontowe drzwi Zakonu... a Bostońscy kowboje byli pewni, że odkryli znaczącą krajową komórkę terrorystyczną.

Chase był szczęśliwy mogąc utwierdzać ich w tym błędnym mniemaniu, przynajmniej na razie.

Godziny dnia spędził wewnątrz komisariatu, pozwalając glinom sądzić, że był skłonny do współpracy i pod ich kontrolą. Gdy tam siedział, udając, że ponosi winę za wszystko, co ostatnio zaszło, mówiąc im wszystko, co pragnęli usłyszeć, mniej cierpliwa jednostka policji mogła zająć rezydencję albo zaatakować to miejsce. Zrobił wszystko, co mógł, żeby odsunąć ich uwagę od swoich braci w centrali Zakonu. Jeśli mądrze nie wykorzystali tego czasu i się nie ewakuowali, to nie mógł zrobić już nic więcej, by im pomóc.

A jeśli o niego chodziło, to też powinien się stąd zbierać. Musiał odpłacić Dragosowi... odpłacić mu z nawiązką. Drań w ostatnich tygodniach przyśpieszył tempo swojej gry, a ten najnowszy atak niemal ujawnił ludziom istnienie Zakonu. Chase bał się nawet myśleć, co Dragos może zrobić następnym razem. Chase brał pod uwagę, że Dragos urabiał senatora, co nie było pierwszą taką akcją. Ten człowiek był w niebezpieczeństwie wyłącznie ze względu na jego stosunki i powiązania, jeśli od chwili, w której Chase ostatnio go widział, Dragos już nie zwerbował go do swojej służby.

A jeśli Dragos zamienił senatora Stanów Zjednoczonych w jednego ze swoich Sługusów... szczególnie senatora Roberta Clarenca, który miał osobisty dostęp do Białego Domu przez przyjaźń ze swoim uniwersyteckim mentorem,

wiceprezydentem? Konsekwencje tego byłyby niewyobrażalne, a efekty tego posunięcia, mogłyby być nieodwracalne.

Tym lepszy powód, by jak najszybciej opuścić to piekło. Musiał upewnić się, czy Senator Robert Clarence już nie był pod kontrolą Dragosa. Jeszcze lepiej by było, gdyby udało mu się odnaleźć tego sukinsyna. Musiał skończyć z nim raz na zawsze nawet, gdyby musiał zrobić to w pojedynkę.

Metalowe kajdanki na jego plecach nie były w stanie utrzymać go dłużej niż uznał to za stosowne. Nie był w stanie uczynić tego żaden zamknięty na klucz pokój, ani którykolwiek z gliniarzy snujących się po korytarzu i zatrzymujących się z rzadka, by zerknąć na niego spode łba przez judasza w drzwiach aresztu.

Zapadła noc.

Chase wiedział o tym bez potrzeby spoglądania na zegar wiszący na gołej ścianie, lub patrzenia przez okno na ulice miasta. Mógł poczuć to w kościach i po tym, jaki czuł się słaby i głodny. Razem z nocą powróciło wspomnienie głodu, dzikiego pragnienia, które teraz wbiło w niego swoje szpony.

Zepchnął je w głąb siebie i próbował zebrać myśli wokół swoich niedokończonych interesów z Dragosem. Co było trudne do zrobienia, gdyż Dżentelmen Roku ze swoimi wyglądającymi na kocie zadrapaniami, wolnym krokiem zbliżył się do kąta aresztu, w którym siedział Chase.

- Pieprzone gliny, co nie!? Myślą, że mogą trzymać nas tu bez jedzenia i wody, zakutych w kajdanki jak stado zwierząt - zakpił i posadził swoją dupę na ławce obok Chase'a.- Dlaczego cię zgarnęli?

- Chase nie odpowiedział. Wystarczającym wysiłkiem było dla niego wydobyć

cichego pomruku z głębi wysuszonego gardła. Trzymał głowę w taki sposób, żeby człowiek nie mógł dostrzec jego płonących głodem oczu.

- Co z tobą, uważasz, że jesteś za dobry żeby ze mną rozmawiać, czy co?

Poczuł, że facet go oceniał, wpatrywał się w przepocony T-shirt, który Chase miał na sobie od chwili aresztowania... tak samo jak ubrania zabrane z podziemnej izby chorych na chwilę przed ucieczką i wybiegł na powierzchnię, usiłując chronić swoich przyjaciół. Był też wtedy boso, ale teraz nosił parę czarnych prysznicowych kłapek z plastiku, dzięki uprzejmości aresztu w stanie Suffolk. Nawet z jego krótkimi, opadającymi w dół na brwi włosami i odwróconym wzrokiem, Chase mógł wyczuć, wbite w siebie oczy człowieka.

- Wygląda jakby ktoś ci dobrze przypierdzielił, stary. Twoja noga krwawi przez spodnie.

Więc o to chodziło. Chase rzucił okiem na mały czerwony kwiat, który przesiąkał przez szary materiał okrywający jego prawe udo. Zły znak, jego rany z zeszłej nocy, wciąż się nie goiły. Potrzebował krwi.

- Czy to sprawka glin, chłopie, czy co?

- Czy co - wymamrotał Chase, jego głos był szorstki jak żwir. Prześliznął się po mężczyźnie złym spojrzeniem, unosząc górną wargę, delikatnie, tylko ponad czubki kłów.

- Kurwa ma... - oczy potężnego mężczyzny stały się ogromne. - Co to jest, do cholery! - Niezdarnie odskoczył od Chase'a wpadając na drzwi aresztu, które właśnie otwierała para umundurowanych funkcjonariuszy.



- Czas na spacer, panowie - powiedział jeden z gliniarzy. Rozejrzał się po całym pomieszczeniu, od pedofila i ćpuna, obydwaj byli nieświadomi niczego oprócz własnej niedoli, do osiłka, którego plecy były teraz wciśnięte w tynk przeciwległej ściany, szczęki miał zaciśnięte i chwycił powietrze jak uczestnik maratonu.

- Mamy tu jakiś problem?

Chase uniósł swoją brodę tylko na tyle, by posłać ostrzegawczy błysk dyszącemu mężczyźnie. Tym razem, trzymał wargi zaciśnięte, a złocistożółty blask jego tęczy został zredukowany do przyćmionego migotania. Ale była w nich groźba, a zwalisty damski bokser wyglądał na niezbyt chętnego, by go testować.

- N-n-nie - wyjąkał i gwałtownie potrząsnął głową. - Tu nie ma żadnych problemów, panie władzo. Wszystko jest w najlepszym porządku.

- Dobrze - gliniarz ruszył w głąb celi, podczas gdy jego partner przytrzymał drzwi.  
- Wszyscy wstać i za mną - zatrzymał się przed Chasem i wskazał brodą w kierunku drzwi - Ty pierwszy, dupku.

- Chase wstał z ławki. Przy swoich sześciu i pół stopach wzrostu (*Okolo 195 cm*), przewyższał urzędnika i innych mężczyzn w celi. Pomimo, że w swoim życiu nie spędził nawet minuty w fitness klubie, dzięki genetyce i metabolizmowi Rasy, który działał jak silnik samochodu klasy S, potężne rozmiary jego muskularnego ciała przyćmiewały wytrenowane na siłowni mięśnie szczerowatego gliny. Ten jakby chciał zmanifestować swoją władzę nad Chasem, napiął klatkę piersiową i wskazał w kierunku drzwi, pozwalając drugiej ręce spocząć na kolbie pistoletu.

Chase poszedł przed nim, ale tylko dlatego, że mniejszy kłopot sprawiłaby mu ucieczka z korytarza niż z zamkniętego aresztu.

Za nim zabrzmiał głos pedofila, nazbyt uprzejmy, wręcz wazeliniarski.

- Chciałbym bardzo grzecznie zapytać, dokąd, pan władza nas zabiera?

- Tędy- rzucił drugi glina, kierując ich grupę za recepcję w kierunku odcinka korytarza, który prowadził na tyły posterunku.

Chase podążał wzdłuż wytartego, przemysłowego linoleum, czekając na odpowiedni moment, by się stąd ulotnić, zanim którykolwiek z towarzyszących mu ludzi zda sobie z tego sprawę. To był ryzykowny ruch, który pozostawi za sobą cholernie dużo pytań, tyle że nie widział innego wyjścia.

Kiedy już przygotował się, by zrobić ten pierwszy krok w kierunku wolności, w dalekim końcu korytarza, otworzyły się metalowe drzwi. Zimne nocne powietrze wniosło za sobą, grudniowe płatki śniegu, tańczące wokół wysokiej, szczupłej sylwetki młodej kobiety. Była w długim, wełnianym płaszczu z kapturem. Fale karmelowo-brązowych włosów przyłgnęły do zarumienionych od chłodu policzków i opadały na spokojne, inteligentne oczy.

Chase zamarł, patrząc jak głośno otupywała ze śniegu swoje lśniące, skórzane buty i odwróciła się, by przemawiać do funkcjonariusza policji, który towarzyszył jej do komisariatu.

Piekło i szatani. To był świadek senatora.

Policjant, który wprowadził ją do środka, złapał spojrzenie Chase'a i jego twarz stała się napięta. Rzucił gniewne spojrzenie na funkcjonariuszy, którzy wybrali bardzo kiepski czas na tą paradę więźniów i skierował atrakcyjną asystentkę senatora Clarence'a z korytarza do pokoju poza zasięgiem wzroku.

- Ruszać się - ponaglił aresztantów gliniarz z tyłu grupy.

Chase pomyślał, że jeśli chciał dotrzeć do senatora to jest duża szansa, że Bobby Clarence może dziś wieczorem przebywać na posterunku policji wraz ze swoją ładną asystentką.

Chase wystarczająco ciekawy, by się tego dowiedzieć, ponownie rozważył swój plan rzucenia się do ucieczki. Dołączył do ogonka więźniów i pozwolił glinom prowadzić się dalej w głąb korytarza w kierunku pokoju, do którego wszedł jego naoczny świadek.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

### ROZDZIAŁ 3



- PROSZĘ SIĘ ODPREŻYĆ panno Fairchild. To nie powinno trwać długo. - policyjny oficer śledczy, który eskortował ją przez posterunek, otworzył drzwi do pokoju dla świadków i poczekał, by weszła przed nim. Kilku mężczyzn o poważnych twarzach, ubranych w ciemne garnitury i garstka umundurowanych urzędników już czekało w środku.

Tavia rozpoznała agentów federalnych, mężczyzn, z którymi zetknęła się w ciągu godzin, które minęły od niedawnej próby zabójstwa na przyjęciu u senatora. Skinęła grupie głową w geście powitania i poszła dalej w głąb pokoju.

Wewnątrz było jak w mrocznej scenie filmowej, jedyne światło padało od strony ogromnej panoramicznej szyby, która ukazywała puste pomieszczenie po drugiej stronie. Sufitowe, fluorescencyjne panele zalewały tamten pokój ostrym, białym

światłem, co nie dodawało mu przytulności. Na tylnej ścianie znajdowała się plansza pomiaru wzrostu, z numerami od 1 do 5 namalowanymi przy pomocy szablonu i rozmieszczonymi w równych odstępach ponad znakiem siedmiu stóp.

Oficer śledczy wskazał w kierunku jednego z kilku obitych winylem krzesel ustawionych przed ogromnym oknem. - To powinno się zaraz zacząć, panno Fairchild. Może zechce pani usiąść?

- Wolałabym stać - odpowiedziała. - I proszę detektywie Avery, nazywać mnie Tavią.

Kiwnął głową, po czym przeszedł obok dystrybutora wody (<http://www.kycrystalwater.com/WaterService.html>) i mijając blat kuchenny podszedł do stojącego w dalekim kącie ekspresu. - Powinienem zaproponować kawę, ale nawet świeżo zrobiona jest po prostu okropna. Natomiast pod koniec dnia smakuje gorzej niż ropa naftowa. - Podstawił papierowy kubek pod kranik dystrybutora wody i nacisnął dźwignię. Gdy kubek się napełniał, przezroczysty balon zabalgotał kilkoma dużymi pęcherzykami powietrza. - „Biały Dom” - powiedział, odwracając się, by podać jej wodę. - Jeśli miałabyś ochotę?

-Nie, dziękuję.

Pomimo, że doceniła jego wysiłki, by sprawić, żeby poczuła się swobodnie, nie interesowały ją żartobliwe uwagi ani opóźnienia. Miała tu zadanie do wykonania i laptop pełny harmonogramów, arkuszy kalkulacyjnych i prezentacji do przeanalizowania, gdy tylko znajdzie się w domu. Zwykle nie przejmowała się długimi godzinami pracy, które często przedłużały się do późnej nocy. Bóg wiedział, że nie musiała martwić się o swoje nieistniejące życie towarzyskie.

Ale dziś wieczorem była spięta, czuła dziwną mieszankę mentalnego przeciążenia i fizycznego wycieńczenia, które zawsze prześladowało ją po rundzie badań i testów

przeprowadzonych w prywatnej klinice przez jej lekarza. Przez większą część dnia była pod specjalistyczną opieką i chociaż nie przyprawiało ją to o euforię, zmuszona była dziś wieczorem zahaczyć o posterunek policji. Jakaś jej cząstka pragnęła ujrzeć na własne oczy, że człowiek, który kilka nocy temu otworzył ogień w zatłoczonym ludźmi pomieszczeniu, a następnie dziś rano zorganizował zamach bombowy w sercu miasta, naprawdę znalazł się tam, gdzie powinien, czyli za kratkami.

Tavia podeszła bliżej do szyby i sprawdziła ją paznokciem. - To szkło chyba musi być dość grube.

- Taaa. Ćwierć cała bezpieczeństwa. - Avery dołączył do niej i łyknął trochę wody.

- To jest lustro weneckie, z tamtej strony wygląda jak zwykłe lustro. My możemy ich widzieć, ale oni nie mogą zobaczyć nas. To samo jest z dźwiękiem; nasz pokój jest dźwiękoszczelny, zaś po tamtej stronie mamy głośniki. Kiedy więc czarne charaktery będą tam stały oparte o ścianę, nie musisz martwić się o to, że którykolwiek z nich będzie zdolny cię zidentyfikować, lub usłyszeć, co mówisz.

- Nie martwię się o to - gdy Tavia napotkała oczy tego mężczyzny w średnim wieku ponad brzegiem papierowego kubka, nie czuła niczego oprócz determinacji. Rzuciła spojrzenie na innych policjantów i agentów. - Jestem gotowa. Chcę to zrobić.

- W porządku. Za chwilę, para policjantów wprowadzi do tamtego pomieszczenia, czterech albo pięciu mężczyzn. Wszystko, co musisz zrobić, to przyjrzeć się tym ludziom i powiedzieć mi, czy któryś z nich może być człowiekiem, którego widziałaś tamtej nocy na przyjęciu u senatora.

Oficer śledczy zachichotał i mrugnął do jednego ze współpracujących z nim policjantów. Po szczegółowym opisie, który podałaś przedstawicielom prawa zaraz po strzelaninie, mam przecucie, że dzisiejsze zadanie wykonasz na piątkę.

- Zrobię wszystko, co w mojej mocy, by pomóc - odpowiedziała.

- Mężczyzna przełknął resztkę wody i zgniótł kubek w dłoni. Zwykle nie ujawniamy szczegółów śledztwa, ale do tej pory ten facet przyznał się do wszystkiego i zrzekł się prawa do adwokata, więc ten pokaz dzisiejszego wieczoru jest czystą formalnością.

- Czy on się przyznał?

- Avery kiwnął głową. - On wie, że mieliśmy go w szachu za wkroczenie na teren prywatny i próbę morderstwa. Nie ma żadnego sposobu, by mógł się z tego wykręcić, biorąc pod uwagę, że mężczyzna z portretu pamięciowego, który pomogłaś sporządzić mógłby być jego bratem bliźniakiem i to, że nosi świeże rany postrzałowe odniesione podczas ucieczki.

- Czy przyznał się również do dzisiejszej bomby w śródmieściu? - Drażyla Tavia, czekając na potwierdzenie ze strony agentów federalnych. - Czy do tego też się przyznał?

Jeden z garniturowców skinął brodą w potwierdzeniu. - Nawet nie próbował temu zaprzeczyć. Twierdził, że sam wszystko zorganizował.

- Ale sądziłam, że były w to zaangażowane także i inne osoby. Przedstawiciele mediów przez cały dzień prowadzili transmisję z policyjnego pościgu. Słyszałam, że policjanci zastrzelili wszystkich trzech bombiarzy na terenie jakiejś prywatnej posesji.

- To prawda - wtrącił Avery. - On twierdził, że zwerbował tych trzech oportunistów na głębokiej prowincji, by wysadzili lokalny budynek ONZ. Oczywiście nie należeli do największych bystrzaków, skoro zaprowadzili nas prosto do niego. Nie, żeby

próbował jakiegokolwiek oporu. Wyszedł z domu i poddał się funkcjonariuszom policji zaraz po tym, jak przybyli oni na teren majątku.

- Czy to oznacza, że on tam mieszkał? - Zapytała Tavia. Widziała w wiadomościach zdjęcia rezydencji i otaczających ją rozległych terenów. Była okazała.

Czterokondygnacyjna budowla z jasnego wapienia, z pomalowanymi na czarno drzwiami i wysokimi, łukowatymi oknami wydawała się pasować bardziej do posiadającej stare pieniądze angielskiej elity Nowej Anglii, niż do agresywnego szaleńca z oczywistą skłonnością do terroryzmu.

- Nie byliśmy w stanie wyśledzić, kto faktycznie jest właścicielem tej nieruchomości - powiedział detektyw. - Majątek przez ponad sto lat był w zarządzie powierniczym. To miejsce jest obwarowane kordonem prawników i kilometrami prawniczego żargonu. Nasz podejrzany zeznał, że wynajmował je przez kilka ostatnich miesięcy, ale nic nie wie o właścicielu. Mówi, że było umeblowane, nie podpisywał żadnej umowy, a czynsz płacił gotówką jednej z największych kancelarii adwokackich w śródmieściu.

- Czy powiedział wam dlaczego to wszystko zrobił? - Zapytała Tavia. - Skoro przyznał się do próby zabójstwa i zamachu bombowego, to czy nie próbował podać żadnego usprawiedliwienia dla tego, co zrobił?

- Detektyw Avery wzruszył ramionami. - A dlaczego każdy szaleniec robi to, co robi? Nie miał na to konkretnej odpowiedzi. Tak naprawdę, ten facet jest prawie taką samą zagadką, jak miejsce w którym mieszkał.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nie jesteśmy nawet pewni, czy podał nam prawdziwe nazwisko. Nie ma numeru ubezpieczenia społecznego, ani jakiegokolwiek adnotacji o zatrudnieniu. Żadnego

prawa jazdy, żadnego zarejestrowanego na siebie samochodu, karty kredytowej... nic. Tak jakby facet był duchem. Jediną rzeczą, jaką wygrzebaliliśmy, była darowizna na rzecz Stowarzyszenia Absolwentów Uniwersytetu Harvarda, którą sygnował własnym nazwiskiem. Cholerny ślepy zaulek.

- Przynajmniej macie jakiś punkt zaczepienia - odpowiedziała Tavia.

Oficer śledczy parsknął śmiechem. - Przypuszczam, że to mogłoby nim być. Gdyby ten zapis nie pochodził z 1920 roku. To oczywiście nie mógł być nasz czarny charakter. Może i nie jestem ekspertem w dokładnym określaniu wieku, ale mam całkowitą pewność, że on nie zbliża się do dziewięćdziesiątki.

- Na pewno nie - mruknęła Tavia. Powracając myślami do nocy na przyjęciu Senatora Clarenca i mężczyzny, który na jej oczach strzelał z galerii na drugim piętrze, przypuszczała, że był mniej więcej w jej wieku, mógł mieć najwyżej trzydzieści pięć lat. - Może to był jakiś jego krewny?

- Może - odpowiedział detektyw i spojrzał przed siebie, ponieważ w sąsiednim pomieszczeniu otworzyły się drzwi. Wkroczył do niego umundurowany funkcjonariusz prowadząc za sobą idących gęsiego mężczyzn. - Okay Tavia, zaczynamy przedstawienie.

Skinęła głową, po czym zorientowała się, że zrobiła krok wstecz od foliowanego szkła, gdy do pokoju wszedł pierwszy z podejrzanych.

To był on... ten, dla którego przyszła na posterunek, żeby go zidentyfikować. Poznała go na pierwszy rzut oka, natychmiast rozpoznając ostro wyrzeźbione kości policzkowe i napiętą, bezlitosną linię kwadratowego podbródka. Jego krótkie złocistobrązowe włosy były potargane, a ich kosmyki opadały mu na czoło, ale nie zdołały ukryć barwy jego przenikliwych, stalowo-błękitnych oczu. I był ogromny...



tak samo wysoki i umięśniony, jak to zapamiętała. Jego bicepsy wystawały spod krótkich rękawków białego T-shirtu. Luźne szare dresowe spodnie opadały mu nisko na szczupłych biodrach i lekko napinały się na silnych, umięśnionych udach. Przemierzał pomieszczenie otoczony aurą niesubordynacji... i nieposkromionej arogancji... która sprawiła, iż fakt, że był w więzieniu, z rękami skutymi na plecach, wydawał się nieistotny. Szedł pierwszy przed innymi. Ze swoimi długimi kończynami i harmonijnymi ruchami bardziej przypominał zwierze niż ludzką istotę.

Zauważyła, że w płynnych ruchach jego nóg pojawiło się lekkie utykanie. Jego prawe udo było zakrwawione, rozlewała się na nim duża czerwona plama, która wsiąknęła w blado-szary materiał jego dresów. Tavia obserwowała, jak ta plama powiększa się z każdym długim krokiem, który prowadził go do obszaru oznaczonego liniami. Zadrżała trochę wewnątrz swojego ciepłego, zimowego płaszcza, czując lekkie mdłości. Boże, nigdy nie mogła znieść widoku krwi.

Jeden z funkcjonariuszy policji, przez mikrofon poinstruował mężczyznę, żeby zatrzymał się na numerze 4 w pozycji twarzą do przodu. Zrobił to, a kiedy odwrócił się przodem do szkła, jego oczy zatrzymały się na niej. Bezbłędnie.

Uświadomienie sobie tego sprawiło, że zadrżała - Jesteś pewien, że nie może mnie zobaczyć?

- Przyrzekam że jesteś tu całkowicie bezpieczna i doskonale chroniona - zapewnił ją Avery.

A jednak to przenikliwe niebieskie spojrzenie wciąż było w niej utkwione nawet, gdy ostatni z trzech innych mężczyzn został zaprowadzony do linii i pouczony, by patrzył przed siebie. Ci idący za nim mężczyźni przesuwali się zgarbieni, mieli pochylone głowy, a pełne niepokoju oczy trzymali utkwione we własne stopy, albo rzucali nimi nerwowo wokół, widząc tylko swoje własne odbicia w dużej szybie

foliowanego szkła.

- Jeśli jesteś gotowa... - zasugerował stojący obok detektyw.

Kiwnęła głową, pozwalając swoim oczom powędrować wzdłuż linii w kierunku trzech pozostałych mężczyzn, chociaż nie było żadnej potrzeby. Przy nim wyglądali na niepozornych. Byli mieszaniną postury, wzrostu i wieku. Jeden z nich był chudy jak szczapa, ze strąkami brązowych włosów opadających bezwładnie wokół ramion. Drugi był o rozmiarach byka, z szerokimi ramionami i ogromnym brzuchem. Miał złośliwą twarz okoloną grubymi, ciemnymi lokami i małe oczka spoglądające ponad spuchniętym, czerwonym, haczykowatym nosem. Trzeci zaś był krępy i łysiejący, prawdopodobnie około pięćdziesiątki, pocił się obficie w oślepiającym blasku reflektorów.

A następny był *on*... intensywne, niemal okrutnie przystojne zagrożenie, które wciąż nie odrywało od niej oczu.

Tavia nie była rodzajem kobiety, który pozwalał grać sobie na nerwach, ale z trudem wytrzymywała natężenie tego spojrzenia... nawet jeśli była bezpiecznie ukryta w zaciemnionej przestrzeni obserwacyjnej za ćwierćcalowym hartowanym szkłem i otoczona półtuzinem uzbrojonych policjantów. - To on - rzuciła, wskazując w kierunku stanowiska nr 4. Pomimo, że to musiało być niemożliwe, mogła przysiąc, że gdy uniosła rękę, by go wskazać, jego usta wygięły się w półuśmiechu. - To on detektywie Avery. On jest człowiekiem, którego widziałam na przyjęciu tamtej nocy.

Avery lekko poklepał ją po ramieniu, podczas gdy policjanci w sąsiednim pomieszczeniu zaczęli instruować mężczyzn, by każdy z nich, pojedynczo, zrobił krok do przodu.

- Wiem, powiedziałem, że to czysta formalność, ale potrzebujemy mieć absolutną

pewność, Tavia...

- Jestem tego całkowicie pewna - odpowiedziała rzeczowym tonem, ale krew w jej żyłach zaczęła dzwonić jakimś rodzajem osobistego wrodzonego alarmu. Spojrzała z powrotem do sąsiedniego pokoju, właśnie wtedy, gdy Numer 4 zrobił swoje dwa kroki w przód. - Nie ma potrzeby tego kontynuować. To ten mężczyzna był strzelcem, wszędzie poznałabym jego twarz.

- Zatem ok. W porządku, Tavia - zaśmiał się. - Czy nie mówiłem, że załatwimy to w mgnieniu oka? Świetnie się spisałaś.

Odrzuciła pochwałę jako zbędną, kręcąc głową. - Czy będę tu jeszcze potrzebna?

- Och, nie. Jeszcze kilka minut zabierze nam ogarnięcie wszystkiego i możemy stąd iść. Jeśli chcesz mógłbym odwieźć cię do domu.

- Nie, dziękuję. Dam sobie radę.

- Kiedy to mówiła, jej oczy po raz kolejny starły się ze wzrokiem mężczyzny, który mógł kogoś zabić na przyjęciu senatora Clarenca. A jeśli naprawdę był też mózgiem porannego zamachu bombowego w mieście, to w takim razie miał na swoim sumieniu życie kilku niewinnych ludzi. Tavia wytrzymała to przenikliwe spojrzenie, mając nadzieję, że przez szkło mógł dostrzec w jej oczach głębię pogardy, jaką dla niego miała. Po dłuższej chwili odwróciła się plecami do szyby. - Jeśli to już wszystko, detektywie... senator ma dużą prezentację jutro rano i dzisiaj wieczorem muszę jeszcze popracować nad logistyką i nadrobić wiele innych zaległości.

- *Tavia Fairchild.*

Niski, głęboki pomruk... niespodziewane brzmienie jej imienia na wargach nieznajomego... sprawiło, że na chwilę stanęła jak rażona gromem. Nie musiała

zastanawiać się kto wypowiedział te słowa. Niskie dudnienie jego głosu przebiło się przez jej ciało z taką samą pozbawioną skrupułów bezwzględnością, z jaką grad kul posypał się na tłum uczestników przyjęcia tamtej nocy.

Wciąż wstrząśnięta tym, co się zdarzyło, Tavia rzuciła pytające spojrzenie detektywowi, agentom i policjantom. - Ten pokój... myślałam że...

Avery wysapał przeprosiny i chwycił za słuchawkę ściennego telefonu zamontowanego obok szyby. Kiedy mówił do słuchawki, mężczyzna stojący na miejscu oznaczonym cyfrą 4 nie przestawał do niej mówić. Wciąż na nią patrzył, jakby nie było niczego pomiędzy nią, a jego śmiertelnie groźnym wzrokiem. Zrobił krok do przodu.

- Twój szef jest w ogromnych kłopotach, Tawio. On jest w niebezpieczeństwie. Ty też możesz się w nim znaleźć.

- Niech to szlag! Natychmiast opanować tego sukinsyna – krzyknął jeden z agentów federalnych do oficera śledczego rozmawiającego przez telefon.

Gliniarze w pokoju okazań ruszyli do akcji - Nr 4, zamknij się i wracaj do szeregu!

Zignorował polecenie. Zrobił kolejny krok do przodu, nie zważając na to, że drugi glina ruszył ku niemu z drugiego końca pomieszczenia. - Muszę go znaleźć, Tavia. On musi wiedzieć, że Dragos go zabije... albo robi coś jeszcze gorszego. Już może być za późno.

Oniemiała, potrząsnęła głową. To co mówił nie miało sensu. Senator Clarence był cały i zdrowy; tego ranka widziała go w biurze, zanim odjechał, by rozpocząć dzień pełen spotkań i obowiązków służbowych w śródmieściu. - Nie wiem o czym mówisz – szepnęła, mimo że nie powinien móc jej usłyszeć. Nie powinien również móc jej zobaczyć, a przecież to zrobił. - Nie znam nikogo, kto nazywałby się Dragos.

Obaj policjanci ruszyli teraz na niego, po jednym na każde skrępowane ramię. Próbowali pociągnąć go w kierunku ściany. Pozbył się ich jakby nic nie ważyli, całą swoją uwagę kierując na Tavię. - Wysłuchaj mnie. Był tam tamtej nocy. Był gościem na przyjęciu.

- Nie - odpowiedziała, pewna że się mylił. Ona własnoręcznie wypisała i zaadresowała każde z 148 zaproszeń. Jej pamięć do takich rzeczy była niezawodna. Jeśliby musiała, potrafiłaby wyrecytować wszystkie nazwiska i opisać każdą twarz na liście gości. Tamtej nocy nie było tam nikogo, kto by się tak nazywał.

- Dragos tam był, Taviu. - Policjanci w pokoju okazań próbowali innego chwytu. - On tam był. Postrzeliłem go. Pragnąłem wtedy zabić tego łajdaka.

Poczuła, jak jej głowa powoli poruszyła się, ściągnęła brwi, kiedy obłęd tego, co powiedział dotarł do jej świadomości. Na przyjęciu była tylko jedna ofiara. Jedynym rannym człowiekiem tej koszmarnej nocy, był hojny sponsor kampanii Senatora Clarenca, odnoszący sukcesy lokalny biznesmen i filantrop Drake Masters.

- Jesteś szalony - szepnęła. Ale właśnie wtedy, gdy wymówiła te słowa, zdała sobie sprawę z tego, że nie całkiem w nie wierzy. Mężczyzna, który więził ją spojrzeniem... co było niemożliwe i niewiarygodne... przez lustrzaną szybę, nie wyglądał na szalonego. Wyglądał na niebezpiecznego i poważnego, całkowicie pewnego tego, co mówił. Wyglądał na niezwykle groźnego, nawet z rękoma skutymi za plecami. Bez mrugnięcia wpatrywał się w jej oczy. Zlekceważenie go jako umysłowo chorego byłoby łatwiejsze do zaakceptowania, niż zimny węzeł strachu, który tworzył się jej w żołądku pod wpływem siły jego czystego spojrzenia. Nie, jakiegokolwiek były jego intencje w noc przyjęcia senatora, bardzo wątpiła, że były one zmotywowane obłędem. Ale wciąż nic z tego co mówił nie miało sensu.

- Ten facet jest kompletnie obłąkany – powiedział jeden z federalnych. - Kończmy

to i zabieramy stąd świadka.

- Detektyw Avery kiwnął głową. - Przepraszam cię za to, Taviu. Nie musisz przebywać tu ani chwili dłużej. - Stał przed nią. Jego twarz była ściągnięta mieszaniną konsternacji i irytacji, gdy uniósł ramię, by wskazać drogę w kierunku drzwi prowadzących na korytarz.

Inni policjanci i agenci federalni powoli opuszczali swoje miejsca i również zaczęli zbliżać się do drzwi.

Z pokoju okazań dobiegły Tavię odgłosy walki, próbowała zerknąć za plecy detektywa, ale już prowadził ją z dala od okna. Gdy dotarli do drzwi, z drugiej strony rozległo się krótkie pukanie, następnie otworzyły się one przed nimi.

W korytarzu stał Senator Clarence, płatki śniegu przyłgnęły do jego starannie zaczesanych włosów i granatowej wełny płaszcza. - Przepraszam, że nie mogłem dotrzeć tu wcześniej. Moje spotkanie z burmistrzem jak zwykle bardzo się przeciągnęło. - Spojrzał na Tavię, a jego zwykle przyjazna twarz wydawała się nieco mroczna. - Czy coś się stało? Tawio, nigdy nie widziałem żebyś była taka blada. Co się tam dzieje?

Zanim zdołała zignorować jego troskę, senator wszedł do pokoju obserwacyjnego.

- Panowie - wymruczał, witając się z urzędnikami ochrony porządku publicznego i wszedł w głąb pomieszczenia. Jego podejściu do szyby towarzyszył cichy pomruk, który dobiegał z pokoju okazań. To był nieludzki dźwięk.

Warkot nie z tego świata sprawił, że krew w żyłach Tavi zamieniła się w lód. W tej samej sekundzie w jej ciele odezwał się alarm, a wszystkie instynkty krzyknęły ostrzegawczo. Właśnie miało się zdarzyć coś strasznego. Weszła z powrotem do

pokoju. - Senatorze Clarence, proszę uważać - za późno.

Okno wybuchło.

Szkoło roztrzaskało się i rozprysło, wypluwając na wszystkie strony maleńkie odłamki, gdy coś olbrzymiego wyleciało przez rozbity panel i wylądowało pośrodku pokoju obserwacyjnego.

To był jeden z mężczyzn, który był w pomieszczeniu okazań... ciemnowłosy byk w koszuli kibica. Ryczał z bólu, jego kończyny były nienaturalnie wykręcone. Skóra na jego twarzy, szyi i rękach była pokaleczona i obwicie krwawiła. (*damski bokser został użyty w formie tarana ;)*

Tavia rzuciła za siebie przerażone spojrzenie.

Ogromną tafelę jednostronnego, zbrojonego lustra zastępowało teraz powietrze. Tylko powietrze i stojąca za połamaną ramą, strzelista groźba złożona z twardych mięśni i morderczych zamiarów.

Kajdanki, które hamowały go w pokoju okazań, dyndały bezużytecznie na jego nadgarstkach. Jakimś sposobem uwolnił się z nich. Dobry Boże, jaki on musiał być silny, skoro był w stanie zrobić nie tylko to, lecz także cisnąć dorosłym mężczyzną przez grubą na ćwierć cala szybę z wzmocnionego szkła? I jak szybko musiał to zrobić, zanim którykolwiek z funkcjonariuszy przebywających w tamtym pokoju zdołał go powstrzymać?

Zimne niebieskie oczy patrzyły za nią, utkwione jak lasery w Senatorze Clarence.  
- Pierdolony Dragos - mężczyzna kipiał z furii, która emanowała z jego oczu i cichego syku w głosie. - Już cię dorwał, nieprawdaż? Już, kurwa do niego należysz.

Jego prawa ręka wyskoczyła do przodu, przechodząc przez otwartą przestrzeń okna. Błyskawicznym jak u kobry ruchem, chwycił rękaw płaszcza senatora Clarenca. Szarpnął, ścinając polityka z nóg. Jedną ręką uniósł dorosłego człowieka, wlekąc go chwilami przez szczątki okna i potłuczonego szkła.

O, Boże. Ten człowiek zamierzał zamordować Senatora Clarenca, właśnie tu i teraz. - Nie! - Tavia krzyknęła w sprzecznię, zanim zdała sobie z tego sprawę. Chwyciła metal kajdanek otaczający jego nadgarstek i szarpnęła z całej siły. - Nie! - Jej śmiesznie nieporadna próba powstrzymania go nie sprawiła, że się zatrzymał. Ale w tym ułamku sekundy zderzyły się ich spojrzenia. Coś niesamowitego było w jego oczach... coś, co wydawało skrzyć się piekielnym ogniem. Coś, co wbiło się w sam środek jej istoty, jak ostrze szpady, ale nawet ta jego mroczna osobowość, zdawała się ją przyciągać.

Serce gwałtownie zabiło w jej piersi. Tętno zadudniło w uszach jak uderzenia bębna. Pierwszy raz w swoim życiu, Tavia Fairchild poznała, co to prawdziwe przerażenie. Spojrzała w te dziwnie hipnotyzujące niebieskie oczy i krzyknęła.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

#### ROZDZIAŁ 4



NIE PÓŚCIŁA GO, nawet wtedy, gdy krzyk wyrwał się jej z ust. Pozornie delikatne, lecz silne palce uczepliły się metalowego mankietu przy jego nadgarstku, jakby odruchowo były gotowe na walkę niezależnie od strachu i paniki, które wibrowały z każdego miejsca tego pogrążonego w chaosie pomieszczenia.

Tavia Fairchild była nieustępliwa; Chase musiał jej to oddać. Nie bała się go w noc



przyjęcia senatora ani kilka minut temu, gdy patrzyła mu w oczy przez jednostronne szkło i wskazała go koczującym w sali obserwacyjnej gliniarzom i federalnym.

Nie mógł obarczyć jej za to winą. Ona i ludzka Ochrona Porządku Publicznego zgodnie sądzili, że dobrze robią, próbując powstrzymać niebezpiecznego człowieka... zdejmując z ulicy... skruszonego zabójcę. Ich ludzkie umysły nie były zdolne ogarnąć takiego rodzaju zła, jakiemu musieli stawić czoła Chase i reszta Zakonu. Również Tavia Fairchild nie miała najmniejszego pojęcia, że jej szef już jest martwy. Senator Robert Clarence może w oczach śmiertelników mógł wyglądać tak samo jak przedtem, ale wyczulone zmysły Rasy, które posiadał Chase, wytropiły Sługusa gdy tylko wszedł do pokoju obserwacyjnego. Ten mężczyzna należał teraz do Dragosa, nie był posłuszny nikomu oprócz swego mistrza. Chase ujrzał tą prawdę w pustym spojrzeniu oczu polityka i w kompletnym braku troski o siebie, lub jakiegokolwiek inne życie w pokoju. To Dragos wysłał go na posterunek policji. Chase zamierzał odesłać sukinsynowi tego Sługusa w kawałkach.

Chase oderwał wzrok od Tavi Fairchild i wyswobodził się z jej rozprasającego uścisku. - Gdzie jest Dragos?

Tak mocno zaciskał dłoń wokół ramienia senatora, aż poczuł pod swoją ręką pękające kości. - Gadaj.

Sługus tylko zawył w męce.

- Stać! - Wykrzyknął jeden z policjantów stojących za nim w sali okazań. W pokoju obserwacyjnym zrobiła się przepychanka, słychać było pośpieszny tupot stóp, gdy federalni i policja wdarli się do pomieszczenia, by zabrać Tavię jak najdalej od miejsca zagrożenia.

Chase mocniej ścisnął senatora, roztrzaskując jego przedramię w morderczym

uścisku. - Mam zamiar go znaleźć. A ty powiesz mi gdzie on jest, ty cholerny śmieciu...

Coś ostrego uderzyło go od tyłu, w ramię. Nie kula, ale ukłucie dwóch bliźniaczych haczyków. Jak w wędce na ryby, zagłębionych w jego ciało. Uszy wypełnił mu dźwięk klikającego staccato uruchamiającego się Tasera.

<http://www.endevil.com/studenttaser.html> Jednocześnie, jego ciało zostało nafaszerowane pięćdziesięcioma tysiącami woltów. Prąd przeszył mu ciało agresywnym szarpnięciem. Impuls przeszył go od czubka głowy do pięt, sprawiając że wszystkie mięśnie zawyły na znak protestu. Chase ryknął, bardziej z wściekłości niż bólu. Dla osobników z jego rodzaju ten atak był jak użądlenie pszczoły. Zrobił krok do przodu, z jedną ręką wciąż zaciśniętą na ramieniu Senatora, drugą okręcił wokół jego pasa solidniej przyciskając go do siebie.

- Ja pierdołę! - Wysapał ktoś w pokoju okazań.

- Czy ktoś testował narkotyki na tym facecie?

- Co z nim jest, do cholery?

Jeden z federasów w ciemnym garniturze wyciągnął z kabury półautomatyczny pistolet. - Dołóż łajdakowi jeszcze raz! - Rozkazał. - Walnij go na glebę, do cholery, albo go zaraz rozwalę!

Kolejny strzał z Tasera trafił w cel. Tym razem styki przywarły do samego środka kręgosłupa Chase'a i przyjął on kolejną dawkę pięćdziesięciu tysięcy woltów. Podwójny impuls dobrze wykonał swoje zadanie. Chase wypuścił z rąk swoją ofiarę. Clarens natychmiast został uwolniony i kilku gliniarzy w pośpiechu wyprowadziło go na zewnątrz razem z Tavią.

Chase machnął lewą ręką i zdarł z siebie elektrody zatopione w mięśniu drugiego ramienia. Z prądem z drugiego strzału wciąż płynącym w jego ośrodkowym układzie nerwowym, chwycił za potrząskany parapet okienny i niezdarnie przeskoczył przez połamaną metalową ramę. Agent federalny otworzył ogień. To samo zrobił jeden z mundurowych stojących za nim w pokoju obserwacyjnym. Kule przeszywały tułów i klatkę piersiową. Seria po serii uderzając w niego, aż się zatoczył. Z wyrazem osłupienia spojrzął na plamy krwi rozkwitające na całym jego ciele.

*Nie jest dobrze. Kurewsko, niedobrze, ale przecież pochodził z Rasy. Mógł to przeżyć. I była wciąż szansa, że mógł dorwać w swoje ręce Sługusa Dragosa zanim gliny wyprowadzą go z posterunku...*

Gdy federalny ładował swoją broń, jeden z ostatnich gliniarzy, opuszczających prawie pusty pokój obserwacyjny, przesunął się do przodu i wymierzył swój służbowy pistolet w Chase'a.

- Stój gdzie jesteś!

Gliniarz był młody i trochę łamał mu się głos, ale pistolet w jego dłoniach nawet nie drgnął. - Nie ruszaj się pieprzony dupku!

Krew z Chase'a lała się jak woda z dziurawego sita. Zbierając się wokół jego stóp i na szklanych okruchach zaścielających podłogę. Zrobił krok do tyłu, sięgając do wewnątrz siebie do ukrytej w nim zreczności i szybkości, które zawsze były jego częścią i częścią... tego... czym był. Ale moc Rasy nie odpowiedziała na jego wezwanie. Jego ciało zostało zdegenerowane z powodu nałogu krwi, który przez wiele miesięcy chodził za nim krok w krok.

I tracił krew. Zbyt dużo, zbyt szybko.

Ale wciąż mógł poczuć zapach Sługusa przebywającego, gdzieś na terenie budynku. Wiedział, że niewolnik umysłu wciąż był w jego zasięgu, a jakaś jego część... zaśnieżyła okrucieństwem, który jeszcze w nim pozostał... protestował, by pozwolić niewinnej kobiecie przebywać w odległości mniejszej niż dziesięć stóp w pobliżu jednego z bezdusznych sług Dragosa. Wolałby widzieć Sługusa martwym zanim pozwoliliby zetknąć się Tavi Fairchild z tego rodzaju złem.

Chase obrócił się, wzrokiem szukając drzwi, które prowadziły w stronę korytarza na zewnątrz. Ruszył w ich kierunku wolno ciągnąc za sobą stopy.

- Kurwa - mruknął jeden z zaniepokojonych policjantów. Głośno szczęknęła broń za jego plecami. Znowu zabrzmiał rozkazujący głos federasa. - Jeszcze jeden krok dupku i to będzie twój pogrzeb.

Chase nie mógł zmusić swoich nóg, by nie poruszały się tak wolno, jakby został przykuty do wojskowego czołgu. Próbował zwiększyć tempo.

Jedyny strzał, który poczuł był tym pierwszym. Następne waliły w niego jak młoty, jeden po drugim dopóki podłoga nie usunęła mu się spod stóp. Poczłuch proch i wybuch ludzkiej adrenaliny. A kiedy ugięły się pod nim nogi i jego ciało twardo spoczęło na podłodze w pokoju okazań, poczuł również ponury zapach swojej własnej krwi tryskającej wokół na brudne, białe linoleum.

\*\*\*

Mężczyzna Rasy poświęcił chwilę na odbycie krótkiej przechadzki ze swojej limuzyny z szoferem zaparkowanej przy krawężniku przed prywatnym klubem wciśniętym w głąb wąskiej uliczki chińskiej dzielnicy. Nie zabrał ze sobą żadnych ochroniarzy, rzucających ostrzegawcze spojrzenia w mrok mroźnych ulic lub w nocne cienie budynków wznoszących się wokół niego. Nie dziś wieczorem.

Dzisiejszej nocy przybył do centrum Bostonu... do serca siedziby Zakonu... bez żadnej ochrony. Zamiast strażników, wybrał bardziej zabawne, użyteczniejsze towarzystwo. Para apetycznych ludzkich kobiet szybko drobiła kroki, żeby dotrzymać mu tempa, ich pantofle na wysokich obcasach głośno stukały o zaskorupiały lód pokrywający chodnik. Nie znał ich imion, ale nie dbał o to. Były jedynie zabawkami, długonogim rudzielcem i młodzieńczą blondynką, wybranymi przez niego kilka minut temu, kiedy zauważył te niepełnoletnie młode kobiety czekające przy drodze, by ktoś je podrzucił do LaNotte, obecnie najgorętszego klubu w mieście. Biegły za nim truchcikami chętne i chichoczące, gdy zbliżali się do potężnego mężczyzny Rasy stojącego w pod arkadą, pilnującego metalowych drzwi prywatnego klubu.

Ten strażnik był funkcjonariuszem Agencji Nadzoru. Brutal miał na nazwisko Taggart i dorabiał u niego podczas pełnienia obowiązków na najwyższych szczeblach tej bezradnej i skorumpowanej organizacji. Spojrzał spode łba i stając pod drzwiami przybrał nieprzystępną pozę. Ale po chwili te oczy świdrujące spojrzeniem spod ciężkich brwi rozszerzyły się w wyrazie zdziwienia. - Panie - mruknął Taggart, pochylił głowę w ukłonie. Sięgnął w kierunku drzwi, otworzył je i odchodząc na bok pozwolił ich trio wejść do klubu.

Szacunek był mile widziany, tak samo jak uczucie wolności, które niósł na ramionach jak królewski płaszcz, kiedy przechodził przez salę zatłoczoną mężczyznami Rasy i skąpo ubranymi ludźmi, kobietami i mężczyznami, którzy służyli do dostarczania specjalnej rozrywki, jaką oferował ten klub. Na jego centralnej scenie czarnoskóra piękność z wężową gracją owijała swoje ciało wokół srebrnego słupa. Przy stołach i ladach umieszczonych poniżej poziomu wysokiej sceny, tuziny mężczyzn Rasy oglądało występ z nabożną uwagą. Jeszcze inni ułożyli się w pozycji półleżącej w swoich boksach i prywatnych alkowach, ciesząc się bardziej spersonalizowanymi usługami ludzi zatrudnionymi przez tą Agencję Szybkich Nagich Drinków.

Abstrahując od picia krwi i seksu uprawianego w różnych wariantach na podłodze klubu, w tym miejscu dało się wyczuć pewną aurę powściągliwości. Prawo Rasy nie pozwalało na zabójstwa ludzi, i dla większość członków, szczególnie tych z Agencji Nadzoru, było to prawo nienaruszalne. Było tak święte jak śluby zachowania tajemnicy, śluby, które pozwalały Rasie żyć obok ludzi... pożywiać na nich... przez wieki, niezauważenie i bez problemów.

Dla niektórych, takich jak on i mężczyzny przechodzącemu teraz przez klub żeby się z nim przywitać, te kajdany zaczynały robić się za ciasne.

Dragos patrzył na zbliżającego się adiutanta. Był jednym z garstki podobnie myślących, lojalnych członków wąskiego kręgu Dragosa... słabnącego kręgu, dzięki liczbie wpadek i niepowodzeń, które ostatnio spotykał na swojej drodze, co zmusiło go do zlikwidowania najslabszych członków stada. Ale teraz, to było już za nim. Patrzył przed siebie, ku zwycięstwu. Było tak bliskie, praktycznie mógł już poczuć jego smak na języku. - Dobry wieczór, wicedyrektorze Pike.

- Panie - agent wykonawczy rzucił ukradkowe spojrzenie wokół siebie zanim napotkał wzrok Dragosa. - Bardzo... się cieszę, sir, to niespodziewana przyjemność zobaczyć cię tu... w mieście.

- Więc dlaczego wyglądasz jakbyś właśnie miał się posikać? - Rzucił Dragos, obnażając zęby w krótkim uśmiechu. Zazwyczaj jego niezapowiedziana, osobista wizyta oznaczała, że właśnie ma się potoczyć czyjaś głowa. - Uspokój się Pike. Dzisiaj wieczorem sprowadza mnie tu rozrywka, nie biznes.

- Więc, nic złego się nie zdarzyło, panie?

- Zupełnie nic - odpowiedział Dragos.

Jego adiutant wciąż był spięty. Mówił ściszym głosem, nie było wątpliwości, że

bał się być widziany, gdy rozmawia z nim w takim jak to, publicznym miejscu.

- Ale panie, czy naprawdę myślisz, że przyjazd do miasta w ten sposób był rozsądny... a już szczególnie przychodzenie tutaj? Nie dalej jak w zeszłym tygodniu Zakon wysłał dwóch swoich wojowników do tego klubu, oni wypytywali o ciebie.

Dragos łagodnie potrząsnął głową. - Nie martwię się Zakonem. Oni mają teraz pełne ręce roboty. Dzisiaj osobiście się o to postarałem.

Pike przez moment wpatrywał się w niego. - Te pogłoski są prawdziwe? Że siedziba Zakonu została odkryta przez lu... - Rzucając okiem na dwie śmiertelne towarzyszki Dragosa, Pike nagle odchrząknął. - Zostali zdemaskowani przez miejscową policję?

Dragos uśmiechnął się. - Pozwolę sobie tylko powiedzieć, że bostońscy chłopcy otrzymali dyskretną pomoc, by odnaleźć to miejsce.

Mężczyzna Rasy odwzajemnił uśmiech, ale jego oczy wędrowały niespokojnie od Dragosa do dwóch kobiet przyczepionych do niego z obu stron. Dragos obojętnie wzruszył ramionami w odpowiedzi na pytające spojrzenie swojego wyjątkowo ostrożnego adiutanta. - Mów swobodnie, Pike. W drodze tutaj nafaszerowałem je taką ilością alkoholu i kokainy, że rano nie będą pamiętały jak się nazywają. Jeśli pozwolę im pożyć tak długo - powiedział przeciągając samogłoski i łypiąc okiem na młode kobiety, na które aż ciekła mu ślinka.

- Czy chcesz powiedzieć, że te bomby rano w śródmieściu i pościg policyjny za podejrzanymi, który nastąpił po...

- To jest dokładnie to, co chcę powiedzieć, Pike. - Dragos przyglądał się, jak z wrażenia zmienił się wyraz twarzy jego adiutanta. - Od zorganizowania wybuchu przez Sługusów, których zrekrutowałem do tej roboty, do pościgu, który zaprowadził

Służby Ochrony Porządku Publicznego pod frontowe drzwi Lucana Thorne. To wszystko było moim dziełem.

- Słyszałem, że jeden z wojowników jest w policyjnym areszcie. Czy naprawdę pojмали Sterlinga Chase'a?

Dragos kiwnął głową. Pozornie dobrowolna kapitulacja wojownika była jedynym szczegółem, którego nie zaplanował ani nie przewidział w tym całym ataku wymierzonym przeciwko Zakonowi. Wciąż nie był całkiem pewny, co z tym zrobić, ale wysłał swojego najnowszego Sługusa, by skontrolował sytuację na Miejskim Posterunku Policji. Właściwie, to w każdej chwili spodziewał się kontaktu od senatora z pełnym raportem.

- Chodzą słuchy, że Chase jest już prawie Szkarłatnym - Powiedział Pike. To nie jest dla mnie zbyt wielkie zaskoczenie, tak przypuszczałem. Po tym jak tu przyszedł szukając cię Panie w zeszłym tygodniu z tym drugim wojownikiem... sądząc po pogłoskach, i po tym, gdy na własne oczy zobaczyłem, jak wieku Agentów zranił i w jaki sposób z nimi walczył, jak wściekły pies... to nie wyglądało jakby trzeba było długo czekać zanim nałóg krwi na dobre nim zawładnie. Ciężko uwierzyć, że to ten sam Chase Sterling, sprzed zaledwie kilku lat. Wtedy uznanym i akceptowanym faktem było, że znajdzie się na szczycie w szczeblach Agencji Nadzoru.

Dragos westchnął, znudzony wędrówkami Agenta Pike'a po ścieżkach wspomnień.

- Niech ten sukinsyn zmieni się w Szkarłatnego, albo zdechnie w ludzkim więzieniu... leję na to. Jeden wojownik mniej, jeden problem z głowy.

- Oczywiście, Panie - krótko skwitował Pike. - Całkowicie się z tym zgadzam.

Dragos zignorował to wchodzenie w tyłek szorstkim gestem. - Potrzebuję stolika, Pike. - Gdy to mówił, wyciągnął dłoń, by pogłaskać jedwabiste blond włosy jednej ze



swoich towarzyszek. Nie zanedbując rudzielca, odwrócił się do niej i popieścił długą, wysmukłą kolumnę jej gardła. - Chcę tamten blisko sceny.

To było najlepsze miejsce w całym lokalu, duża kanapa w kształcie półksiężyca i stół, ulokowane centralnie z widokiem na tancerzy na rurze, oraz resztę klubu. I obecnie zajęte przez co najmniej ośmiu mężczyzn Rasy, większość z nich była równa lub przewyższała stopniem wicedyrektora Arniego Pike'a.

Pomimo, że jego adiutant nie wyglądał na zbyt uszczęśliwionego poleceniem, pokłusował, by wypełnić żądanie Dragosa. Było trochę kręcenia głowami wśród agentów przy stole, kilka obrażonych spojrzeń i zde gustowanych grymasów niezadowolenia, ale Pike usunął mężczyzn, po czym pośpieszył z powrotem, by usadzić Dragosa na jego miejscu.

Dragos przemaszerował przez należący do agencji klub, jakby był jego właścicielem. Do diabła, nie upłynie wiele czasu i naprawdę będzie posiadał go na własność, także to miasto i wszystkich, którzy w nim mieszkali... zarówno ludzi jak i wampiry. Nie będzie w pełni usatysfakcjonowany dopóki cały cholerny świat nie będzie klęczał u jego stóp.

*Już niedługo*, obiecał sobie. Długo planował... ponad kilka wieków przygotowywał grunt i podwaliny pod każdy, umieszczony na właściwym miejscu element. Teraz po prostu połączy je w całość i nawet Zakon nie zdoła pokrzyżować mu planów.

Wśliznął się na wspaniałą skórzaną kanapę stojącą przy swoim świeżo zdobytym stoliku, słodki rudzielec przyłgął do jednego z jego boków, zaś blondynka z wyrazistymi oczami do drugiego. - Dołącz do nas, Pike. Już każdy w tym miejscu widział, że twoja lojalność należy do mnie. Ponadto, nie ma już potrzeby udawać. Dziś rano zmieniły się reguły gry. Teraz to ja ustalę zasady.

Gdy Pike usadowił się obok blondynki, Dragos skierował swój pełen zachwytu wzrok na drugą kobietę. Skóra jej gardła i mocno wyeksponowanego dekoltu była kremowa jak śmietanka, prawie przezroczysta. Cudowne niebieskie żyły znaczyły miejsce obok obojczyka, kusząc jego kły do wysunięcia się z dziąseł. Ostre i szpiczaste błyskawicznie pojawiły się w jego ustach. Zaatakował ją z taką prędkością, że nie mogła zrobić nic i tylko sapnęła ze strachu, kiedy przedziurawił arterię na jej szyi i wziął długi, mocny haust z pulsującej rany.

Po kilku zachłannych pociągnięciach, obrócił się, by spróbować jej przyjaciółki siedzącej po drugiej stronie. Z nią był dużo mniej łagodny. Kiedy się w nią wgrzył piszczała wbijając palce w jego ramiona, próbując wywinąć się z jego uścisku. Mógł uspokoić ją lekkim transem, jaki w takich okolicznościach większość z jego rodzaju oferowała swoim pozbawianym krwi Żywicielom. Ale gdzie w tym byłaby zabawa? Dragos otwarcie pożywiał się z obu kobiet, ze wzrokiem skierowanym na Arniego Pike'a, który piekielnie mocno walczył, by powstrzymać swoją dziką naturę przy takiej ilości świeżo rozlanej krwi. Jego oczy świeciły jak rozpalony żar, źrenice zawęziły się do wąskich pionowych szpar. Chociaż jego wargi pozostawały mocno zaciśnięte, Dragos wiedział, że usta Pike'a wypełniały kły wysunięte na pełną długość.

Dragos zaśmiał się. Sięgnął i chwycił mężczyznę z Agencji Nadzoru za urzędową marynarkę nałożoną na białą koszulę, przyciągając go bliżej. - Dlaczego sobie odmawiasz? Czego się boisz... Zakonu? - Potrząsnął głową. - To jest właśnie to, do czego dążymy. Ta wolność. To jest prawo przysługujące z urodzenia całej Rasie.

- Pike odetchnął głęboko wypuszczając powietrze z płuc. Razem z wydechem obnażył swoje zęby i kły i wydał z siebie głodne warknięcie, gdy zapach świeżej krwi spowiał jego nozdrza. Pike zwrócił swoje bursztynowe spojrzenie na blondynkę, która teraz zemdliała z powodu narkotyków i upływu krwi, nieświadoma, tego co miało się zdarzyć

- Bierz ją - rzucił Dragos swojemu adiutantowi. - Jest twoja.

Ze zwierzęcym warknięciem, Pike rzucił się, pchnął kobietę na stół i rozerwał jej przód sukni. Opadł na nią jak bestia, czyniąc ze swojego pożywania się publiczne widowisko, które przyciągnęło każdą parę oczu, należącą do Rasy, jaka znajdowała się w tym miejscu.

Dragos oglądał to przedstawienie z widocznym zadowoleniem, nie tylko dlatego, że spuścił ze smyczy szaloną żądzę swojego adiutanta, ale przede wszystkim z powodu gorącego zainteresowania pozostałych mężczyzn, którzy powoli otaczali ich z każdej strony. Lśniły kły, płonęły bursztynowe spojrzenia, mimo jasnej ferii świateł stroboskopowych odbijających się rykoszetem od sceny.

Jak dobrze było poczuć ten komfort, tą czystą, drapieżną moc. Upłynęło tak wiele czasu, odkąd mógł tak swobodnie zachowywać się w publicznym miejscu, bez Zakonu wiecznie deptającego mu po piętach i na każdym kroku krzyżującego niemal wszystkie jego działania.

Skończyło się uciekanie przed Lucanem Thornem i jego wojownikami. Cios, który im dziś wymierzył, powinien być tego dostatecznym sygnałem. Teraz to była ich kolej na zapadnięcie się pod ziemię, oraz na zastanawianie się, gdzie może kolejny raz uderzyć i jak mocno.

Teraz im odpłaci.

Był panem tej chwili i wszystkiego, co ze sobą niosła. Ale nie był usatysfakcjonowany, jeszcze nie.

Poleceniem wyszeptanym do jej ucha, posłał rudzielca na stół. Zgodnie z jego sugestią zrzuciła ubranie, wirując w rytmie mocnych uderzeń basów dobiegających z

aparatury nagłaśniającej i podążając smukłymi palcami za bliźniaczymi strumykami krwi, które biegły w dół, z otwartej rany znaczącej jej szyję.

Obserwujące wampiry zacieśniły krąg. Tylko kilka sekund zajęło pierwszemu mężczyźnie z tłumu wskoczenie do niej na stół. Kiedy zacisnął zęby na jej gardle, Dragos skinął mu głową z aprobatą. - Pij - powiedział, po czym podniósł się, by przemówić do zgromadzonych. - Bierzcie ile chcecie, wszyscy! Dzisiejszej nocy nie obowiązują tu żadne prawa. Nikt nie może powstrzymać nas od bycia tym, czym naprawdę jesteśmy.

Z rykiem aprobaty kolejny mężczyzna wskoczył na stół i przypiął się do nadgarstka rudzielca. Wtedy następny przycisnął usta do drugiego. W dalekim kącie klubu, rozległ się kobiecy krzyk, po czym nagle ucichł, gdy ktoś inny, w cieniu zaczął sycić swój głód. Coraz więcej wampirów zaczęło się karmić. Gdzienigdzie przerywały ciszę wrzaski przerażonych ludzi, którzy byli atakowani z furją przez nagle wygłodniałą sforę osobników Rasy.

Dragos obserwował to wszystko jak na własnej prywatnej arenie z zadowoleniem barbarzyńskiego króla. Zewsząd niósł się miedziany zapach rozlanej ludzkiej krwi, zamieniając klub w orgię seksu, okrucieństwa i niekontrolowanego szału. Dragos upajał się wirującą wokół brutalną, surową energią. To była moc. To była wolność, nareszcie. I tego momentu... tego doskonałego, okrutnego momentu ... nawet Zakon nie może mu odebrać. Niech oni dowiedzą się, co tu zrobił i kipią z furii, że nie byli w stanie go powstrzymać. Niech rozpieprzą Agencję Nadzoru we wściekłym dążeniu do znalezienia jego tajemnych sojuszników. Mogą rozwiązać całą tę organizację, miał to gdzieś. Jego operacja tylko skorzystałaby z jakiegokolwiek zakłócenia spokoju po stronie Zakonu. A już niedługo nic, co mogliby uczynić, nie będzie się liczyło. Stanie się ich Panem w taki sam sposób, jak reszty prostaczków z tego mało znaczącego, niczego niepodejrzewający świata.

Z tryumfem buzującym w żyłach, Dragos odrzucił do tyłu głowę i ryknął, jak bestia, dla bycia którą się urodził.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 5



- MYŚLISZ, ŻE GO ZABILI?

- Hmm? - Senator Clarence mruknął pytająco ze swojego miejsca obok Tavi na tylnym siedzeniu szybko jadącego czarnego Subaru należącego FBI.

Milczał przez większą część drogi poza miasto, oprócz chwili, w której nalegał, by on i agenci federalni osobiście zagwarantowali jej bezpieczny powrót do domu. Teraz kiedy na nią spojrział, wyraz jego twarzy był dziwnie spokojny biorąc pod uwagę to, co zdarzyło się na posterunku policji.

Może to był wstrząs. Bóg wiedział, że ona wciąż tkwiła w stanie niedowierzania własnym zmysłom. - Kiedy wyprowadzili nas z tej sali wybuchnęła straszna strzelanina... więc zastanawiam się, czy myślisz, że policjanci zastrzelili tego człowieka..

- Nie byłbym zaskoczony gdyby to zrobili - senator z obojętnością wzruszył ramionami. - Nie obchodzi mnie to. Ciebie też nie powinno, Taviu.

Nie ma żadnego miejsca w naszym świecie dla kogoś tak jak on. Gdyby to ode mnie zależało, sam nafaszerowałbym ołowiem mózg tego łajdaka.

Chłód tego stwierdzenia spowodował, że poczuła się nieswojo. Znała Bobbego Clarenca od niemal trzech lat, przez pierwszy rok pracowała dla niego jako stażystka, wtedy był jeszcze zastępcą prokuratora okręgowego, potem jako jego asystentka, od chwili, w której zdecydował się kandydować na senatorski fotel. Wiedziała, że prowadzi twardą politykę, jeśli chodziło o sprawy bezpieczeństwa narodowego i walki z terroryzmem; oparł całą swoją kampanię na zaangażowaniu w tę platformę. Ale nigdy nie słyszała, by mówił tak bezdusznie o życiu... lub domniemanej śmierci innej osoby.

Tavia odwróciła się i spojrzała na śnieżny pejzaż rozciągający się za zaciemnionymi szybami pojazdu, podczas gdy on pędził autostradą na północ, zostawiając miasto wiele mil za nimi.

- Kim jest Dragos?

Ponieważ wciąż milczał, początkowo pomyślała, że senator nie usłyszał jej pytania. Gdy jednak z powrotem na niego spojrzała, zastała go wpatrującego się w nią badawczo. Wydawało się jakby przeszywał ją wzrokiem, na wskroś. Dziwny dreszcz przebiegł jej po karku, ale uspokoiła się, kiedy przystojna twarz szefa złagodniała i wyglądała tylko na lekko zmieszaną. - Nie wiem, co masz na myśli, Taviu. Powinienem znać to nazwisko?

- On wydawał się sądzić, że tak... ten mężczyzna na posterunku. Wpatrywała się w twarz senatora w poszukiwaniu jakiegoś znaku, reakcji, ale niczego w niej nie dostrzegła. - Zanim wszedłeś do sali okazań, powiedział mi, że grozi ci niebezpieczeństwo od osoby, która nazywa się Dragos. Powiedział, że obydwójce możemy być w niebezpieczeństwie. Chciał cię ostrzec...

Oczy Senatora Clarence'a zwężyły się. - Czy to on powiedział ci to wszystko? Rozmawiałś z tym człowiekiem? Kiedy?

- Ja z nim nie rozmawiałam. Niezupełnie. - Wciąż próbowała zrozumieć to wszystko, co wydarzyło się dziś wieczorem. - On zobaczył mnie przez okno w pokoju okazań. Zaczął mówić mi jakieś dziwaczne rzeczy.

Senator wolno pokręcił głową. - Paranoja każe wygadywać ludziom szaleństwa, Taviu.

- To prawda, tyle że jak dla mnie, on nie wyglądał na szalonego. Wyglądał na poruszonego i nieprzewidywalnego, ale nie na szaleńca. - Wpatrywała się w swojego szefa, przyglądając się, jak bezwiednie pociera swój nadgarstek... ten sam, który został zmiażdżony w morderczym uścisku mężczyzny zdolnego uwolnić się z kajdanek i przełamać system bezpieczeństwa w ponoć całkowicie bezpiecznym pokoju obserwacyjnym, zanim pół tuzina funkcjonariuszy policji i agentów federalnych zdołało opanować sytuację. Wszystko po to, żeby dostać w swoje ręce Senatora Clarence'a. - Kiedy cię zobaczył, powiedział, że jest już za późno. Stwierdził, że ta osoba, Dragos, już cię posiadała. Co on miał na myśli? Dlaczego pomyślał, że możesz znać tą osobę, albo gdzie ją znaleźć?

Na pięknie wyrzeźbionej szczęce senatora, zadrgało ścięgno. - Nie jestem pewien, nie mam pojęcia..., Taviu. Politycy robią sobie wielu wrogów... niektórzy z nich to nieszkodliwe świry, inni to niszczycielscy socjopaci, którzy zabiegają o uwagę i myślą, że przemoc i terror są najlepszymi sposobami, żeby ją do siebie przyciągnąć. Kto, do cholery wie, co miał na myśli ten szaleniec rzucając na mnie kalumnie. Wszystko, co wiem to, że przyszedł do mojego domu dokonać morderstwa, a kiedy jego plan skończył się niepowodzeniem, on i kumple z jego bojówki, zdecydowali się wysadzić w powietrze gmach państwowy i przy okazji zamordować kilku niewinnych ludzi. Czyste niebezpieczeństwo, które każdy z nas wyczuwał dzisiejszej nocy pochodziło od niego i tylko od niego.

Tavia uznała te trzeźwe fakty ponuro kiwając głową. Nie mogła im zaprzeczyć i nie

wiedziała dlaczego czuła przymus, by wciąż od nowa przetwarzać i analizować wszystko, co usłyszała w sali obserwacyjnej posterunku policji. Nie wiedziała dlaczego nie mogła usunąć tego mężczyzny i jego słów ze swojego umysłu.

I te jego oczy...

Wciąż widziała w myślach ich stalowoniebieski kolor i intensywność, z którą trzymał ją w swoim nieruchomym... niezaprzeczalnie zdrowym psychicznie... spojrzeniu.

Wciąż czuła dziwne ciepło, które wydawało rozchodzić się promieniście od tych tęczy w kolorze burzy w chwili, w której zwały się ich spojrzenia, krótkie sekundy zanim uderzył w niego Taser i posypał się grad kul.

Była tak pogrążona w swoich myślach, że drgnęła nerwowo, gdy senator lekko dotknął jej kolana. - Och cholera, wiedziałem, że o czymś zapomniałem.

- O czym? - Zapytała, odwracając się, by spojrzeć na niego, podczas gdy SUV opuścił autostradę i wjechał na kilku milowy odcinek pokrytej asfaltem wiejskiej drogi, prowadzący do jej domu.

Rzucił jej zażenowane spojrzenie, jedno z tych, których używał w momentach, gdy miał zamiar poprosić ją o pomoc przez cały weekend, lub chciał, żeby w ostatniej chwili zorganizowała prezent dla jakiejś wysoko postawionej pani domu, na której zdecydował się zrobić dobre wrażenie. - Jutro rano jest dobroczynne śniadanie dla szpitala dziecięcego.

Tavia kiwnęła głową. - Punkt ósma na Copley Place. Zanim dziś w nocy stawiłam się na komisariacie, wysłałam ci do domu rzeczy z pralni i przesłałam treść twojego przemówienia zarówno na telefon komórkowy jak i na laptop.



Przygotowała dla niego wszystko, jak zwykle, ale nie wydawał się być usatysfakcjonowany. Trochę się skrzywił. - Myślałem raczej o wprowadzeniu pewnych zmian do treści przemówienia. Tak naprawdę miałem nadzieję, że pomożesz mi się z tym uporać. Ze względu na to wszystko, co ostatnio zaszło, nie miałem okazji żeby o tym z tobą porozmawiać. Przepraszam, Taviu. Wiem, że prawdopodobnie jesteś wykończona, ale czy tej nocy nie mogłabyś poświęcić mi chociaż godziny? Możemy pracować u mnie, jesteśmy już w połowie drogi do Marblehead...

- Przykro mi, nie mogę - odpowiedziała, te słowa wypłynęły z jej ust zanim zdała sobie sprawę, że zamierza je wypowiedzieć. Nigdy nie odmówiła wykonania dla niego jakiegokolwiek pracy, ale dzisiejszej nocy coś było nie tak... coś w samym Bobbym Clarence... sprawiło, że jej instynkty poruszyły się wykazując dziwną rezerwę. W tym momencie potrząsnęła głową, dokładnie w chwili, gdy jego zdziwione spojrzenie, zmieniło się z pełnego rozczarowania w wyrażające chłodną dezaprobatę. - Chciałabym móc ci pomóc, ale moja ciotka jest bardzo chora. A ja właśnie wiozę dla niej leki. - Sięgnęła po torebkę i wydobyla z niej buteleczkę pełną białych pigulek na receptę. Będę się martwić jeśli nie upewnię się, że je wzięła i zjadła odpowiedni posiłek...

- Oczywiście. Rozumiem - odpowiedział senator. Był ogólnie poinformowany o jej sytuacji życiowej... o fakcie, że ciotka Sarah wychowywała ją samotnie przez większą część życia Tavi.

Była jedyną rodziną, jaką kiedykolwiek znała i fakt, że Tavia rzuciłaby wszystko, żeby opiekować się starszą kobietą nie był żadną niespodzianką. Przynajmniej to było prawdą.

Subaru zwolnił, lód i śnieg chrzęściły pod jego oponami, gdy zbliżali się do małego szarego domku ze zgrabnymi czarnymi okiennicami. Na wejściowych drzwiach

wisiał świąteczny wieniec, a radosne żółte światło sączyło się z niemal każdego okna. Tavia napotkała czujne spojrzenie senatora, rzucone jej przez całą szerokość tylnego siedzenia.

- Żałuję, że tym razem nie mogę pomóc. Jestem pewna, że wprowadzone przez ciebie poprawki będą po prostu świetne.

Kiwnął głową. - Przekaż ciotce Sarah moje najlepsze życzenia. Powiedz jej, iż mam nadzieję, że niedługo poczuje się lepiej.

Jego usta wygięły się w uśmiechu, który mógłby wyglądać na pełen współczucia, gdyby w jego oczach nie pojawił się ponury błysk podejrzliwości. - Do zobaczenia rano, Taviu. Wtedy możemy to omówić.

Otworzyła drzwi SUV-a i zaczęła wysuwać się na zewnątrz. Może powinna ugryźć się w język, ale to pytanie wisiało na nim od momentu, w którym opuścili posterunek... pytanie, które nurtowało ją aż do tej chwili... mieszając jej w głowie, dotyczyło senatora. Tak naprawdę, to było coś, co zadrezczało ją nawet dłużej... gdzieś od zeszłego tygodnia, od chwili, w której jej oczy spoczęły na jednym z największych zwolenników i sponsorów Bobbego Clarence'a. Zatrzymała się poza pojazdem i odwróciła się, żeby spojrzeć na senatora. - Jak dobrze znasz Drake'a Mastersa?

I wtedy to zobaczyła. Pęknięcie w zwykle gładkiej fasadzie. - Drake'a Mastersa, powiedział, ale było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Senator odchrząknął i spróbował wdziać z powrotem swoją maskę lekkiego zmieszania, ale Tavia już zdążyła pod nią zajrzeć. - A co Drake Masters miałby mieć z tym wspólnego?

Pozwoliła temu pytaniu zawisnąć pomiędzy nimi i przeciągać się milczeniu. Nie umiała na to odpowiedzieć. Jeszcze nie. Ale była zdeterminowana, by się tego

dowiedzieć. - Muszę już iść - powiedziała w końcu i odwróciła się, żeby pokonać krótki dystans dzielący ją od domu.

Ciotka Sarah powitała ją w drzwiach, ubrana w czerwony welurowy dres z fartuchem drukowanym w świąteczne motywy przewiązany wokół bioder. W noc uleciała taneczna muzyka, wraz z aromatem świeżo pieczonego chleba i cynamonu i czegoś zawierającego dużą ilość mięsa bulgoczącego na wolnym ogniu w garnku stojącym na kuchence. - Nareszcie jesteś! - Wykrzyknęła starsza kobieta. - Dlaczego nie odpowiadałaś na moje telefony? Przez cały wieczór próbowałam się do ciebie dodzwonić.

- Przykro mi. Musiałam wyłączyć telefon. - Tavia przeszła w głąb domu i popatrzyła, jak czarny SUV powoli oddala się od krawężnika. - To był długi dzień, cioteczko Sarah. Powinnam była zadzwonić. Mam nadzieję, że się nie martwiłaś.

- Oczywiście, że się martwiłam. Kocham cię. - Jej brązowe oczy zmarszczyły się w kącikach, gdy popatrzyła na Tavię. - A co z twoją wizytą u doktora Lewisa? Powiedziałeś mu o lękach nocnych i bólach głowy, które ostatnio miewasz? Dostałaś leki?

- Ta wizyta przebiegła świetnie, tak samo jak ostatnich dziesięć tysięcy. A tu mam swoją kolejną dawkę dragów. - Tavia potrząsnęła torebką, grzechocząc buteleczką tabletek, kiedy napotkała serdeczne spojrzenie ciotki. Uśmiechnęła się do starszej kobiety nie bacząc na jej pytania i niepokój. Po raz pierwszy w tym całym dniu doznała uczucia komfortu, spokoju i normalności. - Ja też cię kocham, ciociu. Co na obiad?

\*\*\*

POCZĄTKOWO CHASE myślał, że jest w piekle. Oprócz wrażenia, że został

przejechany przez walec drogowy... kilkakrotnie... w ustach miał sucho jak na Saharze, a w głowie rozbrzmiewało nieustanne dzwonięcie i szum jakiegoś urządzenia pracującego w pobliżu.

Przez chwilę po prostu leżał, z zamkniętymi oczami, jego zmysły próbowały wrócić do pracy po długim przytłaczającym śnie. Ktoś był z nim w pokoju. Dwie osoby. Ludzie; mężczyzna i kobieta. Mówili cicho i łagodnie stojąc po obu jego stronach, kobieta przykrywała jego nagie nogi cienkim prześcieradłem i kocem, podczas gdy mężczyzna sięgnął ponad głowę Chase'a do przycisków na jednym z piskliwych urządzeń monitorujących. Ciśnienie krwi wciąż jest krytycznie wysokie *(trochę mnie to dziwi, skoro tyle się jej z niego wylało ;)* powiedział mężczyzna, jego dudniący głos z bostońskim akcentem brzmiał jakby dobiegał z beczki, a nie z klatki piersiowej. - Tętno przez ostatnią godzinę też niewiele spadło. Ciało tego faceta pracuje jak cholerny samochód wyścigowy na nadbiegu.

- Będzie szczęściarzem, jeśli przeżyje - odpowiedziała kobieta. - Po tych wszystkich postrzałach, jakie otrzymał jego organy wewnętrzne powinny po kolei odmawiać posłuszeństwa, a nie pracować tak, że to wychodzi poza skalę. - Brzmienie jej głosu wskazywało, że zbliżała się do wieku średniego i była zmęczona, a podczas gdy mówiła zbitek miętowej gumy, którą bezustannie żuła pstrykał hałaśliwie.

- Słyszałam, że laboratorium spieprzyło coś z jego krwią, więc powtarzają wszystko już po raz trzeci. Buncha na pewno robi sobie jaja tam na dole, jak nic, przysięgam na Boga. Tymczasem wygląda na to, że przed końcem zmiany będę musiała napocząć kolejną torebkę krwi O RH- . Niech to szlag.

Nie, nie był martwy, nie znajdował się również w piekle. Był w ludzkim ośrodku medycznym. Sądząc z dotyku zimnego metalu, dla bezpieczeństwa przykuto jego nadgarstek do poręczy łóżka na kółkach, Chase zgadł, że zgodnie z literą prawa w tym okręgu, wciąż był aresztowany.

Musiał stąd spieprzać.

Jego instynkt kazał mu natychmiast skoczyć na równe nogi i zapierniczać z dala od tego miejsca, zanim dziwne wyniki analizy krwi i niezwykła praca serca i narządów wewnętrznych sprawią, że zaczną narastać pytania, na które żaden człowiek nie życzyłby sobie znać odpowiedzi. I jakby tego nie było dość, istniał również fakt, że Dragos zrekrutował nowego Sługusa. Furia rozpalila się w nim pod grubą mgłą fizycznych urazów, gdy przypomniał sobie pozbawione wyrazu spojrzenie senatora Clarence'a. Zapłonęła jeszcze goręcej, kiedy pomyślał o Tavi Fairchild, niewinnej kobiecie, nieświadomej czającego się zła, które było wystarczająco blisko, by mogło jej dosięgnąć. *(aż taka nieświadoma to ona nie jest;)* Chase musiał coś zrobić. Ale nie miał dość siły, by wstać ani wyjść. Nie mógł nawet zmusić się do uniesienia ciężkich powiek.

Potrzebował krwi.

Nie zapakowanej w woreczek, o jakiej mówiła Pielęgniarka Podwójna Mięta, ale świeżych erytrocytów, zaczerpniętych z otwartej ludzkiej żyły. Transfuzje prawdopodobnie podtrzymały pracę jego organów w czasie, który nastąpił po strzelaninie, ale by porządnie się uzdrowić i odzyskać wszystkie moce swojej Rasy, musiał się pożywić.

Solidnie.

I bezzwłocznie.

Poruszający się obok łóżka pielęgniarz porządkował jakieś rurki i uprząże przymocowane do wolnego ramienia Chase'a. - Słyszałaś o tym drugim, którego dzisiaj przywieźli? Ten facet próbował go użyć w charakterze tarana. Wygląda naprawdę niedobrze.

Kobieta wydała z siebie ostre syknięcie. - Złamany kręgosłup, całkowity paraliż od szyi w dół. To akt sprawiedliwości, jeśli mnie spytasz.

- Co masz na myśli?

Nastąpiło więcej odgłosów żucia gumy, a kiedy przysunęła się, by zbadać jedną z ran na klatce piersiowej Chase'a w powietrzu uniósł się aromat mięty pieprzowej.

- Zanim tu przyszedłam, pracowałam na nocnej zmianie w szpitalu przy Mass General. Niejednokrotnie przyjmowałam jego żonę na ostrym dyżurze po tym jak ją pobił. Po tym niezmiennie miał pozorny i fałszywy atak wyrzutów sumienia i połamana wracała do domu. Zawsze miał jakiś rodzaj usprawiedliwienia, jak to wpadła na ścianę, albo rozcięła głowę podczas sprzątanania. Nie zobaczysz, jak rozpaczam z powodu, że facet taki jak on spędzi resztę swojego życia leżąc na dupie, jedząc odżywki dla niemowląt i sikając do woreczka.

- Bez jaj - pielęgniarz wydał z siebie zdławiony chichot. - Nikt mi nie wmówi, że karma nie jest największą suką na świecie.

- Taką samą jak ja, jeśli nie zapalę chociaż raz na dwie godziny - powiedziała, wzmagając tempo żucia swojej gumy. - Może tu skończysz, a ja pobiegnę na szybkiego dymka?

- Taaa, jasne. Już prawie gotowe. Muszę tylko postarać się o małą szlafmycę dla Mr..., ach? - Tu nastąpiła mała pauza, ponieważ spojrzał na kartę, by przeczytać nazwisko... - Dla obecnego tu Mr. Chase'a. Trochę nam odpłynął, po tym jak dziś wieczorem próbował popełnić samobójstwo przez zatrucie ołowiem w pokoju okazań.

Pielęgniarka Podwójna Mięta zdjęła rękawiczki lateksu z gwałtownym trzaskiem,

który Chase odczuł w swojej głowie jak uderzenie pioruna. - Słodziak z ciebie, Mike. Nie zapomnij wyłączyć światła gdy już się tu obrobisz, dobrze?

- Taaa. Leć już. Zastąpię cię .

Chase słyszał, jak miękkie podeszwy butów pielęgniarki klaskały o podłogę, gdy w pośpiechu opuszczała salę. Drzwi zamknęły się za nią z cichutkim trzaśnięciem. Zmysły Chase'a zaczęły pulsować wysyłając impuls do ataku, chwycić tą szansę i pożywić się. Spojrzał przez szparę pomiędzy uchylonymi powiekami. Pielęgniarka stała odwrócona do niego plecami rozpakowując nową przezroczystą rurkę przymocowaną do małego plastikowego woreczka. Był mężczyzną słusznego wzrostu, tak jak wskazywał na to jego głos... wysoki i silny, z masywnymi ramionami wystającymi spod jasnoniebieskiej koszuli służbowego uniformu.

- W porządku, Mr. Chase. Mam tu dla ciebie torebkę z nocną przekąską - powiesił kroplówkę na jednym ze stojaków obok łóżka, po czym pochylił się, by unieść jego lewe ramię i wpiąć końcówkę rurki do przygotowanego wenflonu. - I zapewniam cię, że czasami to gówno jest naprawdę dobre...

Oczy Chase'a były teraz w pełni otwarte.

- Jezu Chryste! - Ciało człowieka zwinęło się w panice, próbował odskoczyć od łóżka. Nie zdążył. Chase zacisnął ramię wokół karku mężczyzny i przyciągnął go w nagłym przyplywie swojej wyczerpanej mocy. To było wszystko, co mógł z siebie wykrzesać, ale wystarczyło.

Krzyki człowieka stłumił koc okrywający jego pierś, gdy Chase zatopił kły w jego szyi. Pił szybko, zachłannie, haust za haustem. Miedziana krew uderzyła w jego spieczony język jak ogień, napędzając energią osłabione komórki ciała i wyostrzając zmysły. To natychmiastowe wypełnienie mocą i siłą... było tym, co tak bardzo

uzależniało. Teraz nie mógł o tym myśleć. Jedno, co się liczyło to ucieczka z tego miejsca. Zżerająca go pokusa była tak samo silna, jak u każdego innego ćpuna, ale Chase, gdy tylko poczuł przyływ mocy, przesunął językiem po nakłuciach i zamknął ranki. Człowiek był teraz bezwładny, oszołomiony po karmieniu.

Dla bezpieczeństwa, Chase przesunął dłonią po czole mężczyzny, wprowadzając go w trans i zmuszając do natychmiastowej głębokiej drzemki. Wolnym ramieniem Chase zepchnął z siebie jego ogromne ciało. Kajdanki na drugiej ręce pękły pod wpływem kombinacji mentalnego rozkazu i czystej mocy Rasy. Nagi, nie licząc wielu bandaży spowijających jego ciało, Case usiadł i zaczął uwalniać ramiona wyciągając z nich igły i rurki. Wyzwolił się z płataniny medycznego sprzętu, po czym ruszył, żeby rozebrać pielęgniarza z jego błękitnego uniformu. Założył go na siebie, marszcząc brwi, kiedy próbował wcisnąć białe klapki, które były na niego za małe, o co najmniej dwa numery.

Boso, Chase uniósł ogromnego mężczyznę i położył go na łóżku, na jego miejscu, wciskając czujnik kardiomonitora na palec pielęgniarza zanim maszyna miała okazję wszcząć alarm. Żeby upewnić się, że człowiek nie obudzi się wykrzykując słowo „wampir” Chase dokonał szybkiej korekty jego uśpionej pamięci, wymazując do czysta całe wspomnienie o ataku. Po podciągnięciu prześcieradła i koca pod brodę mężczyzny, Chase obrócił się w kierunku drzwi.

Właśnie wtedy, kiedy pielęgniarzka Podwójna Mięta pchnęła je od zewnątrz. - Nie jestem pewna, Darcy. Właśnie wróciłam z przerwy - zawołała przez ramię, gdy zaczęła wchodzić do pomieszczenia, jej głowa ciągle była odwrócona w stronę punktu pielęgniarzkiego.

Chase oparł się o ścianę za drzwiami. Jego ciało wciąż buzowało energią po ostatnim karmieniu, każdy mięsień był napięty w oczekiwaniu na jego polecenie. Nie chciał krzywdzić kobiety, jeśli jednak zobaczyłaby go...



Ona stała w drzwiach i patrzyła w stronę łóżka, na którym leżał postawny pielęgniarz, wciąż pogrążony w głębokim śnie. - Mike? Ty wciąż tutaj? - Zapytała, mówiąc w ściszym głosem, żeby nie obudzić pacjenta. Kiedy zrobiła cichy krok do wnętrza sali, Chase zanurzył się głębiej w mrok za otwartymi drzwiami. Zebrał cienie wokół siebie, przywołując jeden z osobistych darów, który czasami bywał skuteczniejszy niż brutalna siła jego rodzaju. Przyciągnął cienie bliżej, naginając je do swojej woli, podczas gdy kobieta rozglądała się po sali szukając swojego kolegi. - Michael? - Zmarszczyła brwi, drżąc trochę w chłodzie iluzji Chase'a. Mocniej okręciła się swoim rozpinanym, białym swetrem. - I to by było na tyle jeśli chodzi o wyłączenie światła, gdy skończysz - obróciła na pięcie i wyszła, po drodze uderzając w wyłącznik.

Pokój pociemniał i Chase opuścił zasłonę mroku, który chronił go przed jej wzrokiem. Patrzył na zewnątrz przez szybę w drzwiach, dopóki nie wróciła do punktu pielęgniarskiego na końcu korytarza i nie wdała się w pogawędkę z parą obsługujących go młodych pielęgniarek. Chase wymknął się z sali w swoim ukradzionym uniformie, jego bose nogi stąpały bardzo cicho, gdy stawiał pierwszy krok na korytarz, rozpoczynając ucieczkę.

Nie zobaczyły go.

Ale przecież żadne ludzkie oczy nie były w stanie go dostrzec, kiedy wystartował z nadnaturalną prędkością w głąb przeciwnego odcinka długiego korytarza, tak cichy i nieuchwytny jak duch.

Gdy tylko Chase znalazł się na zewnątrz, pieszo śmignął przez ulicę. Dla tych niewielu ludzi, których minął, był tylko zimnym prądem wśród nocnych podmuchów, które dęły z ciemnego nieba. Dokładnie wiedział, gdzie teraz podąży. Prowadzony przez swoje zmysły drapieżcy, ruszył ku pewnej szczególnej rezydencji na North Shore, tak szybki i pewny jak sama śmierć.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 6



W JEGO SKRZYNCIE było pięćset trzydzieści dwa e-maile, które nadeszły od wczorajszego popołudnia... w tym jeden od Tavi Fairchild, ten o którym mu mówiła. Zawierający tekst jego przemówienia na poranny kwestarz.

Jego nadzwyczaj kompetentna asystentka zadała sobie trud, by dodać także osobny plik pełen anegdot i uwag na temat osób mających być obecnych na dobroczynnym śniadaniu. Taka towarzyska ściągawka, która miała mu pomóc w utrzymywaniu reputacji osoby o bogatej osobowości i niewymuszonym uroku. Ledwie rzucił okiem na dokument. Trudno mu było skupić uwagę na niegdyś ulubionych, zakrojonych na wysoką skalę przedsięwzięciach filantropijnych i sprawach śmietanki Buck Bay, lub też pozycji Alma Mater każdej ze spółek o głębokich kieszeniach, których kierownictwa figurowały na liście gości.

W stłumionym świetle lampy stojącej na biurku w jego gabinecie, otworzył gwałtownie swój kalendarz i obrzucił obojętnym spojrzeniem mrowie wypełniających strony notatek na temat spotkań i komitetów, wystąpień publicznych i obowiązków towarzyskich.

Żadne z nich nie miało dla niego znaczenia, już nie. A czy kiedykolwiek było inaczej? Nie miał pewności. Czuł zimne poczucie oderwania od tego wszystkiego. Nawet od swojego własnego imienia i jestestwa. Och, wciąż miał robotę do wykonania. To był imperatyw, kontynuowanie swojej wspinaczki po szczeblach

drabiny społecznej i zawodowej. Ale wszystkie jego dawne pragnienia i marzenia... osobiste ambicje, które napędzały każdy jego starannie przemyślany krok... teraz już nic dla niego nie znaczyły.

Jego życie miało nowy cel.

Mrocznego Mistrza Dragosa. Teraz jego jedynym celem było służenie mu... to on odkrył przed nim lepszą i prawdziwszą drogę. Dał to jasno do zrozumienia, gdy spotkali się ostatnim razem. Czy to naprawdę było zaledwie wczorajszej nocy? Nie mógł przypomnieć sobie, kiedy dokładnie miała miejsce ta rozmowa. Czas, jak wszystko inne był połączony z muszlą, którą kiedyś wypełniał, z kimś, kim kiedyś był, ale jakoś, gdzieś, z nieznaney przyczyny ten ktoś przestał istnieć.

On sam miał wrażenie, jakby od wieków należał do swojego Mistrza. Nie istniało dla niego żadne przedtem ani potem. Nic, poza celem, by całym sobą służyć swojemu panu, jego przyjemności, wygodzie i chronić go nade wszystko.

Dlatego pierwszą rzeczą, jaką zrobił po powrocie do rezydencji na North Shore, był kontakt z Mistrzem i zdanie mu sprawozdania na temat wydarzeń na posterunku policji, w których brał udział aresztowany wojownik Rasy.

Poinformował go o Tavi Fairchild, o wszystkich pytaniach, jakie zadawała... jak również o jej nierozważnych podejrzeniach. Miał nadzieję, że Mistrz nie będzie niezadowolony, że pozwolił sobie spuścić wzrok z tej kobiety, ale nie było żadnej nagany. Tak naprawdę, to Pan wydawał się prawie rozbawiony jego sprawozdaniem.

- Zostaw tę kobietę mnie - poinstruował go. - Osobiście zajmę się dociekliwą Tavią Fairchild. Otrzymałeś już swoje rozkazy, Sługusie. Chcę widzieć, jak bezzwłocznie je wypełniasz.

Więc się za nie zabrał. Już zorganizował prywatną audiencję na jutrzejszy wieczór. Osobistą przysługę dla długoletniego przyjaciela, który doszedł do jednego z najwyższych stanowisk w kraju. Jego Mistrz będzie zadowolony. A jutro o tej porze, będzie miał kolejnego wiernego sługę oddanego jego sprawie.

Sługus uśmiechnął się, spragniony aprobaty swojego Pana. Wyłączył komputer, właśnie miał podnieść się i udać na spoczynek, gdy usłyszał stłumiony hałas dochodzący z poza gabinetu. Wstał i podszedł do zamkniętych drzwi, po czym ostrożnie wyjrzał na zewnątrz.

Jeden z agentów służb bezpieczeństwa leżał nieruchomo na chodniku w korytarzu. Jego krew wsiąkała w jasną tkaninę, wyciekając szybkim strumieniem z poderżniętego gardła. Sługus przekrzywił głowę, wsłuchując się w otaczającą go nienaturalną ciszę. W zasięgu wzroku nie było żadnych innych ochroniarzy. Nigdzie w tej olbrzymiej rezydencji nikt nie podniósł żadnego alarmu. Miał tu dzisiejszej nocy, na straży grupę uzbrojonych ludzi. Ale ten kto dostał się do środka najprawdopodobniej zlikwidował ich wszystkich.

Osobnik Rasy.

Krew w żyłach Sługusa przyśpieszyła w panice. Cofnął się szybko w głąb gabinetu i zamknął drzwi na klucz, żeby odciąć się od grożącego mu niebezpieczeństwa.

Ale na to było już za późno.

Śmierć była razem z nim w pokoju, materializując się z cieni za jego plecami. Sługus zamrugał i zobaczył, że widmowy mrok się rozplątał. To, co stało na jego miejscu było wrogiem jego Mistrza. Wojownik, który dzisiejszej nocy powinien był zginąć z rąk policjantów. Był boso, woda kapała z jego przyprószonych śniegiem włosów i przemoczonego niebieskiego szpitalnego uniformu, którego wilgotna

tkanina mocno opinała jego ciało. Przód szpitalnej koszuli znaczyły plamy krwi, lecz czy pochodziła ona z ran postrzałowych odniesionych na posterunku, czy od ludzi, którym odebrał życie po drodze tutaj, tego Sługus nie był w stanie powiedzieć. Wojownik Rasy zrobił krok ku niemu, oczy żarzyły mu się bezlitosnym bursztynowym blaskiem. Jego kły były olbrzymie, jak śmiercionośne sztylety, które mogły rozerwać ciało na strzępy.

Ale Sługus nie czuł strachu.

Był zdecydowany...

Ten wampir przyszedł wycisnąć z niego informacje, których nigdy nie dostanie. Nie, nawet gdyby miał zadać mu najcięższe tortury. Wiedział, że właśnie to go czeka tej nocy, tortury i śmierć. - Nigdy go nie pokonasz - stwierdził Sługus, żarliwie wierząc w moc swojego mistrza. - Nie możesz wygrać.

Ale w płonącym spojrzeniu, którym zmierzył go przybysz nie było żadnej niepewności, tylko dzika furia, która obiecywała potworny koniec. Stopy senatora zaczęły się poruszać, kierowane jakby własną wolą, stare instynkty nakłaniały jego ciało, żeby uciekało przed tą groźbą. Obrócił się na pięcie i zobaczył gwałtowny strumień krwi bryzgający łukiem na ścianę i drzwi znajdujące się przed nim.

Jego własnej krwi.

Jego potworny koniec właśnie się zbliżał.

\*\*\*

TAVIA PŁONEŁA. PRZEWRACAŁA SIĘ Z BOKU NA BOK w swoim łóżku,

zaplątana w grubym welonie oddzielającym sen od jawy. Prześcieradła i okrycie też miały ciężar ołowiu, przykryte nimi ciało w krótkiej koszulce na ramiączkach i skąpych majteczkach było zbyt rozgrzane. Odurzona niespokojnym snem, odrzuciła kołdrę, ale żar pozostał. Pochodził z niej, to nie była ta nagła gorączka, która atakowała jej skórę i układ nerwowy, gdy czasami poszła spać bez leków, ale inny rodzaj gorąca. Coś narastającego powoli i płynnego, żar rozwijający się głęboko w jej wnętrzu.

To uczucie wibrowało w jej piersiach słodkim bólem, który promieniował z sutek i przemieszczał się falami w kierunku łona. Miała zamknięte oczy, sen wciąż oplatał ją swoją siecią, z rozkoszy wygięła się w łuk chcąc, by to uczucie pozostało w miejscu wciąż jeszcze go spragnionym. Głęboko w środku, jej zmysły budziły się do życia, tak samo jak i ciało pod wpływem erotycznego głodu.

Szlak żaru obniżył się teraz liżąc jej biodro, igrając z kością miednicy. Po czym powędrował w dół poprzez nadwrażliwą skórę nagiego uda. Jej krew dzikim rytmem popłynęła przez żyły i tętnice. Czowała, jak to wzbierało za każdym gwałtownym uderzeniem serca. Narastało w niej oczekiwanie, gorąca wilgoć wypełniła otoczone loczkami gniazdko pomiędzy jej nogami.

*Tak.* Ciche wezwanie zabrzmiało echem w ciężkim rytmie jej tętna. *Taaak...*

Wiedziała, że to jest tylko piękny sen. Jej półprzytomny umysł rozumiał, że ten fikcyjny, uwodzący ją teraz kochanek nie może być prawdziwy. Nigdy nie była z mężczyzną. Nigdy nie czuła badających ją, głodnych ust na swoim ciele. Nigdy nie doświadczyła nawet smaku pocałunku. Nie mogła. Jej rzeczywistość była zbyt krucha, zbyt ograniczona przez strach i wstyd.

Ale nie teraz.

Nie w momencie, gdy była nieprzytomna z nieznośnego pożądania wywołanego snem, z którego nie mogła się wyzwolić. Snem i przyjemnością kuszącą, by w nim pozostać, sięgnęła w dół, by dotknąć tej swojej części, która pulsowała pragnieniem. Koniuszki jej palców były jego językiem, jedwabistym i nieustępliwym, całującym i głaszczącym ją we wszystkich właściwych miejscach. Wyobraziła sobie szerokie ramiona pomiędzy swoimi nogami. Gładka skóra i napięte mięśnie naprzeciw jej nagości.

*Podдай się, pozwól, by to się działo.* Niski głos rozległ się wewnątrz jej umysłu, mrużąc zachęty, tak uwodzicielski. Prawie czuła, jak jego gorący oddech owiewa jej pobudzone ciało. *Chcę cię widzieć, poczuć twój smak, wszędzie. Chcę sprawić, że wykrzyczysz moje imię.*

Ale nie знаła jego imienia, jej logika zaplątała się w pajęczynie snu. Odepchnęła napływ wyrzutów sumienia i zanurzyła się głębiej w swojej fantazji. Nie miała innego wyboru, jak tylko się poddać, ponieważ przyjemność zaatakowała teraz mocniej, mrowiła ją skóra, każdy jej cal stawał w ogniu, była na skraju wybuchu. Zwinęła się na łóżku, niezdolna przyjąć więcej.

A po chwili usłyszała jego głos szepczący jej do ucha. Jego usta były wilgotne, dotykały jej szyi, głęboka vibracja jego głosu przeszła ją do szpiku kości. *Pozwól mi poczuć twój smak, Taviu...*

- Tak - szepnęła w ciemność swojej sypialni. - Och, Boże. Tak.

Poczuła dotyk jego otwartych ust na swojej szyi, jego język i zęby delikatnie nagryzające ciało, przekłuwające je. Załkała zarówno z powodu ostrego bólu perforacji, jak i z następującego zaraz po nim wybuchu przyjemności, który wysłał falę rozkoszy popychającą ją poza krawędź.

Teraz tonęła w swoim śnie, bezradnie dryfowała, podczas gdy jej widmowy kochanek uniósł się i spojrzał na nią, leżącą pod nim.

To był *on*.

Mężczyzna z policyjnego pokoju okazań. Strzelec z przyjęcia u senatora. Śmiertelne zagrożenie o stalowych oczach, którego twarz dręczyła ją odkąd pierwszy raz go ujrzała.

Teraz w jej śnie unosił się nad nią, jego spojrzenie było nie mniej okrutne, wciąż bezkompromisowe, pozbawione miłosierdzia. Wargi miał rozchylone, a jego szerokie, zmysłowe usta... usta, które sprawiły jej taką przyjemność... były wilgotne i ciemne od krwi.

Jej krwi.

Uzmysłowienie sobie tego wstrząsnęło nią, jak ukłucie nożem.

Wtedy się uśmiechnął, piękny i przerażający, obnażając perłowe czubki ostrych jak brzytwa kłów...

- Nie! - Na ich widok Tavia nagle w pełni się obudziła, wydając z zaciśniętego gardła krzyk pierwotnego przerażenia. Usiadła, wstrząśnięta i bez tchu, chociaż jej ciało wciąż jeszcze drżało z rozkoszy spełnienia.

Pukanie do drzwi sypialni sprawiło, że zaczęła walczyć z kołdrą próbując się nią okryć. - Tavia co z tobą, wszystko w porządku? - Głos starszej kobiety zabrzmiał przez zamknięte drzwi. - Czy stało się coś złego?

- Wszystko dobrze, ciociu Sarah. Nic złego się nie stało - w jej głosie zabrzmiało



wahanie, ale tylko przez krótką chwilę.

- Słyszałam, jak krzyczałaś przez sen. Kolejny koszmar, nieprawdaż?

*Nie, coś jeszcze gorszego*, pomyślała. Nocne lęki nigdy nie zaczynały się tak cudownie, tylko po to, by na koniec zmienić się w coś okropnego. - To naprawdę nic takiego. - Jakoś udało jej się zapanować nad bólem w głosie. - Nic mi nie jest. Proszę nie martw się. Wracaj do łóżka.

- Jesteś pewna? Może ci coś przynieść?

- Nie, dziękuję.

Tavia zacisnęła powieki w ciemnościach swojego pokoju, próbując zapomnieć o niepokojącym śnie, który wciąż ciążył w jej umyśle, wciąż był żywy na jej skórze i powodował przyśpieszenie tętna. - Dobranoc ciociu. Do zobaczenia rano.

Nastąpiła chwila ciszy, w czasie której jej zmartwiona ciotka czuwała pod drzwiami sypialni. Następnie w końcu padły słowa. - Skoro tak mówisz, dobrze. Dobranoc kochanie.

Tavia siedziała przez dłuższą chwilę słuchając odgłosu oddalających się kroków i cichego skrzypienia drzwi do sypialni jej ciotki mieszczącej się na końcu korytarza. Opuściła stopy na podłogę. Przeszła przez dywan, następnie przez zimne kafelki łazienki. W lustrze apteczki jej twarz wyglądała boleśnie blado. Odsunęła lustrzany panel i wybrała jedną z tych cholernych buteleczek... jedną z tych, które dr Lewis przepisał jej na napady lęku, z którymi zmagала się przez większą część swojego życia.

Tavia potrząsnęła buteleczką, wydobyla z niej jedną z dużych białych kapsulek i

rzuciła ją do ust, popijając haustem wody z łazienkowego kranu. *Może lepiej wziąć dwie.* Nigdy wcześniej nie miała lepszego powodu, by zażyć maksymalną dawkę. Połknęła następną tabletkę popijając ją kolejnym łykiem wody i ruszyła z powrotem do łóżka.

Za dwadzieścia minut uśnie ciężkim, wywołanym medykamentem snem. Wsunęła się pod okrycie i czekała, aż silne leki zatrą wszelkie myśli o mężczyźnie, który wdarł się w jej senne marzenia, jak niebezpieczny przestępca, którym bez wątpienia był.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 7



KLUB NALEŻĄCY DO AGENCJI NADZORU w dzielnicy chińskiej wyglądał jak następstwo strefy działań wojennych.

Mathias Rowan, obecny Dyrektor Regionalny Agencji Nadzoru walczył, by ignorować tępe pulsowanie wysuwających się kłów, kiedy wszedł do wnętrza prywatnego lokalu, aby zbadać skutki masakry. Wszystko pokrywała krew. Od podłogi, ścian, siedzisk i blatów, do podestu sceny... paskudne rozbryzgi krwi były nawet na pieprzonym suficie.

- Dyrektorze Rowan, przepraszam, że wezwałem tu pana o tak cholernie późnej godzinie, ale pomyślałem, że musi pan to zobaczyć na własne oczy - powiedział stojący przy nim agent.

Zbliżał się świt, a kiedy słońce miało się za moment wytoczyć zza horyzontu, to nie był dobry czas dla któregośkolwiek z ich Rodzaju na przebywanie z dala od Mrocznych Przystani. Ale coś takiego nie mogło czekać. Tak wielka lekkomyślność, nieopisanie okrutne bezprawie... zagrażało wszystkim obywatelom Rasy.

- Skontaktowałem się z panem, gdy tylko mój zespół i ja przybyliśmy tutaj i odkryliśmy tę sytuację, sir.

Wyczyszczone do połysku buty agenta chrzęściły na potłuczonym szkłe i zaścielających podłogę szczątkach, kiedy podszedł, by zatrzymać się obok Rowana w cichym, pełnym zwłok pomieszczeniu. - Gdy tu dotarliśmy, wszyscy ci ludzie byli martwi, a klub opustoszały. Sądząc po wyglądzie i zapachu tego miejsca zgaduję, że od dobrych kilku godzin.

Spojrzenie Rowana przesuwalo się po dowodach przemocy i śmierci, która wcześniej tej nocy wyrwała się tu spod kontroli. Oczywiście było, że ta zbrodnia została popełniona przez członków Rasy, ale nigdy, przez ponad sto lat swojego życia nie widział aż tak brutalnej masakry, takiego braku poszanowania dla ludzkiego życia. Fakt, że ta krwawa łaźnia była prawie na pewno spowodowana przez jego współpracowników z Agencji wzbudzało w nim odrazę sięgającą w głąb jego duszy.

- I nie było żadnych świątków tego, co tu zaszło? - Zapytał. - Co z Taggartem? Czy to on zazwyczaj nie stoi tu nocami na bramce? Musiał coś widzieć, lub którykolwiek z kilku tuzinów Agentów, którzy lubią tu bywać. To miejsce było dosyć modne, nieprawdaż ?

- Nie mam pojęcia, sir.

Wściekły na to wszystko Rowan warknął na agenta. Nie wiesz, czy byli tu dzisiejszej nocy, czy nie wiesz, czy są odpowiedzialni za dokonywanie masakry tych ludzi pośrodku cholernego Bostonu?

- Uhm, nie znam odpowiedzi na żadne z tych pytań, sir. - Twarz Agenta zbladła trochę pod wpływem porażającego spojrzenia przełożonego. Nie byłem pewny od czego zacząć w tej sytuacji. Pierwsze co zrobiłem, to zadzwoniłem do pana.

Rowan wydał z siebie pełne frustracji westchnienie. Agent był młody i od niedawna na swoim stanowisku. Świeżo awansowany z podstawowego stopnia obawiał się, by nie popełnić błędu lub nadużycia. I był oddany swojej pracy w organach sprawiedliwości, co obecnie stanowiło rzadkość w obrębie Agencji, Rowan musiał to przyznać. Zastanawiał się, jak długo ten dzieciak zachowa swoją czystość.

- W porządku, Ethan. - Lekko poklepał młodzieńca po ramieniu. - Dobrze zrobiłeś. Zadzwon do kogoś z zespołu i niech uprzątną ten bałagan.

Agent krótko skinął głową. - Tak jest, sir. - Kiedy wyszedł zamaszystym krokiem, żeby wezwać resztę oddziału, Mathias Rowan obrzucił kolejnym długim spojrzeniem, rozlaną krew i śmierć, które go otaczały. To, co się tu wydarzyło było ohydne. Niewybaczalne. I nie mógł pozbyć się uczucia, że ta masakra była dziełem drania, którego znał aż za dobrze - Dragosa.

Podczas kilku miesięcy, w czasie których Rowan w sekrecie współpracował z Zakonem, na własne oczy przekonał się, do czego zdolny był Dragos... od uprowadzenia i wykorzystywania dziesiątek niewinnych Dawczyń Życia, do niedawnego ataku na lokalną Mroczną Przystań, w której żyli członkowie prawie wszystkich liczących się rodzin Rasy. A potem, nie dalej niż dwadzieścia cztery godziny temu spowodowanie odkrycia przez ludzkie siły porządku publicznego tajnej centrali Zakonu. Kolejne spustoszenie dokonane przez Dragosa.

A teraz TO.

Rowan był pewien, że siłą sprawczą tego, co stało się tu stało musiał być Dragos. Czy istniał lepszy czas dla tego diabła, żeby wyjść z ukrycia, niż teraz, gdy Zakon

miał pełne ręce roboty z przenosinami i aresztowaniem jednego ze swoich przez ludzką policję? Rowan powinien był spodziewać się czegoś takiego. Powinien być gotowy, żeby minionej nocy wkroczyć z pomocą dla Lucana i jego wojowników, z połową Agencji u swojego boku. Oczywiście, zakładając, że ta połowa wciąż byłaby lojalna jemu i słowom przysięgi, którą składała. Rowan naprawdę nie był tego zbyt pewny, już nie. Agencja w ciągu wielu długich dekad jej istnienia nie ustrzegła się swojej porcji problemów. Zbiurokratyzowana, powolna, momentami zbyt zaangażowana w wewnętrzne polityczne rozgrywki, była rozdętą, bezskuteczną kuzynką Zakonu, który z chirurgiczną skutecznością i precyzją sprawował pieczę zarówno nad obywatelami Rasy, jak i ludźmi. W szeregach Agencji, jak ropiejący wrzód, gwałtownie narastała korupcja. Stała się tak powszechna, że było niemożliwym określić, kto dalej pozostawał godnym zaufania. Wciąż jeszcze trafiali się uczciwi agenci, ale byli również i ci drudzy... było ich więcej niż Rowan chciałby to przyznać... którzy ukrywali swoje nadużycia za maską kompetencji i władzy, jaką zapewniała im Agencja. Sam Dragos był jednym z nich, dochodząc do jednego z najwyższych szczebli w organizacji i bez wątplenia gromadząc ligę lojalnych zwolenników, zanim około roku temu zdemaskował go Zakon i zmusił do zejścia w głębokie podziemie.

*Nie*, ponuro pomyślał Rowan. Nie było żadnej wątpliwości, że to masowe zabójstwo na terenie należącym do Agencji Nadzoru było próbą jednoczesnego dopieprzenia zarówno Agencji, jak i Zakonowi.

- Skurwysyn - warknął w grobowej ciszy klubu.

Teraz już nic nie można było zrobić. Wkrótce miał nastać ranek, a Zakon był zajęty tworzeniem tymczasowego schronienia w odległości ponad pięciu godzin jazdy na północ od Bostonu, ale Lucan powinien zostać poinformowany o zaistniałej sytuacji. Rowan odwrócił spojrzenie od rzezi i wyszedł na zewnątrz, mijając po drodze do swojego samochodu świeżo przybyły oddział agentów uzbrojony w worki na zwłoki i

sprzęt do gruntownego sprzątnia.

Gdy usadowił się we wnętrzu sedana, wystukał numer zakodowanej linii, który otrzymał od Zakonu, po czym połączył się za jej pośrednictwem. - Gideon, tu Mathias Rowan – powiedział, gdy odpowiedział mu sygnał z drugiej strony. - Mamy tu trudną sytuację. Lucanowi to się nie spodoba. Złe wieści przyjacielu, z podpisem *Pozdrowienia od Dragosa*.

\*\*\*

- Cholera, cholera, cholera. - Tavia jeszcze raz sprawdziła swój zegarek, niecierpliwie czekając, aż wyjdą stojący przed nią ludzie, którzy tego ranka spieszyli do swoich zajęć, by wysiąść z pociągu na stacji Boston's Government Center.

Była już prawie ósma rano i spóźniła się do pracy.

To był bezsprzecznie jej pierwszy raz, co jednak nie stanowiło dobrej wymówki. Widocznie wreszcie dał o sobie znać stres kilku ostatnich dni. Wciąż była spięta w związku z incydentem na posterunku policji, a potem z dziwnym zachowaniem senatora Clarence'a.

Niepokojący sen też nie pomógł jej nerwom. Chociaż dzięki podwójnej dawce leku uspakajającego udało jej się wreszcie zasnąć, to spowodował on również, że dziś rano o jeden raz za dużo nacisnęła przycisk drzemki w swoim budziku.

Dostrzegła przerwę w wolno przesuującym się tłumie i skorzystała z niej. Szybkim krokiem przemierzała ośnieżone płytki chodnikowe peronu, mijając stoisko z kwiatami pełne czerwonych i białych poinsecji i zimozielonych wieńców. Na ulicy powitał ją rześki, zimny wiatr, niosący ze sobą niedalekie, monotonne dzwonienie

dzwonka Armii Zbawienia, dymny aromat ziaren kawy i pieczywa ze Starbucksa na rogu. Żołądek Tavi odpowiedział głodnym burczeniem, ale ona już biegła w przeciwną stronę. Spróbowała zadzwonić na komórkę senatora, lecz odpowiedziała jej poczta głosowa, dokładnie tak samo, jak podczas dwóch poprzednich prób, podejmowanych w czasie podróży pociągiem do miasta. Pewnie był już na dobrotczynnym śniadaniu. Zwykle miała w zwyczaju dwukrotnie upewniać się, że na danym spotkaniu miał wszystko, czego mógł potrzebować. Normalnie byłaby już w biurze od co najmniej godziny, błyskawicznie wykonując zadania zaplanowane na dany dzień, podczas gdy on zajmowałby się zalotami do swoich potencjalnych wyborców.

Normalnie... od kilku ostatnich dni nic wyglądało na normalne.

Nawet w przybliżeniu.

Tavia z opuszczoną głową przeszła plac okalający ratusz, kierując się w stronę biur senatora. Gdy powiał kolejny, mroźny podmuch grudniowego wiatru zanurzyła twarz w fałdach zrobionego na drutach szala. Przeszła pomiędzy parą wież, a przysadzistym gmachem państwowym stojącym obok nich, słysząc kakofonię zebranego tłumu, jeszcze zanim skręciła za róg i zobaczyła zamieszanie. Furgonetki stacji telewizyjnych i ekipy z każdej sieci lokalnej i kilku krajowych kanałów kablowych jak sępy rozstawiły się wzdłuż New Sudbury Street. Pojazdy policyjne, niezbyt niezwykły widok w okolicy urzędów państwowych, kiedy duża Komenda Stołeczna usadowiona była bezpośrednio po drugiej stronie ulicy, blokowały wejście i wyjście, zasłaniane przez czarne SUV-y federalnych, zaparkowane przed frontowym wejściem do budynku, wzdłuż biegnącej łukiem drogi przeciwpożarowej.

Strach ścisnął jej żołądek, zamieniając go w lodowatą pięść. - Przepraszam - Tavia podeszła do reporterki z Channel Five, która usiłowała poprawić sztywny kask

swoich blond włosów, w tym samym czasie przeprowadzając próbę dźwięku. - Co się tu stało?

- Stań w kolejce słodziutka. Wszyscy czekamy, żeby się czegoś dowiedzieć
- odpowiedziała. - Komisarz zwołał konferencję prasową na ósmą i tyle.

Tavia przeszła pomiędzy grupami kręcących się reporterów i gapiów, którzy zostali tu przyciągnięci z sąsiednich ulic przez cały ten hałas i ruch. Lawirowała pomiędzy morzem ciał, próbując podejść bliżej frontowego wejścia do budynku, gdzie skupiła się większość policjantów i agentów federalnych.

Ktoś gwałtownie chwycił ją za ramię. - Pani Fairchild.

- Detektyw Avery – powiedziała. Nagły ucisk w jej klatce piersiowej rozluźnił się odrobinę, gdy napotkała trzeźwe spojrzenie starszego mężczyzny. - Co to wszystko znaczy?

- Proszę za mną. - Poprowadził ją przez tłum do głównego wejścia. Lobby było wypełnione jeszcze większą liczbą umundurowanych policjantów i uzbrojonymi mężczyznami z oddziałów SWAT. Detektyw zatrzymał się, jego twarz wyglądała na zmęczoną, jeszcze bardziej go postarzając. – Taviu, kiedy ostatni raz widziałas się lub rozmawiałaś z Senatorem Clarencem?

Zimny węzeł w jej żołądku zacisnął się mocniej. - Ostatniej nocy, gdy podrzucił mnie do domu.

- Czy pamiętasz, o której to było godzinie?

Potrząsnęła głową. - Nie jestem pewna. To miało miejsce niedługo po tym, jak wyszliśmy z posterunku policji. Czy coś mu się stało? Czy to wszystko dzieje się z



jego powodu?

Detektyw Avery oparł zaciśnięte pięści na biodrach i ciężko westchnął - obawiam się, że nie ma łatwego sposobu, żeby to powiedzieć. - Ktoś tej nocy włamał się do jego domu... i zaatakował go. Został zamordowany, Taviu. On i kilku członków jego osobistej ochrony.

- Co? – Walczyła, by przetrwać tę wiadomość, chociaż jej instynkty już ją ostrzegły, że wydarzyło się coś strasznego. Pochłonął ją szok... szok i niedowierzenie. - To nie dzieje się naprawdę. Senator Clarence nie może być martwy. Musi wygłosić przemówienie na dobroczynnym śniadaniu wydanym na rzecz szpitala...

Avery pocieszająco oparł dłoń na jej ramieniu. - Złapiemy tego łajdaka. Nie musisz się o to martwić, w porządku?

Ona milcząco potrząsnęła głową, próbując pojąć sens tej strasznej wiadomości, szukając jakichś wyjaśnień, odpowiedzi. - Ten mężczyzna, wczoraj na posterunku... ostrzegał, że senator jest w niebezpieczeństwie. Słyszałeś, co mówił, nieprawdaż? Powiedział, że ktoś chce zabić Senatora Clarence'a. Ktoś o nazwisku Dragos.

Za jej plecami zabrzmiało głucho warknięcie. Tavia obejrzała się i napotkała twarde spojrzenie umundurowanego policjanta, który przechodził obok podczas jej rozmowy z detektywem Averym. Blizna, która dzieliła gniewny łuk jego lewej brwi sprawiała, że grymas niezadowolenia na jego twarzy wyglądał jeszcze poważniej. - Nic tylko pieprzenie na temat tego łajdaka. Powinienem był włączyć w jego czerep cały magazynek. Może to by go powstrzymało.

Widząc zdezorientowane spojrzenie Tavi, Avery wyjaśnił – Mężczyzna, którego widziała pani wczoraj w areszcie... wczorajszej nocy uciekł ze szpitala.

- Uciekł - szepnęła. - Jak to w ogóle było możliwe?

- Nie bardzo możemy to sobie wyobrazić. Widziałem tego faceta w pokoju okazań, był w cholernie złym stanie. Ale jakoś mu udało się pokonać stukilogramowego pielęgniarza, pozbawiając przytomności i niezauważenie wyślizgnąć się z budynku. Zaznaczam, że facet nie powinien być w stanie wyjść stamtąd o własnych siłach, samotnie odnaleźć i pokonać drogę do Marblehead, żeby dostać się do senatora, w taki sposób, jak on to zrobił. Nigdy nie widziałem czegoś tak brutalnego. To było takie cholernie krwawe.

Tavia przełknęła grudę smutku i przerażenia, która utkwiała w jej gardle.

- Przykro mi – powiedział detektyw Avery, patrząc na nią z zaniepokojeniem. Zdałem sobie sprawę, że prawdopodobnie nie powinnaś wysłuchiwać tych okrutnych szczegółów. Ostatnio i tak spadło na ciebie zbyt wiele.

- W porządku – odetchnęła, gwałtownie wypuszczając powietrze, odzyskując opanowanie. - Poradzę sobie.

- Chcielibyśmy podrzucić cię na stację, jeśli już czujesz się na siłach. Mamy do ciebie trochę więcej pytań, a i federalni też pewnie będą chcieli z tobą porozmawiać...

- Oczywiście.

Wskazał gestem w kierunku drzwi, gdzie liczba reporterów wydawała się podwoić przez ten czas, który spędziła we wnętrzu budynku. - Chodźmy już, zanim to miejsce naprawdę zmieni się w zoo.

Tavia skinęła głową, podążając za nim, podczas gdy on i grupa umundurowanych policjantów eskortowali ją do czekającego policyjnego sedana.

W chwili, gdy wyszła na chłód poranka poczuła, jakby weszła do zupełnie innego świata, który był jej całkowicie obcy. Wszystko było jakieś nierzeczywiste,

odrealnione. Patrzyła na świat, jak przez gazowy woal, niezdolna dostrzec szczegółów. Albo może po prostu nie chciała ich zobaczyć. Nie była w stanie wyobrazić sobie jaki rodzaj człowieka... nieludzkiego zabójcy... był zdolny uczynić Senatorowi Clarencowi, to co sugerował Oficer Śledczy Avery. Nie chciała myśleć o ostatnich chwilach senatora. Pracowała dla niego przez wiele lat. Wiedziała, że był dobrym człowiekiem, który sądził, że może dokonać znaczących zmian na lepsze. Faktycznie, ostatnio wydawał się działać w trochę dziwny sposób. Był jakiś oderwany, rozproszony. Lecz kto by nie był, po próbie zabójstwa w swoim własnym domu zaledwie kilka nocy wcześniej? Kula, która mogła łatwo trafić w niego, uderzyła jednego z jego wysoko postawionych gości.

Pana Drake'a.

To nazwisko potrafiło jakąś strunę w jej głowie i jeszcze raz powróciła do tego, co powiedział jej mężczyzna w pokoju okazań... że na przyjęciu strzelił do osoby, którą znał pod imieniem Dragos. Osoby, co do której wydawał się być przekonany, że ma zamiar skrzywdzić, albo zabić Senatora Clarence'a. Ten ktoś prawdopodobnie nie istniał poza jego wyobraźnią.

To nawet w jej myślach brzmiało teraz jak szaleństwo.

Tym bardziej, kiedy zastanowiła się, jak brutalnie ten sam mężczyzna skoczył na Senatora w chwili, gdy dostrzegł go w pokoju obserwacyjnym.

A dziś Bobby Clarence nie żył.

Zabójca, który wcześniej przyznał się do popełnionych zbrodni, najwyraźniej popadł w całkowity obłęd i był na wolności. Nagle, niepokojący sen, który obudził ją wczorajszej nocy, stał się jeszcze bardziej zatrważający w świetle tego mrozącego krew w żyłach dnia.

Kiedy policyjny sedan odczył się od krawężnika, Tavia mogła mieć tylko nadzieję, że pełne żaru niebieskie oczy i bezlitosna twarz, którą wciąż mogła zobaczyć tak dokładnie w swoim umyśle, pozostaną w świecie jej koszmarów i nigdy więcej nie ujrzy ich na jawie.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 8



TA GÓWNIANA, DLA LUCANA NOC, zamieniła się w jeszcze bardziej zasrany poranek. Wszystko zaczęło się parę godzin temu, na krótko przed świtem, telefonem od Mathiasa Rowana, który zdał im raport z masowego zabójstwa niemal tuzina ludzi w nocnym klubie prowadzonym przez Agencję. Na szczęście Rowan opanował sytuację, zanim ta rzeź zdążyła przyciągnąć opinię publiczną, ale to była mała ulga pośrodku piekła nadciągającej nad głowy Zakonu burzy złych wieści i kłopotów. A Lucan był pewny, że sytuacja musiała najpierw się pogorszyć, zanim będzie miała szansę ulec poprawie.

Kurwa, jeśli w ogóle kiedyś się poprawi.

Teraz, podczas gdy ludzkość właśnie startowała w swój poranek i godziny szczytu skumulowały się gdzie indziej... w tym samym czasie, gdy nawet największe nocne marki Rasy przycupnęły w swoich Mrocznych Przystaniach śpiąc i czekając na zmierzch... Lucan i reszta rezydentów bostońskiej centrali ciągle urządali się w swojej nowej siedzibie.

Lucan nie spał już od ponad trzydziestu sześciu godzin, nie żeby któryś z

wojowników miał taką szansę. Zgromadzeni w prowizorycznej sali konferencyjnej, urządzonej w rozległej Mrocznej Przystani, ukrytej w lasach północnego Maine, która była teraz ich bazą operacyjną, Lucan i Gideon przez ostatnich kilka godzin przeglądali stan wyposażenia i instalowali system zabezpieczeń. W ciągu tego czasu dołączali do nich kolejni wojownicy i prowadzili dyskusję wokół dużego ręcznie ciosanego stołu, stojącego poprzednio w jadalni. Omawiali kierunek strategii przyszłych misji i konieczność odpłacenia Dragosowi za jego ciągle... nieustępliwe... zbrodnicze ataki.

- Wiesz - powiedział Dante. - Istnieje jedna jasna strona całej tej sytuacji. - Usiadł na brzegu dużego stołu, marszcząc ciemne brwi nad oczami w kolorze whisky.  
- Jeśli kiedykolwiek potrzebowaliśmy pretekstu, żeby skopać dupę Agencji Nadzoru, to teraz dostaliśmy ku temu diabelnie dobrą okazję.

- Cholerna racja - rzucił stojący w pobliżu Rio. Pochylił swoją naznaczoną bliznami twarz i przybił Dantemu „żółwika”. - Dziś w nocy w małym rewanżu odwiedzimy każdą pijalnię krwi w mieście - dodał, a przez jego hiszpański akcent przebijał gniew.  
- Nie ma nic słodszy niż okazja, żeby za jednym razem rozpieprzyć Dragosa i Agencję.

- Dante uśmiechnął się. - Lukier na cieście.

- Jak wiele prywatnych klubów prowadzi Agencja? - Tym razem odezwał się Lazaro Archer. Starszy mężczyzna Rasy był jedynym cywilem w pomieszczeniu i w normalnych okolicznościach nie miałby pozwolenia na uczestniczenie w obradach Zakonu. Ale był również właścicielem posiadłości w północnym Maine, którą wojownicy zajęli na swoją tymczasową centralę, a i okoliczności w których się teraz znaleźli były bardzo dalekie od normalnych.

- Zgodnie z tym, co mówił Mathias Rowan - odpowiedział Gideon - jest pięć

znanych klubów w obrębie Bostonu. Jeden z nich, główny, znajduje się w chińskiej dzielnicy.

- Więc, jaka jest szansa, że Dragos pojawi się w którymś z tych miejsc? - Zapytał Archer.

Lucan mruknął. - Od niewielkiej do żadnej.

Po przeciwnej stronie stołu Tegan, który kontemplował bujając się na krześle przez większą część tego zaimprovizowanego spotkania, skinął głową na znak zgody. - On już zrobił, co miał zrobić wczorajszej nocy. Osiągnął swój cel i uczynił to w tak publiczny sposób, jak tylko zdołał. Nie znajdziemy Dragosa na chybcika rozrzucając ten gnój i zadowolając się byle czym na podstawowych szczeblach Agencji. Nie myślicie chyba, że on ma zamiar coś nam ułatwić.

Dante zmarszczył brwi, rozważając. - A ja wciąż mówię, że nie zaszkodzi zaszeleścić szuwarami Agencji i zobaczyć, co z nich wyfrunie. Może nie wypłoszymy Dragosa, ale złapanie w siatkę kilku brudnych Agentów też byłoby warte wysiłku. Zwłaszcza, jeśli zdołalibyśmy skłonić, któregoś z nich do mówienia. - Jego kciuk pstryknął wymownie w skórzaną pochwę, przymocowaną do pasa okalającego biodra. Ułamek sekundowy później, jedno z bliźniaczych, wygiętych ostrzy znalazło się w jego dłoni błyskając tytanem, gdy zatańczył nim pomiędzy palcami. - I jeśli byłby tu teraz Harvard, wiem, że powiedziałby to samo.

Lucan nie mógł się nie zgodzić, że Dante miał rację. Co do Sterlinga Chase'a... Harvarda, jak nieco złośliwie został przechrzczony przez Dantego w chwili, gdy dawny agent wykonawczy, ponad półtora roku temu, po raz pierwszy postawił stopę w siedzibie Zakonu. Wcześniej przez ponad dekadę pracował w Służbach Ochrony Porządku Publicznego Rasy. Wystarczająco długo, by dostrzec pewne objawy niekompetencji i korupcji. To dzięki niemu kilka miesięcy temu Zakon pozyskał

sojusznika w osobie Mathiasa Rowana. Rowan był jednym z przyjaciół Chase'a jeszcze z czasów, gdy ten pracował dla Agencji i udowodnił, że był cennym atutem, jak również przyjacielem Lucana i reszty wojowników.

Był czas, kiedy Lucan powiedziałby to samo również o Sterlingu. Cholera, wciąż odczuwał to w ten sposób, pomimo ostatnich przewinień i niepowodzeń Harvarda. Lucan nienawidził tego, że był zmuszony do ustalenia w stosunku do niego twardych granic. Aż za dobrze rozumiał z jaką bestią musiał zmagać się Chase. Kiedyś podążał tą samą drogą, widząc jak pochłania ona jego rodzinę, długoletnich przyjaciół, a na koniec niemal jego samego. Ponieważ i on skosztował smaku niszczącej mocy Nałogu Krwi i miał świadomość tego, co mógł on uczynić z nawet najsilniejszymi z jego rodzaju. Lucan byłby mniej skłonny do wybaczenia i wyrozumiałości, gdyby przyszło mu chronić swoją rodzinę i przyjaciół przed krzywdą, jaką mogłoby im wyrządzić. Niemożność, lub niechęć Chase'a... do opuszczenia tej równi pochyłej stanowiły ryzyko dla wszystkich członków Zakonu. Sam Lucan nie zawahałby się przyznać, że Zakon wiele zyskał przyjmując Sterlinga do swojego zespołu. A pracując teraz bez niego... szczególnie po tym, co zrobił, żeby kupić dla nich szansę na ewakuację centrali i opuszczenie Bostonu... sprawiło, że miał wrażenie, jakby Zakonowi amputowano kończynę.

Co nie zdarzyło się po raz pierwszy, Lucan rozważał wykonalność powrotu do miasta, żeby odbić Chase'a z aresztu. Gryzło go, że zostawili towarzysza w terenie bez wsparcia i osłony. Zakon zawsze otaczał wielką troską swoich rannych i poległych, a to że Chase był wciąż żywy... a z tego co wiedzieli, tak było... sprawiło, że dla Lucana była to jedna z najtrudniejszych decyzji; opuścić Boston i zostawić Chase'a samego.

I nie pomagało mu również to, że do tej pory, od czasu, gdy wczoraj rano został zaciągnięty do aresztu nie było od niego ani jednej wiadomości. Gideon wciąż przykładał ucho do ziemi, monitorując programy informacyjne telewizji publicznej i

kablówek w celu uzyskania świeżych wiadomości, ale nie było żadnych nowych informacji. Cisza w mediach była rzeczą, która najbardziej wkurzała Lucana. Nawet przez sekundę nie przypuszczał, że Chase będzie pozostawał wewnątrz ludzkiego więzienia dłużej niż będzie tego chciał. I nie zajęłoby to zbyt wiele czasu, żeby jego głód krwi kazał mu się pożywić. Nie daj Boże, żeby to gówno dopadło go wewnątrz komendy i kogoś tam zaatakował. Pod wpływem samej tej myśli Lucan wyrzucił z siebie ordynarne przekleństwo.

- Potrzebujemy jednej pary warg chętnych do mówienia - odezwał się Rio, wracając do poprzedniego tematu. - Jednego agenta, który mógłby nam powiedzieć coś, czego jeszcze nie wiemy na temat Dragosa i może w końcu zbliżylibyśmy się do tego łajdaka na tyle, że zdołalibyśmy go sprzątnąć.

- Nie mogę się na to zgodzić - powiedział Lucan. - Zakon... cholera, cała populacja Rasy... poczułaby się lepiej, gdyby Agencja zrobiła u siebie generalne porządki. Ale nie możemy spuszczać oczu z naszego głównego celu... Dragosa. Nieważne, jak bardzo miałbym ochotę wdrzeć się szturmem do szacownych sal Agencji i sprawić, żeby potoczyły się głowy, ale w tej chwili mamy dosyć zajęć, bez dodatkowego angażowania się w totalną wojnę z całą Agencją Nadzoru.

Tegan napotkał jego spojrzenie, w zamyśleniu mrużąc swoje zielone oczy. - To może być dokładnie to, co Dragos miał nadzieję, że zrobimy. Chciał nas trochę zająć i rozproszyć, podczas gdy sam mógłby się skupić na realizowaniu innych planów.

Gideon burknął. - Dziel i rządź. Nie byłby pierwszym megalomanem dobywającym tej broni.

W innym miejscu i czasie, Lucan mógł być wystarczająco arogancki, żeby wpaść w taką taktyczną pułapkę, uważając, że jest ponad wszelkie niepowodzenia. Kiedyś uważał się za nieomylnego, przez długi czas był niepokonany. Zakon został założony



ostrzem miecza i siłą charakteru jego przekonań. W owych czasach nie bał się niczego i nie kłaniał przed nikim. Rzucał się w wir każdej bitwy wraz ze swoimi współbraćmi, zdecydowany igrać ze śmiercią i zaakceptować ją, jeśli miałyby nadejść.

Od tamtego czasu minęło niemal siedemset lat.

Ale to co zdarzyło się ostatnio... i było kwestią tylko kilku miesięcy, mgnieniem oka w stosunku do wielu wieków jego życia... spowodowało, że zaczął podejmować decyzje nie tylko w oparciu o własne doświadczenie, zaufanie w swoje zdolności przywódcy i sprawność bitewną własnych ludzi. Nigdy nie musiał troszczyć się o niczyje dobro z wyjątkiem własnego. Nie było takiej potrzeby. Ale teraz?

Cholera...

Teraz czuł się odpowiedzialny za życie każdej osoby mieszkającej pod tym dachem, a to był ciężar, który stał się jeszcze cięższy do udźwignięcia po nagłej ewakuacji z Bostonu. Nagle usłyszał dźwięk jednego ze źródeł swoich niepokojów... jasny śmiech i dziewczęcy pisk zachwytu... dobiegający z innego pomieszczenia. - O mój Boże! O rety, Rennie! Powiedział, że to zrobi i naprawdę to zrobił!

Widząc groźny, zdezorientowany wyraz twarzy Lucana - Gideon wyjaśnił

- Najwyraźniej Mira odkryła choinkę, Niko przyniósł ją z lasu dzisiaj przed świtem.

- Świąteczne drzewko - głos Lucana pobrzmiewał lekką irytacją. Coś sobie mgliście przypominał, że Nikolai rozmawiał z ośmioletnią dziewczynką o dekoracjach i świątecznych ozdobach do nowej siedziby, ale nie było żadnej wzmianki o przyniesieniu jakiegoś cholernego drzewa.

Lucan wstał, wyszedł z sali konferencyjnej i stanął twarzą w twarz z błazenadą,

rozgrywającą się w ogromnej centralnej sali tego dużego domu zbudowanego z kamienia i drewna. Do czasu, gdy się tam znalazł, połowa Zakonu już zebrała się w tym miejscu, żeby podziwiać sosnę wysoką na siedem stóp. Nikolai i jego partnerka, Renata, stali razem z Dylan, kobietą Rio, pomagając ustawić drzewko we właściwej pozycji, podczas gdy wojownicy Kade i Brock wpatrywali się w swoje wybranki, odpowiednio Alexandrę i Jennę. Obydwie niedawno przybyły z Alaski.

Nastoletni wnuk Lazaro Archera, Kellan stał na uboczu. Przy swoich zaledwie czternastu latach, dzięki Dragosowi ten dzieciak zdążył już przemierzyć piekło w tą i z powrotem. Jediną rodziną, jaka mu pozostała był dziadek i chociaż młodzieniec próbował przekonywać wszystkich wokół, że doszedł już do siebie po tym, co go spotkało, Lucan sądził, że jest tylko kwestią czasu, zanim Kellan Archer wybuchnie jak bomba atomowa albo imploduje do wewnątrz siebie. Młody człowiek Rasy stał z tyłu jak znudzony widz, ramiona skrzyżował na piersi, a zbyt długa grzywa postrzępionych złocistych włosów opadała mu na brwi, kiedy próbował robić wrażenie niezainteresowanego całą, rozgrywającą się przed nim sytuacją.

Dotyczyło to również Lucana.

Mira nie miała takich zahamowań. W swojej fiołkowej piżamie i aksamitnych zimowych bamboszkach, tryskała entuzjazmem i radością. - Rennie, czy to nie jest najcudowniejsze drzewo, jakie kiedykolwiek widziałas?

- Jest naprawdę śliczne, myszko.

Niko i Renata postawili sobie za cel, by traktować Mirę jak własne dziecko, po tym jak wojownik przywiózł je obie do Bostonu po misji, jaka miała miejsce zeszłego lata w okolicach Montrealu. Ciemnowłosa Renata była tak samo niezwykle groźna, jak każdy z wojowników Zakonu, ale jej chłodne jadeitowe oczy miękły, kiedy spoglądały na krzywy uśmiech Nikolaja stojącego po drugiej stronie drzewka i

próbującego osadzić je równo na stojaku. - Jest doskonale, dziecinko.

- Czekajcie... nie tam - nagle poleciała im Mira. Postawiliście je zbyt blisko kominka, chłopaki!

Niko rzucił dziewczynce żartobliwe spojrzenie przez ramię. - Oczywiście. Przecież nie chcemy przyblokować Świętego Mikołaja, gdy będzie gramolił się z komina ze wszystkimi twoimi prezentami.

Święty Mikołaj jest mitem. Jedynie małe dzieci w niego wierzą. - Zakpił Kellan Archer ze swojego stanowiska na tyłach pokoju.?

- Kellan! - Prychnęła Renata.

- W porządku, Rennie. - Delikatne jasne włosy zawirowały wokół jej głowy, gdy Mira odwróciła się w stronę chłopca, z niezwykle urażonym spojrzeniem. - Nie wierzę w Świętego Mikołaja odkąd ukończyłam pięć lat. Nie chciałam tylko, żeby drzewo zajęło się ogniem, jeśli byłoby za blisko paleniska. Przewróciła oczami i westchnęła. - Kellan myśli, że jestem dzieckiem.

- Czym mamy udekorować drzewko, Mira? - Tym razem odezwała się Alex, Dawczyni Życia Kade'a. Chyba czas przynieść ozdoby, które zrobiłaś?

Usta Miry zacisnęły się w ponurą linię. - Miałam czas, żeby spakować tylko kilka z nich. Resztę musiałam zostawić w Bostonie.

*O Chrystusie.* Lucan jęknął w duchu. To byłoby na tyle, jeśli chodzi o zapanowanie nad rozgrywającą się tutaj zabawą. Zrobił to jeszcze zanim w ogóle wszedł do środka. Czując się niezgrabnie i nie na miejscu, właśnie miał się odwrócić i opuścić pokój, gdy Niko podrzucił mu bombę. - Hej Mira, jestem pewny, że chcesz

podziękować również Lucanowi. Przyniesienie tego drzewka z lasu było całkowicie jego pomysłem.

- Nie - ostro zaprzeczył Lucan. Ja nie miałem nic wspólnego z... ale dziewczynka już ruszyła w jego kierunku. Złapała go w mocny uścisk wokół pasa, jej słodka, niewinna twarzyczka uniosła się w górę, żeby napotkać jego gniewne spojrzenie.

- Dziękuję ci Lucanie. To będzie moje najlepsze Boże Narodzenie.

*Kurwa mać.* Stał tam nieruchomy, bezsilny w uścisku dziecka. - Może moglibyśmy zrobić girlandy z prażonej kukurydzy? - Głośno zastanowiła się Mira, uwalniając go, by w następnej chwili zerwać się i z powrotem zacząć nadzorować dekorację drzewka. - Co o tym myślisz, Rennie?

- Pewnie - odpowiedziała Renata.

Partnerka Brocka, Jenna, przyglądała zmierzwiłone włoski Miry. - Możemy poszukać w lesie jakichś szyszek. Byłby z nich całkiem ładne ozdoby, nie sądzisz?

Dziewczynka entuzjastycznie pokiwała głową. - Byłoby wspaniale!

- Co o tym sądzisz? - Lucan zapytał nadąsanego młodzieńca stojącego obok niego. Kellan wzruszył ramionami. - Jak dla mnie to drzewo wygląda na trochę za krótkie i wystrzępione.

- Do diabła, twierdzisz, że jest za krótkie i postrzępione? - Zapytał Niko. Stojący teraz z drzewkiem w miejscu zaaprobowanym przez Mirę, Wojownik Rasy położył swoje ręce na pokrytych igłami gałęziach i przytrzymał je tam. Był cichy przez dłuższą chwilę, a Lucan wiedział, że rosyjski wampir wzywa swój parapsychiczny dar, który był jego wyjątkową cechą. Każdy mężczyzna Rasy

odziedziczył po matce jakiś typ mocy, mogło to być błogosławieństwo, albo przekleństwo. W przypadku Lucana, była nią hipnotyczna zdolność manipulacji ludzkimi umysłami, by widzieli i wierzyli, w cokolwiek chciał. Co do talentu Nikolaja, Lucan znajdował zabawną ironię w fakcie, że główny specjalista od broni z zamiłowaniem do sprawiania, że rzeczy wylatują w powietrze był obdarzony talentem mogącym konkurować chyba tylko z samą Matką Naturą. W ciszy i przy koncentracji Niko, coś się zaczęło dziać głęboko w pobliżu pnia sosny. Zabrzmiał cichy szelest, a następnie, jakby zalane powodzią nowego życia, gałęzie i igły zaczęły się rozrastać i rozwijać. Drzewo stało się gęściejsze, wyższe, pomalutku zbliżając się o kolejne dwie stopy w kierunku krokwi podtrzymujących sufit dużego pokoju.

Mira zachichotała ponad ciszą, która zaległa nad wszystkimi przebywającymi w pomieszczeniu. - Niesamowite! - Wykrzyknęła, klaskając z podnieceniem, kiedy drzewo pięło się w górę.

Kellan Archer w międzyczasie, gapił się z rozdziawioną buzią.

- I co? - Niko zdjął dłonie z pnia drzewa i dmuchnął na czubki palców, jak rewolwerowiec z Dzikiego Zachodu. Pod koroną blond włosów, lodowate syberyjskie oczy Niko zmarszczyły się w kącikach, gdy rzucił figlarne spojrzenie w kierunku młodzika. - Teraz jedyną rzeczą nieco przykrótką i wystrzępioną w tym pokoju, jesteś ty dzieciaku.

Wszyscy zachichotali na ten przytyk posłany w kierunku nastolatka, nawet Lucan. Obserwował, jak jego policzki przez chwilę pokrywają się szkarłatem, żeby po chwili znowu powrócić do ziemistej bladości, która od wielu dni stała się dla niego normą. Lucan rzucił taksujące spojrzenie na szczupłą sylwetkę chłopca i bladą, prawie przezroczystą twarz. - Pożywiałeś się ostatnio?

Kellan niewyraźnie wzruszył ramionami.

- Nie pił - pośpieszyła z odpowiedzią Mira. - Nawet jeden raz odkąd znalazł się w bostońskiej siedzibie Zakonu.

Gniewne spojrzenie, które Kellan posłał dziewczynie było jak cios sztyletem.

- Czy to prawda? - Zapytał Lucan.

Odpowiedzią było kolejne wzruszenie ramion, chłopak spuścił głowę, nie chcąc spojrzeć Lucanowi w oczy.

- Wnioskuje, że tak.

Nic dziwnego, że wyglądał tak anemicznie. Od chwili, gdy nastolatek został uprowadzony na polecenie Dragosa minęło niemal dwa tygodnie. Dziesięć dni odkąd odbił go Zakon i przywiózł razem z dziadkiem pod swoje skrzydła do bostońskiej centrali. Tych dwóch było jedynymi ocalałymi z ataku na ich rodzinną Mroczną Przystań.

Czym innym było dla dorosłego osobnika Rasy obywanie się bez krwi przez tydzień, a nawet dłużej; to było nawet wskazane. Ale nastolatek potrzebował regularnych porcji wartości odżywczych, żeby wykarmić rozwijające się ciało i udoskonalać swoje nadnaturalne moce do ich maksymalnego potencjału. Dla tych z rodzaju Lucana, którzy byli związani więzami krwi z Dawczyniami Życia, pożywanie się było aktem intymności, zarówno pierwotnym jak i świętym. Dla samotnych mężczyzn i dzieci w wieku stosownym do polowania, karmienie się wymagało ludzkiego Żywiciela.

Kellan spędził kilka pierwszych dni w szpitalu przy centrali Zakonu, dochodząc do siebie po traumie, ale teraz już stanął na nogi i jego ciało gwałtownie potrzebowało pożywienia.

Lucan obrzucił nastolatka stanowczym spojrzeniem. - Już za długo obywałeś się bez krwi. Musisz się tym zająć, Kellan. Prędzej, niż później.

- Zrobię to, odpowiedział chłopiec - jego oczy pozostały spuszczone.

Lucan wyciągnął dłoń i uniósł brodę młodzika, a ten nie miał innego wyboru, jak tylko spotkać jego spojrzenie. - Zrobisz to dziś w nocy. To jest rozkaz, synu.

Kellan zmarszczył brwi. Jego ciało spięło się powodu wyraźnego psychicznego wzdrygnięcia, jak u zapędzonego w kozi róg zwierzątka. - Mój dziadek powiedział, że pójdzie ze mną. Czekałem na niego, kiedy będzie miał czas, ale był tak zajęty pomocą Jenny...

Lucan potrząsnął głową, odrzucając ten komentarz jako wykręt, którym prawdopodobnie był. - Ja cię dzisiaj ze sobą zabiorę, jeśli będę musiał. Dziś wieczorem, Kellan. Jasne?

W końcu Lucan doczekał się kiwnięcia głową, któremu towarzyszyło kolejne twarde spojrzenie rzucone w kierunku Miry. - Taaaa. Jasne.

Po rozwiązaniu tego problemu, Lucan rzucił okiem na Jenny. Dawna alaskańska policjantka był najnowszym dodatkiem do żeńskiej populacji Zakonu. W odróżnieniu od reszty kobiet wojowników, wliczając w to również Mirę, Jenna nie była Dawczynią Życia, ale pochodziła ze zwykłych homo sapiens. Inne kobiety zostały obdarzone wyjątkowym DNA i właściwościami krwi, które pozwalały im dzielić życie przedłużone przez więź krwi z mężczyzną Rasy i rodzić ich potomstwo. Dawczynie Życia, rzadkość wśród ich śmiertelnych sióstr, były rozpoznawalne przez ich wyjątkowe talenty ESP i indywidualny, specyficzny zapach krwi, jak również niewielkie szkarłatne znamię na ich ciele w formie łzy wpadającej do kołyski o kształcie sierpa księżyca.

Pomimo, że Jenna urodziła się człowiekiem, to nazwanie ją teraz zwykłą śmiertelniczką nie było całkiem dokładne. - Gideon powiedział mi, że najnowsze badanie twojej krwi było całkiem dobre. Trochę wahań w liczbie komórek, ale poza tym żadnych większych niespodzianek.

Wysoka brunetka zaśmiała się sardonicznie. - Nic zbyt niezwykłego. Wciąż ten sam dziwoląg i cyborg, a ten stan się pogłębia.

- Jeśli o mnie chodzi, cholernie gorący dziwoląg - dodał jej partner, Brock. Potężny czarny wojownik posłał jej szeroki uśmiech, który odrobinę odsłonił kły. - Całkiem, jakbym sobie znalazł swojego własnego, prywatnego RoboCopa.

- Och, tak - odpowiedziała Jenna, uśmiechając się wraz z nim.- Przypomnę ci o tym w dniu, kiedy będę już wystarczająco silna, żeby skopać ci twój wampirzy tyłek.

Brock westchnął przesadnie. - Do cholery kobieto. Już masz mnie na kolanach, jeśli zechcesz zauważyć. A ty jeszcze robisz zamach na moje dupsko?

Nikolai zaśmiał się z drugiego końca pokoju. - Hej, witaj w moim świecie, chłopie.

Ta kpina sprawiła, że zarobił od Renaty żartobliwego szturchańca w ramię. Po czym podeszła do Miry i zakryła dziewczęce uszy zanim dodała cicho. - ... na ich dupcie, tyłeczki i wszystkie inne delicje. Nieprawdaż Jen?

- Jenna zachichotała na znak zgody, Brock przyciągnął ją do siebie i pocałował w usta. Zacisnął swoją dłoń wokół tyłu jej szyi, zaborczo ale czułe, zagładając w brązowe oczy swojej partnerki. - Ona dobrze wie, że może mnie mieć w każdy sposób, jaki tylko zapragnie. Na zawsze, jeśli miałbym coś do powiedzenia w tej sprawie.



Jego palce błędziły po karku Jenny, gdzie pod skórą znajdowała się odrobina obcej biotechnologii wielkości ziarnka ryżu, niechciana pamiątka, z którą się obudziła po niedawnej, przedłużającej się wizycie pradawnego intruza - ostatniego z ośmiu wampirycznych obcych, którzy byli ojcami pierwszej generacji Rasy na ziemi. Jenna cudem wyszła żywa z tej męki, ale odmieniona na wiele sposobów. Wciąż ewoluowała zarówno fizycznie, jak i genetycznie. Jej ciało potrafiło błyskawicznie uleczyć się z urazów, coś co Gideon opisał jako regenerację adaptacyjną... w sposób podobny do tego, jak leczyli się osobnicy Rasy, tyle że w przypadku Jenny, niepotrzebne było przyjmowanie krwi, żeby przyspieszyć ten proces. Nie miała kłów ani pragnienia krwi, ale była silniejsza i szybsza niż jakikolwiek człowiek, stawała się tak nieziemsko sprawna, jak każdy osobnik Rasy. Gideon nie był tego całkowicie pewny, ale wcześniejsze testy wydawały się wskazywać, że jakieś DNA Pradawnego zawarte w tym ziarenku biotechnologii zintegrowało się z genetyczną strukturą Jenny, zastępując ją na kilku poziomach.

Część z tego była oczywista, nawet dla przypadkowego obserwatora. Z miejsca, w którym zagnieżdżony był implant, wirującymi, ozdobnymi łukami wyrastały dermaglify owijając się wokół tyłu jej szyi i ramion. Te oznaczenia skóry były wyłączną cechą rodzaju Lucana i obcych, którzy ich spłodzili, mimo to, ta ludzka kobieta teraz też je posiadała. Glify Jenny nigdy nie zmieniały kolorów, ani nie pulsowały w chwilach głodu, lub intensywnych uczuć, jak robiły to te, które posiadali Lucan i jego bracia pochodzący z Rasy. Kolor jej dermaglify pozostawał niezmienny, o kilka tonów ciemniejszy niż naturalny odcień jej skóry. A kolejną sprawą była kwestia skłonności Jenny, by przez sen mówić w „starożytnym języku Pradawnych”. Senne koszmary były nowością, pojawiły się kilka dni temu. Gwałtowne sny o walkach i katastrofie. Zakon wciąż próbował zrozumieć, czym stawała się Jenna i wydawało się, że jedyny klucz do rozwiązywania tego pytania może zostać znaleziony po rozszyfrowywaniu obcych słów i obrazów, które dręczyły jej nieświadomy umysł. Lazaro Archer poprosił, by pozwolono mu pomagać na tym polu. Mając prawie tysiąc lat i pochodząc z pierwszego pokolenia, tak samo jak

Lucan i Tegan, Archer również wniósł przydatne doświadczenia, ponieważ spędzał więcej czasu niż inni, towarzysząc swojemu Pradawnemu ojcu. Polegając na swojej pamięci języka obcych, Archer pomagał Jennie zapisywać wszystko, co zdołała zapamiętać, w nadziei, że te zapiski pozwolą im znaleźć jakieś odpowiedzi.

Lucan właśnie miał zapytać, czy zdarzyło się coś nowego, kiedy brzmienie głosu własnej partnerki przykuło całą jego uwagę.

- Mam nadzieję, że nie planowałeś bez nas udekorować całej tej choinki. -

Gabrielle owinęła rękę wokół jego pasa i uśmiechnęła się do niego, kiedy nakrył jej barki swoim ramieniem, po to, by poczuć ją blisko siebie. Jej czułe brązowe oczy w kolorze płynnej czekolady sprawiały, że przyspieszało mu tętno.

- Och, to jest piękne - powiedziała kobieta Dantego, Tess, która właśnie weszła do pokoju. Trzymała w ramionach ich trzydniowego synka, różowy, zawinięty w pieluszki tłumoczek, który gaworzył i gruchał w bladoniebieskim kocyku otulającym jego maleńką figurkę. Obniżyła swój głos do czułego szeptu, kiedy pochyliła swoją twarz ku dziecku. - Spójrz Xander. To twoja pierwsza choinka.

Kiedy to mówiła do pokoju weszła Savannach, długoletnia partnerka Gideona i Elise, która zeszłego roku związała się z Teganem. Kobietom, włączając w to Mirę nie zabrało więcej niż jedną minutę, by zebrać się wokół Tess i dziecka. Nawet Gabrielle nie była odporna. Bez słowa oderwała się od Lucana, najwyraźniej tak samo, jak inne kobiety przyciągana jakąś niewidzialną, hipnotyzującą kobiety siłą emanującą z tego pakiecika niewinnego życia.

Lucan poświęcił dziecku i adorującym je kobietom tylko niewielką uwagę, czując żal z tego powodu. Ciągłe uważał, że Zakon nie jest miejscem dla dzieci, szczególnie dla bezradnych niemowląt. Dopóki nie spotkał i zakochał się w Gabrielle, nie był również zbyt skłonny, żeby akceptować w nim nawet kobiety.

Nie, żeby to miejsce było Zakonem w pełnym znaczeniu tego tego słowa, lub czymś choćby zbliżonym do ich efektywnie zorganizowanej bazy. I to właśnie teraz, gdy Zakon potrzebował każdej taktycznej przewagi, jaką tylko mógł znaleźć w tej wojnie z Dragosem. Rozejrzał się wokół siebie, po użyczonej im łaskawie Mrocznej Przystani stojącej pośrodku ustronnego lasu, po przytulnym dużym pokoju z kominkiem i nagimi krokwiemi, oraz ogromnej sośnie, która do nich sięgała, pachnącej lasem i zimą. Patrzył na ludzi, którzy stali tu wokół niego. Większość z nich była jego towarzyszami broni i ich ukochanymi partnerkami, rodziną, przed którą się bronił, ale w jakiś sposób skończyło się tak, że ją posiadał.

A potem spojrział na Gabrielle.

Była jego najjaśniejszym światłem. Siłą i największą słabością. Była jego sercem. I właśnie tam poczuł narastający ucisk, gdy zobaczył, jak pogładziła aksamitny policzek dziecka w ramionach Tess. Pochyliła się i pocałowała delikatnie zaokrąglone czołko niemowlęcia, a czyste piękno tej jednej chwili sprawiło, że ucisk wokół serca Lucana stał się jeszcze silniejszy.

Nie chciał przyznać się do tej rzeczy, która przepelniała jego ciało. Ten dziwny ból w głębi serca nie mógł oznaczać niczego dobrego, szczególnie teraz. Z ulgą usłyszał dobiegający z korytarza szybki, zamaszysty krok odmierzany uderzeniem podeszew butów. Ten pośpieszny tupot w jednej chwili uczynił go gotowym do walki, jeszcze zanim pojawił się Tegan.

Na surowej twarzy wojownika wypisane było, że mają kłopoty. - Kolejne złe wieści z Bostonu.

- Chase? - Zapytał Lucan, bojąc się usłyszeć odpowiedź, tak samo jak reszta osób wypełniających pomieszczenie, w którym nagle zapadła grobowa cisza.

Tegan kiwnął głową. - Gideon właśnie wypatrył to w najnowszych wiadomościach na serwisach internetowych. Senator Clarence nie żyje, Lucanie. Został brutalnie zaatakowany i zamordowany w swoim domu, wraz z kilkoma osobami z jego ochrony. I zgadnij, kto wczorajszej nocy przepadł jak kamień w wodę z policyjnego aresztu? (*Chase zniknął ze szpitala, albo to mała niedokładność autorki, albo ten szpital był więzienny;*)

Żyły Lucana wybuchnęły furią. - Skurwysyn. Co do kurwy nędzy jest nie tak z tym Harvardem?

Ale tak naprawdę, to nie musiał o to pytać, a Tegan nie kłopotał się odpowiedzią. Obydwaj brali się za bary z Nałogiem Krwi, uzależnieniem, z powodu którego cierpiał teraz Chase. A jeśli okaże się, że to on przywiódł go do popełnienia tego zabójstwa... zwłaszcza popełnionego tak jawnie i to na osobie ze świecznika, której śmierć mogła mieć nieodwołalne konsekwencje dla całego społeczeństwa Rasy... w takim przypadku Chase właśnie skutecznie i nieodwołalnie podpisał się pod własnym wyrokiem śmierci.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 9



CHASE POSTAWIŁ KOŁNIERZ PŁASZCZA, kiedy mijał róg miejskiej ciemnej bocznej uliczki, z której wyszedł i ruszył przed siebie mieszając się z tłumem pieszych wieczornego miejskiego szczytu. Rany postrzałowe znowu zaczęły krwawić. Czuł, jak płynne ciepło jego własnej krwi przesiąkało przez materiał obszernych dżinsów i kraciastej flanelowej koszuli, które skubnął z przepełnionego

świętecznymi datkami pudła stojącego przy należącym do parafii sklepie z używanymi rzeczami. *(Ten sposób dobroczynności jest bardzo rozpowszechniony również w Anglii. Sklepy tego typu należą do różnych fundacji. Ludzie po prostu zanoszą tam używane rzeczy, często zostawiając je pod drzwiami, dochody z tych sklepów przeznaczone są na różne szczytne cele;)* Jego jasnobrązowe buty budowlane były o co najmniej numer za małe, a czarny wełniany płaszcz w jodełkę wydzielał słaby zapach naftaliny, ale był ciepły. Szczerze mówiąc nawet za ciepły. Czuł, jakby jego skóra stała się zbyt ciasna i płonęła.

Wiedział, że to objaw nawołującego go głodu.

To zaczęło się jako drażniące poirytowanie jakąś godzinę temu. W ten sposób jego ciało informowało go, że zapadła noc i czas się pożywić.

Gdy obudził się w opuszczonym młynie w Malden, gdzie zaszył się po złożeniu niezapowiedzianej wizyty Sługusowi w domu senatora, w głowie mu pulsowało, żyły dzwoniły uporczywiej niż budzik. Miał szczęście, że wczorajszej nocy znalazł schronienie. Jeszcze więcej szczęścia, że wyczerpanie przytępiło spowodowany nałogiem głód krwi. Nie byłby pierwszym ze swojego rodzaju, który ogłupiały żądzą krwi skończył rankiem jako kupka popiołu.

Ale jeszcze nie wpadł w tą otchłań.

Sposób, w jaki skręcał mu się żołądek... sprawiał, że musiał się zastanowić, czy zanurzenie się w amoku krwi faktycznie, w końcu nie przyniosłoby mu ulgi. Bóg wiedział, że walka z tym każdą cząstką świadomości była jego osobistą przymiarką do piekła. Krew, którą wziął od pielęgniarki dała mu energię potrzebną do ucieczki i żeby zająć się niewolnikiem umysłu Dragosa, ale teraz za to płacił.

Jak zaniedbana kochanka, którą zaszczycił zbyt krótkim zainteresowaniem, teraz jego pragnienie krwi domagało się od niego całkowitej uwagi. To ono kazało mu

skradać się ulicami miasta, uciekać z powrotem od zgiełku w bardziej odludne tereny. Ta niewolnicza potrzeba kierowała nim silniej, niż jakiegokolwiek poczucie szlachetnego celu albo obowiązku. Jego spojrzenie spod przymkniętych powiek prześlizgiwało się od jednego człowieka do drugiego, ciągle czuł pokusę przemykając pomiędzy nimi jak zjawą. Bezwiednie podążył za grupą młodych kobiet taszczących torby na zakupy i długie rolki świątecznych papierów do pakowania prezentów. Mimowolnie ruszył ich śladem, gdy poszły w głąb ulicy, prowadząc przeplatana śmiechem rozmowę. Podczas, gdy jego głód wabił je na kiepsko oświetlony parking usytuowany przy końcu przecznicy, kobiety zignorowały mentalny nakaz i weszły do hałaśliwego irlandzkiego pubu.

Gdy zniknęły w zatłoczonej knajpie, Chase zwolnił tempo swojego marszu. Kły kaleczyły mu język, a mimo nisko opuszczonego daszka czapki zdołał dostrzec, jak w udekorowanej świątecznymi girlandami frontowej szybie pubu odbija się bursztynowy blask bliźniaczych punktów jego spojrzenia.

*Kurwa.*

Musiał wziąć się w garść i opanować. Oczywiście zdawał sobie sprawę do czego to prowadzi. Widział, jak głód krwi uderzał w mężczyzn dużo lepszych niż on. Ostatnim razem ujrzał to we własnej rodzinie, w obiecującym dzieciaku, który miał przed sobą całe życie. Chłopak przegrał z Nałogiem Krwi, pozwolił mu sobą pokierować, powodując cholerną sytuację, coś, co od tamtej pory bez przerwy nawiedzało Chase'a.

Camden.

Jezu, czy naprawdę od śmierci jego bratanka minął już ponad rok?

Czasami czuł się, jakby od tego wydarzenia minęło tylko kilka dni. Innym razem, tak jak w tej chwili, gdy spoglądał na własne dzikie odbicie, wydawało mu się, jakby

od tamtego wydarzenia dzieliły go wieki. Całe pierdolone eony.

W tym momencie nie bardzo mógł sobie pozwolić na rozpamiętywanie przeszłości. Musiał iść dalej. To była najlepsza rzecz, jaką teraz mógł zrobić. A jeśli nie życzył sobie, żeby dzisiejszej nocy jego głód zamienił się w katastrofę, lepiej by zabrał swoją dupę z dala od dużych ludzkich skupisk i przydybał kogoś w pojedynkę. Sądząc z tego jak cierpiał... oraz tego, w jakim stanie były jego rany, do wyleczenia swojego ciała potrzebował świeżych erytrocytów... a przebywanie w publicznych miejscach nie było z jego strony objawem rozsądku.

Chase zaczął odwracać się, by odejść, ale przez okno pubu, przyciągnął jego uwagę ekran jednego z umocowanych na ścianie telewizorów. Za jęczącą blond reporterką wiadomości relacjonującą wcześniejsze wydarzenia z tego dnia, zauważył jedwabisty karmel brązowych włosów i uroczą twarz, którą natychmiast rozpoznał.

Tavia Fairchild, w którymś momencie zeszłego poranka wyprowadzana z bostońskiego biurowca pod eskortą kilku funkcjonariuszy policji i agentów federalnych. Chase wpatrywał się w jej obraz na ekranie. Podczas, gdy funkcjonariusze Wymiaru Sprawiedliwości pośpiesznie prowadzili ją w kierunku pojazdu oczekującego przed gmachem urzędu, jej policzki były blade, a spojrzenie naznaczone szokiem i bólem. Przesuwający się pasek wiadomości u dołu ekranu, potwierdzał zabójstwo senatora i informował, że podejrzany wciąż przebywa na wolności.

Ekran podzielił się, żeby pokazać jego policyjne fotografie, ale Chase tylko rzucił na nie okiem. Jego uwaga skupiła się na czymś innym... czymś, co sprawiło, że krew zlodowaciała mu w żyłach. Przyjrzał się dokładniej jednemu z policjantów, którzy wyprowadzali Tavię z budynku. Nie detektywowi z posterunku, ale drugiemu mężczyźnie... umundurowanemu funkcjonariuszowi z ciemnymi włosami i martwym spojrzeniem niewolnika umysłu. Piekło i szatani. Jak daleko sięgały macki Dragosa?

I co to oznaczało dla Tavi Fairchild, jeśli jego Sługusi wzięli ją sobie na cel?

To nie mogło być nic dobrego.

Chase poczuł ukłucie gniewu, gdy zobaczył jak Sługus-glina położył na niej swoje ręce, pomagając jej wsiąść do samochodu... ten sam rodzaj gniewu, jaki przepłynął przez niego, kiedy ujrzał ją stojącą obok senatora w pokoju obserwacyjnym.

Pomimo, że wcale nie miał ochoty zgrywać bohatera, Chase poczuł, jak budzi się do życia jego zaśniedziałe poczucie honoru, gdy pomyślał sobie, że ona mogłaby się znaleźć gdziekolwiek w pobliżu Dragosa, lub legionu jego pozbawionych woli sług. Od porannych wiadomości minęło ponad osiem godzin. Potencjalnie osiem godzin, w ciągu których Tavia oddychała tym samym powietrzem co Sługus-glina. Razem z detektywem wsiadł do samochodu, którym odjechała. Jeśli Dragos chciał skrzywdzić tą kobietę, miał bardzo dużo czasu żeby to zrobić.

Nie że to Chase był tym, który powinien ją ratować. Cholera, nie miał do tego prawa. Wątpił, że uda mu się uratować nawet samego siebie. Ale to nie powstrzymało jego krwi, której ciśnienie zaczęło rosnać z powodu ekscytacji nowym celem. To nie powstrzymało jego stóp przed stawianiem pośpiesznych kroków, oddaleniem się od pubu i zagłębieniem w cieniach po drugiej stronie ulicy. Zniknął w mroku. Wszystkie jego instynkty drapieżcy skoncentrowały się na jednym zadaniu: odnalezieniu Tavi Fairchild.

KWADRANS PÓŹNIEJ Chase przykucnął, jak gargulec na krawędzi dachu Gmachu Departamentu Szeryfa Hrabstwa Suffolk, jego spojrzenie skierowane było na służbowy parking poniżej. Po tym, jak przeszła przez niego parada kończących zmianę mundurowych i cywilnych pracowników, a ruch spadł prawie do zera, jego cierpliwość została wystawiona na próbę i był już o dwie sekundy od szturmu do środka w celu znalezienia gliny, którego szukał. Ale wtedy, nareszcie, jego cierpliwość została nagrodzona. Rozpoznał detektywa w średnim wieku, w chwili,



gdy ten opuścił budynek. To był człowiek, który był w pokoju obserwacyjnym razem z Tavią Fairchild. Ten sam mężczyzna towarzyszył jej przy przejściu przed kamerami ekip telewizyjnych podczas porannej konferencji prasowej. Chase obserwował, jak człowiek przemierza parking podążając w kierunku swojego samochodu. Skierował niewielkiego pilota ku nieco upstrzonej rdzą srebrnej toyocie sedan, która zaćwierkała w połowie rzędu.

Chase oderwał się od dachu, jego pochodzące z kościelnego pudła na datki, robocze buty bezszelestnie opadły na zimny asfalt.

- Masz czas na krótką pogawędkę, detektywie?

Chase siedział już na miejscu dla pasażera, zanim człowiek otworzył drzwi od strony kierowcy i ze stęknieniem usiadł za kierownicą. - Jezu Chryste! - Podskoczył, wyraz paniki zalał jego jowialną twarz. W tym czasie obudził się w nim instynkt gliny, posyłając jego dłoń ku kaburze służbowej broni zamocowanej na jego biodrze.

- Będąc na twoim miejscu nie robiłbym tego - ostrzegł go Chase.

Pozornie zmieniając zdanie, policjant rzucił się w kierunku znajdującej się obok niego klamki. Jakby miał jakąkolwiek szansę ucieczki. Pociągnął za dźwignię, ale ta nie ustąpiła, nawet po kilku próbach otwarcia jej elektronicznym pilotem, który trzymał w drugiej dłoni. - Niech to szlag!

- Chase wpatrywał się w niego, ze stoickim spokojem. - To ci w niczym nie pomoże.

Niemniej, Avery ponowił próbę odblokowania zamków i drzwi, nieświadomy tego, że to Chase utrzymywał je zamknięte siłą woli pochodzącą z Rasy. Po czym w akcie desperacji podstarzały glina opuścił swój łokieć na klakson. Radosne trąbienie

Japonki wystrzeliło jak pojedynczy krzyk, zanim Chase chwycił ramię człowieka i szarpnął, by przyciągnąć jego pełną uwagę.

- To było nierozsądne.

- Co masz zamiar zrobić? Chcesz mnie zabić tu, na tym pierdolonym parkingu?

- Gdybym chciał widzieć cię martwym, nie siedziałbyś tutaj ledwie panując nad pęcherzem, panie detektywie.

- O Jezus - jęknął Avery - Co tu się, do cholery dzieje. Co jest nie tak z twoją twarzą?

W odbiciu z bocznej szyby, Chase zobaczył, że jego oczy w ciemnościach pojazdu świeciły jak rozżarzone kawałki bursztynu. Wyglądał potwornie, dziko. Jak obłąkany. Nie było w nim nic ludzkiego. Zacisnął szczęki czując, jak czubki kłów kują go w język. Spojrzenie na swoje odbicie posłało jego umysł w inny podobny moment z niedawnej przeszłości. Wtedy, niewiele więcej niż rok temu, Chase również siedział w zaciemnionym pojeździe z płonącymi oczami i kłami wysuniętymi z żądy mordy, wpatrując się w przerażoną twarz ludzkiego handlarza narkotyków, który spowodował u jego bratanka Camdema błyskawiczne, wywołane dragiem uzależnienie od krwi.

Chase był wtedy tak przekonany o swojej nieomyślności, tak pewny, że mógł sam... w pojedynkę... uratować Camdena. Zamiast tego stał się tym, który go zgładził. Jego umysł wypełniło echo strzału, który w tą zimną noc rozerwał klatkę piersiową chłopca. Wciąż mógł poczuć bezlitosny chłód metalu w dłoni, siłę odrzutu w swoim bicepsie i nagłą ciszę, która nastąpiła później. Zapach wystrzelonych pocisków, rozlanej krwi i rozdzierający noc, dziki krzyk pogrążonej w rozpacz kobiecie, której kiedyś pragnął dla siebie.

A teraz to on, Chase, został naznaczony i skazany na zagładę.

Nie z powodu lekkomyślnego spróbowania Szkarlatu... substancji, która ostatniej jesieni zmarnowała życie Cama i kilku jego przyjaciół... ale z powodu jego własnego niedbalstwa i słabości, kulminacji życiowych uchybień. Jego samolubnej, nienasyconej, dojmującej potrzeby, żeby wypełnić pustkę, jaka rosła w głębi jego serca, aż w końcu całkiem go pochłonęła. Czuł się chory z powodu sposobu, w jaki w skrajnym przerażeniu detektyw wpatrywał się w jego odmienioną twarz.

Oczy człowieka były szerokie jak spodki, usta otwarte w niemym otępieniu, zanim zduszony jęk wybuchnął z jego gardła. - Mój Boże, czym ty jesteś? Czego, do cholery chcesz ode mnie?

Chase zaklął szpetnie. Nie planował pokazywać ludzkiemu gliniarzowi tego, czym naprawdę był, ale było już za późno. Zajmie się tym, gdy już uzyska informacje, których szukał. - Gdzie ona jest? - Chase pochylił się bliżej, bestię w nim przyciągał zapach surowego strachu. - Muszę znaleźć Tavię Fairchild.

Pomimo lęku i dezorientacji zalewających spojrzenie oficera śledczego, pojawiła się w nim iskra instynktu opiekuńczego. - Myślisz, że ci powiem, żebyś ją też mógł zabić? Pierdol się.

- Chase był zmuszony poczuć szacunek do tego człowieka. Glina czy nie, nie było w jego rodzaju zbyt wielu takich, którzy okazywali ten rodzaj oddania wobec kogoś, kto ledwie znali. Zwłaszcza, kiedy wpatrywali się w twarz chodzącego koszmaru. Według doświadczenia Chase'a, na taką głębię lojalności można było liczyć tylko w wypadku Sługusów, która w ich wypadku wiązała się z utratą własnej duszy. Oficer śledczy Avery był bardzo żywy i bardzo wystraszony, mimo to piorunował Chase'a wzrokiem, co jak tylko mógł on przypuszczać, wiązało się z jakimś niezachwianym poczuciem honoru.

Znał to uczucie z własnego doświadczenia. Lecz to było tak dawno temu, że ledwie je rozpoznawał. Teraz nie dbał o to. To czym naprawdę był sprawiało, że ten przyzwoity mężczyzna kulił się przed nim ze strachu. - Widziałem cię z nią dziś rano - powiedział Chase. - Byłeś tam z drugim gliną... mundurowym. Ciemne włosy, paskudna blizna na jednej brwi. Jak on się nazywa? Jego też muszę znaleźć. Zaczynaj mówić, detektywie.

- Nic ci nie powiem, a już na pewno nie to, gdzie zabrał ją Murphy.

Piekło i szatani. Więc wciąż była ze Sługusem. - Gdzie ona jest, do kurwy nędzy?

- W bezpiecznym miejscu - Avery praktycznie wypłuł z siebie te słowa.

Chase pochylił się w kierunku człowieka. - Bezpieczna przed czym?

- Przed tobą, ty sukinsynu! - Detektyw zaczął dygotać, chwytając za kołnierzyk swojej zmiętej białej wizytowej koszuli i poluzował krawat. - Wielki Boże... nie możesz być prawdziwy. Nie możesz być człowiekiem. To dlatego przeżyłeś wszystkie te postrzały. To dlatego wczorajszej nocy byłeś w stanie uciec ze szpitala...

Sterling poczuł przerażenie człowieka, gdy ten zrozumiał, gdy prawda w pełni do niego dotarła i to uczucie odbiło się na jego znękanej twarzy. Rozchylił usta, jakby spodziewał się, że za chwilę zostanie rozerwany na kawałki przez bestię, za jaką uznał Chase'a.

To był powód, dla którego Rasa przez ten cały czas chroniła tajemnicę swojego istnienia. To ten głęboko zakorzeniony strach, napędzany przez legendy i ponure podania ludowe... nie wszystko z tego było zupełnie nieprawdziwe... był powodem, dlaczego Rasa nigdy nie mogła oczekiwać jakiegokolwiek pokojowej koegzystencji z ludźmi. Strach przed rzeczami, które powodowały nocne hałasy tkwił w ludziach zbyt głęboko. To było zbyt niebezpieczne, by można było im zaufać.

Chase nie był teraz ponad wykorzystywaniem tego przerażenia do swoich własnych celów. Ani nie zawahałby się zadać bólu temu człowiekowi, by uzyskać odpowiedzi, dla których się tu znalazł. Gdyby Avery znał rodzaj zła, które w tym momencie dotrzymywało towarzystwa Tavi Fairchild, nie potrzebowałby żadnego przymusu. I znowu, jeśli ten człowiek, albo jakikolwiek inny zrozumiałby choćby połowę zagrożenia, jakie Dragos i jego zwolennicy nieśli ze sobą dla ludzkości, to nie można było liczyć na żadne porozumienie z którymkolwiek z nich. Mimo to, Chase zdecydował się na nieupiększoną prawdę. Szczerze i bez ogródek, nie stawiając żadnych warunków opowiedział wszystko Detektywowi Averemu. Gdy skończył i po tym, jak podstarzały funkcjonariusz ze znużeniem wyjawiał mu miejsce pobytu Tavi Fairchild, Chase oszczędził mu ciężaru niesienia okropnej wiedzy o nim, dłużej niż przez jedną chwilę.

Wyszorował pamięć człowieka do czysta i zostawił go samego, psychicznie odrętwiałego, ale całego i zdrowego, w ciemnościach za kierownicą jego własnej Toyoty.

TAVIA DŁUGO POZOSTAWAŁA pod hotelowym prysznicem, niechętna, by opuścić dekadencją, niczym niezmaconą samotność. Nie martwiło jej zbytnio, że nie jest tak do końca sama. Para agentów federalnych i umundurowany policjant, który przywiózł ją tu dzisiejszego ranka, przebywali za krótkim korytarzem w pokoju dziennym tego rozległego apartamentu. Pochłonięci meczem koszykówki, który rozpoczął się kilka minut temu, zanim ich przeprosiła, żeby wziąć prysznic i zdrzemnąć się trochę dopóki obsługa hotelowa nie przybędzie z obiadem. Pod ciepłym tuszem, słyszała dobiegający z salonu bełkotliwy terkot telewizora i towarzyszące mu sporadyczne okrzyki konsternacji, albo tryumfu oglądających grę.

Była zaskoczona, gdy oficer Murphy poinformował ją, że będzie nocować... w hotelu... być może dłużej niż jedną noc... pod uzbrojoną strażą. Glina o twardych oczach ze złowrogą blizną przecinającą jego brew, towarzyszył jej jak cień przez cały dzień, odkąd tego poranka on i detektyw Avery zabrali ją z biura senatora Clarenca.

Boże, to wszystko było takie surrealistyczne. Nie miała żadnego doświadczenia w byciu naocznym świadkiem przestępstwa, nie mówiąc już o potrzebie bycia chronioną przez policję w jakimś sekretnym miejscu.

Jednak, szczerze mówiąc, to nie wydawało się zbyt różnić od jej zwyczajnego życia: które tak naprawdę nigdy do niej nie należało, ktoś wiecznie ją kontrolował... naruszając jej prywatność, kiedy tylko miał na to ochotę, tłumacząc to jej własnym dobrem. Nigdy nie czuła się szczególnie bezradna, ani niedołączna, niezależnie od tego co dr. Lewis i ciotka Sarah wydawali się myśleć. Co prawda, jej ciało buntowało się od czasu do czasu, czy to w reakcji na nowe metody leczenia, lub w sytuacjach zwiększonego stresu. Tavia nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy nastąpi atak jej ... magii, jak nazywała to ciotka. Dr Lewis powiedział, że ma niezwykle postać padaczki, którą dodatkowo komplikowały inne dziwne dolegliwości, wymagające jego specjalistycznej terapii, od czasu gdy była dzieckiem.

Siwowłosy psychiatra był dla niej bardziej niż ojciec, tak samo jak ciotka Sarah była jedyną matką, jaką kiedykolwiek знаła. Tavia nigdy nie poznała swoich biologicznych rodziców, nawet na fotografii. Straciła ich oboje w tragicznym pożarze domu, który jakimś cudem ją samą oszczędził. Wszystkim, co przypominało jej o utraconej przeszłości, były blizny pokrywające niemal każdy centymetr jej ciała.

Tavia namydliła się niewielką kostką hotelowego mydła hotelowego, przebiegła nim wzdłuż ramion i tułowia, potem w dół przez całą długość nóg. Blizny były prawie w każdym miejscu, którego dotykała, nawet na szyi, bezbolesne, odkąd sięgała pamięcią.

Biorąc pod uwagę jak dużą powierzchnię ciała pokrywały, powinny wyglądać dużo gorzej. Najwyraźniej Dr Lewis zastosował na nich jakieś swoje magiczne zabiegi. Oczywiście dla niej wciąż wyglądały szkaradnie. Beładna płatanina różnych odcieni różowawej skóry, którą mogła ukryć tylko pod golfami, długimi rękawami i spodniami. Konserwatywny ubiór, jaki obowiązywał w pracy w biurze senatorskim

był dla niej błogosławieństwem. Clarence nawet nie wiedział o rozległych skazach na ciele, ani o skomplikowanym stanie jej zdrowia. Dla niego i dla każdego innego z kim utrzymywała kontakty, Tavia była zdystansowana, profesjonalna i wymagająca. Jej kariera zawodowa była jedyną rzeczą, nad którą czuła, że naprawdę sprawuje kontrolę i zrobiła z tego swoją prywatną misję, by być w niej doskonała pod każdym możliwym względem.

Bóg wiedział, że nie miała żadnego życia osobistego, by się o nie martwić, oprócz ciotki Sarah, która zrezygnowała ze swojego własnego życia, poświęcając się opiece nad dzieckiem swojego zmarłego brata. Starsza kobieta nigdy nie mówiła o swojej przeszłości, ani o marzeniach, jakie mogła mieć jako młoda dziewczyna. Nigdy nie wzięła ślubu, nigdy też nie żałowała faktu, że obyła się bez rodziny i własnych dzieci. Tavia często zastanawiała się, dlaczego jej ciotka dokonała właśnie takiego wyboru, mianując się na całe życie opiekunką i strażniczką swojej bratanicy. Nie, żeby nieraz jej o to nie pytała. Ciotka jedynie się uśmiechała i z życzliwym poklepaniem Tavi po dłoni, lekceważyła wszystkie pytania. - Nie przejmuj się mną, kochana. To ty jesteś najważniejsza. A ja jestem dokładnie tam, gdzie powinnam być.

Szkoda, że ciotka Sarah nie odnosiła się w ten sam sposób do Tavi i czuła się zobowiązana, by roztrząsać każdą jej myśl i uczucie. Chciała wiedzieć o wszystkim, zawsze. Ale nigdy nie okazywała złości ani zniecierpliwienia... nie, nigdy odkąd Tavia ją знаła. Nigdy się nie skarżyła, co sprawiało, że Tavia czuła się trochę winna, ciesząc się spędzeniem kilku godzin z dala od czujnych oczu ciotki.

W ciągu dwudziestu siedmiu lat swojego życia, zbierając wszystko do kupy, spędziła z dala od domu może ze dwa miesiące, wliczając w to podróże służbowe z senatorem i sporadyczne nagle przypadki nocnych obserwacji, lub zabiegów w prywatnej klinice Dr. Lewisa. *(Nie wiem jak wam, ale mnie nie podoba się ani ta nadopiekuńcza ciotka, ani ten podejrzany psychiatra ;(*

Ciotka Sarah nigdy nie przyjmowała tych rozstań obojętnie, gdy jednak Tavia rozmawiała z nią przez telefon wcześniej tego wieczoru, po tych wszystkich raportach o morderstwie senatora Clarenca, jakie przez większą część dnia nadawała każda stacja i kablówka, kobieta była tak zdenerwowana, jak jeszcze nigdy dotąd. Tavi zajęło cały kwadrans, żeby przekonać ją, że jest bezpieczna, zwłaszcza, iż agenci federalni i policjanci zabronili jej ujawniania swojego miejsca pobytu. Tavia była pewna, że gdyby ciotce podano nazwę albo adres hotelu, znalazłaby się tu pukając do drzwi tak szybko, jak tylko zdołałaby tu dotrzeć. Przejmowała się, że Tavia nie powiedziała jej wszystkiego. - Nic nie rozumiem, kochana. Masz jakieś kłopoty? Dlaczego policja twierdzi, że musisz zatrzymać się gdzie indziej tej nocy?

- Mają do mnie jeszcze wiele pytań, ciociu. Oficer śledczy, prowadzący to śledztwo, pomyślał, że to będzie wygodniejsze dla nas wszystkich, jeśli będę przebywać w mieście, tak byśmy mogli porozmawiać jeszcze dzisiaj wieczorem, a jutro znowu zacząć z samego rana.

- Ale oni nic nie wiedzą o twoim stanie. Nie czujesz się dobrze, Taviu. Powinnaś być w domu, a nie tułać się gdzieś dla ich wygody.

- Czuję się zupełnie dobrze - zapewniła starszą damę, ale było jasne, że ciotka w to nie uwierzyła. Spędziła jeszcze kolejne dziesięć minut na zapewnianiu jej, że na pewno ma przy sobie swoje leki... wszystkie, wliczając w to mały zapas ukryty w portfelu, który zawsze trzymała pod ręką na wszelki wypadek, na przykład taki, jak ten, który niespodziewanie zatrzymał ją z dala od domu. Tavia nie miała siły, by jej wyjaśniać, że może być nieobecna dłużej niż przez jedną noc. Ani nie ujawniła faktu, że przekonała detektywa Avery do wysłania nieoznakowanego radiowozu do dzielnicy cioci Sarah, żeby upewnić się, że żadne z niebezpieczeństw czyhających na Tavię, nie przeniesie się na jej jedyną żyjącą krewną. - Nie martw się o mnie ciociu - powiedziała do starszej kobiety tak łagodnie, jak tylko potrafiła. - Naprawdę nic mi nie będzie.



Ta rozmowa pozostawiła w niej uczucie, że starsza kobieta bardziej ją tłamsi niż chroni. Nienawidziła niepokoić ciotki Sarah, ale były chwile, kiedy Tavia nie mogła już wyobrazić sobie swojej przyszłości razem z ciotką, wciąż obecną w jej życiu. Pod jednym dachem. Czuli się jak w potrzasku, dusząc się i jednocześnie wstydząc nawet tej odrobiny urazy, jaką miała dla kobiety, która poświęciła opiece nad nią swoje własne życie i chciała tylko tego, co uważała dla niej za najlepsze.

Tavia odchyliła głowę pod ciepłym natryskiem i rozprowadziła odrobinę szamponu po swoich długich włosach. Szorowała skórę głowy, niemal wyczuwając niezauważalne zarysy falistej płataniny dawnych blizn, które wspięły się po jej karku aż poza linię włosów. Spłukała pianę, po czym psiknęła na dłoń odrobinę odżywki i rozprowadziła ją po dłoniach.

W dziennym pokoju apartamentu wciąż rozbrzmiewały odgłosy gry, wreszcie ostry gwizdek oznajmił koniec meczu. Męskie głosy stały się odrobinę głośniejsze, gdy dyskutowali o ostatniej grze i prześcigali się w docinkach na temat drużyny gości. Tavia zużyła chwilę czasu, żeby spłukać ciało i włosy zwlekając z opuszczeniem gorącego i wilgotnego pomieszczenia, które sprawiało jej tyle radości. Ale zaczynało burzyć jej w żołądku, a mężczyźni czekali z zamówieniem dla siebie obiadu, do czasu aż ona też będzie gotowa, żeby coś zjeść. W końcu sięgnęła do pokręta prysznicza i zakręciła je z piskiem. A potem... cisza.

Nienaturalna, złowróżbna cisza.

Naga i ociekająca wodą wyjrzała zza plastikowej zasłony. Nasłuchiwała przez dłuższą chwilę.

Nic tylko cisza... nie było nawet dźwięków dobiegających z telewizora.

- Halo? - Zawołała z niepokojem. - Oficerze Murphy? - Wyszła na łazienkową

matę. Nie zawracając sobie głowy ręcznikiem, złapała frotowy, hotelowy szlafrok wiszący na haku po wewnętrznej stronie drzwi i owinęła się nim. Mokra kosmyki włosów zwisały wokół jej twarzy, kiedy pośpiesznie zawiązywała pasek wokół swojej tali i zaczęła się skradać do przodu kładąc dłoń na klamce.

Coś było nie w porządku. Bardzo źle. Mogła to wyczuć każdym włóknom swojego jestestwa i w zakończeniach nerwów wstrząsanych nagłym, nie dającym się pomylić z niczym alarmem. Wsunęła się do pustej sypialni i cicho podreptała w kierunku zamkniętych drzwi, które prowadziły do pomieszczeń mieszkalnych apartamentu, znajdujących się zaraz za niewielkim korytarzem.

Gdy się zbliżyła, z drugiego pomieszczenia usłyszała stłumiony, przzerwany jęk, po którym nastąpił ciężki głuchy odgłos, który wprowadził w drganie podłogę pod jej nagimi stopami.

Tavia zamarła.

Nie musiała otwierać drzwi, żeby wiedzieć, że po drugiej stronie czaiła się śmierć, ale nie mogła powstrzymać swojej dłoni przed cichym przekręceniem gałki. Spojrzała na zewnątrz przez najbardziej wąską szparę, na jaką ośmieliła się uchylić drzwi. Jej oczy napotkały ślepe spojrzenie oficera Murphego, leżącego nieruchomo w przeciwnym końcu korytarza. To był postawny mężczyzna, mimo to jego szyja została skręcona i złamana jak u lalki, a głowa spoczywała na podłodze pod nienaturalnym kątem.

Serce Tavi zatrzepotało w jej piersi, jak ptak w klatce.

Czyżby intruz zabił ich wszystkich?

To był on. Wiedziała to z wewnętrzną pewnością, która pulsowała w jej żyłach.

Jej instynkty krzyczały, żeby natychmiast stąd uciekała. Obróciła się na pięcie i pobiegła do zasłoniętego kurtyną panoramicznego okna, mieszczącego się po drugiej stronie łóżka. Szarpiąc się z dźwignią zamka w końcu pchnęła szklany panel i otworzyła drzwi prowadzące na balkon. Mroźny wiatr wdarł się do środka, dmuchając jej w oczy drobnymi, lodowatymi płatkami śniegu. Zrobiła dwa kroki na zewnątrz, na zmrożony betonowy balkon, stanęła i wysyczała ciche przekleństwo. Pokój znajdował się dziesięć pięter nad ulicą. Nie istniało stąd żadne wyjście. Cokolwiek działo się w apartamencie poza jej sypialnią, znalazła się w potrzasku pośrodku tego wszystkiego.

- Kurwa – Tavia cofnęła się w kierunku otwartych balkonowych drzwi. Odwróciła się... i zadławiła oddechem.

Mężczyzna z jej koszmarów... doprowadzony do obłądu psychopata, który z zimną krwią zamordował senatora Clarenca i niewątpliwie teraz chciał wykończyć również ją... stał nie dalej niż dwa cale od jej twarzy. Otworzyła usta do krzyku, ale zanim zdołała wydać nawet najcichszy dźwięk zacisnął jedną rękę wokół tyłu jej szyi, a drugą przykrył jej wargi. Jego chwyt był silny, nie do rozerwania. Z dzikimi, przerażonymi oczyma, wyciągnęła rękę, żeby chwycić i odciągnąć jego palce, ale opierały się jak żelazo.- Spokój - wychrypiał szorstkie polecenie. Jego głos był niski i głęboki. Wydawał się dużo potężniejszy z bliska, niż wczoraj wieczorem na posterunku policji. Było coś pełniejszego w ponuro zaciśniętej linii jego warg, coś nie całkiem w porządku z jego oczami.

Początkowo trudno było jej zaakceptować ten ich dziwny bursztynowy blask, myślała, że jest wytworem jej przerażonego umysłu. Źrenice pośrodku tych jego płonących tęczówek były w jakiś sposób zniekształcone, rozciągnięte i zwężone. To niemożliwe, żeby to była prawda... musiała coś sobie wyobrazić.

Ale nie... to nie strach sprawił, że widziała, to co widziała. To było rzeczywiste. Tak

rzeczywiste, jak bezlitosne gorąco zaciśniętych na niej rąk, palców okalających jej kark i żaru napierającego na jej usta.

Tak rzeczywiste, jak ostre, wydłużone białe czubki jego zębów, które błysnęły, kiedy rozdzielił swoje wargi, żeby ponownie przemówić. - Nie zamierzam uczynić ci krzywdy, Taviu.

O Boże. Jej koszmarne sen się ziścił. Nie był człowiekiem; nie mógł nim być. Jej umysł odrzucił to słowo, które skwapliwie cisnęło się jej na usta, wychylając się z powieści grozy, które czytała będąc dzieckiem, za co besztala ją ciocia Sarah. Tavia nie miała pewności czym był, ale nie sądziła nawet przez mgnienie oka, że za chwilę nie zamierza jej zabić tak samo, jak senatora i ludzi w sąsiednim pokoju. Walczyła przeciwko niemu ze wszystkich sił, jakie zdołała z siebie wykrzesać, próbując wyrwać się na wolność. Ale nie zdołała sprawić, żeby choćby drgnął. Był silny... tak silny, jak powinien być każdy potwór. I z nagłym przyływem adrenaliny do jej krwiobiegu, Tavia poczuła, jak jej ciało zaczęło się buntować pod wymuszonym spokojem, który zapewniały jej leki. Jej puls zaczął uderzać jak młot kowalski, powodując pulsowanie w skroniach. Jęknęła w palce, które blokowały jej usta, przez cały czas próbując zmusić się siłą woli, by nie dać się wciągnąć w wir niepokoju i paniki.

A on manewrując nią wokół siebie w końcu pchnął ją na łóżko.

- Nie - krzychał jej umysł, chociaż fizyczny krzyk nie zdołał opuścić gardła.

Leżała na plecach i walczyła bezskutecznie z jego ręką wciąż płasko przyciśniętą do warg. Druga błyskawicznie zsunęła się z jej szyi, tylko po to, by spocząć na czole. Tu dotknął jej lekko, ciepło jego szerokiej dłoni ledwie muskało powierzchnię skóry.

- Uspokój się Taviu - powiedział cicho. To chrapliwe warknięcie brzmiało teraz

mniej jak groźba, bardziej jak perswazja. - Zamknij oczy.

Przeciwstawiła się, szarpiąc głową pomimo dziwnego komfortu, jaki płynął od jego słów. Wyglądał na zdeorientowanego, że się mu nie podporządkowała.

Te nieludzkie oczy zwęziły się, żądając ją zjadliwym bursztynowym blaskiem.

- Śpij - tym razem to był rozkaz, jego ręka wciąż przytrzymywała jej czoło.

Bezczelnie spiorunowała go wzrokiem, pozwalając mu wyczytać furię w swoim kpiącym spojrzeniu. Kopiąc nogami i daremnie waląc pięściami w granitowe mięśnie jego ramion i pleców, podjęła kolejną rozpaczliwą próbę uwolnienia się. Gdy walcząc zmieniła pozycję, poczuła, że chłodne powietrze owiało nagą skórę na jej piersi.

Hotelowy szlafrok rozsunał się, tworząc szerokie V, obnażając ją dla jego oczu od gardła, aż do pępka. Obnażając najgorsze ze skaz jej skóry.

Wpatrywał się w nie przez chwilę. Po czym przeklął. - Piekło i szatani...

Tavia jęknęła. Upokorzenie zmieniło jej strach w coś bardziej przerażającego, czy napad i obawa przed utratą życia; to było za mało. A teraz jeszcze to coś nieludzkiego wpatrywało się w nią, jakby to ona była dziwadłem.

Odjął dłoń od jej ust z kolejnym, jeszcze barwniejszym przekleństwem. Przechylił głowę na bok pod nieludzkim kątem, a jego dzikie, złociste oczy wróciły do jej twarzy w oczywistym niedowierzaniu. - Co to jest, do cholery?

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 10



MIAŁ HALUCYNACJE. To musiało być to. Chase wiedział, co Nałóg Krwi mógł

uczynić z kimś z jego rodzaju. Miał świadomość, jak ta choroba potrafiła ingerować w logikę, okradać z rozsądku i zdrowych zmysłów, aż nawet z najtęższego umysłu nie pozostało już nic. Sam był cholernie pewny, że w ciągu ostatnich dni poczuł pewne zmiany w swojej psychice. Odkąd pozostawił detektywa na parkingu przy posterunku policji, głód krwi twardo trzymał go w szachu. Walka z dwoma teraz nieprzytomnymi fedasami i martwym sługusem leżącym w sąsiednim pomieszczeniu jeszcze pogorszyła jego sytuację. Był w kiepskim stanie, wiedział o tym, ale nigdy nie miał dolegliwości objawiających się, takimi podstępными omamami psychicznymi jak teraz. Ponieważ to co myślał, patrząc na obnażoną skórę Tavi Fairchild, było kompletnie niemożliwe.

Wzór gęstych, ale delikatnych oznaczeń pokrywał jej ciało od szyi do tułowia. Były jasne, blado-fioletowo-różowe, ledwie ton ciemniejsze niż prawdziwy odcień jej skóry. Dla jego osłabionego wzroku, zalanego żółtym światłem głodu krwi, pajęczyna łączących się zdobnych deseni i splatających się łuków wyglądała jak coś, co bardzo dobrze znał.

Te znaki wyglądały bardzo podobnie do dermaglifów Rasy. - Niemożliwe - powiedział, słysząc niepewność w dzikim warkocie własnego głosu. Takie jak te wzory na skórze, były właściwe tylko dla jego rodzaju. I dzięki genetycznej anomalii, od początku, odkąd starożytni zaczęli płodzić swoje potomstwo na ludzkich Dawczyniach Życia tworząc Rasę, wszyscy z rodzaju Chase'a... od tysięcy lat egzystujący na tej planecie... rodzili się jako chłopcy. Przez mgłę swojego wątpliwego rozumu, przypomniał sobie Jenę Darrow, kobietę pochodzącą z Alaski, która ostatnio dołączyła do Zakonu po napaści ostatniego ze Starożytnych. Ludzka partnerka Brocka miała podobne znaki tak, ale w porównaniu z tymi wypadały raczej blado i spowodowane były przez obce DNA zawarte kawałku biotechnologii wielkości ziarnka ryżu, które Starożytny wszczepił jej podczas swojego ataku.

To było coś zupełnie innego.

Zawiły wzór skóry zniknął pod fałdami materiału, który wciąż utrzymywał wokół talii Tavi luźno zawiązany pasek. Zauważył więcej znaków na jej biodrze, kiedy próbowała odsunąć się od niego na łóżku.

*Jezu, jak daleko sięgały?*

Wyciągnął dłoń ku węzłowi paska i rozwiązał go jednym szarpnięciem. - Nie! - krzyknęła, utkwione w nim oczy były pełne przerażenia, drżącymi piąstkami ściągnęła razem poły szlafroka. - Odejdź?! Nie dotykaj mnie! - Jej strach wyrwał jego umysł z szalonego chaosu w jakim się znajdował. Nie przyszedł tu żeby ją straszyć. Jego celem było zapewnienie jej bezpieczeństwa i upewnienie się, że eskortujący ją Sługus-glina nie będzie w stanie jej skrzywdzić. Jednocześnie był cholernie ciekawy, dlaczego Dragos posłał jednego ze swoich niewolników umysłu, żeby pełnił rolę jej strażnika. To pytanie paliło go jeszcze mocniej, kiedy spojrzał na jej dłonie o pobielających kłykciach, którymi ścisnęła zawinięte wokół ciała poły szlafroka, jakby od tego zależało jej życie.

Chase ponownie przyłożył dłoń do jej czoła, w kolejnej próbie pogrążenia kobiety w transie, ale miała zbyt silny umysł, który łatwo nie poddawał się kontroli. Zwalczyła nakaz snu, który powinien uśpić ją w ciągu kilku sekund i ułatwić mu decyzję, co dalej z nią robić. Odepchnęła go i walczyła, odmawiając poddania się pomimo strachu, tak że mógł poczuć pod sobą jak zwija się i faluje jej wysokie, zwodniczo szczupłe, chociaż atletyczne ciało.

A teraz dołączyły jeszcze inne problemy. W pokoju obok, zaczynał się budzić jeden z agentów federalnych, których Chase pozbawił przytomności. Gdyby którykolwiek z nich ocknął się i zobaczył go tu, ze złocistym blaskiem w oczach i ostrymi jak brzytwy, wysuniętymi kłami, to czyszczenie umysłu, jakie zafundował im kilka minut temu poszłoby na marne. A on nie miał czasu na powtórki.

- Wstawaj - warknął na Tavię Fairchild. Zdjął swój ukradziony płaszcz i przykrył ją nim razem ze szlafrokiem. Po czym zacisnął pięść na jego wełnianych klapach i wywlókł ją z łóżka. - Chodź ze mną - powiedział i nie dając jej innego wyboru, pociągnął wzdłuż krótkiego holu do pokoju dziennego hotelowego apartamentu.

Zignorował jej zduszony, gwałtowny wdech, gdy zobaczyła oznaki walki i trzech postawnych przedstawicieli prawa leżących bezwładnie na podłodze. Jej oddech był teraz szybki i urwany, na skraju hiperwentylacji. - Zabiłeś ich wszystkich – krzyknęła. - Och, Boże ... puszczaj mnie!

- Zabiłem tylko tego, którego musiałem zlikwidować - powiedział, gdy ciągnął ją przez pokój obok martwego Sługusa. Jeden z federalnych jęknął i zaczął się poruszać. Mieli zaledwie sekundy nim by się ocknął i Chase musiał wyjść zanim to nastąpi. - Proszę - wykrztusiła Tavia. - Proszę cię, nie rób tego. Powiedz mi czego ode mnie chcesz!

Niech mu Bóg dopomoże. Nie miał pojęcia, jak ma odpowiedzieć na to pytanie. Wszystkim, co teraz wiedział było to, że musi się stąd zwijać i nie może jej tu zostawić. Więc musiała iść z nim.

Gdy wessała oddech i poczuł, jakby przygotowała się do krzyku, wyjął broń Sługusa z tyłu zza paska swoich spodni, gdzie schował ją po bójce. Rzuciła tylko jedno spojrzenie na pistolet i ucichła. Nigdy nie użyłby go, żeby ją zranić; pochodził z Rasy, a to dawało mu ponad tuzin innych sposobów, żeby zmusić ją do zachowania ciszy. Lecz pistolet przemawiał najbardziej przekonująco do zmysłów śmiertelnych. - Tędy - rozkazał.- Szybciej.

- Wstrząśnięta i zszokowana nie stawiała oporu. Chase wypchnął ją na pusty korytarz znajdujący się poza apartamentem, po czym pociągnął w kierunku tylnej klatki schodowej.



\*\*\*

PROSTO SPOD PRYSZNICA, Lucan wyszedł przez francuskie, balkonowe drzwi ze swojej prywatnej sypialni, którą dzielił z Gabrielle w nowej centrali w Maine i stanął samotnie na drewnianym tarasie. Był nagi, krople wody wciąż czepiały się jego skóry, wokół której zewsząd unosiły się obłoczki pary, gdy wyszedł na ostre nocne powietrze. Było cholernie zimne, tu na dalekiej północy w środku zimy, po prostu zapierało dech w piersi. Wciągnął je w płuca, żeby oczyścić umysł i skupić swoje myśli wokół obowiązków i celów przyszłych misji; sprawach, na których znał się najlepiej... brzemieniu, jakie z własnej woli wziął na swoje ramiona, gdy całe wieki temu został założycielem Zakonu. Nigdy nie żałował tego wyboru i byłby przeklęty, gdyby teraz pozwolił sobie zacząć to robić.

Mruczając przekleństwo, zaczerpnął głęboko w płuca chłodne powietrze i zepchnął tą myśl w najgłębsze zakamarki duszy, zdecydowany stłumić dziwny ból, który dokuczał mu przez cały dzień. To coś dręczyło go nawet dłużej. Musiał się przyznać, że widok Gabrielle z dzieckiem Dantego i Tess nappełnił go niepokojącym bólem... niepożądaną pustką... nadał temu imię.

To była tęsknota.

Przejmująca do szpiku kości i niezaprzeczalna. Chryste, czuł się od tego chory.

Ujrzał swoją ukochaną obok niemowlęcia Rasy i doznał natychmiastowego, intensywnego pragnienia ujżenia jej wypełnionej jego własnymi synami. Wszystko, co w nim było mężczyzną, ryknęło z potrzeby, by zgłosić do niej pretensje na ten najbardziej pierwotny, podstawowy sposób. W tamtej chwili, zapragnął tego bardziej niż czegokolwiek innego w całym swoim życiu.

Ale to było coś, czego w tym momencie nie mógł pozwolić sobie czuć. Nie, gdy ich świat był w samym środku wojny z Dragosem i wszyscy spodziewali się, że Lucan ich poprowadzi. Wystarczająco złe było to, że musiał martwić się o Gabrielle za każdym razem, gdy pozostawiał ją idąc walczyć. Nie mógł znieść myśli, że musiałaby samotnie wychowywać jego dziecko.

To dlatego zawsze krzywo patrzył na wojowników, którzy brali sobie partnerki. Był niemal bliski zakazania zakładania rodzin podczas służby Zakonowi. To było zaledwie dwa lata temu, kiedy jego punkt widzenia dowiódł swojej słuszności podczas tragicznego wydarzenia na patrolu w Bostonie, gdy ponad stuletni członek Zakonu Conlan, ścigając Sługusa przyjął na siebie fatalny wybuch szrapnela i C-4. Rozpaczająca wdowa po Conlanie, Danika, która została zmuszona do oddania swojego partnera słońcu, była wtedy w ciąży z ich pierworodnym. Niedługo potem pogrążona w smutku i samotna zdecydowała się opuścić Boston. Nie, żeby ta bolesna lekcja była wystarczającym ostrzeżeniem dla któregokolwiek z pozostałych wojowników, by unikać emocjonalnego zaangażowania.

Jakoś, w przeciągu niespełna dwóch lat, prawie wszyscy z nich wzięli sobie Dawczynię Życia.... włączając w to również samego Lucana. Sprawy skomplikowały się jeszcze bardziej, gdy jakieś pół roku temu Niko i Renata sprowadzili pod skrzydła Zakonu ośmioletnią Mirę i gdy stworzyli parę uznali ją za własne dziecko, a teraz Dante i Tess mieli nowo narodzonego Xandera Raphaela.

Lucan uniósł twarz w górę i spojrzał ponuro na blady klin ubywającego sierpa księżycy, zerkający na niego przez baldachim wysokich sosen. Musiałby być głupcem, żeby myśleć o dodawaniu kolejnego niewinnego życia do potencjalnej listy zabitych i rannych. Ta sytuacja z Dragosem może przerodzić się w katastrofę, której nadejścia Lucan tak bardzo się obawiał. Przeczesał dłonią wilgotne włosy i wysapał przekleństwo w lodowatą, ponurą noc.

- Nie wiedziałam, że już wróciłeś.

Ciepły, melodyjny głos Gabrielle przyciągnął jego uwagę. Odwrócił się ku niej i jak zwykle został porażony przez jej niezwykłą urodę. Dziś wieczorem jej długie kasztanowe włosy zostały zebrane z w luźny węzeł na smukłym karku, oprócz dwóch podkręconych kosmyków tworzących ramę dla jej uroczej twarzy i kojących brązowych oczu. Była cała ubrana w czerń... nie łagodne kolory i miękkie linie, jakie zwykle miała na sobie, ale wydekoltowaną bluzkę z jedwabiu rozpiętą do połowy piersi. Materiał był przezroczysty, prześlizgiwał się po jej alabastrowej skórze i koronkowym czarnym staniku. Spódnica była obcisła i podkreślała jej apetyczne kształty, łuki bioder i długość szczupłych nóg. Szpilki lśniących butów o ostrych noskach dodawały jej co najmniej pięć cali wzrostu.

*Cholera, była gorąca.*

Nic dziwnego, że był stracony, odkąd po raz pierwszy ją ujrzał. Lucan odchrząknął.  
- Wróciłem około godziny temu. Wyglądasz niesamowicie.

Uśmiechnęła się i wyszła mu naprzeciw, w obronie przed chłodem krzyżując wokół siebie ramiona. Kiedy się odezwała jej oddech utworzył delikatną chmurkę. - Już od godziny jesteś w domu? Co robisz tutaj na zewnątrz?

Lucan wzruszył ramionami i objął ją, żeby ochronić przed zimnem. - Chciałem tylko zaczerpnąć trochę powietrza.

- Jest lodowato - podkreśliła. - A ty jesteś nagi.

Przyłożył usta do jej skroni. - Nagle zapragnąłem żebyś i ty też była rozebrana.

Jej cichy śmiech nie wyglądał na tak beztroski, jak wydawał się brzmieć. - Jak ci

poszło z Kellaniem dzisiaj wieczorem?

- Mały polował - powiedział. - Pożywił się.

- To chyba dobre wieści.

Lucan odchrząknął. - Mogłyby nimi być, gdyby nie musiał robić tego pod wpływem nakazu i nie wymagałby eskorty, żeby upewnić się, że go wykonał.

- On bardzo dużo przeszedł – przypomniała mu Gabrielle. - I jest tylko chłopcem. Daj mu czas.

Lucan skinął głową, przypuszczając, że miała rację. Kellan nie wyglądał na uszczęśliwionego stwierdzając, że Lucan naprawdę osobiście chciał z nim wyjść tej nocy na poszukiwanie Żywiciela, jeśli Lazaro nie zmieniłby planów i nie podjął się tego zadania.

O zmroku, Lucan znalazł młodego człowieka w prowizorycznej zbrojowni Zakonu, trenującego samotną pozorowaną walkę, dzierżąc parę długich sztyletów. Nie był zbyt dobry... te trochę za długie i stanowczo za szczupłe ramiona, oraz niechętnie do współpracy nogi... ale przecież dorastając w Mrocznej Przystani nie miał zbyt wielkiej praktyki w sztuce walki. Prawie odciął sobie stopę wypuszczonym z dłoni sztyletem, gdy Lucan oznajmił mu, że wychodzą tylko we dwóch, razem. Lazaro Archer wyraził pełną gotowość, żeby samemu wyjść z chłopcem, ale Lucan był ciekawy.

Zabrał Kellana do Bangor, najbliższego miasteczka z przyzwoitą populacją mieszkańców i wystarczającą ilością publicznych miejsc, żeby mieć z czego wybrać bez bycia postrzeganym jako ktoś więcej niż przygodni turyści z „daleka”. Kellan wybrał starego pijaka, który odsypiał libację w śródmiejskim parku... łatwa ofiara, ale w dzisiejszym ćwiczeniu nie chodziło o wyzwanie, ani o metodę. Lucan cofnął się,

podczas gdy chłopiec szybko się pożywił, po czym zostawił swojego Żywiciela pogrążonego w spokojnej wywołanej transem drzemce. Kellan nie wypowiedział do niego nawet dwóch słów w powrotnej drodze do ich kwatery, ale jego oczy straciły swoje ciemne obwódki, a skóra lekko się zaróżowiła, zdrowym rumieńcem pojawiającym się po karmieniu.

Gabrielle rzuciła w jego stronę pytające spojrzenie. - Wróciłeś cały ten czas temu, ale nie przyszedłeś, by mnie znaleźć i dać mi znać że jesteś? To całkiem nie w twoim stylu.

Pocałował jej lekko zmarszczone czoło. - Byłaś z Tess. Nie chciałem przeszkadzać w razie gdyby odpoczywali. Poza tym, wcześniej poprosiłem Gideona, żebyśmy sprawdzili system obrony i on czekał na mój powrót.

Dociekliwość Gabrielle zmieniła się w podejrzliwość. - Gdybym nie znała cię lepiej, mogłabym pomyśleć, że próbowałeś mnie unikać.

Zachichotał na tą myśl, ale jakaś głęboko ukryta w nim cząstka, zastanawiała się, czy mogła mieć rację. Posłał mroczne spojrzenie w nocne niebo i na ten cholerny, zawieszony na nim skrawek księżyca. To był płodny czas dla Gabrielle i każdej Dawczyni Życia, która dzieliła więź krwi z jednym z rodzaju Lucana. Jeśli w tym okresie... podczas ubywającego księżyca... połączyło się nasienie i krew, poprzez wzajemne karmienie się... powoływało się nową iskrę życia. Ten akt był święty, nie mógł być uczyniony z jakimkolwiek śladem wątpliwości.

Gabrielle wpatrywała się w niego w milczeniu. Zrobiła krok do przodu uwalniając się spod jego ramienia i sama też spojrzała na czarny aksamit mrocznego nieba. Wydała z siebie ciche westchnienie, ciche ale wymowne. Odwróciła się plecami do księżyca i stanęła naprzeciw niego, opierając się plecami o balustradę tarasu. - Słyszałam, że Hunter odżywał się dzisiejszej nocy. Czy on i Corinne są już drodze na

północ?

Lucan kiwnął głową, bardziej niż skłonny do skorzystania z zaoferowanej mu zmiany tematu. - Musiał przeczekać dzień w Pensylwanii, ale wieczorem znowu ruszą w drogę. Spodziewają się, że przed świtem opuszczą już Nową Anglię i dotrą tu jutrzejszej nocy.

Wciąż wydawało mu się trochę dziwne myśleć o Hunterze jako o jednym z Zakonu, ale śmiertelnie niebezpieczny przedstawiciel pierwszej generacji, który kiedyś służył jako zabójca w szwadronach Dragosa, przez ten krótki czas, jaki przebywał z wojownikami, dowiódł, że był dla nich ważnym atutem. Teraz powracał z misji w Nowym Orleanie... która przyniosła Zakonowi cenne informacje na temat jednej z głównych operacji Dragosa. Hunter wiozł je ze sobą. Przywoził również coś innego: Corinne, jego świeżo związaną partnerkę i chłopca, którego urodziła jakieś trzynaście lata temu, podczas gdy była trzymana w niewoli w jednym z genetycznych laboratoriów Dragosa.

- Nie mogę powiedzieć, iż jestem zaskoczona tym, że Hunter i Corinne są razem - zauważyła Gabrielle, jakby była dostrojona do myśli Lucana tak samo jak ich więź krwi łączyła ich emocjonalnie. - Oboje wyrwali się temu diabłu Dragosowi. A teraz na nowo rozpoczynają swoje życie, razem. I Nathan też... biedne dziecko.

Lucan zamyślił się nad pochodzącym z Rasy synem Corinne, jednym z wielu spłodzonych w wyniku gwałtu na uwięzionych Dawczyniach Życia, które Dragos wykorzystał do stworzenia swojej własnej, prywatnej armii zabójców pochodzących z pierwszej generacji Rasy. Wszyscy poczęci w ten sposób dzielili to samo DNA pochodzące od jednego ojca... pobrane od Pradawnego, którego Dragos w głębokiej tajemnicy przez wieki trzymał w ukryciu. Uczynił go swoim niewolnikiem i wykorzystywał, aż do chwili, gdy obcy wyrwał się na wolność na pustkowiach Alaski. Teraz Starożytny już nie żył, zgładzony przez Zakon, po tym jak zostawił za

sobą krwawe żniwo przechodząc przez tamtejsze osady, oraz po napaści na Jennę, którą to wydarzenie zmieniło już na zawsze.

Ale jego laboratoryjnie wyhodowane potomstwo było nadal żywe, dorastające samotnie tylko w obecności Sługusów i szkolone przez Dragosa w sztuce zabijania. Byli nazywani Zabójcami. Od momentu narodzin pozbawiano ich własnej tożsamości i wszystkich ludzkich odruchów - chłopców takich jak syn Corinne, Nathan i należącego teraz do Zakonu Huntera, którego uwięziona matka nie pożyła wystarczająco długo, by zobaczyć wolność, lub tak jak Corinne mieć okazję do odszukania swojego straconego dziecka. Dzięki upartym wysiłkom Gabrielle i reszty kobiet Zakonu, Corinne i kilka ocalałych Dawczyń Życia zostało zlokalizowanych w ich sekretnym więzieniu, a po uwolnieniu dano im szansę na rozpoczęcie nowego życia.

- Myślisz, że może istnieć jeszcze wielu takich chłopców jak Nathan? - Zapytała Gabrielle.

Lucan potrząsnął głową. - Obawiam się, że zbyt wielu. Dragos hodował swoich zabójców przez dekady, zaczynając od Huntera, pięćdziesiąt parę lat temu.

- Przypuszczam, że nie powinniśmy oczekiwać, iż eksperymenty Dragosa ograniczały się tylko do jego laboratoriów hodowlanych - dodała grobowym tonem.

- Tylko jeden Bóg zna rozmiary jego chorej działalności.

- Przy odrobinie szczęścia – powiedział Lucan - dokumenty laboratoryjne, które Hunter wiezie z Nowego Orleanu, dadzą nam jakieś spojrzenie na ten temat.

Kąciaki warg Gabrielle wygięły się w uśmiechu. - Jestem pewna, że Gideon nie może się już doczekać, żeby dostać te pliki do rąk. Nie wspominając już o genetycznych próbkach, które Dragos przechowywał w chłodni.

Lucan kiwnął głową. - Ciągłe słyszę o tym od Gideona, odkąd Hunter po raz pierwszy skontaktował się z nami, mówiąc, że znalazł crio zbiorniki i zapiski laboratoryjne i wkrótce nam je dostarczy.

Zdobycie laboratorium było jedynie najnowszym ciosem, jaki Zakon zadał operacji Dragosa. Było również bardzo prawdopodobnie tym, co popchnęło go ku krawędzi, czyniąc go wystarczająco zdesperowanym, by przyczynić się do zbombardowania budynku w Bostonie i przysłania ludzkiej policji prosto do głównych drzwi siedziby Zakonu.

- Tej sprawie z Dragosem jest jeszcze daleko do zakończenia – powiedział Lucan, dzieląc swoje niepokojące myśli z Gabrielle. - On jeszcze nie skończył, bynajmniej nie. Zamierza zrobić coś nieodwracalnego. Czuję to w kościach. Po tym już nigdy nie będziemy mogli powrócić do obecnego stanu rzeczy.

Gabrielle podeszła do niego. Owinęła ramiona wokół jego nagiego pasa, jej policzek czule spoczął na jego piersi. - Robisz wszystko, co jesteś w stanie. Wszyscy to robimy, Lucanie. Ale teraz wyrzuć Dragosa ze swojej głowy.

Lucan zacisnął zęby, gotowy powiedzieć jej, że nie ma żadnego sposobu, by usunąć łajdaka z jego umysłu. Dragos żył w nim teraz jak upiór, kpiący i obrzydliwy, przepełniony groźbą.

Gabrielle sięgnęła w górę i ujęła jego napiętą szczękę w swoje delikatne dłonie. Przyciągnęła jego usta do swoich warg i wycisnęła na nich powolny pocałunek.

- Postaraj się o nim na chwilę zapomnieć - powiedziała. Jej oczy załśniły nieco psotnie. - Poza tym, dzisiaj są twoje urodziny. Czyżbyś zapomniał?

Mruknął zaskoczony przypominając sobie o tym fakcie - Ja nigdy specjalnie nie



przejmowałem się tym dniem – powiedział, przesuwając koniuszkami palców wzdłuż eleganckiej linii jej gardła.

- No cóż, ja się tym przejmuję - odpowiedziała. - I mam coś dla ciebie. - Wysunęła się z jego ramion i wróciła do ich sypialni. Poszedł za nią, niezdolny do oderwania wzroku od delikatnego kołysania jej idealnej pupy, która wyglądała coraz bardziej niewiarygodnie z każdym długim krokiem, jaki robiła na tych swoich szpiczastych, czarnych szpileczkach. Wyciągnęła coś z szuflady biurka stojącego po przeciwnej stronie pokoju, a kiedy odwróciła się przodem do niego, ukryła to coś za plecami.

- To taki drobiazg, po prostu pomyślałam, że chciałbyś go mieć.

- Nie musiałaś dawać mi prezentu - odpowiedział, jego głos zabrzmiał trochę głucho, ponieważ kły eksplodowały mu z dziąseł w rozpaczliwym pragnieniu należącej do niego kobiety. Chciał ją wyluskać z tej obcisłej spódnicy i wylizać od palców ukrytych w lśniących butach, do brzoskwiniowych czubków sutków, które napierały na czarny koronkowy czarny stanik i zwiewny jedwab jej bluzki. - Już mam wszystko, czego kiedykolwiek mógłbym zapragnąć.

Wyjęła prezent z za pleców, duży złożony w kostkę kwadrat materiału, przewiązany czerwoną atlasową wstążką. Gabrielle podała mu go. - Rozpakuj.

Pociągnął za luźny koniec kokardy i rozwiązał wstążkę. Kiedy zaczął rozkładać haftowaną tkaninę, od razu zdał sobie sprawę, co to było. To był bardzo stary gobelin... średniowieczny, przedstawiał ciemnego, konnego rycerza i mający za nim w oddali zamek na wzgórzu. Lucan bardzo dobrze pamiętał ten moment; przeżył go. Zamówił ten gobelin wkrótce po założeniu Zakonu, nigdy nie podejrzewając, jakie sekrety krył on w swojej osnowie, ani jak długo pozostaną one nieodkryte. Gobelin miał dla niego duże znaczenie z wielu powodów, ale teraz stał się bezcenny, głównie dlatego, że jego Dawczyni Życia dopilnowała, by ten kawałek tkaniny dotarł tu bezpiecznie z Bostonu.

- Ty byłeś tak zajęty zabezpieczaniem sprzętu bojowego i wyposażenia, że zdecydowałam się zawczasu spakować kilka twoich rzeczy.

Lucan spojrział w górę i napotkał spojrzenie ukochanej. - Dziękuję ci.  
Nigdy nie dostałem miłszego prezentu.

Położył gobelin na brzegu łóżka i wciągnął Gabrielle w swoje ramiona. Ich usta spotkały się w głębokim pocałunku, nieśpiesznym i zmysłowym. Lucan zatracił się w niej, czując ciepło jej ciała napierającego na jego nagą skórę, gładkość jedwabiu pomiędzy nimi, gdy przyciągnął ją jeszcze bliżej i obwiodł językiem wilgotną miękkość jej warg. Pożądanie wybuchło w nim, jakby ktoś w jego wnętrzu przyłożył ogień do benzyny. Oddech wydostał mu się z płuc z chrapliwym warknięciem, gdy jego dłonie przesunęły się wzdłuż zgrabnej linii jej kręgosłupa, po czym zacisnęły się na pełnych krągłościach pośladków.

Jęknęła pod wpływem pieszczoty i pocałowała go, zręczny koniuszek jej języka precyzyjnie przycisnął się obok zębów i kłów, po czym wsunął się w głąb jego ust. Jej palce sięgnęły do jego penisa i objęły go silnym chwytem. I tak był już twardy jak granit, lecz jej dotknięcie wysłało na dół kolejną falę krwi, sprawiając że jego podniecenie narosło do granicy bólu. Bawiła się nim, z ustami na jego ustach, lekko głaszcząc twardą erekcję i delikatnie, samymi koniuszkami palców drażniąc jego mosznę.

Lucan wsunął rękę pomiędzy ich przytulone ciała i zamknął w dłoni jej pierś, przesuwał kciukiem po napiętym koraliku brodawki, który z całej siły napierał na koronki i jedwab, które go więziły. Błyskawicznie poradził sobie z maleńkimi guziczkami przy jej bluzce, po czym zsunął ją z jej ramion i pozwolił tej jedwabnej mgielce opaść na ziemię u ich stóp. Gdy zaczął sięgać ku zapięciu z przodu jej mocno wyciętego biustonosza, Gabrielle chwyciła go za rękę i poprowadziła ją ku swoim biodrom. - Dotknij mnie - szepnęła pomiędzy odurzającymi pocałunkami. – Poczuj, jak bardzo cię pragnę.

Skwapliwie spełnił jej życzenie, unosząc długą zasłone spódnicy do czasu, aż zdołał wśliznąć pod nią rękę. Jej jędrne uda pokryte były jedwabnymi pończochami, które lekko zaczepiały o jego szorstkie opuszki palców, gdy gładził je sięgając do góry. Jedwab skończył się nagle, zakończony koronkową podwiązką. Jej biodra i pupa były nagie.

*Żadnej bielizny. Och, Chryste.*

Westchnęła drżąc, gdy pozwolił swoim dłoniom wędrować po jej nagiej, gładkiej skórze. Kiedy wsunął palce w wilgotny jedwab jej płci, poczuł, jak jej jęk wprawia w drżenie jego własne gardło. Jego pobudzenie drżało z pragnienia, by się w niej zanurzyć. Krew wrzała jak lawa, a żądza i zaborczość płonęły w jego żyłach. Znalazł zamek błyskawiczny na boku jej spódnicy i szarpnął go w dół. Jego ręce były niezdarne i gwałtowne, gdy ściągał spódnicę z jej bioder i patrzył, jak jego kobieta ukazuje się mu ubrana tylko w czarny koronkowy stanik, pończochy sięgające do połowy uda... i błyszczące skórzane buty. - Słodkie piekło - wyszeptał, karmiąc oczy.

Uśmiechnęła się kocią krągłością ust napuchniętych od pocałunków. - Gobelin nie może być najlepszym prezentem, jaki kiedykolwiek otrzymałeś.

Lucan był zdolny tylko stać, cały skupiony tylko na niej, gdy powoli przykucnęła przed nim na swoich smukłych obcasach i wzięła jego sztywnego penisa w swoje dłonie. Głaskała jego męskość ze wzrokiem utkwionym w jego oczach, jednocześnie pieszcząc jądra, jej kciuk gładził spód penisa, palce miała śliskie od jego pobudzenia. Boże dopomóż mu. Gdy jej usta zamknęły się wokół główki, omal nie spuścił się na miejscu. Ssała go dopóki prawie nie mógł tego wytrzymać i wszystko, co mógł zrobić to bez słowa postawić ją na nogi i tam gdzie stali zanurzyć się w nią aż po rękojeść. Chwilę później nie miał pojęcia, jak długo robili to przy ścianie obok otwartych drzwi balkonowych, ale nie mógł wykrzesać z siebie dostatecznej kontroli, by przerwać to dzikie pieprzenie i zaprowadzić ją do łóżka, gdzie mógłby kochać się z

nią jak należy.

Nie, żeby w jego odczuciu to było niewłaściwe. Nigdy w swoim życiu nie czuł niczego właściwszego niż całkowicie pochłaniający go żar Gabrielle, jej ciało w jego ramionach i jej głodne, nienasycone pocałunki. - Nakarm mnie - szepnęła w jego usta, szczypiąc go swoimi tępymi drobnymi ząbkami. - Pozwól mi pić z ciebie, Lucanie.

Nie był w stanie jej odmówić. Nie istniało nic intymniejszego niż więź, którą dzielili. Nie było niczego cenniejszego, co mógłby zaproponować swojej partnerce niż moc własnej krwi, która dawała jej nieśmiertelność przy jego boku i wiązała ją z nim na tak długo, jak długo oboje będą oddychać. A picie z niego w tej chwili spotęgowałoby jej rozkosz do niewyobrażalnego poziomu.

Przytrzymując ją jednym ramieniem i kontynuując zanurzanie się w jej gościnnym ciele, Lucan uniósł swój drugi nadgarstek do ust i zatopił kły w pulsującej tam żyłę. Gabrielle przyciągnęła go do siebie i mocno zacisnęła na nim wargi. Jęknęła z ekstazy, gdy pierwsze krople jego krwi uderzyły w jej język.

Mógł poczuć jej nadchodzący orgazm. Jego własny również nabierał mocy, narastał, gdy karmiąc się z jego nadgarstka mocniej owijała się wokół niego. Widział jej puls gwałtownie tętniący w żyłę u nasady jej delikatnego gardła. Ten rytmiczny werbel dudnił również w nim, wiodąc go ku spełnieniu i skłaniając go do wzięcia rozkoszy, która kryła się tuż pod kremową skórą szyi jego przepięknej Dawczyni Życia.

Oczy Gabrielle były otwarte, patrzyły na niego błagalnie. Przechyliła głowę, oferując mu siebie jak sakrament na ołtarzu przyjemności. Lucan warknął od mocy tej pokusy. Ale jego spełnienie było zbyt blisko. A dzisiejszej nocy był prawie nów. Jego spojrzenie pomknęło przez otwarte drzwi balkonowe w kierunku cienkiego rogala księżycy i nie mógł powstrzymać się od warknięcia.

Usta Gabrielle oderwały się od drobnych ran na jego nadgarstku. Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego twarzy, jej oczy spojrzały na niego z rozumieniem. - Czy pragnienie tego jest takie złe, Lucanie? Ja też tego chcę.

Nie był w stanie nic powiedzieć. Spojrzał w jej kochające oczy rozdarty pomiędzy tęsknotą, a strachem, strachem o przyszłość swoich synów, gdyby jego misja zakończyła się niepowodzeniem. Czy mógł podejmować takie ryzyko? Czy mógł ryzykować wiedząc, że synowie, których miałby z Gabrielle mogą przyjść na świat pogrążony w wojnie, do której rozpętania sam się przyczynił... albo jeszcze gorzej, stać się jej ofiarami?

Gabrielle nie okazała mu żadnej litości. Jej wargi znowu przywarły do otwartej żyły na jego nadgarstku, a nogi zawinęły się mocniej na biodrach, klując go obcasami jak ostrogami, gdy przytrzymała go przy sobie i krzycząc, kiedy poczuła pierwsze dreszcze orgazmu. Lucan ryknął, gdy rozkosz rozkołysała jej ciało, jej pochwa kurczowo zacisnęła się wokół niego, drobne mięśnie pchały go w kierunku punktu, z którego nie ma odwrotu.

- Zrób to - szepnęła chrapliwie, jej wargi splamione były szkarłatem jego krwi, gdy wyciągnęła rękę i kładąc mu ją na karku, przyciągnęła jego twarz do swojego delikatnego gardła. Przycisnęła jego usta do swojej pulsującej arterii szyjnej, w tym samym czasie jej smukłe ciało zaczęło wyginać się w spełnieniu. - O Boże, Lucanie. Proszę... zrób to teraz. Czuję jak bardzo tego pragniesz.

Orgazm Lucana narastał już u podstawy penisa. Nie mógł powstrzymać swoich bioder przed gwałtownym poruszaniem się, ani nasienia, które pragnęło wykipieć, jego spełnienie było już na skraju eksplozji. Jedno drobne draśnięcie jej skóry kłami. To wszystko, co byłoby potrzebne. Odrobina smaku jej krwi na czubku języka i nie zdołałby powstrzymać się, żeby nie wziąć jej więcej. Byłaby w ciąży z jego dzieckiem zanim ta noc dobiegłaby końca.

*Ach, pieprzyć to...*

- Nie - warknął, bardziej do siebie, niż odrzucając to, o co go prosiła. Jego członek zadrżał, gdy zanurzył się w nią głębiej, jego kontrola zaczynała zrywać się ze smyczy. - Nie mogę... Nie mogę ci tego zrobić. - Ledwie był w stanie wyrzucić z siebie te słowa zanim detonował głęboko w jej wnętrzu. Jego orgazm wystrzelił z niego niekończącym się potokiem. Lucan odsunął swoją twarz od kusząco pulsującej żyły Gabrielle, gdy zalewał ją swoim nasieniem, a ona trwała przy nim w bezruchu. - Przykro mi - wyszeptał, gdy w końcu udało mu się wydobyć z siebie głos. Łagodnie wycofał swój nadgarstek z jej luźnego chwytu i liźnięciem zamknął ranki. - Gabrielle ... naprawdę mi przykro.

Czując się jak tchórz i łajdak, oparł swoje czoło o jej głowę i tulił ją w okropnej przedłużającej się ciszy.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 11



NIE WIEDZIAŁA DOKĄD ją zabrał. Pokój był ciemny, w oknach pomiędzy podwójne szyby wciśnięte były opuszczone stalowe żaluzje. Żadne światło nie było w stanie wedrzeć się do wewnątrz, ale w przeciągu godzin, jakie spędziła odkąd została tu przyprowadzona Tavia słyszała, jak z nastaniem dnia na zewnątrz nasila się stłumiony uliczny zgiełk. Godziny nocnej ciszy już się skończyły, przerwane zamieszaniem spowodowanym porannymi dojazdami do pracy, sporadycznym

dźwiękiem klaksonów, lub sykiem przesuwanych drzwi miejskich autobusów, przeplatanych rytmicznym szmerem opon przemykających po zmarzniętym asfalcie.

Była w jakimś domu. Prawdopodobnie wciąż w Bostonie, być może nawet w samym centrum miasta. Spodziewała się, że do tej chwili będzie już martwa. Po tym jak pod lufą pistoletu została zmuszona do opuszczenia hotelu, gdzie była świadkiem jak wewnątrz apartamentu... trzech w pełni uzbrojonych urzędników ochrony porządku publicznego zostało unieszkodliwionych przez jednego wyraźnie stukniętego, śmiertelnie niebezpiecznego mężczyznę... Tavia nie miała żadnych logicznych powodów, żeby przypuszczać, że zostanie oszczędzona. Wyjąwszy słowa jej porywacza, który twierdził, że nie ma zamiaru jej skrzywdzić. Była czujna i czekała na śmierć, która mogła nadejść lada chwila, nasłuchiwała w ciszy tego dziwnego miejsca, do którego ją zabrał, zastanawiając się czy jedynie spał za zamkniętymi na klucz drzwiami sypialni, czy też rozważał najlepsze sposoby na pozbycie się jej.

Nawet teraz, po tym jak noc przeszła w świt i wciąż oddychała, wcale nie była przekonana, że uda jej się wyjść żywej z tej sytuacji. Usiadła na brzegu ogromnego gołego materaca w pokoju, który był prawie zupełnie pusty, nie licząc kilku okrytych pokrowcami mebli, bojąc się, że następny raz w którym ujrzy swojego porywacza będzie dla niej prawdopodobnie ostatnią chwilą życia.

Nie powiedział jej dokąd idą, po prostu powlókł ją przez klatkę schodową hotelu, na piętrowy parking pod poziomem ulicy, wrzucił do bagażnika sedana należącego do agentów federalnych i szybko odjechał. Pomimo, że wydawało się, iż ta jazda trwała ponad godzinę, to Tavia mogłaby przysiąc, że nie opuszczali miasta. Dźwięki i zapachy, nierówności i zakręty gęstej sieci ulic, znajome odgłosy miasta... jej zmysły widziały to wszystko. Jadąc w ciemnym bagażniku prawie mogła wyobrazić sobie mijane ulice. To był jej świat. Tam była wolność, gdyby tylko udało się jej znaleźć sposób na ucieczkę z tego zamkniętego pokoju. Z dala od tego spowitego jak duch w

prześcieradła, martwego domu.

Tavia wstała z łóżka ciaśniej owijając się szlafrokiem i ponownie podeszła do okna. Nie dostrzegła niczego, co mogłoby otwierać żaluzje. Wydawały się być sterowane elektronicznie i tak solidne, jak zabezpieczenia bankowego skarbcza. Szklane szyby były grubymi, osadzonymi na stałe panelami. Jedynym sposobem, żeby je sforsować mogło być tylko rozbicie ich, zakładając, że zdoła znaleźć coś, co mogłaby użyć do tego celu. Jej oczy już dawno przystosowały się do ciemności. Tavia spojrzała na przykryte jasnymi prześcieradłami meble, stojące wokół sypialni. Solidne, mocne kształty sugerowały wysokie biurko i toaletkę z lustrem stojącą prostopadle do łóżka z baldachimem. Podeszła i podniosła całun robiąc szybki przegląd szuflad. Ku jej zdziwieniu znalazła je wypełnione schludnie złożonymi skarpetami i bielizną, posortowanymi z wojskową precyzją według kolorów i faktury tkanin.

Garderoba dała takie samo niespodziewane odkrycie: pełna szafa męskich ubrań, ze dwadzieścia szytych na miarę garniturów o drogim wyglądzie i smokingów, oraz klasycznej odzieży wartiej co najmniej kilkadziesiąt tysięcy dolarów. Kolekcja butów w rozmiarze czternastym, wszystkie czarne, starannie wypastowane i utrzymane, ustawione w równych rzędach na dolnej półce ogromnej wnękowej szafy.

Ktokolwiek tu mieszkał cieszył się uprzywilejowanym życiem w otoczeniu wysokiej jakości przedmiotów.

I najwyraźniej porzucił to wszystko.

Cała sypialnia krzyczała o starych pieniądzach i długim, doskonałym rodowodzie. Tavia rzuciła okiem w górę na przyozdobiony koronami gzyms otaczający sufit oddalony od podłogi o ponad trzy metry, ściany wyłożone boazerią, a powyżej niepomalowane ani wytapetowane lecz pokryte jedwabiem w kolorze kości słoniowej. Przeszła na drugą stronę dużego pokoju, jej bosa stopy zanurzyły się w ciemnym, wzorzystym tureckim dywanie, który pokrywał niemal całą podłogę. Szerokie biurko zabierało najwięcej miejsca przy ścianie naprzeciwko łóżka.



Ściągnęła z niego lniany pokrowiec i usiadła we wspaniałym skórzanym fotelu. Błat biurka był całkowicie pusty, ale jego szuflady, tak samo jak te w szafie i toalecie zawierały starannie uporządkowaną treść przerwane i porzucone życie.

Tavia przeszukała pióra i sprzęty biurowe, szukając czegoś, czego mogłaby użyć jako broni przeciwko swojemu porywaczowi, albo narzędzi, które mogłyby pomóc jej uciec z tego więzienia. Gdy dokopała się do tyłu szuflady, koniuszki jej palców natrafiły na plik fotografii ułożonych wraz z innymi pamiątkami na płytce srebrnej tacy. Wyciągnęła ją i ustawiła na drewnianej wyczyszczonej do połysku powierzchni biurka. Na srebrze było wygrawerowane szlachetnie brzmiące nazwisko: Sterling Chase. *Jego?* Zastanawiała się.

Niewielka metalowa fiolka wielkości jej kciuka potoczyła się tam i z powrotem po zdjęciach. Tavia podniosła ją i obejrzała, ale nie mogła domyślić się, co mogła zawierać. Błyszczała w jej dłoni i gdy nią potrząsnęła nie wydawała żadnego dźwięku, ale naturalny korek, którym była zamknięta został dokładnie zaplombowany czerwonym woskiem. Odłożyła ją ponieważ jej spojrzenie padło na zdjęcia. Ogółem było ich około tuzina. Dokumentujące zdarzenia losowe z przypuszczalnie około dekady: elegancka recepcja w ekskluzywnym klubie wiejskim. Jakieś wręczenie nagrody, z udziałem tłumu przystojnych i eleganckich mężczyzn ubranych w taki sam rodzaj ciemnych garniturów, jakie znalazła w sypialnianej szafie wnekowej. Radosne przyjęcie urodzinowe młodego chłopca, z błyszczącymi balonami i chorągiewkami, oraz stertą pięknie zapakowanych prezentów. Uroczystość odbywała się w miejscu, które wydawało się być właśnie tym domem.

I jedno ostatnie, ukryte na samym spodzie pliku. Tavia wpatrywała się w nie i poczuła, jak krew uderza jej do głowy... to był jej porywacz. Doprowadzające do oblędu zagrożenie... mężczyzna, przed którym jej instynkty ostrzegły, że był czymś jeszcze niż tylko człowiekiem. Stał za elegancką kanapą, jego ramiona otaczały opiekuńczo szczupłe barki kobiety o jasnych włosach i młodego chłopca ze zdjęcia z urodzinowego przyjęcia. Chłopiec był tu już trochę starszy, już nie lnianowłose, uśmiechające się dziecko uginające się pod olbrzymim pudłem, ale przystojny

nastolatek noszący bluzę sportową Uniwersytetu Harvarda i pewny siebie uśmiech, który wydawał się mówić, że ma świat u swoich stóp.

Kobieta była olśniewająca. Delikatna i piękna, jej doskonała owalna twarz była tak nieskazitelna jak jedwab w kolorze kości słoniowej na otaczających ją ścianach. Miała długie włosy blond w kolorze kolby kukurydzy i ogromne lawendowe oczy ozdobione firankami ciemnych rzęs. Uśmiechała się promiennie do młodzieńca tak jak dumna matka, chociaż wyglądała jakby była starsza od niego o zaledwie kilka lat.

Porywacz Tavi też się uśmiechał się. Subtelne, nieco powściągliwe wygięcie jego szerokich ust sprawiło, że wyglądał czarująco i zniewalająco. Określenie atrakcyjny nawet w przybliżeniu nie opisywało szczupłych rysów twarzy i zdecydowanego, kwadratowego zarysu jego szczęki. Ale podczas, gdy jego uśmiech wydawał się wystudiowany i wymierzony, to spojrzenie było rozbijającym bezbronnie.

Przepelnione bolesnym pragnieniem.

Całkowicie skupione na ładnej młodej kobiecie siedzącej w luźnych objęciach pod osłoną jego ramienia. Tavia jeszcze raz przejrzała resztę fotografii. Był na większości z nich, uczestnicząc w poważnych spotkaniach, ubrany w swoje nienagannie uszyte garnitury, otoczony przez bogactwo, przywileje i dystynkcję.

Mój Boże.

Kimkolwiek był... cokolwiek się z nim stało... to było życie, z którego się wywodził.

To była jego rodzina.

Czy to miejsce, do którego ją sprowadził.... to był kiedyś jego dom?

CHASE OBUDZIŁ SIĘ Z wściekłym łupaniem w głowie. Ocknął się z gardłowym warknięciem, nałóg krwi szarpał go ostrymi szponami, które poprzedniej nocy nieco złagodziły swój uścisk. Jego czaszka pulsowała, a w ustach miał smak popiołu. Każda cząstka jego ciała czuła się obolała i wykończona. Dodatkowo umierał z głodu. Nie otwierając oczu zmusił się żeby unieść swoje ciało z podłogi, na którą osunął się parę godzin temu, osłabiony wysiłkiem, odniesionymi ranami i nękany rozpaczliwą potrzebą pożywienia się. Ale na to nie mógł sobie pozwolić, ponieważ wiedział, że napicie się krwi spowodowałoby tylko nasilenie się jego nałogu. Wyczuł, że na zewnątrz nastął już dzień. Minęły długie godziny odkąd przybył tu razem z kobietą.

Tavia Fairchild.

Jej imię i nazwisko wdawały mu się teraz mniej nieznajome, trochę jak łamigłówka, którą trzeba było rozwiązać. Była tajemnicą, która nie miała dla niego sensu ale nie sposób było ją zignorować. To było powodem, dla którego zabrał ją tu, do tego miejsca, gdzie nigdy nie spodziewał się wrócić. Potrzebował czasu żeby pomyśleć, czasu by ją obejrzeć. W pełnych nerwowego pośpiechu chwilach, które nastąpiły po unieszkodliwieniu jej ochrony w hotelowym apartamencie i po zmarnowaniu cennego czasu na przeczesywanie Bostonu w poszukiwaniu bezpiecznego schronienia, w końcu przyszło mu zaakceptować fakt, że to było jedyne miejsce, do którego mógł się teraz udać. Jego dawna Mroczna Przystań, nad którą przejął przywództwo po śmierci swojego starszego brata na służbie dla Agencji Nadzoru.

Chase porzucił to wszystko nie oglądając się za siebie, kiedy ponad półtora roku temu przyłączył się do Zakonu. Jego rodzina, prawie tuzin osób, za które był wówczas odpowiedzialny, młodszy kuzyni, przyjaciele i dalsi krewni przenieśli się do innej, okolicznej Mrocznej Przystani. W obecnej chwili jego dawny dom był jedynie pustym grobowcem mieszczący wspomnienia dawnych grzechów i niepowodzeń.

Ta rezydencja z brunatnego piaskowca w bostońskiej dzielnicy Back Bay była ostatnim miejscem, w którym chciałby się teraz znaleźć, ale nie mógł wymyślić żadnego innego, które byłoby dość bezpieczne dla Tavi i wystarczająco odosobnione dla niego. Ponieważ, jeśli chodzi o ludzkie organy ścigania, to wiedziały one, że jego jedynym miejscem zamieszkania była siedziba Zakonu. Nie wiedzieli o nim nic poza tym, co był im skłonny wyjawiać. Same kłamstwa i półprawdy.

Chase jęknął, niechętnie rozchylając powieki, walcząc z kolejnym atakiem pulsującego bólu w skroniach. Jego całe ciało zwinęło się pod wpływem nieustającego łupania!.. Łup!.. Bum!... Łup!..., które wydawały się rozbrzmiewać echem ze wszystkich stron i w nim samym. Potem, usłyszał nagły brzęk tłuczonego szkła. Zerwał się na równe nogi i w jednej chwili znalazł się przy zamkniętych na klucz drzwiach do sypialni. Otworzył je na oścież i znalazł Tavię stojącą w swoim białym hotelowym szlafroku przed zabezpieczonym okiennicami oknem, sapiącą przy kolejnej próbie podniesienia ciężkiego fotela, żeby trzasnąć nim w szybę. Przenikliwie jaskrawa smuga światła słonecznego wpadała przez roztrzaskane szkło, oślepiając go w chwili, w której wszedł do sypialni.

Chase syknął, a w ataku wściekłości kły wyskoczyły mu z dziąseł. Uniósł ramię, by osłonić oczy i po omacku złapał ją za rękę zanim kolejny raz uderzyła w okno.

- Co ty, do cholery robisz?

- Puść mnie - wrzasnęła, kiery wyrwał fotel z jej rąk. - Wynoszę się stąd!

Chase chwycił ją za ramię, zawłókł do sąsiedniego gabinetu, gdzie nocował i zatrzasnął drzwi. - Straciłaś swój pieprzony rozum? - Odepchnął ją od siebie, niezbyt łagodnie, ledwie zdolny kontrolować swoją dziką część natury, która tylko szukała pretekstu, żeby zerwać się ze smyczy.

Klapnęła pupą na podłogę obok kominka, jej szlafrok rozchylił się obnażając większą część doskonale ukształtowanej piersi. Chase zaklął. Jego wzrok zalała powódź płonącego bursztynu, a skóra zapiekła z powodu wściekle kłębiących się dermaglifów. Zwykle, próbowaliby patrzeć w inną stronę, próbowaliby ukryć się przed ciekawskimi ludzkimi oczami, ale utkwiała w nim nieruchomy wzrok, bezlitosny. Jej inteligentne spojrzenie bezbłędnie zarejestrowało transformację mężczyzny w potwora. - Czym jesteś? Co się stało z twoimi oczami? Wczoraj wieczorem w hotelu widziałam twoje zęby. Musisz być... - Zacięła się nieco na tym słowie. - Widziałam twoje kły. Teraz też je widzę. Więc powiedz mi prawdę. Czym do cholery jesteś?

- Myślę Taviu... że wiesz. - Odpowiedział stanowczo.

- Nie - zaśmiała się nerwowo. Zapewniam cię, że nie wiem. Nawet nie mam pewności, czy chcę to wiedzieć. Teraz zaczęła drżeć, a kiedy spróbowała wstać trzęsły się pod nią nogi.

Przechylił głowę, patrząc na nią. Badając jej reakcje, które mogłyby powiedzieć mu coś więcej na temat kim... albo czym była. - Boisz się.

Jej twarz stała się jeszcze odrobinę bledsza. - Jestem przerażona, ty chory sukinsynu! Zamordowałeś mojego szefa. Zabiłeś kilku gliniarzy i agentów federalnych...

- Już ci mówiłem, agenci nie doznali poważnych obrażeń. - przerwał jej.

- Mam gdzieś to, co mówisz. Nie wierzę ci - odpowiedziała zapalczywie. - W najlepszym przypadku jesteś zimnokrwistym psychopata... w najgorszym, nawet nie chcę myśleć, czym możesz być. Jesteś potworem!

Chase zrobił krok w jej stronę, przyglądając się, jak jej piersi falują pod luźną

frotową tkaniną, która ledwie ją zakrywała, gdy szamotała się z nią, żeby stanąć na nogach. - Teraz jesteś zła.

- Trzymaj się ode mnie z daleka - powiedziała, kiedy zauważyła, że się do niej zbliża.

Patrzył na jej odsłoniętą skórę. Głęboki dekolt szlafroka ukazywał jego oczom dosyć dużą powierzchnię oznaczeń pokrywających jej klatkę piersiową i tułów. Te znaki wciąż miały ten sam blad różowy kolor, co wczorajszego wieczoru, gdy ujrzał je po raz pierwszy w hotelowym apartamencie. To nie mogły być dermaglify, teraz to sobie uświadomił. Jego własne pulsowały i kłębiły się kolorami... w instynktownej reakcji na stan intensywniejszego pobudzenia zmysłów... jednak te na jej ciele, pomimo wcześniejszego strachu i obecnej wściekłości, pozostały takie same, całkowicie niezmiennie.

- Te znaki na twojej skórze... skąd do cholery je masz?

- Nigdy nie widziałeś blizn po oparzeniach?

Zgarnęła połę szlafroka ukrywając je, jak również zaróżowione policzki. - Nie żeby to był twój interes, jednak powiem ci, że gdy byłam dzieckiem uległam wypadkowi. Zostałam poważnie poparzona na całym ciele.

Pomimo, że ta historia brzmiała prawdopodobnie i ona na pewno wydawała się w nią wierzyć, Chase'a jakoś to nie przekonało. - Widziałem blizny po oparzeniach i one nie wyglądają w ten sposób.

- Cóż, moje są właśnie takie. - powiedziała. - I sędzę, że powinieneś wiedzieć, iż mam również poważne problemy ze zdrowiem. Nie czuję się dobrze. Potrzebuję swoich leków.

- Jak dla mnie wcale nie wyglądasz na chorą - zakpił, niewzruszony tym oczywistym wciskaniem kitu.

- Mówię ci prawdę - nalegała. - Moje lekarstwa zostały w hotelu, w torebce. Nie mogę przerwać ich zażywania na dłużej niż osiem godzin. To mogłoby być dla mnie śmiertelnie niebezpieczne.

Podszedł do niej o kolejny krok, wystarczająco blisko, żeby dostrzec rozpacz w jej limonkowo-zielonych oczach. Spojrzała w dół na zestaw narzędzi stojących przy kominku, po czym pośpiesznie chwyciła za żeliwny pogrzebacz. Dzierżyła go przed sobą jak miecz i spróbowała go nim dźgnąć.

Chase posługując się jedynie siłą swojego umysłu wyrwał ten długi kawałek metalu z jej rąk i cisnął nim w poprzek pokoju. Opadła jej szczęka, kiedy szeroko otwartymi oczami podążyła za jakby unoszonym przez wiatr żeliwnym pogrzebaczem, który z trzaskiem upadł na podłogę z twardego drewna i zanim się zatrzymał prześliznął się po niej jeszcze ze dwadzieścia stóp.

- Nie jesteś zbyt silna, Taviu. - Chase zbliżył się do niej, zanim nawet mogła zdać sobie sprawę, że się poruszył. Zamrugowała ze strachu, kiedy zamknął ją w subtelnym ale stanowczym uścisku. - I również niezbyt szybka.

Walczyła z nim, ale trzymał ją bez wysiłku. Nawet jeśli jej śmiertelny mózg wciąż starał się przetworzyć to czego była świadkiem, jej instynkty były gotowe, by stawić mu czoła. Jej spojrzenie zapłonęło, a broda uniosła się w wyzwaniu... czy to jest to, co cię kręci? Chcesz, żeby ktoś walczył zanim go w końcu zabijesz?

Z tak bliska trudno mu było nie zauważyć jaka była piękna. Jej karmelowo-brązowe włosy opadały błyszczącymi falami, które sięgały jej ramion, stanowiąc tło dla wydatnych kości policzkowych, wdzięcznej linii szczęki i zgrabnego gardła. Jej

jaskrawozielone spojrzenie, nawet wypełnione złością i strachem, promieniowało błyskotliwą inteligencją. Atramentowo-czarne firanki rzęs otaczały te oczy, zmiękczając ich bystre spojrzenie i nadając im wyraz niewinności. Jej usta były pełne, bladoróżowe, stworzone do pocałunków. Między innymi. Chase upajał się tym widokiem, jego wcześniejsze zainteresowanie jej osobą zmieniło swój kierunek na inny, ale nie mniej potężny. W tym momencie, gdy trzymał ją tak, że ich usta dzieliło tylko tchnienie poczuł ukłucie nieproszonego, niechcianego pożądania, mrocznego i narastającego.

Nie była delikatną sierotką, ale szczupłą, lecz atletycznie zbudowaną kobietą, która była tylko kilka cali niższa niż on przy swoich sześciu i pół calach wzrostu. Miała ciało pływaczki, jędrne i o doskonałych proporcjach, elastyczne, silne i zwinne. Wydawało się być wytworem natury, a nie ukształtowane mozolnym treningiem i surową dietą. Każdy łuk i zagłębienie tej nieskazitelnej kobiecej anatomii... był skąpo okryty skrawkiem frotowego materiału, na co jego męskie ciało odpowiedziało z rosnącą aprobatą.

Kiedy tak ją obserwował wyczuł narastający w niej lęk. Nozdrza zadrżały mu od woni jej strachu, gniewu i jeszcze czegoś, czegoś więcej niż zwykła adrenalina homo sapiens buzująca w jej żyłach. Marszcząc brwi, próbował przeanalizować to, co mówiły mu zmysły. Pochylił ku niej głowę, przybliżając twarz do boku jej szyi. Stała w całkowitym bezruchu, gdy głęboko zaciągał się zapachem jej skóry. - Pachniesz jak człowiek.

- O Boże – jęknęła, jej głos zawibrował przez niego. - Proszę cię, nie rób tego.

Głód smagnął go jak batem, karząc za popełnienie błędu zbytniego zbliżenia się do jej pulsującej arterii szyjnej. Zbyt łatwo mógł sobie wyobrazić, jak penetruje to miękkie ciało. Pijąc z jej otwartej żyły. Zastanawiał się, jak by smakowała... cierpką, zwyczajną miedzią, a może czymś bardziej egzotycznym? Wzięcie jej żyły było



prawdopodobnie najszybszym sposobem, żeby ustalić, czy istotnie była człowiekiem, czy czymś innym. Ale wiedział, że nawet jeden łyk to dla niego zbyt wiele. Musiał głodem zmusić swój organizm do wyjścia z żądzы krwi, by nie podsycać uzależnienia. Jak również Tavia Fairchild była dla niego całkowicie niedostępna dopóki nie dowie się kim i czym naprawdę była.

Chase poszukał jej spojrzenia. - Powiedz mi prawdę, Taviu. Przecież wiesz, że nie jesteś tym kogo udajesz.

- Nie wiem o czym mówisz - upierała się. - Jesteś szalony.

- Nie - powiedział i zaśmiał się chrapliwym, pozbawionym radości śmiechem. - Nie do końca, jeszcze nie. Jestem wystarczająco zdrowy psychicznie, by dostrzec, że coś ukrywasz. Więc powiedz mi, co to jest. Powiedz mi czym jesteś. Czy to Dragos ci to zrobił?

Uczyła kolejną daremną próbę oswobodzenia się z jego uścisku. - Jesteś obłąkany! Nigdy nawet nie słyszałam tego nazwiska. Usłyszałam je dopiero od ciebie na posterunku policji.

Gdy odwróciła się od niego, Chase sięgnął ku jej twarzy i odwrócił ją z powrotem do siebie. Przyglądał się jej, czekając, spodziewając się, że zobaczy, jak jej źrenice zwężają się do wąskich pionowych szczelin, przybierając ten sam kształt, jaki w tej chwili miały jego własne. Ale w tych okrągłych głębinach czerni, jakie na niego patrzyły nie mógł dostrzec żadnych zmian. Nie mogła należeć do Rasy... i nieważne, jakie przecucia wysyłał mu jego instynkt, nie było nic więcej, co pomogłoby wyjaśnić zagadkę, którą była. Kierując się impulsem, przyłożył swój palec do jej warg i sforsował nim miękkie, wilgotne usta w celu sprawdzenia obecności kłów. Oczywiście, nie znalazł żadnych. Tylko równy rząd tępych perłowo-białych ludzkich zębów. Zaciśnęła je na jego palcu, gryząc go na tyle mocno, że pojawiła się krew.

Chase szarpnął swoją rękę z powrotem z ostrym przekleństwem.

Wpatrywała się w niewielką ranę, jej oczy były pełne wściekłości. Teraz jej ciało drżało tak bardzo jakby za chwilę miało się rozpaść. Kropelka krwi Chase'a lśniła wilgocią na jej dolnej wardze.

- Chryste - wyszeptał, dopiero teraz zdając sobie sprawę, jak daleko się z nią posunął. Jakaś jego część wstydziła się z powodu przerażenia, które w niej wzbudzał, ale inna część, ta która wciąż pulsowała dzikim głodem, wbijała mu szpony w tyłek, pragnąc zerwać się z uwięzi. Wszystko co w Sterlingu pochodziło z Rasy nakazywało mu wziąć tę kobietę i zaspokoić na niej swoje żądze. Pożądanie, podejrzliwość i dzikie pragnienie krwi były niebezpiecznym połączeniem, które nie był pewien, jak długo zdoła znieść. To rosło w nim jak mroczna fala, niemal zbyt silna, aby mógł się jej oprzeć. Musiał odsunąć się od tej kobiety zanim nałóg krwi całkowicie nim zawładnie. Z głuchym warknięciem obrócił Tavię i przytrzymał jej dłonie na plecach.

- Co robisz? - Zapytała.

Nie odpowiedział. Nie mógł wydobyć z siebie głosu, ponieważ głód krwi znowu ryknął budząc się do życia. Siłą umysłu wezwał do siebie szamerowany jedwabny sznur od draperii zdobiących zakryte roletami okna. Zawiązał go wokół jej nadgarstków, po czym posadził ją na fotelu stojącym obok kominka.

- Proszę cię - powiedziała, jej ton był pełen strachu i wzburzenia, kiedy próbowała rozpaczliwie z nim negocjować. - Proszę, nie powiem nikomu, co widziałam. Przysięgam. Tylko mnie wypuść.

Przykucnął przed nią, ich twarze znalazły się na tym samym poziomie. Drżała i wstrząsały nią dreszcze, a na jej napiętym czole pojawił się połysk potu. Patrząc na nią teraz, musiał zastanawiać się, czy mówiła mu prawdę o swoim stanie zdrowia.

Odkąd go ugryzła wyglądała na chorą i bladą, na skraju załamnięcia. Chase również nie czuł się zbyt dobrze. Do zapadnięcia zmroku pozostało jeszcze co najmniej osiem godzin. Osiem godzin zanim nawet mógł rozważyć pomysł wyjścia na zewnątrz, by tam pozbyć się jakiejś części swojej agresji. Osiem godzin uwięzienia z kobietą, która skusiła go na więcej sposobów niż chciałby się do tego przyznać.

Gdy wyciągnął rękę i otarł szkarłatną plamkę z jej warg, jego palce zadrżały od mocy narastającego głodu krwi. Jej oczy błagały go o łaskę, ale bestia, która w nim teraz szalała, nie posiadała żadnych uczuć.

Wstał i oddalił się od niej bez słowa.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 12



*POLICJA ODMÓWIŁA NAM DZISIAJ KOMENTARZA, kiedy zapytaliśmy, czy incydent, który miał miejsce wczoraj wieczorem przy Hyatt Regency w śródmieściu był w jakiś sposób połączony z niedawnym zabójstwem Senatora Roberta Clarence'a. Kanał 5 ma niepotwierdzone pogłoski, że z apartamentu wyniesiono co najmniej jedno ciało. Jednakże, urzędnicy ochrony porządku publicznego nie chcą ujawnić jakikolwiek bliższych szczegółów przed zakończeniem czynności śledcz...*

Dragos wyciszył duży telewizor o płaskim ekranie i rzucił pilota na stojące za jego plecami łóżko. Był nagi. Jego pokryta glistami skóra wciąż lśniła od potu i przelanej

ludzkiej krwi. Sięgnął na podłogę po swoje spodnie, gdzie trafiły parę godzin temu i założył je na siebie.

- Ubierać się - rzucił dwóm kobietom, które tej nocy zaspakajały jego potrzeby zarówno gastronomiczne jak i cielesne.

Dziewczyny były młode i głupie, wybrane wczoraj wieczorem z lokalnych zasobów na pobliskim stałym lądzie i przetransportowane kilka mil w głąb morza do jego mety mieszczącej się na prywatnej wyspie.

Wczorajszej nocy rzuciły tylko jedno spojrzenie na jego samochód i szofera, gdy zatrzymał się na światłach w ich nędznej pipidówce i wystarczyło skinienie palcem, żeby skwapliwie wskoczyły do środka. To był ich ostatni błąd, jak wszystkich jego zabawek. Nie miał zamiaru dopuścić, żeby choćby jedna z nich żywa opuściła jego kryjówkę.

Momentalnie wyrzucając je ze swoich myśli, zamaszystym krokiem wyszedł z pokoju. Od czasu przenosin do tej odosobnionej twierdzy niedaleko wybrzeża w okolicach Maine, które miały miejsce ponad miesiąc temu, zdołał przenieść kierowanie większością swoich operacji na tryb on-line. System ten był gotowy, tak na wszelką ewentualność już od wielu lat, a składający się ze Sługusów personel techniczny i specjaliści laboratoryjni pracowali przez okrągłą dobę kontrolując, czy wszystko przebiega bez zakłóceń.

Miał również i innych Sługusów, w Bostonie i nie tylko, istny legion ludzkich niewolników, których oczy i uszy... a czasami nawet zabójcze dłonie... były lojalne tylko i wyłącznie jemu. To właśnie ci Sługusi poinformowali go o włamaniu do hotelowego apartamentu, które miało miejsce ostatniej nocy, na długie godziny zanim reporterzy z lokalnej stacji telewizyjnej zaczęli węszyć wokół tej sprawy. Dragos znał glinę, który został zamordowany wewnątrz należącego do niego

apartamentu. Wiedział również, że to robota Zakonu... dokładniej Sterlinga Chase'a. Ucieczka wojownika z policyjnego aresztu kosztowała Dragosa kilka pionków w postaci Sługusów, z których najwartościowszym był Senator Robert Clarence. Nie, żeby Dragos odkąd podpisał pierwszy czek, który miał być jego wkładem do kampanii wyborczej senatora szybko i rozważnie nie wykorzystywał politycznych związków człowieka pnącego się po szczeblach drabiny społecznej.

W rzeczywistości, senator mógł okazać się jeszcze przydatniejszy po śmierci, niż wtedy, kiedy jeszcze oddychał.

Jednakże szkoda, że na tak wczesnym etapie gry musiał utracić Tavię Fairchild. Wiadomość, że zaginęła tej nocy nie była dla niego zupełnym zaskoczeniem. Była w hotelu pod ochroną jego Sługusa i dwóch agentów federalnych. Po nocnym nalocie Sterlinga Chase'a, było prawie pewne, że kobieta znajdowała się teraz w rękach Zakonu. Czy zabiją ją, gdy zdadzą sobie sprawę czym była? Zastanawiał się leniwie. Mówi się trudno. Nie była pierwsza ze swojego rodzaju, ani też ostatnia. I nawet jeśli Zakon dowie się o jej istnieniu, to i tak jest już za późno, żeby zdołali w jakiś sposób wykorzystać tą wiedzę na swoją korzyść.

Dragos uśmiechał się wchodząc do swojego centrum dowodzenia. Zignorował opuszczone głowy mijanego personelu składającego się w całości ze Sługusów. Przeszedł do serca kwatery sztabowej i usiadł na miejscu pośpiesznie zwolnionym przez jednego z techników. Wpisał hasło, by dostać się do zakodowanego katalogu plików na jednym z komputerów i z dumą obserwował, jak monitor wypełnił się schematami i planami budynków, oraz kodami certyfikatów bezpieczeństwa licznych obiektów rządowych i infrastruktury. Następnie na ekranie pojawiły się dane dotyczące zagadnień energetyki, operacji militarnych, oraz transportu zarówno w Stanach Zjednoczonych jak i za granicą. Polityczne i ekonomiczne struktury organizacyjne. Najtajniejsze dokumenty, które dostarczyć mógł tylko oddany i wytrawny kret przez długie lata nieustannego wysiłku.

Dragos patrzył na coś, co pozwoli mu wyrócić do góry nogami cały ludzki świat. Wszystko, co będzie musiał po tym zrobić... to skorzystać z otwartych drzwi. Kiedy tak podziwiał owoce własnego geniuszu, w kieszeni jego spodni zaczął dzwonić telefon komórkowy. To była linia, której używał do ściśle określonego celu. W rzeczywistości tym prywatnym numerem mogły posługiwać się tylko dwie osoby. Biorąc pod uwagę to, że Senator Clarence został zgładzony dwie noce temu, pozostawała już tylko jedna możliwa opcja. - Drake Masters – rzucił, gdy odebrał połączenie, wymawiając imię i nazwisko, które dzwoniący spodziewał się usłyszeć.

Drugi po Bogu i Prezydencie Stanów Zjednoczonych Ameryki odchrząknął.

- Dzień dobry, panie Masters. Mam nadzieję, że nie dzwonię w nieodpowiedniej chwili.

- Ależ nic z tych rzeczy - gładko odpowiedział Dragos.

Pomimo, że jego głos był spokojny i profesjonalny, to tętno przyśpieszyło mu z powodu nadziei zwabienia w swoje zaciskające się sieci niczego niepodejrzewającej ofiary. - I proszę nazywać mnie Drake.

- Cóż, dziękuję, Drake - powiedział dawny profesor uniwersytecki, który obecnie był o jedno uderzenie serca od prawdopodobnie najwyższej siedziby władzy na świecie. Był również długoletnim przyjacielem i mentorem Roberta Clarence'a, a siła rozpacz i żalu po jego stracie wciąż była słyszalna w lekkiej chrypcie, która brzmiała w głosie starszego mężczyzny.

- To straszne, naprawdę straszne, co przydarzyło się Bobbiemu. Nasz kraj stracił prawdziwego patriotę, jednego z najlepszych. I myślę, że powinieneś wiedzieć, że wyrażał się o tobie z wielkim uznaniem.

Dragos zdławił cichy chichot przed przybraniem odpowiednio poważnego tonu, kiedy miał mówić o swoim Sługusie.

- Senator i ja mieliśmy podobne poglądy. Dzieliliśmy wspólne marzenia odnośnie przyszłości naszego kraju. A prawdę mówiąc również i całego świata. *(zanim go wysłałeś, chyba raczej nie... zapewne ta zgodność umysłów nastąpiła już po tym doniosłym fakcie ;)*

- Wcale w to nie wątpię - zgodził się wiceprezydent. - Wiem Drake, że nie znałeś Bobbiego zbyt długo, ale wywarłeś na nim spore wrażenie. Ostatnio byłeś praktycznie jedynym tematem jego rozmów, szczególnie w ciągu kilku ostatnich dni. Czuł, że to jest bardzo ważne żebyśmy ty i ja mieli okazję usiąść razem i omówić, w jaki sposób nasze interesy w tym kraju mogą się zająć. - Cholera, ten dzieciak prawie błagał, żebym znalazł dla ciebie wolne miejsce w swoim kalendarzu, więc jak mógłbym mu odmówić?

- Bobby potrafił być niesamowicie przekonujący, gdy przychodziło do walki o coś, w co naprawdę wierzył - powiedział Dragos. - Ale czyż to nie było częścią jego zniewalającego uroku?

Człowiek zachichotał. - Święte słowa, Drake. Naprawdę. Święte słowa. Słuchaj, chciałem przeprosić, że nie mogliśmy spotkać się wczoraj wieczorem, jak to wcześniej ustalił Bobby, ale... - jego głos załamał się na moment. - Naprawdę wiele się zmieniło w przeciągu kilku minionych dni.

- Oczywiście. Nie musi mnie pan przeproszać. - Lecz Dragos nie miał najmniejszego zamiaru pozwolić, aby spotkanie twarzą w twarz z niemal najważniejszym politykiem w kraju wymknęło mu się z rąk. - Nawet nie pomyślałbym o nastawaniu na pański czas, sir, szczególnie, gdy właśnie stracił pan bliskiego przyjaciela... - przerwał jakby chciał zapanować nad głosem. - ....obydwaj straciliśmy dobrego przyjaciela. Interesy mogą poczekać na właściwszą chwilę.

- Właściwie - człowiek złapał przynętę. - Jutro po południu planuję być w Bostonie

na pogrzebie Bobbiego. Może ty i ja moglibyśmy wygospodarować trochę czasu na rozmowy o służbie dla kraju.

- Oczywiście - odpowiedział Dragos, starając się żeby jego głos nie zabrzmiał zbyt entuzjastycznie. Wszystko, czego potrzebował to kilku minut sam na sam z tym człowiekiem i miałby go całkowicie w swojej mocy. Wargi Dragosa rozciągnęły się w szerokim uśmiechu, a na myśl o rychłym tryumfie kły wypełniły mu usta. - A więc do jutra, sir.

\*\*\*

Chase stał przed umywalką znajdującą się w łazience przylegającej do sypialni w głównym apartamencie Mrocznej Przystani, zaszywając ostatnią z ran postrzałowych, których dorobił się dwie noce wcześniej. Zużyte waciki i gaza zaścielały głęboką czarną misę umywalki, wszystkie mokre od krwi i śmierdzące środkiem antyseptycznym. Minęło z grubsza siedemdziesiąt dwie godziny odkąd został ranny na posterunku policji. Rany powinny być już wyleczone. To, że wciąż krwawiły wcale nie było dobrym znakiem. Ani nękający go ból, który szarpał nim głęboko, aż do szpiku kości, zmuszając do polowania, do pożywienia się, by zaspokoić to bezdenne i wkrótce być może niedające się ugasić pragnienie.

Palce w których dzierżył igłę zadrżały.

Jego wzrok rozmazywał się na krańcach widzenia, czyniąc cholernie trudnym do wykonania skupienie go pod oślepiającym żółtym światłem łazienkowych lamp. Zamrugał, próbując pozbyć się denerwującego pobudzenia zmysłów, zaciskając zęby po raz czwarty przepchnął igłę i ciągnącą się za nią nici przez wystrzępioną skórę nad lewym mięśniem piersiowym.

Mocno ściągnął ostatni szew i zawiązał go na supeł. Gdy odgryzał nadmiar nici, złapał swoje odbicie w lustrze. Wymizerowane, otoczone ciemnymi obwódkami oczy



odbitego obrazu też na niego spojrzwały. Ziemista skóra i zapadnięte policzki dodawały mu sto lat do prawdziwego wieku, a niemal dekadę więcej niż trzydzieści, na które normalnie wyglądał każdy dorosły członek Rasy. Wyglądał na zmęczonego, wyniszczonego i na krawędzi wytrzymałości. Cholera, czuł się tak samo jak wyglądał.

Z cichym przekleństwem wrzucił igłę do zlewu razem z resztą śmieci. Westchnął chrapliwie, po czym z niskim pomrukiem wyszedł na zewnątrz.

Na cholereę on to wszystko robi? Kryje się w tym zapadłym miejscu, a w drugim pokoju więzi kobietę wbrew jej woli?

Nawet, jeśli okaże się, że ona jest czymś więcej niż się wydawało... nawet gdyby potwierdziło się, że w jakiś sposób jest związana z Dragosem... to czy on był jej sędzią i ławą przysięgłych? Nie był już członkiem Zakonu. Nie był również cholerny kawał czasu funkcjonariuszem Agencji Nadzoru. Więc czym się stał? To nie było takie trudne zobaczyć siebie przerażonymi oczami Tavi. Był szalonym, niebezpiecznym... potworem.

Nie po raz pierwszy, jego oczy powędrowały ku niewielkiej srebrnej fiołce, która leżała na krawędzi czarnego granitowego blatu kuchennego. Znalazł ją w sypialni, na jego starym biurku pomiędzy kilkoma fotkami z czasów, gdy nazwał tę Mroczną Przystań swoim domem. Nie był w stanie powstrzymać się od podniesienia tej smukłej fiołki z jej zapieczętowaną w środku, godną potępienia zawartością. Nawet teraz jego ręka ruszyła w jej kierunku, jakby przyciągana niewidocznym sznurem. Chase zacisnął na niej dłoń, poczuł jej chłód na swojej skórze. Czerwony wosk, który uszczelniał korek był gładki w dotyku pod opuszką jego kciuka. W środku srebrnej kapsuły znajdowało się wszystko, co pozostało z syntetyzowanej laboratoryjnie substancji, która minionej jesieni zniszczyła wiele żyć... w tym to należące do jego bratanka, Camdena.

Laboratorium i człowiek, który stworzył ten narkotyk już dawno stali się historią, ale Chase zachował tę ostatnią dawkę jako wspomnienie zła, które pomógł zniszczyć. Patrząc na to teraz, musiał przyznać, że oszczędził tą trującą próbkę, również z innego powodu. To było jego wyjście awaryjne. Gwarancja, że jeśli walka, jaką toczył o stawienie oporu Nałogowi Krwi stanie się dla niego zbyt trudna do zniesienia, to będzie mógł ją skończyć w jednej sekundzie.

Sam smak Szkarłatu wystarczył, żeby momentalnie zamienić go w bezmyślnego, oszalałego z żądz krwi straceńca. Dokładnie tak samo jak miało to miejsce w zeszłym roku z Camdenem i jego aż nazbyt wieloma młodymi, naiwnymi przyjaciółmi z Rasy. Ale wewnątrz tej nieszkodliwie wyglądającej, wypolerowanej do połysku srebrnej fiolki zawierało śmiertelną dawkę narkotyku. Wystarczającą, by zabić.

Chase przetoczył ten wąski cylinderek po swojej dłoni, wiedząc czym naprawdę był: jego złotym strzałem.

Był w połowie drogi do zatracenia i mógł za to winić jedynie siebie. O ile gorzej będzie musiało z nim być, zanim uzna, że Szkarłat będzie najlepszym rozwiązaniem?

Poruszenie w sąsiednim pomieszczeniu przyciągnęło jego myśli do bardziej palących problemów. Tavia się obudziła. W końcu wyczerpana zasnęła tuż przed zachodem słońca, osunęła się w fotelu, w którym ją zostawił. Teraz była głęboka noc, a Chase zdążył, w czasie kiedy spała wyskoczyć po małe zaopatrzenie. Postawił Szkarłat na łazienkowym blacie i wszedł do gabinetu.

Była już w pełni obudzona, owinięta hotelowym szlafrokiem jak kocem, z rękami wciąż skrępowanymi za plecami. Gdy wszedł do pokoju, powoli uniosła głowę, jej ruchy były ociężałe i apatyczne. Jęknęła z wysiłkiem. Oblizła spierzchnięte wargi.

- Która jest godzina?

- Chase wzruszył ramionami i podszedł do niej. - Sądzę, że około dziesiątej.

Ponownie jęknęła i potrząsnęła głową – Za długo. Jeszcze nigdy nie byłam tak długo bez swoich leków.

- Poczujesz się lepiej jak coś zjesz. - Chase skinął głową w kierunku niskiego stolika, na którym leżała torba z delikatesów i stała butelka wody mineralnej.

- Przyniosłem ci kanapkę.

- Skrzywiła się, jakby odrzucała ją sama myśl o jedzeniu. - Nie jestem głodna.

Mam zawroty głowy. Muszę stąd wyjść. Boli mnie całe ciało, a moja skóra... wydaje mi się, jakby stała się za ciasna.

Chase odchrząknął. Praktycznie opisywała jego własne samopoczucie. Jego ciało skomliło z powodu przejmującej fali pragnienia krwi, na której płynął przez większą część dnia, aż do nocy. Cierpienie było bardzo intensywne. Pokusa, żeby zapolować i się pożywić, podczas gdy był uwięziony przez dzienne światło niemal go zabiła.

- Pochyl się do przodu - powiedział do Tavi i przykucnął przed jej fotelem.

Pomimo braku zaufania, jaki dostrzegł w jej oczach, pochyliła się ku niemu, kiedy sięgnął wokół niej, żeby rozwiązać sznur od draperii, który krępował jej nadgarstki. Nie chciał zauważyć, jak cudownie pachniała, gdy znalazła się tak blisko jego twarzy. Jej skóra i włosy wciąż zachowały słaby ślad zapachu hotelowego mydła i szamponu, oraz bardziej intrygującego aromatu, który należał tylko do niej. Próbował ignorować nacisk jej czoła na swoim nagim ramieniu i fakt, że w każdym miejscu, w którym stykały się ich ciała, jego zmysły rozzarzyły się natychmiastową świadomością. A gdy więzy odpadły z jej rąk i osunęła się głębiej w jego ramiona, jej delikatny oddech palił go jak ogień.

Chase przytrzymał dłonią szczupłe ramię i cofnął się, żeby spojrzeć jej w twarz.

Szukał oznak choroby w zarumienionych policzkach i błyszczących zielonych

oczach. Pomimo, że mógł dostrzec, iż jest zmęczona, wykończona fizycznie i emocjonalnie, wciąż była w niej wewnętrzna siła, milczące wyzwanie, które wydawało się bardziej instynktem niż świadomym działaniem. Była śliczna, w jej delikatnych lecz dumnych rysach widział nie tylko piękno, ale i inteligencję.

Ona teraz również go studiowała.

Jej spojrzenie błędziło po jego twarzy i zanim spojrzała mu w oczy, przez sekundę zatrzymało się na ustach. - Teraz wyglądasz normalnie - szepnęła. - Inaczej niż wcześniej. W tej chwili wyglądasz jak człowiek... ale nim nie jesteś, prawda?

- Nie - powiedział po prostu, postanawiając, że nie miało sensu zaprzeczyć temu, skoro i tak już go widziała w jego najgorszej postaci.

Przełknęła ślinę, ale nie cofnęła się skulona ze strachu, ani nie wpadła w histerię. Była spokojna i opanowana, trawiając jego słowa w ostrożnym milczeniu. - Czy twoja rodzina o tym wiedziała? Czy to dlatego cię opuścili?

- Zmarszczył brwi, nieco zagubiony. - Moja rodzina. O czym ty mówisz?

- Ten dom - powiedziała. - I zdjęcia... znalazłam je w sypialni, w szufladzie biurka. Była tam również srebrna taca z grawerunkiem. Było na niej wygrawerowane imię. Twoje imię, nieprawdaż? Nazywałeś się Sterling Chase.

- Im mniej o mnie wiesz, tym lepiej, Taviu.

- Ale Sterling jest twoim imieniem - upierała się, nie chcąc porzucić tego tematu.

- Chase - wymamrotał. - Nikt nie nazywa mnie Sterlingiem. - Już nie.

Popatrzyła na niego, studiując go zbyt uważnie, jak na jego gust. - Co się stało z

twoją rodziną, Chase? Widziałam twoje zdjęcie z młodą kobietą i chłopcem.  
Zastanawiałam się, czy to twoja żona...

Chase przerwał jej z wyszczyzonym pod nosem przekleństwem. - Ona była partnerką  
mojego brata. Nie moją.

- Och.- Tavia uciekła wzrokiem w dół. To spłoszone spojrzenie sprawiło, że poczuł  
się bardziej niezręcznie niż powinien.

- Ze sposobu w jaki na nią patrzyłeś na tej fotografii, myślałam...

- Więc źle myślałaś - rzucił celowo szorstką odpowiedź. Nie miał zamiaru  
wyciągać na światło dzienne swoich dawnych grzechów, ani obnażać ich przed nią,  
żeby mogła go osądzać. Wystarczyło, że ciążyły one na jego własnym sumieniu,  
ożywione wspomnieniami, które zamieszkiwały tę Mroczną Przystań. - To był kiedyś  
mój dom - powiedział. - Ale to ja go opuściłem. Nigdy nie chciałem ponownie  
oglądać tego miejsca.

- Jak dawno temu stąd odszedłeś?

Jej pytanie zbiło go z tropu, było takie zwyczajne. Chociaż nie chciał wracać do  
tych chwil, poczuł jak odpowiedź bezwiednie wysuwa się z jego ust. - To stało się  
zeszłej jesieni. Tuż po wigilii Wszystkich Świętych.

Wciąż jeszcze słyszał dzwoniący w uszach huk wystrzału. Rozdzierający krzyk  
żony swojego brata, Elise, rozbrzmiewający echem w nocy, gdy jej syn... jej jedyny  
syn... upadł martwy na ziemię. Piękny nastolatek, zmieniony przez Szkarłat w  
opętane żądzą krwi zwierzę i uśmiercony tytanowym pociskiem wystrzelonym z  
pistoletu Chase'a.

- Czy byłeś w niej zakochany?

- Chase otrząsnął się z ponurych wspomnień i gniewnie zmarszczył brwi. - Już ci mówiłem, ona należała do mojego brata.

- Słyszałam, co mówiłeś - spokojnie odpowiedziała Tavia. - Lecz nie o to cię pytałam.

- Nawet nie jestem pewny, czy kiedykolwiek kogoś kochałem - mruknął. - Chryste, nawet nie wiem, czy jestem do tego zdolny.

To nie była kolejna cyniczna uwaga, ale szczerą prawdą. Nigdy wcześniej o tym nie myślał. Nigdy nie wypowiedział głośno tych słów, aż do teraz. Spojrzał Tavi głęboko w oczy, w tym momencie zdając sobie sprawę, że jego dłoń wciąż spoczywa na jej karku. Pod opuszkami palców wyczuwał pulsowanie jej tętna, oraz napięte ścięgna szyi, gdy trzymał ją luźnym, ale stanowczym chwytem. Popatrzył na jej wargi rozdzielone niespokojnym oddechem i poczuł nagle, gwałtowne pragnienie, żeby ją pocałować. Szalony impuls, ale przecież ostatnio nie był w pełni poczytalny. Przełknął niechcianą pokusę, jego gardło było wyschnięte na popiół.

- Powinnaś coś zjeść - powiedział, puszczając ją i gwałtownie zrywając się na nogi.

- Przyniosłem ci też coś do ubrania. Możesz się przebrać, jak już zjesz.

- Mówiłam ci, że nie jestem głodna - powiedziała, odpychając kanapkę.

Chase wzruszył ramionami. - Jak chcesz.

Starał się utrzymać pomiędzy nimi tak duży dystans jak tylko zdołał, przechodząc na drugą stronę gabinetu i spacerując nerwowo w pobliżu wysokich okien.

Elektroniczne okiennice były zamknięte od zeszłego roku, odkąd lokatorzy opuścili

to miejsce. Ale ciało Chase'a wiedziało, że po tamtej stronie stali i szkła wciąż trwa noc. Jego żyły drżały z powodu tej świadomości, a każde gwałtowne uderzenie tętna przypominało mu o trudnym do zignorowania pragnieniu.

- Ty też nie czujesz się zbyt dobrze - powiedziała Tavia, obserwując jego niespokojną wędrówkę w tą i z powrotem w poprzek pokoju. - Nawet jeśli nie jesteś... nie ważne czym naprawdę jesteś, widzę, że potrzebujesz lekarza. Ja również.

Zaśmiał się z głębi gardła chrapliwym, szyderczym śmiechem. - Nie musisz się o mnie martwić. A co do ciebie, to też nie wyglądasz na tak chorą, jak usiłujesz mi wmówić.

- Ale jestem - upierała się. – Nieważne, czy wierzysz mi czy nie, przetrzymując mnie w ten sposób igrasz z moim życiem. Już zabiłeś kilku niewinnych ludzi. Naprawdę chcesz, żeby kolejna śmierć splamiła twoje dłonie?

- Żaden z nich nie był niewinny - odpowiedział szorstko. - Oni byli Sługusami Dragosa, wszyscy. Pozbawieni wolnej woli. Bezmyślni. Właściwie, zanim do nich dotarłem, byli już od dawna martwi.

- Sługusy - powiedziała, patrząc na niego ostrożnie. - Co masz na myśli mówiąc, że byli Sługusami Dragosa? Na posterunku policji, próbowałeś ostrzec mnie, że senator jest w niebezpieczeństwie. Ale gdy go zobaczyłeś, powiedziałeś, że jest już za późno, ponieważ ten Dragos już go posiadał. Co przez to rozumiesz?

Wyglądała na autentycznie zdezorientowaną, co tylko sprawiło, że stał się wobec niej jeszcze bardziej podejrzliwy. Albo naprawdę nie miała pojęcia o Dragosie i jego machinacjach, albo była niesamowicie utalentowaną aktorką.

Chase zbył ją szorstkim machnięciem ręki. - Nieważne. I tak już za dużo ci

powiedziałem.

Ale ona nie odpuszczała. - Powiedz mi, o co naprawdę w tym wszystkim chodzi. Staram się zrozumieć...

- Może będzie dla ciebie lepiej, jeśli nie będziesz tego wiedzieć.

- Może powinieneś pomyśleć o tym wcześniej, zanim mnie w to wciągnąłeś.

W jej głosie nie kryła się żadna złośliwość, tylko odwaga i szczerość, które zmuszony był szanować. Chase spojrział na nią, zdając sobie sprawę, że miała rację. Tkwiła w tym po uszy, a wszystko to dzięki niemu. I chociaż nie mógł być pewny, czy wciąż by żyła, gdyby nie załatwił senatora i gliny Sługusa, który był z nią w hotelu, to prawie na pewno sprawił, że jej życie nigdy nie wróci do poprzedniego status quo. Nawet jeśli to status quo było kłamstwem. Jakaś jego część wciąż była przekonana, że nie była tym za kogo się uważała, bez względu na to, czy miała tego świadomość, czy nie. Nie mógł pozbyć się wrażenia, że była czymś więcej niż tylko człowiekiem. Czymś innym. Ale czym?

*Czy Dragos mógłby znać odpowiedź na to pytanie?*

Ta myśl przyszła mu do głowy już wcześniej, ale teraz zaczęła go dręczyć. Czuł lód w żyłach na myśl o tym, że mogła być w jakiś sposób związana z Dragosem, nieświadomie albo inaczej. I w głębi duszy, w tej jej części, która wciąż była wierna Zakonowi... i pragnęła klęski Dragosa... Chase zastanawiał się, czy Tavia Fairchild mogłaby być przydatna, żeby zbliżyć się do wroga, którego pragnął zniszczyć. Jego własne życie było już spisane na straty. Był nawet gotów razem z Dragosem skoczyć w płomienie, jeśli byłby to sposób, aby raz na zawsze go pokonać. Przecież, nie miał nic do stracenia. Czy upadł już tak nisko, że byłby skłonny rzucić na szalę również życie tej kobiety? Nie był pewny, czy chciałby znać odpowiedź na to



pytanie.

Po przeciwnej stronie gabinetu, Tavia jęknęła cicho i objęła głowę rękami. - Och, Boże ... czuję się coraz gorzej. Naprawdę muszę wziąć swoje leki. Muszę stąd wyjść. - powiedziała, po czym spojrzała na niego i nie mógł zignorować wyrazu autentycznego cierpienia w jej oczach. - Proszę - wyszeptała. - Dlaczego... po prostu nie pozwolisz mi odejść?

Chase wpatrywał się w nią, próbując dostrzec jakiś podstęp. Ale tu nie było żadnej gry, tylko nieszczęście, strach i zmieszanie. Wiedział, że najwłaściwszą rzeczą byłoby zrobić to, o co go prosiła i uwolnić ją.

I gdyby był lepszym człowiekiem, być może by to zrobił.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 13



TAVIA OBUDZIŁA SIĘ z krzykiem w zupełnych ciemnościach. Czowała się, jakby ktoś żywcem obdzierał ją ze skóry, w jednej sekundzie płonęła żywym ogniem, a w następnej trzęsła się z zimna przejmującego do szpiku kości.

Szarpała się i walczyła... tylko po to, by po chwili zdać sobie sprawę, że leżała płasko w ogromnym łóżku, z nadgarstkami i kostkami skrepowanymi grubymi, splecionymi w warkocze więzami zrobionymi ze sznurów od zasłon wiszących w gabinecie.

Mgliście przypomniała sobie, że została przyniesiona do sypialni po tym, jak odmówiła jedzenia i picia, zbyt chora na jedno i drugie. Starła się powiedzieć swojemu porywaczowi, że nie będzie próbowała ucieczki... nie była w stanie tego zrobić, tym bardziej, że jej ciało zaczynało się buntować.

Prosiła go, żeby ją puścił, błagała go o litość.

Nie okazał jej żadnej.

Tavia próbowała walczyć z więzami, ale nie miała siły. Jej kończyny były zbyt ciężkie, dręczyły ją zawroty głowy, a żołądek wydawał się być wypełniony wrzącym kwasem.

O Boże... co się z nią działo?

Była taka chora, bardziej niż kiedykolwiek wcześniej.

Okropnie cierpiała dręczona przeszywającymi dreszczami, które miały swoje źródło gdzieś głęboko, w samym szpiku kości. Jej zmysły wydawały się być ze sobą w stanie permanentnej wojny, wycieńczone z powodu stanu ciągłego alarmu. Czowała gwałtowne uderzenia tętna w skroniach i na szyi. Serce tłukło się jej w piersi tak gwałtownie, że dziwiła się, dlaczego ten organ jeszcze nie eksplodował. Zaciskając powieki, uczyniła jeszcze jedną, daremną próbę uwolnienia rąk ze sznurów, którymi były one przymocowane do wezglowia łóżka. Szarpała i ciągnęła, głośno jęcząc z bólu, gdy otarła do krwi delikatną skórę na swoich nadgarstkach.

- Spokojnie.

Ciepłe, silne palce zacisnęły wokół obydwu jej nadgarstków. Jej porywacz, Chase. Nawet nie usłyszała, kiedy wszedł do pokoju, ale tam był, okryty mrocznymi cieniami. Dotykał ją stanowczo, ale delikatnie, a jego głos był ochrypłym szeptem,

który owionął jej czoło. - Uspokój się, Taviu. Wszystko będzie dobrze.

Jego oczy odnalazły jej, a w jego gniewnym spojrzeniu tliły się bursztynowe iskry. Nie życzyła sobie, by jego niski głos działał na nią uspokajająco, nie pragnęła też wcale, żeby jego duże dłonie kołysły otarcia powstałe od więzów, które sam jej założył. Ale już znalazła pociechę w jego cicho wymruczanych słowach, a jego kciuki bezwiednie gładzące jej nadgarstki spowalniały rozedrgane tętno. Wbrew własnej woli, uspokoiła się. Działał na jej zmysły jak księżyc na ocean, kierując jego prądami.

- Pozwól mi odejść - powiedziała, wciąż pragnąc zaprzeczać temu, co czuła. W tym momencie jej ciało już do niej nie należało, ale nie straciła całkowitej kontroli nad swoim umysłem. W każdym razie jeszcze nie.

Przynajmniej teraz była ubrana. Zanim zaniósł ją do sypialni, która stała się dla niej więzieniem, Chase wręczył jej torbę z odzieżowego sklepu Back Bay i pozwolił skorzystać z łazienki, by mogła się odświeżyć i zamienić hotelowy płaszcz kąpielowy na czarny dres. Kupił jej też stanik i majtki. Nie chciała wiedzieć, jak dokładnie musiał przyglądać się jej dzisiaj gdy spała, że tak doskonale udało mu się dobrać rozmiar biustonosza. Ale pomimo jego zapewnień, że wszystko będzie z nią w porządku, czuła, jak coś wewnątrz niej się rozluźnia, że jakaś jej część odrywa się od niej i dryfuje daleko, poza jej zasięg. Walczyła z uczuciem bezsilności. Znowu narastała w niej panika, spływając oddech. - Puść mnie - wydyszała.

Nie mogła powstrzymać się od jęku, ani rozpaczliwego kwilenia, które uciekło spomiędzy jej warg. Fala choroby znowu nią owładnęła. Nie wiedziała, jak długo zdoła z tym walczyć. - Proszę... ja chyba umieram. Muszę... stąd...

Gdy jej głos zaczął zanikać z powodu mgły zalewającej jej zmysły, poczuła delikatny dotyk Chase'a na swoim czole. Opiekuńczym gestem, który wydawał się

niemożliwy, by mógł pochodzić od potwora za jakiego go miała, odsunął na bok kosmyk wilgotnych włosów, które przykleiły się do jej czoła. Jego dotyk przedłużał się, błędząc szlakiem krągłości jej policzka, a później wędrując wzdłuż napiętej linii szczęki.

- Proszę - szepnęła, ale jej głos był już tylko słabym westchnieniem.

Gasnąca za ciężkimi powiekami świadomość spychała ją w kierunku nieuniknionego snu. Kiedy jej umysł zaczął pograżać się w mroku, pomyślała, że w wpatrzonych w nią oczach dostrzegła przeblysłak człowieczeństwa, a w delikatnym wygięciu ust jakąś nutę żalu.

Ale nic nie odpowiedział.

W następnej chwili odpłynęła, oderwała się od rzeczywistości i pochłonęła ją narastająca ciemność. Odwróciła od niego głowę, a jej policzki były mokre od gorących łez.

Powoli odszedł od łóżka, żeby z powrotem zniknąć w cieniach.

\*\*\*

HUNTER PRZYBYŁ do nowej siedziby Zakonu tej nocy, tuż przed rozpętaniami się śnieżnej burzy. Lucan i inni wojownicy pośpieszyli, żeby pomóc mu wyładowywać z ciężarówki pudła zawierające akta, które zarekwirował w Nowym Orleanie z biura jednego ze zlikwidowanych adiutantów Dragosa.

Ognioodporne, bezpieczne skrzynie zawierały laboratoryjne wydruki i mnóstwo zakodowanych dyskietek komputerowych archiwów. Była tam również para dużych

cylindrów ze stali nierdzewnej, ciężkich jak cholera, zwieńczonych hydraulicznie zamykanymi wiekami, wyglądającymi jak kierownice. Tylko jeden z kriogenicznych pojemników zawierał żywe okazy genetycznych eksperymentów; drugi miał olbrzymie wgniecenie i rozerwaną pokrywę, strużki zaschniętej krwi znaczyły jeden z jego boków.

Lucan nie musiał zgadywać, w jaki sposób powstało to uszkodzenie.

Hunter przywiózł również rozerwany na kawałki, gwarantujący lojalność i emitujący ultrafiolet, kołnierz z polimeru, który zdobył w walce zdzierając go z jego właściciela, zabójcy wyhodowanego przez Dragosa, wysłanego, by własnym życiem chronił zawartość laboratorium. Dzięki bojowemu doświadczeniu Huntera, zabójca poniósł klęskę. A teraz skarby z tego skonfiskowanego laboratorium należały do Zakonu. Hunter miał też szczątki innej obroży UV... od tej uwolnił szyję trzynastoletniego chłopca. Syna Corinne, Nathana.

Tak jak wszyscy z Rasy, młody człowiek odziedziczył kolor oczu i włosów po matce. Hebanowe włosy tego chłopca były zaledwie cieniem na jego czaszce, golenie na glacę było typowe dla zabójców. To był tylko jeden... i zdecydowanie najmniej okrutny ze sposobów, jakich używał Dragos w celu pozbawiania ich własnej tożsamości i czynienia beznamiętnymi maszynami do zabijania, już od najwcześniejszego dzieciństwa.

Lucan przyjrzał się śmiertelnie niebezpiecznemu młodzieńcowi z rozważną rezerwą, zauważając jak Nathan trzyma się na dystans od reszty grupy, która zebrała się w nowej centrali, żeby przywitać się z Hunterem i Corinne. Chłopiec obserwował z kamiennym wyrazem twarzy, jak jego matka została porwana w serdeczne objęcia przez Dawczynię Życia mieszkającą w nowej rezydencji Zakonu. Jego spojrzenie koloru morskiej wody było obojętne i niedające się odczytać, przesuwające się od Tess i dziecka i reszty gadatliwych kobiet, do Gideona, Rio i Kade'a, którzy razem z

niedawno przybyłymi Niko, Brockiem, Dante i Teganem obstarali pojemniki kriogeniczne.

- Chłopiec może sprawiać problemy - zauważył Lucan, kierując swoją uwagę do stojącego przy nim Huntera. On również w milczącym zamyśleniu patrzył na Nathana. - Jakoś nie bardzo podoba mi się pomysł sprowadzania jednego z żołnierzy Dragosa do mojego domu, bez względu na to, jak młody i drobny byłby ten zabójca. Hunter prawie niedostrzegalnie przechylił głowę. - Jeśli dobrze sobie przypominam, miałeś takie same zastrzeżenia również w stosunku do mnie, ale jakoś nie zamordowałem nikogo we śnie... przynajmniej do tej pory. Nawet Harvarda.

Lucan spojrział z zaskoczeniem na dawnego zabójcę, zwykle odznaczającego się niewzruszonym stoicyzmem. - Poczucie humoru... u ciebie? No nie, chyba mnie powaliło - zaniósł się zdławionym chichotem, który sprawił, że poczuł, jakby ktoś zdjął mu z ramion część zalegającego tam ciężaru. Część, ale nie wszystko.

- Właśnie do mnie dotarło, że chłopiec został wyciągnięty z jednej złej sytuacji i wpadł w kolejną. Nie jesteśmy zbyt przygotowani, żeby pomóc uporać się temu dziecku ze zmianami, jakie zaszły w jego psychice.

Hunter pokiwał głową.

- Ja jestem gotowy żeby wziąć za niego pełną, osobistą odpowiedzialność. Nathan będzie moim problemem, nie Zakonu.

- Czy on aż tyle dla ciebie znaczy?

Hunter ponownie skinął głową, tym razem z większą powagą. - Tak. Ponieważ dla niej jest wszystkim.

Lucan podążył wzrokiem za złotym spojrzeniem wojownika do drobnej, pięknej Corinne. Oczy tej pary odnalazły się i połączyły, a Lucan praktycznie mógł poczuć

energię buzującą w powietrzu pomiędzy nimi. - Co z resztą zabójców wciąż wykonujących rozkazy Dragosa? - To było ponure przypomnienie faktu, którego żaden z nich nie mógł pozwolić sobie ignorować. - Częścią twojej misji dla Zakonu jest pomoc w wytropieniu i zneutralizowaniu wszystkich działań, w które zaangażowany jest Dragos. Nawet najmłodszy zabójca, którym on rozkazuje stanowią bardzo realną i niezwykle śmiertelną groźbę.

Gdy uwaga Huntera skupiła się z powrotem na Lucanie, jego oczy wypełniała lodowata determinacja. - Nie ucierpię na tym ani śluby, które złożyłem tobie i reszcie Zakonu, ani moja misja, by zobaczyć, jak jego operacje kończą się fiaskiem. To co robię teraz, robię dla Corinne. I dla jej chłopca.

Lucan chrząknął. - I myślisz, że on różni się od innych takich jak on?

Hunter zamyślił się głęboko i upłynęła dłuższa chwila zanim odpowiedział.

- Nathan ma coś, czego żaden z nas nigdy, albo bardzo długo nie zaznał. On jest kochany. To prawdopodobnie jedyna wystarczająco silna rzecz, aby zneutralizować morderczą tresurę Dragosa.

Uświadomienie sobie... tego tak bardzo ludzkiego zrozumienia cudownej mocy miłości... spadło na Lucana jak grom z jasnego nieba, szczególnie, kiedy wyszło ono spod warg tego właśnie mężczyzny. Ale niech go szlag, gdyby miał temu zaprzeczać. Bez miłości Gabrielle, mógł sobie tylko wyobrażać, gdzie by teraz był. Podążał wtedy tą samą mroczną ścieżką w kierunku Nałogu Krwi, na której obecnie znajdował się Chase... co do tego nie miał najmniejszych wątpliwości.

Lucan położył swoją rękę na masywnym ramieniu Huntera. - Mam cholerną nadzieję, że się nie mylisz, bracie. Dla dobra jej i tego chłopca.

- Ja nie popełniam błędów - odpowiedział mechanicznie były zabójca, przez

mgnienie sekundy ukazując cię tego nieustępliwego wojownika, którym był i na którego się urodził. Gdy jednak napotkał spojrzenie Lucana, jego oczy wypełniała determinacja, która była jak najbardziej osobistej natury. - Postawię na to swoje własne życie, Lucanie. Nie zawiodę cię. Ani Nathana.

Na szczęście Lucana zadrgało ścięgno, kiedy rozważał niezliczone możliwości potencjalnego ryzyka i zaufanie, o które prosił go Hunter. W końcu, udzielił sztywnego kiwnięcia głową. - Daj tu chłopca.

Hunter ruszył, by w mgnieniu oka wypełnić polecenie lidera, jego ogromna dłoń opierała się na szczupłym lecz umięśnionym ramieniu młodego zabójcy, kiedy kierował go w stronę, gdzie czekał Lucan, lawirując pomiędzy zajęтыми różnymi rzeczami osobami znajdującymi się w pokoju.

- Nathanie. To jest Lucan. On jest przywódcą i założycielem Zakonu.

Oczy chłopca były puste, nieruchome, gdy tak stał w milczeniu. Lucan wyciągnął do niego rękę.

- Nathanie - powiedział, pochylając głowę w pozdrowieniu i czekając na jego reakcję. Już myślał, że młodzieniec nie przyjmie jego ręki, ale wtedy, w ostatniej sekundzie, Nathan również wyciągnął dłoń. Ten gest był pełen niepewności, bardziej naśladował on zachowanie Lucana, niż rozumiał, czego od niego oczekiwano. Ale to był dopiero początek. Lucan krótko uścisnął chłodne, zadziwiająco silne palce.

- Jesteś tu bezpieczny, synu. Witamy cię w naszym domu.

Oczy Lucana wydawały się przenikać go na wskroś. Nathan cofnął swoją rękę i zacisnął ją w pięść to przy swoim boku.

- Hunter! - piskliwy, dziewczęcy głos przedarł się przez chaos panujący w pokoju,



gdy Mira wpadła do niego jak mikroskopijne tornado, delikatne blond włoski podskakiwały na jej plecach.- Hunter, w końcu jesteś z powrotem!

Wdarła się w sam środek zgromadzenia pełna entuzjazmu, głośna i zupełnie nieskrępowana w okazywaniu swojej radości. Rzuciła się w ramiona ogromnego wojownika pierwszego pokolenia, chichocząc, kiedy podniósł ją w górę i trzymał tak, by jej twarz znajdowała się na jednym poziomie z jego własną. Uśmiech Huntera był serdeczny i czuły, cierpliwszy niż można się było tego spodziewać po tak śmiertelnie niebezpiecznym mężczyźnie.

Ale przecież to właśnie Mira była tą osobą, która najbardziej przyczyniła się do wzięcia Huntera pod skrzydła Zakonu. Od tego czasu, tych dwoje stało się parą prawdziwych, choć trochę nieprawdopodobnych przyjaciół.

- Czy zdajesz sobie sprawę, że prawie przegapiłeś Boże Narodzenie? -  
Poinformowała go, po części z pretensją, a po części z dziewczęcym niedowierzaniem. Lecz w następnej chwili jej zainteresowanie zmieniło swój kierunek. Drobną twarz obróciła się, żeby zmierzyć wzrokiem nową osobę, która zasilila szeregi ich gromadki. - A to kto?

- Syn Corinne - odpowiedział Hunter. Po czym dorzucił, z wymowną pauzą: - Na imię ma Nathan.

Mira wyswobodziła się z ramion Huntera i podeszła do nastoletniego zabójcy.  
- Cześć Nathan. Jestem Mira.

Chłopak nic nie odpowiedział, tylko się w nią wpatrywał, jakby była jakimś dziwnym nowym gatunkiem, z jakim nigdy wcześniej się nie zetknął. Lucan zastanawiał się, czy on kiedykolwiek, poza swoją matką był tak blisko kobiety, nawet tak małej jak Mira. Biedny dzieciak, nawet nie zda sobie sprawy, co w niego trafiło,

gdy dziewczynka zdecyduje się zrobić z niego swoją osobistą misję, jak zdawała się to uczynić z Kellanem Archerem.

Zostawiając dzieci same z ich nieporadnym zapoznawaniem się, Lucan skinął na Huntera, żeby za nim poszedł, by dołączyć do rozmowy mającej miejsce wokół odzyskanych materiałów z laboratorium Dragosa. - Musimy wlać jakieś paliwo do tych krio-smoków zanim wysiądą im zapasowe baterie. Hunter, mamy tu kilka niezajętych sypialń, więc jeśli ty i Corinne chcecie, możecie wybrać sobie którąś i się rozgościć, zapraszam.

Rzucił okiem w miejsce, gdzie Nathanowi pokazywano właśnie olbrzymi wiecznie-zielony przebój dnia stojący obok kominka. Mira z podnieceniem wyjaśniała, które dekoracje zrobiła samodzielnie i szczebiotała, że będzie niezmiernie szczęśliwa, jeśli on jej pomoże, kiedy nadejdzie pora żeby je zawiesić. Lucan potrząsnął głową i wydał z siebie pełen współczucia, zdławiony chichot. Dla wiadomości Huntera dodał - Mira zabrała Nathana, żeby mu pokazać pokój Kellana. Chłopcy mogą spać razem.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 14



PORANEK UDERZYŁ W NIEGO jak cios młotem w podstawę czaszki. Powieki Chase'a otwarły się z mruganiem, każde włókno jego ciała zadrżało w natychmiastowym, pełnym alarmie.

W domu było coś nie tak.

Był cholernie cichy, zbyt cichy. Tak cichy, jak pieprzony grobowiec.

Kurwa. Jak dawno temu urwał mu się film? Nałóg Krwi dręczył go przez całą noc, ale oparł się pragnieniu, by opuścić Mroczną Przystań i pójść na polowanie. Ostatnią rzeczą, którą zapamiętał, to walka z głodem. Bitwa, którą udało mu się wygrać, ale tylko o włos. Teraz wstał ostrożnie, czując psychiczne szarpnięcia pragnienia krwi i tępy ból kości spowodowany leżeniem na twardej podłodze. Każdy wygłodzony mięsień w jego ciele krzyczał na znak protestu, gdy poderwał się do energicznego, lecz na ciężkich stopach marszu w kierunku zamkniętych drzwi sypialni. Nie słyszał żadnego dźwięku zza zamkniętej na klucz warstwy stuletniego drewna.

Wczoraj wieczorem była w złej formie. Gdy parę godzin temu wszedł, żeby sprawdzić jak się czuje, powiedziała mu, że chyba umiera. Wątpił w to, ale wyglądała na tak nieszczęśliwą, że prawie zrobił to, o co go błagała. Jej ból przemówił mu do serca na poziomie, do którego nie był gotowy się przyznać nawet przed samym sobą. Ale teraz zastanawiał się, czy nie mylił się co do jej stanu. Jezu, a co jeśli zmarła z powodu jego błędu...

- Taviu? - Głos wydobywający się z jego wysuszonego gardła zabrzmiał głucho i chrapliwie. Nie zawracał sobie głowy pukaniem do drzwi, po prostu odblokował zamek i otworzył je na oścież. Wszedł do sypialni.

Był pusta.

Sznury od draperii, których użył, żeby ją spętać leżały w strzępach na łóżku. Nigdzie nie widział Tavi. - Piekło i szatani!

Chase zerknął w kierunku okna, wciąż było zabite kawałkami biurka, które rozbił, żeby zabezpieczyć potrzaskane szkło i zapobiec jej ucieczce. Wszedł dalej do środka.

Wtedy ją usłyszał.

Ciche, szybkie dyszenie, jak u małego, przerażonego zwierzątka dochodzące z drugiej strony łóżka. - Tavia.

Kucała na piętach zwinięta w ciasną kulkę, z opuszczoną nisko głową. Nie zareagowała na jego głos, tylko siedziała tam wciągając w płuca płytkie, szybkie oddechy. Jej ciało drżało jak w ataku febry. Pot zwilżył delikatne włosy i sprawił, że tkanina czarnego dresu przykleiła się do zaokrąglonego łuku jej kręgosłupa.

- Chryste... Taviu, czy wszystko z tobą w porządku? *(przecież widzisz ośle, że nie:)* Wyciągnął rękę, kładąc ją delikatnie na plecach. Wzdrygnęła się, unikając jego dotyku i błyskawicznie odskakując do przodu, na odległość co najmniej dwóch stóp. Gwałtownie obróciła głowę, włosy opadały jej na twarz grubą zasłoną... jednak nie dość grubą, żeby ukryć jaskrawo-żółcisty blask jej oczu.

- O ja pierdołę - rzeczywistość tego, co zobaczył sprawiła, że krew w jego żyłach zamieniła się w lód. To nie mogło dziać się naprawdę. Mógł tylko patrzeć w osłupieniu, gdy jej wargi uniosły się z nieludzkim warknięciem. Chrapliwie nabrała powietrza, po czym gwałtownie syknęła przez zęby i ostre, długie, lśniące kły. Chociaż podejrzewał, że jest czymś więcej niż się wydawała, to ujrzienie tego faktu na własne oczy całkowicie go zaskoczyło.

Tavia Fairchild jakimś... niewiarygodnym sposobem... należała do Rasy. Nic dziwnego, że sznury nie zdołały jej utrzymać. Dla jego rodzaju, do którego najwyraźniej należała ta kobieta były tak samo skuteczne, jak pojedyncza nić dla człowieka.

Przykucnęła nisko napięta jak cięciwa łuku i wbiła w niego nieruchome, gniewne spojrzenie, które było zarazem zaskakujące i niesamowite w swojej furii. Jej zwężone

źrenice były zaledwie cienkimi szparkami zatopionymi w bursztynowym blasku tęczy. Warknęła, nieznacznie przekrzywiając głowę, śmiertelnie niebezpieczna bestia w kobiecym ciele, oceniająca swoją ofiarę. To było jedyne ostrzeżenie, które mu rzuciła zanim skoczyła na niego w błyskawicznym, wściekłym ataku.

Wylądowali twardo. Kręgosłup Chase'a walnął o podłogę z siłą połączonej wagi ciał ich obojga. Impet upadku wybił mu powietrze z płuc z cichym świstem, a upiorny krzyk Tavi odbił się echem w jego czaszce.

Zaczęła walczyć w tym samym momencie, w którym upadli na twarde drewno. Szybka i silna, rzuciła się na niego z pazurami, wrzeszcząc i warcząc, podczas gdy on próbował odeprzeć jej szaleńczy atak.

Przód jej zapinanej na suwak dresowej bluzy z kapturem był rozsunięty na tyle, że dawał mu dobry widok na sieć dermaglifów rozprzestrzeniających się ozdobnymi łukami po klatce piersiowej i w górę na jej gardło. Teraz już nie miał wątpliwości że tym właśnie były: oznaczenia skóry właściwe dla Rasy zalewała feria barw, głęboki odcień fioleto, czerwonego wina i czerni. Była wściekła i konała z głodu, jej glify poinformowały go o tym na pierwszy rzut oka.

Jakim sposobem te genetyczne oznaczenia aż do tej chwili pozostawały w uśpieniu?

Co do cholery z nią zrobiono, żeby powstrzymać jej prawdziwą naturę?

Chase nie miał czasu zbyt długo się nad tym zastanawiać. Tavia wzięła zamach i wycelowała pięść w kierunku jego twarzy. Uniknął uderzenia, szybszy niż ona tylko z powodu doświadczenia i treningu. Była niewyszkolona i poza kontrolą, najwyraźniej ta nieokiełznana, wrodzona moc uwolniła się w niej po raz pierwszy. Była morderczym przedstawicielem Rasy, ukrytym w eleganckiej kobiecej formie.

I niech go piorun strzeli, jeśli Chase w całym swoim życiu zetknął się z czymś bardziej podniecającym.

Wciąż próbowała z nim walczyć, burcząc gdy blokował jej każdy atak. Rycząc i warcząc, kiedy w końcu chwycił ją za nadgarstki i przytrzymał je nad swoją głową. Na bokach jej smukłej szyi widział gwałtowne uderzenia pulsu. Mógł go również wyczuć pod koniuszkami swoich palców, które zaciskał na jej silnych nadgarstkach. Czuł też gwałtowne pulsowanie wzdłuż wewnętrznej strony jej ud, którymi obejmowała go w pasie jak stalowymi okowami, więżąc go pod sobą z zadziwiającą siłą. Dyszała i próbowała się wyrwać, a te jasne złociste oczy i obnażone kły mówiły mu, że nie straciła jeszcze ochoty do walki. Nie była nawet tego bliska.

- Taviu, posłuchaj mnie - jej mięśnie drgnęły w ostrzeżeniu, że za chwilę ma zamiar zaatakować. Chase zaklął i zacisnął zęby próbując utrzymać kontrolę nad jej napiętymi ramionami.

- Tavia, do cholery, musisz się uspokoić...

Wrzasnęła na tą próbę przemówienia jej do rozsądku, ale nie próbowała uwolnić się z jego uścisku.

Nie, ona go ugryzła.

Chase wydał z siebie nieartykułowany okrzyk, gdy jej kły zatopiły się w ciele i ścięgnach lewego nadgarstka. To nie spowodowany ugryzieniem ból wstrząsnął nim do głębi, ale nagła, niepokojąca świadomość, że jego krew tryska swobodnie w jej usta.

Próbował zwrócić się do niej po imieniu... ostrzec, żeby przestała... ale to, co opuściło jego wargi było tylko stłumionym jękiem. Ból i rozkosz spowodowane jej

ukąszeniem przeszły jego ciało, jak impuls elektryczny docierając do każdego włókna jestestwa. Chryste, to było cudowne.

Zbyt cudowne, zwłaszcza że nawet nie miał pojęcia, jak jego krew może na nią podziałać. Jakimś sposobem należała do Rasy; teraz to pojął. Ale jak jej ciało zareaguje na jego erytrocyty?

Nie minęły nawet dwie sekundy i miał swoją odpowiedź.

Tavia uwolniła go z gardłowym krzykiem. Jej oczy płonęły teraz jaśniej, emitując bursztynowe światło tak gorące, jak żarzące się węgle. Jej kły ociekały krwią... jego krwią... spływającą w dół na jej brodę i falujące krągłości piersi. Jej glify pulsowały żywymi zmieniającymi się kolorami, co na śmietankowej skórze wyglądało piekielnie podniecająco.

Gdy uniósł nadgarstek do ust, by zamknąć rany, Tavia zmierzyła go roznamiętnionym wzrokiem. Oblizła wargi, różowy języczek zebrał każdą odrobinę krwi jaka pozostała na jej wargach. Na chwilę odchyliła głowę, z roztargnieniem pogłaskała się po szyi, następnie jej dłonie powędrowały w dół prześlizgując się po okrytych dressem krągłościach piersi. To był nieświadomie zmysłowy gest, instynktowna reakcja na krew, którą teraz karmiły się jej komórki. Gdy znowu na niego spojrzała, to płonące spojrzenie przywarło do jego gardła. Jej oddech wciąż był przyspieszony i urwany, a ciało drżało napiętą agresją. Była rozpalona. Chase czuł bijący od niej żar tam, gdzie stykały się ich ciała, jej obciążone nylonem uda okraczały jego nagi brzuch. Poczul, że jego własne spodnie również stają się zbyt ciasne w miejscu, gdzie jej pupa rozkosznie ocierała się o jego pachwinę.

Boże, była wspaniała. Zbyt piękna.

I wszystkie jego męskie instynkty, oczywiście wbrew jego woli... błyskawicznie

stanęły w pełnym... pogotowiu. Nie miał najmniejszej szansy, by zmusić się do odepchnięcia jej, kiedy znowu na niego opadła, szybsza niż poprzednio, poruszając się tak błyskawicznie, że ledwie mógł dostrzec jej ruch. Tym razem ugryzienie było mocniejsze. Wycelowane ze śmiertelną precyzją w tętnicę szyjną.

W momencie, gdy ostre kły przebiły jego szyję i zatopiły się w niej głęboko, ciało Chase'a wygięło się w łuk. Wszystkie mięśnie i ścięgna napięły się w nim jak struny. Piła z niego łapczywie, ssąc z jego żyły długimi pociągnięciami, a w odpowiedzi penis nabrzmał mu tak mocno, iż myślał, że za chwilę eksploduje.

Nie chciał przyznać się do przyjemności, której doświadczał, ale byłby potępiony, gdyby próbował temu zaprzeczyć. Jego szalejąca erekcja była wystarczającym dowodem, ale czuł również, jak za każdym kolejnym łykiem krwi, który Tavia wysysała z jego żyły jego dermaglify rozpalają się coraz intensywniejszymi barwami pożądania.

- Chryste - wysyczał, niezdolny do robienia czegoś innego oprócz zaakceptowania jej ust na swoim gardle. To uczucie było tak niepodobne do czegokolwiek, co wcześniej znał. Niezwiązany, przez całe swoje życie pożywiał się wyłącznie od ludzi i nigdy nie pozwolił żadnemu Żywicielowi pić od siebie. Nie, żeby tępe, małe zęby można było porównać do przyjemności, jaką dawały mu ostre jak brzytwa kły Tavi, trzymające go blisko przy jej ustach, gdy łakomie pożywiała się z jego żyły.

Za każdym uderzeniem swojego serca czuł, jak wypływa z niego energia, z kończyn z głębi jego istoty i zmysłów, wpływając do niej. Odżywiając ją. Czuł, jak rosła w niej moc. Jej głód pogłębiał się za każdym intensywnym pociągnięciem z nakłuć na jego szyi. Jęknęła i wypła jeszcze trochę, echo jej przyjemności pobudziło jego własne pożądanie do niewiarygodnego poziomu. Tavia zaczęła poruszać biodrami, ocierając się o niego. Wiedział, że czuje się tak samo pobudzona jak on. Mógł to dostrzec w wilgoci sączącej się z jej ciała. I zapachu jej pożądania w każdym



gwałtownym oddechu, który wciągał do swoich płuc.

Pod jej falującymi biodrami jego członek był twardy jak kamień. Ból pożądania był czystą, brutalną, rozkoszną torturą. Ale chociaż jego pragnienie było nie do zniesienia, jej musiało być jeszcze dotkliwsze. Genetycznie wzbogacona o właściwości, które czyniły Żywiciela bardziej uległym w momencie ukąszenia, krew Rasy po spożyciu miała jeszcze silniejsze działanie. Dla kobiet urodzonych jako Dawczynie Życia była bardzo silnym afrodyzjakiem.

A dla Tavi?

Nie mógł tego wiedzieć. Jedyna odpowiedź, jaką otrzymał nadeszła ze strony jej bioder coraz bardziej natarczywie ocierających się o jego własne. Przesunął swoje dłonie do góry tak, że spoczęły na jej plecach. Był na skraju szaleństwa, kiedy ześliznęła się niżej, w dół jego ciała i docisnęła gorące jądro swojej kobiecości do jego napiętego krocza. Wiedział, że powinien to zatrzymać zanim cała ta sytuacja zajdzie zbyt daleko. Ale jakakolwiek myśl o powstrzymaniu jej szybko traciła swoją moc wpływem tej zmysłowej napaści na jego i tak już mocno sponiewieraną cnotę.

- Taviu - mruknął niewyraźnie, czując ostre końcówki własnych kłów wpijające się w miękkie ciało jego języka, podczas gdy jego ciało zaczynało zdradzać swoją prawdziwą naturę. - Ach, kurwa...

WIĘCEJ. To było wszystko, czego w tym momencie pragnęła, jedyne co się liczyło.

Więcej.

Więcej łagodzącego płynu, który zwilżał pustynię, w jaką zamieniło się jej gardło. Więcej mocy, która docierała do każdej jej cząstki, łagodząc ból dręczący jej kości i

mięśnie, uspokajając furię... gwałtowną burzę dzikiej, zwierzęcej wściekłości... która wyrwała ją ze snu pozostawiając drżącą, dezorientowaną i skuloną na podłodze w sypialni.

Pragnęła więcej rozkoszy, jaką poczuła od pierwszego łyku pikantnego, ciemnego eliksiru, który spływał po jej języku jak płynny aksamit z jakiegoś egzotycznego obcego świata. To była krew. W głębi swojego umysłu, który wciąż był oderwany od rzeczywistości, zdawała sobie z tego sprawę. To była jego krew. Sterlinga Chase'a. Człowieka, którego prawdopodobnie powinna się bać i nim gardzić. Mężczyzny, który wcale nie był człowiekiem, ale czymś dzikim i niebezpiecznym. Ale ona wciąż go pragnęła, chciała więcej.

Jej tętno przyspieszyło na myśl o tym, mocniej pulsując w żyłach. Czowała swoją krew, gorącą i ożywczą wypełniającą wszystkie jej mięśnie i organy. Mogła praktycznie słyszeć, jak jej komórki ssą, wchłaniając jego mroczną moc, biorąc ją jakby była jej własnością.

I to było cholernie cudowne uczucie.

W każdym miejscu, w którym się stykali jej skóra aż swędziała od pobudzenia. Nie była w stanie ignorować odczuwanej przyjemności, nie bardziej niż odmówić sobie zaspokojenia pożądania, które sprawiało wrażenie, jakby budowało się w niej przez całe jej życie.

Wcześniej czuła się chora... miała pewność że umiera. Ale teraz nie czuła żadnych dolegliwości. Żadnej powodującej drżenie słabość, ani niepokoju, który tak często musiała łagodzić lekami. Teraz czuła się pełna życia. Nieskończenie, prawdziwie żywa.

Piła zachłannie z jego otwartej żyły, niezdolna by być łagodną i delikatną.

Ani też nie mogła powściągnąć innego pragnienia, które w niej pulsowało, palącej potrzeby, której płomienie lizały jej skórę i rozgrzewały pobudzone zmysły.

Teraz wszystko wydawało się być wyraźniejsze, bardziej intensywne. Jej głowę wypełniał mroczny zapach jego skóry i krwi, która pulsując rozlewała się na jej języku. Wchłaniała go w siebie, jego egzotyczny drapieżny smak. Delektowała się twardą mocą leżącego pod nią ciała, ciepłem muskularnego torsu i gładkim atłasem skóry, który czuła pod koniuszkami palców. Jego serce biło tak samo gwałtownie jak jej, a ona jakimś niewiarogodnym sposobem czuła te uderzenia w swoich własnych żyłach. Mogła wyczuć siłę jego pożądania, potrzeby, która sprawiła, że jej wnętrze stało się jeszcze wilgotniejsze i bardziej rozpalone. Tavia jęknęła, zupełnie tracąc kontrolę nad tym, co jeszcze w niewielkim stopniu była w stanie kontrolować.

- Jeszcze - mruknęła z ustami przy jego skórze. Jej biodra poruszały się, jakby kierowane swoją własną wolą, bezwstydnie pomimo jej braku doświadczenia. Teraz cała stała się pożądaniem, pragnęła aż do bólu, który narastał i ją pożerał. Ocierała się swoim dziewiczym ciałem o duże twarde wybrzuszenie, które umościło się między jej rozszerzonymi udami. Podczas tego rozkosznego tarcia narastała w niej słodka przyjemność, ale to nie wystarczało, żeby ją zaspokoić. Bynajmniej.

Dyszała, kiedy w końcu oderwała swoje usta od bliźniaczych nakłuc, które zrobiła na jego gardle. Uniosła się i spojrzała w dół na jego udręczoną twarz. Jego oczy pałały żarem. Zza rozchylonych warg błyskały śnieżnobiałe, ostre jak sztylety kły.

- Proszę - szepnęła, przegrywając z wszystkim żądaniami swojej nowej świadomości. By dać mu jasno do zrozumienia czego pragnęła, zakołysała swoimi biodrami, posykując z powodu dręczącej ją pustki, która potrzebowała wypełnienia.

- Błagam... spraw żeby ten ból się skończył...

Jęk, jaki w odpowiedzi opuścił jego gardło zabrzmiał surowo, na poły z odmową. Ale w następnej sekundzie uniósł się w górę i położył swoją wielką dłoń na jej karku. Ze zwierzęcym warknięciem, przyciągnął ją do swoich ust w zachłannym, dzikim

pocałunku.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 15



USTA TAVI BYŁY GORAĆE, wrażliwe i chętne, gdy wsunął do nich swój język w głębokim, bezlitosnym pocałunku. Wpuściła go do środka, oddając mu pocałunek z taką samą intensywnością, chociaż jej usta były trochę niewprawne, a jej język nieco nieporadnie zaczepiał o końce jego długich kłów. Ale była cholernie pojętną uczennicą; musiał jej to przyznać.

Wciąż na nim siedziała i wkrótce zsynchronizowała swoje poruszenia biodrami z agresywnymi pchnięciami jego zuchwałego języka, ocierając się w pełnym żądry rytmie o jego nabrzmiące ciało. Gdy jej kobiece kły ocierały się o jego własne, ogromne i w pełni wysunięte, było to niesamowicie erotyczne uczucie, niepodobne do niczego, co kiedykolwiek doświadczył. Kiedy pogłębiła pocałunek ostre czubki kłów drapały, podszczypywały i szturchały jego wargi, doprowadzając go do szaleństwa.

Z warknięciem przerwał pocałunek, gwałtownie łapiąc oddech, przyspieszony tak samo, jak bicie jego serca. Zdjął rękę z jej szyi, tylko po to, aby sięgnąć do zapięcia zamka błyskawicznego jej bluzy. Pociągnął go w dół i obnażył jej skórę dla swojego pełnego zachwyty spojrzenia.

Jej dermaglify wypełniały teraz żywe, kłębiące się kolory. Piękne spirale i łuki biegły przez jej obojczyki i w dół klatki piersiowej, znikając pod skromnym czarnym

stanikiem, który kupił jej razem z ubraniem. Wybrał go w pośpiechu, chwytając zwykły bawełniany, wyglądający na mniej więcej w jej rozmiarze. Ten stanik nie mógłby wyglądać na niej seksowniej nawet, gdyby został uszyty z koronek i atłasu. Jej niewielkie, zuchwałe i sprężyste piersi doskonale go wypełniały.

Chase, palcem wskazującym i kciukiem jednym pstryknięciem otworzył zameczek z przodu biustonosza, po czym zsunął ciemną tkaninę. Piękne ozdobniki pulsujące głębokimi kolorami czerwonego wina i indyga okalały jej ciemno-różowe sutki. Kolory pożądania zdobiły jej kremową skórę, jak naniesione ręką artysty. Chłonał ją wzrokiem, a oddech, który wcześniej był przyśpieszony, teraz zamienił się w ciche, urwane westchnienie.

- Jaka piękna - szepnął niskim, schrypniętym głosem. Potem uniósł plecy z podłogi, by wziąć jeden z tych pięknych pąków do swoich ust. Ssał ją cały czas uważając, żeby nie zadrasnąć kłami jej delikatnej skóry. Nie chciał sprawić jej bólu, ani też przypadkowo skaleczyć, powodując krwawienie. Tak daleko zapamiętał się w tym erotycznym głodzie, że nawet kropla jej krwi mogłaby całkowicie pozbawić go kontroli.

Nawet sama myśl o tym posłała gorący impuls do jego erekcji.

Tavia wydała z siebie jęk udręki, gdy zawirował językiem wokół napiętego węzła jej sutka. Czuł, jak zadrżała z pożądania. Żar jej ciała parzył go przez podwójną warstwę ich ubrań, a każdy powolny ruch jej bioder popychał jego wątpliwą samokontrolę coraz dalej w kierunku krawędzi.

Kiedy mocniej possał jej pierś, a po chwili zamienił jeden słodki sutek na drugi, zamknęła oczy i z cichym jękiem odrzuciła głowę do tyłu. Obserwował grę napiętości na jej skórze, zmieniające się odcienie jej gładkich w kolorach szlachetnych kamieni, taniec barw, które zdobiły jej piersi i spływały na płaski

brzuch. Jej talia była niesamowicie wąska, prawdopodobnie mógłby zamknąć ją w swoich dłoniach. I chwilę później, to właśnie zrobił, unosząc ją w górę i przekręcając się razem z nią, dopóki nie znalazł się na górze z biodrami wciśniętymi pomiędzy jej uda. Poruszył nimi gwałtownie w przedsmaku tego, co wkrótce miało się zdarzyć. Jęknęła, kiedy powoli się odsunął. A gdy uniosła powieki, jej spojrzenie eksplodowało bursztynowym blaskiem. Chwyliła jego głowę w dłonie i przyciągnęła go do przepelnionego pierwotną żądzą pocałunku.

- Jeszcze - wychrypiała w jego rozchylone usta.

A następnie znowu go ugryzła. To było mocne, zaczepne ukąszenie, które wysłało strzałę rozkoszy prosto do jego penisa.

Oderwał się od niej z warknięciem i uniósł nad nią na kolanach. Dłonie mu drżały, kiedy chwycił ściągacz jej spodni i jednym ostrym szarpnięciem ściągnął je w dół razem z bielizną.

I, o Chryste. Tu też były dermaglify, bardziej wymyślne. Pieściły krągłości jej bioder i podkreślały delikatne gniazdo ciemnych loków na wznórkach jej łona. Wsunął swoje palce pomiędzy jej uda i znalazł ją gorącą, wilgotną i ciasną. Tak cholernie ciasną. Jęknął, wciągając w płuca jej zapach; zapach zarówno pierwotny jak i egzotyczny, niewinny i dziki. Nie mógł oprzeć się temu aromatowi. Ze wzrokiem utkwionym w jej oczach, przysunął palce do ust i zlizwał z nich jej słodycz. Wiła się pod nim, dyszała i ocierała o niego, jej oczy płonęły, a twarz nabrała prawie bolesnego wyrazu. Zapach jej pożądania nasilił się, pobudzając jego własną gorączkową potrzebę. Rozpiął swoje spodnie i zsunął je z bioder, syknął, gdy pierwszy podmuch chłodnego powietrza uderzył w jego nagiego penisa. Nie mógł się już doczekać, żeby się w niej zanurzyć. Nie było już czasu, by do końca się rozebrać, oszalał z pożądania.

Kiedy prześliznął się główką swojego członka wzdłuż śliskiej szczeliny jej ciała, Tavia zacisnęła dłonie na jego ramionach. Jej tępe paznokcie wbiły się w jego ciało, gdy ustawił się w odpowiedniej pozycji, po czym zatopił w niej jednym głębokim pchnięciem. Krzyknęła, jej chwyt na jego ramionach zacisnął się jeszcze mocniej. Mimochodem zauważył, że naprawdę była silna. Niepokojąca myśl przemknęła przez jego zamroczony pożądaniem mózg: chyba nie mogła być dziewicą, a może? Ale potem jej krzyk uspokoił się do cichego jęku, dźwięku, w którym mieszały się ból i przyjemność. A gdy już się w niej znalazł, nie mógł powstrzymać się przed poruszaniem biodrami i zanurzaniem w ciepłej, wilgotnej rękawiczce jej pochwy.

Jej powieki powoli unosiły się w górę, gdy z każdym kolejnym pchnięciem coraz głębiej się w niej zatapiał. A gdy przyśpieszył tempo niemal dostosowując je do rytmu jej gwałtownie bijącego serca, utkwiała w nim rozpalone i przeszywające spojrzenie swoich bursztynowych oczu. Rozchyliła wargi w drżącym westchnieniu, błyskając wysuniętymi kłami.

Poczuł jej zbliżający się orgazm, delikatne falowanie mięśni wzdłuż jej pochwy, zaciskających się na nim, gdy przeszył ją pierwszy spazm rozkoszy. Sapnęła ostro, naprężając się pod nim, podczas gdy on prowadził ją dalej, wciskając się w nią jeszcze głębiej.

- To jest to - wymruczał ochryple. - Tego właśnie chciałaś. Teraz to bierz.

Wydała z siebie stłumiony jęk, jej ciało zadrżało, a ręce wciąż zaciskały się na jego ramionach jak bliźniacze imadła. W następnej chwili jej gardło napięło się w eksplozji krzyku, krzyku gwałtownego spełnienia. Wciąż się w niej poruszał, zatracony w pełnym erotyzmu falowaniu jej pochwy mocno zaciskającej się wokół niego. Drobne skurcze mięśni wywołane jej orgazmem wyrwały spomiędzy jego zębów i kłów gwałtowne przekleństwo. Jego własna potrzeba spełnienia również nie

miała dla niego litości. Wbił się głębiej i mocniej w jej gorące wnętrze, przegrywając z pierwotnym, nagłym głodem. Uderzyło w niego niezwykle intensywne uczucie i tliło się tuż pod powierzchnią zalewającej go rozkoszy. Poczuł, jak budzi się w nim to inne, bardziej ponure pragnienie, które powoli udawało mu się opanować. Teraz głód znowu go dosięgnął, jak drapieżnik wyczuwający chwilę największej słabości. Stan największego rozproszenia. Wbrew jego woli, oczy Chase'a skierowały się ku delikatnemu gardłu Tavi. Odwrócił twarz.

Wysiłek, jaki w to włożył sprawił, że całe jego ciało zaczęło drżeć.

A może to seks spowodował to drżenie.

To nie tak, że minęło strasznie dużo czasu odkąd ostatni raz kogoś pieprzył, ale te ludzkie kobiety, które walił, kiedy miał na to ochotę, nigdy nie sprawiały mu zbytnej przyjemności. Ulgę, owszem. Ale takie same spuszczenie pary gwarantowała mu dobra walka. Ból mógł być przydatny. Prawdę mówiąc był nawet zalecany, im dotkliwszy tym lepszy. Tak właśnie radził sobie przez ostatnie kilka miesięcy, kiedy jego narastający głód krwi stał się najbardziej dotkliwy. Powstrzymywał Nałóg Krwi przez agresję i walkę, mając nadzieję wymienić jeden wredny nałóg na inny. To była niebezpieczna gra, ale jedyna jaką znał. Przyjemność nie była czymś, na co pozwolił sobie od dłuższego czasu. Ból i brutalność były dla niego znacznie bezpieczniejszą opcją. Pozwalały mu się kontrolować i zachować w miarę jasny umysł. Nie tak jak teraz. W tym momencie prawie nie był w stanie myśleć, nie gdy rozkosz, jaką dawało mu ciało Tavi i sztylety pragnienia krwi toczyły walkę o jego duszę.

Zaryzykował i rzucił na nią kolejne spojrzenie. Zauważył, że badawczo się w niego wpatruje. Jej orgazm ucichł, ale wyczuwał iż balansuje na krawędzi kolejnego. Wiedział, że powinien to zakończyć... zanim mordercza chłosta jego narastającego pragnienia krwi stanie się dla niego zbyt trudna do zniesienia. Ale jego libido miało inne plany. Jego biodra zakołysały się do przodu w potężnym pchnięciu, które



zagłębiło go w niej aż po rękojeść. Wcisną się w nią jeszcze mocniej, prawie brutalnie i spojrział na nią. Głos który opuścił jego gardło zazgrzytał jak żwir.

- Jeszcze?

Odpowiedź Tavi była ledwie sykiem przez obnażone zęby i lśniące kły. - Taaak. *(w oryginale było Yesss, prawda że brzmi lepiej ;)*

Jej zgoda była dla niego swoistym rodzajem tortury. Ponieważ Chase nie sądził, żeby wystarczyło mu samokontroli, by się teraz zatrzymać. Nie, nawet gdyby go o to błagała.

TAVIA WCZEPIŁA SIĘ w jego muskularne ramiona, gdy po raz kolejny porwała ją oślepiająca ekstaza. Fala za falą, zalewała wszystkie jej zmysły, jej intensywność sprawiła, że prawie wyskoczyła ze skóry. Nie mogła mówić. Nie mogła oddychać. Zdołała tylko zamknąć oczy i wydać z siebie westchnienie zaspokojenia, które wydawało się pochodzić z samego jądra jej duszy. Czuła się jak po porażeniu prądem. Każde jej zakończenie nerwowe eksplodowało i mrowiło, drżąc z przeciążenia wrażeniami.

Miejsce pomiędzy jej udami pulsowało tępym bólem, ale dopiero teraz niejasno zdała sobie sprawę, że ono również poddało się transformacji, która ogarnęła jej ciało i osobowość. Całe jej jestestwo zostało poplątane w wirze bólu i przyjemności, kryształowej jasności i kompletnego zamieszania.

Otworzyła oczy i ujrzała źródło tego wszystkiego.

Chase.

Niesamowity, demonicznie przystojny, unosił się nad nią, podczas gdy jej ciało wchłaniało niszczycielski impet jego pchnięć. Nie mogła oderwać od niego wzroku.

Reszta tego, co zostało z jej świadomego umysłu została zahipnotyzowała przez diabelskie piękno jego płomiennych oczu i zdobień skóry, które pulsowały na jego piersi i muskularnych ramionach, napiętych po obu jej stronach. Wypełnione intensywnymi kolorami oznaczenia skóry były takie same, jak te należące do niej. To wszystko było, jak jakiś rodzaj ponurego snu na jawie, który przeżywała, odczuwając go każdą pobudzoną komórką i włóknem swojego ciała. Kołysała się pod nim, bezsilna wobec jego naglącego rytmu.

Napięcie promieniowało ze wszystkich jego dzikich cech, z masywnych, muskularnych ramion i w dół wzdłuż napiętej linii jego potężnego ciała. Przyśpieszył z cichym pomrukiem, a jego podobne do ostrych sztyletów kły wystające zza rozchylonych warg jakby jeszcze się wydłużyły. Podobne do kocich źrenice zwęziły się do cieniutkich kresiek, gdy jego spojrzenie opadło niżej, skupiając się na jej gardle. Żar promieniował z tego dzikiego spojrzenia, parząc jej skórę, jak dotyk gorącego ostrza. Jego usta ściągnęły się w napięciu, pełne wargi uniosły do góry, kiedy brał ją z nieustępliwym, agresywnym zapamiętaniem.

Wiedziała, że powinna się bać. Wiedziała, że to nie miało prawa się zdarzyć... nie w jakiegokolwiek rzeczywistości, którą zdołałaby pojąć. Ale teraz nie czuła żadnego strachu. Tylko instynktowne oczekiwanie. Podczas, gdy jej ciało przyjmowało jego pchnięcia, odchyliła głowę na bok, jakby została ona pociągnięta niewidzialną nicią, dając mu pełny dostęp do szyi.

- Tak - usłyszała swój szept, gdy jego ruchy stały się jeszcze bardziej szalone. Jego oczy utkwione były w jej gardle, nieruchome, wygłodniałe. Tavia przełknęła, uświadamiając sobie swoje nieodparte pragnienie, by jego kły zagłębiły się w jej delikatnym ciele. Oblizła spierzchnięte wargi, sama również znowu go głodna. Kiedy sięgnęła w górę i chwyciła tył jego głowy, zeszywniał, sycząc, jakby go sparzyła. Burknął coś gniewnie, jego twarz wykrzywiła się w bolesnym grymasie, a tępo jego pchnięć wzrosło do ponaddzwiękowego. Jego spojrzenie stało się gorętsze,

oblewając jej obnażone gardło żarem, który poczuła w każdej komórce swojego ciała. Napięcie rosło, dążąc w kierunku czegoś ogromnego i cudownego. Tavia dotarła tam razem z nim, skąpana w zdumieniu i nagłym, rozkwicie kolejnego druzgocącego spełnienia. Opuścił głowę tuż obok jej ramienia, jego gwałtowny oddech muskał jej skórę i odsłoniętą kolumnę szyi. Przez ułamek sekundy, jego usta otarły się o wrażliwą krzywiznę jej ramienia. Czekwała, by poczuć, jak jego wargi zaciskają się na jej ciele. Wstrzymała oddech, gdy rozkosz osiągnęła swoje apogeum, a pragnienie, by poczuć jego kły wbijające się w jej ciało stało się ogłuszającym dudnieniem w żyłach.

- Nie - wychrypiał gwałtownie. - Niech to szlag. Nie. *(czyżby za szybkie tępo jak dla naszego Harvarda :P)*

I z gniewnym przekleństwem wysapanym prosto w jej ucho, wszystko się skończyło. Cofnął się i stoczył z niej tak nagle, że poczuła jego brak jak bolesny policzek. Mięśnie na jego szerokich plecach zafalowały, gdy wstał na nogi w niewątpliwie gniewnym pośpiechu. Podciągnął spodnie jednym nerwowym szarpnięciem i uciekł z miejsca w którym leżała, zdyszana i zdezorientowana, a także dziwnie osamotniona. Nie wspominając już o tym, że okropnie upokorzona. Jej policzki poczerwieniały od innego rodzaju gorąca, gdy patrzyła, jak bez nawet jednego spojrzenia za siebie znika w przyległej łazience. Jakby nie mógł się doczekać, żeby najszybciej od niej uciec. Trzasnęły zamykające się za nim drzwi, lecz nie dość głośno, by zagłuszyć stłumiony ryk, który zza nich wybuchnął.

Tavia w ogłuszającej ciszy, bez słowa podniosła się z podłogi. Jej ciało wciąż drżało z emocji, reagując wolniej na odrzucenie niż cała reszta. Jej żyły wciąż drżały, tętno uderzało tak mocno i gwałtownie, że teraz zaczynało powodować rozsadzający ból w skroniach. A moc, która obudziła się głęboko w niej, musiała dopiero ustąpić. Blizny po oparzeniach, z którymi żyła tak długo jak sięgała pamięcią, wibrowały i pulsowały. Nie były w kolorze brudnego różu, do którego przywykła, lecz w żywych, zmieniających się barwach, które zaprzeczały wszelkiej logice tego, co o sobie

wiedziała. To nie były blizny. Te znaki nie mogły nimi być. Nic w nich... nic w jej ciele i w tej mocy, która w nim krążyła... nie było logiczne ani normalne. Teraz to wiedziała.

Ona sama nie była normalna.

Żałosny jęk uciekł spomiędzy jej warg, gdy poczuła ostry nacisk zębów opierających się o jej język. *Nie*, poprawiła się w myślach. Nie zębów... kłów.

- O Boże.

Spojrzała na krew rozmazaną na jej piersiach i brzuchu. Jego krew, ciemną i lepką, spowodowaną jej ukąszeniem. Krew była również pomiędzy jej nogami, ale te nikłe różowe plamy na jej udach nie należały do niego. Tawia jęknęła, czując jak z powodu znaczenia tego, co zrobiła jej gardło zaczyna zaciskać się w panice... uderzyła w nią szokująca prawda tego, co zdarzyło się w ciągu ostatnich kilku dni.

Seks nie był w tym najgorszy. Boże, nawet nie był tego bliski. Najprawdopodobniej spędzi resztę swojego życia na próbach przekonania samej siebie, że to była najgłupsza rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiła... albo jeszcze lepiej, że to wcale się nie zdarzyło. Ale teraz, gdy wciąż wibrowały jej zakończenia nerwowe, a cała reszta jej ciała pogrążona była w słodkiej niemocy, nie mogła udać, że ten seks nie był niesamowity.

I, o Boże... bez zabezpieczenia.

- Głupia, głupia, głupia - złażała się pod nosem, kiedy z oczami wciąż utkwionymi w drzwiach do łazienki rzuciła się po ubranie. Wciągnęła spodnie, poprawiła stanik i zapięła na suwak swoją bluzę z kapturem.

Nie, o wiele bardziej niepokojące niż pozbycie się dziewictwa z całkowitym, lekkomyślnym zapamiętaniem, było ugryzienie w szyję nieznanego mężczyzny w jakimś rozpalonym oszołomieniu, które pozostawiło ją w przekonaniu, że obydwójce byli... Jezu, to słowo nawet nie chciało uformować się w jej umyśle, takie wydawało się śmieszne i absurdalne.

A jednak, ta sytuacja nie była śmieszna.

Gwałtownie podciągnęła rękaw i spojrzała na blizny, które jednak wcale nimi nie były. Ich kolory wciąż żywe i pulsujące, na jej oczach przechodziły z ciemnych odcieni fioletu i burgunda w głęboki rdzawy brąz. W jej ustach, ostre końcówki kłów wciąż pozostawały wydłużone, jednak już nie tak bardzo, jak wcześniej. Wzrok wciąż wypełniała jej bursztynowa poświata, ale ona również zaczynała blednąć. Nie, pomyślała, zboliała i przerażona. To wcale nie było zabawne. Jej ciało знаło prawdę, nawet jeśli zdrowy rozsądek i logika nie chciały tego zaakceptować.

Mimo, że z całych sił próbowała to odrzucić, to nie mogła oprzeć się wrażeniu, że w całym swoim życiu nigdy nie czuła się bardziej sobą. Czuła jakby jej ciało... w końcu... należało do niej. Jakby z jej świadomości została zdjęta jakaś ciężka kurtyna i po raz pierwszy poczuła się naprawdę pełna życia.

- Nie - jęknęła cicho, walcząc, by odepchnąć od siebie tę niesamowitą prawdę. Nic z tych rzeczy nie miało prawa się wydarzyć. Kilka godzin temu czuła się bardzo chora. Może to wszystko było tylko potężną halucynacją. Przecież Dr. Lewis ostrzegł ją wielokrotnie, że przerwanie jej leku... nie wzięcie choćby jednej dawki... mogło pociągnąć za sobą nieprzewidywalne, ale bardzo ciężkie powikłania.

Może to było to. Może nic z tego nie było wcale rzeczywiste. Być może umysł i ciało zdradziły ją dlatego, że nie wzięła swojej porcji tabletek. A może umierała, jak się tego obawiała, konała od chwili, gdy zamknął ją w tym pokoju po porwaniu jej z

hotelu. Lepsze to niż ta druga niepokojąca alternatywa. Jej umysł i ciało obumierały, tworząc jakąś straszną fantazję, która rozpoczęła się od koszmaru, który zbudził ją w jej sypialni w domu wizjami krwi, seksu i mężczyzny, który wcale nie był człowiekiem.

Rozpaczliwie chwytając się tego wytłumaczenia, poszła wziąć parę tenisówek ze stojącego obok łóżka pudełka na buty. To nie jest prawdziwe, wmawiała sobie, rozdierając bibułkę, żeby wyciągnąć z pudełka fabrycznie nowe Nike'i. To nie jest rzeczywiste. To tylko niezwykle realny, bogaty w szczegóły trick pozbawionego leków, prawdopodobnie umierającego umysłu.

- Co robisz?

Nawet nie zdawała sobie sprawy, że już wyszedł z łazienki. To nie jest prawdziwe, przypomniawszy sobie. Nie było żadnej konieczności, żeby mu odpowiadać, ani nawet zauważać jego obecność. Skupiając się całkowicie na rozplątaniu sznurowadeł przy parze tenisówek, zrobiła rozpaczliwą próbę ignorowania go.

To nie działało.

Nie był żadną halucynacją. Był wysokim na sześć i pół stopy, umięśnionym, prawie nagim mężczyzną z krwi i kości. Teraz wyglądał na spokojniejszego, ale nie dało się nie dostrzec bursztynowego blasku jego oczu, nie wspominając już o czubkach jego ostrych, jak brzytwa kłów. Narastająca panika chwyciła ją za gardło.

- Taviu, chyba musimy porozmawiać.

- Nie, wcale nie musimy. Myślę, że to co już zrobiliśmy całkowicie wystarczy.

Włożyła pierwszy but i szybko go zasznurowała.

Podszedł do niej, jego płowe brwi zmarszczyły się nisko ponad tymi nieludzkimi oczami. - Istnieją sprawy, które musisz poznać. Jezus, istnieją również rzeczy o tobie, które również i ja muszę zrozumieć...

- Zamknij się - warknęła. Niepokój zaczął ją palić nawet bardziej niż zażenowanie, albo zamieszanie, które czuła w związku z jego nagłą rejteradą, mającą miejsce zaledwie kilka minut wcześniej. Wecisnęła stopę w drugi but i szarpnięciem zacisnęła sznurowadło. - Gdybym była tobą.. trzymałabym się ode mnie z bardzo daleka, albo zapewniam cię, wniosę oskarżenie. W ciągu pięciu minut mogę sprowadzić pod te drzwi wszystkich gliniarzy z całych Stanów Zjednoczonych Ameryki. I federalnych też.

Miał czelność zachichotać, chociaż w tym śmieszku nie było zbyt wiele radości. - Wniesiesz oskarżenie? Zadzwonisz po gliny? Kochanie, uwierz mi jestem problemem, którego nie rozwiąże dla ciebie żaden ludzki funkcjonariusz Organów Ścigania. Po tym, co właśnie się pomiędzy nami wydarzyło, powinno być dla ciebie całkiem oczywiste, że obydwójce mamy ogromne problemy.

Wstała i spojrzała na niego z powagą. - Nie próbuj mnie szukać. Nigdy więcej się do mnie nie zbliżaj. Pragnę zapomnieć, że to kiedykolwiek się wydarzyło. Chcę po prostu wrócić do domu.

Zrobiła krok, chcąc go ominąć, ale złapał ją za ramię. Jego palce trzymały mocno, nie puszczając nawet, gdy próbowała się wykręcić. - Puść mnie do cholery.

Potrząsnął głową, jego oczy były ponure. - Ty nie masz dokąd pójść.

- Idę do domu! - Wyrwała się z jego chwytu, oburzenie płonęło w jej żyłach jak kwas. Coś budowało się w niej, powodując mrowienie skóry i nagłą gorączkę. Nie musiała patrzeć na swoje blizny... a raczej, na niewytłumaczalne znamiona na swojej

klatce piersiowej i ramionach... żeby wiedzieć, że gwałtownie wypełniają się kolorem. Reagując na jej nastrój, jak jakiś rodzaj emocjonalnego barometru. Uchyliła się przed nim i zmierzała w kierunku otwartych drzwi sypialni. - Zostaw mnie, kurwa w spokoju.

Staął w progu zanim zdążyła dojść do drzwi. Tavia spojrzała w górę z otwartą buzią, która znalazła się zaledwie kilka cali od jego nagiego torsu.

- Zejdź mi z drogi.

- Nigdzie nie pójdziesz - jego twarz stała się teraz bardziej niż poważna. W jego nieziemskich oczach zabłysła groźba, ostrzeżenie, że nie będzie miał żadnych skrupułów, by fizycznie zmusić ją do pozostania na tak długo, jak uzna to za niezbędne.

Tavia zjeżyła się na tą groźbę. - Powiedziałam, żebyś się ruszył. Muszę zobaczyć się z ciotką i zadzwonić do swojego lekarza. Dlaczego nie potrafisz zrozumieć, że nie czuję się dobrze?

- Cokolwiek się z tobą dzieje... - wymruczał swoim niskim głosem - ...to nie jest choroba. Jesteś wystraszona i dezorientowana. Cholera, zupełnie nie mogę sobie wyobrazić, jak ja sam czułbym się w takiej sytuacji. Przez cokolwiek przechodziłaś... kimkolwiek jesteś... potrzebujemy odpowiedzi, Taviu. Zamierzam pomóc ci je uzyskać.

Potrząsnęła głową, nie chcąc go słuchać. Wciąż niezdolna pogodzić się z sytuacją, której doświadczała. - Wszystko czego chcę, to natychmiast wrócić do domu.

Gdy znowu spróbowała przejść obok niego, zagroził jej drogę, opierając się rękami po obu stronach ramy drzwi, własnym ciałem więżąc ją w sypialni.



- Zaraz po zmroku, zamierzam zabrać cię w bezpieczne miejsce. Istnieją ludzie, których znam, a którzy mogą ci pomóc to wszystko zrozumieć. Ludzie dużo bardziej odpowiedni do tego, żeby się tobą zaopiekować, niż ja.

- Nie potrzebuję, żeby ktokolwiek się mną opiekował. A już najmniej ty, lub ktoś z twoich znajomych.

Sapnął z irytacją, opuścił ramiona i ruszył do przodu, zmuszając ją do cofnięcia się przed nim. - Nie ufasz mi.

- Masz rację, nie ufam.

- To prawdopodobnie rozsądne z twojej strony, biorąc pod uwagę, to co niemal się tutaj stało...

Niemal? Wystarczająco denerwujące było to, co faktycznie się zdarzyło. Tavia zrobiła krok do tyłu, mniej wystraszona niż oburzona. Furia zwinęła się jak spirala w jej brzuchu, mieszając się z resztkami mocy, która wciąż żyła i wibrowała w jej żyłach.

- Nie mogę zaufać ci z powodu wszystkiego, co zrobiłeś. Z powodu wszystkiego, co tu zobaczyłam. Nie mam nawet pewności, czy teraz mogę zaufać nawet samej sobie. Nic z tego nie ma dla mnie żadnego sensu.

- Ależ ma - powiedział spokojnie. - Tylko, że ty nie chcesz go dostrzec.

- Zamknij się - gwałtownie potrząsnęła głową, gniew i strach podeszły jej do gardła. - Nie chcę już tego słuchać. Muszę wynieść się z tego piekła.

- Tak się nie stanie, Taviu.

Gdy znowu zaczął po nią sięgać, coś w niej wybuchło. Wściekłość i panika eksplodowały z niej w fizycznym odruchu. Zanim zdołała o tym pomyśleć... zanim nawet zdała sobie sprawę z tego, że unosi się jej ramię... odepchnęła go z całą swoją mocą. Poleciał do tyłu jak wyrzucony z procy, ale dwie sekundy później znowu odzyskał równowagę. W mniej niż mgnieniu oka znalazł się z nią twarzą w twarz, pochylając się nad nią z rozszerzonymi nozdrzami i płonącymi oczami.

- Niech to szlag, nie chcę cię skrzywdzić.

Nie ośmieliła się mu wierzyć. Ani nie czekała, żeby dowiedzieć się, czy mogła. Gdy tylko poczuła, że jego palce rozluźniają się na jej ramieniu, nieznacznie cofnęła drugą rękę i zacisnęła dłoń w pięść... po czym pozwoliła jej wylądować z impetem na spodzie jego szczęki.

Ku jej kompletnemu zdumieniu, upadł na tyłek. Jego ordynarne przekleństwo, gdy chwiejnie dźwignął się na kolana sprawiło, że w prymitywnie zabitym oknie za jego plecami, zagrzechotało potłuczone szkło.

Tavia nie czekała na kolejną rundę. Kiedy próbował pozbierać się po jej ciosie, przemknęła obok niego. Wybiegła z sypialni. Przecinając inkrustowany marmurem hol rzuciła się przez drzwi wejściowe prosto w poranny rozgardiasz mieszkalnej dzielnicy Back Bay. Usłyszała, jak wrzeszczał za nią, ale ośmieliła się rzucić w jego stronę tylko przelotne spojrzenie, gdy jej stopy śmigały nad przyprószonym śniegiem chodnikiem. Stał w otwartych drzwiach. Jego ramię uniosło się, by ochronić oczy. Został tam, cofając się w głąb holu, patrząc na nią z wewnątrz ocienionego miejsca, gdy wybiegła na ulicę i gorączkowo przywoływała przejeżdżającą taksówkę. Żółta taksówka zwolniła i zatrzymała się, a ona wskoczyła do środka i zdyszonym głosem, w pośpiechu podała kierowcy adres. Samochód włączył się z powrotem do ruchu ulicznego, strzelając chmurą nieprzejrzystej pary i spalin, które uniosły się za nim, jak welon, zamazując kontury rezydencji z brunatnego piaskowca i mężczyzny, którego Tavia miała nadzieję już nigdy więcej nie oglądać.

## ROZDZIAŁ 16



NAJWYRAŹNIEJ SENATOR Bobby Clarence był dobrym katolikiem, ale jeszcze lepszym politykiem. Kościół, do którego dołączył jako student prawa pierwszego roku na Harvardzie zaraz po opuszczeniu autobusu z Bangor był nie tylko największym, ale również najbardziej prestiżowym w Bostonie. Jakies pięćdziesiąt lat temu, ten sam kościół oplakiwał tragicznie zmarłego parafianina, który był najbardziej ubóstwianym ze wszystkich ludzkich prezydentów.

[http://www.sciaga.pl/tekst/51330-52-john\\_kennedy/](http://www.sciaga.pl/tekst/51330-52-john_kennedy/) , To ten fakt, jak domniemywał Dragos odegrał główną rolę w decyzji ambitnego młodego Clarence'a, żeby dołączyć akurat do tej kongregacji.

Pomimo, że senator był kawalerem i nie miał żadnej najbliższej rodziny, to w zimne, wczesne popołudnie na zewnątrz Katedry Świętego Krzyża, policja kierowała ruchem, by pomóc rozmieścić tłum uczestników uroczystości żałobnych oczekujących, aby zdobyć jedno z dwóch tysięcy miejsc dostępnych w świątyni. Kolejka żałobników ciągnęła się od pary czerwonych, dwuskrzydłowych drzwi wejściowych i wylewała aż na wyłożony kostką chodnik biegnący wokół masywnego narożnika tej ogromnej neogotyckiej katedry.

Dragos siedział we wnętrzu swojego, kierowanego przez szofera sedana, który teraz pracował na jałowym biegu, stojąc o jakąś przecznicę od kościoła i ze zniecierpliwieniem czekał na rozpoczęcie uroczystości pogrzebowych. Wiele ryzykował, odważając się za dnia opuścić swoją kryjówkę. Nawet ze środkami ostrożności, jakie podjął... szczelnie blokujące promienie UV okulary słoneczne,

kapelusz z rondem wykonany z grubej filcowej wełny i ogromny dziergany szalik, aby ochronić szyję i głowę...jego niemal czyste geny Rasy stwarzały ogromne ryzyko. Pochodząc z drugiego pokolenia swojego rodzaju, mógł wytrzymać mniej niż pół godziny w pełnym słońcu zanim jego wrażliwa na promienie słoneczne skóra zaczęłaby się gotować.

Ale to było wykalkulowane ryzyko. Wierzył, że dla pewnych rzeczy warto trochę pocierpieć.

Dzięki Zakonowi przeżył już swoją porcję niedogodności. Zabójstwo Senatora, zaraz po tym jak Dragos zmienił go w sługusa, było delikatnie mówiąc dosyć niefortunne. Nadal wkurzało go to, że stracił tego człowieka, zanim jego potencjał mógł zostać odpowiednio wykorzystany. Ale z drugiej strony, plany Dragosa też nie mogły czekać nie wiadomo ile lat, aż polityczna kariera Clarence'a zawiodłaby go w naturalny, można by powiedzieć nieunikniony sposób na stopnie Białego Domu. Oczywiście Dragos miał zamiar mu pomóc oczyszczając drogę do tej kariery w każdy niezbędny sposób.

Ale pieprzyć to. Bobby Clarence wkrótce rozsypie się w proch, a Dragos miał na oku dużo lepsze możliwości. Zakładając że uda mu się je wykorzystać tak, jak to sobie zaplanował.

- Którą masz godzinę?- Zapytał swojego szofera i to pytanie nie padło po raz pierwszy.

- Za dziesięć minut druga, Mistrzu.

Siedzący na tylnym siedzeniu Dragos wysyczał przekleństwo w przyciemnianej szybę samochodu. - On się spóźnia. Niedługo zacznie się nabożeństwo. Żadnych znaków kawalkady Sekret Service na horyzoncie? A może jakieś pojazdy

federalnych?

- Nie, Mistrzu. Może dla pewności objadę katedrę?

Dragos zlekceważył propozycję gniewnym machnięciem odzianej w rękawiczkę dłoni. - Zapomnij o tym. On może już być w środku. Muszę tam wejść, zanim będzie za późno. Podjedź od tyłu, z dala od zgiełku i wścibskich oczu. Znajdę sposób, żeby dostać się tam tylnym wejściem.

- Oczywiście, Panie.

Sługus wyprowadził sedana z za rogu i skierował się na tyły katedry.

Dragos miał nadzieję znaleźć jakąś niezbyt rzucającą się w oczy niszę, która służyła za pomieszczenie gospodarcze dla obsługi tej monstrualnej budowli.

Sięgająca do pasa furtka z kutego żelaza była otwarta, obok niej stało tylko kilka kontenerów na śmieci i samotny samochód zaparkowany na kiepsko połatany asfalcie. Para czerwonych drzwi, dawała pewien wybór względem dostania się do środka.

- Tam.

Dragos wskazał miejsce znajdujące się najbardziej z tyłu, gdzie popołudniowe cienie i spiczasty okap stworzyły enklawę ciemności wśród oślepiającego blasku słońca. Sługus podwiózł go pod same drzwi. Muzyka organowa wprawiała w wibracje cały budynek. To święte miejsce było zupełnie nieświadome, że to właśnie w nim miała się rozpocząć bezbożna wojna.

Dragos wyszedł z samochodu i rzucił szoferowi. - Czekać aż cię wezwę. To nie powinno trwać zbyt długo.

Sługus posłusznie skinął głową. - Tak, Panie.

TAVIA POBIEGŁA DO DOMU, zostawiając ciotce Sarah obowiązek zapłacenia za taksówkę, jej własne pieniądze... tak samo jak leki... zostały w hotelu, który ubiegłej nocy musiała pod przymusem opuścić. Poczła ulgę na granicy omdlenia, gdy znowu znalazła się w znajomym, przyjaznym wnętrzu. Na wszystkim znać był rękę ciotki Sarah; falbaniaste pokrycia na meblach i koronkowe serwetki na każdej wolnej powierzchni. Te same rzeczy, które już dawno zaczęły sprawiać, że Tavia tęskniła za własnym kątem, urządzonym według swojego gustu, teraz nagle wydały się jej uspokajające i mile widziane, jak ciepły koc w mroźny wieczór.

Dom był taki zwyczajny.

Dawał jej poczucie stabilności i normalności, chociaż jeszcze tak niedawno, była pewna, że znalazła się w pułapce jakiegoś wstrząsającego, niezwykle realnego snu. Kiedy usiadła przy kuchennym stole, poczuła chłód wiejący w poprzek podłogi. To ciotka Sarah wróciła do domu.

- Gdzie byłaś przez ten cały czas? Czy nie wiesz, jak się o ciebie zamartwiałam?

Tavia obróciła się na krześle, by znaleźć się twarzą w twarz ze starszą kobietą, nie czując nic oprócz radości mimo niepokoju, który promieniował z niespokojnie wykręcanych rąk i szeroko otwartych, zrozpaczonych brązowych oczu ciotki.

- Wczoraj była tu policja - poinformowała Tavię z dociekliwością w głosie, a zaciśnięte w pięści dłonie oparła na biodrach. - Oni powiedzieli mi, że gdybym miała jakieś informacje na twój temat, to powinnam natychmiast do nich zadzwonić. Ja oczywiście, byłam przekonana, że jesteś z nimi. Czy nie tak mi mówiłaś? Kiedy ostatni raz rozmawiałyśmy, twierdziłaś że przenocujesz w hotelu, żeby rano pomóc policji w dochodzeniu.

Boże. W tej chwili Tavi wydawało się, jakby wydarzenia w tamtym chronionym przez policję hotelowym apartamencie miały miejsce co najmniej sto lat temu, a to, co wydarzyło się od tamtej nocy trwało przez większą część jej życia. Wszystko, czego pragnęła to zapomnieć o przeżytych horrorze i wrócić do spokojnej, dobrze znanej egzystencji. To było jedyne życie, jakiego pragnęła.

- Nigdy wcześniej mi nie skłamałaś, Taviu. To złamie mi serce, jeśli teraz zaczniesz coś przede mną ukrywać, przecież przez wszystkie te lata...

- Nie. - Tavia ujęła nerwowo zaciśnięte ręce swojej ciotki w swoje dłonie i poprowadziła ją do krzesła, które stało obok niej przy małym stole. - Nie okłamałam cię, ale ostatnio wydarzyło się wiele dziwnych i niewytłumaczalnych rzeczy. Przeróżających rzeczy, ciociu Sarah. Uzbrojony bandyta, który strzelał na przyjęciu... u mojego szefa, uciekł z aresztu policyjnego i zabił Senatora Clarenca.

- Wiem o tym - wyszeptała starsza kobieta. - To wszystko było we wiadomościach. Obława na niego trwa w całej Nowej Anglii.

Tavia potrząsnęła głową nad daremnością tego działania. - Nigdy go nie złapią, a nawet jeśli policja znajdzie go i ujmie, to nikt nie będzie w stanie utrzymać go za kratkami. On po prostu znowu ucieknie. Jest niebezpieczniejszy niż ktokolwiek mógłby to sobie wyobrazić.

Ciotka Sarah zmarszczyła brwi i spojrzała na nią badawczo. - Skąd masz to ubranie? I gdzie jest twoja torebka? Kiedy cię zobaczyłam, poczułam taką ulgę, że nawet nie pomyślałam, by zapytać dlaczego nie masz pieniędzy, żeby zapłacić taksówkarzowi...

Tavia nie przestała mówić nawet, gdy ciotka nagle jej przerwała. - Jego nie da się ująć jak zwyczajnego przestępcy. Nie można go zabić jak człowieka, ponieważ nim

nie jest. On nie jest człowiekiem.

- Wyglądasz na całkowicie wykończoną, kochanie. - Ciotka wyciągnęła rękę i koniuszkami palców dotknęła czoła Tavi. Zamlaskała i ujęła je między swoje gładkie, chłodne dłonie. Przy znacznie cieplejszym ciele Tavi, jej skóra w dotyku przypominała wosk. - Chyba nie czujesz się zbyt dobrze? Kiedy ostatnio brałaś swoje leki?

- Niech to szlag, przestań proszę wreszcie trząść się nade mną i zacznij mnie słuchać!

Starsza kobieta zamilkła, jej oczy spojrzały na Tavię. Ostrożne i niepewne.

- Ciociu, ten mężczyzna włamał się do hotelowego apartamentu zaraz po tym, jak do ciebie zadzwoniłam. Zabił funkcjonariusza policji i obezwładnił dwóch agentów federalnych. Po czym wdarł się do pokoju, gdzie byłam i mnie porwał.

Teraz wyraz twarzy ciotki sprawiał wrażenie beznamiętnego, jakoś nie pasował do tych histerycznych ataków przejmowania się, które były jej zwykłą reakcją na wszystko, co dotyczyło Tavi. Brązowe oczy nabrały kamiennego wyrazu, patrzyły na nią badawczo, była poważna i kontemplacyjna w tym swoim spokoju.

- Czy on cię dotykał, Taviu? Czy... coś ci zrobił? Czy cię skrzywdził?

Tavi trudno było skonstruować odpowiedź na te pytania. Nie skrzywdził jej fizycznie, chociaż gdy to się działo, takie zagrożenie wydawało się bardzo realne.

- On zabrał mnie gdzieś... gdzie, jak przypuszczam, kiedyś mieszkał. Związał mnie. W kółko pytał czym i kim jestem. Nie wydawał się wierzyć w żadną z moich odpowiedzi.

Zapadła przedłużająca się cisza, jakby ciotka wchłaniała wagę jej słów. Po czym



zapytała. - Co mu powiedziałaś, Taviu?

Dziewczyna wzruszyła ramionami i potrząsnęła głową. - Powiedziałam, że nie jestem nikim ważnym i chcę tylko wrócić do domu. A także, że jestem bardzo chora, a moje leki zostały w hotelu...

Gdy Ciotka Sarah usłyszała te słowa, nerwowo wciągnęła powietrze.

- Nie brałaś leków przez prawie dwie pełne doby? - Gwałtownie zerwała się z krzesła. - Natychmiast dzwonię do doktora Lewisa. On musi przyjechać tu, do domu i udzielić ci pomocy medycznej.

Tavia chwyciła ją za rękę i przytrzymała na miejscu. - Ciociu, zdarzyło mi się dziś coś bardzo dziwnego. Nie bardzo mogę to zrozumieć... - Podciągnęła długi rękaw swojej bluzy, obnażając przedramię. Teraz oznaczenia powróciły już do normalnego koloru, były tylko o ton ciemniejsze od naturalnego odcienia jej skóry.

- Co się dzieje? - Zapytała ciotka, patrząc na jej odkryte ramię. - Powiedz, o co chodzi. Czy bolą cię blizny? Jeśli tak, to jestem pewna, że dr Lewis może ci coś na to przepisać...

- To nie są blizny - mruknęła Tavia. Przeciągnęła palcami przez pajęczynę zawijasów i łuków, teraz nie wyczuwając już niczego niezwykłego. - Nie wiem czym one są, ale niedawno, te oznaczenia wypełnione były wszystkimi kolorami tęczy. Były... nie wiem, w jaki sposób to wytłumaczyć. Były... w jakiś sposób żywe.

Ciotka spojrzała na nią, ale nie na znaki na przedramieniu, lecz głęboko w jej oczy.

- Dla mnie one wyglądają zupełnie tak samo jak zwykle, kochanie. Nie widzę, żeby działo się z nimi coś złego.

- Masz rację - powiedziała Tavia. - Ja również już nie widzę w nich niczego szczególnego. - Co sprawiło, iż po raz kolejny... miała rozpaczliwą nadzieję... że to,

czego doświadczyła, było tylko przedziwną halucynacją. - A co z moimi oczami, ciociu? Jak one dla ciebie wyglądają?

- Mają swój zwykły cudownie zielony kolor - odpowiedziała łagodnie starsza kobieta. - Ale bardzo mnie martwią te ciemne kręgi pod nimi. Potrzebujesz wypoczynku i swoich lekarstw.

- A moje zęby? - Naciskała Tavia.- Czy nie ma w nich niczego dziwnego?

Gdy spojrzenie ciotki Sarah wypełniło się współczuciem, Tavia przeciągnęła językiem po linii swoich zębów, odnajdując jedynie swój zwyczajny, niewielki przodozgryz. Żadne kły nie wystawały z jej dziąseł. *(nie wiem dlaczego, ale te pytania skojarzyły mi się z czerwonym kapturkiem ;)*

- Zaraz zadzwonię do dr. Lewisa, dobrze? - Starsza kobieta powiedziała to, jakby zwracała się do kogoś niespełna rozumu. Co nie powinno być żadną niespodzianką, biorąc pod uwagę dziwaczne rzeczy, które właśnie wyszły z ust Tavi. - Mam niewielki zapas twoich leków w szafie wnękowej w holu. Nigdzie się stąd nie ruszaj, zaraz ci przyniosę i będziesz mogła je wziąć w trakcie oczekiwania na lekarza. Dobrze, moja słodka Taviu?

Dziewczyna potakująco kiwnęła głową i została sama w kuchni, zmęczona tymi wszystkimi wydarzeniami, czy to była jakaś irytująca nowa rzeczywistość, czy też iluzja w całości wyprodukowana przez jej umysł. Nie miała zamiaru napomykać o seksie, co do którego miała pewność, że się wydarzył. I pomyślała, że o krwi na swoim ciele też lepiej nie wspominać, nawet jeśli jej obecność mogłaby stanowić dowód na gehennę, przez którą przeszła. Powiedzenie o tym ciotce Sarah, sprowokowałoby tylko kompleksowe prześwietlenia jej ciała... albo jeszcze gorzej, osobiste badanie lodowatymi dłońmi i instrumentami Dr. Lewisa.

- Proszę bardzo - Ciotka Sarah przybiegła z powrotem z garścią brązowych butelek wydawanych na receptę. Postawiła je przed Tavią, po czym podeszła do zlewu, by napełnić wodą szklankę.- No już, zażyj je. Wiesz, że od razu poczujesz się lepiej.

Tavia wysypała na stół różne tabletki i kapsułki, które składały się na jej trzykrotny, codzienny, medyczny reżim. Popiła je dużym haustem wody drżąc, kiedy mieszanina tabletek i zimnego płynu spłynęła kaskadą w głąb jej ciała.

- Muszę wziąć prysznic - mruknęła teraz, gdy znalazła się w domowych pieleszach, poczuła się całkowicie wykończona.- Jestem niesamowicie spragniona i zmęczona.

- Oczywiście kochanie - ciotka pomogła jej podnieść się z krzesła.- Idź się odświeżyć i odpocząć. Zaraz zadzwonię po lekarza. Jestem pewna, że pojawi się tu w ciągu godziny.

CHASE POŚCIERAŁ ŚLADY KRWI z podłogi w sypialni najdokładniej jak potrafił, chociaż do końca nie wiedział, dlaczego tak bardzo mu one przeszkadzały. W tej Mrocznej Przystani nikt nie mieszkał już od ponad roku, a on za cholerę nie miał najmniejszego zamiaru postawić tu więcej swojej nogi. Te ściany wypełniały tylko blade wspomnienia i wstyd. A to, co dzisiaj wydarzyło się pomiędzy nim, a Tavią... stanowiło wisienkę na torcie.

W przenośni, jeśli nie dosłownie.

Jezu, co za popieprzenie. Zwinął kilkanaście wilgotnych papierowych ręczników oderwanych od żółknącej rolki znalezionej w kuchni i wrzucił je do kosza na śmieci w łazience razem z papierkami po opatrunkach i wygiętą igłą służącą do jego wcześniejszych prób zacerowania własnych ran.

Kiedy mijał zlew, jego spojrzenie trafiło na srebrną fiolkę Szkarłatu. Podniósł ją, potrzymał przez chwilę, przetaczając smukły pojemnik na dłoni. Ostrożnie zdarł

zabezpieczający korek wosk, żeby splukać truciznę w toalecie.

Ale jego ręka odmówiła pozbycia się tego cholerstwa.

Przerwanie linii życia, szybki sposób na osiągnięcie wieczności, ta ostatnia istniejąca dawka Szkarłatu była kulą, której obawiał się, że może potrzebować... być może prędzej niż później.

Wciąż trwało późne popołudnie, a głód krwi ponownie zaczął nim szarpać, jeśli w ogóle kiedykolwiek go opuścił. Już nawet nie był tego pewny. Zimny, bezustanny ból stał się jego częścią. Jak długo potrwa zanim całkowicie nim owładnie? Biorąc pod uwagę, jak bardzo bliski był tego, żeby dziś wgryźć się w smukłą szyję Tavi, jego staczanie się w Nałóg Krwi przypominało ześlizgiwanie się po równi pochyłej.

Tylko ta myśl... i przypomnienie sobie, jak niewiarygodnie czuł się w jej wnętrzu... sprawiło, że znowu stwardniał, a krew gwałtownie przyspieszyła mu w żyłach i jak rozżarzona lawa spłynęła w dół. Wszystko pogarszało jeszcze to, że wtedy nie osiągnął orgazmu, wybił się z rytmu, gdy będąc na jego krawędzi powstrzymał się od zatopienia kłów w jej gardle. Pragnienie, żeby doznać spełnienia za pomocą własnej dłoni i uwolnić się od myśli o Tavi było czymś, czemu nawet nie próbował się sprzeciwić. Z fiolką Szkarłatu wciąż zaciśniętą w dłoni, którą opierał się o czarny granitowy blat, w drugą dłoń ujął swoją męskość i z furią pompował ją nad zlewem. Doszedł z ochryplym krzykiem, który wyrażał bardziej ulgę niż przyjemność.

To spełnienie sprawiło, że pozbył się części przytłaczającego pożądanego, lecz większość wciąż w nim pozostała. A teraz, kiedy już posmakował Tavi Fairchild, wiedział, że nie mógłby sobie zaufać przebywając w pobliżu tej kobiety. Był czas... jak mu się w tym momencie wydawało, miliony lat temu... gdy był zdolny do powściągliwości i pełen honoru. Postępował zgodnie z przyjętymi standardami i szlachetnymi ideałami, gardząc czymś gorszym niż doskonałość. Tak jak jego ojciec i

starszy brat, był perfekcyjnym egzekutorem prawa Rasy, bezlitosnym, kiedy chodziło o tych, którzy nie mogli zapanować nad sobą, lub nad własnymi egoistycznymi potrzebami. W rzeczywistości był tylko obłudnym kutasem, przekonanym o swojej nieomyślności, który uważał siebie za coś lepszego niż reszta brudnej, szarej masy zarówno własnego jak i ludzkiego rodzaju.

Co za pieprzony żart.

W jakiś niepojęty sposób stał się tym, czym najbardziej pogardzał. A co gorsze, wciągnął w to swoje bagno niewinną, przerażoną, młodą kobietę.

Prawdopodobnie już teraz przekazywała wszystko glinom. Być może również lokalnym mediom. Kolejny bałagan na jego liście wymagający natychmiastowego uprzątnięcia. Nie powinien był pozwolić jej uciec w ten sposób. Było zbyt dużo spraw, które wymagały wyjaśnienia. Zbyt wiele rzeczy, o których musiała wiedzieć, aby zrozumieć, czym naprawdę była.

Kobietą Rasy.

I nie tylko tym, ale kobietą Rasy z dermaglifami wskazującymi na pierwsze pokolenie i niewytłumaczalną zdolnością wychodzenia na światło dnia bez najmniejszego uszczerbku dla zdrowia.

Piekło i szatani.

Myśli o niej nie straciły nic ze swojego wpływu na niego. Jeśli już, to było bardziej niż zadziwiające myśleć, że faktycznie istniała, a wyobrażanie sobie jedynego możliwego sposobu, w jaki mogła znaleźć się na tym świecie było głęboko niepokojące.

Stworzył ją Dragos.

Łajdak musiał uczynić to w jednym ze swoich laboratoriów, udając Boga w zabawie z genetyką... coś, co Rasa potępiała już bardzo dawno temu, jako najgorszego rodzaju bluźnierstwo w stosunku do ich gatunku. Dzieci były święte, nie mogły być przedmiotem naukowych eksperymentów. Każdy to wiedział. Każdy obywatel Rasy zgadzał się z tym podstawowym dogmatem.

Ale nie Dragos.

Skoro jego tajemne laboratoria hodowlane mogły wyprodukować armię zabójców pierwszego pokolenia, więc dlaczego również nie ją? Ale w jakim celu? Wydawało się oczywiste, że Tavia nie miała pojęcia, że była czymś innym niż zwykłym człowiekiem. Fizyczne oznaki jej prawdziwej natury, w jakiś sposób zostały stłumione. Przez specjalne leki? Czyżby rzekoma „choroba”w rzeczywistości była walką, jaką toczyło jej ciało, by zablokować tą część, która należała do Rasy?

- Jezu Chryste - wysyczał, błyskawicznie opłukując siebie i umywalkę.

Zakon musi się o tym dowiedzieć tak szybko, jak to tylko możliwe. Problemem było to, że nawet nie wiedział, gdzie teraz byli, ani jak się z nimi skontaktować. Zrobił z siebie personę non grata dla Lucana i reszty wojowników. Zamknął sobie drzwi do ich siedziby, być może już na zawsze. Ale znał kogoś, kto być może byłby skłonny mu pomóc. Ktoś, kto prawdopodobnie zechciałby wziąć Tavię Fairchild pod swoją opiekę. Bóg wiedział, że Chase był marnym kandydatem do tego zadania.

Co oznaczało, że... być może po raz ostatni... musiał poprosić o ogromną przysługę kolegę ze swojej dawnej Agencji Nadzoru. Mathiasa Rowana.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 17



TAVIA NIE MOGŁA ZASNAĆ. Po długim, gorącym prysznicu, przebrała się we własne ubrania, po czym położyła się na łóżku i leżała ze wzrokiem utkwionym w sufit w stanie cichego wyczekiwania.

Na co, tego nie wiedziała. Ale nieważne, jak bardzo próbowała zamknąć oczy i sięgnąć po tak potrzebny odprężający sen, jej ciało wydawało się rządzić nowymi, dziwnymi zasadami.

Krew tętniła jej w uszach i pędziła przez żyły. Napięte mięśnie wciąż wypełniała niewykorzystana moc, sprawiając, że drżały nawet, kiedy była w bezruchu. Właśnie miała wstać i rozładować nadmiar swojej energii nerwowym marszem wokół pokoju, gdy usłyszała, że otworzyły się wejściowe drzwi do domu.

Głosy w holu: Ciotka Sarah zapraszająca do środka Dr. Lewisa i zdająca mu szybką relację z powodu wezwania go do domu. Obydwoje mówili prawie szeptem, jednak mimo, że dzieliła ich od niej cała szerokość holu i salonu, Tavia wyłapała sens prowadzonej rozmowy.

- Uplynęły dwie doby odkąd ostatni raz brała swoje leki - ciotka poinformowała lekarza, a w jej cichym głosie brzmiało zdenerwowanie.

Zwykle dźwięczny baryton dr. Lewisa został stłumiony do niewiele więcej niż pomruku, który przenikał przez ściany pokoju Tavi. - Jakies niepokojące zewnętrzne objawy?

- Nie, ale powiedziała, że zauważyła... zmiany - to ostatnie, wyszeptane słowo było

naładowane ciężkim znaczeniem.

Tavia siedziała na łóżku, koncentrując się na wylapywaniu wszystkiego, co zostało wypowiedziane.

- Czy te zmiany nastąpiły podczas, gdy była z nim? - Zapytał Dr. Lewis.

- Tak, przypuszczam, że tak - wyszeptała ciotka.

Pauza.

- Czy miała z nim kontakty fizyczne, albo... intymne?

*O, Boże.* Tavia skrzywiła się, nienawidząc tego, że każdy aspekt jej życia był dyskutowany i roztrząsany przez wszystkich dookoła. Ale najbardziej ze wszystkiego nie cierpiała swoich chronicznych, przedłużających się problemów ze zdrowiem. Prawdziwa prywatność była czymś, czego nigdy nie знаła.

- Nie wiem, co dokładnie zaszło pomiędzy nimi - odpowiedziała ciotka. - Mówiła, że ją związał i zadawał wiele pytań. Nic więcej mi nie powiedziała.

- Mmm-hmm. A jak wyglądała, kiedy tu dziś wróciła? Czy zauważyłaś coś szczególnego?

Deski podłogowe zaskrzypiały cicho, kiedy para ruszyła w głąb domu, wciąż rozmawiając przyciszonymi głosami. Przystanęli w pobliżu wejścia do korytarza, jeśli Tavia mogła polegać na swoim słuchu.

- Była ciepła w dotyku, ale nie rozpalona. I zarumieniona na twarzy. Co do reszty, nie zauważyłam niczego niezwykłego.



- Nic więcej? - Dr. Lewis chrząknął.- To samo w sobie jest dość niezwykle. Czterdzieści osiem godzin bez medycznej blokady powinno spowodować wyraźne uwolnienie naturalnych reakcji. Zaobserwowaliśmy to u wszystkich innych.

*Wszystkich innych?* Tavia wstrzymała oddech, gdy wstrząsnął nią ostrzegawczy dreszcz, zimny jak lód. *O czym on mówi? Jacy inni?*

- Skarżyła się, że jest zmęczona - dodała ciotka Sarah.- Wysłałam ją, żeby wzięła prysznic i chwilę wypoczęła.

- Czy ona wciąż śpi?

- Tak. W swojej sypialni na końcu korytarza.

- Dobrze - powiedział Dr. Lewis.- Wejdem i rzucę na nią okiem, zanim obudzimy ją do badania.

Każde ścięgnię i zakończenie nerwowe w jej ciele eksplodowało jak mikroskopijna bomba w miarę, gdy kroki przybliżały się do zamkniętych drzwi sypialni. Jej zmysły stały się nadwrażliwe, a skóra zaczęła ją mrowić, jak pod ukłuciami tysięcy maleńkich igieł. Drgnęła, kiedy gałka została przekrecona i Dr. Lewis pojawił się w wolno poszerzającym się klinie przestrzeni za drzwiami.

- Och Taviu, nie śpisz już - delikatny uśmiech wygiął kąciki jego ust, częściowo ukrytych pod wąsami i posiwiałą brodą.- Twoja ciotka powiedziała mi, że poszłaś uciąć sobie małą drzemkę. Mam nadzieję, że nie zakłóciłem twojego snu.

Była zbyt spięta, by bawić się w uprzejmości.- Co jest ze mną nie tak, doktorze?

- Nie przejmuj się niczym, jestem tu po to, żeby się tobą zająć - powiedział,

wchodząc do środka. Dzierżył w dłoni rączkę dużego skózanego nesesera, który zawierał wyposażenie medyczne używane przy wizytach domowych. Tavia w swoim życiu widywała ten neseser pełen zimnych instrumentów i gorzkich medykamentów częściej, niżli mogłaby to spa pamiętać.

- Nie, nie, siadaj - powiedział, gdy zaczęła wstawać z łóżka. Nie ma potrzeby, żebyś się czymkolwiek przejmowała. Teraz już wszystko jest pod kontrolą. Zobaczysz, że zaraz doprowadzę cię do ładu.

Tavia spojrzała na niego z rezerwą.- Dzieje się ze mną coś dziwnego.

- Wiem - powiedział z powagą, kiwając głową.- Ale zapewniam cię, że nie ma żadnych powodów do obaw. Moja mała kuracja sprawi, że poczujesz się jak nowo narodzona. Lepiej niż po tygodniu spędzonym w spa. Jak ci się to podoba?

Tavia ledwie oparła się pokusie, żeby powiedzieć mu, że nigdy nie postawiła swojej stopy w żadnym spa. Takie rzeczy były dla niej niedostępne z powodu delikatnej fizjologii i rozległych problemów skórnych... o czym wiedział, aż za dobrze, ponieważ odkąd została osieroconym niemowlęciem, pozostawała pod jego wyłączną opieką. Próbował prowadzić lekką rozmowę i zachowywać się z humorem, ale jego głos brzmiał dziwnie płasko, a spojrzenie było ciężkie i pozbawione wyrazu. To sprawiło, że przeszył ją dreszcz sięgający aż do szpiku kości.

Podszedł do łóżka, na którego skraju siedziała. - Czy zechciałabyś podciągnąć rękaw?

Zawahała się przez chwilę, po czym zrobiła, o co prosił. Wolno, pomalutku uniosła długi rękaw swojego swetra.

Wygląda na to, że z twoją skórą jest wszystko w porządku - powiedział jej.- To

wspaniale, Taviu. Bardzo pocieszające. - Rozerwał jałowy pakiet zawierający nasączony alkoholem gazik i musnął tym chłodnym kwadracikiem skórę ponad jej obnażonym bicipsem.

- Jak wiele innych osób leczysz tak samo jak mnie, doktorze?

Spojrzał w górę, wyraźnie zaskoczony. - Słucham?

- Ile jest osób z dolegliwościami podobnymi do moich? - Zapytała.- Kim one są? Gdzie mieszkają?

Nie odpowiedział. Zgniół w dłoni zużyty gazik razem z opakowaniem po nim, obrócił się i wrzucił je do stojącego w pobliżu kosza na śmieci.

- Myślałam, że jestem jedyna - powiedziała, niepewna, dlaczego to wyznanie sprawiało, że jej oddech przyśpieszył, a tętno zabiło z nutą obawy. Z przerażeniem oczekiwała na odpowiedź, co do której nagle zdała sobie sprawę, iż nie ma pewności, czy chce ją usłyszeć. Dlaczego nie powiedział mi pan, że są inni?

Zachichotał cicho.- Ktoś tu podsłuchiwał przez drzwi. Zawsze miałaś zbyt dociekliwy umysł, Taviu, nawet, gdy byłaś dzieckiem.

Zaczął grzebać w swojej medycznej torbie, jego ton był pełen rezerwy i lekko protekcyjny. I szczerze, cholernie ją to wkurzało. - Jak wielu ma pan takich pacjentów, doktorze Lewis? Czy ktokolwiek zmarł od tego... z powodu choroby, na którą cierpię?

- Lepiej skupmy się na twoim leczeniu, dobrze? Możemy podyskutować o tym, gdy w pełni dojdiesz do siebie.

- Nie czuję się chora.

- Ale jesteś, Taviu. - Westchnął głęboko i wyjął ze swojej torby kilka narzędzi.- Jesteś bardzo chorą, młodą kobietą i tym razem miałaś szczęście. Kolejny raz, może być już zupełnie inną historią.

Jej instynkty zaczęły bić na alarm, gdy patrzyła jak napełniał dużą strzykawkę klarowną cieczą z fiołki, którą wyjął ze swojego nesesera. Odwrócił się i podszedł do niej z tym mrozącym krew w żyłach uśmiechem na wargach.- Już za chwilę poczujesz się dużo, dużo lepiej.

*O, cholera, nie.* Tavia wzdrygnęła się i odskoczyła, postępując zgodnie z pierwotnym instynktem przetrwania. Nie wiedziała skąd on się wziął, ani w jaki sposób była w stanie poruszać się tak szybko. Nagle, w jednej chwili, której potrzebowała na sformułowanie myśli stała wyprostowana po drugiej stronie łóżka.

Dr Lewis wpatrywał się w nią zaskoczony. Odchrząknął, lekko zmieszany. - Nie utrudniaj mi tego, Taviu. Nie zamierzam cię skrzywdzić. Przecież wiesz, że chcę ci tylko pomóc. - Spokojnie podszedł do drzwi i je zamknął, po czym ruszył w jej stronę ze strzykawką w dłoni.

Jego uśmiech zmienił się z chłodnego w pełen groźby. Skóra Tavi zaczęła ją mrowić, stała się zbyt ciepła i za ciasna. Poczowała ból zębów, a jej wzrok wyostrzył się, skupiając na nim, jakby był osaczaną ofiarą.

Dr Lewis przechylił głowę i cicho zamlaskał językiem.- Niedobra dziewczynka. Ktoś tu nie powiedział całej prawdy, gdzie był i co robił.

Gdy podszedł do nóg łóżka, Tavia przesunęła się tak, by znaleźć się naprzeciw niego. - To pan jest jedyną osobą, która nie mówi całej prawdy. - Gdy wypowiadała te

słowa poczuła, że jej język zaczepia o kły. - Czym, do cholery faszerowałeś mnie przez wszystkie te lata? Co mi zrobiłeś?

- Taviu? Doktorze Lewis? - Głos ciotki Sarah głos zabrzmiał zza zamkniętych drzwi. - Czy wszystko w porządku?

- Zostań tam, ciociu! - Krzyknęła Tavia. - Proszę cię, nie wchodź do sypialni!

Jej troska o ciotkę była prawdziwa, ale jakaś część w niej nie mogła znieść tego, żeby starsza pani zobaczyła ją w tym stanie. Nie chciała utracić miłości swojej ciotki, jeśli ta odkryłaby, czym ona naprawdę była... odrażającym potworem.

- Tavia, co się tam dzieje?

- Tu nie jest bezpiecznie - wykrzyknęła. - Zadzwoń po pomoc, ale nie wchodź. Doktor Lewis...

- Dziewczyna jest naruszona - przerwał, wchodząc jej w słowo z wyprowadzającym z równowagi spokojem. - Proces został uruchomiony.

- Proces? Co to u diabła znaczy?

Co właściwie ten konował robił jej przez wszystkie te lata? Tavia nie miała zbyt wiele czasu na rozwiązanie tej zagadki. Doktor Lewis rzucił się na nią. Długa igła strzykawki zbliżała się do jej twarzy błyskawicznym, śmiercionośnym łukiem. Tavia uskoczyła mu z drogi, jej mięśnie i kończyny poruszały się z zadziwiającą harmonią, tak naturalną, jak oddychanie. W jednej chwili stała przed swoim napastnikiem, a w następnej kryła się za nim, przykucnięta i gotowa do skoku.

Nie było czasu na zastanawianie się, czy zdał sobie sprawę, że nie jest w stanie jej

pokonać. Znowu ją zaatakował i w tym momencie spojrzała na niego, jakby widząc go po raz pierwszy. Jak mogła nie dostrzec wcześniej tego braku wyrazu w jego spojrzeniu? Miał oczy jak u rekina. Martwe, zimne i puste.

To jej nowy, bardziej wyostrzony wzrok sprawił, że była zdolna to dostrzec. Wiedziała, że jej tęczy są teraz bursztynowo-złote z powodu złocistej poświaty, która spowijała wykrzywioną morderczymi zamiarami twarz doktora, skradającego się ku niej ze strzykawką, którą dzierżył w dłoni niczym broń.

Gwałtowne zderzenie stopy Tavi z jego jądrami powaliło go na podłogę. Podczas upadku uderzył się w metalową ramę łóżka. Na posiwiałej głowie pojawiło się broczące krwią rozcięcie, rozsiewające wokół gorzki, miedziany zapach rozlanych erytrocytów. Nawet ze swoimi świeżo zyskanymi, niewytrenowanymi zmysłami, mogła poczuć paskudny zapach nałożonego na niego piętna. Był człowiekiem... jednak nie do końca.

Łatwo się nie poddawał. Wciąż próbował ugodzić ją igłą, ale Tavia chwyciła jego nadgarstek. Wykręciła go aż chrupnął. Doktor tylko mruknął, chociaż ból musiał być nie do zniesienia. Z warczeniem gotującym się w jej gardle, Tavia przekręciła złamaną kończynę i wepchnęła igłę strzykawki w klatkę piersiową starca, wstrzykując w nią jej zawartość. Natychmiast zaczął się krztusić, a jego oddech stał się świszczący. Kaszał pianą, oczy niemal wyskoczyły mu z czaszki, szczęki rozluźniły się i stróżka śliny pociekła mu po brodzie. Lek okazał się trucizną, przynajmniej dla niego. Konwulsje dręczyły go aż do chwili śmierci, kiedy to ostatni oddech opuścił jego płuca z charczącym odgłosem.

Tavia zerwała się na równe nogi i w szaleńczym pośpiechu rzuciła się w stronę korytarza. Musiała odnaleźć Ciotkę Sarah i razem z nią opuścić to miejsce.

Starsza pani była w kuchni, rozmawiała przez telefon. Mówiła coś w pośpiechu

głosem ściszym do szeptu, nieświadoma obecności Tavi, ani faktu, że dziewczyna w swojej nowej, pełnej mocy formie była w stanie wyraźnie słyszeć jej słowa.

- ...proces został uruchomiony. Tak, Mistrzu. Teraz jest u niej Lewis. Oczywiście. Rozumiem, Mistrzu.

Kiedy Tavia słuchała słów ciotki, poczuła jak uginają się pod nią nogi. Dziwne słowa. Dziwna, bezbarwna intonacja. Służalcza i nieczuła. Tavia musiała bardzo się postarać, żeby wydobyć z siebie głos. - Ciociu?

Kobieta błyskawicznie odłożyła słuchawkę na stół i odwróciła się gwałtownie.  
- Tavia! Wszystko z tobą w porządku? Co się tam, na Boga działo? Gdzie jest doktor?

Tavia nawet nie mrugnęła. Niepokój ciotki wydał jej się teraz całkowicie fałszywy. Tak samo fałszywy, jak okazał się doktor Levis. Smutna z powodu rodzącej się w niej świadomości, powiedziała. - Zabiłam go.

- Co... zrobiłaś?

- Ciociu, z kim rozmawiałaś przez telefon?

Starsza kobieta przeciągnęła dłońmi po fartuchu w radosnych, świątecznych barwach, wygładzając nieistniejące zmarszczki. - Z gabinetem...hmmm... doktora Levisa. Po tym, co słyszałam przed chwilą, pomyślałam, że lepiej wezwę kogoś... żeby zobaczył... oni powinni... wysłać... kłamstwo zamarło na jej wargach. Jej twarz złagodniała do stanu dziwnego spokoju. Stała się beznamiętna.

Tavia potrząsnęła głową, zauważając, że spojrzenie Sarah nabrało takiego samego pustego wyrazu, jaki przed chwilą miały oczy doktora Lewisa. Teraz była w stanie to zauważyć, swoim czystszy niż kiedykolwiek wzrokiem. Żadne leki nie były już w

stanie stłumić tej potężnej nadprzyrodzonej części, która w niej istniała, prawdopodobnie przez całe życie.

Sarah cofnęła się w głąb kuchni, chcąc oddalić się od Tavi. Obróciła się, by odłożyć słuchawkę telefonu z powrotem na widełki.

- Zdradziłaś mnie - powiedziała Tavia w kierunku masywnych pleców starszej kobiety. - Obydwoje mnie okłamywaliście. Przez cały ten czas.

- To nie tobie służyliśmy.

To wyznanie sprawiło, że Tavia poczuła, jakby jej klatkę piersiową wypełniła ziejąca chłodem pustka. - O czym ty mówisz? Komu służysz?

- Naszemu Mistrzowi.

Teraz Sarah ponownie odwróciła się do niej przodem. W ręku trzymała rzeźnicki nóż.

Strach i smutek narastały w sercu Tavi.- Czy naprawdę byłabyś zdolna mnie zabić?

Sarah potrząsnęła głową. - Decyzja o twoim życiu należy tylko do niego. Ty też. Należałaś do Mistrza od samego początku, dziecko.

- Kim on jest?- Zapytała Tavia, ale pewna obrzydliwa myśl już wbiła się w jej mózg, jak ostrze noża Sarah. - Dragos.

Pomyślała o Senatorze Clarensie i o tym, co powiedział o nim Sterling Chase. Że Dragos już go posiadał. Czy miał w swojej mocy również Ciotkę Sarah i Dr. Lewisa?



- Powiedz mi, co się tu dzieje - zapytała starszą kobietę. Ruszyła do przodu, przygotowana na to, by w razie konieczności siłą wydrzeć z niej odpowiedzi.

- Mam swoje instrukcje - odpowiedziała Sarah beznamiętnym tonem. Po czym, bez najmniejszego wahania poderżnęła sobie gardło. Jej ciało bezwładnie upadło na podłogę pokrytą kremowym linoleum. Jej krew rozlała się po nim ciemnoczerwoną plamą .

Tavia stała tam, odrętwiała i drżąca, patrząc w dół na zwłoki kobiety, której nigdy tak naprawdę nie знаła. Czuła się kompletnie osamotniona. Straciła jedyną rodzinę, jaką kiedykolwiek miała. Zdawała sobie również sprawę, że ten dom nie jest już dla niej bezpieczny. Doktor Lewis i ciotka Sarah nie żyli, ale musiał istnieć inni. Inni, którzy służyli złu o imieniu Dragos.

*On posiadał również ciebie. Należałaś do Mistrza od samego początku, dziecko.*

Tavia nie dopuściła do siebie obezwładniającego uczucia, które próbowało ją zawładnąć, gdy o tym pomyślała.

Opuściła dom nie oglądając się za siebie.

Teraz wszystko się zmieniło i nigdy nie będzie mogła tu wrócić. Nie do tego domu, który był jedynym, jaki kiedykolwiek miała, ani do życia, którym żyła przez całe swoje dwadzieścia siedem lat.

Życia, które było tylko strasznym, potwornym kłamstwem.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 18



MATHIAS ROWAN SPÓŹNIAŁ SIĘ. Dyrektor Agencji Nadzoru był wstrząśnięty słysząc w słuchawce głos Chase'a, gdy ten zadzwonił do niego wczesnym popołudniem z od dawna nieużywanego telefonu w swojej opustoszałej Mrocznej Przystani. Jednak, trzeba mu to przyznać na plus, Rowan zgodził się pofatygować do Back Bay zaraz po zachodzie słońca.

Ale teraz było już ciemno, a on nadal nie dał znaku życia.

Chase założył strój jak do walki, naciągnął na siebie czarne džinsy, wojskowe buty i czarny trykot z długim rękawem, który wyciągnął z głębin starej szafy. Jego olster z agencyjnymi pistoletami był strasznie lekki w porównaniu do pary półautomatycznych 9-tek, do których noszenia przyzwyczał się, gdy został członkiem Zakonu.

Nawet sam przed sobą nie chciał się przyznać, jak bardzo go zraniło, gdy uświadomił sobie, że prawdopodobnie już nigdy nie wyruszy na patrol w towarzystwie Dantego, lub innego wojownika. Pozwolił, by ten zaszczyt wysunął mu się z rąk, zbyt zajęty folgowaniem własnym słabościom, żeby zdać sobie sprawę, co traci. Teraz byłoby mu ciężko to wszystko odkręcić i z powrotem odzyskać ich zaufanie, choćby nie wiem jak bardzo tego pragnął.

Zakładając, że nie było za późno, żeby nawet próbować.

Wraz z ciemnością zapadającą na zewnątrz, żyły Chase'a zaczęły płonąć żądzą polowania i wymagało od niego cholernego wysiłku, aby powstrzymać ten dziki głód. Zamiast tego zaczął nerwowo przemierzać opustoszałe pomieszczenia swojego

dawnego domu, próbując ignorować podstępny szept pragnienia krwi, kuszący go, by wyjść i pozwolić powiewowi mroźnego, nocnego powietrza uspokoić gorączkę rozszalałych zmysłów.

To było jak syrenia pieśń, zdawał sobie z tego sprawę. Wabiło w kierunku katastrofy.

Nawet, jeśli głód krwi nie chwyci go teraz, w chwili, gdy był o krok od ciemności, to istniała cholernie realna szansa, że uczynią to ludzkie organy ochrony porządku publicznego. Chase nie chciał ryzykować takiego scenariusza, a już najmniej życzył sobie, żeby jego obecna zła sława nieumyślnie przeprowadziła gliny albo fedsów przez całe miasto do Mrocznej Przystani Mathiasa Rowana.

Bóg wiedział, że jego lekkomyślne uczynki naraziły na szwank wystarczającą ilość bliskich mu osób. Nie miał najmniejszej ochoty dodawać do tej listy Rowana i jego rodziny.

To samo dotyczyło Tavi Fairchild.

To ona była głównym powodem, dla którego poprosił Rowana o przysługę. Mathias wiedziałby, co z nią zrobić. Był lepszy od Chase'a i jednocześnie najodpowiedniejszy, żeby powierzyć mu zadanie odzyskania jej i dostarczenia pod opiekuńcze skrzydła Zakonu, gdzie byłaby chroniona przed Dragosem, jego Sługusami i sojusznikami.

Oraz przed nim samym.

- Chryste - wymamrotał, przeczesując dłonią włosy, gdy zrobił kolejną rundę wokół gabinetu. Nie opuszczała jego myśli od chwili, w której wybiegła i nawet teraz nie mógł powstrzymać się od zastanawiania się, gdzie i z kim była... i czy była

bezpieczna.

Jakaś jego część pragnęła za nią pobiec... to było silniejsze nawet od głodu krwi. Po prostu jej pragnął, a to wcale nie były dobre wieści.

Nie, w niebezpiecznej sytuacji, w jakiej się obecnie znajdował. Nie, gdy Dragos wciąż gdzieś tam był, tworząc swoich Sługusów i knując plany następnego ataku przeciwko Zakonowi, a może i całemu światu.

Sama ta myśl wystarczyła, by jego umysł znowu znalazł się na właściwych torach. Chase nie miał żadnego interesu, żeby martwić się o bezpieczeństwo jednej kobiety... nawet tak niezwyklej jak Tavia Fairchild. Jego życie było już prawie przegrane. Cholera, w ciągu ostatnich miesięcy już nieraz był na granicy zatracenia. Gdyby mógł się dostać wystarczająco blisko Dragosa i zginąć razem z tym łajdakiem, chętnie zużyłby swój ostatni oddech, by to urzeczywistnić.

Ale najpierw musiał się upewnić, że Tava nie dostanie się w krzyżowy ogień. A to oznaczało oddanie jej pod ochronę Zakonu.

Gdzie do kurwy nędzy podziewał się Rowan?

Gdy chwilę później rozległo się stukanie kołatki z brązu we frontowe drzwi kamiennicy z brunatnego piaskowca, Chase z przekleństwem uchylił ciężki dębowy panel. - Cholera, najwyższy czas, ty...

Ale to nie Mathias Rowan stał na zewnątrz. To była Tavia. Dygocząc, czekała w ciemnościach na werandzie, ubrana jedynie w golf, luźne džinsy i skórzane buty na płaskim obcasie.

- Godzinami chodziłam po mieście. Ja ... nie wiedziałam, dokąd pójść.

Wzięła głęboki wdech, po czym z podobnym do szlochu drzeniem wypuściła powietrze, które utworzyło obłoczek pary.

- Ja dziś kogoś zabiłam.

- Jezu Chryste. - Wszystko inne straciło znaczenie, kiedy ujrzał znękany wyraz twarzy Tavi.

Chase wyszedł na zewnątrz i objął ramieniem jej drżące plecy.

- Wejdz do środka.

Gdy prowadził ją przez hol, była sztywna jak deska i poruszała się, jak robot. Szok, domyślił się, obserwując jej pusty wzrok i martwy wyraz twarzy.

- Czy wszystko z tobą w porządku? Nie jesteś ranna?

Niepewnie potrząsnęła głową. - On próbował mnie zabić. Myślę, że zamierzał mnie czymś otruć. Powiedział, że to mnie uspokoi, ale wiedziałam, że kłamie. Było w nim coś bardzo złego. Wyczułam to, jeszcze zanim mnie zaatakował. Zabiłam go. Zabiłam doktora Lewisa.

Dreszcz przeszył ją do stóp do głów, wzięła kolejny drżący oddech.

- Nie wiedziałam, co zrobić. Nie miałam pojęcia, dokąd pójść, ani komu mogę zaufać. I jakoś znalazłam się tu... pod twoimi drzwiami.

- W porządku - powiedział. - Chodź, musisz się ogrzać.

Zaprowadził ją do gabinetu i usadził na okrytym pokrowcem fotelu. Przykucnął przed nią i wziął jej ręce w swoje dłonie, próbując je rozgrzać. Gdy spojrzał w górę, na nią w jej oczach ujrzał wzbierające łzy.

- Moja ciotka Sarah - wyszeptwała. - Ona również nie żyje. Podcięła sobie gardło, stojąc dwa kroki ode mnie.

- Przykro mi - powiedział Chase, słysząc ból i niepewność w jej łamiącym się głosie.

- Nie rozumiem, jak mogli tak kłamać. Oszukiwali mnie przez całe życie. - zmarszczyła brwi i wolno pokręciła głową. - A ich oczy. Nigdy wcześniej nie zauważyłam, jakie były zimne. Doktor Lewis i ciocia Sarah ... stali się jacyś inni.

- Nie, Taviu. To ty się zmieniłaś.- Przytrzymał jej zdezorientowane spojrzenie.

- Nie widziałaś niczego niezwykłego, ponieważ do dzisiaj żyłaś jak zwykły człowiek. Twoja prawdziwa natura była tłumiona, bez wątpienia przez te same leki, o których myślałaś, że ci pomagają. Nie sądzę, żebyś kiedykolwiek była chora.

Przez długą chwilę słuchała w ciszy, chłonąc jego słowa.

- Oni mnie zdradzili. Nigdy nie troszczyli się o mnie, prawda? Dostrzegłam to dzisiaj w ich spojrzeniach. W ich wzroku była taka straszna pustka. Jak w oczach rekina.

Chase chrząknął, dobrze znał to spojrzenie. - Oni byli Sługusami. Każdy z nich ma taki sam pusty wzrok. Będziesz to wiedziała w chwili, gdy na ciebie spojrzą.

- Sługusy?

Pokiwał głową. - Ludzie wykrwawieni do krawędzi śmierci i zmienieni w niewolników umysłów przez potężnego członka mojego rodzaju.

Przesunął kciukiem po splątanych wzorze dermaglifów, które pokrywały spód jej

nadgarstka. - Naszego rodzaju.

Wycofała ręce z jego uchwytu. - Wampiry. - Przełknęła i zmarszczyła delikatne brwi.- Tym właśnie jestem... Wampirem? Ty też nim jesteś, nieprawdaż?

- Nie do końca.

- Więc, czym dokładnie? – Zapytała, zrywając się z fotela. W jej głosie zaczynały pobrzmiwać nuty paniki.- Co do cholery się ze mną stało? Powiedz mi, co się dzieje!

- Nie jestem do końca pewny, czym jesteś, Taviu. Ani jakim sposobem możesz być tym, czym się wydajesz. Nigdy wcześniej nie zetknąłem się z kimś takim jak ty. Ani nikt inny, o ile mi wiadomo. Jesteś... kimś, kto nie powinien w ogóle istnieć.

- Cudownie - wydała stłumiony dźwięk z głębi gardła.- Więc, jestem potworem. Nawet według twoich standardów.

- O Boże. Nie był odpowiednią osobą do wyjaśniania jej tego wszystkiego. Te dni, kiedy potrafił posługiwać się dyplomacją i prowadzić delikatne rozmowy, dawno już minęły. Lepiej, jeśli dowie się wszystkiego, co potrzebowała wiedzieć od Mathiasa Rowana, kogoś komu obycie wpojone w Mrocznej Przystani, ułatwi przystępne przekazanie prawdy o niej samej. Ale dokładnie w chwili, gdy o tym pomyślał, Chase zjeżył się trochę na myśl o Tavi uczonej przez kogoś innego. Szczególnie przez kogoś tak szlachetnego, czarującego i o gładkich manierach, jak Mathias Rowan.

Nie, żeby Tavia Fairchild wydawała się być damą, która potrzebowała obchodzenia się z nią w jedwabnych rękawiczkach.

Ale na dobre, czy złe, w tej chwili, Chase był wszystkim, co miała.

- To kim jesteś, Taviu, to Rasa. Ludzkie legendy nazwały nas wampirami, ale te historie są przesadzone. Tak samo jak ja i reszta Rasy, jesteś żywą, oddychającą i bardzo, bardzo potężną istotą. Nasz rodzaj żyje długo, co najmniej kilka stuleci. Niektórzy z nas istnieją już nawet ponad tysiąc lat. I to prawda, że przetrwanie zapewnia nam picie ludzkiej krwi z otwartej żyły.

- Nie - wtrąciła.- To nie jest prawda. Nie w moim przypadku. Przez dwadzieścia siedem lat, jadłam normalne jedzenie. Piję normalne napoje, jak każdy inny człowiek. Nigdy nawet nie spróbowałam smaku krwi, nie mówiąc już o wypiciu jej z czyjejs żyły. Do czasu...

Obserwował, jak jej twarz pokrywa się rumieńcem. - Dopóki nie pożywiłaś się dzisiaj ze mnie. A to stało się po tym, gdy twoje ciało miało okazję oczyścić się z leków, które blokowały nieludzką część ciebie... tą część, która należy do Rasy... i była trzymana na jakiegoś rodzaju medycznej smyczy.

- Nie jestem taka jak ty. Nie mogę taka być. - Odsunęła się od niego, odchodząc kilka kroków w głąb pokoju i odwracając się plecami. - Nie chcę być częścią tego... tego koszmaru.

- To jest rzeczywistość, Taviu. - Podeszedł do niej i zatrzymując się za nią, delikatnie położył dłonie na jej ramionach. Nie opierała się, gdy odwrócił ją twarzą do siebie. - Nie masz wyboru, czy chcesz być jej częścią, czy nie. Podobnie jak w przypadku tego, w jakiej postaci przyszło ci teraz żyć.

- Cóż, wcale mi się to nie podoba.

Widział, jak walczyła, żeby zaakceptować to, co usłyszała. Jasno-zielone oczy były wciąż wilgotne od niewylanych łzy, ale nawet jedna nie spłynęła po jej twarzy.



Promieniowała żelazną wolą, brodę trzymała sztywno i wysoko, wpatrując się w niego z niezachwianą, upartą determinacją, która wskazywała na pochodzenie z Rasy bardziej, niż dziewczyna zechciałaby się do tego przyznać. - Wcale mi się to nie podoba. Jeśli jednak jest to prawdą, nie zamierzam od niej uciekać.

Skinął głową w uznaniu dla jej odwagi. - Nigdy cie nie okłamię. To jedno mogę ci przysiąc. - Nie poinformował jej, jak małą wartość miały jego przysięgi. Gdyby spędziła z nim jeszcze jakąś godzinę, miałyby okazję przekonać się o tym na własnej skórze.

- Opowiedz mi o Dragosie. - Utkwiła w nim nieruchome spojrzenie.- Tamtej nocy na posterunku policji, powiedziałeś, że Senator Clarence należy do niego. Że Dragos go posiadał.

- To prawda - odpowiedział Chase. - Senator był jednym z jego Sługusów. Glina w hotelowym apartamencie również. Tak samo twoja ciotka i lekarz. Wszyscy służyli Dragosowi. Nie jesteśmy pewni, jak wielu niewolników umysłu ma on w swojej mocy. Po tych wszystkich latach, mógł stworzyć ich tysiące.

Tavia zmarszczyła brwi. - A gdzie w tym wszystkim jest moje miejsce? Ciotka Sarah powiedziała, że ja również do niego należę. Że posiadał mnie od początku... dokładnie tak się wyraziła. Nie jestem jednym z jego Sługusów.

Oczywiście, że nie - zapewnił ją Chase.- Ale biorąc pod uwagę to, czym jesteś, nie ma wątpliwości, że Dragos musiał maczać w tym palce. Do tej chwili, Taviu, wśród członków Rasy nigdy nie było kobiet. Ani jednej, nigdy. Nasz gatunek rozpoczął swoją egzystencję tysiące lat temu, kiedy statek wiozący grupę biologicznie zaawansowanych obcych rozbił się na tej planecie. Mordowali i gwałcili, a czasami udało im się pozostawić pewne kobiety... genetycznie wyjątkowe kobiety znane jako Dawczynie Życia... w ciąży z ich młodymi. Nie mógł odczytać wyrazu jej twarzy. W

jednej chwili wydawała się ona wyrażać spokojne zrozumienie, w następnej całkowity sceptycyzm.

- Chcesz mi wmówić, że tysiące lat temu obcy skrzyżowali się z ludźmi i stworzyli nową rasę... wampiry? - Zakpiła. - To idiotyczne. Czy zdajesz sobie sprawę, że to brzmi, jak majaczenie szaleńca?

- Do tej pory już chyba powinnaś była się przekonać, że nie mam bzika.

Gdy spróbowała odwrócić od niego wzrok, z powrotem odwrócił jej twarz ku sobie, końcami palców ujmując jej upartą brodę. Przyrzekł, że jej nie okłamie, więc zdecydował się dać jej nieupiększoną prawdę. - Nasi Pradawni przodkowie byli nie z tego świata, to najszczerza prawda. Byli żywiącymi się krwią drapieżnymi wojownikami, którzy dokonywali masakry całych cywilizacji. Pradawni zostali zgładzeni. Myśleliśmy, że wszyscy są martwi, lecz jeden pozostał. Dragos przez dekady więził go w swoich laboratoriach, do czasu, gdy Starożytny umknął na Alaskę i Zakon ostatecznie go zabił. Ale do tej chwili, Dragos używał tego więzionego Pradawnego do różnych genetycznych eksperymentów i stworzył legion zabójców Rasy, najpotężniejszą armię, jaką kiedykolwiek widziała ta planeta. Jeśli Dragos zdecyduje się ją wypuścić, nie jestem w stanie powiedzieć, jakie to może spowodować spustoszenia.

- A ja? - Zapytała Tavia.- Ja nie rozumiem, co to ma wspólnego ze mną.

- Naprawdę nie rozumiesz? - Chase zamilkł, pozwalając jej bystremu umysłowi rozważyć możliwe opcje.

- To Dragos mnie stworzył - powiedziała po chwili.- Byłam jednym z jego genetycznych eksperymentów.

Chase potwierdził to ponurym skinięciem głową.

- W żaden inny sposób nie da się wyjaśnić faktu twojego istnienia. To oczywiste, że należysz do Rasy, ale jesteś kobietą... czymś, czego nigdy nie widzieliśmy. I możesz chodzić za dnia bez ryzyka spłonięcia. Co dla naszego rodzaju było niemożliwe. Przynajmniej do tej pory. Dopóki nie poznałem ciebie.

- Więc, zostałam spłodzona przez obcą istotę w laboratorium Dragosa, a moja matka?

- Jestem pewien, że to Dawczyni Życia. - Powiedział Chase. - Dragos w swoim laboratorium, więził je tuzinami przez całe dekady. Jeśli się nie mylę, prawdopodobnie masz niewielkie czerwone znamię, gdzieś na swoim ciele. Powinno mieć kształt łzy i półksiężyca.

Tavia wpatrywała się w niego w przenikliwej ciszy. - Mam je nisko na plecach. Zawsze sądziłam, że jest tylko częścią moich blizn. Nic, w co wcześniej wierzyłam nie był prawdą, mam rację? To wszystko było kłamstwem.

Cofnęła się, kurczowo przyciskając dłonie do żołądka, jakby czuła nudności. Rzuciła mu zranione spojrzenie, jej zielone oczy migotały bursztynowymi iskrami.

- Dlaczego on mi to zrobił? Co Dragos chciał zyskać, tworząc potwory, jak jakiś Frankenstein?

- Ty nie jesteś potworem - zapewnił ją Chase.

- Jestem pieprzoną obrzydliwością! - Krzyknęła.

Glify wyglądające zza brzegu jej wysoko sięgającego golfa ożyły, kipiącymi, ciemnymi barwami narastającej udręki. Ostre czubki kłów wysunęły się zza śniadej krawędzi jej pełnej górnej wargi. W tym momencie wydała mu się taka piękna, że

prawie tracił rozum. Ale ona tego nie dostrzegała. Z wzburzonym warknięciem, szarpnęła w górę długie rękawy swetra, obnażając przedramiona. Po czym zaczęła trzeć oplatające je dermaglify, szorując gorączkowo, jakby chciała zeszkrobać je ze swojej skóry.

Chase chwycił ją za ręce, kładąc na nich własne. - Nie jesteś potworem, Taviu. Jesteś cudem. Sięgnął w górę i odsunął z jej zarumienionej twarzy zbłąkany pukiel włosów. Pragnienie, żeby ją pocałować stało się niemal przytłaczające, ale powstrzymał się, niechętny, by wykorzystać jej udrękę i zagubienie. Szkoda, że kilka godzin wcześniej również nie potrafił się powstrzymać.

Chociaż to go zawstydzalo, wspomnienie tego, co czuł, gdy owijało się wokół niego jej gibkie silne ciało sprawiało, że nie mógł zaprzeczyć, iż jeśli pozwoliłaby mu się teraz pocałować, znowu skończyliby całkiem nadzy. A sama myśl o nagiej Tavi spowodowała gwałtowną reakcję jego ciała. Pogłaskał aksamitny łuk jej policzka i przez pojawiające się kły, powiedział. - Jezu Chryste... jesteś najbardziej niesamowitą istotą, jaką kiedykolwiek ujrzałem. Być może jedyną w swoim rodzaju.

- Nie - niepewnie potrząsnęła głową, ale nie zerwała kontaktu z jego dłonią.- Nie jestem jedyna. Jest więcej takich jak ja.

Dłoń Chase'a zamarła na jej pięknej twarzy. - Są inne? Jesteś tego pewna?

- Słyszałam, jak doktor Lewis to mówił, kiedy Ciotka Sarah powiedziała mu, że nie brałam swojego leku przez kilka dni. Wydawał się zaniepokojony. Powiedział, że inne nigdy nie obydwały się bez nich tak długo jak ja, nie bez poważnych reakcji.

- Piekło i szatani. - Żyły Chase'a wypełniły się lodem ze zdziwienia.- Co jeszcze powiedział? Wspomnił, jak wiele ich było? Gdzie można je znaleźć?

Tavia potrząsnęła głową. - On próbował wszystkiemu zaprzeczyć, gdy go o to zapytałam.

- Czy wiesz, gdzie mieści się jego gabinet?

- Oczywiście. Chodziłam tam na badania i specjalistyczne testy, odkąd byłam dzieckiem. Jego prywatna klinika i laboratoria znajdują się na terenach starej farmy w Sherborn, na południowy-zachód od Bostonu.

- Czy trzymał tam również karty swoich pacjentów?

- O ile mi wiadomo, cała dostępna dokumentacja przetrzymywana jest na miejscu, w klinice.

W czasie, gdy Chase obliczał w pamięci, jak szybko mógłby dotrzeć do farmy, na terenie której znajdowała się klinika, rozległo się pukanie do frontowych drzwi.

- Wszystko w porządku - powiedział uspokajająco. - Spodziewam się kogoś.

Poszedł do holu i otworzył drzwi przed Mathiasem Rowanem.

- Przepraszam Chase, że kazałem ci czekać. Sprawy w Agencji nigdy nie stały gorzej niż teraz. Mam pełne ręce roboty ze zdrajcami i sprzedawczykami w szeregach agentów i masowym zabójstwem, które miało miejsce wczorajszej nocy w naszym klubie przy chińskiej dzielnicy. Przyjechałem tak szybko, jak tylko mogłem.

Kiedy szli przez hol w kierunku gabinetu, Rowan rozejrzał się po opustoszałej Mrocznej Przystani i westchnął. - Cholera, nigdy nie pomyślałbym, że wrócisz w to miejsce. Szczególnie po tym, co stało się z Camdenem.

- Ani ja - Chase zatrzymał się przed swoim starym przyjacielem z Agencji.- I wiedz, że nie zadzwoniłbym do ciebie po pomoc, gdybym miał inny wybór. Nienawidzę siebie za wciąganie cię w to całe szambo...

Rowan położył rękę na ramieniu Chase'a. - W przypadku gdybyś tego nie zauważył, to oznajmiam ci, że już tkwię w nim po uszy. Wiem również, że jesteś w poważnych tarapatkach. Kurwa, wie to każdy w promieniu stu mil, zarówno ludzie, jak i przedstawiciele Rasy. Nie można włączyć telewizora, żeby nie zobaczyć twojej facjaty we wszystkich wiadomościach i na każdym kanale informacyjnym w kraju. Boston to ostatnie miejsce na ziemi, w jakim powinieneś się teraz znajdować, przyjacielu.

Chase pokiwał głową. - Taaa. Ale potrzebuję twojej pomocy, Mathias. To jest pilne i bardzo ważne.

- Tak myślałem, że nie zawracałbys mi głowy byle błażostką. Co mogę dla ciebie zrobić?

Chase odsunął się na bok i pozwolił Rawenowi wejść do gabinetu, w którym stała Tavia. Zwróciła płonące oczy na mężczyznę Rasy, jej wąskie źrenice tkwiły nieruchomo pośrodku lśniących bursztynek tęczęwek. Glify na jej obnażonych przedramionach wciąż pulsowały zmieniającymi się barwami. Mathias Rawen utracił swoją normalną, wyszlifowaną do połysku postawę i stanął jak przymurowany, gapiąc się na nią z otwartymi ustami.

- Co...

- Taviu Fairchild - powiedział Chase. - Pozwól, że ci przedstawię mojego starego znajomego, Mathiasa Rowana.

- Cześć - powiedziała, czubki kłów błysnęły jak brylanty w jej ustach.

- Czy ona jest... - Zaczął Rowan, po czym urwał. Spojrzał na nią z niedowierzaniem, po czym rzucił pytające spojrzenie w kierunku Chase'a. - Ona nie może być...

- Ona jest - powiedział Chase.- I musisz się nią dla mnie zaopiekować. Jak najszybciej zawieź ją do Zakonu. Potrzebuje ochrony przed Dragosem.

- Mój Boże - wysapał Rowan. Podszedł do niej ostrożnie, wpatrując się w Tavię, jak w jakiś nowy, ósmy cud świata. Co nie było dalekie od prawdy.

- Niesamowita. Ale... jakim sposobem?

- Później ci to wytłumaczę - Chase sprawdził swoją broń i chwycił więcej kul z pudełka stojącego na gzymsie kominka. - Tylko wywieź ją z Bostonu. Zabierz ją do Lucana. On będzie wiedział, co zrobić.

Rowan otworzył usta, ale zanim zdołał zaprotestować, lub zadać kolejne pytanie, Tavia wreszcie zaznaczyła swoją obecność.

- Nigdzie z nikim nie pojedę.

- Pojedziesz - zripostował Chase. - Tu nie jest teraz dla ciebie bezpiecznie. Dragos dowie się, że jego Sługusi nie żyją i przyjdzie po ciebie. Uwierz mi, gdy ci mówię, że nic nie może okazać się dla ciebie równie szkodliwe, jak dostanie się w jego łapy.

Uparta broda uniosła się jeszcze wyżej. - Zaryzykuję. Nigdzie nie pojedę, dopóki nie dowiem się więcej o tym, kim naprawdę jestem i do czego mnie stworzono.

- Ja mogę to zrobić. Czy nie powiedziałaś, że twój gabinet lekarski jest w

Sherborn? Być może to jest miejsce, w którym trzyma twoją kartę pacjenta, razem z innymi, którymi zajmował się na polecenie Dragosa...

- Tak, ale teren kliniki jest zamknięty i strzeżony przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, przez uzbrojonych ochroniarzy.

Chase wzruszył ramionami. - Żaden problem.

- Zaraz, zaraz - wtrącił Rowan. - Spokojnie. Chase powiedz mi, co jest tutaj grane. Jeśli to ma coś wspólnego z Dragosem, powinniśmy zawiadomić Zakon i to bezzwłocznie.

- Nie ma na to czasu. Cholera, prawdopodobnie już jest za późno, żeby zdobyć jakieś informacje. Dragos może właśnie czyścić to miejsce.

- Rowan przeklął ponuro. - To jeszcze jeden powód, żeby mieć tu Lucana i Zakon. Zamierzam ich wezwać...

- Rób, co chcesz - odpowiedział Chase, z trudem powściągając gorycz w swoim głosie, wiedząc że Rowan miał swobodny kontakt z Zakonem, podczas gdy on nawet nie wiedział, dokąd się przenieśli. - Nie będę czekał, siedząc na tyłku. Ruszam do tej cholernej kliniki.

Tavia była u jego boku, zanim zrobił pierwszy krok. To wciąż było trochę wytrącające z równowagi; świadomość, że kobieta mogła poruszać się z taką samą prędkością i zręcznością, jak jakikolwiek inny członek Rasy. - Idę z tobą - powiedziała. - Mówimy o moim życiu. Nie zamierzam chować się po kątach i pozwalać wszystkim mnie kontrolować. Już nigdy więcej. Ponadto, jestem jedyną osobą obeznaną z kliniką i jej kartotekami. Potrzebujesz mnie.



Chociaż Chase bardzo chciał jej zaprzeczyć, zdawał sobie sprawę, że sprzeczenie się z nią będzie bezcelowe. Tylko zmarnowałby cenny czas... coś czego nie mieli, jeśli istniał choć cień prawdopodobieństwa zebrania jakichkolwiek wartościowych informacji w gabinecie zmarłego lekarza.

Tavia Fairchild może i była niewytrenowana i niedoświadczona, ale była również Rasą z krwi i kości... silna fizycznie i obdarzona potężną mocą swojego rodzaju. Była także kobietą i Chase mógł wyczytać ze zdeterminowanego wyrazu jej twarzy, że nie przyjmie od niego odmownej odpowiedzi.

- Więc, w porządku - powiedział. - Na co jeszcze czekamy? Ruszajmy.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 19



PRYWATNA KLINIKA DOKTORA LEWISA, była usytuowana na uroczym skrawku ziemi, który należał kiedyś do farmy w kolonialnym stylu leżącej na obrzeżach sielskiego miasteczka Sherborn. Biegająca lekko z górki, oświetlona księżycową poświatą, jednokierunkowa uliczka prowadząca w stronę kompleksu medycznego i kliniki, kończyła się przy budce strażnika i mechanicznym szlabanie, który służył jako brama wjazdowa.

Te akcesoria współczesności, co zawsze uderzało Tavię, były zupełnie nie na miejscu, obok grubych, pełnych zakamarków kamiennych murów i falujących łąk. Ale doktor Lewis był bardzo dbały, jeśli chodziło o prywatność i ochronę jego

„wyjątkowych” pacjentów, więc tym bardziej dziwne wydawało się to, że gdy Tavia, Chase i Mathias Rowan podjechali do ciemnej budki strażnika, ta okazała się pusta.

- Coś jest nie w porządku - powiedziała z tylnego siedzenia ciemnego SUV-a. - Tu zawsze stał jakiś strażnik, nieważne od pory dnia lub nocy. Doktor Lewis zatrudniał całodobową firmę ochroniarską.

Chase wyrzwał przez okno od strony pasażera przez chwilę obserwując egipskie ciemności zalegające na zewnątrz, po czym rzucił mroczne spojrzenie przyjacielowi siedzącemu za kierownicą.- Dragos już wie, że ten obiekt został zdekonspirowany.

Rowan przytaknął z równą powagą.- To prawdopodobnie pułapka. Być może wejście do środka nie jest warte takiego ryzyka.

- Musimy to zrobić. - Tavia poderwała się z siedzenia. Jej dłonie zacisnęły się na bokach czarnego skórzanego fotela, na którym siedział Chase. Nie po to przejechała całą tą drogę, żeby teraz wrócić, nawet bez próby wejścia do środka.- Tam, w przychodni ukryte są wszystkie odpowiedzi dotyczące mojego życia. To może być moja jedyna szansa, żeby dowiedzieć się, czym, lub kim naprawę jestem. A jeśli istnieją inne takie jak ja, to one również zasługują na prawdę.

Obserwowała, jak drgają ścięgna w napiętej szczęce Chase'a. Nic nie powiedział, ale gdy na nią spojrzał w jego ciemnoniebieskich oczach mogła wyczytać targające nim wątpliwości. Mogła poczuć, jak to zimne niezdecydowanie obiega jej własne żyły.

- Potrzebuję wiedzieć, co mi zrobił i w jakim celu. Muszę poznać prawdę, coś, czego nie zaznałam nawet jeden raz w całym moim życiu. Nie mogę pozwolić, żebyś mi to odebrał. Nie po tym wszystkim, co już przeszłam.

Aprobujące skinięcie Chase'a nadeszło po naprawdę długiej chwili. Właściwie był to niewielki ruch brodą w kierunku Rowena. Na ten sygnał, pojazd gwałtownie skręcił z utwardzonej jezdni na ośnieżony trawnik. Z rykiem silnika, kierowany przez Rowena ogromny SUV sforsował niewysoki kamienny murek, grad kamieni posypał się pod ogromne koła. Kołysząc się i podskakując na miażdżonych pozostałościach ogrodzenia potoczyli się ku oddalonemu o około sto stóp budynkowi kliniki. Chase wyskoczył na zewnątrz zanim się zatrzymali. Poruszając się tak szybko, że Tavia prawie nie zdołała nadążyć za nim wzrokiem, pobiegł do budynku, rozbił okno w recepcji i wspinał się przez nie do środka. Uderzyło ją jak łatwo przybrał rolę przywódcy. To wydawało się przychodzić mu zupełnie naturalnie; wybieganie na pierwszą linię, przecierając drogę dla innych, którzy za nim podążają. W tym momencie dostrzegła w nim coś szlachetnego, coś lśniącego i bohaterskiego pod szorstką powierzchnią niebezpiecznego mężczyzny, jakim się stał.

- Jest czysto - powiedział, ponownie pojawiając się na otwartej przestrzeni, podczas gdy Tavia i Rowan biegli w jego stronę. Podeszwą ciężkiego buta wykopał wystające z ramy okiennej resztki poszarpanej szyby i podał Tavi rękę. - Uważaj, gdzie stawiasz stopy.

Wspięła się do wnętrza ciemnego biura i stanęła obok Chase'a, Rowan wszedł zaraz za nią. Przychodnia wydawała się teraz inna, nieoświetlona i pusta. Nie była już miejscem leczenia, ale gniazdem oszustów. Komfortowa poczekalnia, z miękkimi fotelami klubowymi i przyjemnymi, oprawionymi w jasne ramy akwarelami, teraz wyglądała tak samo fałszywie, jak zapraszająca, spokojna laguna rojąca się od piranii.

- Tędy - powiedziała, ruszając wokół ścianki oddzielającej poczekalnię od stanowiska recepcji znajdującej się po jej drugiej stronie.

- Gdzie znajdują się karty pacjentów? - zapytał Mathias Rowan, gdy podążył za nią

razem z Sterlingiem. Marszcząc brwi, szybko rozejrzał się wokół.- Każda przychodnia, jaką kiedykolwiek widziałem, zastawiona jest szafkami z tonami akt pacjentów, które są na wyciągnięcie ręki.

Tavia potrząsnęła głową.- Nie u doktora Lewisa. On jest... był... maniakiem, jeśli chodziło o sprawy bezpieczeństwa. Wszystko tu jest skomputeryzowane i chronione hasłem.

Interesujące - zauważył Chase.

Rowan wyciągnął jeden z pistoletów z kabury ukrytej pod czarną parką.  
- Jeśli wy dwoje dacie sobie tutaj radę, to ja rozejrzę się po reszcie tego miejsca.

Chase skinął przyjacielowi głową i Rowan wymknął się na korytarz, jednak sam nawet na chwilę nie spuszczał wzroku z Tavi. Obserwował, jak uruchamia jeden z komputerów stojących na biurku i siada w fotelu na kółkach. Kiedy na ekranie komputera pojawiło się żądanie hasła, wystukała na klawiaturze długi, skomplikowany ciąg liter i liczb. Urządzenie zaakceptowało kod, a następnie wznowiło proces uruchomienia. Gdy rzuciła na niego okiem, Chase wpatrywał się w nią z pytającym wyrazem twarzy. Delikatnie wzruszyła ramionami.

- Byłam tu kilka miesięcy temu podczas przerwy w dostawie prądu. Gdy ktoś z personelu ponownie uruchamiał komputer, nie mogłam się opanować przed tym, by nie patrzeć, jak wpisywała hasło. Chase pochylił się bliżej niej i oparł swoje duże dłonie o rant biurka.

- Ta sekwencja musi mieć co najmniej tuzin znaków.

- Dokładnie trzynaście.

Mruknął marszcząc brwi. - A ty przez cały ten czas doskonale je pamiętałaś?

- Wystarczy, że tylko raz na coś spojrzę i od razu to zapamiętuję. Właśnie tak działa mój umysł. (*pamięć fotograficzna, cudowny dar ;)*

- Imponujące - posłał jej obezwładniający uśmiech, który przyprawił ją o szybsze bicie serca.

Nie była przyzwyczajona do uczucia przyciągania, ale teraz nie mogła nie zauważyć jak blisko niej stał. Praktycznie była w stanie słyszeć jak oddychał, oraz jak mocno i rytmicznie uderzało jego serce. Czuła także, jak potężny biceps ociera się o jej ramię. Każde łagodne otarcie wydawało się wnikać do jej krwiobiegu jak impuls elektryczny, gdy wyświetliła okno logowania dla programu wpisów kliniki. Pojawiło się kolejne hasło i początkowo trochę się z nim zmagala, zbyt rozproszona próbą ignorowania ciepła ciała i i gorącego, intensywnego spojrzenia Chase'a. Ponownie spróbowała użyć kodu dostępu.

- Jesteśmy. To jest baza danych pacjentów. Chyba tysiące razy widziałam, jak jej używano.

Chase kiwnął głową. - Poszukajmy twojego folderu.

Wklepała swoje imię i nazwisko w pole wyszukiwarki i stwierdziła, że wstrzymuje oddech, gdy ekran zaczął wypełniać się datami i dokumentacją jej terapii. Dane zawierały pełne dwadzieścia siedem lat jej życia. Całe jej istnienie, skompresowane do kilku tysięcy notatek przechowanych, jako bity i bajty na zimnym twardym dysku komputera. Wszystkie zdrady, czekające na odkrycie jednym kliknięciem myszy.

- Hej - jego niski głos zabrzmiał uspokajająco. Oparł swoją dużą rękę na jej zaciśniętej w pięść dłoni, w geście, który sprawił, że poczuła się zarówno pocieszona

jak i poruszona. - Wszystko w porządku?

Przełknęła ślinę i niepewnie skinęła mu głową. - Taaa. Nic mi nie jest. Chcę wiedzieć.

Zanim zdołała dłużej o tym pomyśleć i zmienić zdanie, kliknęła, żeby otworzyć najnowszy wpis. To była wizyta z początku tego tygodnia. - Byłam umówiona z doktorem Lewisem z powodu nawracających migren. Przeprowadził kilkugodzinną kurację tu, w klinice, po czym odesłał do domu z nowymi lekami.

Chase przyjrzał się zapisowi na monitorze. - To było zaledwie kilka dni temu.

Tavia przytaknęła. - A później tej samej nocy, zostałam przywieziona na posterunek policji, by zidentyfikować cię jako strzelca z przyjęcia senatora Clarence'a.

To wydawało się niepodobieństwem, że w przeciągu niecałego tygodnia jej cały świat został przekreślony do góry nogami, i że ten stojący obok niej mężczyzna wkroczył w jej życie zaledwie tydzień temu. Tak nagle, dziwnie, mrocznie i niespodziewanie. - Po tej nocy nic już nie było dla mnie takie samo i nigdy nie będzie.

Chmurne, niebieskie oczy Chase'a przylgnęły do niej na długą chwilę, poważne i pełne skruchy. Dopiero wtedy zdała sobie sprawę, że jego ręka wciąż opiera się o wierzch jej dłoni. Koniuszkami palców wyczuwała jego puls i ciepło wnętrza silnej dłoni.

- Pragnęłabyś nigdy mnie nie spotkać. Zaufaj mi, wiem to. Ja również chciałbym tego dla ciebie, Taviu.

- Nie, wcale nie - powiedziała, zaskoczona głębokim przekonaniem brzmiącym w

jej głosie. To prawda, że jej życie pograżyło się w totalnym chaosie od pierwszej chwili, w której go ujrzała... gdy stał na balkonie galerii domu senatora z bronią wymierzoną w stronę tłumu niewinnych gości. Myślała, że jest szalony i niebezpieczny i może taki był, nawet teraz, jednak nie mogła obarczyć go winą za bałagan, którym obecnie stało się jej życie. Dzięki niemu, musiała zakwestionować otaczającą ją rzeczywistość. Otworzył jej oczy, i chociaż może nie miała ochoty oglądać rzeczy, które jej pokazał, to jednak nie oznaczało wcale, że jest winny. Jeśli już, to ten tak śmiertelnie niebezpieczny, przerażająco brutalny mężczyzna, ocalił jej życie. Spojrzała na niego, objęła wzrokiem twarde rysy jego surowej, przystojnej twarzy i bezlitosne, zmęczone życiem, piękne oczy.

- Jestem szczęśliwa, że cię spotkałam, Sterlingu Chase. W tym momencie, jesteś jedynym przyjacielem, jakiego mam.

Przez chwilę się w nią wpatrywał, po czym roześmiał się cicho i cynicznie. Cofnął swoją dłoń, pozostawiając za sobą chłód na jej skórze. - Powinnaś coś o mnie wiedzieć, Taviu. Ja nie mam przyjaciół. Mam pewien zły nawyk rozczarowywania wszystkich wokół siebie. Lepiej, żebyś dowiedziała się o tym teraz, niż była na tyle głupia, by myśleć, że można na mnie liczyć. - W jego głosie nie było odrobiny gniewu, jedynie spokojne stwierdzenie faktu.

Wyczuwała jego smutek, obserwując subtelny sposób, w jaki teraz dystansował się od niej. Najpierw cofnięcie dłoni, potem chłodne ostrzeżenie, które zdawało się być tak samo skuteczne, jak fizyczne odepchnięcie. Nawet jego oczy stały się obce i puste, już nie pełne troski i szczere, ale przymknięte i mroczne. Niedające się odczytać. Wstał i podszedł do przeciwległej ściany recepcji, żeby wyjrzeć na zewnątrz pomiędzy listwami opuszczonych, metalowych żaluzji.

- Pośpiesz się - powiedział, jego głos brzmiał szorstko i bezosobowo. - Nie marnujmy czasu. Bierzmy to, po co tu przyszliśmy i spadajmy stąd w cholerę.

Tavia zabrała się do pracy, wysyłając całą zawartość swojego katalogu do drukarki stojącej w kącie biura. Podczas gdy każdy drukowany dokument wyświetlał się na ekranie komputera, przeglądała dane, odczytując szczegóły każdej wizyty w klinice doktora Lewisa. Wszystkie medyczne testy i eksperymentalne terapie zostały skrupulatnie udokumentowane. Każde specjalne lecznicze serum i pojedyncza gorzka tabletki zostały odnotowane w pliku, wraz z wpływem, jaki te leki wywierały na jej organizm. Z jej katalogiem powiązane były jeszcze inne pliki. Tavia zatrzymała się przy jednym z wpisów, marszcząc brwi, ponieważ na wychwyconej stronie rozpoznała swój własny charakter pisma. Po tej jednej dostrzegła kolejne, wypełnione nazwiskami kodami i schematami. Rozpoznała je wszystkie, ale nie przypominała sobie, żeby kiedykolwiek je notowała lub kopiowała. Chase podszedł i spojrzał w ekran sponad jej ramienia.

- Co to jest?

- Lista najhojniejszych ofiarodawców kampanii Senatora Clarence'a. Tu są wszystkie nazwiska, wraz z nazwami banków i numerami kont, na które wystawione były czeki.

- Jesteś pewna?

Tavia kiwnęła głową. - To ja zajmowałam się depozytami. To jest mój charakter pisma.

- Dlaczego przekazywałaś te informacje swojemu lekarzowi ?

- Nie - powiedziała. - Ja tego nie robiłam, przynajmniej nie świadomie.

Przewinęła stronę, w dół do następnego dokumentu, który ukazywał odręczny szkic rezydencji sędziego federalnego. Inny rysunek ukazywał plan piętra elektrowni atomowej, którą zwiedzała z senatorem ubiegłej wiosny. Kolejne dokumenty



zawierały dane osobowe i tajne informacje na temat wielu sojuszników i rywali politycznych senator Clarence'a.

- Mój Boże - szepnęła, wstrząśnięta tym, co widziała. - Dla wrogów Stanów Zjednoczonych ta kolekcja byłaby warta fortunę.

- Lub dla kogoś jak Dragos - dodał Chase.

Wskazał na jeden z pierwszych wpisów do jej katalogu. - Otwórz to, poprosił.

Kliknęła na wskazany plik i dane z jej pierwszego badania w klinice wypełniły ekran. Według daty utworzenia dokumentu miała wtedy tylko pół roku. Tavia przeczytała stronę, czując, jak przepływa przez nią mieszanina furii, prawda o jej pochodzeniu została przedstawiona w zimnych klinicznych terminach.

*Starożytny + Breedmate - połączenie na poziomie genetycznym uwięzione sukcesem.*

*Embryon płci żeńskiej implantowany do macicy surogatki. Żywe narodziny w terminie. Obiekt 8 przekazany pod opiekę Sługusa, zamieszkałego przy 251 Pleasant Street, Saugus, Massachusetts. Wstęp do programu leczenia dla pacjentki zwanej „Oktavia” rozpoczęty z datą dzisiejszą.*

Przewinęła do kolejnych zapisków i odczytywała pojawiające się informacje w ogłuszającej, niezdrowej ciszy.

- Przede mną byli inni, ale umarli jako niemowlęta. Stali się ofiarami medycznych eksperymentów. Doktor Lewis najwyraźniej odkrył, że połączenie pewnych substancji chemicznych i syntetycznie zmodyfikowanych leków immunosupresyjnych, może hamować pragnienie krwi i powstrzymać genetyczną

przemianę. Testował je na nas, mając świadomość, że niektóre z noworodków mogą umrzeć.

Usta Chase'a zacisnęły się w cieką linię, gdy czytał dokumentację razem z nią.

- Życie nic nie znaczy dla Dragosa i jego zwolenników. Nawet to najbardziej niewinne.

Tavia przeszła do kolejnej sekcji swojego folderu i szybko przeczytała zawartość.

- On zorganizował każdy aspekt mojego życia, odkąd się urodziłam.

Doświadczenia medyczne i kłamstwa na temat tego, czym jestem, były wystarczająco złe, ale to zaledwie czubek góry lodowej.

Wskazała na zapis o swojej pamięci fotograficznej. Były tam szczegółowe odniesienia do ćwiczeń, jakie klinika otrzymała rozkaz przeprowadzać tak, aby pobudzać jej wrodzony dar i udoskonalać go jako broń. Były też inne dokumenty, wyjaśniające seanse hipnotyczne, które trwały godzinami, a w skrajnych przypadkach nawet przez całe doby... godziny, w czasie których drenowali jej nieświadomy umysł, zmuszając do dokumentowania wszystkiego, co zobaczyła i usłyszała, szczegółowo strona po stronie, podczas gdy jej umysł i ciało były pogrążone w narkotycznym śnie. To wszystko miało być treningiem przed prawdziwą misją, jaką przygotował dla niej Dragos. Tavia zrezygnowała z otwarcia kolejnego dokumentu. Nic nie mogło wstrząsnąć nią bardziej niż to, co już przeczytała. Prawda przygniotła ją jak mokry, zimny koc. Czowała się zmrożona do szpiku kości, przepełniona bolesną pustką, o której myślała, że już nic nie będzie w stanie jej wypełnić.

- On mnie wykorzystał, Chase. Stworzył mnie, żeby używać do własnych celów. Od samego początku, dokładnie tak, jak powiedziała ciotka Sarah... - zacięła się, przymykając oczy z powodu ukłucia bólu, który przeszył jej serce na myśl o tamtej zdradzie. - Jak powiedział Sługus, udający moją ciotkę. Dragos posiadał mnie od pierwszego dnia mojego życia. Upewnił się, że mam odpowiednie wykształcenie,

właściwe kontakty i obycie towarzyskie. Po czym otworzył mi drogę, bym mogła otrzymać pracę u wschodzącej politycznej gwiazdy, jaką był senator Clarence. Cały ten czas, byłam tylko marionetką w jego rękach.

- Według Dragosa wszyscy jesteśmy tylko marionetkami. Każde życie istniejące na tej planecie jest dla niego narzędziem do wykorzystania, albo przeszkodą, która musi zostać usunięta z drogi.

Waga wypowiedzianych przez Chase'a słów sprawiła, że żołądek Tavi zacisnął się ze strachu. - Czy można go powstrzymać?

Fakt, że Chase musiał zastanawiać się nad odpowiedzią dłużej niż kilka sekund, sprawił, iż węzeł w jej brzuchu stał się jeszcze bardziej ściśnięty i dodatkowo pokrył się lodem.

- Nie wiem - powiedział.- Jeśli zapytałabyś mnie o to rok temu, podałbym ci inną odpowiedź. Wtedy jeszcze wierzyłem, że dobro zawsze zatryumfuje nad złem. Wszystko jest czarne albo białe, prawe albo złe, a źli faceci zawsze, w końcu przegrywają.

- A teraz?

Westchnął głęboko i potrząsnął głową. - Teraz bywają chwile, gdy nawet nie mogę mieć pewności, po której stronie sam się znajduję.

Tavia wytrzymała jego nawiedzone spojrzenie. - Jesteś jednym z tych dobrych facetów. Może teraz nie jesteś tego pewien. Może po prostu się zagubiłeś. Może kiedyś mi o tym opowiesz.

Bardzo długo nic nie mówił. Tylko wpatrywał się w nią w sposób, który sprawiał, że ścisnęło się jej serce. W tym momencie poczuła nagły impuls, by go przytulić i

zapewnić, że już nie będzie sam. Szalona myśl. To sprawiłoby tylko, że po raz kolejny by ją odepchnął. Jeśli Sterling Chase był samotnikiem dryfującym po obrzeżach swojego świata, to robił to z własnego wyboru. On na pewno nie potrzebował jej współczucia, ani sympatii. Może to właśnie ona była osobą, która potrzebowała uspokojenia i dodania otuchy. Nie, żeby je odnalazła w jego surowym obliczu i wpatrzonych w nią teraz bezlitosnych oczach.

Ku jej uldze, Mathias Rowan rozbił krępującą ciszę, kiedy zamaszystym krokiem wyszedł z przyległego korytarza.

- Do diabła, Chase, musisz obejrzeć to miejsce na własne oczy. To wygląda bardziej jak centrum komputerowe niż placówka medyczna. Na końcu korytarza znajduje się serwer, który musi mieścić ze trzydzieści czynnych dysków. Oni muszą tu składować miliony gigabajtów.

- Zabieramy to wszystko - powiedział Chase - Powyciągaj twarde dyski. Może Gideon wyszpera w nich jakieś przydatne informacje.

- Dobra. - Rowan obrócił się na pięcie i ruszył, by wypełnić polecenie. Sekundę później zamarł i przechylił głowę.

Tavia też to usłyszała... stłumiony hałas na zewnątrz. Niemal niesłyszalny, ale zauważalny dla jej wyostrzonych zmysłów.

- Kurwa - Chase obrzucił ponurym spojrzeniem Rowana i ją. - Ściszył swój głos prawie do szeptu. - Zaraz będziemy mieli towarzystwo. Musimy się zwijać.

- Co z serwerami? - zapytał Rowan.

Chase potrząsnął głową. - Może być już za późno.

- Myślę, że zdołam złapać chociaż kilka.

- To ruszaj.

Kiedy Rowan błyskawicznie opuścił recepcję, Chase sięgnął do kabury i wyjął pistolet. Drugą ręką chwycił Tavię za ramię i wyciągnął zza biurka.

- Musisz niezwłocznie opuścić to miejsce.

Obejrzała się przez ramię na drukarkę, która wciąż wypluwała strony zadrukowane historią jej terapii. - Poczekaj, nie mam wszystkich swoich akt. A co jeśli tam gdzieś jest więcej takich jak ja? Muszę to wiedzieć. Muszę przeszukać resztę folderów.

- Pieprzyć akta. Pieprzyć innych - warknął Chase, wlekąc ją w stronę korytarza.

- Jedno, co mnie obchodzi, to pewność, że wyjdiesz stąd żywa.

Zaprowadził ją do poczekalni, gdzie przez rozbite okno ział nocny chłód.

Chase zatrzymał się nagle. Tavia zrobiła to samo, czując jak oddech zamiera jej w piersi.

Przed nimi stała olbrzymia męska sylwetka, od stóp do głów ubrana na czarno, jak jakiś ninja na steroidach. Głowę i połowę twarzy mężczyzny skrywała trykotowa kominiarka, przez którą można było dostrzec jedynie zimne, ciemne oczy.

Należał do Rasy: Tavia była o tym przekonana aż do szpiku kości.

I był tu na polecenie Dragosa, żeby ich wykończyć.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 20



DOTARCIE DO SERWERA ULOKOWANEGO na drugim końcu kliniki zajęło Mathiasowi Rowanowi zaledwie kilka sekund, lecz zdał sobie sprawę, że przybył za późno.

Ktoś już tam był.

Podkraść się w kierunku lekko uchylonych drzwi, bez najmniejszego szmeru wydobyl agencyjny pistolet i zajrzał w głąb skąpo oświetlonego centrum obliczeniowego.

Przykucnięty przy półce obok serwerów człowiek ubrany był w uniform strażnika i grubą zimową parkę. Pojemnik wielkości pudełka po butach wyłożony amortyzującą, styropianową wyściółką stał obok jego nóg. Prostokątne, wydrążone centrum wyściółki było opróżnione z zawartości.

*Co do kurw...?*

Rowan przesunął się bliżej. Człowiek przykleił niewielką elektroniczną klawiaturę do ściany serwera i wprowadził sekwencję liczb. Chwilę później, na cyfrowej tarczy urządzenia pojawił się odliczający sekundy zegar.

Zrozumienie oblało Matiasa jak lodowaty prysznic. To była bomba.

- Orzesz ty skurwysynu - Rowan w jednej chwili znalazł się wewnątrz sterowni. Uniósł broń i wycelował ją w tył głowy mężczyzny. - Wstawaj, zanim udekoruję ściany twoim mózgiem.

Człowiek wstał powoli i uniósł ręce w geście kapitulacji.

Rowan nie był zaskoczony, gdy ujrzał wpatrzone w siebie puste oczy Sługusa. Za plecami służącego Dragosowi niewolnika umysłu, zegar na detonatorze bomby pożerał kolejne ułamki sekund. Do eksplozji zostało niecałe dziesięć minut.

- Wyłącz to - warknął Mathias. Skierował broń w twarz Sługusa, czując jak z powodu gniewu w jego ustach pojawiają się końcówki kłów. - Rusz się dupku.

Sługus tylko wpatrywał się w niego tępym wzrokiem. Nieruchomy i obojętny.  
- Pociągnij za spust teraz, albo przyglądaj się, jak za mniej niż dziewięć minut to miejsce wybuchu wokół nas. To nie robi mi różnicy, wampirze. Tak czy owak, rozkaz mojego mistrza zostanie wykonany.

Rowan z warknięciem obnażył kły. Jego jedynym pragnieniem było ukatrupienie tego bezdusznego bękarta i zdarcie mu z gęby tego zadowolonego z siebie wyrazu, najlepiej za pomocą znacznej ilości prochu i ołowiu.

Chciał tego tak gwałtownie, że nie usłyszał, jak drugi Sługus skrada się cichaczem za jego plecami do czasu, gdy było już za późno, by odeprzeć nadchodzący cios. Coś twardego i zimnego uderzyło go w tył głowy.

Ogłuszony, poczuł, jak uginają się pod nim nogi.

Upadł na kolana i podpierając się rękami obrócił głowę, żeby zobaczyć, jak kawałek stalowej rury opada po raz kolejny. Tym razem cios trafił go prosto w twarz.

*MATKO BOSKA*, pomyślał Chase, wpatrując się z w stojącego przed nimi masywnego przedstawiciela Pierwszej Generacji.

- Wracaj drogą, którą tu przyszliśmy – rozkazał Tavi. - Znajdź Rowana. Wynoś się stąd.

Ale zanim dziewczyna zdążyła zrobić pierwszy krok, właśnie w chwili, gdy kazał jej uciekać, zrozumiał, że jest już za późno dla któregokolwiek z nich. Za późno, by otworzyć ogień w kierunku zabójcy... wyhodowanej w laboratorium Dragosa, wyspecjalizowanej maszyny do zabijania.

Wampir dostrzegł broń w dłoni Chase'a i używając jedynie siły swojego umysłu wyrwał ją z jego chwytu. Pistolet poszybował w stronę akwareli na pobliskiej ścianie i obraz rozbił się, spadając na podłogę recepcji.

Niedobrze.

Chase ocenił dystans dzielący ich od Zabójcy, obliczając szanse Tavi na wymknięcie się przez rozbite okno, ich jedyną realną drogę ucieczki. Nie było mowy, żeby zdążyli. A za nimi w przychodni panowała głucha cisza. Wszystko możliwe, że Mathias już nie żył, czy to padając ofiarą kolejnego żołnierza Dragosa, czy to z powodu jakiegoś innego zagrożenia, Chase mógł tylko zgadywać. Jedno wiedział na pewno: tu nie będzie żadnej łaski, tylko niezawodne wykonywanie poleceń Dragosa.

Mroczne spojrzenie zabójcy oderwało się od Chase'a i przylgnęło do Tavi. W tych nieczułych oczach, była tylko groźba czysta, zimna i niezachwiana. Wzrok snajpera namierzającego cel. Sterling w jednej chwili zrozumiał ten przekaz. To Tavia była celem mordercy; on jedynie znalazł się na jego drodze.

Zabójca zrobił śmiały krok do przodu, okruchy rozbitego szkła zazgrzytały pod podszwami jego wojskowych buciorów.



- Oddaj mi kobietę.

Chase prychnął słysząc to polecenie - Już się, cholera rozpędziłem.

Zacisnął dłoń na nadgarstku Tavi, czując pod swoimi palcami jej napięte ścięgna, po czym przyciągnął ją do siebie i ukrył za swoimi plecami. Nie było mowy, żeby ta wyprodukowana laboratoryjnie, mordercza bestia dostała ją w swoje łapy, dopóki Chase oddychał. Poczuł, jak odzywa się w nim dziki głód nałogu krwi, ale zamiast walczyć z tą swoją brutalną częścią, tym razem powitał ją z radością. - Chcesz ją? Warknął na Zabójcę. - Więc najpierw musisz przejść przeze mnie.

Rosły wampir nawet okiem nie mrugnął na tą groźbę. Nie sięgnął również po swoją broń. Nie, ci zabójcy zostali wytrenowani, żeby rozbroić i wykończyć przeciwnika, wykorzystując nagie ręce i brutalną siłę pierwszego pokolenia. Chase miał już okazję oglądać w działaniu więcej niż jednego z nich, ta wiedza sprawiła, że jego własne dłonie świerzbiły go do walki.

Przybysz opuścił brodę i ruszył, próbował chwycić Tavię, robiąc zamach długim ramieniem, które Chase zablokował ruchem swojego łokcia. Kiedy ręka mężczyzny opadła... nastąpiła chwila nieuwagi, która była wszystkim, na co mogli mieć nadzieję. Chase rzucił wściekle spojrzenie w stronę znajdującej się za nim Tavi. - Uciekaj! - wykrzyknął, jego zmienione tęczyówki zalały jej spiętą twarz ognistym, bursztynowym blaskiem. - Wynoś się stąd, dopóki jeszcze możesz!

Ledwie te słowa opuściły jego usta, zawładnęły nim ręce zabójcy. Nagle znalazł się w powietrzu. Uderzył w rozsuwane, nieprzejrzyste okna, które oddzielały poczekalnię, od recepcji znajdującej się po drugiej stronie. Zdobione hartowane szkło rozprysnęło się na wszystkie strony. Gdy spadł na podłogę wśród deszczu okruchów zobaczył, jak zabójca skrada się w kierunku Tavi. Mordercze ręce zacisnęły się na jej ramionach, wciągając ją w śmiertelny uchwyt.

- Nie! - wściekłość Chase'a wylała się z niego wraz z gniewnym rykiem. Zerwał się na nogi i uniósł w powietrze jednym, pełnym desperacji skokiem.

Zabójca osłupiał, gdy Chase nagle znalazł się na jego plecach. Rozluźnił chwyt, którym krępował Tavię, warcząc, ponieważ wyrwała się z jego zasięgu. Ale Bękart nie odpuszczał. Chase zaczął boksować szczękę mężczyzny, aż pękła kość i posypały się zęby, ledwie rejestrując chłodny brak reakcji wyszkolonego żołnierza Dragosa.

I niech to cholera, Tavia nie uciekła, pomimo, że jej kazał. Straciła niewielką i jakże cenną szansę na wyrwanie się stąd, okazję, która mogła się już nie powtórzyć. Jeśli on zginie w tej walce, to ona też nie wyjdzie z tego żywa.

Zaczął wywrzaskiwać kolejne polecenia, żeby spieprzała z tego piekła, ale wtedy jej podniesiony głos zwrócił jego uwagę. - Chase uważaj!

To ostrzeżenie zwróciło jego uwagę na wolną rękę zabójcy, w której pojawiło się mordercze ostrze. Uchylił się przed błyskawicznym ciosem noża, ale ten obronny ruch sporo go kosztował. Ciągłe uczipiony pleców mordercy wciąż zadawał cios za ciosem, podczas gdy mężczyzna wierzgał pod nim jak nieujeżdżony mustang. Chase nie miał czasu zareagować, gdy ostrze zaatakowało go po raz kolejny.

Tym razem trafiło w cel... oślepiający wybuch zimnego kującego bólu sparaliżował bok jego klatki piersiowej. Cierpienie sprawiło, że przez chwilę pociemniało mu w oczach. Przebite płuco przy oddychaniu wydawało ostre charczące dźwięki, krańce widzenia zaczęła zasnuwać mętna mgła. Zabójca odrzucił go jak bezwładny balast, którym nagle się stał, po czym obrócił się, żeby go wykończyć.

- Chase! - krzyknęła Tavia. Rzuciła się ku niemu właśnie wtedy, gdy zbior podniósł swój olbrzymi sztylet nad ciałem Sterlinga, gotując się do zadania zabójczego ciosu.

*O kurwa. Nie.*

Instynkt przetrwania Chase'a prowadził wojnę z bólem i raną, która go powaliła. Nie mógł zawieść jej w ten sposób. Nie mógł pozwolić, żeby Tavia została zupełnie sama i narażona na furję morderczej maszyny Dragosa. Ryknął, mimo rozdzierającego bólu w płucu i mgły nieświadomości, która już zaczynała go pochłaniać. W ułamku sekundy, który dzielił go od uderzenia morderczego sztyletu, Chase usunął się z jego drogi i zerwał na równe nogi. Wampir odwrócił się ku niemu, żeby ponownie zaatakować, zimne oczy zwęziły się w otworach czarnej kominiarki, okrywającej jego głowę. A wtedy w jednym mgnieniu oka, za jego masywnymi plecami pojawiła się Tavia.

Jej jaskrawozielone tęczęwki błyszcząły teraz iskrami bursztynu. Delikatne rysy jej twarzy wyostrzyły się i zgrubiały. Chase zrozumiał cel tej transformacji i spróbował odwieść ją od tego, delikatnym potrząśnięciem głowy.

Kompletnie go zignorowała.

Rozchyliła wargi, ukazując końcówki wydłużonych kłów i błyskawicznie chwyciła uniesioną rękę zabójcy. Złapała ją w obydwie dłonie i gwałtownie szarpnęła, brutalnie wykręcając. Kość i ścięgna poddały się ze słyszalnym chrupnięciem.

Gdy nóż upadł na podłogę, zabójca syknął i jak żmija przekręcił się w jej kierunku. Bezużyteczne ramię zwisało mu wzdłuż boku, zaatakował drugim, chwytając Tavię za gardło. Dopiero wtedy wyrwał się spod lodowatego wpływu szkolenia i okazał emocje. Gdy bezlitośnie zaciskał palce wokół szyi, jego kły zaczęły wysuwać się z dziąseł.

Wściekłość Chase'a przybrała rozmiary eksplozji nuklearnej. Widok tego, jak ona się krztusi i wbija paznokcie w mordercze imadło wyciskające z niej życie, dał mu

takiego kopa, jak nikt i nic nigdy wcześniej. Rzucił się na swój podrzucony pistolet i wystrzelił, jego ramię nawet nie drgnęło, pomimo bólu w klatce piersiowej i szalonego ryku krwi w żyłach. Bez litości, kulę po kuli wpakował cały magazynek w tył głowy zabójcy. Czaszka rozpadła się jak dojrzały melon, spryskując Tavię krwią i kawałkami mózgu, podczas gdy ogromny wampir z pierwszego pokolenia najpierw zeszywniał z zaskoczenia pod wpływem ataku, a potem, w końcu osunął się na ziemię u jej stóp i znieruchomiał.

TAVIA WPATRYWAŁA SIĘ w martwego mężczyznę Rasy, gwałtownie, płytkimi oddechami łapiąc powietrze. To było wszystko, co mogła zrobić po okrutnym uścisku, który wydusiłby z niej życie, gdyby nie interwencja Chase'a. Mogła poczuć smak krwi na swoich wargach, miała ją również we włosach, na skórze i ubraniu. To sprawiło, że skręcił się jej żołądek, ale jednocześnie obudziło ciemną moc w głębi gwałtownie bijącego serca. Nawet, jeśli wcześniej chciała temu zaprzeczyć, teraz już nie było miejsca na żadne wątpliwości.

Była jedną z nich... należała do Rasy.

Poczuła, jak ta moc krąży w niej, moc, która dawała jej siłę, by stać z kamienną twarzą, kiedy Chase ruszył do przodu i załadował ostatnią kulę do swojego pistoletu. Z pogardą przyjrzał się zabójcy, pchnął stopą roztrzaskaną głowę, żeby odsłonić grubą, czarną obrożę, otaczającą szyję martwego mężczyzny.

Chase wycelował w ten kołnierz i wystrzelił w niego swoją ostatnią kulę. Wokół nich... eksplodował... niesamowicie jasny błysk. W momencie, kiedy gwałtownie wybuchła aureola białego światła, po czym tak samo szybko zgasła, Tavia poczuła ochraniające ją ciało Chase'a, jego silne ramiona owinięte wokół niej. Ciepłem ciała Chase'a, ofiarującym jej bezpieczeństwo i pocieszenie rozkoszowała się tylko odrobinę dłużej niż trwał oślepiający rozbłysk.

Po chwili ono również zostało jej odebrane. - Wszystko w porządku? - zapytał, jego głos był szorstki, napięty.

Spuściła wzrok na głowę, teraz oddzieloną od ciała i osmaloną. - Nic mi nie jest – powiedziała, chociaż jej gardło było obolałe, a gdy się odezwała, głos miała szorstki jak papier ścierny. - A co... co z tobą?

Jej kły pulsowały od zapachu krwi, która wyciekała z rany po nożu w jego boku. Chase zlekceważył swój uraz z lekkim skrzywieniem ust. - Przeżyję. - Chwycił ją za rękę i powiodł z dala od miejsca masakry.

- To światło – powiedziała, gdy biegła za nim. - Jak to zrobiłeś? Co wybuchło z tej obroży?

- Promienie UV. Dragos zmusił swoich żołnierzy do noszenia na szyjach urządzeń, które skłaniają ich do posłuszeństwa. Jakiegokolwiek manipulowanie przy nich, albo próba uszkodzenia, uruchamia detonator ultrafioletu.

- Dobrze wiedzieć - powiedziała, wciąż zdziwiona i wstrząśnięta tym wszystkim, czego była świadkiem. Rzuciła za siebie jedno ostatnie spojrzenie, zanim Chase pociągnął ją za sobą na korytarz. - Jak wielu takich zabójców ma Dragos?

Chase odchrząknął. - Cholera, zbyt wielu.

Nagle gdzieś na tyłach kliniki rozległa się strzelanina, gwałtowny grad kul, których echo odbiło się głęboko w kościach Tavi.

- Mathias. - Chase zaklął pod nosem. - Nie mogę go zostawić.

Tavia kiwnęła głową. - Idę z tobą.

Tym razem nawet nie próbował się sprzeczać. Razem pobiegli w głąb długiego korytarza prowadzącego na tyły kliniki.

Znaleźli Mathiasa, gdy ten kulejąc wychodził z zaplecza, świeża krew znaczyła jego trasę. Krwawił z rany na głowie, a jego noga była sztywna, kiedy kuśtykając zbliżał się w ich stronę.

- Zjeżdżajcie stąd! Natychmiast! W serwerowni jest bomba - wykrzyknął, zawracając ich z drogi. - Wykończyłem dwóch Sługusów, którzy ją aktywowali, ale zegar szybko odlicza sekundy. Musimy natychmiast stąd uciekać!

Pobiegli w kierunku frontowego okna kliniki i ledwie zdążyli ewakuować się z budynku, zanim niski pomruk wstrząsnął ziemią pod ich stopami. Po chwili, gdy ich trójka umykała przez przyprószoną śniegiem łąkę, zarówno wibracje, jak i pomruk spotężniały. Eksplozja, która nastąpiła potem sprawiła, że zadzwoniły im zęby.

Ogień rozjaśnił nocne niebo, gdy klinika doktora Lewisa... razem z dekadami kłamstw i tajemnic... wybuchła w kuli płomieni, dymu i fruującego gruzu.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 21



ANTYCZNE KRZESŁO STOJĄCE w wyspiarskiej kryjówce Dragosa, było w jego posiadaniu już od ponad wieku. To niewygodne monstrum pełniło kiedyś rolę tronu, który został wyrzeźbiony z sześćsetletniego twardego drewna, pochodzącego z Wołoszczyzny. Wykupiono je ze starego kościoła w południowo-zachodnich

transylwańskich Alpach. Legenda głosiła, że to wypolerowane do połysku siedzisko, którego oparcie i podłokietniki zdobiły smocze głowy, należało do krwiożerczego średniowiecznego władcy, którego imię budziło strach u większości ludzi, nawet w dzisiejszych czasach.

Dragos zwykle uznawał takie opowieści w najlepszym razie za zabawne. Lecz tej nocy, zazdrościł dawnemu właścicielowi fotela śmiertelnego przerażenia, jakim tchnęły rozpowszechniane o nim legendy.

Dziś, Dragos tęsknił za tym, aby budzić taki pierwotny, surowy... strach, i to nie tylko wśród tych, którzy mu służyli, ale na całym świecie.

Wściekłość zaczęła rozsadzać go już wcześniej, gdy okazało się, że wiceprezydent nie dotarł na nabożeństwo żałobne senatora Clarenca. Niepokój o jego bezpieczeństwo związany z ostatnimi wydarzeniami, zmusił ludzki rząd, by odwołać jego wizytę w Bostonie. Co do Dragosa, bezowocna podróż w świetle dnia i godziny próżnego oczekiwania wśród chmary ludzkich krewnych zmarłego, raczej nie poprawiły mu nastroju. Ani fakt, że próby telefonicznego skontaktowania się z biurem polityka, zostawały przekierowywane do jego asystentów, którzy uprzejmie zbywali go, gdy prosił o sprawdzenie kalendarza wiceprezydenta i ustalenie spotkania na późniejszy termin, acz jeszcze w tym roku.

Dragos warknął na samo wspomnienie o tym upokorzeniu.

Jego paznokcie wbiły się w drewniane podłokietniki tronu Włada Palownika, kiedy oglądał sprawozdanie z pożaru szalejącego na prywatnej parceli w sielskim miasteczku Sherborn. To nie utrata kliniki doktora Lewisa doprowadzała Dragosa do bladej furii; zniszczenie budynku i zgromadzonych w nim danych zostało wykonane na jego rozkaz, wkrótce po tym, gdy został zawiadomiony o śmierci lekarza, który był jego Sługusem. To, iż gotował się z wściekłości powodował fakt, że wysłany

przez niego Zabójca do tej pory nie zadzwonił z raportem w sprawie Tavi Fairchild. Wysłał żołnierza zaraz po zapadnięciu zmroku, by mu ją dostarczył, podejrzewając, że wcześniej, czy później dziewczyna przybędzie do kliniki, aby odkryć prawdę o swojej przeszłości i ta ciekawość sprawi, że wpadnie w ręce swojego Stwórcy. Dragos już nie mógł się doczekać, żeby móc nauczyć piękną Tavię wszystkich sposobów, na jakie mogłaby go zadowalać, teraz, gdy już rozpadła się fasada jej śmiertelnego istnienia.

Ale Zabójcy nie udało się przynieść Dragosowi jego nagrody.

Jeszcze jeden zawód, żeby dopełnić ten dzień pełen niepowodzeń i irytacji.

Już dosyć, więcej nie zniesie.

Jego cierpliwość osiągnęła swój kres i nie będzie dłużej opóźniał tego, co przysługiwało mu z mocy urodzenia.

Dragos zerwał się z krzesła z gwałtownym przekleństwem, podniósł bezcenny antyk i w przypiływie wściekłości cisnął nim w ogromny kamienny komin, który wypełniał całą jedną ścianę pomieszczenia. Tron roztrzaskał się na kawałki, kiedy uderzył w masywną ścianę połączonych zaprawą, granitowych gładów. Przez jego kaprys sześć wieków historii zamieniło się w kupę połamanych drzazg. Ostateczność tej destrukcji... nieodwołalność zniszczenia... wypełniło go tak głęboką i prawdziwą satysfakcją, że mogła się ona równać jedynie z gwałtownym orgazmem. Dragos rozkoszował się przepływem mocy przez żyły. Chłonał ją, jak życiodajną, świeżą krew.

Kipiał, upojony własną potęgą, kiedy z impetem pchnął drzwi swoich prywatnych komnat i warknął na jednego ze swoich Sługusów. - Wezwij moich adiutantów. Chcę w ciągu godziny mieć każdego z nich gotowego do telekonferencji na bezpiecznej



linii.

ROWAN SYKNAŁ PRZEZ ZĘBY, kiedy Chase zmywał resztki krwi z tyłu jego rozciętej głowy. - Jezu, ale to parszywie boli. Twoje grabowe łapska też nie poprawiają sytuacji. Cholernie kiepska z ciebie pielęgniarka.

Chase chrząknął. - Pieszczoty nigdy nie były moją mocną stroną.

- Kurwa, skończysz wreszcie?

- Gotowe.

Chase zdążył już opatrzyć własne rany, odniesione podczas walki w klinice, swoje i Rowana, po zawleczeniu tego ostatniego do kuchni w Mrocznej Przystani, gdzie zorganizował prowizoryczny punkt opatrunkowy. Natomiast Tavia zadekowała się w pokoju gościnnym na górze, żeby umyć się i odpocząć. Rezydencja byłaby zupełnie cicha, gdyby nie sporadyczne szmery rozmów rodziny Rowana... garstki młodszych braci i bratanków, kilku z nich z Dawczyniami Życia... zajmujących się własnymi sprawami w innych pomieszczeniach Mrocznej Przystani.

Chase uprzątnął bałagan po opatrywaniu Rowana i rzucił krzywiącemu się agentowi ukradkowe spojrzenie. - Kiedy ostatni raz zostałeś ranny podczas pełnienia obowiązków?

Rowan wzruszył ramionami. - Masz na myśli, odkąd awansowałem na dyrektora regionu? Trudno dostać w łeb, kiedy przez większość czasu siedzisz za biurkiem, albo sortujesz papiery.

- Chyba wiedziałeś, z czym to się wiąże, kiedy ubiegałeś się o to stanowisko?

- Wziąłem je tylko dlatego, że ty odmówiłeś - Przecież wiesz, że na fotelu dyrektora było już wygrawerowane twoje nazwisko. Cholera, to tradycja, że ten fotel zajmował ktoś z twojej rodziny.

To stanowisko należało do Chase'ów, odkąd w Bostonie zaczęło działać biuro Agencji, szczerze mówiąc przez ponad dwieście lat. Najpierw piastował je ojciec Sterlinga, później jego brat Quentin. Tak było do chwili, kiedy sześć lat temu Quent został zabity podczas pełnienia służby.

Każdy, zarówno w rodzinie i Agencji przypuszczał, że Chase podejmie obowiązki dyrektora. Zamiast tego, gdy przygasł wstrząs po tym, co wydarzyło się Quentowi i żał po jego śmierci, Chase rzucił się do pracy w terenie, biorąc patrole uliczne i inne główniane obowiązki, które zazwyczaj przypadają nowym rekrutom i niezdyscyplinowanym agentom. Zajęcia, przy których mieli oni szansę ubrudzić sobie ręce i nieco zapocić jaja w akcji, zanim którykolwiek z nich zaczął walczyć o uwagę komisji, albo polityczne względy w obrębie Agencji.

Dla tych z zewnątrz, decyzja Chase'a, by zrezygnować z dyrektorskiego fotela była przejawem honoru i odwagi. Noszący żałobę brat, jedyny żyjący syn, spadkobierca jednego z najbardziej szanowanych nazwisk w społeczeństwie Rasy, odwraca się od tytułu i przywileju kontynuowania tradycji swojej rodziny, dla bezinteresownej służby na ulicach.

Naga prawda miała niewiele wspólnego z tymi przypuszczeniami.

Chase nie mógł znieść myśli o wciśnięciu się w garnitur i przejęciu obowiązków po ojcu, albo Quentinie. Jego sukcesy nigdy nie spełniały ich niewiarygodnie wysokich standardów i oczekiwań, a porównywanie własnych niepowodzeń z zasługami rodziciela i brata byłoby czymś, czego nie zdołałby znieść. Wstyd z powodu dogłębnej świadomości tego faktu nie odstępował Chase'a aż do dziś.

Więc uciekł od odpowiedzialności.

Uciekł przed tym wstydem, który jeszcze pogarszał fakt, że wszyscy twierdzili, iż działał z tych samych szlachetnych pobudek, które kierowały jego rodem jeszcze zanim Chase pojawił się na świecie.

Przez wszystkie te lata chronił się za fałszywą fasadą. Nawet, gdy dołączył do Zakonu, wciąż kontynuował odgrywanie swojej roli świętszego od papieża. Ale to się nie sprawdziło. Nie, dość szybko go przejrzeni. Był oszustem przez całe swoje życie. Lśniący i nienaganny z wierzchu, a śmiertelnie zainfekowany wewnątrz. Wszystko pogorszyło się po śmierci Cona. To wtedy zaczęła się jego gehenna, ten niebezpieczny taniec z Nałogiem Krwi. Chase już nie chciał nosić maski, za którą ukrywał się tak długo. To wymagało zbyt wielkiego wysiłku. Teraz już nie krył się ze swoją chorobą. Nawet jego talent do zaginania cieni prawie go opuścił. W tej chwili był nagi, wystawiony na ciosy. Już za niczym nie mógł się ukryć.

Rowan westchnął głęboko, przerywając ciemne myśli Chase'a. - Bywają dni... i jest ich coraz więcej, jeśli chcesz znać tę paskudną prawdę... kiedy nawet nie wiem, jakie stanowisko zajmuje Agencja. Podjąłem się swojej funkcji, ponieważ myślałem, że mogę coś zmienić. To były mrzonki. Korupcja trwała tam już za długo i zbyt głęboko przeżarła jej strukturę. To jest jak rak, którego czułki dotknęły prawie wszystkich w organizacji.

Chase to rozumiał. Sam czuł ten ciężar. - Agencja od dłuższego czasu stacza się po równi pochyłej. Uprzątnąć to szambo? Chryste. - Potrząsnął głową, rozważając zakres zmian, jakich to wymagało. - Trzeba by wyrzucić całe to miejsce do góry nogami. Zacząć całkowicie od początku z garstką wybranych i zrekonstruować je od wewnątrz. Nowe filozofie, nowe struktury. Należałoby zreformować Agencję, kawałek po kawałku.

Rowan obserwował go uważnie, z aprobatą kiwając głową. - Może pewnego dnia wrócisz i pomożesz mi się tym zająć.

- Pieprzysz - zakpił Chase. - Nie licz na mnie. Cieszyłem się jak dziecko, kiedy miałem okazję wyrwać się stamtąd. Nigdy tam nie pasowałem.

Rowan mruknął, jego ciemne brwi zetknęły się w zamyśleniu. - A ja myślałem, że opuściłeś Agencję z innego powodu... przypuszczałem, sądziłem, że może podążyłeś za Elise. No wiesz, żeby się upewnić, że nie popełniała błędu, angażując się w związek z jednym z wojowników Zakonu - dodał, gdy Chase rzucił mu twarde spojrzenie.

- Ona nie mogłaby znaleźć się w lepszych rękach - powiedział z naciskiem Chase.  
- Tegan ją uwielbia. On jest porządny i uczciwy, godny jej. A ona go kocha, może nawet bardziej niż Quenta.

- Taaa. Ja też to dostrzegłem - powiedział Rowan. - Ale wówczas...

Chase wszedł staremu przyjacielowi w słowo. - Wówczas, gdy odchodziłem z Agencji, sam nie byłem pewien, czego chcę. Wiedziałem jedynie, że jeśli chcę zachować swoje zdrowie psychiczne... ocalić swoją pieprzoną duszę... to muszę to zrobić.

Teraz wreszcie wyznał Rowanowi prawdę... tyle, ile był w stanie. Istniały rzeczy, których nie ujawnił nikomu. Zawstydzające historie z przeszłości, którymi nigdy się nie dzielił i o których myślał, że na wieki zatrzyma je dla siebie.

- A teraz? - po chwili zapytał Rowan.

Chase wydał z siebie zdławiony, pozbawiony radości chichot. - Teraz już o to nie

dbam.

- Może powinieneś - Rowan wyciągnął rękę i położył ją na ramieniu Sterlinga.

- Ty i ja spędziliśmy ze sobą kupę czasu, mój przyjacielu. Widziałem cię w twoich najlepszych momentach. Ale nawet w tych najgorszych, jesteś dużo lepszy niż te cholerne dupki, które w Agencji uważają się za moich przyjaciół. Zawsze, gdy będziesz tego potrzebował, będę chronił twoje plecy.

Chase zmarszczył brwi, niechętny przyjąć tak niezasłużony prezent. - Nigdy nie prosiłbym cię o to, Mathiasie. Gdyby nie wyjątkowa...

- Kobieta - dokończył Rowan, z poważnym skinieniem głowy. - Jezu Chryste, Chase. Widziałem ją na własne oczy, ale wciąż prawie nie mogę w to uwierzyć. Czy Dragos w swoim laboratorium naprawdę stworzył żeńską odmianę pierwszej generacji Rasy?

- Być może więcej niż jedną, zgodnie z kartami pacjentów, jakie widzieliśmy dzisiejszej nocy w klinice.

Rowan mówił przyciszonym głosem, żeby nie być słyszany przez żadnego z cywilnych mieszkańców jego Mrocznej Przystani. - Czy zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? Co to oznacza dla przyszłości całej naszej rasy? Ta młoda kobieta, tam na górze zmieni wszystko.

- Tak - szepnął Chase. - I dlatego musi być chroniona. Najbezpieczniejszym miejscem dla niej będzie siedziba Zakonu. Mam nadzieję, że upewnisz się, by się tam znalazła.

- Sam możesz to zrobić. - Rowan lekko wzruszył ramionami. - Mówiłem ci, że muszę poinformować Lucana o tym wszystkim. Zadzwoiłem do niego, gdy tylko

wróciliśmy. Wysłał Tegana i paru innych, żeby zabrali dziewczynę. Są już w drodze, powinni tu być w ciągu godziny.

Chase zaklął pod nosem. Gdy kilka poranków temu wyszedł z rezydencji Zakonu i dał się zawieźć do ludzkiego aresztu policyjnego, zrobił to w akcie ostateczności. Tym sposobem chciał uwolnić swoich walecznych braci od ciężaru własnej obecności i wszystkich błędów, które popełnił, odkąd zaczął przegrywać walkę z Nałogiem Krwi.

Jego wyjście na zewnątrz miało być ostatnim wysiłkiem, by zachować niewielki kawałek honoru... kiepskim zadośćuczynieniem... przez poświęcenie dla nich własnej wolności. Nie przypuszczał, że jeszcze kiedykolwiek stanie naprzeciw Lucana, Dantego, Tegana, albo reszty Zakonu. Tak naprawdę to nie chciał ujrzyć uzasadnionej pogardy w ich oczach.

- Ty będziesz pełnił honory, zamiast mnie - powiedział Rowanowi - Nie planuję pozostać tu aż tak długo.

- Dokąd chcesz iść? - to pytanie nie zostało zadane z jakąkolwiek pretensją, lecz z niepokojem, który również nie był mile widziany.

Chase wstał i zaczął krążyć wokół kuchni. Na górze, nad jego głową, znajdował się pokój gościnny, gdzie zaraz po przyjeździe umieścili Tavię. Wciąż brała prysznic; przez grube gipsowe ściany mógł usłyszeć przyciszony jęk starych miedzianych rur.

- Ona jest tam już bardzo długo. Myślisz, że z nią wszystko w porządku?

- Biorąc pod uwagę to, przez co dzisiaj przeszła, powiedziałbym, że trzyma się nadzwyczajnie.

- Taaa - zgodził się Chase. - Tavia jest... niezwykła.

Powrócił myślami do wydarzeń z kilku minionych nocy i dni. Wszystkich zaskakujących odkryć. niespodziewanej fascynacji... niechcianej troski... uczuć do kobiety, której przed tygodniem nawet nie znał. I tak, istniał jeszcze jeden dodatkowy problem, ten, że bardzo jej pragnął. Właśnie z tego powodu powinien natychmiast wziąć dupę w troki, zanim bardziej się w to zaplącze.

- Niech to szlag - z głębokim westchnieniem przeczesał włosy szeroko rozstawionymi palcami. - Muszę stąd odejść. Tak będzie lepiej. Lepiej dla niej. Cholera, sądzę, że również dla mnie.

W tym momencie Rowan spojrział na niego badawczo. Sprytny dyrektor Agencji nie potrzebował niczego więcej, żeby dokładnie zrozumieć, że Chase już spieprzył coś w układach z Tavią.

- Co mam jej powiedzieć?

Chase przeklął ponownie, tym razem soczyściej. - Po prostu powiedz, że ją przepraszam. Za wszystko.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 22



- MYŚLISZ, ŻE TO MOŻE BYĆ prawda? - Lucan stał tuż obok Gideona w jego prowizorycznym centrum komputerowym, opierając się ramieniem o ścianę.

- Sądzisz, że Dragos był w stanie stworzyć w swoim laboratorium żeńską odmianę naszej Rasy?

Gideon oderwał oczy od tego, co właśnie studiował i spojrzął w kierunku jednego ze stanowisk. Jego wzrok ponad oprawkami bładoniebieskich szkieł, opierających się nisko na nosie, był poważny. - Na podstawie tego, co znalazłem w zbiornikach kriogenicznych przywiezionych z Nowego Orleanu, powiedziałbym, że to jest więcej niż możliwe. - Przetoczył swoje krzesło w poprzek wypolerowanej do połysku sosnowej podłogi, zatrzymując się przed innym pracującym komputerem. - Widzisz to tutaj? - Wskazał schemat wyświetlony na monitorze.

Lucan podszedł, by spojrzeć.

- To jest tylko jedna z tuzina analiz, jakie zacząłem przeprowadzać na zamrożonych próbkach z laboratoryjnej chłodni. Mówimy tu o niezliczonych okazach, Lucan, pobranych od Starożytnego, jego laboratoryjnie wyhodowanego potomstwa i ponad dwudziestu Dawczyń Życia. Cholera w tym zbiorniku znalazłem nawet jakieś ludzkie próbki. Dragos gromadził wycinki DNA, krwinki, komórki macierzyste, embriony... wszystko, co mogłoby dać laboratorium pełnemu Sługusów uczynionych z wysokiej klasy genetyków zajęcie na kilka dekad.

- Jezu Chryste - wymamrotał Lucan.

- A to są tylko żywe okazy - dodał Gideon. - Drugi pojemnik kriogeniczny zawierał mniej więcej to samo, ale uszkodzenie zbiornika złamało zabezpieczenia i zniszczyło całą jego zawartość.

- A co się tam dzieje? - zapytał Lucan, gestem wskazując na kolejny komputer, na którego monitorze bezustannie przewijały się dane. Pracował w trybie wieloekranowym, dolna połowa miała linię po linii, w programie Rapid Fire Code kod składający się z ciągu trzynastu znaków. Jedynie trzy pola wypełniały nieruchome cyfry 5, 0, i 5.



- To - powiedział Gideon - jest mały programik do deszyfrowania procedur, który napisałem którejś nocy. Do większości laboratoryjnych plików dostałem się bez jakichkolwiek problemów, ale jeden z katalogów został zabezpieczony dodatkowym hasłem. Mój zwykły kuferek ze sztuczkami zawiódł, więc próbuję to rozgryźć z innej strony.

- I to działa? - zapytał Lucan, przyglądając się, jak przyprawiający o zawrót głowy, wypełniający monitor ciąg liczb wciąż spływa po ekranie.

- Ano działa - odpowiedział Gideon. - Ale dużo wolniej niż zakładałem. Program został uruchomiony więcej niż dwadzieścia cztery godziny temu i to jest wszystko, co uzyskałem. Przy tej prędkości, musimy przyjąć, że będziemy potrzebować kolejnych czterech albo pięciu dni, żeby rozkodować całą sekwencję. Zakładając, że wynik deszyfrowania będzie prawidłowy.

Lucan chrząknął. - A my nie dowiemy się, co zawiera katalog, dopóki nie złamiemy tego kodu.

- Trafiłeś w dziesiątkę – odpowiedział Gideon. - Ale ponieważ Dragos powziął ekstra wysiłek, żeby go dodatkowo zabezpieczyć, to pozwolę sobie przypuszczać, że dane, które znajdziemy w środku mogą się nam przydać.

- Zgoda, ale po kolejnych czterech lub pięciu dniach może być już za późno na wykorzystanie czegokolwiek, co tam znajdziemy. Mówiłeś mi, że masz coś jeszcze.

Gideon kiwnął głową. - Włamałem się do systemu GPS, z którego Hunter wysłał do nas wiadomość, kiedy przebywał w Nowym Orleanie. Sygnał doprowadził nas do syna Corinne. Może zdołalibyśmy wykryć komórki innych Zabójców Dragosa na terenie całego kraju. Namierzemy je, wyłuskamy jednego po drugim i zlikwidujemy, co do nogi całą wyhodowaną przez Dragosa armię.

- To brzmi jak plan. Potrzebujemy jakichś zwycięstw teraz, gdy zaczynamy widzieć wszystko, co Dragos robił przez lata... cholera, dekady... zupełnie pozbawiony kontroli.

- Osobnik pierwszej generacji Rasy, płci żeńskiej - dumął Gideon, zabierając się do roboty na jednej z leżących przed nim klawiatur. - W jaki sposób, przez cały ten czas udało się jej żyć wśród ludzi? I przede wszystkim, co na diabła Dragos chciał przez to uzyskać?

- Zadaję sobie te same pytania - odpowiedział Lucan. - Będziemy mieli okazję, żeby wysłuchać jej sprawozdania, zaraz po tym, gdy Tegan i reszta odbiorą ją z Mrocznej Przystani Rowana.

Niepewny, czy Tavia Fairchild będzie skłonna do współpracy, Lucan wysłał Huntera i Niko, oraz Tegana. Renata też z nimi pojechała, nie tylko dlatego, że obecność innej kobiety mogła dać Tavi pewien komfort i oparcie, lecz także z powodu wyjątkowego talentu Renaty. Partnerka Niko posiadała moc, aby chwilowo sparaliżować każdego, kto pochodził z Rasy, używając jedynie siły swojego umysłu. Niestety, powalające migreny, na które miała skłonność cierpieć po użyciu swojego daru powodowały, że korzystała z niego bardzo rozważnie.

- Co z Harvardem? - zapytał Gideon. - Czy Rowan coś mówił na jego temat, kiedy do ciebie zadzwonił?

- Tylko tyle, że jest razem z nim w Mrocznej Przystani i wygląda jak gówno. *(to nie było mile ze strony Mathiasa. Po walce z Zabójcą i ciosie pod żebra chyba nikt nie wyglądałby kwitnąco)*

To był jeszcze jeden powód, dla którego Lucan czuł, że posłanie dziś wieczorem Renaty do Bostonu razem z resztą załogi, było dobrym pomysłem.

- Nie wiem, czy to źle, czy dobrze - wyznał Gideon. - Ale muszę powiedzieć, że czuję ulgę wiedząc, że Chase wciąż jeszcze szwenda się po tym świecie.

- Nie jestem pewien, czy jeśli o niego chodzi należy wzbudzać w sobie nadzieję, - powiedział Lucan, ale prawda była taka, że również poczuł ulgę wiedząc, iż Chase wciąż żył. I był więcej niż odrobinę wdzięczny, że przekazywał Tavię Fairchild pod opiekę Zakonu. Jak również i za to, że podejmując ogromne osobiste ryzyko Chase poddał się ludzkiej policji, gdy tamtego poranka wkroczyła na teren ich siedziby. Prawdopodobnie ocalił wtedy więcej niż jedno życie, przez ten akt poświęcenia, który nawet w tej chwili skłaniał Lucana do refleksji. Lucan był tak długo przywódcą Zakonu, ponieważ zawsze wiedział jak ustalać twarde zasady, ale również dlatego, że wyczuwał, kiedy należało je nagiąć.

Srebrna zbroja Sterlinga Chase'a była nieco pogięta i zardzewiała, ale nie należało jeszcze całkowicie spisywać go na straty. Lucan powinien wiedzieć to najlepiej. Nie tak dawno przechodził przez to samo.

- Jak to było? - Gideon odwrócił się tyłem do swoich klawiatur i spojrzał na Lucana zza lodowato błękitnych soczewek swoich okularów. Zwykła żartobliwość komputerowego geniusza została zastąpiona trzeźwą powagą, kiedy wpatrywał się w Lucana. - Nigdy nie powiedziałeś, co tak naprawdę sprawiło, że udało ci się opanować Nałóg Krwi.

Nie trzeba było wiele, by to sobie przypomnieć. Walka Lucana z jego własną dziką naturą złagodniała jakieś półtora roku temu, kiedy to w jego życiu pojawiła się Gabrielle, ale wciąż nie mógł o tym zapomnieć. - To było czyste piekło - przyznał się. - Bezlitosne, pochłaniające wszystko piekło. Głód i agresja nie opuszczały mnie nawet na moment. To jest bardzo niebezpieczne połączenie, autodestrukcyjne. Pragnienie napędza przymus przemocy, a przemoc nasila pragnienie do polowania i żywienia się - wycedził ordynarne przekleństwo. - Taaa, cierpiałem jak potępieniec,

ale Tegan znosił to jeszcze gorzej.

Gideon ponuro skinął głową. Wiedział trochę o przeszłości Tegana. - On stracił swoją Dawczynię Życia i prawie zamienił się w Szkarłatnego. Ocaliłeś go.

- Zrobiły to długie miesiące odosobnienia i głodówka aż do granicy śmierci, nie ja. A nawet wtedy, nie było żadnej gwarancji, że zdołał wygrać z nałogiem.

Ale jednak zdołał to zrobić, mimo wszystko, pomimo żalu i wściekłości, która płonęła w żyłach wojownika. Lucan był szczęśliwy, że po tym wszystkim Tegan wciąż uważał go za przyjaciela. Brata.

- To było dawno temu, dla niego całe wieki, ale muszę ci powiedzieć, że niepokój związany z Nałogiem Krwi nigdy do końca cię nie opuszcza. Tegan z czasem wyrwał się z tego wiru. Ale czas... nie jest czymś, co w tym momencie możemy zaoferować Harvardowi, nie, kiedy Dragos jest na wolności.

Jedna z brwi Gideona uniosła się do góry ponad jego poważnymi oczami. - Ściany schronu przeciwiatomowego pod tą Mroczną Przystanią są ze stali i betonu, grube na dwadzieścia cali. Potrójnie wzmacniane drzwi wytrzymają wybuch nuklearny. Powinny być dostatecznie mocne, by utrzymać jednego wkurzonego wampira do chwili, gdy będziemy mieli czas, żeby odpowiednio się nim zająć.

Lucan przytrzymał spojrzenie wojownika, czując jak porozumiewawczy uśmiezek wygina mu kącik ust. - Już tam byłem, żeby osobiście to sprawdzić. Rzuciłem okiem na schron, tuż po wieczornej rozmowie z Rowanem.

Gideon pokręcił głową, szeroki uśmiech wypłynął mu na twarz. - A już myślałem że skreśliłeś Harvarda.

- Zawsze mogę to zrobić - ostrzegł go poważnie. - To od niego będzie zależało, jak postąpię. Tak, jak powiedziałem. Najlepiej nie wzbudzajmy w sobie nadziei, dopóki nie przekonamy się, co z nim...

Nagły grzmot kroków docierający z korytarza poza pokojem, zmusił Lucana do przerwania wypowiedzi. Razem z Gideonem zerwali się z krzeseł i wyszli na zewnątrz, by zobaczyć co się stało.

Lazaro Archer niemal zderzył się z nimi. - Chodzi o Jenne - powiedział, niepokój wrył głębokie bruzdy w twarzy tego starszego mężczyzny. - Chodźcie szybko!

Pobiegli za nim do dużego pokoju usytuowanego na drugim krańcu rozległej rezydencji. Brock już tam był, przycupnął u boku swojej nieprzytomnej partnerki, leżącej na brązowej, skórzanej kanapie.

- Jenna - głos Brocka był cichy ale stanowczy, ciemnymi dłońmi głaskał jej apatyczną twarzą. - Dziecinko, czy mnie słyszysz? No, Jenna. Otwórz oczy, zrób to dla mnie. Obudź się, natychmiast.

Lucan spojrzał na Archera. - Co się stało?

- Nie jestem pewien. Analizowaliśmy pisma w starożytnym języku, próbując przetłumaczyć pewne, nie dające się określić obce zwroty, jakich użyła w swoim śnie kilka tygodni temu. Zapytała, czy może przez chwilę odpocząć, więc poszedłem zajrzeć do Kellana. Gdy wróciłem, miotała się na kanapie, walcząc o oddech.

- Kolejny koszmar - zasugerował Gideon. Mówił przyciszonym głosem, podczas gdy Brock z całych sił starał się ocucić Jenne. - Wczoraj powiedziała mi, że ma złe sny. Sny o uwięzieniu w ciasnocie i ciemności, o ciągłym kuciu igłami i skalpelami. Czowała się, jakby wielokrotnie obdzierano ją ze skóry, podczas gdy wszystko, co była

w stanie zrobić, to stać i patrzeć, jak to się dzieje.

- Jezu - wyszczał Lucan.- To nie może być zbiegiem okoliczności.

- Ano nie może - zgodził się Gideon. - Podejrzewam, że wraz z kawałkiem siebie Starożytny wszczepił jej również jakieś własne wspomnienia.

I to nie było wszystko, co Starożytny podarował Jennie. Jej ciało wciąż ulegało przeobrażeniu, komórki i organy adaptowały się w kierunku czegoś, co było nie do końca ludzkie. Głębok na jej karku i ramionach codziennie odrobinę się powiększała; i nie można było określić, jak dużą powierzchnię jej ciała przykryje w ciągu kolejnych godzin, lat lub dekad. Sposób, w jaki mutowała jej fizjologia, przekonywał Gideona, że oprócz jej nadludzkiej siły i wytrzymałości, również długość życia Jenny nie może już być mierzona w ludzkich kategoriach.

- Jenna - uspokajająco powiedział Brock, przytulając ją do siebie bliżej, gdy zaczęła się budzić i cicho pomrukiwać w jego ramionach. - Właśnie tak, kochanie. Już wszystko w porządku. Trzymam cię, przy mnie będziesz bezpieczna.

- Brock?

Podczas gdy wojownik ciągle do niej mówił, jej powieki zadrgały, a oddech przyspieszył. Powoli uniosła się kurtyna snu i zaczęła odzyskiwać przytomność. Po chwili jej ciało poruszyło się i w pełni odzyskała świadomość. Szlochając, gwałtownie wczepiła się w niego, jej oczy były szeroko otwarte i wypełnione łzami - Wszędzie była woda. Podnosiła się coraz wyżej, a ludzie... oni byli wokół, krzyczeli i tonęli. Och, Boże ... to było takie straszne!

Lucan rzucił Gideonowi pytające spojrzenie, ale ten potrząsnął głową równie zdezorientowany.

Brock ujął jej twarz w swoje ogromne dłonie, uspokajając ją dotykiem. - Jacy ludzie, dziecinko? Co za woda? Kto się topił?

- Nie wiem - przytuliła policzek do jego piersi i zaszlochała rozzwierając. - Nie mam pojęcia kim byli, ale umierali. Mężczyźni, kobiety, dzieci. Widziałam również tonące zwierzęta. Potężna fala porwała wszystko. Zmyła całe miasto.

Niespokojnie zmarszczone brwi Gideona, dokładnie odzwierciedlały wyraz twarzy Lucana. Nawet Lazaro Archer wyglądał na nieco wstrząśniętego opisywanymi przez Jennę chaosem i masową zagładą.

Brock szeptał jej do ucha uspokajające słowa. - To tylko zły sen, dziecinko. Jesteś bezpieczna. Nikt nie umarł. To był jedynie senny koszmar.

Wojownik podniósł wzrok, rzucając mężczyznom mroczne, ponure spojrzenie.

- Zbyt mocno ją naciskaliśmy. Jest wykończona, fizycznie i psychicznie. Te wszystkie testy, przesłuchania i analizy. To, cholera jest dla niej zbyt wiele. Trzeba to natychmiast przerwać.

- Nie.

Ta odmowa nie wyszła od Lucana, ani pozostałych mężczyzn, przebywających razem z nim w pokoju, lecz spomiędzy warg Jenny. Odsunęła się od Brocka, potrząsając głową. Jej twarz była zaczerwieniona i mokra od łez, ale łagodne brązowe oczy skrzyły się determinacją. - Nie, Brock. Nie mogę przestać szukać odpowiedzi. Nie chcę tego przerwać.

- Spójrz, co to z tobą robi - wytknął jej. - Już prawie nie możesz zmrużyć oka bez budzenia się z krzykiem z kolejnego koszmaru... który zazwyczaj jest jeszcze bardziej przerażający od poprzedniego.

Wciąż potrząsając głową, ujęła w dłonie jego napiętą twarz. - Nic mi nie jest. Jestem trochę roztrzęsiona, ale mam się dobrze. Chcę to robić. Jesteśmy blisko czegoś dużego, czuję to. Pragnę zrozumieć te sny nawet, jeśli mnie przerażają. One są częścią tego, kim teraz jestem, Brock. Muszę wiedzieć, co oznaczają.

- Być może istnieje ktoś, kto mógłby w tym pomóc - wtrącił Gideon. Wszystkie głowy odwróciły się w jego stronę. - Claire Reichena - powiedział. - Dawczyni Życia Andreasa Reichena jest Nawiedzającą Sny. Może pomóc Jennie, wędrując po jej snach i zbierając szczegóły, które w innym przypadku umknęłyby uwadze.

- Zgadzam się - powiedziała Jenna. - Sądysz, że chciałaby to zrobić?

- Claire mieszka na Rhode Island - przypomniał im Lucan. - Nie możemy ni z tego, ni z owego zażyczyć sobie, żeby porzuciła swoją Mroczną Przystań i przyjechać do nas na północ, zwłaszcza, że Reichen jest teraz w Europie, przeprowadzając dla nas rozpoznanie w tamtejszych Agencjach.

- Może nie musiałaby tego robić - powiedział Gideon. - Ona potrafi również wchodzić w sny na odległość. To nie jest dla niej najłatwiejsza rzecz, ale do zrobienia.

Brock potarł dłonią czubek swojej wygolonej głowy. - Nie mam dobrych przeczuć w związku z tym wszystkim. A co, jeśli stanie się coś złego?

- A co może się stać? - zapytała go Jenna. - Przecież to tylko sny. Nie wiem, może są wspomnieniami Starożytnego. Ale chcę się dowiedzieć, Brock. Pozwolił mi żyć z ważnej przyczyny. Sprawił, że wybrałam, a następnie włożył ten żywy kawałek siebie pod moją skórą. W jakim celu? Czego ode mnie chciał? Nie mogę odpuścić, dopóki nie znajdę odpowiedzi na te pytania. Nie możesz mnie prosić, bym uciekała od tego, czym się staję.



- Nie robię tego - łagodnie odpowiedział Brock. Ściszył swój głos do ochrypłego szeptu. - Wiesz, że cię kocham bardziej niż cokolwiek na tym świecie, Jenna. Chcę tylko, żebyś była bezpieczna.

- I jestem - uśmiechnęła się do niego, jakby nikogo oprócz nich nie było w pokoju.  
- Z tobą zawsze jestem bezpieczna i niczego się nie obawiam. Obiecuj mi tylko, że zawsze, gdy się obudzę, będziesz trzymał mnie w ramionach.

- Zawsze - powiedział i pocałował ją. To krótkie złączenie się ich ust promieniowało takim żarem, jak rozpalony piec.

Nawet na chwilę nie odrywając oczu od swojego partnera, Jenna powiedziała.  
- Zadzwoń do Claire proszę, możesz to dla mnie zrobić, Gideonie?

Widząc, że Lucan skinął głową na zgodę, Gideon wyjął swoją komórkę i błyskawicznie wybrał numer Mrocznej Przystani Richena, położonej na wybrzeżu Rhode Island, w miejscowości Newport.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 23



NAPRAWDĘ MIAŁ SZCZERY ZAMIAR opuścić to miejsce. Po wyjściu z kuchni należącej do Mathiasa Rowana, już się na to zdecydował. Chciał uniknąć pogardy swoich dawnych braci z Zakonu i po prostu zniknąć w ciemnościach; tak wyglądał jego plan. Ale zauważył, że jakimś dziwnym, niepojętym sposobem, nogi same zanosły go po schodach na drugie piętro Mrocznej Przystani.

Pomieszczenia mieszkalne były ciche, większość mieszkańców rezydencji przebywała w tej chwili we własnych apartamentach, lub na mieście polując, albo szukając rozrywki. Pokój, gdzie pozostawili Tavię znajdował się na końcu szerokiego korytarza. Chase szedł po antycznym chodniku, który pokrywał podłogę od szerokich, krętych schodów, aż po końce skrzydeł części mieszkalnej tego starego, urządzonego z królewskim przepychem domu.

Stanął w bezruchu przed zamkniętymi drzwiami niepewny, czy powinien jej przeszkadzać. Po drugiej stronie grubego rzeźbionego i wypolerowanego mahoni, słyszał jedynie cichy syk płynącej wody.

Czyżby wciąż była pod prysznicem?

Brała go już od ponad godziny.

Czy było z nią wszystko w porządku?

-Taviu. - Chase delikatnie zastukał w dzielące ich drzwi. Żadnej odpowiedzi. Zapukał jeszcze raz, tym razem mocniej. Odpowiedziała mu ta sama głucha cisza.

- Taviu, jesteś tam?

Przekręcił kryształową, ciętą w fasety gałkę i stwierdził, że drzwi nie są zamknięte.

Pchnął je i wstrzymując oddech wszedł do ciemnej sypialni, która łączyła się z łazienką. - Taviu? Dlaczego nie odpowiadasz...

Zupełnie odebrało mu mowę, kiedy skręcił za róg sypialni i znalazł ją opartą o ścianę, siedzącą w ciszy i ciemności. Płakała.

*Jezu Chryste.*

Wciąż była ubrana w to samo, w czym była w klinice, ramionami obejmowała podciągnięte kolana i drżała wstrząsana szlochem. Miała pochyloną głowę, jej włosy opadły ukrywając twarz, długie karmelowe fale zmierzwiły się i poplątały podczas potyczki, jaką odbyli wcześniej tej nocy. Pomimo, że nie była żadną sierotką i daleko jej było do tego, żeby ktoś mógł ją określić jako słabą, albo bezsilną, to w oczach Chase'a wyglądała teraz na bardzo drobną i zagubioną.

Przeszedł przez pokój i przykucnął przed nią. Nawet nie spojrzała w górę, by zobaczyć, że tam jest. Jej ramiona wciąż drżały od powstrzymywanego szlochu.

- Hej - szepnął, niezgrabnie wyciągając rękę, aby delikatnie jej dotknąć.

Pogłaskał przygarbione plecy, w powolnej pieśczoście, sprawiając tylko, że zaczęła mocniej szlochać. Nic nie powiedziała, tylko westchnęła i ponownie się rozplakała.

- Ciiii - powiedział uspokajająco, niepewny, jak ją pocieszyć, wiedząc, że niezbyt nadawał się do tego zadania. Jeśli istniała jedna rzecz, której wolał unikać, by jeszcze bardziej nie rozczarować tych, na których mu zależało, to było to dawanie sobie rady z takim nieskrywanym przejawem kobiecych emocji. Ale przecież nie mógł zostawić Tavi, gdy była pogrążona w takim smutku, nawet jeśli zasługiwała na ramiona kogoś lepszego niż on.

- Już dobrze - wymruczał, odsuwając na bok miękkie kosmyki jej włosów. Uniósł jej brodę, nakłaniając, żeby spojrzała na niego swoimi zaczerwionymi od płaczu oczyma. Boże, zapierała dech w piersi. Nawet wtedy, gdy jej twarz była zmieniona cierpieniem, pokryta smugami brudu i zaschniętą krwią, pochodzącą z bójki w klinice, a oczy mokre od łez i opuchnięte od płaczu. Chase patrzył na nią i zdał sobie sprawę, że nigdy nie słyszał jej śmiechu. Nigdy też nie miał okazji widzieć, jak się uśmiechała. Odkąd przebywała w jego towarzystwie, była przerażona, oburzona, udręczona i skołowana, albo zagubiona i samotna. A teraz, całkowicie załamana. Tak, była między nimi również namiętność, ale nawet to było surowe i krańcowo

gwałtowne. Gdy pozwolił sprawom między nimi zajść tak daleko, odebrał jej coś bardzo cennego. Seks i krew... jej pierwszy raz, najważniejszy i szczególny... a on był samolubnym łajdakiem, który łakomie cieszył się rozkoszą obu tych rzeczy.

Poczucie winy ścisnęło jego serce, kiedy tulił i kołysał Tavię w swoich ramionach, podczas gdy ona cicho wypłakiwała się w jego pierś.

- Nic w moim życiu nie było prawdziwe - powiedziała, jej głos był ochryply i rwał się od płaczu. - Myślałam, że zdołam sobie z tym poradzić, ale to tak boli. Każdy, kogo znałam, karmił mnie kłamstwami. Wykorzystywali mnie. Całe moje życie to jedna wielka zdrada.

Chase pieścił jej głowę i plecy, gładząc szorstką dłonią splątany jedwab jej włosów.  
- Dasz sobie radę - powiedział pocieszająco. - Jesteś bardzo silną kobietą, Taviu. Przejdziesz przez to, nie mam wątpliwości. A wśród Rasy żyją ludzie, którzy mogą ci pomóc.

Na pewno nie on. On potrafił tylko niszczyć wszystko, czego się dotknął. I chociaż cudownie było trzymać ją w ramionach, gdy płakała i czerpać dziwną pociechę z jej zaciśniętych wokół niego ramion, to żar głodu wciąż płonął tuż pod powierzchnią jego spokoju. Walczył, by to powstrzymać, przygasić blask swoich tęczy, gdy Tavia uniosła głowę, żeby spotkać jego spojrzenie.

- Chcesz poznać największą ironię losu? - wydała z siebie stłumione westchnienie.  
- Ja kochałam swoją... Sługusa, którego Dragos wyznaczył, by był moją rodziną. Kochałam ją, jakby była moją prawdziwą matką. Darzyłam miłością nawet doktora Lewisa. Byli dwojgiem ludzi, którym ufałam najbardziej na świecie, jedynymi, którzy naprawdę mnie znali. Myślałam, że mnie chronią, wspierają.

Kolejny szloch wyrwał się jej z gardła, surowy i bolesny. - Oni by mnie zabili, gdyby Dragos wydał im takie polecenie. Nie podejrzewałabym o to żadnego z nich.

Nigdy. To jest nawet bardziej bolesne, niż poznanie prawdy o sobie samej.

Widząc ją w takim bólu, Chase zapragnął kogoś zabić. Dwóch Sługusów, którzy ją zdradzili już gryzło piach, ale Dragos wciąż oczekiwał na swój brutalny koniec. A Chase bardziej niż ktokolwiek, pragnął mu go zapewnić... powinien być długi, powolny i krwawy, im brutalniejszy tym lepszy. Lecz kiedy wycierał opuszką palca plamkę sadzy z jej policzka, był bardzo delikatny. Starł jeszcze kilka ciemnych kropek i nie mógł się powstrzymać, by nie dotknąć wargami małej zmarszczki pośrodku czoła. Dymny cierpki smak eksplozji wniknął w jej skórę i włosy. Zasnęta krew Zabójcy Dragosa plamiła jej ubranie i twarz, znacząc ją ciemnymi, rdzawymi plamkami.

- Chodź - szepnął, wypuszczając ją z objęć i pomagając jej stanąć na nogi. Chwytał ją za rękę i poprowadził w ciepło przyległej łazienki. Para rozchodziła się ponad szczytem wysokich szklanych paneli kabiny prysznicowej. Srebrzysta mgła spowiła Tavię, gdy stanęła przed nim cicha, niestawiająca oporu, podczas gdy on ostrożnie zdejmował z niej poplamione ubranie. Dermaglify znaczyły cały jej tułów, od podstawy gardła, aż do śniadych koniuszków piersi i spływały niżej, wzdłuż gładkiej płaszczyzny brzucha i nagich ud. Migotały delikatnym rumieńcem koloru. Koloru, który ciemniał, gdy jego oczy wędrowały po niej w niezaprzeczanym podziwieniu.

Jej ręka drżała tylko odrobinę, kiedy uniosła ją i przyłożyła do jego szczęki. Oczy koloru świeżych liści pociemniały i ukryły się pod ciężkimi powiekami, gdy uniosła się na palcach i przycisnęła swoje rozchylone usta do jego warg.

Chase oddał jej pocałunek, przywołując każdy gram samokontroli, by uczynić go delikatnym, chociaż pożądanie błyskawicznie rozlało się po jego żyłach. Jeszcze więcej wysiłku kosztowało go to, żeby wsunąć pomiędzy nich swoje dłonie i odsunąć ją z dala od swojego tężejącego ciała. Ponieważ tu nie chodziło o jego własne

potrzeby. Przyszedł do niej powodowany jedynie troską; i jeśli miałby tu zostać, to tylko po to, by ofiarować jej pocieszenie i odrobinę komfortu, a nie żeby wziąć więcej tego, czego już posmakował. Przesunął drzwi do kabiny i skinął na nią, aby weszła do środka. Po chwili błyskawicznie pozbył się własnych ubrań, wszedł za nią pod gorący tusz, po czym przykładając dłoń do szklanego panelu, zasunął go za sobą. Mył jej włosy i ciało z czułą, nieśpieszną troską. Niedługo potem krew i popiół z wypełnionych terrorem godzin, jakie przeżyła tej nocy, spłynęły wraz z wodą, pozostawiając dla jego oczu tylko czyste piękno Tavi. Jej glify zapłonęły kolorami ciemnego indygo, czerwonego wina i złota. Były delikatniejsze niż te, które kłębiły się na nagiej skórze Chase'a. Jego usta wypełniały w pełni wysunięte kły i pragnienie, które sprawiło, że gardło zmieniło mu się w wysuszoną pustynię. Mocno zacisnął szczęki, żeby nie okazać, jak bardzo jej pragnie. Nie, żeby mogła przeoczyć grubego wzwód. Bolesnie oczywisty dowód jego pożądania wypełniał niewielki, dzielący ich dystans, stając się coraz twardszy za każdym razem, gdy otarła się o niego wilgotna, satynowa skóra Tavi. Delikatnie opierała dłoń na jego klatce piersiowej. Wyczuwał szybkie uderzenia tętna w koniuszkach jej palców. Słyszał je również we własnych uszach, stłumione dudnienie wybijające się ponad cichy, syczący dźwięk prysznicza.

Ona również go pragnęła.

Pomimo bólu, który prawie ją pokonał, pożądanie rozpało złociste iskry w cudownych zielonych oczach. Jej źrenice zwęziły się, intensyfikując płomienny żar tęczówek. Dłonią pokonała śliski szlak w dół jego torsu, nad wieloma zaleczonymi zadrapaniami i ranami, które ledwie zarejestrował, będąc pod wrażeniem ciepłego dotyku jej ręki. Ale ona je zauważyła. Zobaczył grymas na jej twarzy, gdy odnalazła najgorszą z nich, usłyszał miękkie westchnienie, kiedy studiowała najnowszą ranę... tuż pod łopatką Chase'a, którą zadał mu nóż Zabójcy.

- Czy to boli? - jej głos miał lekko ochryple, aksamitne brzmienie. Gdy mówiła, w

jej ustach połyskiwały perłowe czubki kłów.

Chase tylko potrząsnął głową, niezdolny do wydobywania z siebie głosu, kiedy swoją drobną dłonią kontynuowała eksplorację jego ciała. Nie wiedział, czy powinien chcieć, żeby przestała, czy też modlić się, by robiła to dalej. Jego penis odpowiedział za niego, pulsując w niecierpliwym oczekiwaniu, gdy jej palce zsunęły się niżej, w kierunku jego pachwiny.

Jej imię zabrzmiało w jego ustach jak przekleństwo, wydobywając się spomiędzy zaciśniętych zębów i kłów, kiedy tropem swoich palców podążała w dół jego członka i pogłaskała całą jego długość. Jego ciało wyprężyło się pod gorącym natryskiem, a krew popłynęła przez żyły jak roztopiona lawa. Spojrzał na jej miękką, jasną dłoń lekko muskającą jego napięte do ostateczności ciało, dręczącą go tą drażniącą pieśczęcią. Umierał z pragnienia, by chwyciła go mocniej. Wiedząc, że powinien powstrzymać ją zanim sprawy zajdą za daleko, pozwolił, żeby to znowu się działo. Gdyby miał choć mizerny skrawek honoru, właśnie tak by zrobił.

Miał sto powodów, aby po prostu obrócić się na pięcie i odejść tak, jak miał zamiar zrobić to na samym początku. Ponad sto powodów, dla których kobieta tak rzadka, wyjątkowa, cudowna i piękna jak Tavia, zasługiwała na lepszego mężczyznę... cholera jakikolwiek mężczyzna byłby lepszy... niż on. Zasługiwała na kogoś dobrego i prawego, kogoś godnego, by wprowadzić ją w życie, które na nią czekało, jako jedną z Rasy.

Ale Boże dopomóż, gdy teraz na nią patrzył, kiedy jej dotyk rozpalał w nim żar sięgający aż do szpiku kości, Chase poczuł nagły przypływ zaborczości, tak wszechogarniający i potężny, że zadrzał.

Nie chciał łaknąć jej tak bardzo. Nie przy jego innych, potwornych uzależnieniach. Krew i przemoc niemal go zniszczyły.

Patrząc teraz na Tavię, nagą i ociekającą wodą spod prysznic, tak śliczną w swojej przemianie z pięknej kobiety w cudowną samicę Rasy, Chase prawie nie mógł sobie wyobrazić, że istnieje coś bardziej pochłaniającego niż to, co czuł, będąc blisko niej. Ale nawet rozpalony żądzą, dotknął jej z najwyższą czułością. Jednym płynnym ruchem wsunął dłoń pod mokrą kurtynę włosów, nakrył dłonią jej kark i łagodnie przyciągnął do siebie. Obdarzył ją delikatnym, przelotnym pocałunkiem, to było zaledwie muśnięcie wargami jej ust.

- Sposób, w jaki połączyliśmy się wcześniej... - warknął i wyrzucił z siebie soczyste przekleństwo. - To był twój pierwszy raz. Zasługiwałaś na coś lepszego. Nie miałem żadnego prawa...

Uciszyła go z kolejnym pocałunkiem, bardziej namiętym niż ten, którym ją obdarzył. Gdy podniosła głowę, żeby na niego spojrzeć, w jej płomiennych oczach nie było żadnego żalu. Jedynie pożądanie. Jawne, uczciwe i pozbawione wstydu.

- Dałeś mi dokładnie to, czego potrzebowałam.

- Naprawdę? - Dotknął jej twarzy i włosów, dziwiąc się, jak mogła wyglądać na tak cholernie pewną siebie, a zarazem tak rozbijająco niewinnie. - Więc, co teraz?

W tej chwili jej oczy zapłonęły nawet jaśniej niż przedtem. Zza rozchylonych warg ukazały się kły, teraz dłuższe i ostrzejsze. Porażająco białe. Sprawiały, że zdziczały wampir w jego wnętrzu prawie przegryzł słabe pęta.

Przysunęła się bliżej, ciepło jej ciała parzyło jego skórę jak żywy płomień. Dłonią sięgnęła pomiędzy ich ciała i miękkie palce podążyły tropem tego płomienia wzdłuż brzucha, po czym sięgnęły w dół ku jego pobudzeniu. Patrząc mu głęboko w oczy, zawinęła swoją dłoń wokół jego członka i pogłaskała go od podstawy, aż do czubka, a potem jeszcze raz.



Chase nie mógł powstrzymać pomruku aprobaty, który wyrwał się mu z gardła. Zakręcił wodę i otworzył drzwi prysznicowe. Po czym zagarnął Tavię w ramiona i kilkoma długimi krokami zaniósł ją do sypialni.

## ROZDZIAŁ 24



Pomimo, że jego ciało pulsowało oczywistą potrzebą, położył ją na łóżku, jakby była ze szkła. Jego odmienione oczy emitowały blask, ogrzewający jej skórę, kiedy pozwolił swojemu spojrzeniu wędrować po jej twarzy. Gdy przemówił, jego głos niewiele różnił się od warknięcia.

- Tym razem zrobimy to powoli. - Nieśpiesznie wspiął się na materac i skradając się, przykucnął nad nią na czworakach, jak wielki, drapieżny kot. - Tym razem chcę ci dać wszystko, czego mogłabyś zapragnąć... ale nie wcześniej niż zaczniesz o to błagać, krzycząc.

O Boże. Samo oczekiwanie na to, co mógł mieć na myśli, niemal wystarczyło, by się zatraciła. Leżała na plecach i pozwalała mu się dotykać. Koniuszki jego palców ześliznęły się z jej czoła na policzek i brodę, do wrażliwego wgłębienia przy podstawie gardła, gdzie trzepotało tętno. Spędził dłuższą chwilę na delektowaniu się jej ciałem, śledzeniu płonących rysunków, eleganckich łuków i zawitych spirali koloru, płonących na jej skórze.

- Przepiękne - wymruczał chrapliwie. - Jak mogłaś przypuszczać, że możesz nie być czystą doskonałością? Mógłbym zamordować Dragosa, już tylko z tego powodu.

W jego głosie usłyszała powściąganą furię, wyczuwała ją wszystkimi zmysłami i w gwałtownym uderzeniu tętna, którego werbel wypełniał jej uszy. Ale jego dotyk był

delikatny, niemal nabożny. Tak bardzo ostrożny. Pierwsze muśnięcie jego warg na jej ustach było ciepłe i łagodne, leniwa pieścizota, która wyssała cały oddech z jej płuc. Jego język wśliznął się do środka, przesuwając się między jej zębami zanim zawadził o ostre czubki kłów. Wierny swojemu słowu, całował powoli, nie cofając ust, dopóki zupełnie się nie roztopiła, skąpiana w rozkoszy płynącej z połączenia ich warg.

- Smakujesz jak niebo - powiedział w jej rozchylone usta, przeciągając samogłoski.  
- Tak czysto, jasno i promiennie. Boże, co ty ze mną robisz?

Nie była w stanie odpowiedzieć, mogła tylko zaciskać w dłoniach pikowaną narzutę łóżka, podczas gdy jego pocałunki powędrowały niżej. Poczula na piersiach wilgotne, gorące wargi i język, zębami i kłami drasnął jej napięte sutki, gdy tak przesuwał się po jej ciele w swojej nieznośnie rozkosznej wędrówce.

Wycalował ścieżkę przez brzuch i pobawił się chwilę z wgłębieniem pępka, a następnie jego usta podryfowały ponad łukiem jej biodra i w dół ku delikatnemu ciału wnętrza ud. Jęknęła, gdy ciepły oddech owiał jej nadwrażliwą skórę. Sapnęła, kiedy sprytny język odnalazł wypełnioną wilgocią szczelinę. Zadrżała i bezwiednie krzyknęła, gdy zaczął mocno ssać ściśnięty pączek jej kobiecości, całując ją tam z taką samą powolną, zmysłową uwagą, jakiej nie szczędził jej ustom.

- Jak dobrze. - szepnęła, a jej ostre, chłodne kły, wysunęły się na całą swoją długość i wypełniły usta.

Pod wpływem tego pocałunku Tavia wygięła się w łuk, jej biodra poruszały się, jakby kierowane własną wolą, każdy centymetr jej ciała był napięty i wypełniony żarem. I to on to sprawił. Niezdolna walczyć z rozkoszą, którą w niej podsycił, mogła tylko pozwolić się prowadzić, gdy wiódł ją ku urwistemu szczytowi ekstazy, po czym osunęła się poza krawędź. Orgazm wybuchł w jej wnętrzu, posyłając swój blask ku kończynom, jak ciepły, roziskrzony w słońcu deszcz. Pozwoliła porwać się

temu uczuciu, zostawiając za sobą całą krzywdę i brzydotę minionych dwudziestu czterech godzin, podczas gdy usta Chase'a kontynuowały błogi atak na jej zmysły. Ciągłe jeszcze dyszała, ciało wciąż było rozgrzane rozkoszą, gdy wspiał się na nią z głodnymi oczami. Wargi błyszczały mu od jej soków, słodkie smakiem jej orgazmu, kiedy wpił się w jej usta głębokim, roztopiającym kości pocałunkiem. Ich kły zderzyły się i zaczepiły, ocieranie się o siebie ich ostrzy okazało się nadspodziewanie zmysłowym uczuciem.

Ciało Tavi roztopiało się, pragnęła go nawet bardziej niż wcześniej, chociaż wciąż jeszcze tliło się w niej wibrujące ciepło spełnienia. Podczas niekończącego się pocałunku wpijała paznokcie w jego ramiona i plecy, czując że nadciąga kolejny orgazm. Głęboka tęsknota obudziła w niej zwierzę. Nagryzła jego dolną wargę, prawie do krwi. Ledwie zdołała rozpoznać własny głos, wydobywający się z jej wysuszonego na popiół gardła.

- Pragnę cię w sobie.

Pomruk, który wydał w odpowiedzi, rezonował w jej kościach.

- Cierpliwości - wychrypiał, jego płonące oczy zalśniły złośliwym rozbawieniem.

- Jeszcze nie pokazałem ci wszystkich sposobów, które potrafią sprawić, że dojdiesz. Pochłonął jej wargi w kolejnym, długim pocałunku. Tym razem jego język sięgał głęboko, wypełniając jej usta, podczas gdy jego dłoń powędrowała w dół pomiędzy nich, po czym wsunął palce w jej ciasną pochwę. Eksplorował ją w rytmie pocałunku, wpychając je głęboko w jej wnętrze, podczas gdy jego gorące usta plądrowały ją z góry.

Jej ciało zacisnęło się wokół niego, próbując zatrzymać go w środku, mimo iż ruchy jego palców sprawiały, że popiskiwała z rozkoszy.

- Jesteś taka wilgotna - wymruczał z żarem. - Jedwabista. Taka ciasna i gorąca. To, jak zaciskasz się wokół moich palców sprawia, że jestem bliski spełnienia.

Poruszył biodrami ocierając się o jej udo, gruby grzbiet jego wzvodu był twardy jak stal, ale gładki niczym aksamit. Pragnęła poczuć, jak ją wypełnia. Pragnienie go sprawiło, że cała jej kobiecość krzyczała z dojmującego głodu. Wydała z siebie nieartykuowany protest, gdy cofnął nieco rękę, ale wtedy zręcznym naciskiem opuszka palca odnalazł łechtaczkę i jej krzyk został zdławiony przez gwałtowny wdech, wywołany przesywającym ją, gwałtownym dreszczem rozkoszy.

Głaskał i pocierał mały, wrażliwy mały węzełek, wirując nad nim kciukiem, podczas gdy palce znowu znalazły drogę do jej wnętrza. Kolejny orgazm nie kazał na siebie czekać, skurcz za skurczem, zaciskał jej pochwę w drobnych falach. Wyrzuciła z siebie ochryply okrzyk spełnienia, który próbowała stłumić, przyciskając twarz do masywnej kolumny jego szyi.

Z dziko brzmiącym warknięciem, obniżył biodra i wsunął swój gruby członek pomiędzy pokryte wilgocią uda. Nie rozsuwając jej nóg, zaczął powolne łączenie ich ciał, jego penis umościł się w jej szparce. Uniósł się nad nią, podpierając się na łokciach, po czym znowu opadł w dół, drażniąc ją na nowo, wilgotną obietnicą pełnej penetracji. Była tak pobudzona, że wystarczyło kilka dręczących pociągnięć i znowu została wyrzucona z impetem w kolejne wstrząsające spełnienie.

- Chryste, jesteś taka piękna w tym momencie, Taviu.

Obserwował, jak dochodziła. Gorącym, zachwyconym wzrokiem, bursztynowa poświata jego oczu kąpała jej twarz i skórę w cudownym blasku. Jego własne pożądanie lśniło w ciemnych odcieniach pięknego wzoru dermaglifów, kłębiącej się burzy kolorów, które malowały silne ramiona i tułów intensywnym burgundem, złotem i indygo. Drżał, gdy wykonywał kolejne powolne pchnięcie, w którym

dotknął główką penisa wejścia do jej pochwy. - Och, cholera... już dłużej nie wytrzymam. Muszę być w tobie. - Pchnął do środka z cichym pomrukiem, zanurzając się aż po rękojeść. Kołysał się na niej z dzikim grymasem na twarzy, biorąc ją ostro i gwałtownie.

Nie mogła powstrzymać fal narastającej rozkoszy, które spływały po niej za każdym głębokim pchnięciem jego ciała. Tak samo, jak nie była w stanie powstrzymać pierwotnego pragnienia, by unieść się i wgryźć w jego masywne ramię. W chwili, gdy przebiła kłami jego skórę, wstrząsnął nią kolejny orgazm.

Burknął przez zęby. Jego szalone tempo stało się jeszcze bardziej zacięte, dziksze za każdym pchnięciem. Mogła poczuć, jak walczył z własną naturą. Czula wygłodniałe pragnienie, które w nim mieszkało i ból spowodowany świadomym odmawianiem sobie zaspokojenia. Cierpiał z tego powodu, brutalne, rozdzierające duszę katusze.

W twardym, ciężkim rytmie jego tętna, wyczuwała pierwotne pragnienie, które zmuszało go, żeby ugryźć ją w tym momencie... pić z niej i oznaczyć jako swoją.

Ale tego nie zrobił.

Odwrócił głowę, rycząc z mieszaniny ulgi i gniewu, kiedy po raz ostatni zanurzył się w niej głęboko i wreszcie doznał spełnienia. Rozlał w niej swój żar, jego ogromne ciało drżało, lśniące od świeżego potu. Tavia głaskała jego napięte plecy i obserwowała wyraz twarzy, próbując zrozumieć, co w nim było takiego, że w jednej chwili wyglądał na tak otwartego i godnego zaufania, a w następnej zamykał się w sobie. Tak udręczony i wyobcowany. Tak mroczny i samotny.

Poczuła się jakaś smutna i zaniepokojona z jego powodu. Naprawdę śmieszne. Jakby wyglądał na takiego, co potrzebuje jej współczucia albo niepokoju. Ale to nie

powstrzymało jej od chęci, żeby go zrozumieć, chociaż odrobinę. Bo choć wszystko w jej życiu straciło sens, to bycie ze Sterlingiem dawało jakąś nadzieję. To nie był tylko seks, chociaż był niewiarygodny. Chodziło o fakt, że był pierwszą osobą, która była wobec niej absolutnie szczerą, nawet gdy nie była gotowa, by słuchać prawdy. Na dobre, czy na złe, był jej jedyną bezpieczną przystanią w świecie, który tak szybko zmienił kurs, zostawiając za sobą wszystko, co знаła. To, co powiedziała mu wcześniej tej nocy w klinice było prawdą: był jedynym przyjacielem, jakiego teraz miała. I przeszkadzała jej świadomość, że on samotnie znosił jakiegokolwiek cierpienie.

Kochali się jeszcze raz, powoli rozkoszując się swoimi ciałami. Wydawało się, jakby na tym miłym zajęciu minęły im całe godziny. Potem długo leżeli, ciało Chase'a służyło jej za materac, ich nogi były wciąż rozkosznie splątane i Tavia odważyła się zadać pytanie, które rozbrzmiewało echem w jej umyśle za każdym głuchym odgłosem uderzenia jego serca. - Dlaczego nie pozwalasz sobie wziąć krwi?

W odpowiedzi ogarnęło go niewygodne napięcie, wyraźnie dostrzegalne w przyspieszeniu tętna i nieznacznego usztywnienia się spoczywającego pod nią ciała. - I nie chodzi o to, że nie chciałeś jej wziąć ode mnie - powiedziała. - Nie pozwalasz sobie pożywić się z nikogo. Od jak dawna?

Wzruszył ramionami. - Przypuszczam, że jakieś kilka dni - po sposobie w jaki brzmiał jego głos, tak chrapliwy i surowy, można by sądzić, że głodził się od roku.

- Jak długo możesz się bez niej obywać?

- Normalnie przedstawiciele mojego pokolenia karmią się raz w tygodniu. Czasami rzadziej.

- Ale dla ciebie to nie jest normalne, nieprawdaż?

- Właściwie to nie musiała o to pytać; jego tętno wciąż uderzało głuchym rytmem, z bólu, który czuła jakby rozlewał się w jej żyłach. - Jestem w stanie wyczuwać twój głód, Chase. Nie wiem dlaczego, ale czuję go wewnątrz siebie, jakby był moim własnym.

Odtoczył się od niej i zaklął gniewnie pod nosem. - To jest więź - wyraz jego twarzy był poważny, a usta zaciśnięte w wąską linię. Przeczesał włosy palcami i znowu przeklął, tym razem bardziej dosadnie. - Piłaś moją krew, Taviu. To związało cię ze mną. Gdybyś była zwykłym człowiekiem, to nie miałoby znaczenia. Ale nie jesteś. Nie jesteś również tylko Rasą. Twoja część należąca do Dawczyni Życia związała się ze mną przez moją krew, która teraz żyje w tobie.

Zadziwiona, potarła dłonią mostek, gdzie płonął teraz tępy ból jego głodu zaprawiony gorzkim i cierpkim smakiem żalu.

Kiwnął głową w ponurym potwierdzeniu. - Taka jest prawda. Jeśli poczuje coś dość mocno, czy to będzie ból, przyjemność albo żal lub radość, to ty również to poczujesz. Więź krwi przyciągnie cię do mnie. Poczujesz to, jak echo w swoich żyłach.

Przytrzymała jego udręczone swoje spojrzenie. - Jak długo to będzie trwało?

- Dopóty jedno z nas nie umrze.

Tavia przełknęła ślinę, jej oczy rozszerzyły się, kiedy próbowała uzmysłwić sobie, co to może dla niej oznaczać, tak zawsze już czuć jego obecność, jakby był częścią jej własnej istoty. Mroczny puls jego emocji był potężną siłą, intensywną, ale nie do końca przyjemną.

Obserwując jej reakcję, Chase cicho zadrwił. - Powinienem był się upewnić, że

rozumiesz, co robisz... i ile będzie cię to kosztować... zanim pozwoliłem ci się ugryźć.

- Nie sędzę, żebyś był w stanie mnie powstrzymać - powiedziała, przypominając sobie aż nazbyt jaskrawo, jak wygłodniała była tamtego dnia po porwaniu. W chwili, gdy spadła jej gorączka, a leki doktora Lewisa przestały działać i mieszkająca w niej brutalna istota po raz pierwszy wyrwała się na wolność. - Nigdy wcześniej nie czułam takiego głodu. To mną zawładnęło. Jeśli myślisz, że cię obwiniam...

- Powinnaś - wychrypiał gniewnie. - Moim obowiązkiem było kontrolowanie sytuacji. Istniało nieskończenie wiele sposobów, jakich mogłem użyć, by cię powstrzymać, zanim do tego doszło. Bez względu na to, jak wspaniale było poczuć, jak zatapiasz swoje cudowne kły w moim gardle.

Jego gorące spojrzenie paliło ją żywym ogniem. Uderzyła w nią błyskawica pożądania... jego albo jej, w tej chwili nie była pewna nawet tego.

Sięgnął ku niej, ujmując dłonią za brodę, kciukiem z czułością pogładził jej wargi. - Tak cholernie dobrze było cię czuć. Jesteś najśłodsza istota, jaką kiedykolwiek widziałem.

- Ale żałujesz tego, co się stało.

Przytaknął skinieniem głowy - Gdybym mógł, cofnąłbym to wszystko w jednej chwili. Więzy krwi jest święta. To jest nierozzerwalne i powinno być dzielone z kimś, kogo kochasz, Taviu. Z twoim partnerem.

A on oczywiście, nie zgłaszał się na ochotnika do tej roli. To bolesne ściśnięcie serca, które poczuła w odpowiedzi powinno być ulgą. Sposób, w jaki pogmatwało się teraz jej życie, sprawiał, że angażowanie się w związek z psychotycznym, głodnym



krwi wampirem było ostatnią rzeczą, na którą powinna mieć ochotę. Tyle, że już wpadła w to po uszy. Czy którykolwiek z nich wybrało to czy nie, byli teraz bardzo zaangażowani. Zwłaszcza, jeżeli miała być połączona z nim przez jakiś rodzaj paranormalnej więzi, której nie można było rozerwać. Jednostronnej więzi, uświadomiła sobie, oglądając grę wyrzutów sumienia na jego surowej, przystojnej twarzy.

- Chase, czy ty byłeś już kiedyś z kimś związany?

- Nie.

- Ale chciałeś być. - powiedziała łagodnie. - Ta kobieta na zdjęciu, które znalazłam w twoim starym domu...

- Elise? - wyrzucił z siebie przekleństwo i potrząsnął głową.

Tavia wróciła myślą do momentu, gdy powiedział jej, że tamta kobieta była partnerką jego zmarłego brata. Wystarczyło, że o niej wspomniała, a Chase natychmiast nastroszył kolce, więc mogła przypuszczać, iż coś do niej czuł.

- Powiedziałeś, że nie byłeś w niej zakochany, ale to chyba nie do końca prawda, mam rację?

Westchnął głęboko i w cichym zamyśleniu oparł się o rzeźbione drewno wezłowania. Czekala, by poczuć, jak Chase wzmacnia swoją emocjonalną blokadę. Niewiele o nim wiedziała, ale mogła sobie wyobrazić, iż swoim wścibstwem zyska tylko tyle, że on zatrzaśnie jej drzwi przed nosem, z wielkim hukiem. Zakasłała i zaczęła podnosić się z łóżka, nagle pragnąc mieć wokół siebie trochę więcej przestrzeni.

- W porządku, zapomnij o co cię pytałam. Nie musisz mi odpowiadać...

- Pragnąłem jej - wyrzucił z siebie. Te słowa były szorstkie, pełne samooskarżenia.

- Ona należała do Quentina, zawsze była tylko jego... ale jakaś częśćka mnie mimo to jej pożądała.

Tavia usiadła przy nim, obracając ku niemu swoją twarz. - Próbowalesz ją uwodzić?

- W moich myślach, wiele razy. To było wystarczająco złe - niepewnie potrząsnął głową. - Elise była jedynie częścią mojego problemu, ale musiało upłynąć trochę czasu, żebym zdołał sobie to uświadomić. Pragnąłem wszystkiego, co posiadał mój brat. Chciałem być taki jak on, być wszystkim, czym on był. Wszystkich rzeczy, które tak dobrze do niego pasowały. Rzeczy, które jemu przychodziły bez wysiłku, a dla mnie zawsze były poza zasięgiem. Próbowalem być mężczyzną, takim jak on, nawet wtedy, gdy zdałem sobie sprawę, że tylko udaję, że nigdy nawet nie zbliżę się do takiego ideału.

Na jego twarzy malowała się taka udręka, że aż poczuła ucisk w swojej piersi. Oczy wypełniało mu bolesne poczucie wstydu, winy, oraz skrywane emocje. Ledwie mogła zgłębić ogrom pogardy, jaką do siebie czuł. *Dobry Jezu*, od jak dawna żył z taką intensywną nienawiścią do samego siebie?

- Czy twój brat wiedział, co czuleś?

- Nie, mój Boże, nie, nawet nie podejrzewał - zacisnął wargi i spuścił wzrok.

- Przecież, obydwaj nosiliśmy nazwisko Chase. Quentowi nawet przez głowę nie przeszłaby taka myśl, że mógłbym mu zazdrościć. Zostaliśmy wychowani, by być moralnie nieskazitelni, ni mniej ni więcej, jak tylko doskonali pod każdym względem. Nasz czcigodny ojciec (*nasikałabym psychopacie na nagrobek, ale niestety obrzędy pogrzebowe wampirów ich nie przewidują ;)*) nigdy nie

zaakceptowałby niczego gorszego - jego głos nabrał ostrego, cierpkiego tonu.

- Istniały pewne oczekiwania, jakie wiązały się z przyjściem na ten świat jako jeden z synów Augusta Chase'a. Quent nie miał żadnego problemu z dopasowaniem się do rygorystycznych standardów naszego ojca. (*taaa, albo lepiej udawał*).

- A ty? - łagodnie zapytała Tavia.

Jego usta skrzywiły się sardonicznie. - Na pierwszym miejscu w każdej dziedzinie. Wpływowy, szanowany. Dobrze ustawiony na szczeblach kariery i pośród równych mi statusem. Miałem przed sobą drogę usłaną złotem, po której mogłem iść tak daleko, jak sięgał mój wzrok.

- Nie wątpię - odpowiedziała. Ale nie o to cię pytałam. Miałam na myśli...

- Mojego ojca - dokończył za nią, bez żadnej zmiany tonu. - Problem z posiadaniem starszego brata, takiego jak Quentin jest taki, że ma on skłonności do rzucenia bardzo długiego cienia. Tak łatwo zostać przezeń pochłoniętym i przez to stać się niewidocznym - wzruszył ramionami. - Przestałem próbować rywalizować z moim bratem, gdy byłem jeszcze chłopcem, a on już od dekady pracował w Agencji, dopisując swoje zasługi do wielowiekowej spuścizny Chase'ów.

- Więc, co było potem?

- Wiele lat zachowywania pozorów - mruknął nonszalancko. - Dekady postępowania zgodnie z każdą zasadą, robiąc cokolwiek ode mnie oczekiwano i jeszcze trochę. Bezsensowny czas zbierania nagród i wyrazów najwyższego uznania Agencji i podziwu od ludzi, którzy uważali się za moich przyjaciół tylko pod warunkiem, że to służyło ich interesom, albo zachciankom.

- Ale nie od twojego ojca... teraz Tavia wszystko zrozumiała.

- On już miał syna, którego pragnął. Byłem... zbędny - gwałtownie wypuścił powietrze i potrząsnął głową. - Pamiętasz, mówiłaś mi, jak pusta i samotna poczułaś się, gdy zdałaś sobie sprawę, że twoja przeszłość została zbudowana na kłamstwach i nikt, kogo kiedykolwiek znałaś tak naprawdę nie troszczył się o ciebie.

Gdy skinęła głową, poszedł dalej. - Czasami możesz się tak czuć, nawet otoczona przez rodzinę.

Otworzyła dłoń, która spoczywała po jego stronie, sięgnęła ku jego ręce i splotła z nim palce. Przez jakiś czas milczał, wpatrując się w ich połączone ręce. Gdy przemówił, w jego głębokim głosie pojawiła się jakaś dziwna bezbronność. Jakby pozwalał jej zerknąć do wnętrza jednej z ciemnych komnat swojego serca. Mimo, iż była taka pewna, że wyglądał na takiego, który ich nie posiadał. - Mój brat zginął sześć lat temu. Został zabity, pełniąc służbę dla Agencji, przez Szkarłatnego, którego złapali w celu rehabilitacji.

- Szkarłatnego?- potrząsnęła głową, zdezorientowana.

- Jeśli członek Rasy pozwoli, żeby zawładnął nim jego głód, nie trzeba długo czekać na pełne uzależnienie. Nazywa się to Nałogiem Krwi i kiedy wpadniesz w jego szpony, to nie ma już odwrotu. Zmieniasz się w Szkarłatnego... popadając w najgorszy rodzaj obłądu. Łakniesz, polujesz i zabijasz. Siejesz śmierć i zniszczenie, dopóki ktoś się nie zlituje i cię nie sprzątnie, albo robiąc światu przysługę sam nie wyjdiesz na słońce, które spali cię na popiół.

Nie miała pewności, co w jej uszach zabrzmiało bardziej okrutnie: sama choroba, czy ponura ostateczność metody jej leczenia. - Ale Agencja posiada chyba jakieś metody ich rehabilitacji?

Pozbawiony radości, zdławiony chichot nie dał jej wielkiej nadziei. - Przez długi czas Agencja Nadzoru prowadziła taką działalność w przekonaniu, że to da jakieś

pozytywne rezultaty. Oczywiście, Agencja ma wiele takich placówek dla chorych członków Rasy, zarówno w Europie, jak i w Stanach Zjednoczonych. Wielu tak zwanych budowniczych mitów pochodzących z górnych warstw Agencji próbowałoby cię przekonać, że ten system przynosi jakieś sukcesy.

- Ale ty tak nie myślisz?

- Nie żebym kiedykolwiek słyszał, albo widział, że to odniosło jakieś pozytywny rezultat. Jeśli pytasz mnie o zdanie, to te jednostki są niczym więcej jak zamrożoną kolonią szarańczy, która tylko czeka na szansę, by się wyroić i pożreć wszystko na swojej drodze.

Tavia zadrżała przerażona obrazem, jaki jej odmalował. - Czy nic nie jest w stanie powstrzymać Szkarłatnego?

- Tylko kula, albo tytanowe ostrze. Ten metal działa jak trucizna w zetknięciu z chorym systemem krwionośnym wampira uzależnionego od krwi. Z braku tych dwóch rzeczy, kąpiel słoneczna również załatwi sprawę.

Przyglądała mu się, widząc wyraz cierpienia wypisany w napiętych liniach jego twarzy. - To musiało być dla ciebie okropne, utrata brata przez jednego z takich potworów.

- Taaa. To prawda. - ponuro pokiwał głową z zamyślonym wyrazem twarzy. W tym momencie sprawiał wrażenie, jakby był myślami tysiące mil stąd. Powrót do rzeczywistości zabrał mu dłuższą chwilę. - Ledwie pamiętam noce i dni, które nastąpiły po tamtym wydarzeniu. Tak bardzo przepelniały mnie żal i wściekłość... były wszystkim, co czułem jeszcze długi czas potem.

Kiedy to mówił jego oczy wypełniały mroczne cienie i Tavia wyczuła, że

zatrzymuje coś dla siebie, tajemnicę, którą nie był gotowy się z nią podzielić. Być może nie wyjawia jej nigdy i nikomu. Było jasne, iż występki, których się wtedy dopuścił wciąż go prześladowają, pomimo jego zapewnień, że zostawił swoją przeszłość za sobą.

- To było nie do pomyślenia, że Quent mógł odejść tak nagle. Elise, oczywiście była całkowicie zdruzgotana. Tak samo jak ich syn, Camden. Chłopiec był jeszcze prawie nastolatkiem. Miał już prywatny plan na swoje życie, specjalnie zaaranżowane nocne zajęcia na Harvardzie, to samo, jak wcześniej ja i Quentin, a przed nami również nasz ojciec. Cam był taki podekscytowany. Cały świat stał przed nim otworem.

Zdjęcie Chase'a, Elise i uśmiechającego się chłopca, stanęło jej przed oczami w najdrobniejszych szczegółach. Nawet bez swojego genetycznego daru fotograficznej pamięci, Tavia przypominałaby sobie głodny wyraz oczu Chase'a na tej nieupozowanej fotce. - Co dalej działo się z Elise i jej synem po śmierci twojego brata?

Twarz Chase'a znowu stała się chmurna, a cienie ponownie wypełniły oczy.

- Przez jakiś czas byli pod moją opieką. Mój ojciec został zabity podczas patrolu, jeszcze przed śmiercią Quenta, co sprawiło, że stałem się przywódcą Mrocznej Przystani, należącej do mojej rodziny. Elise i Cam wprowadzili się do rezydencji na Back Bay zaraz po zakończeniu uroczystości pogrzebowych Quenta. Szczerze mówiąc, myślałem, że mogę po prostu wejść i rozpocząć życie od miejsca, w którym opuścił je Quent. Myślałem, że może w końcu zdołam dowiedzieć się, jak to było być nim... tak po prostu, chociaż raz. Ale nawet po tym jak odszedł, wciąż czułem chłód jego cienia.

- A co z Elise? - zapytała Tavia, pragnąc wyrzucić z siebie nękające ją ukłucie

strachu, ponieważ spodziewała się usłyszeć, że on wciąż może czuć do tej kobiety coś więcej, niż tylko rodzinne więzy. - Czym było dla ciebie to, że nagle miałeś ją pod swoim dachem i opieką?

- To przypominało życie z dwoma duchami... mojego brata i jej. Po śmierci męża zupełnie wycofała się z życia. Nie istniał dla niej nikt oprócz Camdena.

Wydał z siebie głębokie westchnienie, podszyte ciężkimi wyrzutami sumienia.  
- Żadne z nas nie mogło przewidzieć, że niedługo również i on będzie martwy, zamieni się w Szkarłatnego i zostanie zastrzelony na jej oczach, jak wściekły pies.

Tavia przycisnęła dłoń do ust. Mogła poczuć, jak żal rozdzierał mu serce, zmieniając je w krwawiącą ranę. - Mój Boże, Chase. To straszne.

- Taaa - powiedział, kiwając głową w ponurym potwierdzeniu. Jego milczenie przedłużało się, zimne i ciężkie. - Ona nigdy mi nie wybaczyła, że pociągnąłem za spust.

Tavia nie mogła się opanować... gapiła się na niego, oniemiała i zszokowana jego spowiedzią. Ale zanim zdołała zapytać, co mogło go skłonić do zrobienia takiej strasznej rzeczy, z parteru dobiegło brzmienie stłumionych głosów.

Męskie głosy, niskie i dudniące wypełniły hol rezydencji. Była tam również jakaś kobieta. Tavia słyszała, jak Mathias Rowan witał się z nimi wszystkimi jak ze starymi znajomymi. - Co się dzieje? Kto jest na dole?

Siedzący obok niej, na łóżku Chase, stał się sztywny i spięty. - Zakon przyjechał.

TLUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 25



CHASE BEZSZELESTNIE ZAMKNAŁ za sobą drzwi sypialni Tavi. Ubrał się błyskawicznie, zaraz po tym, jak usłyszał dobiegające z dołu głosy wojowników, uspokajając Tavię, że nie ma żadnych powodów do obaw i powinna poczekać na górze, dopóki on, lub Rowan po nią nie przyjdzie.

Ku jego zdumieniu, nie próbowała z nim dyskutować. Bez wątpienia miała dość zajętej głowy, po tym, jak wylał na nią wszystkie wspomnienia o swojej niechlubnej przeszłości. Lub, co najmniej ich większą część. Nie posunął się do tego, by ujawnić to, co budziło w nim największy wstyd. Gdyby mógł coś na to poradzić, nigdy nie dowiedziałyby się prawdy o tym, jak wątpliwy był jego honor. Nie, żeby dziś wieczorem pozwolił, by poczucie honoru stanęło mu na drodze do jej uwiedzenia, pomimo wcześniejszych szlachetnych intencji. Wiedział też doskonale dokąd zazwyczaj prowadziły jego dobre chęci, ale opieranie się pokusie, by kochać się z Tavią było czymś zbliżonym do piekła.

Na samą myśl o niej przyśpieszało mu tętno, a to że wciąż czuł jej zapach na swojej skórze i smak na języku wcale nie pomagało w odzyskaniu równowagi. Ciągle jeszcze żył wspomnieniem tego, jak zaciskało się wokół niego jej gorące wnętrze. Jego fiut odpowiedział entuzjastycznym dreszczem, gotowy na powtórkę.

*Niech to szlag. Może to naprawdę było piekło.*

Chase wyszarpnął swoją ciemną koszulę, by zakryć wybrzuszenie nabrzmiewające w czarnych dżinsach i ruszył naprzeciw swoim dawnym towarzyszom broni.

Na dole, w holu Mrocznej Przystani grzmiał głos Tegana, zabarwiony właściwym



mu groźnym chłodem. - Doceniamy to, że do nas zadzwoniłeś, Matiasie i przechwyciłeś ich oboje, kobietę i Chase'a. Szkoda, że nie dotarliśmy tu wcześniej, by pomóc wam dzisiejszego wieczoru. Miałem ochotę rzucić okiem na te dokumenty w klinice.

- Zgadza się. - Nikolai też tam był, na dole razem z Teganem. Chase rozpoznał tego urodzonego na Syberii wampira po jego zdławionym chichocie i stłumionym, lodowatym warknięciu. - Osobiście nie miałbym nic przeciwko temu, żeby pomóc ci dać popalić parze bezmózgich Sługusów i jednemu Zabójcy, stworzonemu przez Dragosa wybrykowi natury.

Chase przeszedł przez korytarz na pierwszym piętrze i zatrzymał się u szczytu schodów.

Na dole, Niko rzucił krzywy uśmiech trzeciemu wojownikowi towarzyszącemu im na tej misji do Bostonu.- Bez urazy, ten „wybryk natury” nie tyczy się ciebie, Hunter.

Dawny zabójca nawet nie mrugnął. - W porządku.

W grupie składającej się z Rowana i trzech wojowników stała również Dawczyni Życia Niko, Renata. Ciemnowłosa piękność od stóp do głowy ubrana w czarne skóry, spojrzała w górę na nadchodzącego Chase'a. Jasne, jadelitowo-zielone oczy wpatrywały się w niego przeszywająco.

- Chłopaki - mruknęła, powiadamiając ich o jego obecności.

Chase bez słowa zaczął schodzić po schodach.

Tegan był pierwszym, który przerwał pełną napięcia ciszę. - Do czorta. Muszę powiedzieć, że jestem zaskoczony widząc, że zdecydowałeś się zaczekać tu na nas,

Harvard. Kojarzysz mi się raczej z szybkim braniem nóg za pas. Ostatnio nabrałeś takiej maniery.

Chase uśmiechnął się ironicznie i wydał z siebie sardoniczne prychnięcie. - Dobrze, że o tym wspomniałeś, bo faktycznie właśnie miałem wychodzić. - Zrobił jeszcze kilka kroków w kierunku zatłoczonego holu i głównych drzwi Mrocznej Przystani, które znajdowały się dokładnie za plecami Tegana i reszty. Tylko kilka metrów dzieliło go od wolności. Jednak zwolnił, a po chwili całkiem się zatrzymał. Chociaż tak bardzo chciał uniknąć tej konfrontacji z Teganem, Niko i resztą, to nie mógł znieść myśli o tym, że porzuci Tavię bez słowa wyjaśnienia. Szczególnie teraz. Byłoby mu łatwiej, gdyby zrobił tak, jak wcześniej planował i opuścił to miejsce. Zanim znowu znalazł się w jej ramionach, wewnątrz słodkiego, wilgotnego ciepła.

*Kurwa. Kogo on chciał nabrać?*

Odejście od tej kobiety nigdy nie byłoby dla niego łatwe, nieważne teraz, czy wcześniej. Jak zareagowałaby Tavia, gdyby dowiedziała się, że ci trzej wojownicy i wyglądająca na bezwzględna kobieta, która jedynie siłą swojego umysłu była zdolna obezwładnić nawet najpotężniejszych przedstawicieli Rasy, mieli ją zabrać pod opiekę Zakonu? Powinien był wyjaśnić jej parę rzeczy, ale niestety był zbyt zajęty zdejmowaniem z niej ubrania i upewnianiem się, że jej precudowne ciało nigdy go nie zapomni. Tak, jeśli chodziło o Tavię to powinien był wiele rzeczy zrobić zupełnie inaczej. Kolejna utrata wolności, a tym bardziej kontroli nad własnymi zmysłami nie wpływała na nią zbyt dobrze. Miała prawo być wkurzona i zagubiona... co stało się prawie regułą, odkąd skrzyżowały się ich ścieżki.

Co do Chase'a, to wystawianie się na pełne dezaprobaty spojrzenia swoich braci, było dla niego wystarczająco dołujące. Nie chciał zobaczyć rozczarowania również w oczach Tavi. Zrobił kolejny krok w dół i poczuł napięcie narastające w wojownikach.

- Dokąd się, kurwa wybierasz? - zapytał Tegan, jego niski głos zabrzmiał śmiertelnie spokojnie.

Zdziczała część Chase'a wyczuwając zagrożenie sprężyła się do walki. Krew prawie rozrywała mu żyły, nieposkromiona i zimna. - Naprawdę nie chciałbym przerywać Zakonowi tak ważnego zadania - warknął, w jego tonie było więcej jadu niż zamierzał. Ale to choroba przemawiała teraz przez niego, wywołując żar podobnie jak zapalka przytknięta do wysuszonej hubki i niepokój, który prowokował go do agresji. To było coś, czego naprawdę chciał uniknąć, szczególnie, jeśli chodziło o te osoby.

Opuścił Zakon, pozostawiając po sobie wystarczająco podłą opinię: chybaby go to zabiło, jeśli okryłby się hańbą, albo ostatecznie rozczarował jedyną grupę ludzi, którzy naprawdę go znali i cenili. Sama myśl o podniesieniu pięści, albo broni na którekolwiek z nich wystarczyła, że zadrżał ze wstydu.

Przyciskając dłonie do boków, zszedł z ostatniego stopnia. - Obawiam się, że moje powitanie nieco się przedłużyło. Już mnie tu nie ma.

- Nie sądzę, Harvard - Tegan stanął mu na drodze. - Uczyniłeś z siebie dla ludzi wroga publicznego numer jeden. Lucan nie chce, żebyś szwendał się po ulicach.

- Więc, co w związku z tym? Jesteś tu, by się tym zająć? - zakpił Chase, teraz agresja już w nim kipiała. - Cóż, możesz sobie zaoszczędzić tego pieprzenia. Nie prosiłem was o to.

- Nie, nie prosiłem - potężny wojownik spojrzał spode łba, płowa głowa przechyliła w dół jak u byka przygotowującego się do ataku. Jego oczy wpijały się w Chase'a, bezlitosne w swojej ocenie. Nie istniała żadna kryjówka przed tym drugim, najsilniejszym członkiem Zakonu. Nie miałyby najmniejszej szansy, jedno najłżejsze

dotknięcie wyczuwającej emocje dłoni Tegana pozwoliłoby mu zrozumieć, jak blisko krawędzi balansował teraz Chase.

- Może nie do końca pojmujesz, co ci próbuję powiedzieć, Harvard. Wracasz z nami. Ty i ta kobieta, obydwójce.

Zdziczała część Chase'a najeżyła się, obnażając zęby i kły w ironicznym uśmiešku. - Jeśli ostatnio wzrok mnie nie mylił, to ty, Lucan i reszta twoich wojowników spisaliście mnie na straty. Nie potrzebowałem wyraźniejszej wskazówki, że nie jestem już mile widziany.

Wieczny rozjemca, Rowan odchrząknął. - Chase, na miłość boską, odpuść sobie.

Tegan zlekceważył te zarzuty i niewzruszony groźbą konfrontacji powiedział.  
- Możesz pójść dobrowolnie, albo jesteśmy gotowi zabrać cię siłą.

Gdy Chase wyrzucił z siebie salwę kwaśnego, pozbawionego radości śmiechu, z spomiędzy Tegana i Niko wyszła Renata, równie pełna gracji, jak niebezpieczna.

- Gdybym była tobą, posłuchałabym go. Mamy swoje rozkazy.

- Doprawdy - rzucił wyzywająco, patrząc na nią z góry, spojrzeniem, które zmieniało więcej niż jeden oddział w pełni uzbrojonych agentów Rasy w pocące się z niepokoju małe dziewczynki. Ale nie Renatę. Partnerka Niko rozstawiła swoje długie nogi przyjmując wojowniczą postawę i odpowiedziała mu twardym spojrzeniem. Co jeszcze bardziej go wkurzyło.

- Jeśli masz zamiar poczęstować mnie swoim rozpieprzającym mózg darem, to lepiej, do cholery upewnij się, że zabijesz mnie wystarczająco szybko. Albo nawet nie poczujesz, jak on do ciebie wraca.

Warknięcie Niko było najbardziej morderczym dźwiękiem, jaki Chase kiedykolwiek słyszał. Wojownik zrobił gwałtowny krok do przodu, jego dłoń zacisnęła się wokół kolby groźnie wyglądającego półautomatu, umocowanego w kaburze pod jego ramieniem. Chase wiedział, że broń była załadowana specjalnymi nabojami własnej roboty, tytanowymi-zabójcami-Szkarłatnych... specjalnością Niko.

Sądząc po sposobie, w jaki buzowała w nim teraz krew, lodowata i żrąca jak kwas, Chase nie miał wielkich wątpliwości, że wystarczyłaby jedna kula, żeby spalić go na miejscu. Boże dopomóż, prawie kusilo go, żeby to sprawdzić. Zamiast tego, z przekleństwem na ustach, zaczął podnosić ręce w geście kapitulacji. Ledwie zdążył drgnąć, poczuł nagłą błyskawicę eksplodującą mu w czaszce.

Renata.

Przygwoździła go zanim zdał sobie sprawę, co w niego uderzyło. Miał świadomość, że to był jedynie krótki, ostrzegawczy impuls, żeby na drugi raz nie próbował jej lekceważyć. Ale niech to szlag, Chase czuł się, jakby umierał. Wydał z siebie stłumiony ryk, podczas gdy parapsychiczna energia obijała się jak rykoszet wewnątrz jego czaszki, a ból ściągał go w dół, aż przykląkł na jednym kolanie.

Nie zauważył przybycia Tavi.

Poruszała się tak szybko i niepostrzeżenie, że żadne z nich jej nie dostrzegło. Pojawiając się jakby znikąd, przeskoczyła przez poręcz klatki schodowej pierwszego piętra i z kocim wdziękiem wylądowała w wyłożonym płytkami holu poniżej.

W jednej sekundzie Chase kulił się z jękiem na podłodze. W następnej został osłonięty jej zgrabnym ciałem, obserwując przyćmionym przez ból wzrokiem, jak w pojedynkę stanęła przeciw trzem uzbrojonym po zęby wojownikom Rasy i Dawczyni Życia, która z łatwością mogła zmienić kierunek swojego obezwładniającego daru i

całą jego moc skierować na Tavię.

*Boże, nie...*

Nie przeżyłby, gdyby przez niego została narażona na kulę albo psychiczny gwałt.

- Nie krzywdźcie jej! - wrzasnął, te słowa wyrwały się z jego gardła, brzmiąc dziko i nieludzko. Zmobilizował całą swoją siłę woli, żeby odepchnąć na bok ból, spowodowany mentalnym atakiem Renaty. Zerwał się na nogi i stanął u boku Tavi.

- Niech, kurwa żadne z was nie waży się jej skrzywdzić!

Ale nikt z przybyłych nie uczynił żadnego niewłaściwego ruchu. Dopiero wtedy zdał sobie sprawę, że nie mieli zamiaru tego robić. Nie przybyli tu, by kogokolwiek krzywdzić, nawet jego, chyba, żeby ich do tego zmusił. Wszyscy patrzyli w osłupieniu, wliczając w to Mathiasa Rowana, który z otwartymi ustami i wybaluszonymi oczami gapił się na Tavię Fairchild w całej krasie jej przemiany.

Czaiła się jak dziki kot, jej odziane w dżinsy długie nogi były ugięte w kolanach, nagie stopy gotowe do skoku. Rozpuszczone włosy okrywały jej ramiona karmelową grzywą, te nieposkromione fale nie były w stanie przesłonić bursztynowego blasku oczu. Syknęła, uniosła wargę obnażając parę kłów, lśniących jak diamenty i ostrych jak sztylety. W głębokim dekolcie czarnego swetra, jej dermaglify pulsowały szaleństwem kolorów, kłębiących się jak burza na gładkiej, jasnej skórze.

Nie mogło być żadnych wątpliwości, co do tego, kim była ta kobieta:

niebezpiecznym, przyczajonym, śmiertelnie groźnym przedstawicielem pierwszej generacji Rasy.

I do tego była gorąca, jak samo piekło.

Nagle trzech wojowniczy Zakonu jakby odzyskali swoje zmysły. Zaczęli mówić w niemal doskonałym unisono, Tegan, Niko, nawet Hunter, jeden po drugim.

- Święty...

- Ja piernicę...

- Jasna cholera.

Renata wciąż nie odrywała od niej wzroku, potrząsając głową z niedowierzaniem. Jej delikatne brwi uniosły się lekko, a uśmiech zadrgał w kącikach pełnych ust. Widok jej odprężenia... ironicznego poczucia humoru w bystrych oczach... w olbrzymim stopniu rozproszył napięcie panujące w holu.

W zupełnym niedowierzaniu spojrzała na Tavię, potem na Chase'a, i jeszcze raz z powrotem na Tavię. - Oto, co nazywam robieniem spektakularnego wejścia.

DRAGOS UDAŁ SIĘ na wideokonferencję ze swoimi podwładnymi z ponad półgodzinnym opóźnieniem. Ten brak punktualności miał na celu kilka rzeczy: po pierwsze, nigdy nie zaszkodziło przypomnieć podwładnym, że służyli jego kaprysom i wygodzie; jeszcze ważniejszy był fakt, że opieszałość dawała każdemu z czterech pozostałych członków jego pierwotnego kręgu wystarczającą ilość czasu na przemyślenie nawet najmniejszych niepowodzeń i dręczenie się tym, czy głowa któregoś z nich nie wyląduje dzisiaj na pieńku.

Akurat ta obawa miała konkretne podstawy, biorąc pod uwagę fakt, że za każdym widocznym na ekranie adiutantem obecny był jeden z Zabójców, osobiście wybrany przez Dragosa. Jeśli podwładny dał mu najmniejszy powód, by zwątpił w jego lojalność, to mordercy z pierwszego pokolenia nie zabrałoby więcej niż jedną sekundę, by definitywnie pozbyć się zaistniałego problemu.

Ale dzisiaj niczyja głowa nie była w niebezpieczeństwie. Wściekłość Dragosa całkowicie skupiła się na Zakonie. To z jego powodu napotykał na jedną komplikację

po drugiej. To przez nich została zniweczona jego operacja, tyle ciężkiej pracy i obiecujących eksperymentów zostało zniszczonych, albo wstrzymanych. To oni sprawili, że został zmuszony do przyśpieszenia swoich planów odnośnie ludzkości. Zamiast poczekać do chwili, w której jego Sługusi zajmą najlepsze stanowiska na całym świecie... cel, który z Lucanem i jego przydupasami, depczącymi mu po piętach i dołującymi go przy każdej okazji, mógł stać się jedynie coraz trudniejszy do osiągnięcia... Dragos postanowił, że trzeba zacząć działać.

Zajął miejsce u szczytu długiego stołu konferencyjnego, ustawionego naprzeciwko ściany monitorów. Cztery ekrany ukazywały twarze jego popleczników: Arniego Pike'a z Agencji Nadzoru w Bostonie; Ruarke Louvella, długoletniego dyrektora Agencji z Seattle; meldującego się z Europy Mórica Kaszaba z Agencji w Budapeszcie; i, ostatniego, Nigela Traherne, ustosunkowanego, zamożnego przywódcę Mrocznej Przystani z Londynu i jedyne go wciąż należące do kręgu Dragosa, nie powiązane go z Agencją Nadzoru. Kiedyś w tej kadrze byli jeszcze trzej inni, ostatecznie niegodni miana mężczyzny, których w różnych okolicznościach spotkał brutalny koniec. Dragos osobiście się o to postarał.

Nazwiska?

Fabian, Roth, i Vachon... ledwie je teraz pamiętał. Byli kurzem pod podeszwami jego butów, czymś zupełnie bez znaczenia.

Odeszli w niepamięć.

To, co łączyło ich ósemkę, Dragosa i wąskie grono jego siedmiu lojalnych podwładnych, to rodowody drugiej generacji i, co bardziej istotne, niewzruszone przekonanie, że Rasa... a nie ludzkość... zasługuje, by rządzić tą krążącą po orbicie grudą skały. Współdziałali przez wiele długich dekad, knując, spiskując i potajemnie karmiąc urzeczywistnienie swoich wizji materiałami, personelem, finansami,



dokumentacją i wsparciem. Wszystkim, czego Dragos sobie zażyczył, w tym swoją niezachwianą lojalnością.

Ta czwórka, która stała teraz w oczekiwaniu na wideokonferencję wciąż żywiła przekonanie, że wizja przyszłości, którą wykreował Dragos była jedyną możliwą do zaakceptowania. Wierzyli w niego jako w swojego przywódcę. Ich przyszłego króla. Tak długo jak to robili i dopóki nie okażą się nieskuteczni, lub zbędni jego celom, Dragos pozwoli im żyć. Może nawet spełni niektóre ze swoich obietnic, by mogli cieszyć się nadzieją przyszłych korzyści.

*Już bardzo niedługo*, pomyślał, ledwie zdolny powstrzymać przepelniające go radosne podniecenie, gdy rozmyślał, jaki chaos dzięki niemu rozpęta się na świecie.

- Panowie - powiedział, kiwając głową w stronę każdego z nich w geście powitania.
- Długo czekaliśmy na tą chwilę. Ale nasze oczekiwanie właśnie się skończyło.

Wezwałem wszystkich dziś wieczorem, żeby poinformować was, że nasz tryumf jest wreszcie w zasięgu ręki.

Chłodne uśmiechy i gorliwe spojrzenia powitały tą wypowiedź. Dragos pozwolił, by ten prąd mrocznego podniecenia płynął jeszcze przez chwilę, rozkoszując się jego mocą. Pomimo, że jego dzisiejsza decyzja została podjęta pod wpływem oburzenia i mściwego impulsu, to miał jednak dość czasu, by zastanowić się nad wszystkimi konsekwencjami Armagedonu, który właśnie miał zamiar rozpętać. Jeśli wcześniej wydawało mu się to trafną decyzją, to teraz, gdy rozważył wszystko na chłodno, był jeszcze bardziej przekonany, że nadszedł czas, aby rzucić rękawicę.

- Każdy z was, obecny na tym spotkaniu, zapracował sobie na moje zaufanie dzięki determinacji w dążeniu do naszego wspólnego celu. Wszyscy dzieliliśmy to samo marzenie, by urządzić ten świat według naszych ideałów. Korzystając z wolności i ustalonych przez nas praw. Jesteśmy blisko, moi towarzysze. Na tyle blisko, że to jest

nie do pomyślenia, żeby wizja naszego świata... świetlana przyszłość całej Rasy... mogła obrócić się wniwecz przez działania Zakonu, albo głupców, którzy się z nim sprzymierzyli.

Zlustrował twarze swoich zauszników, konstatuując z zadowoleniem, że w więcej niż jednej parze oczu dostrzega zapiekłą urazę. - Mając zwycięstwo w zasięgu naszych rąk, nie możemy pozwolić, żeby się nam wymknęło. Czas ukrywania się, snucia planów i czekania, już się skończył. - Dragos trzasnął pięścią w stojący przed nim stół i zerwał się z krzesła. - Zdycham już od tego! Nadszedł czas, żeby wyprawić temu światu cholerną krwawą łaźnię!

Trzech z czterech mężczyzn Rasy skinęło głowami, aprobując to pełne gniewu wypowiedzenie wojny. Oddech Dragosa stał się gwałtowny, świeżo rozbudzona furia sprawiła, że drażniący impuls przebiegł przez jego żyły. Ta tłąca się agresja pogłębiła się, gdy spojrział na Nigela Traherne i zauważył, że ten marszczy brwi. Jasnowłosa głowa Londyńczyka kręciła się z boku na bok w milczącym sprzeciwie.

- Czy ma pan coś do powiedzenia, Mr. Traherne?

Nigel odchrząknął, nagle wyglądając tak nieswojo, jak się poczuł. - Jeśli dobrze zrozumiałem to, co masz na myśli, panie... słowa urwały się, nie było potrzeby kończyć. Każdy zgromadzony w tym pokoju dokładnie rozumiał, co sugerował Dragos. To był najgorszy scenariusz tej operacji. - Aktu takiej wagi nie można będzie już cofnąć - ostrzegł Traherne. - Zastanawiam się z pewną obawą, panie, czy... być może... te niedawne komplikacje w twoich staraniach, żeby zdobyć amerykańskiego senatora i utorować sobie drogę do kolejnych kręgów ludzkiego rządu, mogły sprowokować cię do podjęcia nieco pochopnych decyzji.

- Pochopnych decyzji... - Dragos chrząknął, oparł się pięściami o stół, wciskając knykcie w wypolerowane drzewo. Gotował się ze złości z powodu takiego

kwestionowania jego władzy i autorytetu. Co za ryzykowny sprzeciw. Ale powstrzymał się przed atakiem. Ledwie. - Czy reszcie to też wydaje się pochopną decyzją?

Jeden po drugim, trzy wampiry pokręciły głowami, tym samym wyrażając swoje poparcie.

- Jestem już bardziej niż zmęczony czekaniem.

Pierwszy odezwał się słuźalczy i krwiożerczy Pike. - Ufam, że poprowadzisz nas, panie, tak jak to robiłeś od samego początku. Jestem gotów zaatakować na twój rozkaz.

- Będę szczery - wtrącił się Louvell.- Często obawiałem się, że do tego dojdzie. Ale jestem z wami, cokolwiek zostanie postanowione. Zaszedłem zbyt daleko, żeby teraz się wycofać i obawiam się, że to dotyczy nas wszystkich.

Kaszab wykrzywił usta w paskudnym uśmieszku, jego ciemne oczy błyszczały.  
- Ludzkość już wystarczająco długo trzymała stery. Ja osobiście, bardzo chętnie zobaczę, jak Rasa wprowadza prawa nocy, jakie przysługują jej z racji urodzenia.

Spojrzenie Dragosa powróciło do zaniepokojonej twarzy Traherne'a, wzruszył ramionami. - Oczywiście jest, że jesteś osamotniony w swoich obawach, Nigelu.

- Panie, ja...

Dragos uniósł rękę i łagodnie potrząsnął głową. - Oczywiście, rozumiem. Decyzje takie jak ta... jak wiele z tych, które są niezbędne, by doprowadzić naszą operację do kulminacyjnego punktu i zwycięstwa, które czeka na nas po drugiej stronie... nie są dla ludzi o słabych nerwach, ani pokornych.

- Panie, do tej pory służyłem ci chętnie i wiernie. Musisz wiedzieć, że wciąż wierzę w to, o co walczymy... - w tym momencie do głosu wampira wkradł się strach i nuta czegoś innego. Smutku, domyślił się Dragos, patrząc, jak na twarzy dumnego mężczyzny pojawia się wyraz beznadziei. - Panie, moja partnerka lada chwila spodziewa się dziecka. Moich dwóch starszych synów dało mi ponad tuzin wnuków... udanych chłopców, którzy będą dorastać w świecie, jaki stworzymy. Zgadzam się, że Rasa powinna zająć swoje miejsce, jako dominująca na tej planecie. Mam jedynie nadzieję, że istnieje lepszy sposób, żebyśmy to osiągnęli.

Dragos skrzyżował ramiona na piersi, czekając aż Traherne zmęczy się swoim spóźnionym atakiem wyrzutów sumienia. Zabójca stojący za mężczyzną, przypisany, by zapewnić mu bezpieczeństwo, utkwiał swój wzrok w Dragosie. Jak trzymany na smyczy śmiertelnie niebezpieczny ogar, czekający na polecenie swojego pana.

- Od dawna miałem pewne zastrzeżenia związane z wciąganiem cywilów do naszego kręgu - spokojnie stwierdził Dragos. - Ale okazałeś się cenny, Nigelu. Dostarczałeś mi Dawczynię Życia do reprodukcji i genetycznych eksperymentów. Lokalizowałeś najbystrzejszych ludzkich naukowców, by mogli stworzyć złożony ze Sługusów personel moich laboratoriów. Przez dekady inwestowałeś setki milionów dolarów w odpowiednie wyposażenie obiektów i dostarczałeś cennych informacji na temat społecznych i politycznych nastrojów europejskiej gałęzi społeczeństwa Rasy.

- Tak panie - zgodził się skwapliwie.- Czyniłem to wszystko, ponieważ ci ufam i wierzę w twoją wizję.

Gniew Dragosa nie zmniejszył się nawet o odrobinę. Ale uśmiechnął się, czując jak pojawiające się kły wypełniają mu usta. - Nigdy nie wątpiłem w twoją wiarę, mój dobry panie Traherne. Miałeś serce i dobre chęci. Potrafiłeś nawet działać z premedytacją, jeśli sytuacja tego wymagała. Jednak to, czego zawsze ci brakowało, to jaja. - Nieznacznie mrużąc oczy, Dragos dał znak Zabójcy, który stał za Trahernem.

- Wykończ go.

Egzekucja była czysta i szybka. Na ekranie monitora, Traherne wytrzeszczył oczy, a jego głowa na przetrąconym karku skręciła się pod nienaturalnym kątem. Po chwili z głuchym łoskotem uderzył czołem w stojące przed nim biurko.

Dragos poświęcił jego śmierci zaledwie sekundę swojej uwagi. Pozwolił obrazowi zabitego podwładnego pozostawać na ekranie, kiedy zwrócił swoją uwagę na trzech pozostałych członków swojego nikczemnego przymierza.

- Odważymy się uczynić to, czego nikt przed nami nie śmiał - powiedział im bez najmniejszego wahania w głosie. - Począwszy od tej chwili zaczynamy przygotowania do podjęcia ostatecznego kroku w kierunku zabezpieczenia sobie należnego nam miejsca w historii.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 26



KIEROWALI SIĘ NA PÓŁNOC, jadąc dużym czarnym landrowerem SUV, godzina za godziną oddalali się od Bostonu, kierując się w głąb stanu Maine. Tavia nie miała ochoty jechać nigdzie i z nikim, a już najmniej z grupą z trzech uzbrojonych po zęby osobników Rasy i kobietą w czarnych skórkach, która wyglądała na równie niebezpieczną, nawet nie biorąc pod uwagę broni i noży, które jeżyły się u jej pasa. Ale obietnica Chase'a, że będzie z nimi bezpieczna... bezpieczna w schronieniu Zakonu, dokąd właśnie zmierzali... wystarczyła, by była w stanie to zaakceptować.

Siedział na tylnym siedzeniu samochodu, wciśnięty pomiędzy nią, a mężczyzną w każdym calu wyglądającym na wojownika, który odpowiadał za ich dostarczenie pod skrzydła Zakonu, onieśmielającego osobnika z bezlitosnymi szmaragdowo-zielonymi oczyma i grzywą potarganych, płowych włosów. Na imię miał Tegan. Z przodu siedzieli Nikolai i Renata, wygadany, błyskotliwy jasnowłosy wojownik za kierownicą, a jego partnerka o hebanowych włosach obok, na miejscu dla pasażera.

Olbrzym jadący na rozkładanym siedzeniu za Tavią, Chasem, i Teganem był spokojnym mężczyzną z krótko ostrzyżonymi, jasnobrązowymi włosami i przenikliwymi złotymi oczami. Ze wszystkich osób znajdujących się w pojeździe, to właśnie on wydał się Tavi najbardziej niebezpieczny. Chłodny, zdystansowany... wszystko w tym mężczyźnie o imieniu Hunter wydawało się być wyważone i pod kontrolą. Czysty profesjonalizm i śmiertelna skuteczność. Morderczy jak ostrze noża. Co nie było niespodzianką, biorąc pod uwagę jego wcześniejszą profesję.

Tavia pragnęła dowiedzieć się o nim czegoś więcej, szczególnie, biorąc pod uwagę fakt, że zostali stworzeni w laboratoriach Dragosa z tego samego DNA. Jednak w Mrocznej Przystani Mathiasa Rowana było zbyt mało czasu na pytania, albo rozmowę, a jazda na północ też nie wydawała się właściwym czasem na pogaduszki.

Chase nie wypowiedział dotąd nawet jednego słowa. Opuścił głowę nisko, opierając brodę na piersi, ale nawet pod sięgającą poniżej brwi, zmierzwioną grzywką, trudno było nie zauważyć żaru płonącego w jego oczach. Glify na jego nagich przedramionach wciąż kipiały ciemnymi barwami. Jej własne ciało wróciło do normalnego stanu, jeszcze zanim zdążyli opuścić Boston, ale Chase zdawał się potrzebować na to dużo więcej czasu. Wściekłość, która eksplodowała w nim gwałtownie w rezydencji Mathiasa, wciąż jak trucizna gotowała się tuż pod jego skórą. Mentalny, bolesny atak, jaki zaaplikowała mu Renata również pozostawił swoje ślady. Tavia odczuwała jego echa we więzi krwi, do której wciąż starała się przywyknąć.

Boże, była przerażona... do szpiku kości... w chwili, gdy uderzenie psychicznej furii wstrząsnęło czaszką Chase'a. Zareagowała czysto instynktownie, przeskakując przez poręcz klatki schodowej i bez jednej myśli na temat ludzkich ograniczeń opadła w dół do holu, znajdującego się piętro niżej. Ponieważ w tamtej chwili najważniejsze dla niej było znalezienie się przy Sterlingu. Ulga, gdy odnalazła go żywego i zobaczyła, jak podnosi się na nogi, żeby stanąć u jej boku, była tak głęboka i dojmująca, że wręcz nie do opisanania.

Tak samo jak ciepło, które otuliło ją, gdy usłyszała wściekłość w jego głębokim głosie, gdy ryczał do swoich przyjaciół, żeby jej nie krzywdzili. Ale teraz jego ponure milczenie... sama obecność w ciasnym wnętrzu SUV-a wydawała się sprawiać, że wszyscy stali się czujni i spięci.

Przyciskał się do niej, jego sztywne ciało promieniowało ciepłem i skondensowanym gniewem. Może powinna czuć jakąś obawę, tak samo jak jego przyjaciele, jednak ciepło jego uda działało na nią uspokajająco. Muskularne ramie stanowiło solidną podporę, kiedy delikatnie oparła na nim głowę, a jej spojrzenie śledziło przez szybę samochodu umykające mile.

Gdy uniosła wzrok, napotkała lodowato-błękitne oczy Nikolaia, obserwujące ją we wstecznym lusterku. To nie był pierwszy raz, kiedy rzucał w jej stronę ciekawskie, badawcze spojrzenie. Lecz tym razem Renata lekko trzepnęła go w ramię.

- Niko, przestań się tak gapić na tą biedną dziewczynę. Na miłość boską, ona nie jest żadnym eksponatem wystawionym na pokaz.

- Wybacz - powiedział i rzucił przekleństwo, w którym słychać było rosyjski. - Po prostu, potrzebuję trochę czasu, żeby przyzwycząić się do myśli o jej istnieniu.

Renata przewróciła oczami, po czym obróciła się w stronę Tavi. - Ignoruj go.

Myślę, iż my wszyscy bardzo się staramy, żeby się w ciebie nie wpatrywać. Chodzi mi o to, że chociaż Mathias mówił nam o tobie, ale ujrzenie cię na własne oczy... i powrót z tobą do Mrocznej Przystani... Cóż, to jest niesamowite.

Rozejrzała się po wszystkich siedzących w pojeździe, po czym potrząsnęła głową, sprawiając, że jej sięgające podbródka, ciemne włosy płynnie zafalowały wokół twarzy. - Z nimi dwiema, Tavią i Jenną, sprawy naprawdę mogą przybrać interesujący obrót.

- Kim jest Jenna? - zapytała Tavia. - Czy ona jest... taka jak ja?

Na tą myśl poczuła dreszczyk nadziei, chociaż nie była pewna, czy powinna życzyć komuś życia takiego jak jej własne... i tych wszystkich zdrad, które się z nim wiązały.

- Jenna jest człowiekiem - odpowiedział Nikolai, kolejny raz spoglądając na nią przez wsteczne lusterko. - Albo przynajmniej była nim jeszcze kilka tygodni temu.

- Tam, gdzie to naprawdę ważne, Jenna wciąż pozostała ludzka. - Renata odwróciła się w stronę swojego partnera i stuknęła go w sam środek klatki piersiowej. - Ona może się zmieniać fizycznie i psychicznie, ale w środku wciąż pozostaje Jenna.

- Co się jej stało?

Zanim Renata udzieliła jej odpowiedzi rzuciła Teganowi krótkie, pytające o zgodę spojrzenie. - Jenna kilka tygodni temu została zaatakowana na Alasce, gdzie wcześniej mieszkała. Istota, która to zrobiła to Pradawny...

- Ten, którego Dragos ukrywał w swoich laboratoriach - dokończyła Tavia, przypominając sobie, co Chase mówił jej o ostatnim z ocalałych, pochodzących nie z



tej planety przodkach Rasy.

- Sądziłam, że Zakon go zabił.

- Owszem - potwierdziła Renata. - Ale zanim go schwytali, Starożytny włamał się do domu Jenny. Sterroryzował ją, przetrzymywał jako zakładniczkę i pożywał się od niej. Zanim to się skończyło, wszczepił jej pod skórę, u szczytu rdzenia kręgowego, odrobinę jakiejś pozaziemskiej mikro-technologii. Zawierała ona również jego własne DNA.

Nikolai potakująco skinął głową. - Po tym, jak przywieźliśmy Jennę do Bostonu, była nieprzytomna przez kilka dni. Kiedy się obudziła się, jej ciało zaczęło się zmieniać.

- W jaki sposób?

- Po pierwsze, nadludzka siła - powiedziała Renata. - Wydawało się, jakby nagle zyskała zawrotną szybkość i zręczność. Jej ciało zaczęło uczyć się samoleczenia z urazów. Działy się z nią rzeczy, których z pewnością nie mogłabyś zobaczyć u zwykłego człowieka.

- Nie wspominając już nawet o glifach, rozrastających się jak pnącze kudzu [http://pl.wikipedia.org/wiki/Opornik\\_%C5%82atkowaty](http://pl.wikipedia.org/wiki/Opornik_%C5%82atkowaty) z miejsca, gdzie został osadzony implant.

Tavia ponownie napotkała w lusterku oczy Niko.

- To znaczy, że Starożytny zamienił ją w kogoś takiego jak wy... jednego z Rasy?

- Ona nie należy do Rasy, ale nie jest już do końca ludzka - odpowiedział. - Gideon

przeprowadza wszystkie rodzaje testów i najważniejsze, co odkrył to, że DNA Pradawnego replikuje się szybciej niż jej własne, należące do homo sapiens. Opanowuje ono jej układ nerwowy, istotne dla życia narządy, a nawet krew.

- O mój Boże - wyszeptała Tavia. - To musi być dla niej przerażające.

- Taaa, to nie jest piknik - zgodził się Nikolai.- Ale ona radzi sobie z tym jak stary wiarus, którym jest. W sumie nie najgorzej na tym wyszła. Stała się silniejsza, szybsza, zdrowsza, niż jakakolwiek ludzka istota mogłaby sobie kiedykolwiek zamarzyć. A na podstawie ustaleń Gideona, można przypuszczać, że średnia długość jej życia wykładniczo wzrosła.

- Zaraz, zaraz - powiedziała Tavia, nie mogąc powstrzymać się od porównywania opowieści o nagłych zmianach Jenny, do tego, co niespodziewanie objawiło się w niej samej. - Wcale nie jest tak łatwo dowiedzieć się, że jesteś kimś innym, niż myślałeś.

Spojrzenie Renaty było pełne współczucia. - Jak się trzymasz ?

- W porządku - kiwnęła głową, uświadamiając sobie, że to prawda. - Początkowo byłam przerażona, ale teraz cieszę się, że w końcu znam prawdę.

Nikolai wrócił do tematu. - Myślę, że teraz najbardziej przerażają Jenę jej sny. Gideon przypuszcza, że to implant emituje do jej podświadomości wspomnienia Starożytnego. Ostatnio dręczyły ją potworne koszmary - mnóstwo przejmujących, apokaliptycznych majaków. To naprawdę ją wykańcza.

- Przynajmniej, Jenna ma Brocka - powiedziała Renata, spoglądając z miłością na własnego mężczyznę. - On pomoże jej przebrnąć przez to wszystko, co jest jeszcze przed nią. I oczywiście, ma też wsparcie ze strony nas wszystkich.

Spojrzenie, które Niko rzucił jej w odpowiedzi było równocześnie gorące, jak i przepełnione czułością. Sięgnął po dłoń Renaty, uniósł ją do swoich ust i wycisnął pocałunek w jej wnętrzu.

- Jak dużo wiesz o Rasie? - tym razem, przemówił Tegan. - Nie spojrział na Tavię, lecz jego niski, ochrypły głos dobiegł spoza siedzącego pomiędzy nimi Chase'a.

- Czy miałeś na myśli, co wiem oprócz tego, że twoje drzewo genealogiczne posiada pozaziemskie korzenie.

- To również twoje drzewo - spokojnym tonem zauważył wojownik.

*Racja*, pomyślała. To był coś, co stanowiło treść powieści grozy i filmów z dziedziny fantastyki naukowej, ale teraz równie dobrze mogła zacząć zaliczać do tego również siebie.

- Chase powiedział mi kilka rzeczy. Było tego dość dużo do ogarnięcia. Próbował pomóc mi zrozumieć to wszystko.

Cichy, kpiący głos Tegana, zabrzmiał nieco sceptycznie. - A ja myślałem, że był zbyt zajęty zdobywaniem popularności wśród ludzi, aby mieć czas na prywatne lekcje. Zgaduję, że nie powinienem pytać, czego jeszcze mogłeś ją nauczyć, co, Harvard?

Ten łagodny przytyk, wysłał przez jej żyły rozżarzoną do białości błyskawicę gniewu, należącego nie do niej, lecz do Chase'a. Poczowała, jak spięło się całe jego ciało, kiedy Tegan zwrócił ku niemu swoje badawcze spojrzenie. Wojownik patrzył na niego beznamiętnie i szacująco. Przez jedną pełną napięcia, niepewną chwilę, Tavia zastanawiała się, czy Chase ma zamiar zaatakować tego mężczyznę, za to, co najwyraźniej było zamierzoną prowokacją.

Każdy w tym pojeździe musiał myśleć o tym samym, ponieważ wszyscy zachowali całkowite milczenie. Niepewni, co Chase może zrobić w kolejnej sekundzie. Ale nie wybuchnął jak granat, za którego go mieli.

Tavia czuła, jak walczył, żeby nie stracić panowania nad sobą. Mimo, że to wydawało się niebezpieczne... niemal tak samo jak głaskanie rozwścieczonego niedźwiedzia grizzly... sięgnęła ku niemu w ciemnej kabinie SUV-a. Jego duża ręka wpijała się w okryte dżinsem, muskularne udo, palce zaciskały się na nim jak imadła. Tavia pogłaskała grzbiet jego dłoni koniuszkiem wskazującego palca, milcząco dodając mu otuchy. Sygnalizując tym swoje zaufanie i wiarę w niego, świadomość, iż wie, że walczy on z czymś potężnym i mrocznym, oraz swoją troskę.

Nie spojrział na nią, ale czubki jego palców rozluźniły się. Pozwolił swojej ręce ześliznąć się ku jej dłoni. Ta milcząca unia, która zawiązała się pomiędzy nimi, rozgrzała ją do głębi. To wydawało się mieć mniej wspólnego z więzią krwi, czy szalonymi okolicznościami, które ich zetknęły, wydawało się być czymś głębszym i ważniejszym... czymś intensywnym i cennym... czymś, co krystalizowało się w ich obojgu.

Troszczyła się o tego faceta... tego skomplikowanego, udrećzonego i niebezpiecznego mężczyznę Rasy. I nieważne, czy on kiedykolwiek przyznałby się do tego, to czuła, że również nie jest mu obojętna.

Po drugiej stronie Chase'a, twarz Tegana odprężyła się i nabrała obojętnego wyrazu. Z głębokim westchnieniem wygodniej rozparł się na siedzeniu. - Jesteśmy prawie na miejscu.

Ich samochód już jakiś czas temu minął roгатki, a teraz klucząc i podskakując podążał wąską, wiejską dwupasmówką w głąb czegoś, co wydawało się być gęstą dziewiczą puszcza. Jechali kilka mil w rozświetloną księżycową poświatą ciemność,

wiezieni przez Niko po zasypanej śniegiem drodze, która wydawała się odpowiednia nie dla samochodu, ale dla ciągniętych przez konie sań. Kiedy już zdawało się, że ten odludny trakt nigdy się nie skończy, reflektory SUV- a przebiły się przez gęsty las i omiotły front twierdzy z drewna i kamienia. Była surowa, ale piękna. Wyglądała, jak żywcem wyjęta z gotyckiej bajki.

Siedzący obok niej Chase nieco się wyprostował, wyglądając przez okno na otoczoną drzewami parcelę. - Czy to nowa siedziba Zakonu? - zapytał, jego głos zabrzmiał tak, jakby gardło miał suche jak popiół.

- Owszem - Niko zatrzymał się i zgasił silnik. - Nie ma to jak w domu.

- JESTEŚ GOTOWA, BY ZACZAĆ, Jenna?

Skinęła Gideonowi głową i trochę mocniej ścisnęła dłoń Brocka. Niepokój ściągnął rysy jego przystojnej twarzy, a przepastne brązowe oczy utkwione były w niej.

- Nie musisz tego robić, jeśli nie jesteś pewna. Już i tak dosyć przeszłaś...

- Jestem pewna - odpowiedziała, siadając na ich łóżku, gdzie leżała, żeby pogłaskać jego silną szczękę. - Przecież to tylko sen. Nie masz powodu, by się o mnie martwić.

Jego zdławiony chichot był cichym zgrzytem, kpiącym, lecz zdradzającym, jak bardzo był spięty. - Zabranianie mi troski o ciebie... to to samo, jakbyś kazała mi przestać oddychać. Nic z tego, dziecinko. Wiedziałaś o tym, kiedy zgodziłaś się ze mną związać

- Taaa, masz rację - Jenna uśmiechnęła się do swojego partnera, zastanawiając się, jak to było możliwe, że jej miłość do niego rosła z każdym dniem. - A ty wiesz, że ja jestem równie uparta jak ty...

- Bardziej - zripostował, wyginając ciemne brwi.

Nie mogła się z tym nie zgodzić. Nic, ani własny strach, ani jego obawa o nią, nie było w stanie powstrzymać jej przed chwytniem tej misji obiema rękami.

Ponieważ tym właśnie stało się dla niej, to poszukiwanie odpowiedzi: misją. Taką samą, jak każdy z tuzinów patroli, jakie odbywała, będąc policjantką na Alasce.

Zamierzała całkowicie się temu poświęcić. Nawet, gdyby musiała to robić, dzwoniąc zębami ze strachu.

- To tylko sen - jeszcze raz powtórzyła Brockowi, a może potrzebowała dodać otuchy również samej sobie. Jej nerwy wciąż były zszarpane po ostatnim koszmarze. Masywna ściana wody, zalewająca wszystko. Krzyki umierających, unoszące się na nocnym wietrze. Tak wiele grozy i zniszczenia, setki istnień zmiecione w jednej chwili. To wydawało się takie prawdziwe. Przerażająco, jaskrawo realne. Nawet teraz, wspomnienie o tym przyśpieszało tętno i sprawiało, że z niepokoju zwilgotniały jej dłonie. - To nie jest rzeczywistość, to tylko senny koszmar. Nic mi nie będzie, Brock. Mogę to zrobić.

Sceptycznie zmarszczył brwi i po raz pierwszy odkąd uznała go za swojego partnera, Jenna cieszyła się z tego, że nie ma między nimi więzi krwi. Urodziła się zwykłą kobietą, nie Dawczynią Życia i brak tego maleńkiego czerwonego znamienia w kształcie łyzy i półksiężyca początkowo był dla nich przeszkodą. Ale bardzo krótko. Miłość była spoiwem, które uczyniło z nich jedność. Brock może i nie mógł odczytać jej najgłębszych uczuć przez swoją krew, ale ich emocjonalny związek wcale nie był przez to słabszy. Co sprawiło, że jeszcze mocniej zmarszczył brwi i głaszcząc jej dłoń przyglądał się, jak Gideon sporządzał delikatny środek uspokajający, który miał jej pomóc szybciej i głębiej zasnąć.

- Nie znoszę tego gówna. Nie obchodzi mnie, czy to jest tylko sen, czy rodzaj jakiegoś echa wspomnień Pradawnego, odtwarzanych w twojej podświadomości. Nie

mam ochoty cię puścić...

- Więc, tego nie rób tego - powiedziała, mocniej splatając ich palce. - Nie przestawaj trzymać mnie za rękę. Jestem w stanie zmierzyć się ze wszystkim, jeśli będę wiedzieć, że jesteś ze mną. I tym razem będę tam miała Claire za przewodniczkę.

Skontaktowali się z Dawczynią Życia Andreasa Reichena, mieszkającą na Rhode Island, kilka godzin temu, po ostatnim ataku koszmarów Jenny. Claire od razu zgodziła się pomóc w każdy, możliwy dla niej sposób i obecnie czekała w swojej Mrocznej Przystani na sygnał od Gideona. Gdy tylko Jenna zapadnie w sen, Claire dołączy do niej w krainie Morfeusza. Razem miały nadzieję powrócić z wyraźniejszym obrazem koszmaru... jego apokaliptycznych wydarzeń... i być może z jakimiś wyjaśnieniami.

Jenna przycisnęła usta do knykci Brocka, po czym spojrzała na Gideona. - No to jedźmy z tym.

Z przepaszającym spojrzeniem na swojego kumpla wojownika, geniusz Zakonu na pełny etat i lekarz w nadgodzinach zbliżył się ze strzykawką środka uspokajającego.

Jenna skrzywiła się podczas ukłucia, potem powoli wypuściła powietrze z płuc, nieświadoma, że je wstrzymywała. Po chwili, powoli zaczęło ogarniać ją przyjemne ciepło, jak aksamitny koc, okrywający ją od stóp po brodę.

- Jak się teraz czujesz, Jen? - Głos Gideona docierał do niej w zwolnionym tempie, każda sylaba rozciągała się i zniekształcała. Nawet słabe kiwnięcie głową stało się dla niej ogromnym wysiłkiem. Powieki zaczynały jej opadać, jakby były z ołowiu.

- Myślę, że to dział... - nie dane jej było dokończyć tej myśli.

Ogarnęła ją gęsta, szara mgła, wyrwała ją z łóżka i własnego ciała. Pozwoliła się jej ponieść, zbyt apatyczna, żeby się temu opierać. Ciemna chmura zabrała ją wysoko, z dala od kwatery Zakonu... i od wszystkiego, co знаła.

Potem, po długim czasie, niemal wieczności, jak się jej wydawało, mgła zaczęła się rozpraszać i dotknęła stopami twardego podłoża. Jej powieki uniosły się, ukazując jedynie ciemność. Była sama. Żadnego znaku czyjejkolwiek obecności. Tylko ona, stojąca poniżej przytłaczającego pułapu nocnego nieba, jej bosc stopy spoczywały na stromej, kamiennej półce.

- Claire? - zawołała, ale zimny wiatr porwał jej słowa w nicość, gdy tylko opuściły jej usta. Usiłowała nie wpadać w panikę, ale wiedziała, co się zbliżało.

Ledwie o tym pomyślała, że wszystkich stron nadpłynęły fale. Pod jej schronieniem na wysokim urwisku, wzbierała i wrzała woda, pochłaniając leżącą poniżej dolinę. Wiedziała, że tam w dole było miasto. Zdawała sobie sprawę z tego, iż ta nagła, mordercza powódź pochłaniała wszystkich jego mieszkańców.

*Nie!* - to słowo eksplodowało w jej głowie, ale z ust nie wydostał się nawet najcichszy dźwięk. Oczyma widza patrzyła na rozprzestrzeniający się kataklizm, niszczący wszystko na swojej drodze. - *Nie! Nieee!*

Samotna, chora z przerażenia, ledwie poczuła delikatny, ciepły dotyk na swoim ramieniu. Zgiełk chaosu i zagłady zagłuszał wszystko. Cały świat wokół niej stał się ciemny, ponury i pusty.

- Jenna.

Dźwięk kobiecego głosu trochę ją wystraszył... ktoś jeszcze dzielił z nią tą piekielną rzeczywistość... ktoś, kto znał jej imię.



- Jenna, czy mnie słyszysz?

Głos Claire Reichen, aksamitny i pełen spokoju, dochodził do niej z lewej strony.

- Nie patrz na tę masakrę, Jenna. Spójrz na mnie. Jestem tu teraz, z tobą.

Postąpiła zgodnie z instrukcją, zdumiona, że miała dość siły. Zgiełk kataklizmu i śmierci, którą zostawiał na swojej drodze, wciąż wypełniał jej głowę, ale teraz był tu również element spokoju. Lina, dzięki której mogła wydobyć się z mroku.

Claire chwyciła ją za rękę i kiwnęła głową. - Znalazłam cię. Czy chcesz teraz, razem ze mną spróbować wrócić do początku?

Jenna kiwnęła głową, niezdolna do panowania nad swoim głosem... głosem, którego nie umiała z siebie wydobyć w tym widmowym świecie .

Chciała wrócić. Mogła to zrobić. Musiała.

Nagle drgnienie ruchu szarpnęło ją do tyłu, przez ciemność.

Fale wycofywały się z ponaddzwiękową szybkością, powódź i zniszczenie cofnęły się w jednej chwili. Powróciła do momentu, w którym zawsze wchodziła w sen, chwiejąc się na krawędzi nadchodzącego kataklizmu. A potem głębiej wstecz. Spojrzała w dół z wysokiej grani, zdziwiona. Rozświetlone księżycową poświatą miasto w dolinie było antyczne. Białe świątynie otoczone kolumnami i brukowane kamieniem ulice, rozchodzące się we wszystkich kierunkach. Masywne bramy i kamienne wieże, ochronne fosy i wypełnione wodą kanały, które biegły jak tętnice przez serce nieskazitelnej, kwitnącej metropolii. Jej piękno było mistyczne, zapierające dech w piersiach.

Obróciła głowę, żeby zobaczyć, czy Claire była świadkiem tego samo. Ale zanim

zdążyła to zrobić, nagle daleko na horyzoncie rozbłysło jasne światło, rozświetlając nocne niebo, jak rodzące się słońce. Ziemia zadudniła pod jej stopami. Drgania miały tak niesamowitą siłę, że straciła równowagę niemal spadając ze skalnej półki, na której stała. Cała planeta drżała, jakby zaraz miało pęknąć jej jądro. Nad oceanem uformowała się potężna chmura. Kłębiąca się wysoko i wściekła, a popioły wzbite podczas uderzenia uwieńczyły ją kapeluszem w kształcie grzyba. Od chmury oderwała się fala wichru, tak gorącego, że musiała unieść ramię, by osłonić twarz przed żarem.

Pod nią w dolinie, niektóre z wyższych białych świątyń zaczęły drzeć i rozpadać się w gruzy. Mieszkańcy wylegli tłumnie z domów i tawern, wylali się na wyłożone kostką ulice, krzycząc w panice i dezorientacji. Ich krzyki unosiły się na suchym, nocnym wietrze jak łkania zjaw. Zawodzenie i wycie ludzi doświadczających nagłej, masowej zagłady. Kiedy ze wszystkich stron podniosły się wysokie fale, Jenna oderwała wzrok od masakry. Szukała Claire, ale jej nie było. Teraz ktoś inny stanął obok niej na klifie.

Starożytny.

Było z nim trzech innych, wszyscy jednakowo wysocy, łyse głowy i obnażone tułowia pokrywały nieziemskie dermaglify. Ich oczy o wąskich źrenicach lśniły w ciemnościach jak ślepie kotów. Obserwowali z nabożnym uniesieniem, jak przed nimi dopełnia się dzieło zniszczenia.

Czerpali z tego radość.

Była pewna, że to oni odpowiadali za tą straszną rzecz.

Nagle, uderzyła w nią rzeczywistość. Tu i teraz, na tle tej okropnej katastrofy zrozumiała, że nie jest Jenną. Była jednym z nich. Jednym z tych starożytnych

grabieżców... tym, który wszczepił kawałek własnej pozaziemskej tkanki do jej ludzkiego ciała i zmienił ją w coś zupełnie innego. Swój cień. Naczynie, które przechowywało jego historię, choćby była nie wiadomo jak zrakowaciała i ohydna. Ten moment nie był tylko snem. To były wspomnienia. Wydarzenia, które kiedyś się zdarzyły, odtwarzane dla niej klatka po przerażającej klatce.

W mieście poniżej, ludzie krzyczeli i płakali. Próbowali uciekać, ale fale oceaniczne wciąż rosły, by gwałtownie rozbić się o ziemię. Nie istniała żadna droga ucieczki. Nie było żadnej nadziei na ocalenie dla kogokolwiek z nich.

Jeden ze stojących obok Starożytnych, zwrócił ku niej swoje nieczułe, złociste oczy. *Głupcy powinni byli się poddać, gdy mieli szansę.*

To nie był głos, lecz myśl wysłana prosto w głąb jej mózgu.

Inny spojrział w jej stronę, równie nieporuszony. *Ona się nigdy nie podda.*

Od trzeciego dobiegło pytanie: *A co z jej legionem, który uciekł razem z nią?*

*Wytropimy ich.* Ten głos był Jenny, jednak już do niej nie należał.

Parapsychiczna projekcja myśli, nawet nie była świadoma, że należą do niej. Ponieważ nie należały. Były jego... obcego, którego skórę wypełniała, teraz, pośród tego koszmarne krajobrazu.

Nie zrozumiała o czym mówiła, nie bardziej, niż zdolna była pojąć powód, dla którego te istoty zrobiły tak makabryczną rzecz temu całemu miastu. Ale tych czterech obcych stojących razem z nią na klifie, patrzyło teraz na nią w oczekiwaniu na nowe rozkazy, szukając rady u przedstawiciela własnego gatunku, którego widzieli przed sobą.

*Gdziekolwiek poszli, obojętnie, jak długo to potrwa, powiedział umysł wewnątrz jej czaszki, w obcym języku, który nie było jej. Będziemy ich tropić... dopóki nie zdobędziemy głowy ostatniego z nich.*

TŁUMACZENIE wykidajlo

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 27



Do drzwi pokoju, który Lucan zaanektował na swój prywatny gabinet zabrzmiało pojedyncze pukanie w rytmie staccato. Mężczyzna uniósł wzrok i ciężko westchnął.  
-Wejść.

Do środka wszedł Tegan, świeżo po powrocie z Bostonu, nadal jeszcze był uzbrojony i ubrany w zimowy płaszcz. - Nie miałem zamiaru ci przeszkadzać.

Lucan wzruszył ramionami i odsunął od siebie stos analiz laboratoryjnych, które wcześniej tej nocy dostał od Gideona. Nie, nawet już nie czytał tych cholernych rzeczy. Przez ostatnią godzinę tylko automatycznie je przeglądał. Zadowolony, że miał pretekst, żeby odcięty od reszty mieszkańców bić się ze swoimi myślami. To były mroczne, niepokojące wizje, które prawdopodobnie nie miały zmienić się na lepsze, biorąc pod uwagę poważne spojrzenie Tegana.

- Jak ci poszło?

- Mogło być gorzej - Tegan zmarszczył czoło.- Chase i kobieta są na zewnątrz razem ze wszystkimi.

- Bez oporu z jego strony?- Lucan nie mógł w to uwierzyć.

- Och, opierał się. Lub raczej próbował, dopóki Renata nie dobrała mu się do dupy, udzielając natychmiastowej lekcji posłuszeństwa.

- Cholera - mruknął Lucan, przesuwając dłonią po napiętej szczęce.

- A kobieta?

W tym momencie sprytnie, zielone oczy Tegana błysnęły ironią.

- Tavia Fairchild jest tym wszystkim, co mówił nam o niej Rowan... a zatem ... jest niezaprzeczalnie pełnoprawnym członkiem Rasy, a poza tym, jeśli chodzi o ścisłość, to należy do pierwszej generacji. Cholera, nie ma co do tego najmniejszych wątpliwości. Dowiodła tego prezentując kły i glify.

- Nie jestem pewien, czy chcę wiedzieć, w jaki sposób zdołałeś to odkryć.

Tegan odchrząknął i potrząsnął głową. Naprawdę potrzeba było bardzo wiele, żeby wprawić tego wojownika pierwszego pokolenia w stan podziwu i ekscytacji, ale nie można było pomylić z niczym innym tonu niedowierzania w jego niskim głosie. - Powinieneś ją tam widzieć człowieka, kiedy Renata skierowała swoją moc na Chase'a. Tavia natychmiast pojawiła się znikąd, plując jadem i gotowa do podjęcia walki z całą naszą czwórką - wysyczał przekleństwo. - Może powinienem dać jej spróbować, tylko po to, aby zobaczyć, do czego jest zdolna jako osobnik pierwszego pokolenia w stanie pełnej transformacji. Gdybyśmy ją wyszkolili i dali jej nieco więcej czasu na przyzwyczajenie się do swojego nowego wcielenia, mogłaby być dla nas piekielnie przydatnym atutem.

- Ona tu nie należy - powiedział Lucan, nienawidząc nawet myśli, że kolejna cywilna kobieta miałaby znaleźć swoje schronienie pod dachem siedziby Zakonu. Kolejne, powierzone mu niewinne życie. Istota niezwykle unikalna, jeśli fakty o

pochodzeniu Tavi Fairchild były chociażby zbliżone do prawdy.

- Zgodziłem się wziąć ją pod skrzydła Zakonu, ponieważ nie możemy pozwolić na to, aby ktoś związany z Dragosem mógł sobie beztrudnie biegać po ulicach. Ona jest tu po to, aby dostarczyć nam konkretnych informacji i dlatego, że powinniśmy ją przetrzymać dopóki nie spopielimy tego skurwysyna. Kiedy dostaniemy to, czego potrzebujemy, wróci do Rowana lub jakiejś innej bezpiecznej kryjówki. Tak czy owak, wyjedzie stąd tak szybko, jak to tylko będzie możliwe.

- Powiesz to Harvardowi?

Groźne spojrzenie Lucana spotkało się z chłodnym wzrokiem Tegana.

- O Chryste... Chase i ona...

Tegan skinął głową na znak potwierdzenia. - Tak. Jeśli samo to, że stanęła w jego obronie u Rowana by mi nie wystarczało, to przekonałem się o tym w trakcie jazdy tutaj.

- Masz na myśli sex, albo sex i więzy krwi pomiędzy nimi?

- Tego nie wiem - przyznał Tegan.- Harvard wygląda jak gówno, ale przeważnie próbuje trzymać się w ryzach. Po drodze nieco go przetestowałem i muszę ci powiedzieć, że byłem zaskoczony widząc jego kontrolę. Nawet, jeśli przychodziło mu ona z wyraźnym trudem. Nie było wątpliwości, że targały nim zdziżące wibracje, ale trzymał je w garści z taką determinacją i opanowaniem, jakich nie widziałem u niego już od długiego czasu.

- Sądzisz, że potrzebuje odosobnienia?

- Myślę, że jeśli umieścimy go w schronie, to może go to, po prostu zepchnąć z krawędzi. Teraz Tavia wydaje się być jedyną rzeczą, która trzyma go w kupie, ale

nawet to nie daje gwarancji, że nie może stać się niebezpieczny.

- Jezu. - Lucan oparł się o fotel i westchnął głęboko. - Jakby już wszystko wokół nie było wystarczająco złe. Mówiłeś, że Harvard jest na zewnątrz?

Tegan przytaknęła. - Teraz, gdy tu z tobą rozmawiam, Hunter i Niko mają na niego oko.

- A kobieta?

- W tej chwili zajmuje się nią komitet powitalny. Wygląda na to, że wróciliśmy idealnie na czas, żeby zdążyć na ceremonię nadania imienia Xandrowi.

Lucan zmarszczył czoło - To dzisiaj?

*Kurcze, oczywiście, że dzisiaj.* Gabriella i inne Dawczynie Życia przygotowywały się przez kilka dni do tego rytuału, starając się dać synowi Tess i Dantego, jak najlepsze wprowadzenie w świat, pomimo chaosu, który go otaczał. Lucan będzie przeprowadzał ten obrzęd, podczas którego Xander Raphael zostanie oficjalnie przedstawiony swoim przyjaciołom i krewnym, a jego rodzice chrzestni publicznie zobowiążą się do jego wychowania w razie, gdyby coś stało się Tess i Dantemu, zanim dziecko osiągnie wiek dojrzały. Rytuał ten przesiąknięty był tradycją, a wśród cywilnej ludności Mrocznych Przystani był on bardziej pompą niż praktyczną koniecznością. Ale tu pod dachem Zakonu, gdzie tocząca się wojna każdej nocy mogła pochłonąć któregoś z wojowników, nabierał on większej wagi.

Lucan wstał, nieświadomy, że zaciska zęby, dopóki nie usłyszał ostrego zgrzytu swoich szczęk. Dłonie zwarł w pięści, z taką siłą, aż pobieleły mu kłykcie.

Tegan spojrzał na niego mrużąc oczy - Co się z Tobą dzieje?

- Nic.

Kiedy Lucan ociągając się ruszył w kierunku drzwi, Tegan zastawił mu drogę. - To nie mój interes. Ale nie muszę dotykami sprawdzać twoich emocji, by wiedzieć, że coś cię dręczy. I nie sądzę, żeby miało to związek z Chasem, lub świeżym problemem, jaki stanowi Tavia Fairchild. Myślę, że to nawet nie ma związku z Dragosem.

Wojownik wpatrywał się w Lucana coraz intensywniej, jakby był w stanie przeświecić go wzrokiem. - Co dzieje się pomiędzy tobą i Gabriellą?

Lucan uniósł brodę przyjmując obronną postawę, zimne iskry podrażniły jego żyły. - Czy ona coś ci mówiła? Albo Elise? Co ty, kurwa słyszałeś, Tegan?

Tegan tylko pokręcił płową głową. - Nic nie słyszałem. Ale mam oczy. Ona chodzi, jakby miała złamane serce, a ty wyglądasz, jakbyś stracił najlepszego przyjaciela.

Cholera. Chciał zaprzeczyć, ale teraz nie było sensu robić uników, zwłaszcza przed Teganem. Nie, gdy twarz Lucana zdradzała mu, jaka jest prawda.

- Totalnie zawałem z nią pewną sprawę. Od początku, od kiedy ta kobieta weszła w moje życie, zdawałem sobie sprawę, że zasługuje na kogoś lepszego, kogoś kto mógłby się poświęcić, żeby dać jej godne życie. Bezpieczną, szczęśliwą przyszłość, a nie ten niekończący się chaos i wojnę.

Tegan spojrzał na niego zwięzionymi oczyma. - Gabriela nigdy nie wydawała mi się typem kobiety, która wchodzi w coś na ślepo. Kiedy cię wybrała, zrobiła to, dokładnie wiedząc, w co się pakuje. Wszyscy w tym domu są świadomi tego, że nie istnieje rzecz, której byś dla niej nie zrobił...



- Za wyjątkiem ofiarowania jej syna.- Lucan poczuł, jak te słowa wypływają z jego ust, zanim zdążył ugryźć się w język. Musiał przyznać, że poczucie winy gdzieś tam w środku, po prostu go zabijało. Trzymanie tego w sobie było jak zaogniająca się rana, która z każdą sekundą wżerała się coraz bardziej w głąb jego duszy. - To właśnie tego ode mnie chce, Tegan. Dziecka. A ja nie mogę jej go dać. Nie teraz. Nie, kiedy wiem, że ta wojna z Dragosem może ostatecznie pozostawić wychowywanie naszego syna wyłącznie na jej barkach. Nie kiedy nie widzę lepszej przyszłości, niż tą skąpaną w przemocy i korupcji. To, do cholery nie jest odpowiedni czas na sprowadzanie na świat kolejnego niewinnego istnienia.

Tegan stał bardzo cicho i wpatrywał się w Lucana, zastanawiając się nad czymś głęboko wewnątrz siebie. Wreszcie łagodnie wzruszył ramionami.

- Prawdopodobnie to i nie jest dobry moment, Lucanie, ale może nigdy już nie będzie odpowiedniego czasu. Może właśnie teraz, wszyscy potrzebujemy odrobiny nadziei.

- Lucan patrzył oniemiały, świadomość walnęła w niego z subtelnością towarowego pociągu. - Ty i Elise?

-Tak. - Tegan wybuchnął zdławionym chichotem, tak pełnym zdumiewającego zachwytu, jakiego Lucan nigdy u niego nie słyszał. Nie w czasie tych pięciu długich wieków, jakie upłynęły odkąd się poznali.

- Cholera, T. Gratulacje. - Wyciągnął rękę i poklepał masywne ramię wojownika, po czym wciągnął go w krótki, braterski uścisk.

- Jak długo jest w ciąży?

Uśmiech Tegana jeszcze się pogłębił.- Nie tak długo. Poczęła zaledwie kilka dni temu.

Lucan cofnął się w myślach do ostatniej fazy nowiu księżyca, kiedy to trwał krótki cykl płodności Dawczyń Życia. W czasie, gdy on odepchnął od siebie Gabrielle, Tegan i Elisse stworzyli nowe życie.

I chociaż Lucan był zbyt spętany zawstydzającym strachem, który powstrzymywał go przed uświęceniem własnej więzi z Gabrielle, to nie mógł zaprzeczyć, że życzył jak najlepiej Teganowi i jego ukochanej partnerce. - Dziecko Rasy nie mogłoby mieć lepszych i bardziej kochających rodziców. Chodzi mi o to, mój przyjacielu, że naprawdę cieszę się z waszego powodu.

Wojownik z powagą skinął głową. - Świadomość tego, że nasz syn jest w drodze daje mi tylko kolejne powody, aby próbować zmienić ten świat w lepsze miejsce. Dla wszystkich naszych synów, Lucanie.

Chciał się z tym zgodzić, powiedzieć, że czuje tą samą nadzieję na przyszłość, ale język ugrzęzł mu w gardle.

Tegan pokiwał głową. Zrozumiał. Po kilku wiekach trwania Zakonu tylko on pozostał z pierwotnej formacji wojowników... znał strach, który zjadał Lucana od środka.

Tegan dobrze to znał... czuł to samo, a jednak znalazł siłę, aby odłożyć na bok swój strach i zdecydował się na tak ogromny akt wiary w lepszą przyszłość. Lucan również pragnąłby w nią uwierzyć. Ale nie pozwalał mu na to bolesny strach, który wciąż mu towarzyszył.

TAVIA NIE BYŁA przygotowana na tak rodzinną atmosferę, jaką zastała po przybyciu wraz Chasem do siedziby Zakonu. Biorąc pod uwagę uzbrojenie i militarny charakter uniformów ich eskorty, we wnętrzu kamiennieo-drewnianej twierdzy spodziewała się podobnego stylu. Ale poczuła się jak w domu, a nie jak w

wojskowym bunkrze. Dostrzegła nawet ogień buzujący w kominku na środku dużego salonu, a zaraz przy wejściu z holu ogromną sosnę, ozdobioną ręcznie robionymi ozdobami, świątecznymi kokardami i girlandami z popcornu. Nie wiedziała, co ją bardziej zaszokowało, bożonarodzeniowa atmosfera tego miejsca, czy fakt, że stojąc pomiędzy tuzinem uzbrojonych po zęby wampirów i ich partnerek jeszcze nigdy nie czuła się bardziej rozluźniona i mile widziana. Renata zrobiła jej krótkie wprowadzenie, a Nikolai i Hunter w holu mieli oko na Chase'a.

Tavia podziwiała piękne kobiety, które były sparowane z członkami Zakonu: Dylan z ognistą, rudą grzywą włosów i delikatnymi piegami, Alex, atletyczna, brązowooka blondynka z przyjaznym uśmiechem, drobna Corrine, której długie hebanowe włosy i delikatne rysy twarzy sprawiały, że wydawała się krucha, gdyby nie stalowa determinacja widoczna w jej turkusowym spojrzeniu i Jenna, ludzka kobieta, której historię Tavia usłyszała jadąc tutaj.

Ładna brunetka weszła do salonu dopiero przed chwilą, opierając się nieco na ramieniu swojego partnera, Brocka.

Twarz wysokiego, ciemnoskórego mężczyzny Rasy wyrażała niewątpliwy niepokój i była skupiona na Jennie.

- Jak wam dzisiaj poszło? - zapytała Renata, chwilę po tym, gdy mieli okazję poznać Tavię. - Miałyście z Clarie szczęście znaleźć coś ciekawego podczas wędrówek we śnie?

Jenna z entuzjazmem pokiwała głową. - Tym razem, mamy coś nowego. Nie jestem jeszcze pewna, co to znaczy, ale Claire i ja zapisałyśmy wszystko. Mimo, że to było tak okropne, jak tylko mogło być w koszmarze... i chociaż przeżywałam wszystko, jak swoje własne wspomnienia, to nie mogę się już doczekać, żeby ponownie wejść w sny i spróbować znaleźć w nich coś więcej.

Stojący bok niej Brock wymamrotał coś o kobiecym uporze. Jenna objęła go i spojrzała w jego wypełnione obawą oczy. - On się o mnie martwi. - powiedziała do Tavii i reszty zgromadzonych wokół niej osób, obdarowując go intymnym uśmiechem.

- Bo on cię kocha - żartobliwie odpowiedział wojownik, jednak jego głos był równie poważny jak spojrzenie.

-Taviu, czy mogę zobaczyć twoje dermaglify?

Obcesowa prośba pochodziła od Miry ośmio, czy dziewięcioletniego dziecka, które było w grupie pierwszych witających ją osób i od tamtej pory patrzyło na nią z niesłabnącą fascynacją.

- Myszko - upomniała ją Renata, kręcąc głową z irytacją. - Maniery, młoda damo.

- Przepraszam - powiedział ze skrucą lnianowłose półdiablę. - Taviu, proszę, czy mogę zobaczyć twoje dermaglify?

- To nie było dokładnie to, co miałam na myśli, myszko. - Renata wyglądała, jak każda matka zawstydzona zachowaniem swojego nad wiek rozwiniętego dziecka, choć w jej głosie dało się słyszeć rozbawienie. - To nie jest uprzejme prosić kogoś o coś takiego. Lub tak się gapić.

- Nie - szybko wtrąciła się Tavia. -W porządku, naprawdę. Nie mam nic przeciwko temu.

Podwinęła rękawy swetra i pokazała dziecku pajęczynę znaków na skórze, które otaczały całe jej ramię. Nie zajęło zbyt wiele czasu, by podeszły i inne dzieci. Dwaj nastoletni chłopcy, jeden szczupły rudy nastolatek i drugi, którego głowa była

ostrzyżona niemal do gołej skóry i pokryta dermaglifami, a twarz oraz spojrzenie nie ukazywały absolutnie żadnych emocji.

- To są prawdziwe dermaglify - powiedział pierwszy chłopak, a jego piwne oczy spoglądały podejrzliwie spod szopy miedzianych włosów. - Tak więc, naprawdę pochodzisz z Rasy?

Tavia przytaknęła. - Najwyraźniej tak.

Mira przewróciła swoimi fiołkowymi oczyma. - Mówiłam ci Kellan. On nie chciał mi uwierzyć.

Chłopak rzucił jej ponure spojrzenie. - Chciałem zobaczyć ją na własne oczy, to wszystko.

- Mówisz, że potrzebowałeś dowodu, jakbyś myślał, iż próbowałam cię oszukać, albo coś w tym stylu. - W jej głosie dało się słyszeć nutę bólu.

- Dlaczego nigdy nie wierzysz w to, co mówię?

Kellan wyglądał nieswojo słysząc to publiczne oskarżenie. Kiedy wreszcie przemówił, jego głos zabrzmiał umiarkowanie defensywnie. - Głupotą jest wierzyć we wszystko, co ktoś ci powie.

- Nawet, jeśli ten ktoś jest twoim przyjacielem?

Nie odpowiedział, a gdy ich dyskusja zamieniła się w patową ciszę, drugi chłopak, który nadal studiował dermaglify Tavi, podszedł bliżej. Podwinął swój własny rękaw ujawniając podobny wzór, który oplatał szczupłe mięśnie i ściągnął jego przedramienia. Nazywał się Nathan i poza tym, że wiadomo było iż jest synem Corrine, ten nastolatek pozostawał niezgłębioną tajemnicą. Tavia obserwowała, jak

jego otoczone długimi rzęsami oczy śledziły wzory znaków na jej skórze, rejestrując, jeden po drugim. Był poważny i dziwnie odizolowany, jakby znacznie starszy niż wskazywały na to jego lata, niepodobny do żadnego innego chłopaka w jego wieku, jakiego kiedykolwiek widziała.

Kiedy na nią spojrział, lekko przechylił głowę na bok, a jego chłodne turkusowe oczy przebiły ją chłodem beznamiętnym jak ostrze noża. - Pochodzisz z pierwszej generacji. Urodziłaś się w laboratoriach Dragosa.

Skinęła głową.

- Tak jak ja.

To spokojne wyznanie sprawiło, że Tavia poczuła z nim natychmiastowe pokrewieństwo i absurdalne pragnienie, żeby przytulić to dziecko, które również było ofiarą zdegenerowanego umysłu Dragosa. Chciała porozmawiać z Nathanem trochę dłużej, zapytać go o jego doświadczenia z potworem, który ich stworzył, ale kiedy kolejny raz na nią spojrział spod zasłony długich rzęs, w jego oczach znowu gościła obojętność.

W tym samym momencie z pokoju na końcu korytarza wynurzył się Tegan w towarzystwie kolejnego wojownika. Dołączyli do zgromadzenia w holu. Ten ciemnowłosy wojownik budził posłuch i szacunek samą swoją obecnością. Nie było wątpliwości, że był on przywódcą Zakonu, nawet zanim Tegan zdążył ich sobie przedstawić.

- Lucanie, to Tavia Fairchild.

Przyjęła dużą dłoń wojownika i poczuła, jak zostaje poddawana analizie bystrych, szarych oczu Lucana, gdy ścisnął jej palce w stanowczym uścisku.

- Mathias Rowan wprowadził nas w temat, ale jestem pewien, iż rozumiesz, że teraz, gdy już tutaj jesteś, będziemy mieli do ciebie kilka pytań.

- Oczywiście, cokolwiek sobie życzysz.- odparła.- Sama potrzebuję paru odpowiedzi.

Skinął głową z powagą i wypuścił jej rękę. - Do tego czasu, będziesz przebywała tutaj, pod ochroną Zakonu. Oznacza to, że przez cały czas będziesz pozostawać na terenie tego obiektu i bez mojej wyraźnej zgody nie możesz kontaktować się z nikim poza tymi murami.

- W porządku.- Brzmiało to trochę jak areszt domowy, ale trudno było odrzucić ofertę, gdy miało się tak niewiele innych opcji... poza tym, pierwsza część jej życia też była swojego rodzaju więzieniem, teraz przynajmniej знаła prawdę. I miała Chase'a.

Czuła go przy sobie, czerpała otuchę z jego obecności, pomimo napięcia, które emanowało z niego jak żar z rozgrzanego pieca.

Lucan spojrzał na niego przez ramię. - Niestety tu jest dosyć ciasno i pozostał nam tylko jeden wolny pokój...

- Ja nie potrzebuję pokoju - odpowiedź Chase'a była gniewna i defensywna, pomimo niedbałego wzruszenia ramion, które jej towarzyszyło. - Jestem pewien, że znajdzie się gdzieś tutaj zamykana na klucz cela z moim nazwiskiem.

-To będzie zależało od ciebie, Harvard.

- Możemy zdecydować o tym później - łagodny, kobiecy głos dobiegł do nich z za grupy stojącej w holu. Wszystkie głowy zwróciły się w jej stronę.

Tavia spojrzała na kobietę o kasztanowych włosach, której brązowe oczy wpatrzone były wyłącznie w Lucana. Była jego partnerką. Wiąz łącząca tą dwójkę była niemal namacalna i nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

- Ty musisz być Tavią – powiedziała, robiąc krok do przodu, by powitać ją z ciepłym uśmiechem.

- Jestem Gabriella.

- Cześć.

Gabriella podeszła do Lucana i splotła z nim palce.- Tess, Dante i cała reszta czekają już w sanktuarium. Idziesz?

Lucan pochylił głowę, muskając wierzchem dłoni policzek Gabrielli. Taki prosty gest, ale w jego oczach było tyle czci i nabożeństwa, że Tavi zaparło dech w piersiach.

- Wszystko czego sobie życzysz, kochanie. Mam na myśli to, co właśnie powiedziałeś, na temat podejmowania decyzji.

Wpatrywała się w jego oczy, przez dłuższą chwilę wisiało pomiędzy nimi niewypowiedziane pytanie. Potem na jej twarzy pojawił się ciepły, radosny uśmiech przeznaczony specjalnie dla niego.

Podczas, gdy oni dochodzili do cichego porozumienia, Mira podeszła i wzięła Tavię za rękę.

- Chodź, musisz zobaczyć dziecko.

- Dziecko? - Tavia zerknęła na resztę kobiet szukając wyjaśnienia.



- Nowonarodzonego synka Tess i Dantego, Xandra Raphaela.- odpowiedziała Renata. - Nie ma jeszcze tygodnia, a dziś zostanie oficjalnie przedstawiony swoim rodzicom chrzestnym. To tradycja Rasy.

- Zapraszam do sanktuarium - powiedziała Gabriella.- Ale jestem pewna, że musisz być wyczerpana, więc zrozumiemy, jeśli wolisz odpocząć.

- Ależ nie - o dziwo, wcale nie była zmęczona, nawet po tym wszystkim, co ostatnio przeszła. Jej ciało było silniejsze niż kiedykolwiek, bez wątplenia dzięki pozaziemskiemu genom Rasy i ostawieniu leków, które je tłumili. Musiała przyznać, że była bardzo ciekawa tej strony swojego dziedzictwa, w tym rytuałów, które były częścią tego dziwnego świata, w jakim nagle się zanurzyła.

- Jeśli uważasz, że nikt nie będzie miał nic przeciwko temu, to bardzo chciałabym w tym uczestniczyć.

- Więc, chodźmy już! - Mira niecierpliwie szarpała jej rękę, by podążyły za grupą, która właśnie opuszczała hol.

Jednak pomimo własnego zainteresowania ludźmi, którzy tak serdecznie ją przyjęli, trudno jej było nie dostrzec, że Chase wciąż trzymał się na uboczu. W rzeczywistości, wydawał się być bardziej spięty niż przed wyjazdem na północ. Jego niepokój drażnił jej żyły, jakby miała pod skórą tysiące maleńkich igieł. Zatrzymała się i odwróciła, by na niego spojrzeć, poczekała aż do niej dołączy. Nie mogła go zostawić samego... kiedy wszyscy inni przechodzili do innego pomieszczenia, chociaż wydawało się jej, że właśnie tego by chciał. Kiedy w końcu zrobił pierwszy krok w jej kierunku, wyglądał jak skazaniec idący na szafot.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 28



TO BYŁO OSTATNIE MIEJSCE, w którym pragnąłby się znajdować. Ostatnią, pieprzoną rzeczą, jaką teraz chciałby robić, było stanie tu jak intruz i przyglądanie się Dantemu i Tess przedstawiającym swojego syna Gideonowi, jego wybranemu przez nich chrzestnemu ojcu. Nie, żeby Chase, miał coś przeciwko temu wyborowi. To była najszuszniejsza i najlepsza decyzja, jaką mogli podjąć dla dobra swojego dziecka. Gdyby coś się stało rodzicom Xandera, zanim osiągnąłby on wiek dojrzały, Gideon i Savannah zapewniliby chłopcu miłość i najlepszą opiekę, jakiej mógłby potrzebować.

Dante był chyba szalony zakładając, że Chase mógłby kiedykolwiek wypełnić tę rolę. Na szczęście dla niego i Tess, pokazał im, jakim był złym wyborem, zanim ich dziecko wzięło swój pierwszy oddech. A teraz stał z boku i próbował udawać niewzruszonego... nie odczuwającego nic oprócz ulgi... że ten honor przypadł w udziale Gideonowi.

Najgorsze, że Tavia też była tego świadkiem.

Nie знаła tradycji, polityki rytuału, ani nie wiedziała jak cholernie ogromnym zawodem była dla Chase'a utrata przywileju bycia wybranym na opiekuna niemowlęcia. Ale gdy wszyscy weszli do kaplicy i zajęli swoje miejsca w drewnianych, kościelnych ławkach, wiedział, że mogła wyczuć jego wstyd i to było dla niego aż nadto.

Albo myślał tak do chwili, gdy w poprzek oświetlonego świecami sanktuarium oczy Tavi spoczęły na Elise. Ukryła swoje zaskoczenie, ale poczuł, jak nieco się usztywniła patrząc na kobietę, która była kiedyś częścią jego rodziny. Częścią

największego wstydu jego życia.

Elise stała w głębi małej kaplicy z Gideonem i Savannah i Dantem, Tess i dzieckiem. Pomagała z jedwabiami, które były używane podczas ceremonii, gdy jednak jej jasne, lawendowe spojrzenie trafiło na Chase'a i Tavię, wyszeptała coś do czekających par i zaczęła do nich podchodzić. Tegan zatrzymał ją w pół drogi i opiekuńczo otoczył ramieniem, po czym razem ruszyli w ich kierunku. Wyraz jego twarzy był czujny i powściągliwy, mężczyzna był przygotowany, żeby przelać czyjąś krew na samym środku świętego miejsca, gdyby to było konieczne, by chronić swoją partnerkę.

I nic dziwnego, że tak myślał, jeśli chodziło o Chase'a. Sterling wciąż jeszcze czuł policzek wymierzony przez Elise w czasie ich ostatniego spotkania. Dobrze sobie na niego zasłużył, za to co jej powiedział w dniu poprzedzającym jego odejście z Zakonu.

Ale teraz chodziło o coś innego.

Obserwował, jak związana krwią para zbliża się do niego. Elise była radosna i promienna, Tegan czujny i zaborczy... i nagle to do niego dotarło.

Znowu była w ciąży.

To powinno dotknąć go mocniej. Może tak by stało, gdyby nie Tavia stojąca u jego boku i jej spokojne, nieosądzające, pełne zrozumienia spojrzenie, które skierowała ku niemu podczas oczekiwania na zbliżającą się parę. Była spokojną przystanią, gdy on już od dawna przyzwyczał się do samotnego zmagania się ze swoimi burzami.

- Sterling - szepnęła Elise, kiedy już do niego podeszła. Zaczęła wyciągać rękę, po czym zmieniła zdanie i splotła dłonie przed sobą. - Czuję wielką ulgę, widząc, że z

tobą wszystko w porządku. Sposób, w jaki zostawiłeś nas w Bostonie tamtego poranka... wszyscy obawialiśmy się najgorszego.

- Przykro mi, że się niepokoiłaś - mruknął. - To nie było moją intencją.

- Wiem - powiedziała. - Tamtego dnia chciałeś nas ocalić. I to zrobiłeś. To, co uczyniłeś dla nas wszystkich w tamtej chwili, było...

- Honorowe - dokończył za nią Tegan. Było również pierdolonym samobójstwem, ale pomińmy to milczeniem.

Chase lekceważąco wzruszył ramionami, odrzucając ich wdzięczność. Jeden szlachetny gest nie mógł mu oddać wszystkiego, co odrzucił, nieważne, jak bardzo teraz pragnąłby myśleć, że to mogłoby być możliwe. Niestety ponowne odzyskanie zaufania jego braci wymagało czasu. Czasu, co do którego nie był pewien, czy jeszcze go ma, kiedy głód krwi przeżerał go aż do dna duszy.

Drżały mu ręce kurczowo przyciśnięte do boków, żyły zaczęły wibrować, wywołując nagłe, narastające pragnienie, by uciec z tego miejsca i zanurzyć się głęboko w noc. Kiedy ten mroczny impuls zaczął go pochłaniać, poczuł na swojej dłoni delikatną pieśczość palców Tavi. Wiedziała, co czuł, a dłoń, którą mu podała była kotwicą, jakiej teraz potrzebował. Ich palce splotły się ze sobą, przełknął ślinę i dokonał prezentacji. - Taviu Fairchild, to jest partnerka Tegana, Elise.

- Jestem również byłą szwagierką Sterlinga - powiedziała, uśmiechając się z autentyczną serdecznością.

- Tak, wiem - odpowiedziała Tavia. - Miło mi cię poznać.

- I nawzajem - spojrzenie Elise powędrowało w dół ku ich złączonym dłoniom i delikatny blask rozświetlił jej oczy. - Może po ceremonii mogłabym oprowadzić cię

po domu i okolicy?

Tavia uśmiechnęła się. - Oczywiście, będzie mi bardzo miło.

- Chyba powinnam już wracać i zająć swoje miejsce. Właśnie mieliśmy zaczynać.

Kiedy odwróciła się, by odejść razem z Teganem, Chase lekko chwycił ramię Elise.

- Zaczekaj.

Tegan zareagował cichym, mrocznym i bardzo zaborczym warknięciem. Jego oczy błysnęły złocistożółtymi iskrami. Chase cofnął dłoń i wyszeptał pośpieszne przeprosiny. - Ja chciałem tylko pogratulować. Wam obojgu. Z powodu dziecka. Cieszę się z waszego szczęścia.

Rozpromieniona Elise uśmiechnęła się do Tegana, po czym przelała swoją radość na Chase'a. - Dziękuję. To bardzo wiele dla mnie znaczy, Sterling. Dla nas obojga.

Tegan chrząknął, przyjął zaoferowaną rękę Chase'a i mocno nią potrząsnął. Uścisk blond wojownika nieco się przedłużył, bez wątplenia odczytywał on emocjonalną prawdę słów Sterlinga mocą swojego dotyku. Chase nie odrzucił tego mentalnego śledztwa; naprawdę nie miał nic do ukrycia. Tegan kiwnął głową, następnie cofnął dłoń i poklepał go po ramieniu. - Dobrze mieć cię tu z powrotem, Harvard.

Para ruszyła, by zająć swoje miejsca w głębi niewielkiej kaplicy.

Chase odwrócił się do Tavi. - Ona i Tegan związali się ze sobą nieco ponad rok temu. Powinienem był ci powiedzieć, że ona teraz należy do Zakonu.

- W porządku. Byłam trochę zaskoczona widząc ją tutaj, ale nic się nie stało.

Jej spojrzenie było wypełnione, nie zazdrością albo gniewem, lecz prawdziwą troską i niepokojem. - A co z tobą? - Czy dajesz sobie radę z tym, że Elise jest tutaj, związana z jednym z twoich przyjaciół?

- Pogodziłem się z tym - kiwnął głową, pocierając poduszeczką swojego kciuka grzbiet dłoni Tavi, ich palce wciąż były splecione. - Dobrze wybrała. Są dla siebie stworzeni.

Przez jeden szalony moment, wyobraził sobie siebie skojarzonego w parę, tak szczęśliwie jak Tegan i Elise. To nie było coś, czego kiedykolwiek pragnął, ale teraz, z ręką Tavi ukrytą w jego dłoni, jego umysł został zalany wytworami wyobraźni tego, co mogłaby przynieść mu przyszłość, gdyby to ona została jego spojona krwią partnerką.

Płonne marzenia.

Nadzieja na jakąkolwiek wspólną przyszłość z Tavia umarła, gdy po raz pierwszy pozwolił głodowi krwi zawładnąć sobą. Kiedy rozpoczęła się ceremonia i usiedli z Tavią w ostatnim rzędzie ławek, wciąż wmawiał sobie, że to się nie liczy.

W centralnym punkcie kaplicy Gabrielle trzymała dziecko, a Elise i inne Dawczynie Życia zapaliły osiem białych świec ustawionych wokół Dantego, Tess, Gideona, i Savannah... jako symbol nierozzerwalnej więzi łączącej ich w tym momencie. Ich czwórka nie miała na sobie białych rytualnych szat z kapturami; po prostu zabrakło czasu na ich przygotowanie pomiędzy ewakuacją z Bostonu, a dzisiejszą ceremonią. Ale mieli osiem wąskich kawałków dziewiczo białego jedwabiu i kiedy wszystkie świece zostały już zapalone, Dante, Tess, Gideon i Savannah splekli je na kształt kołyski, którą trzymali zawieszoną pomiędzy sobą, jako symboliczne połączenie rodziców i opiekunów.

Lucan zajął miejsce na środku, zwrócony twarzą do zgromadzonych i skupiony na swoim zadaniu mistrza ceremonii.

- Kto przedstawia nam dziś to dziecko?

- My - unisono odpowiedzieli Dante i Tess. - On jest naszym synem, nazywa się Xander Raphael.

Na znak Lucana, Gabrielle przyniosła nagie dziecko jego rodzicom i pozostawiła je w ramionach matki. Z Dantem trzymającym jeden koniec utkanej kołyski, oraz Gideonem i Savannah trzymającymi inne, Tess uniosła Xandera i pokazała go zgromadzeniu.

Chase siedzący obok Tavi na kościelnej ławce, mógł poczuć, jak dziewczyna wstrzymuje oddech i w ciszy, oniemiała z wrażenia obserwuje przebieg ceremonii.

- To niemowlę jest nasze - wspólnie recytowali Tess i Dante. - Nasza miłość przywiodła je na ten świat. Nasza krew i życie zapewniają mu opiekę i ochronę przed wszelkim złem. On jest naszą radością i obietnicą szczęśliwej przyszłości, najdoskonalszym symbolem łączącej nas wiecznej więzi, i mamy zaszczyt przedstawić go wam, naszej rodzinie.

- To zaszczyt również dla nas. - Odpowiedzieli wszyscy zebrani.

Nawet Chase zorientował się, że szepce tradycyjną odpowiedź, poprzedzającą główną część rytuału. W Mrocznej Przystani był świadkiem niezliczonej ilości takich obrzędów, celebrowanych śmierć, narodziny i śluby, ale ceremonie wśród jego braci wojowników były czymś rzadkim. A to... niemowlę przedstawiane zgromadzeniu... było pierwsze. Co czyniło tę uroczystość jeszcze bardziej podniosłą. Kiedy Tess włożyła swoje dziecko w ramiona Lucana i zajęła miejsce obok Dantego.

Głęboki głos Lucana zabrzmiał spokojnie i uroczyście, gdy zwrócił się do Gideona i Savannah. - Kto przysięga chronić to dziecko swoim ciałem i krwią, aż do ostatniego oddechu?

- My - para jednocześnie wypowiedziała słowo, które gorzko smakowało na języku Chase'a, kiedy niewypowiedziane zepchnął je z powrotem w głąb swojego gardła. Zobaczył, że spojrzenie Dantego odszukało go wśród osób wypełniających kaplicę i zmusił się do skinięcia głową wyrażającego szczerą aprobatę dla decyzji, którą jego przyjaciel podjął w najlepszym interesie swojego syna. Zasadność tej decyzji jeszcze dobitniej uderzyła Chase'a w następnej chwili, gdy Lucan umieścił Xandera pośrodku utkanej z jedwabiu kołyski, a Gideon przystąpił do ostatniego etapu rytuału. Unosząc nadgarstek do ust, zatopił w nim kły, po czym obrócił się i uczynił to samo z nadgarstkiem Savannah.

Chase wiedział, że to nastąpi, ale gdy tylko zapach świeżej krwi przeniknął kaplicę, jego ciało zaczęło gwałtownie drżeć. Walczył, żeby to opanować, ale głód był zbyt gwałtowny. Kły wysunęły mu się z dziąseł i wypełniły usta.

- Chase? - cicho szepnęła siedząca przy nim Tavia. - Wszystko w porządku? Wyciągnęła rękę, żeby dotknąć jego policzka, jej śliczna twarz napięła się w wyrazie niepokoju, oblewał ją blask pochodzący z jego zmienionych tęczówek.

Przed nimi, w centralnym miejscu pomieszczenia, Gideon i Savannah trzymali swoje nadgarstki ponad Xanderem, krople krwi kapały na jego nagą skórę, pieczętując ich przysięgę oddania życia w obronie tego dziecka.

Chase nie mógł tu zostać. Nie bez utraty panowania nad sobą i zrujnowania całej ceremonii. Pełen obrzydzenia do samego siebie wysliznął się z ławki i tak cicho, jak tylko potrafił opuścił kaplicę. Przemknął korytarzem do głównego pokoju i przez drzwi balkonowe wydostał się na zewnętrzny taras. Zeskoczył z niego i pobiegł w



głęboki mrok okolicznych drzew.

Do chwili, gdy wziął swój pierwszy gwałtowny wdech rzeńskiego, nocnego powietrza, był już chory z głodu, paliły go płuca i miał uczucie, jakby coś rozrywało mu żołądek na strzępy. Upadł na śnieg, opierając się na dłoniach i kolanach, chwytając jeden świszczący oddech za drugim.

- Chase?

O Chryste. Tavia. Wyszła za nim na zewnątrz. Zabijało go to, że pozwalał jej oglądać siebie w takim stanie, słabego i roztrzęsionego jak ćpun, którym był. Nigdy nie wybaczyłby sobie, gdyby w jakiś sposób ją zranił.

- Odejdź ode mnie, Taviu. Po prostu... wracaj do środka.

- Co się z tobą dzieje? Odpowiedz mi, Chase.

- Zostaw mnie, Taviu.

Drgnął, gdy pochyliła się, by dotknąć jego przygarbionych pleców. - Do kurwy nędzy, trzymaj się ode mnie z daleka!

Sapnęła w odpowiedzi na jego agresywne warknięcie, ale w jej oczach nie było żadnego strachu, żadnej litości lub odrazy. Tylko niepokój.

- Potrzebujesz pomocy. Idę do środka zawołać kogoś...

- Proszę, nie. Nie ich. - Słowa, które wychrypiał były pełne rozpacz i desperacji. Potrząsnął głową, nieszczęśliwy spojrzał w górę, wiedząc jak musiał wyglądać w jej oczach. Taki słaby. Taki poniżony. Żaloszny. Nie miał już żadnych cieni, by się za

nimi ukryć, ani brawury ni arogancji, żeby zamaskować prawdę o tym czym się stał. Jęknął, czy to z bólu wywołanego głodem krwi, czy też z powodu głębi swojego upokorzenia, nie był tego pewien. - Nie chcę żeby ktokolwiek oglądał mnie w tym stanie.

Nawet ona. Szczególnie ona, ale Tavia nie odchodziła. Nie, klękała obok niego w śniegu. Łagodnie pogłaskała jego plecy i przesunęła dłonią przez krótkie, zwilżone potem włosy.

- Wyczuwam twój głód... i twój ból. To sprawia, że cały drżysz, Chase. Mój Boże, konasz z głodu. Jeśli potrzebujesz krwi, weź ją ode mnie.

- Nie - wykrztusił zaprzeczenie, chociaż kły niemal rozerwały mu dziąsła, wysuwając się na całą długość. Gardło miał suche jak popiół, głód krwi szarpał nim jak szpony bestii. Jego świecące gorączkowym blaskiem oczy trafiły na punkt przy podstawie jej szyi, gdzie pulsowało tętno. Głód stał się bolesny i dojmujący. - Proszę cię Taviu. Wróć do środka. Zanim ja...

- Zanim napijesz się ze mnie?

Spojrzenie skierowane na niego było spokojne, nieustraszone. - W porządku, Chase. Jestem tu dla ciebie. Pozwoliłbym ci...

- Nie!

Wysyczał ostre przekleństwo i gwałtownie odwrócił głowę z dala od pokusy, jaką było jej delikatne gardło. - Nie. Z ciebie nigdy.

- Ponieważ nie chcesz się ze mną związać.

To ciche przypuszczenie było bardzo dalekie od prawdy, czego dowodem było jego dzikie, nasycone bursztynowym blaskiem spojrzenie, kiedy ponownie odwrócił twarz w jej stronę. - Ponieważ, gdy cię skosztuję, obawiam się, że nie będę mógł przestać. Ty też nie powinnaś mi ufać - jego głos niewiele różnił się od warczenia dzikiego zwierzęcia. - Jestem chory, Taviu. To trzyma mnie w swoich szponach już od dłuższego czasu. Nie jestem pewny, jak długo jeszcze zdołam z tym walczyć.

Wpatrywała się w niego, obserwując zgrzyotę, która musiała być wypisana na jego twarzy i w kłębiącej się furii dermaglifów. Wszelki kolor odpłynął z jej twarzy, kiedy dotarła do niej lodowata prawda. - Mówisz o Nałogu Krwi. Tym jest ten pierwotny, wyniszczający ból, który przez cały czas czuję w twoich żyłach. To jest uzależnienie.

Nie było żadnego sensu zaprzeczać. Była jedyną osobą, przed którą nie mógł tego ukryć, jedną osobą, której odrzucenie zraniłoby go najgłębiej. Jęknął, próbując przetrwać kolejne skurcze, które targnęły jego wnętrznościami. Pot oblał jego skórę i czoło, chłodny i wilgotny w lodowatym zimowym powietrzu. Kiedy zawładnął nim następny, gwałtowny atak bólu, to właśnie delikatne dłonie Tavi pomogły mu go przetrwać. Usiadła przy nim na zamrożonej ziemi i łagodnie, opiekuńczo głaskała jego twarz, odważna pomimo stanu, który czynił z niego niemal dziką bestię.

- Kiedy to się zaczęło, Chase? Od jak dawna z tym walczysz?

Jej dotyk dodawał mu siłę, wyciągając słowa z wysuszonego gardła, tak jak balsam wyciąga truciznę z rany. - Sześć lat - wyznał ochryple. To pojawiło się nagle i od początku było takie jak teraz, ostre i gwałtowne. Ukrywałem mój stan przed wszystkimi, od tej nocy, której zginął mój brat.

Przesunęła swoimi kojącymi palcami po napiętej linii jego zaciśniętej szczęki.- Co się zdarzyło tamtej nocy? Wiem, że coś zataiłeś, gdy pierwszy raz opowiadałeś mi o śmierci Quentina. Mówiłeś, że nic nie pamiętasz, ale ty... pamiętasz wszystko,

nieprawdaż?

Skinął głową, chory z powodu prawdy o tym, co zrobił, ale niezdolny, by ją przed nią zataić. Pamiętał każdą minutę z tych krwawych godzin z przed i po śmierci Quenta. Każdego ze Szkarłatnych, których wykończył gnany pragnieniem pomszczenia straty, jaką poniosła jego rodzina. I pamiętał wstyd z powodu swoich czynów, jaki nastąpił później, gdy poczucie winy zepchnęło go na samo dno.

- To ja zgarnąłem Szkarłatnego, który zabił mojego brata. Skurwysyn wysuszył dwie osoby za gockim barem w Cambridge. Powinienem był spopielić go na miejscu, ale to było sprzeczne z polityką Agencji - powiedział z ironią, wciąż czując palącą furie, która smakowała jak kwas na jego języku. - Więc przywlokłem go do sali przesłuchań, a Quent chciał go tam przetrzymać, żeby skruszał i wyciągnąć od niego jakieś zeznania. Był sam z tym oszalałym z żądz krwi sukinsynem zaledwie przez kilka minut. Gdy wreszcie zdołał uderzyć w przycisk alarmu, zdążył się już wykrwawić z głębokiej rany w gardle.

- Och, Chase.

Głos Tavi był zaledwie szeptem w chłodnej, nocnej bryzie, pełnym takiego samego wstrząsu i bólu, jaki teraz przepływał również przez niego, kiedy ponownie przeżywał tamte okropne chwile.

- Kiedy zgarniałem tego Szkarłatnego dokładnie go przeszukałem, ale przegapiłem jakiś ukryty nóż. Zawiodłem swojego brata - wyrzucił z siebie ordynarne przekleństwo. - Czuję się, jakbym własnoręcznie ugodził go tym nożem.

- Nie - powiedziała Tavia potrząsając głową i pogłaskała go po policzku. - Boże, nie. Nie możesz się o to obwiniać.

- Naprawdę? - jego głos był zduszony i tak zimny jak noc wokół niego. - Czy wiesz, ile razy zastanawiałem się, jak by to było żyć bez ciężaru cienia Quenta wiszącego nad moją głową? Był czas, gdy kurewsko tego pragnąłem, Taviu.

Wpatrywała się w niego, teraz bez wątpienia była zbulwersowana. Jej palce odsunęły się od jego twarzy, a westchnienie zamieniło się w mgiełkę w chłodnym powietrzu, zanim porwała je ciemność. - To nie ty go zabiłeś, Chase. Każdy popełnia błędy.

- Ale nie jeden z synów Augusta Chase'a - odpowiedział gorzko, z nienawiścią do samego siebie.

Przypomniał sobie szept, które były następstwem śmierci Quentina. Przerazenie i załamanie Elise było najgorsze do zniesienia. Jej pytania i zagubienie, gdy przybyła do centrali Agencji, by zobaczyć swojego zmarłego partnera. Wciąż jeszcze słyszał w swojej głowie: Jak to mogło się stać, Sterling? Kto przyprowadził Szkarłatnego? Kto był odpowiedzialny za jego przeszukiwanie? Sterling, proszę powiedz mi, że to nieprawda i on nie zginął!

- Chciałem to cofnąć, naprawić, ale nic nie mogłem już zrobić. Nawet zabicie Szkarłatnego, który zamordował mi brata nie zdołało zmniejszyć mojego poczucia winy.

Zaklął ordynarnie i przeciągnął dłonią po obolałych mięśniach swojej twarzy. Głód wciąż jeszcze go nękał, ale kiedy wessał mroźne powietrze do swoich płuc poczuł, że palące pragnienie powoli zaczyna słabnąć.

- Wróciłem do klubu, z pod którego zwinąłem Szkarłatnego. Był tam jeszcze jeden, czaił się na zewnątrz, w oczekiwaniu na ofiarę. Uwolniłem na niego całą swoją furję, po czym zmusiłem do zdradzenia lokalizacji ich gniazda. Banda Szkarłatnych

koczowała w magazynie na końcu ulicy Charles River. Wykończyłem ich wszystkich, brutalnie, właściwie, to skąpałem się w ich krwi. Ale nie poprzestałem na tym. Nie mogłem. Tamtej nocy zawładnęła mną przemoc. Zanim nadciągnął świt, zabiłem swojego pierwszego człowieka i stanąłem na krawędzi pragnienia, które ledwie zdołałem kontrolować. Od tamtego czasu codziennie z nim walczę.

- Nałóg Krwi - szepnęła.

Kiwnął głową. - Dość blisko, by poczuć jego smak. Istnieje w tej chorobie krytyczny punkt, granica, której jeszcze nie przekroczyłem. Jeśli to zrobię, zmienię się w Szkarłatnego i będę zgubiony.

- Tak jak syn Quentina i Elise? - zapytała i zmarszczyła brwi.- Mówiłeś mi, że właśnie to się z nim stało, zanim...

- Zanim go zastrzeliłem - dokończył z goryczą. - Taaa. Ale z Camdenem było inaczej. Nim zawładnął narkotykiem, który w zeszłym roku krążył po bostońskich klubach. Nazywał się Szkarłat. To gówno było niesamowicie silne, mieszanka heroiny z kokainą wyprodukowana specjalnie dla Rasy. Jeden niuch albo szczypta tego czerwonego proszku i wszystko o czym mogłeś myśleć to pieprzenie, walka, albo rozrywanie kłami każdego, kto znalazł się w twoim zasięgu.

- Mój Boże - wydyszała Tavia. - To brzmi okropnie.

- Chase chrząknął.- Nie, jeśli jesteś młodym mężczyzną, który kona z nudów w swojej Mrocznej Przystani. Zajadali się nim jak cukierkami, lecz niektórzy z nich na własnej skórze przekonali się, że ten narkotyk był skrótem do Nałogu Krwi. Cam był jednym z nich.

- Przykro mi.

- Wzruszył ramionami. - Mnie również. Razem z Zakonem zlokalizowaliśmy laboratorium i dilerę, a także zniszczyliśmy wszystkie zapasy tego świństwa. No dobrze... prawie wszystkie. Jedną fiołkę zatrzymałem. Ostatnią dawkę, wystarczającą ilość, by okazała się śmiertelna.

- To ta srebrna ampułka, którą znalazłam w twoim biurku - mruknęła Tavia. - Po co przechowujesz coś takiego?

Nie musiał odpowiadać. Była w stanie dość wyraźnie zrozumieć, jak funkcjonował jego umysł. Dawka Szkarłatu była swoistym planem ucieczki, jego srebrną kulą, jeśli nie byłby już w stanie walczyć z Nałogiem Krwi. Co wydawało się być bardziej kwestią *kiedy*, niż *jeśli*.

Znowu zaklął. Odejść. Oto, co powinien był zrobić... tak samo jak robił to za każdym razem, gdy całe to gówno stawało się dla niego nazbyt rzeczywiste i zbyt ciężkie do zniesienia. Jakaś jego część pragnęła nie oglądając się za siebie zniknąć w mroku nocy. Tylko biec, aż spotkałby dzień i wszystkie jego problemy... wszystkie godne potępienia niepowodzenia, minione, obecne, i przyszłe... zostałyby wypalone przez słońce.

To byłoby takie łatwe. Łatwiejsze od siedzenia tutaj, podczas gdy był zalewany zimnym potem i skręcał się od skurczy przeszywających jego ciało. Łatwiejsze od obnażenia swoich najohydniejszych grzechów i słabości i oczekiwania na to, że niepokój i zrozumienie w oczach Tavi zamieni się w uzasadnioną pogardę. Albo jeszcze gorzej... w litość.

Ale Tavia nie uciekała spojrzeniem. Te czyste, spokojne, soczyście zielone oczy były dla niego, w tych ciemnościach jak pieszczota. Kiedy w nie patrzył, zdał sobie sprawę, że dziki blask jego własnych oczu zaczął przygasać. Jego tęczywki już nie kapały jej twarzy w złocistym blasku. Przez ten czas, kiedy był razem z nią

złagodniało nawet spowodowane głodem pulsowanie kłóć.

- Jeszcze nie przegrałeś tej walki, Chase - powiedziała mu. - Czy istnieje coś, co można zrobić, żeby ci pomóc? Może mogłabym jakoś ci pomóc? Chciałabym spróbować, gdybyś mi pozwolił.

Patrzył na nią, obezwładniony przez prawdziwe współczucie... przez głębię uczuć, które ledwie mógł pojąć, a które sprawiały, że jej piękna twarz lśniła nieziemskim blaskiem. Nie mógł powstrzymać się od pogłaskania jej policzka.

- Jak możesz być dla mnie taka opiekuńcza po tym wszystkim, co właśnie usłyszałaś? Podczas gdy ja potrafiłem tylko od pierwszej chwili, w której mnie spotkałaś, czynić piekło z twojego życia?

- To nie ty jesteś odpowiedzialny za to piekło, tylko Dragos.

Dłonie dotykające jego twarzy, gdy przyciągała ją do siebie, by wycisnąć na jego wargach krótki pocałunek były ciepłe i kojące.

- Ty mówiłeś mi tylko prawdę, Chase. Od samego początku. Otworzyłeś mi oczy. Może nie podoba mi się wszystko, co widzę, ale to jest rzeczywiste, szczere i wreszcie czuję, że naprawdę żyję. Podarowałaś mi to wszystko.

Przeklął pod nosem, zastanawiając się jak to się stało, że pozwolił, by ta kobieta tak mocno zaszła mu za skórę. A co gorsze znalazła drogę również do jego serca i krwiobiegu. Ironią było, że znalazł ją właśnie teraz, gdy ostatnią rzeczą, jakiej powinien pragnąć... ostatnią rzeczą, na którą zasługiwał... była kobieta tak niezwykła jak Tavia Fairchild. Bez względu na to, czy na nią zasłużył, Chase nie mógł powstrzymać się od tego, by objąć jej kark i przyciągnąć ją do pocałunku. Jej usta smakowały tak słodko. To było takie dobre i ciepłe uczucie, gdy przytuliła się do



niego i rozchyliła wargi witając w ustach dotyk jego języka. Mógłby całować ją przez całą noc. Mógłby, gdyby nie nagłe okrzyki dzieci wypadających z domu, by pobawić się na śniegu. Chase obrócił głowę, by zobaczyć Mirę, Kellana i Nathana zeskakujących z tarasu i wybiegających na otoczone sosnami podwórze, razem z dwoma czworonogami należącymi do Zakonu... eleganckim Alaskaninem, szaro białym wilczarzem i niezgrabnym brązowym kundlem nieco podobnym do teriera, należącym do Dantego i Tess.

Dzieci skręciły na prawo, ledwie na chwilę zatrzymując się, żeby zauważyć przytulonych Chase'a i Tavię. Kellan schylił się, by złapać garść śniegu i ulepił z niego śnieżkę. Rzucił nią w Mirę, chybiając zaledwie o kilka cali, ponieważ się uchyliła, a p chwili odplącała mu własnym śnieżnym pociskiem. Śnieżka trafiła nastolatka prosto w pierś.

- Dobry strzał - zawołał do niej Chase i posłał małemu, jasnowłosemu chochlikowi szeroki uśmiech.

Więcej białych pocisków przeleciało pomiędzy Mirą, a dwoma chłopcami, dopóki nagle Chase i Tavia, nie zauważyli, że znaleźli się pod obstrzałem tego rozbawionego tria. Zerwali się na nogi, Tavia chichotała, kiedy Chase dla bezpieczeństwa próbował wciągnąć ją za pień grubej sosny. Jedna ze śnieżek Nathana uderzyła go w tył głowy, sprawiając, że lodowaty pył obsypał mu kark i dostał się za kołnierz koszuli.

- To oznacza wojnę - wykrzyknął, łapiąc garść śniegu i rzucając nim w stronę dzieci i szczekających, skaczących wokół nich psów. Chichot Tavi był najcudowniejszym dźwiękiem, jaki kiedykolwiek słyszał. Okręcił ją z dzikim, beztroskim okrzykiem.

- Myślisz, że to jest zabawne, kobieto?

Jej uśmiech stał się jeszcze szerszy, a oczy promieniowały zarówno ciepłem, jak i radością. Skradał się ku niej, również się uśmiechając. Goręcej niż powinien, wiedząc

że obok w lesie bawiły się dzieci. - Czy jesteś pewna, że mnie chcesz?

Tavia odpowiedziała mu niesamowicie zachęcającym spojrzeniem. - Myślisz, że zdołasz to udźwignąć?

- Wypróbuj mnie - szepnął, przyciągnął ją do siebie i pocałował, jakby nigdy nie miało być jutra.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 29



W TYM SAMYM CZASIE, głębiej w lesie, roześmiany Kellan z policzkami zaróżowionymi od chłodu, rękami w rękawiczkach, zgarnął garść śniegu, obrócił się gwałtownie i z woleja walnął nim w stronę Nathana.

Chłopiec zniknął.

Z lewej strony dobiegły go chichoty Miry i szczekanie psów, podążających za nią przez gęsty las. Kellan przystanął nasłuchując w milczeniu. Przeszukując ciemności w poszukiwaniu Nathana, spodziewając się, nagłego, lodowatego bombardowania śnieżkami.

To była tylko pozorowana wojna; Kellan zdawał sobie z tego sprawę. Ale poczuł w sobie ducha rywalizacji... dojmujące pragnienie, by sprawdzić się w walce, szczególnie przeciwko temu obcemu przybyszowi, który był stworzony i trenowany przez drania odpowiedzialnego za wymordowanie jego rodziny.

Uwolnione zmysły chłopca poszybowały w górę powodując lekki ruch powietrza. Nathan szedł teraz pomiędzy drzewami. Instynkt kazał Kellanowi ruszyć bezszelestnym, skradającym się truchtem, by sprytnie przeciąć mu drogę.

Znalazł Nathana, cicho obserwującego Mirę bawiącą się z psami. W dłoni trzymał śnieżkę. W następnej sekundzie rzucił nią w dziewczynkę. Uderzyła w nią jak pocisk, trafiając w środek pleców. Upadła jak zestrzelona, wydając z siebie okrzyk zaskoczenia. Siła ciosu sprawiła, że wylądowała twarzą w zaspie.

- Mira! - wykrzyknął Kellan, wyskakując ze swojej kryjówki pomiędzy sosnami.

Zauważył wyraz zdziwienia na twarzy Nathana. On nie miał zamiaru jej skrzywdzić. Ale dla Kellana to nie miało żadnego znaczenia. Jego zmysły zapłonęły jak rzymskie ognie. Odbierająca rozum mieszanina obawy i agresji w jednej chwili wypełniła jego żyły. Z rykiem rzucił swoją kulę w Nathana, celowo używając w stosunku do napastnika Miry jak największej siły.

Nathan uchylił się i pytająco przechylił głowę. Po czym położył się na śniegu i rozpoczął kontratak. Ciskał jedną śnieżkę za drugą, nieprzerwany grad, który z siłą stu pięści uderzał w plecy Kallana. Gniew chłopca stał się jeszcze silniejszy. Uczucie bezsilności rozpaliło w nim białą furję, która eksplodowała z jego ust ochryplym rykiem. Wyprostował się i skoczył na Nathana, pragnąc poczęstować pięścią stoicką twarz młodego łowcy.

Nathan z łatwością odparował cios. Poruszał się bardzo szybko, Kellan nawet nie zauważył zastosowanego bloku, dopóki nie zorientował się, że upadł na plecy, a całe powietrze zostało wybite z jego płuc z głośnym świstem.

Nathan miał go w swojej mocy, całkowicie obezwładnionego. Zimna, mokra dłoń zaciskała się wokół gardła Kellana, tylko sekundy dzieliły go od zmiżdżenia krtani.

Nie mógł oddychać.

- Stop! - wrzasnęła Mira. Podbiegła do nich z dzikimi oczyma. Szarpnęła Nathana za ramiona, jednak on wciąż mocno ścisnął szyję Kellana. - Nathan, przestań! Zabijesz go!

Jej ingerencja sprawiła, że gniew Kellana jakoś się wypalił. Kiedy zelżał nacisk na jego gardle, pozostało tylko rozsadzające skronie zażenowanie, upokorzenie i bezsilne oburzenie.

Nathan uwolnił go bez słowa przeprosin. Wstał i bez cienia wyrzutów sumienia obserwował, jak Kellan kasłał i sapał z trudem chwytając powietrze. Twarz Miry wypełniał niepokój, kiedy przykucnęła przy nim i niepewnie położyła rękę na jego ramieniu. Kellan odtrącił ją, nienawidząc tego, czego musiała być świadkiem. Jego upokorzenia.

Z trudem spojrzał w górę napotykając spokojne spojrzenie chłopca, który zapewne miał na swoim sumieniu śmierć ponad tuzina mężczyzn, z których każdy był prawdopodobnie groźniejszym przeciwnikiem niż Kellan miał nadzieję kiedykolwiek być. Chłopak podziwiał ten rodzaj śmiercionośnego wyszkolenia. Potrzebował go, jeśli miał przeżyć w świecie, który stworzy zdegenerowany umysł Dragosa. Jeśli miał zamiar pomścić śmierć swojej rodziny, jako wojownik Zakonu, którym stanie się pewnego dnia, lub na własną rękę, będzie potrzebował takiego samego zimnego talentu... tego samego chłodnego emocjonalnego dystansu... jaki dostrzegał w spoglądających na niego, beznamiętnych oczach Nathana.

Kellan potarł swoje obolałe gardło. Palony kwasem upokorzenia, jakiego doznał w obecności Miry, spojrzał na nastolatka, który był tak skuteczny w zadawaniu śmierci. Z trudem wydobywając głos powiedział. - Naucz mnie wszystkiego, co umiesz.

TAVIA LEŻAŁA odurzona rozkoszą pośrodku ogromnego łóżka znajdującego się w ich pokoju, jej kończyny splątane były z nogami Chase'a. Straciła rachubę, ile razy się kochali. Zaczęli wieczorem zaraz po bitwie na śnieżki, a potem znowu, po tym jak spędzili osobno większą część dnia... Tavia z Elise i innymi Dawczyniami Życia, dzieląc z nimi posiłki i prowadząc przyjemne rozmowy; Chase pochłonięty prywatnym spotkaniem z Lucanem, Gideonem, Teganem, i resztą wojowników. Teraz kolejna noc pomalutku zdążała w kierunku świtu, który rozkwitał po drugiej stronie zabezpieczonych roletami okien, a Tavia była błogo i gruntownie zaspokojona.

Miała zamknięte oczy, nasycona, pogrążona w leniwej drzemce, poczuła, jak Chase delikatnie poruszył się obok niej na łóżku. Pocałował jej powieki, najpierw jedną, potem drugą, jego wargi były łagodne, natomiast penis ocierał się o jej biodro w jawnym żądaniu.

- Mhmm - Jęknęła, jej usta wygięły się w uśmiechu, gdy unosiła swoje ciężkie powieki. - Dzień dobry. Wczesnie wstałeś.

- Jeśli będziesz w pobliżu mnie, gwarantuję, że zawsze będę w pionie.

Spojrzała w jego wyraziście niebieskie oczy i uśmiechnęła się. - To dobrze, że ja również posiadam geny Rasy. W innym wypadku nigdy nie zdołałabym dotrzeć ci kroku.

- Taaa, ale upewniłbym się, że dobrze się bawisz próbując.

Pocałował ją, długo i powoli, budząc i rozgrzewając jej zmysły. - Wesółch Świąt, moja piękna.

- Mamy Boże Narodzenie?

Policzyła w myślach i zdała sobie sprawę, że to naprawdę ten dzień. - Nigdy, nawet w najśmielszych wyobrażeniach nie przypuszczam, że w świąteczny poranek obudzę się naga w ramionach wampira.

Uśmiechnął się. - Święty Mikołaj już tu był. Chcesz zobaczyć co ci przyniósł?

Roześmiała się. - Czy to jest duże?

Jego oczy błysnęły szatańsko, rozświetlone bursztynowymi iskrami. - Bardzo duże.

- Z dużą czerwoną kokardą?

Spojrzał w dół i wzruszył ramionami, jego usta wygięły się w sardonicznym uśmiechu, który ukazał czubki kłów. - A co powiesz, na zawadiacką czapeczkę zamiast kokardy?

Wciąż jeszcze chichotała, kiedy znowu ją pocałował. Lecz gdy wśliznął się w jej wilgotne wnętrze, chichot zamienił się w westchnienie, a następnie w jęki przyjemności. Już zdążył się nauczyć się, jak grać na każdym calu jej ciała, i był bezwzględny w swoim uwodzeniu. Poddała się mu całkowicie, krzycząc, kiedy powiódł ją ku błyskawicznemu, ognistemu orgazmowi.

Mój Boże - wydyszała, kły wypełniły jej usta, gdy popychał ją ku kolejnemu wstrząsającemu spełnieniu. - To będą dla mnie niesamowite Święta.

Warknięcie, które usłyszała w odpowiedzi było wypełnione czystą męską dumą.

- Musisz zobaczyć, co ci dam na urodziny.

Uśmiechnęła się sennie i spojrzała na niego. Teraz widok Chase'a w tak intymnej sytuacji, wydawał się jej tak dobrze znany i właściwy. Uczucie jego nagiego ciała

napierającego na jej własne było dla niej tak naturalne, jak oddychanie, jak bicie serca. A gorący węzeł, który tak mocno zaciskał się w jej piersi, przemieścił się w dół, do samego jądra jej kobiecości, to był ból, jaki pragnęła odczuwać wiecznie. W głębi duszy, zastanawiała się, czy powinna się obawiać.

Ponieważ, zdała sobie sprawę, że zakochała się w Sterlingu Chase.

## ROZDZIAŁ 30



KOSZMAR DOPADŁ JENNEŻ zupełnie niespodziewanie. Przysypiając w ramionach Brocka, co chwilę budziła się i zasypiała, przenosząc się z jednego kruchego, wykreowanego przez senne marzenia krajobrazu do innego.

W pewnym momencie okryła ją zasłona ciemno-szarej mgły. Bez ostrzeżenia uniosła ją, wyrrywając z własnej świadomości i przenosząc do umysłu innego bytu.

Starożytnego.

Ten obcy pierwiastek połączył się z jej własnym, ludzkim, wzmacniając tą część, która kiedyś była śmiertelna.

Stwarzając coś... *innego*.

To właśnie ta część rządziła teraz w jej myślach, kiedy gęsta mgła wciągała ją coraz głębiej w sferę jego wspomnień. Dryfując w niej znalazła się w mrocznym cieniu gęstej, pierwotnej puszczy, którą otaczały strzeliste, poszczerbione szczyty piaskowca. Płonące w oddali, potężne pożary spowijały krajobraz dymem i wirującym popiołem.

Pobiegła w ich kierunku, metalowy pancerz przypięty do jej pokrytej glifami piersi i ud, pobrząkiwał za każdym długim krokiem bosych, zakrwawionych stóp.

W dłoni kurczowo zaciskała długi miecz, prymitywne narzędzie świata ludzi, składające się z kutego ostrza i owiniętej skórą rękojeści. Ale musiało wystarczyć. Ten miecz ściał dzisiejszej nocy więcej niż jedną głowę jego wrogów. A za parę chwil miał nakarmić się ponownie.

Sypka ziemia chrzęściła pod stopami, gdy biegła w kierunku dymu z płonącego obozowiska. Niektórzy z jej braci już tam byli, zwarci w walce z legionem, na który polowali przez wiele długich wieków i kontynentów. Niesamowity okrzyk wojenny Jenny zatrzęsł patykowatymi sosnami i wieżami bazaltu, gdy ruszyła naprzód, przez kurtynę gęstego, czarnego dymu i leżące na skrwawionej ziemi pozostałości masakry.

W odpowiedzi, masywna sylwetka wrogiego wojownika uniosła się z przysiadu znad jednego z poległych.

Jenna poprowadziła swój miecz błyskawicznym, śmiercionośnym łukiem, wówczas na nią spojrział. Długie włosy blond, zebrane w cienkie warkoczyki, sztywne od wyschniętej krwi i potu, zakołysały się wokół jego twarzy, gdy odwrócił się gwałtownie, aby sprostać zagrożeniu, jakie niosła ze sobą jej obecność.

Nie nosił żadnej osłony na swojej nagiej piersi, miał tylko metalowe obręcze wciśnięte na przedramiona. Luźne, białe, pokryte krwią i brudem spodnie strażnika, zwieszały się w strzępach nad ubranymi w sandały stopami.

Gdy zbliżyło się do niego prymitywne ostrze Jenny, zablokował uderzenie błyskawicznym skrętem swojej trzymanej oburącz, lśniącej włóczni. Broń uderzyła o siebie, miecz wydał z siebie metaliczny protest, kiedy pika odchyliła kierunek uderzenia i posłała jego impet w dół.



Jenna poczuła poruszenie swoich ust, nienależący do niej głos wymówił słowa w dawno martwym języku, który nie był również mową Starożytnego. - Twoja królowa nie może ukrywać się wiecznie, Atlanto.

- Nie - odpowiedział wojownik, jego oczy zwęziły się w gwałtownej furii. - Ale ona nie potrzebuje wieczności. Chce tylko przetrwać ciebie i twój brutalny rodzaj. I tak się stanie.

Poruszył długą lancą i w poświacie otaczających ich, wzbijających się ku niebu języków płomieni, błysnął symbol, który zdobił rękojeść dzidy i lśniąca metalowa mankiety na jego ramionach: to był sierp księżyca, umieszczony tak, by schwytać spadającą łzę, która wisiała w powietrzu nad jego kołyską.

*Taki sam symbol, jaki każda Dawczyni Życia nosiła od urodzenia, jako znamię gdzieś na swoim ciele.*

Jenna nie miała czasu na przetrwanie tej niezwyklej rewelacji, lub studiowanie konsekwencji, jakie mogła ona ze sobą przynosić.

W polu widzenia pojawiło się jej ramię i wysoko uniesiony miecz. Zamachnęła się, używając całej swojej nadnaturalnej mocy. Jej wróg uchylił się, jednak o ułamek sekundy za późno.

Cios trafił go w ramię, żelazne ostrze rozcięło ciało, kości i ścięgna. Krew bryznęła jak z fontanny, a niemal odcięte ramię wojownika opadło bezużytecznie. W kołysce jego dłoni, pojawiło się jaskrawe światło, ognisty symbol o takim samym kształcie, jaki nosił na swoich naramiennikach i broni. Był ranny i osłabiony, ale potrzeba było czegoś więcej niż odcięta kończyna, by położyć kres życiu nieśmiertelnego wojownika.

Jenna wciągnęła w płuca zapach życiodajnej krwi swojego wroga i poczuła

gwałtownie narastającą, radosną ekscytację.

Wydała z siebie zwycięski okrzyk. Była niepowstrzymanym zdobywcą. Cofnęła ostrze i pozwoliła mu opaść ponownie, zatapiając je głęboko w szyi przeciwnika. Gdy głowa oderwała się od ciała, buchnęło światło. Blask był czysty i oślepiający, mlecznobiały jak księżyc w pełni, wiszący na nocnym niebie. Promień rozszerzył się i rozblysnął jaśniej, niesamowicie jasno... po czym zgasł. Nieśmiertelny płomień zgasł na zawsze, zdmuchnięty ostrzem miecza, który trzymała dłonią obcego.

- Jenna!

Głęboki głos wołał do niej przez klębiącą się sadzę i zgiełk bitwy rozgrywającej się niedaleko miejsca, w którym stała.

Silne dłonie chwyciły ją i potrząsnęły gwałtownie. - Jenna, słyszysz mnie? Jenna, obudź się do cholery!

Wyrwała się z koszmaru gwałtownie chwytając powietrze, trzymając się kurczowo Brocka, który teraz siedział przy niej na łóżku. Oczy miał rozszerzone przerażeniem. A jego duże dłonie wędrowały po jej twarzy odsuwając na bok kosmyki włosów, które przyłgnęły do jej wilgotnego od potu czoła.

Wpatrywała się w niego, próbując pojąć sens tego, czego właśnie była świadkiem. W końcu wszystko, co była zdolna uczynić, to drżącym głosem wydusić z siebie parę słów. - Co za popieprzone gównno.

LUCAN SPACEROWAŁ w tą i z powrotem po ograniczonej przestrzeni swojej sypialni, podenerwowany i niespokojny, pomimo że jego ciało było fizycznie zaspokojone. Za zamkniętymi okiennicami ich nowej tymczasowej centrali był

właśnie wczesny poranek. Boże Narodzenie, do kurwy nędzy.

Nie miał ochoty świętować. Pragnął przypasać broń, wdziąć rynsztunek bojowy i rozpoczynając tą przekłętą wojnę ruszyć prosto do kryjówki Dragosa. Chciał to wszystko wreszcie zakończyć, najlepiej mając Dragosa pod obcasem swojego buta, krwawiącego i pokonanego, błagającego o litość, na którą nigdy nie mógłby liczyć.

Pragnął tego z niepohamowaną zaciekłością.

Tym bardziej, kiedy rozważył obietnicę, jaką dał Gabrielle, gdy kochali się na łóżku, w którym teraz spała, słodka i śliczna jak marzenie. Przy następnym cyklu nowiu księżyca, Lucan miał dać jej syna. Równie mocno, jak był przeciwny tym planom, jakaś jego część tego pragnęła. A może jeszcze bardziej.

Przez dziewięć długich wieków, z własnego wyboru samotnie wędrował po świecie. Miał swoich walecznych braci, ale... Dawczyni Życia, dzieci, rodzina... nie było tym, czego kiedykolwiek pragnął. Dopóki na jego drodze nie pojawiła się kasztanowłosa piękność z łagodnymi brązowymi oczyma, oraz nieustraszoną sercem lwicy i nie sprawiła, że wszystkie jego postanowienia w jednej chwili stały się nieważne. Nigdy nie wyobrażał sobie, że może zakochać się tak głęboko, tak całkowicie. Strach przed nieznaną przyszłością trudno było pogodzić z uwielbieniem, jakie odczuwał do tej niesamowitej kobiety, którą los przeznaczył na jego partnerkę. I jak powiedział Tegan, świadomość tego, że świat, za który walczyli będzie należał do ich synów sprawiała, że jego determinacja by był on szczęśliwy i spokojny płonęła jeszcze jaśniejszym płomieniem.

Lucan wrócił do łóżka i pochylił się, by złożyć delikatny pocałunek na policzku swojej Dawczyni Życia. Krótkie muśnięcie jego warg sprawiło, że się poruszyła, a następnie posłała mu uśmiech, wciąż jeszcze pogrążona w lekkim półśnie.

- Dzień dobry - wymruczał łagodnie.- Śpij, moja miłości. Nie chciałem cię obudzić. Idę na dół do laboratorium, przejrzeć pewne dokumenty przywiezione z Nowego Orleanu.

- Są święta - przypomniała mu, jej głos był ochryply i senny. Zbyt kuszący. Przeciągnęła się z kocia gracją i przekręciła na plecy, by odwrócić się do niego twarzą. - Wracaj do łóżka.

Boże, miał na to wielką ochotę. - Spędzę tam tylko kilka godzin. Chcę poświęcić temu trochę czasu, kiedy reszta domu jeszcze śpi. Odpoczywaj, niedługo będę z powrotem.

Jęk, jaki z siebie wydała w odpowiedzi był omdlewający i zadyszany. Co sprawiło, że miał ochotę wpełznąć pod kołdrę i spowodować, że zrobi to jeszcze raz. Najlepiej podczas szczytowania na jego ustach.

Oddalił się od łóżka, wciągnął na siebie czysty czarny T-shirt i bojówki. Gabrielle ponownie głęboko zasnęła, delikatnie posapując przez rozchylone usta. Uśmiechnął się szczęśliwy, mogąc na nią po prostu patrzeć.

Chryste, nieźle oszalał na jej punkcie. I nie chciał, żeby było inaczej.

Kiedy wyszedł na korytarz, cicho zamykając za sobą drzwi do sypialni, wciąż uśmiechał się jak głupiec ugodzony strzałą Amora. W kłębi korytarza otworzyły się inne drzwi i na paluszkach wysunęła się z nich Mira, różowy szlafroczek powiewał wokół jej kostek, kiedy w pośpiechu biegła przez korytarz. Jej jasne włoski były potargane, a oczy przymknięte i opuchnięte od snu. Biegła na oślep, skupiona na swoim celu, prawie wpadając na niego.

- Och - sapnęła, kiedy przytrzymał ją oburącz, chroniąc przed upadkiem.

- Myślałam, że słyszę Świętego Mikołaja.

- To nie Święty Mikołaj - zachichotał Lucan i schylił się do jej poziomu. - Tylko ja...

Kiedy odsunął zmierzwiłone włoski z jej twarzy, oczy Miry dotknęły jego własnych. Spodziewał się, że zobaczy jej fiołkowe, robione na zamówienie szkła kontaktowe. Soczewki, które były wyprodukowane specjalnie po to, żeby tłumić dar tej młodziutkiej Dawczyni Życia. Zamiast tego, Lucan zorientował się, że wpatruje się w przejrzyste, podobne do lustrzanych jezior, pełne mocy oczy jasnowidzącego dziecka.

Wizja jak pocisk uderzyła w jego mózg. Wypełniona krwią. Przerażająca.

- Och, nie! - Krzyknęła Mira. Od razu zdała sobie sprawę ze swojego błędu i uniosła dłonie, by ochronić go przed mocą swoich oczu. - Moje soczewki. Zapomniałam je założyć. Lucan, przepraszam!

- Ciiii - uspokajał ją Lucan, ponieważ wybuchnęła płaczem. Przytulił ją do siebie, obdarzając kojącym uściskiem, gdy dziewczynka szlochała z powodu wyrzutów sumienia. - Wszystko w porządku, Mira. Nie zrobiłaś nic złego.

Odsunęła się, teraz ostrożnie zakrywała oczy ramieniem. Co widziałeś, Lucan? Czy to było coś złego?

- Nie - skłamał.- To nie było nic ważnego. Nie martw się, wszystko jest w porządku.

Ale w tym samym momencie, gdy wypowiadał te słowa, rozwarła się w nim mroczna, ziejąca otchłań strachu. Dar Miry ukazał mu migawkę przyszłości, bardziej ponurą niż najgorszy z jego niezliczonych, katastroficznych scenariuszy.

ROZDZIAŁ 31



- JESZCZE TYLKO JEDNA i powinno wystarczyć, Taviu - powiedział Gideon z drugiej strony swojego prowizorycznego laboratorium. - Trzymasz się, Harvard?

Chase tylko mruknął w odpowiedzi, to było wszystko, co zdołał z siebie wydusić, gdy wojownik zabrał ostatnią z półtuzina wypełnionych krwią probówek, którą pobrał z ramienia Tavi.

Chase czuł się jak cipa, siedząc dokładnie naprzeciwko nich podczas trwania tej procedury i z całych sił próbując nie patrzeć na te napełniające się fiołki, by nie obudzić swojej dzikiej natury. Kły eksplodowały mu z dziąseł w chwili, gdy igła po raz pierwszy przebiła skórę Tavi, a pod wpływem niepowtarzalnego zapachu jej krwi jego głód nasilił się powodując gorączkowe drżenie.

Jeśli przebywanie tutaj, gdy jego ciało było napięte jak cięciwa łuku na krawędzi pragnienia było dla niego niesamowicie trudne, to siedzenie i czekanie na korytarzu, podczas gdy Tavia przechodziła przez różnorodne testy i badania absolutnie nie wchodziło w rachubę.

Na szczęście, Gideon przeprowadził to szybko i sprawnie. - To wszystko, oznajmił chwilę później.

Chase podszedł bliżej, kiedy jasnowłose wojownik pozbiierał próbki krwi, DNA i wymazy, by przygotować je do przetestowania. - Wszystko w porządku? - zapytał

Tavię, w tym momencie troska o nią przesłoniła jego własne problemy.

- Bułka z masłem - odpowiedziała, odwijając długi rękaw swetra i przykrywając nim swoje pokryte glifami przedramię. Spędziłam całe swoje dwadzieścia siedem lat życia na ciągłych wizytach w prywatnej klinice i różnorodnych testach. Jestem przyzwyczajona do klucia i tego, że coś wtykają mi do ust.

Uśmiech Chase'a wyrażał teraz inny rodzaj głodu. - Nie chcę, żebyś przyzwyczajała się, że ktoś coś ci wtyka, chyba że tym kimś jestem ja.

To, co powiedział było bardzo zaborcze i chociaż nie miał prawa tak myśleć, słowa same spłynęły z jego języka i nie miał zamiaru za nie przeproszać. Minione godziny spędził z Tavią... obnażając przed nią swoją duszę, śmiejąc się z nią, kochając, i w pewnej chwili stało się to czymś więcej niż zwykłym uprawianiem miłości... coś zakotwiczyło się w jego sercu, tak głęboko, że zastanawiał się, czy kiedykolwiek zdołałby to wyrwać.

Nie, żeby tego chciał.

I to właśnie było jego piekło.

Łaknął tej kobiety, dbał o nią bardziej niż o kogokolwiek lub cokolwiek w całym swoim życiu. Jakaś rozpaczliwa, pełna nadziei cząstka niego zastanawiała się, czy pustka, którą ona wypełniła w jego sercu, nie rozrośnie się pewnego dnia stając się bardziej żarłoczna i grożąc, że go zniszczy.

- Okay, dzieciaki - oznajmił Gideon, gdy wrócił do pokoju. - Jeszcze dzisiaj zajmę się pracą nad analizą krwi i tkanek. Za kilka dni powinniśmy mieć pełne wyniki, ale w oparciu o to, co już tu zobaczyłem, w połączeniu z danymi, które znaleźliście w klinice starego poczciwego Dr. Sługusa, myślę, że jest całkiem oczywiste, co one

mogą nam powiedzieć.

Przezeszał palcami jasne kosmyki krótko ostrzyżonych włosów i wydał z siebie pełen zachwytu chichot. - Nigdy nawet nie śniłem, że nadejdzie taki dzień, iż dane mi będzie osobiście przebywać w towarzystwie kobiety pochodzącej z Rasy... nawet pomijając to, że będzie ona należała do pierwszego pokolenia, oraz posiadała również DNA Dawczyni Życia. Możesz koegzystować z ludźmi, jeśli zajdzie taka potrzeba, przeżyć na krwi albo zwykłym jedzeniu, i wychodzić za dnia bez ugotowania się po kilku minutach. Mój Boże, Taviu. Jesteś absolutnie niezwykła.

Uśmiechnęła się.- Hej Gideon, widziałam, jak wyczyniałeś cuda na tych komputerach. Sam też nie jesteś najgorszy.

Chase chrząknął, rzucając wojownikowi spojrzenie spod uniesionej brwi. - Taaa, i przyszło mi na myśl, że jak na jeden dzień już wystarczająco długo byłeś z nią *osobiście i blisko*.

Gideon rzucił Tavi porozumiewawczy uśmiech. - Co mogę na to odpowiedzieć? On staje się cholernie zazdrosny, gdy z tobą flirtuję. To może stanowić dla nas pewien problem.

Śmiała się razem z nim, świadoma jak wszyscy inni, że obecny tu geniusz Zakonu, był bez reszty oddany swojej Dawczyni Życia, Savannah.

Gideon obserwował Tavię z nieukrywaną fascynacją, kręcąc głową i krzyżując ramiona na piersi okrytej szarym podkoszulkiem Boondock'a.- Czy rozważałaś posiadanie potomstwa?

- Dzieci? - Tavia rzuciła spłoszone spojrzenie na Chase'a.? - Och...



- Oj, nie żebym cokolwiek sugerował - wtrącił szybko. Chciałem tylko podkreślić, że z czysto genetycznego punktu widzenia, istnieją, niesamowite... coś ekscytujące możliwości. Delikatnie mówiąc, to jest co najmniej intrygujące. Nie sądzisz, Harvard?

Chase nie był zdolny wydusić z siebie słowa, nawet gdyby bardzo tego chciał. Myśl, że Tavia mogłaby być w ciąży, równocześnie ogłupiła go i pozbawiła języka w gębie. Nie mógł sobie wyobrazić niczego potężniejszego niż to, że mogłaby urodzić jego dziecko. Fakt, że jej potomstwo oznaczałyby początek całkowicie nowej generacji Rasy zbladł w porównaniu z uczuciem, które zalało Chase'a gdy wyobraził sobie siebie jako ojca jej synów.

Albo, Chryste ... jej córek.

Oczy Tavi były wpatrzone w jego twarz i zastanawiał się, czy jej więź do niego mogła zdradzić siłę jego reakcji. Nie był w stanie ukryć tego, co poczuł, nie przed nią. I nawet bez więzi krwi, która powiedziała jej jak mocno na niego działała, zdradziłoby go wymowne, pełne żaru spojrzenie.

Gideon odchrząknął w ciężkiej ciszy pokoju. Mówiłaś, że w dokumentach kliniki znalazłaś inne przypadki, takie jak twój, Taviu?

Kiwnęła głową. - Dr. Lewis traktował innych jak mnie, ale biorąc pod uwagę informacje zawarte w aktach zakładamy, że wszyscy pacjenci zmarli. Jeśli istniały kartoteki kogoś, kto zdołał przeżyć, to gdy przeszukiwaliśmy recepcję kliniki nie udało mi się do nich dotrzeć.

- Ale musimy przyjąć, że mogą istnieć osoby podobne do ciebie - powiedział Gideon. - Znając Dragosa, mógłbym się o to założyć. Kobiety, które tak samo jak ty, tkwią uwięzione w normalnych ludzkich życiach. Kobiety, którym wkrótce

zabraknie leków i zaczną w taki sam sposób jak ty przekształcać się, wracając do ich prawdziwej natury Rasy.

- O mój Boże - odpowiedziała.- Jeśli to prawda... jeśli coś takiego miałyby się wydarzyć...

Gideon pokiwał głową. - To byłaby katastrofa.

- I zakładając, że są inne - wtrącił Chase. - Nie chcę nawet myśleć, w jaki sposób Dragos mógłby spożytkować ich zdolności. W przypadku Tavi, to była pamięć fotograficzna. Dragos posłużył się nią, wykorzystując pracę jaką wykonywała dla senatora, do zbierania tajnych informacji na temat ludzkich rządów.

Tavia przytaknęła skinieniem głowy. - Podczas badań jakim byłam poddawana w klinice, oni drenowali mi mózg wydobywając szczegóły na temat miejsc, które odwiedzałam razem z senatorem, jak również ściśle tajne informacje, w jakie byłam wtajemniczona z racji pełnionej przeze mnie funkcji jego asystentki. Nie wystarczało im wykorzystywanie mnie jako jakiegoś rodzaju tajemnego eksperymentu naukowego, musieli również gwałcić mój umysł.

Chase usłyszał gniew w jej zazwyczaj spokojnym głosie. Sięgnął i splótł jej palce ze swoimi.- Cholernie bym sobie życzył mieć szansę zrewanżować się temu choremu bękartowi. Im boleśniej, tym lepiej.

- Ty, ja i cała reszta Zakonu - powiedział Gideon. Jeszcze raz rzucił okiem na Tavię.

- Nie przypuszczam żebyś mogła posiadać jakąkolwiek wiedzę... chociaż niewielki skrawek informacji... na temat operacji Dragosa?

- Nie. Nawet nie wiedziałam, że istnieje, dopóki Chase nie spróbował mnie przed nim ostrzec - potrząsnęła głową i zmarszczyła czoło.- Jeśli miałabym szansę dostać

się w jego pobliżu, bardzo bym chciała wypróbować na nim swoje nowe zdolności. Szczególnie te śmiercionośne.

Pomimo, iż Chase rozumiał jej pragnienie rewanzu, najeżył się wyobrażając sobie, że mogłaby się nawet znaleźć w pobliżu takiego zła jak Dragos. - Nie ma mowy, tak długo jak ja będę miał coś do powiedzenia na ten temat. Dragos to morderca, Taviu. Nigdy nie możesz przewidzieć, co jest w stanie zrobić.

- Harvard ma rację - powiedział Gideon. - O ile muszę się z nim zgodzić, to jednak, muszę przyznać, że posiadanie u niego kreta byłoby teraz cholernie przydatne.

Wskazał w stronę pracującego komputera z uruchomionym programem łamiącym szyfry. - Dane, które Hunter i Corinne przywieźli z Nowego Orleanu są zabezpieczone hasłem i zakodowane. Stworzyłem specjalny program deszyfrujący, ale to cholerstwo potrzebuje co najmniej kilku dni, by rozgryźć tę sekwencję znaków, a obecnie jesteśmy dopiero w połowie drogi.

Chase spojrział na monitor. Spośród trzynastu znaków na ekranie tylko sześć zostało odblokowane: 5, 0, 5, 1, 1, N.

Usta Tavi wygięły się w chytrym uśmiešku, gdy odwróciła się by spojrzeć na Gideona. - Mogę próbować?

Skinął dłonią w zaproszeniu i pozwolił jej zająć miejsce przed jednym z jego komputerów. Wyklikał coś na klawiaturze. Urządzenie wydało przenikliwy dźwięk i na ekranie pojawił się kwadrat z miejscem do wprowadzenia hasła. - Wpisuj, co chcesz.

Tavia wpisała sześć znaków z programu deszyfrującego, Chase i Gideon stanęli za jej plecami, by móc obserwować jej pracę. Następnie wstukała kolejne siedem, aby

dokończyć sekwencję: 1, 5, 2, 5, 1, 2, E. I po prostu weszła. - To jest takie samo hasło, jak to, które otwierało dokumentację kliniki Dr. Lewisa - powiedziała, wyglądając na uczciwie zadowoloną z siebie.

Gideon poklepał Chase'a po plecach i wykrzyknął. - No proszę, niech nas piorun strzeli, Harvard. Ona jest cholernie genialna - obrócił się gwałtownie i chwycił pióro oraz notatnik ze swojego biurka. Podał je Tavi. - Zapisz to dla mnie, proszę.

Kiedy to zrobiła i oddała mu notes, wysyczał przekleństwo. - Cholera. Mogłem się domyślić, że to będzie coś takiego.

Wyświetlił przeglądarkę i wklepał zapisaną sekwencję w jej okno wyszukiwania.

- To są koordynaty GPS-u.

Chase spojrział na ekran ukazujący zbliżenie obszaru, który natychmiast rozpoznał.

- Górski region w Republice Czeskiej. Czy to nie jest miejsce, gdzie znaleźliśmy jaskinię, w której był zahibernowany Starożytny, zanim Dragos go obudził i uwięził w swoim laboratorium?

- Dokładnie - potwierdził Gideon. - A Dragos używał jego współrzędnych jako hasła do całej swojej operacji - wybuchnął pełnym niedowierzania chichotem.

- Chryste, to jest jego megalomańska wersja wykorzystania imienia swojego ulubionego zwierzątka. Może jest jeszcze jakaś nadzieja, żeby dopaść tego dupka.

Gideon zaczął klekotać na trzech klawiaturach, prześlizgując się od monitora do monitora, otwierając pliki i pozyskując dane na kilku komputerach, tak jak maestro dyrygujący orkiestrą. Chase i Tavia zostali prawie zapomniani w tym wirze entuzjastycznego, radosnego podniecenia.

- Jestem pod wrażeniem - szepnął do niej Chase, dumny i bardziej niż odrobinę

zafascynowany.

Odpowiedziała mu uśmiechem, który trafił prosto do jego penisa. -Wszyscy mamy jakieś talenty.

Właśnie miał ją zapytać, czy chciałaby, żeby zaprezentował jej jeden ze swoich ulubionych, gdy na korytarzu zabrzmiał głuchy odgłos zbliżających się kroków. Do pomieszczenia wszedł Lucan, ubrany w strój do walki i obciążony bronią, podobnie jak reszta wojowników podążająca jego tropem. Wszyscy mieli ponury wyraz twarzy i stalowe spojrzenia, które Chase znał aż nazbyt dobrze.

Zakon przygotowywał się do walki.

- Wszedłem - powiedział Gideon powiedział, gwałtownie obracając się w swoim krześle, by napotkać ich wzrok. - Tavia właśnie przeprowadziła nas przez zabezpieczenie założone na plikach dokumentacji laboratorium. Grzebię w nich teraz obiema rękami.

Szare oczy Lucana, które zwrócił ku niej wyrażały głęboką aprobatę. - Dobra robota.

Posłała mu delikatne skinienie głową. - Zrobię wszystko, co mogłoby okazać się pomocne.

- Doceniam to - powiedział, po czym zerknął na Chase'a i skinął mu głową w obojętnym pozdrowieniu. - Właśnie rozmawiałem z Mathiasem Rowanem i wtajemniczyłem go w nasze plany - powiedział Gideonowi. - Wyruszamy po zachodzie słońca, by wymieść śmieci ze wszystkich Agencji Nadzoru w Bostonie.

- Masz na myśli zaatakowanie ich? - zapytał Chase.

- Atak, starcie z powierzchni ziemi. Wdeptanie tych skurwysynów w glebę, jeśli zajdzie taka potrzeba - odpowiedział Lucan. Jego głos aż wibrował od morderczych zamiarów.

Chase zaklął pod nosem. - Chyba nie mówisz tego poważnie. Rozejm pomiędzy Agencją, a nami jest w najlepszym wypadku niepewny. Zawsze tak było. Jeśli Zakon wejdzie na ich teren z otwartym ogniem, będziesz walczyć nie tylko z Dragosem ale z całym narodem wampirów.

- To nie my rozpoczęliśmy tą wojnę - warknął Lucan. - Ale, cholera mamy zamiar ją skończyć. Nawet, jeśli będę musiał przebić się przez szeregi agentów, aby wreszcie zacisnąć dłonie na gardle Dragosa. Jeśli o mnie chodzi, on i Agencja są dwoma głowami tego samego gada. Chętnie urwę którąś z nich. I pozwolę Mathiasowi Rowanowi zająć się ciałami, gdy już opadnie kurz.

Chase nigdy wcześniej nie widział w Lucanie takiej zajadłości. Groźba emanowała z przywódcy zakonu niczym mroczny powiew, chłód jego wściekłości, w tym niewielkim pomieszczeniu był prawie namacalny. - My mamy do omówienia taktykę patrolu.

*MY* powiedział Lucan, ale Chase odczytał znaczenie tego słowa w jego władczym wzroku. To *MY* oznaczało Zakon, a on już do niego nie należał.

- Oczywiście - powiedział, bez najmniejszej pretensji w głosie, lub żyłach. Teraz byłby dla Zakonu jedynie kulą u nogi, a oni nie mogli sobie na to pozwolić. Dostał to, na co zasłużył. I nie mógł obarczyć Lucana winą za wyłączenie go z tej misji. Tak samo mocno jak pragnął myśleć, że nie stracił całkowicie zaufania swoich braci, Chase rozumiał, iż wciąż ma przed sobą długą drogę jeśli pragnąłby je odzyskać. Mógł mieć jedynie nadzieję, że nadejdzie dzień, gdy otrzyma taką szansę.

Tavia wyszła razem z nim na korytarz i bez słowa wsunęła swoją dłoń w jego rękę. Nie musiała nic mówić. Rozumiała. Troszczyła się o niego i po raz setny zastanawiała się, jak kiedykolwiek mógł pomyśleć, że na nią zasługuje.

- Hej, Harvard - niski męski głos zawołał do niego z końca korytarza.

Stał tam Dante, pasy od broni ciemnowłosego wojownika krzyżowały się na jego piersi. Zagięte tytanowe sztylety... broń, która pomogła zejść z tego świata niezliczonej rzeszy Szkarłatnych i nie tak dawno temu znalazła drogę również pod brodę Chase'a... była ukryta jak olbrzymie pazury w pochwach przy jego pasie z bronią. Oczy w kolorze whisky zwęziły się pod ostro zarysowanymi łukami ciemnych brwi. Wskazał brodą ponad swoim ramieniem. - O co tam chodziło?

- Zapomnij o tym - powiedział Chase. - Ja również pragnę dobra Zakonu. Chociaż w tej chwili, jestem tylko ciężarem.

Zaczął się oddalać, ale Dante pobiegł za nim. Zatrzymał go kładąc mu na ramieniu swoją braterską dłoń. - Właśnie chciałem ci powiedzieć, że dobrze jest mieć cię tu z powrotem. Cieszę się, że tu jesteś.

Chase czuł na sobie spojrzenie Tavi, kiedy przyjmował ofertę rozejmu od wojownika, który kiedyś był jego najwierniejszym sojusznikiem w Zakonie. Jego najdroższym przyjacielem. Bratem, w pełnym znaczeniu tego słowa.

- Dziękuję.

Nieprzekonująca odpowiedź, ale to było wszystko, co zdołał wydusić przez swoje nagle wyschnięte gardło.

- Słuchaj. Tess byłaby wniebowzięta, gdybyście razem z Tavią odwiedzili nas

kiedyś w naszej kwaterze. Ja również byłbym szczęśliwy. Chciałbym porządnie przedstawić ci mojego syna.

- Jasne - Chase kiwnął głową. - Taaa, na pewno. Oczywiście.

- To będzie dla nas zaszczyt, chętnie odwiedzimy waszego syna - powiedziała Tavia, wymawiając słowa, które tak spektakularnie wydawały się zawodzić go w tym momencie.

- Świetnie - odpowiedział Dante. - To wspaniale.

Cofnął się i odszedł parę kroków, po czym znowu się odwrócił z szerokim, łobuzerskim uśmiechem na twarzy. Jego wzrok przez długość korytarza spotkał się ze spojrzeniem Chase'a. - A tak poza tym, Wesołych Świąt, palancie.

- I nawzajem - zachichotał Chase, wracając do lekkich koleżeńskich układów, jakie kiedyś mieli. Boże, aż do tej chwili nie zdawał sobie sprawy, jak bardzo za tym tęsknił.- Postaraj się nie zarobić w dupę na dzisiejszym patrolu, dobrze?

Wciąż uśmiechając się, Dante zasalutował mu wyprostowanym środkowym palcem. Jego głęboki śmiech wciąż dudnił w korytarzu, gdy ruszył, by przyłączyć się do reszty wojowników.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 32



BYŁO JUŻ DAWNO po północy, a Zakon odkąd przybyli do Bostonu wciąż



kontynuował swój partol. Przez ten czas, rozwalili drzwi kilku należących do Agencji pijalni krwi i znanych miejsc spotkań w okolicy miasta. Lucan nie miał zamiaru zakończyć tej nocy, dopóki nie zrobią nalotu na ostatnie z nich. Niewielu z Agentów, których przesłuchiwali przyznało się do tego, że wiedzieli coś o zdrajcach znajdujących się w ich szeregach. Ale było jedno nazwisko, które wielokrotnie pojawiło się na rozbitych i skrwawionych wargach: Arno Pike.

- Jego Mroczna Przystań znajduje się na North End - poinformował ich Mathias Rowan. Lucan poprosił dyrektora Agencji o przysługę w szybkim zlokalizowaniu tego łajdaka, podczas gdy Kade, Brock i Hunter sprząтали po masakrze, jaką zostawili po ostatnim nalocie.

- Czy mieszka z rodziną?

- Nie - odpowiedział Rowan. - Pike mieszka sam, nie ma żadnej bliższej rodziny. Miał partnerkę, ale umarła jakiś rok temu. Mówi się tu, że na nią napadnięto w Dorchester, została uduszona.

Lucan chrząknął. - Bardzo dogodnie. Adres?

Rowan wyrecytował nazwę eleganckiej ulicy w rejonie wartych miliony dolarów willi z brunatnego piaskowca. Lucan wklepał ją w formie sms-a do drugiego telefonu i wysłał go do reszty oddziału.

- Słuchaj Lucan. Wiesz, że jestem z tobą w czymkolwiek, co uznajesz za niezbędne, by powstrzymać Dragosa. I mówiąc powstrzymać, mam na myśli, że trzeba go zabić, ale pewne sprawy są poza moją kontrolą. Masz tu cywilów, krzyczących ze strachu, z powodu tego, co usłyszeli. Wśród populacji Rasy w Bostonie krążą plotki, że oszalałeś. Mówią, iż do końca ci odbiło i z twojego rozkazu Zakon wyważa drzwi Mrocznych Przystani i pod groźbą karabinów wyrzuca na ulicę biednych,

nieuzbrojonych obywateli.

Lucan rzucił soczyste przekleństwo. - To samo gównu rozpowiadali o Zakonie, przez lata, całe dekady.

- Za wyjątkiem tego, że teraz to prawda - głos Rowana pobrzmiwał znużeniem.  
- I do kurwy nędzy, jest Boże Narodzenie. Jak długo chcesz jeszcze ciągnąć tą misję?

- Dopóki raz na zawsze nie rozgromię Dragosa i nie powyciągam z kryjówek wszystkich jego zwolenników.

Ze strony Rowana odpowiedziała mu przedłużająca się cisza. W całunie ciężkich rozmyślań, zabijał telefon komórkowy Lucana, informując go o innym połączeniu przychodzącym. Kazał Agentowi poczekać i nacisną przycisk, by zaakceptować drugą rozmowę.

Po krótkim pozdrowieniu Lucana, odezwał się głos Niko. - Mamy Pike'a.

- Gdzie jesteś?

- Na Southie, na południe od Mystic. Rio i ja zagoniliśmy sukinsyna do pustego magazynu. Czy chcesz żebyśmy poczekali na ciebie, czy też możemy zacząć go przesłuchiwać?

- Poczekajcie - warknął Lucan. Ruszył, dając znak Hunterowi znajdującemu się wewnątrz splądrowanego klubu Agencji, żeby jechał razem z nim. - Jestem teraz w drodze, wiozę wsparcie do naszego przesłuchania. Jeśli bolesna perswazja, jaką zaaplikujemy panu Pike nie da spodziewanego rezultatu, skłonię Huntera do wykrwawienia go, by poznać prawdę.

Rozłączył się, po czym poinformował Rowena o zaistniałej sytuacji. Wskoczył razem z Hunterem do zaparkowanego Rovera i pognął na Southie jak jakiś piekielny nietoperz.

Chociaż Arno Pike nie odniósł większych obrażeń niż kilka siniaków i zadrapań, których nabawił się podczas zatrzymania, to i tak wyglądał jak gówno. Pachniał też podobnie... uryną, a poza tym gorzkim, gryzącym smrodem strachu. Lucan prawie nie mógł znieść stężenia fetoru, który jechał od wampira, gdy razem z Hunterem weszli do magazynu, w którym Niko i Rio czekali na niego z Agentem.

- Jesteś bardzo popularnym koleś, Pike - zagaił Lucan, kiedy podszedł do mężczyzny, który kulił się na przeżartym rdzą, metalowym krześle.- Byłbyś wstrząśnięty wiedząc, ilu Agentów wymieniło dzisiaj twoje nazwisko, gdy pytaliśmy ich na kogo wskazaliby, gdyby mieli wytypować najbardziej prawdopodobnego zdrajcę własnej Rasy. Jesteś niekwestionowanym zwycięzcą. Gratulacje.

- Już nie mogę się doczekać, żeby zobaczyć, co wygrał - wysyczał Niko, jego zęby i kły zalśniły w mroku opuszczonego budynku.

- Tym razem przekroczyłeś granice - odgryzł się Pike, jego głos był piskliwy, lecz mimo to brzmiał złośliwie. Pot zrosił jego bladą twarz i gardło. Policzki miał ziemiste i zapadnięte, a wargi, gdy mówił blade i bezkrwiste.- Dzisiejszej nocy Zakon narobił sobie wielu wrogów. Agencja Nadzoru nie puści płazem tych nieuzasadnionych napadów i bezzasadnego nękania.

- Agencja może sobie kwestionować wszystko, co tylko chce - odpowiedział Lucan.

- Tymczasem Zakon ma zamiar wyrzucić na drugą stronę tą pieprzoną organizację, by wytrząsnąć z niej zdrajców.

- Pike zaczął się śmiać się, lekko pokaszując. - Spóźniłeś się, wojowniku. Teraz już

nigdy go nie powstrzymasz.

Umysł Lucana zalała mroczna wizja, którą ukazała mu Mira. Tak dużo krwi na ulicach. Nieprzeliczone utracone istnienia, zarówno pochodzące z Rasy, jak i ludzkie. Krzyki przerażenia i żałoby, jęki konających wypełniające noc.

Zanim Lucan zorientował się, już wykonał pierwszy krok w kierunku siedzącego na krześle Pike'a. - Co masz na myśli mówiąc, że się spóźniłem? - warknął. Furia kipiała w jego żyłach. - Gadaj, co wiesz o planach Dragosa!

Szczęki Pike'a mocno się zacisnęły. Jego zaczerwienione oczy wypełniał bunt i upór. - Nic ci nie powiem. Będziesz musiał mnie zabić.

- Żaden problem - warknął Lucan. - Ale najpierw trochę sobie pogadamy. Albo zapewniam cię, że będziesz błagać o śmierć.

Pike zachichotał, tym razem brzmiąc jak fanatyk.- Niczego ze mnie nie wydobędziesz. Ani od nikogo, kto jest wobec niego lojalny.

Boże dopomóż, Lucan pragnął już tylko jednego, własnoręcznie rozerwać gardło tego mężczyzny. Ale pohamował swoją wściekłość, chociaż z wielkim trudem.

- Mamy inne sposoby, żeby wydobyć od ciebie to, czego potrzebujemy, dupku.

Skinął na Huntera. Łowca z pierwszego pokolenia potrafił wyczytać wspomnienia osobników Rasy z ich krwi. Jedno ugryzienie i poznałby wszystkie tajemnice Pike'a. Hunter ruszył, obnażając kły.

- Zajmij się nim - beznamiętnie rozkazał Lucan.

Hunter chwycił nadgarstek Pike'a i mocno się w niego wgryzł. Sekundę później

odsunął się, gwałtownie klnąc i wypluwając krew. Spojrzał na Lucana, jego złote oczy wypełniała wściekłość, kiedy wycierał zaplamione czerwienią usta.- On zażył jakąś truciznę.

- Skurwysyn - wysyczał Lucan.

Wszyscy wpatrywali się w Pike'a, który wciąż chichocząc upadł na podłogę i zaczął trząść się w konwulsjach. Piana popłynęła z jego ust, gdy trucizna zaczęła przejmować nad nim władzę. - Spóźniłeś się, Lucan. Dokładnie tak, jak ci powiedziałem - jego chichot zakończył się jękiem bólu. Zaczął z trudem łapać powietrze, pogrążony w śmiertelnej agonii.

- Chodźmy - powiedział Lucan, skinął ręką na resztę, by podążyli za nim.

- Spierdalajmy stąd.

Zostawili Arniego Pike'a wijącego się w przedśmiertnych mękach pośrodku opustoszałego magazynu, a szyderstwa wampira rozbrzmiewały echem za nimi.

- Spóźniliście się... Dragos już wygrał.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

### ROZDZIAŁ 33



TAVIA KRZYKNEŁA z rozkoszy i wygięła się w łuk pod Sterlingiem, porwana w niewolę trzeciego orgazmu, przeżytego w ciągu kilku ostatnich godzin. Jej rozkosz była ostra, pierwotna i pozbawiona kontroli. Pozwoliła jej się porwać bez

opamiętania, wpijając palce w twarde mięśnie jego ramion, gdy falował nad jej ciałem, w gorączkowej, zwierzęcej pasji.

Kochała sposób, w jaki ją pieprzył. Uwielbiała jego moc i siłę, było w nim coś mrocznego i niesamowitego. Kochała to, że wywoływał w niej to samo. Ubóstwiała go za to, iż z radością witał jej brutalną część, która na pewno nie była ludzka. Wręcz jej od niej żądał. I kochała to, że każdy jego dotyk, pocałunek i gorączkowe pchnięcie potwierdzały to, iż należy do niego.

Była jego; jej serce wiedziało o tym z taką samą niezachwianą pewnością jak rozpływające się w przyjemności ciało i musująca z rozkoszy krew.

Syk uciekł z jej ust, gdy zagłębił się w nią aż do jądra jej kobiecości, wypełniając ją i dotykając miejsca, które należało tylko do niego. Odrzuciła głowę do tyłu, na poduszkę, wargi odsłoniły zęby i kły, kiedy wydała z siebie ochryply okrzyk spełnienia.

- Taaak. Och, pieprz mnie, Chase... mocniej. Nie przestawaj.

Z rykiem kipiącym zza zaciśniętych zębów, chwycił jej pośladki w swoje dłonie i przycisnął ją do siebie, unosząc jej biodra, by zwiększyć intensywność swoich pchnięć. Posuwał ją z nieposkromioną furią. Fiut rozciągający jej ciasną szparkę był twardy jak stal, niepohamowany, dominujący.

Warknięcie wyrwało się na wolność, gdy wbijał się w nią, wciąż głębiej i mocniej. Ich bursztynowe spojrzenia zwały się ze sobą. Jego hieroglify były dzikie i pulsowały nasyconymi kolorami wszystkich cieni żądz i pragnienia. Barwami, które zalewały również jej nagą skórę, gdy popychał ją w stronę kolejnego orgazmu. Poruszał się w niej gwałtownymi, gorączkowymi pociągnięciami, olbrzymie kły lśniły poniżej jego wykrzywionych w paroksyzmie rozkoszy, pięknych ust.

- Taviu - wychrypiał, drżąc nad nią, porwany siłą własnego spełnienia. Zalał ją gorący strumień jego nasienia i doszła razem z nim dysząc i popiskując, kiedy jej ciało eksplodowało wokół niego, a jej zmysły roztrzaskały się na miliony lśniących okruchów.

Śladem orgazmu podążył głód.

Nie pożywiała się od tamtego pierwszego razu, z nim. Teraz, każde jej zakończenie nerwowe stało się ożywione i naelektryzowane, łaknęła jego krwi tak bardzo, że graniczyło to z szaleństwem. Nie mogła utrzymać swoich oczu z dala od pulsującego tętna z boku jego silnej szyi.

Jej usta były suche jak pieprz. A dziąsła stały się pulsującą podstawą dla wysuniętych kłów. Oblizwała swoje spieczone wargi, spoglądając na niego spod ciężkich, opadających powiek.

Rozumiał jej potrzebę. Jego bursztynowe tęczęwki zapłonęły jaśniejszym blaskiem, a źrenice zwęziły do wąskich szczelin, kiedy obserwował jej koncentrację na miejscu, gdzie biło jego tętno, jakby było ono źródłem jej życia.

- Chryste - szepnął, jednocześnie nabożnie i bluźnierczo.

Uniosła się na łóżku, położyła dłonie na jego piersi i pchnęła go na plecy. Gwałtownie chwycił powietrze, kiedy wpełzła na jego potężne, rozgrzane ciało. Pochyliła się do przodu i powoli wylizwała ścieżkę wzdłuż naprężonej kolumny jego gardła, kierując czubek języka na grubą żyłę, która tak cudownie odznaczała się pod powierzchnią gładkiej skóry. Podrażniła ją ostrymi czubkami kłów, wyciskając z niego stłumiony jęk, na chwilę zanim zatopiła zęby w głąb jego ciała.

Jęknęła, kiedy krew trysnęła na jej język, gorąca, cierpka i mroczna. Przełknęła ją

łakomie, delektując się pikantnym, egzotycznym smakiem. Kiedy się na nim pożywiała, leżał pod nią spokojnie, głaskał ją po plecach i bawił się jej włosami. Nie wiedziała, czy karmienie przynosiło mu takie samo zadowolenie jak jej. Wszystko, czego była świadoma, to pulsowanie jego tętna przy jej wargach i w uszach, oszałamiający ryk jego krwi wypełniającej mięśnie, kości i komórki i tłumiącej wściekły głód jej zmysłów. Odżywiła ją tak, jakby wcześniej, przez całe swoje życie umierała z głodu.

Gdy zaspokoila pragnienie, niechętnie przeciągnęła językiem po śladach nakłuc, zamykając je.

Nie uświadamiała sobie jego cierpienia, dopóki nie uniosła swojego zaniepokojonego spojrzenia i nie spojrzała na jego twarz. Miał blade wargi, zaciśnięte w wyrazie udręki na obnażonych zębach i kłach. Odtoczył się od niej z ordynarnym przekleństwem, jego ogromne ciało drżało konwulsyjnie, gdy opuścił nogi poza krawędź łóżka i przeczesał palcami wilgotne włosy. Zawładnął nim głód. To nią wstrząsnęło. Bezwzględność i okrucieństwo jego żądzы krwi przyćmiło cały komfort i przyjemność, jakie samolubnie wzięła z jego żyły. To rozrywało ją od środka, przynosząc do jej duszy zimny, pusty ból.

Boże, jak on teraz cierpiał.

Nie wiedziała, jak mógł wytrzymać taką mękę. Samo echo tego cierpienia pulsujące w jej własnej krwi wystarczyło, by wyssać powietrze z płuc.

Sapnęła, chwytając się za brzuch, gdy jego ból przewrócił ją na łóżko. Zwinęła się w kłębek, czując się, jakby ktoś przeszywał ją nożem, kiedy cierpienie spowodowane jego głodem, przepływało przez nią jak czarny, palący kwas.

**PRZYCZYNIAŁ SIĘ DO JEJ CIERPIENIA.** Ta myśl przeszła jego udręczony głodem umysł, jeszcze zanim obrócił się, by ujrzeć nagie, zwinęte z bólu ciało Tavi,



leżące pośrodku łóżka.

*O, Chryste.*

- Taviu?

Patrzenie na nią, pogrążoną w takim bólu, po prostu go zabijało, to, oraz świadomość, że to jego męka rozrywała ją swoimi szponami. Jego cierpienie przeszło na nią przez łączącą ich więź krwi, przez to połączenie jego ból stał się również jej bólem. Czuł bezgraniczny żal z tego powodu.

- Taviu, spójrz na mnie - wymruczał kładąc się z powrotem, obok niej na łóżku. Pogłaskał jej włosy, sycząc, gdy poczuł rozpaloną skórę, kiedy otarł się opuszkami palców o lśniące od potu czoło.

- Proszę powiedz mi, że z tobą wszystko w porządku.

Jęknęła, kiedy kolejna fala głodu przeszła jego ciało jak płynny ogień. Gdy otworzyła oczy, w niezgłębionych, płonących bursztynem tęczęwkach ujrzał czystą udrękę. Jej dermaglify kipiały taką samą feerią wściekłych barw, jak te na jego własnej skórze. Zduszone przekleństwo, jakie z siebie wyrzucił pozostawiło na jego języku smak popiołu. Nigdy nie czuł się tak bezsilny, tak pełen nienawiści do siebie i swojej choroby, o której wiedział, że pewnego dnia go zniszczy. Ale nawet Nałóg Krwi nie mógł się równać z udręką, którą odczuwał, widząc cierpienie Tavi. Wiedząc, że to on je spowodował.

Musiał się pożywić.

Przeszła go strzała rzeczywistości, zimna i niezaprzeczalna.

Potrzebował krwi, by uśmierzyć ból... dla niej. Jego własny ból nic nie znaczył, za wyjątkiem tego, że sprawiał cierpienie kobiecie, o którą troszczył się bardziej niż o własne życie.

Kobiecie, którą kochał.

Łzy pokryły smugami policzki Tavi, gdy uniosła na niego wzrok, ze swojej skulonej embrionalnej pozycji, w jakiej leżała na łóżku. Oddychała krótkimi sapnięciami z rozchylonymi ustami, drżała, a jej ciało przeszywały paroksyzmy bólu.

Niech to szlag trafi. I jego też.

Nie mógł zostawić jej w tym stanie, żeby pójść zapolować. Nie mówiąc już o tym, że musiałyby długo biec zanim znalazłby ofiarę, a przez ten czas Tavia musiałaby cierpieć w samotności.

- Pomóż mi, Chase.

Jej głos był zmęczonym szeptem, ochrypłym i kruchym. Taka naga i ufna, wyciągnęła do niego rękę, pozwalając swojej otwartej dłoni opaść przed nim na łóżko.

- Proszę... zrób to. Spraw, żeby ten ból minął.

Wpatrywał się w nią, czując, jak ostatni skrawek jego wątpliwego honoru wymyka się mu spomiędzy palców, gdy jego usychające z pragnienia spojrzenie przywarło do tętna pulsującego między delikatnymi kośćmi i ścięgnami jej wyciągniętego w jego stronę nadgarstka.

Powinien oprzeć się tej pokusie. Powinien znaleźć inny sposób... wszystko byle nie

to rozwiązanie, które oferowała mu w tej chwili. To, które nieodwołalnie związałoby go z Tavią. Na wieki.

Ale właśnie wtedy, gdy walczył, by zaprzeczyć temu, czego najbardziej łaknęło jego serce, Chase zorientował się, że niewiadomym sposobem znalazł się tuż przy niej. Z najwyższą delikatnością i drżącymi rękoma, podniósł jej ramię w kierunku swoich ust. Oparł o jej delikatną skórę ostre czubki swoich kłów. Przeklinając pod nosem zatopił je w jej żyłę i wciągnął do ust pierwszy łyk krwi.

Święci pańscy, była taka słodka.

Jej krew uderzyła w jego język jak nektar z zakazanej winorośli.

Pił z niej zachłannymi haustami, czując jak przyływ energii i mocy uderza z siłą pioruna w każdą konającą z głodu komórkę jego ciała. To było jak potężny cios w pierś. Eksplozja, która obudziła jego zmysły, rozpalila je mocą supernowej.

Słyszał, że więź krwi jest potężną rzeczą, ale na to nie był przygotowany. Nie, nawet w najmniejszym stopniu. Jakiś przebłysk logiki przypomniał mu, że Tavia jest nie tylko Dawczynią Życia, ale również należy do Rasy. Teraz, gdy jej krew wypełniała jego ciało dotarła do niego świadomość o intensywność tej kombinacji.

Ludzie, na których wcześniej tak często pożywiał się aż do przesytu, teraz, gdy poznał smak Tavi zdawali mu się smakować kurzem. Jej krew była jak narkotyk, niepodobna do niczego, co było mu dane kiedykolwiek smakować.

Nie mógł się nią nasycić.

Jego usta wpiły się mocno w jej nadgarstek, pił silnymi, głębokimi pociągnięciami. Nie mógł przestać. Nie mógł się zatrzymać nawet, gdy jej dłoń zwarła się w pięść, a ręka naprężyła pod jego wargami. Nawet wtedy, gdy jęcząc, niepewnie zawołała

jego imię. Dopóki nie poczuł strachu, przeszywającego do szpiku kości i mrożącego krew w żyłach przesączającego się od niej ku niemu poprzez łączącą ich więź. Dopiero wtedy udało mu się znaleźć w sobie siłę, by ją uwolnić. Ledwie.

Gdy patrzyła teraz na niego, jej oczy były ogromne, wypełnione strachem. Już nie płonęły bursztynowym blaskiem rozkoszy i pożądania, lecz były jaskrawozielone i pełne przerażenia, które zabijało go od środka.

Jej policzki były nienaturalnie blade, a dermaglify wyblakłe, prawie pozbawione koloru. Przytuliła krwawiący nadgarstek do piersi, kciukiem przyciskając rany.

- Chase, szepnęła łamiącym się głosem. - Przepraszam, wpadłam w panikę. Zaczęłam się bać. Wziąłeś tak dużo i...

*Jezu Chryste.*

Ledwie mógł znieść myśl o tym, co mógłby zrobić, gdyby więź krwi nie uświadomiła mu jej przerażenia. To, że mógłby wyrządzić jej jakąkolwiek krzywdę, było jego największym koszmarem.

Uświadomienie sobie, jak bardzo bliski był tego przed chwilą, było czymś więcej niż mógł znieść. To wszystko pogarszał jeszcze fakt, że w tym momencie jego jedynym pragnieniem było wziąć ją jeszcze raz i zatracić się w rozkoszy jej ciała, podczas gdy tonąłby w słodkim upojeniu jej krwią.

- Teraz nie mogę być blisko ciebie - usłyszał jak wypowiada te słowa, lecz jego głos był z trudem rozpoznawalny, nawet dla jego własnych uszu. Słowa wydzierały się z niego w bezładnej plątaniu, surowe i o ostrych krawędziach. - Ja już nigdy nie mogę tego zrobić. To nie może się powtórzyć.

- Chase - powiedziała z rozpaczą, wyciągając do niego zranioną rękę.

Zapach jej krwi uderzył w niego jak pocisk. Odskoczył, odwracając wzrok i wycofał się pod samą ścianę. Tak daleko od niej, jak tylko zdołał. Spojrzał za okno, gdzie niebo rozjaśniały już pierwsze smugi przedświt. Mentalne polecenie energicznie rozsunęło szkło, wpuszczając lodowaty powiew zimowego powietrza.

Tavia wstała z łóżka i zaczęła iść ku niemu. - Chase, proszę. Nie odtrącaj mnie... pozwól mi sobie pomóc.

Pozwolił sobie spojrzeć na nią po raz ostatni. Po czym wyskoczył przez okno i zniknął w ciemności.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## ROZDZIAŁ 34



TAVIA SPĘDZIŁA JAKIŚ CZAS pod prysznicem, a potem ubrała się, przez cały czas nasłuchując powrotu Chase'a. Nie było go już prawie dwie godziny. Niedługo miało wzejść słońce, a on wciąż nie wracał.

Może na dobre ją opuścił. Aż się zachwiała pod ciężarem tej myśli.

Niemożliwością było myślenie o życiu, w jego obecnym kształcie... jej nowym życiu, jedynym, które wreszcie było oparte na prawdzie... i nie wyobrażać sobie tego, że Chase będzie jego częścią. Społa się z nim nie tylko przez krew. Głęboko się o niego troszczyła... i kochała go, czułaby to nawet bez łączącej ich nierozrywalnej

więzi, jaką połączył się z nią na pierwotnym, nadnaturalnym poziomie.

A ponieważ go kochała, nie mogła tu teraz zostać.

Miał rację; to co się między nimi zdarzyło, nigdy nie mogło się powtórzyć. Poczowała siłę jego głodu, głębię narastającego uzależnienia. Czuła, jak mocno zareagował na jej krew. Jak łatwo byłoby mu całkowicie stracić kontrolę i ześliznąć się w przepaść, z której nigdy nie byłoby już powrotu.

Nie mogła znieść, że z jej przyczyny musiałby zmagać się z nałogiem.

Kiedy opuściła sypialnię i wyszła na korytarz, usłyszała głosy kobiet, które najwyraźniej zebrały się w kuchni. Wraz z odgłosem rozmowy Dawczyń Życia dotarł do niej aromat świeżo parzonej kawy i śniadania.

- Pomyśl o tym chociaż przez chwilę. Czy kiedykolwiek zastanawiałaś się nad tym, co czyni nas innymi od reszty kobiet? - Ten aksamitny głos należał do Savannah.

- A co, jeśli sny Jenny mogą pomóc nam to wyjaśnić?

- Atalanci? Chyba nie mówisz poważnie. - To były słowa partnerki Rio, Dylan.

Gabrielle odpowiedziała jej. - Nie tak dawno większość z nas sądziła to samo o Rasie. Nie, żeby to pomogło mi łatwiej pogodzić się z koncepcją, że znamiona, które nosimy my wszystkie łączą nas w jakiś sposób z rasą nieśmiertelnych wojowników.

Tavia postawiła kilka kroków w głąb korytarza i zobaczyła, jak ciemnowłosa Dawczyni Życia Huntera wyszła z kuchni wnosząc talerze do jadalni. Ustawiając je na stole, powiedziała.- Ja zostałam osierocona jako niemowlę i zaadoptowana przez rodzinę mieszkającą w Mrocznej Przystani. Nigdy nie poznałam żadnego z moich biologicznych rodziców. Tak samo jak moja przyrodnia, również adoptowana siostra, Charlotte.

- Ta prawda dotyczy ciebie, Elise, Renaty i Miry - odpowiedziała Dylan. - Ale jak wyjaśniasz resztę z nas?

- Możesz dodać do tej listy Evę i Danikę - dorzuciła Savannah. - Obie były podrzutkami, wychowanymi w Mrocznych Przystaniach.

Tavia naprawdę nie chciała zostać zauważona, szczególnie, gdy jak duch wymykała się z sypialni, ale nie było żadnego sposobu, by dostała się do głównych drzwi przez nikogo niezauważona. Zatrzymała się, ponieważ z kuchni wyszła Elise z tacą pełną ułożonych w piramidę filiżanek i spodków.

- Faktycznie, większość ze znanych mi Dawczyń Życia było sierotami, lub zostało porzucone jako niemowlęta, lub bardzo małe dzieci. To dlatego tak wiele z nas ląduje w rodzinach zastępczych, albo schroniskach.

Dylan wyszła niosąc parujący kubek kawy. - No cóż, ja znałam swojego ojca i nie był nikim wyjątkowym. Był tylko podrzędnym komiwojażerem, kanciarzem i pijakiem, który przysporzył mojej rodzinie wielu cierpień, zanim sprawił, że na dobre się rozpadła. Ojciec Tess zginął podczas wypadku samochodowego, gdy była nastolatką. A czy tata Alex nie odszedł z powodu Alzheimera?

- Owszem - odpowiedziała Dawczyni Życia Kade'a z Alaski, podając Corinne srebrne sztuce. Hank Maguire był jedynym tatą, jakiego kiedykolwiek miałam, ale nie był moim rodzonym ojcem. Mama nigdy nie powiedziała mi kim był mężczyzna, dzięki któremu znalazłam się na tym świecie. Gdy zginęła, zabrała tę tajemnicę do grobu.

- Ja też nigdy nie poznałam swoich rodziców - wtrąciła Gabrielle. - Moja matka została umieszczona w zakładzie zamkniętym jako nastoletnia NN wkrótce po moim urodzeniu. Wszystkie moje dokumenty znajdują się w utajnionych plikach, gdzieś w

Bostonie.

- Nie możemy też zapomnieć o ojcu Claire - dodała Dylan, wyraźnie niewzruszona.- On i jej matka zostali zabici w Afryce podczas wojny plemiennej. A to wyklucza go z kręgu nieśmiertelnych.

- Słuchaj - powiedziała Jenna, również wychodząc z kuchni.- Ja nie próbuję nikomu wmawiać, że wiem wszystko na ten temat, ale jestem pewna tego, co zobaczyłam. Starożytni byli w stanie wojny z rasą istot, które były czymś innym niż ludzie. Poszukiwali tych wojowników przez wieki, przez kontynenty. A jedynym sposobem, by ich zabić, była dekapitacja.

- Cześć Tavia. - Mira wyszła z pokoju na korytarz i przeszła obok niej kiwając dłonią na powitanie. - Będziesz jadła z nami śniadanie?

- Och. Ja... - Uniosła wzrok i napotkała kilka par oczu. Elise, Dylan, i Gabrielle wyszły na korytarz i patrzyły na nią pytająco.

- Ja właśnie... chciałam się trochę przejść, to wszystko.

Mira wzruszyła ramionami. - Okay. Ale na pewno nie chcesz przegapić naleśników z jagodami i bitą śmietaną.

Kiedy dziewczynka razem z kobietami przeszła do kuchni, na korytarzu pozostała jedynie Elise. Jej łagodne oczy były pełne współczucia. Zbyt wszechwiedzące, żeby Tavia mogła poczuć się swobodnie. - Coś stało się ze Sterlingiem - to nie było pytanie, tylko łagodne stwierdzenie faktu. - Znowu odszedł?

Tavia kiwnęła głową, nie widząc żadnego sensu w zaprzeczaniu. - Kilka godzin temu. Nie wiem, czy on wróci.



Elise wydała ciche westchnienie.- Przykro mi. Widziałam go, kiedy był z tobą. Jeśli odszedł, to nie sądzę, żeby to było kwestią tego, że o ciebie nie dba. Dla każdego kto ma oczy... jest jasne... że mu na tobie zależy.

Tavia wzruszyła ramionami, zdobywając się na słaby uśmiech.- Ja też nie mogę tu teraz zostać.

Wyraz twarzy kobiety, stał się lekko spłoszony. - Może najpierw powinnaś porozmawiać z Lucanem.

- Czy to uprzejmy sposób powiedzenia mi, że jestem tu więźniem? - westchnęła i wyszeptała ciche przeprosiny. - Kiedy Chase wróci... jeśli wróci, nie chcę, żeby wszystko było dla niego jeszcze trudniejsze. On potrzebuje Zakonu.

- Tak - zgodziła się Elise. - Ale sądzę, że potrzebuje również ciebie.

Tavia potrząsnęła głową, żałując, że to nieprawda. - Ja naprawdę muszę odejść.

- Zostań chociaż na śniadaniu - zaproponowała Elise - Wojownicy i Renata będą tu przed wschodem słońca. Może Sterling również wróci do tego czasu.

- Nie mogę - odpowiedziała Tavia. Spojrzała ponad ramieniem Elise, ponieważ Dylan wystawiła swoją płomienistoczerwoną głowę z pokoju stołowego.- Czy mamy przygotować jeszcze jedno miejsce przy stole?

- Właśnie o tym dyskutujemy... - Elise nie była w stanie dokończyć zdania, ponieważ w czasie, jaki zabrało jej obrócenie jasnej głowy po odpowiedzi na pytanie Dylan, Tavia posługując się szybkością daną jej przez geny Rasy, zniknęła za głównymi drzwiami.

BYŁ IDIOTĄ. Uświadomienie sobie tego doniosłego faktu zabrało mu kilka

godzin. *(mężczyźni, nieważne z kłami, czy bez, strasznie wolno myślą ;)*

Kilkanaście mil biegu, jak dzikie zwierzę przez zimne, ciemne, dzikie tereny, by zrozumieć, że nigdy nie będzie w stanie uciec od swojego największego problemu: samego siebie.

Musiał zmierzyć się ze swoimi demonami, nie mógł żywić nadziei, że zdoła pozostawić je za sobą lub nadal uda mu się zaprzeczać ich istnieniu. Tavia uczyła go tego na swoim przykładzie, od pierwszej chwili, w której ją ujrzał. On po prostu był zbyt twardogłowy, by to pojąć.

Zadał jej ból, a jeszcze wcześniej ją wystraszył, musiał naprawić te szkody... jeśli mu na to pozwoli. Nie wiedział, jak dzielić z kimś życie, w jaki sposób kochać kogoś, a szczególnie kobietę taką jak Tavia, która zasługiwała na wszystko co najlepsze, ale chciał spróbować. Chociaż nie był pewien jak sprawić, żeby okazał się jej godny, to nie mógł wyobrazić sobie swojego życia bez niej.

Kochał ją, a jeśli to wiązało się z tym, by oddać się w ręce Zakonu, żeby zamknęli go i głodówką zmusili do wyjścia z Nałogu Krwi, to do cholery był na to gotowy.

Jego bose stopy śmigwały nad pokrytym śniegiem i lodem poszyciem. Nie czuł żadnego chłodu, tylko gorącą obietnicę przyszłości, którą miał nadzieję dzielić z Tavią, jeśli uda mu się ją przekonać do zostania jego partnerką.

Ale gdy tylko w oddali pojawiła się przed nim rozległa bryła z drewna i kamienia, Chase zdał sobie sprawę, że odeszła. Wyczuł jej nieobecność nawet zanim wspiał się z powrotem przez okno do sypialni, w której się kochali. Gdzie napadł na nią jak zwierzę i pożywił się na niej, dopóki nie zaczęła płakać z przerażenia. Jego krew powiedziała mu, że teraz jest daleko. A chłód w żyłach zdradzał, że dzieliły ich długie mile. Stracił ją, prawdopodobnie na zawsze.

Powinien poczuć ulgę, jeśli nie ze względu na siebie, to przez wzgląd na jej dobro. Podjęła decyzję za niego. Najbezpieczniejszą. Jedyną, która nie wystawiałaby jej życia na ryzyko za każdym razem, gdy znalazłaby się w jego pobliżu.

Usiadł na krawędzi pustego łóżka, nagi i samotny.

Wstawał świt, posyłając promienie różowego światła, przez gruby baldachim rosnących na zewnątrz sosen. Patrzył na to przez chwilę, niezdolny przywołać do siebie pragnienia zamknięcia okiennic. Wyręczył go w tym elektroniczny system bezpieczeństwa domu, zautomatyzowane listwy stalowych żaluzji zabezpieczyły okno, odcinając światło poranka.

Nie wiedział, jak długo tak siedział. Kiedy za jego plecami zabrzmiało głośne stukanie do drzwi, jego głos był zardzewiałym dźwiękiem, płynącym z głębi wysuszonego gardła. - Taaa.

- Harvard.

To Dante odezwał się do niego zza zamkniętej płyty z ręcznie ciosanego drewna.

- Czy wy dwoje tam wyglądacie w miarę przyzwoicie, chłopie?

Chase mruknął ze lekką ironią. - Ona odeszła.

Drzwi otworzyły się i Dante wszedł do środka. - Jezu, tu jest lodowato. Co masz na myśli mówiąc, że odeszła?

Chase odwrócił głowę, napotykając wbity w siebie zdezorientowany i gniewny wzrok swojego starego przyjaciela. Jego tęczęwki wypełniało bursztynowe światło.

Wojownik podniósł brodę, ciemne brwi powędrowały w górę, gdy zarejestrował dziki wygląd Chase'a.- O kurwa. Ty nie...

- Piłem z niej, wyznał Chase. Sprawy wymknęły się spod kontroli. Nieźle ją wystraszyłem. Skrzywdziłem ją, a teraz jej nie ma.

Dante wpatrywał się w niego przez dłuższą chwilę, studiując go.- Ta kobieta wiele dla ciebie znaczy.

- Kocham ją. To powinien być dla mnie wystarczający powód, żeby pozwolić jej odejść, nieprawdaż? - powoli pokręcił głową, przetrawiając fakt, że bez niego będzie jej dużo lepiej.- Jestem ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuje w swoim życiu.

- To jest więcej niż prawdopodobne - odpowiedział Dante grobowym tonem. W jego głosie, ani w oczach, które przytrzymały wypełnione bursztynem spojrzenie Chase'a nie było żadnej litości. - Ona nie potrzebuje cię w swoim życiu, gdy jesteś w takim stanie, mój przyjacielu. Nikt, kto chociaż odrobinę się o ciebie troszczy, nie chce patrzeć na twoją autodestrukcję. Powiedziałbym, że ona najmniej ze wszystkich. Nie chcę być dla ciebie zbyt surowy. Przecież widzę, że próbujesz pozbierać do kupy to gówno, w które zmieniło się twoje życie.

- Taaa - zgodził się Chase. - Muszę. Chcę jej udowodnić, że zdołam to pokonać.

Dante potrząsnął głową.- Nie, człowieku. Najpierw, musisz chcieć dowieść tego samemu sobie.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 35



PORANEK BYŁ MROŻNY, śnieg skrzył się wokół, a oddech Tavi zamieniał się w białą mgiełkę, kiedy stała na werandzie domu, który opuściła ponad tydzień temu. Żółta taśma oznaczająca miejsce popełnienia przestępstwa pieczętowała drzwi wejściowe, wciąż ozdobione świątecznym wieńcem przybranym wstążką i dzwonekami, które zabrzęczały, gdy przerwała taśmę i weszła do środka.

Dom był cichy jak grobowiec. Był jak muszla, tak to teraz odbierała, pusty i obcy jak życie, które wiodła wewnątrz jego ścian.

Jak kłamstwa, którymi żyła.

Tavia ruszyła w głąb domu studiując jego wnętrze z obojętnym obiektywizmem. Nic, co w nim było nie należało do niej, ani ręcznie tkane narzuty na meblach, ani radosne dodatki. Nawet zdjęcia na ścianach... kolaże z innego czasu, rozproszona chronologia jej dzieciństwa i nastoletnich lat. Czasu, który był starannie monitorowany, zaplanowany, oraz sfabrykowany z niezliczonych fałszów i zrad. Kiedyś te pamiątki z jej przeszłości wyglądały na tak prawdziwe. Jej życie jeszcze tydzień temu wydawało się całkowicie normalne. Przez większość czasu czuła się prawie szczęśliwa, lubiła swoje życie prywatne i pracę, przyjmując, że światy, w którym żyła, i do którego należała stanowią jedno. W jaki sposób to, co tak długo wydawało się być rzeczywiste, teraz stało się tylko potwornym kłamstwem?

To już nie miało znaczenia.

W tej właśnie chwili pozwoliła odejść przeszłości. Nie było w niej żadnej goryczy, kiedy rozglądała się wokół siebie, tylko spokojna akceptacja. Jej spojrzenie

prześliznęło się po kuchni, której kremową podłogę szpeciła koszmarna brązowa plama krwi, w miejscu gdzie upadł Sługus udający jej ciotkę, po odebraniu sobie życia na polecenie Dragosa.

Dopiero, gdy pomyślała o NIM... Dragosie, głównym kreatorze otaczającego ją fałszu, który swoimi pozbawionymi skrupułów czynami zrujnował, oraz odebrał tak wiele żyć... Tavia poczuła ogień wściekłości rozpalający się w jej wnętrzu. Ze względu na to, co zrobił jej i innym takim jak ona, a także Zakonowi podczas ich dążenia do pokonania go, ze względu na niegodziwości, których dopuszczał się zapewne nawet teraz, miała nadzieję, że jego koniec nadejdzie już niedługo.

Jej ciemna część... potężna, drapieżna część, która stawała się bardziej znajoma, niż to, co wiedziała o sobie przez ostatnich dwadzieścia siedem lat... zapragnęła być tam w dniu, w którym Dragos wyda swoje ostatnie tchnienie. Warknęła z potrzeby krwawej, ostatecznej zemsty, jej glyfy kłębiły się pod ubraniem z wyraźną furją.

Ale, mimo iż chciała przyłożyć własną rękę do upadku Dragosa, nie mogła pozwolić, by jej egoizm wchodził w drogę działaniom Zakonu. To była ich wojna, nie jej. Tak samo jak walka Chase'a z Nałogiem Krwi. Nie poprosił o pomoc, ani jej nie chciał. Aż nadto wyraźnie dał jej to odczuć.

Nie należała do świata Rasy ani Zakonu, nie bardziej niż do otaczającego ją twardymi ścianami rygorów domu martwego Sługusa.

Musiała odnaleźć swoje własne miejsce, do którego mogłaby należeć, nieważne, gdzie się ono znajdowało. Jednak istniał pewien problem, gdy tylko próbowała przywołać obraz swojego przyszłego życia, to przed oczami stawała jej przystojna, udręczona twarz Chase'a.

Kochała go. Należała do niego pod każdym względem i chciała być z nim na zawsze. Nawet, jeśli nie pokonałby swojej choroby.

PODCZAS, GDY POWOLI nastawał świt, w siedzibie Zakonu pogłębiało się przecucie nadchodzącego zła. Wiadomość o konflikcie pomiędzy Tavią i Harvardem i jej opuszczenie go tego ranka, była tylko kolejnym problemem, w sytuacji która sprawiała, że wszyscy byli spięci i podenerwowani.

Dragos pichcił coś dużego.

Nikt nie mógł mieć pewności, co tym razem zaplanował, ale przesłuchanie jednego z jego adiutantów, jakie Zakon przeprowadził ubiegłej nocy, pozostawiło wszystkich wojowników w stanie ponurego oczekiwania.

Nie pomagało również to, że na zegarze była zaledwie dziesiąta, a dzień sprawiał, że byli uwięzieni wewnątrz siedziby przez kolejne pięć, lub sześć godzin.

Podczas, gdy większość z nich zebrała się, żeby omówić z Lucanem zebrane informacje i taktykę patroli, Gideon i Lazaro Archer zaszyli się w prowizorycznym laboratorium wraz z Dylan i Jenną.

Liczący sobie prawie tysiąc lat Archer był jednym z najstarszych ze swojej Rasy, starszym nawet od Lucana. Nie, żeby ktoś domyślił się, że ten przystojny, mężczyzna o kruczoczarnych włosach i ciemnogramatowych oczach miał na karku więcej niż trzydziestkę.

Lecz, gdy opowiadał, jak był świadkiem normańskiego podboju Anglii i chrześcijańskich Krucjat, jakby to zdarzyło się w zeszłym roku, Jennę wciąż zadziwiała sprzeczność pomiędzy jego olbrzymim doświadczeniem życiowym, a młodzieńczym wyglądem.

- Czy myślisz, że to jest możliwe, iż Pradawni mogli polować na inną rasę, która nie była do końca ludzka? -zapytała go.

Archer zastanawiał się przez chwilę. - Wszystko możliwe. To może pomóc nam wyjaśnić, dlaczego mój własny ojciec... jeden z ósemki obcych, których statek rozbił się na ziemi... często znikał na całe miesiące, gdy byłem chłopcem. Od czasu do czasu wspominał coś o spotkaniach ze swoimi braćmi. Równie dobrze mogły być one polowaniami, jak jedno z tych, które widziałas we śnie.

- Dlaczego ich zabijali? - głośno zastanawiała się Jenna. - Chodzi mi o... o problem, który ich poróżnił.

- Archer uniósł masywne ramię. - Starożytni byli rasą zdobywców. Wiemy to z twoich dzienników, ze zdarzeń, które w nich zebraliśmy dokumentując twoje sny. Mój ojciec i jego rodzaj nie mieli w sobie odrobiny człowieczeństwa, a jeszcze mniej litości.

- Ma rację - wtrącił Gideon z przeciwnej strony pomieszczenia, gdzie pisał na swoich klawiaturach, hakując to, co musiało być tysiącami plików odebranych w Nowym Orleanie zabitemu adiutantowi Dragosa. - Zanim Zakon się nimi zajął, Pradawni jak szarańcza napadali na ludzkie siedliska, pożywiając się, gwałcąc i mordując. Jeśli się opierałeś, byłeś likwidowany.

Jenna kiwnęła głową, przypominając sobie koszmar fali, która pochłonęła całą populację, oraz wzmiankę o zbiegłej królowej, która odmówiła poddania się Starożytnym. Za karę jej miasto zostało zmiecione z powierzchni ziemi, a legion był ścigany z pełną zawziętości determinacją.

- Powiedzmy - odezwała się Dylan, obracając się na swoim krześle. – Nawet, jeśli istniała inna nieludzka rasa istot na tej planecie i był pomiędzy nią, a ojcami waszego



gatunku, rodzaj jakiejś paranormalnej wojny, to wciąż nie oznacza jeszcze, że każda Dawczyni Życia ukrywa w swojej szafie ojca pochodzącego z Atlantydy.

Gideon uśmiechnął się znacząco. - A propos, co z tym hakerskim programem, który napisałem dla Gabrielle, by mogła włamać się do plików Departamentu opieki nad Dziećmi i Ochrony Rodziny?

- Uzyskała dostęp do swoich plików, ale nie było tam zbyt wiele do odkrycia - odpowiedziała Jenna.- Oboje jej rodziców zapisano jako NN.

Psychika nastoletniej matki Gabrielle była w takim stanie, że podczas wywiadu nie można było wydobyć z niej zbyt wielu szczegółów. Co do ojca, to naprawdę trudno cokolwiek odgadnąć. Jej mama wspomniała o chłopaku, pracowniku sezonowym, który zniknął wkrótce po tym, jak zaszła w ciążę.

Brwi Gideona powędrowały w górę, a niebieskie oczy błysnęły zainteresowaniem.

- Kolejny mężczyzna o nieznanym pochodzeniu, który zniknął po zrobieniu dziewczynie brzucha?

- Och, daj spokój - wtrąciła Dylan. - Tylko mi nie mów, że też myślisz, iż to może być możliwe. - Ty, którego zawsze uważałam za głos rozsądku.

Podniósł ręce w geście kapitulacji. - Ja tylko stwierdzam, że jest w tym pewna logika.

- Claire szukała szczegółów na temat śmierci swoich rodziców w Afryce - dodała Jenna.- To miało miejsce jakieś pięćdziesiąt lat temu, ale grupa w której pracowała jej matka prowadziła dość szczegółową dokumentację. Ona sądzi, że w ciągu kilku dni pozna jakieś odpowiedzi.

Dylan wciąż prezentowała swój sceptycyzm. - Jest jeszcze sprawa śmierci ojca

Tess. Śmierć w wypadku samochodowym jest jak najbardziej ludzkim sposobem pożegnania się z życiem.

Jenna wzruszyła ramionami. - Wiem o tym. Muszę wyciągnąć od niej trochę więcej informacji, zanim będę mogła coś wywnioskować.

Dylan potrząsnęła gęstwiną czerwonych włosów. - Tymczasem, idealnie sensownym pomysłem wydaje ci się, to że nieśmiertelni wojownicy... ten legion Atlantów, który ochraniał zbiegłą królową... od tysięcy lat niepostrzeżenie wędruje po tej planecie.

Teraz wszyscy na nią spojrzeli, trzy pary brwi uniosły się pytająco. Sapnęła z irytacją i wyrzuciła ręce do góry.- Taaa, tak, wiem. Ale Rasa jest inna. Rasa trzyma się razem, stworzyła całą społeczność. Oni wzajemnie się chronią. Jeśli gdzieś tam istnieje rodzaj nieśmiertelnej rasy, której przedstawiciele płodzą potomstwo, a potem odchodzą, nie oglądając się za siebie, to nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

- Może robią to dla własnego bezpieczeństwa - zgadywała Jenna.

Dylan zmarszczyła brwi. - Nieśmiertelni mieliby się chronić?

- Nie - odpowiedział Lazaro Archer.- Chodzi o bezpieczeństwo ich córek, jeśli one nigdy nie dowiedzą się kim byli ich prawdziwi ojcowie. Przynajmniej do czasu, gdy nie zniknie z ziemi „ostatni zaprzysięgły wróg”.

Jenna spojrzała na niego. - Ostatni Starożytny zginął, ale jego wspomnienia i historia wciąż żyją we mnie. Być może na wieki, jeśli Gideon nie myli się, co do moich szans na długowieczność.

- Może o to właśnie chodziło - nietknięte wiekiem oczy Archera błyszczały

inteligencją.- On był ostatnim ze swego rodzaju na tej planecie. Zgodnie z tym, co wiedział, mógł być ostatnim z całej swojej rasy. Jeśli Starożytny zrozumiał, że zbliża się śmierć, jego ego mogło sprawić, że poszukał sposobu, by utrzymać przy życiu jakąś swoją część.

- Więc, czyżby to mogło być powodem, dla którego dał mi wybór, miałam być nosicielem jego wspomnień? - zapytała Jenna. - Tamtej nocy kazał mi wybierać pomiędzy życiem, a śmiercią. Czyżby właśnie to miał na myśli?

Archer spowaźniał, jego twarz nabrała ponurego wyrazu. - Może musimy jeszcze dużo dowiedzieć się o tych nieśmiertelnych. I dzięki tobie, Starożytny dał nam tę szansę.

Podczas gdy te słowa wciąż wisiały w powietrzu, odezwał się jeden z komputerów Gideona. Mężczyzna obrócił się gwałtownie i napisał coś błyskawicznie przyciskając klawisze. - Chyba robisz sobie ze mnie jaja. Czy to naprawdę może być takie łatwe?

Śledzony badawczym spojrzeniem Jenny i reszty, potruczał do stołu, na którym leżało pół tuzina szerokich, czarnych kołnierzy. To były obroże bezpieczeństwa emitujące ultrafiolet, skonstruowane przez pracowników Dragosa, które nosili wszyscy wyhodowani przez niego zabójcy z Pierwszego Pokolenia.

Nosili je również Hunter i Nathan, gdy jeszcze służyli Dragosowi i obydwaj byli cholernie szczęśliwi, że zdołali się z nich uwolnić, nie tracąc przy tym głowy.

Co do zabójców, którzy kiedyś nosili kołnierze zdobiące teraz stół Gideona, cóż ci nie mieli tyle szczęścia. Hunter zbierał te urządzenia, zdejmując je z każdego członka osobistej armii Dragosa, którego udało mu się sprzątnąć. Prawie wszystkie z polimerowych pierścieni zostały zdetonowane i nie do naprawienia. Ale była para, którą Gideon przeprojektował. Właśnie po jeden z nich udał się w kierunku stolika.

- Dzięki Tavi, zdołałem dostać się do pewnych, zakodowanych akt - wyjaśnił, wkładając obrożę do dużego metalowego pudła z ciężką pokrywą, stojącego obok jego biurka. Po czym sięgnął po telefon komórkowy, który zaprogramował tak, by działał jako pilot i zaczął przyciskać klawisze.- Jeśli moje kalkulacje są właściwe, ten kod powinien wyzerowywać i dezaktywować detonator.

W odpowiedzi urządzenie w pudle wydało z siebie ciche brzęczenie. - O kurwa - wyraz twarzy Gideona stał się nieco spłoszony. - Archer, na ziemię!

Zanim Jenna zorientowała się, co się stało, ona i Dylan zostały przyciśnięte do podłogi przez ogromne ciała dwóch mężczyzn Rasy... dokładnie w momencie, gdy spod wieka metalowego pudła wystrzelił jaskrawy promień ultrafioletu. Po chwili już go nie było, zniknął tak szybko, jak blask słońca zduszony przez cień chmury.

- Niech to szlag - wysapał Gideon, uwalniając leżącą pod nim Jennę. Jej i Dylan ochrona była niepotrzebna, ale Gideon i Archer byli inną historią. Gideon przeczesał dłońią swoje nastroszone blond włosy, robiąc jeszcze większy bałagan, dodając do swojego wyglądu maniaka komputerowego dodatkową porcję nieładu. - Cóż, niech mnie szlag. To był pierwszy.

- Czy nigdy wcześniej nie widziałeś detonacji tej rzeczy?- zapytał Archer, podając rękę Dylan i pomagając jej podnieść się z podłogi.

Gideon burknął i potrząsnął głową.- Nie. Nigdy wcześniej nie popełniłem błędu.

Sekundę później posłał im figlarny uśmieszek. - Ale teraz potrafię zdmuchiwać tych frajerów, kiedy tylko przyjdzie mi na to ochota.

W tym momencie, w drzwiach laboratorium pojawiła się Tess. Spojrzała na nich, po czym obrzuciła wzrokiem pomieszczenie, jakby wyczuła, że ostatnio coś tu było

nie w porządku. - Savannah powiedziała, że chcesz mnie widzieć, Jenna?

- Taaa - powiedziała, napotykając łagodne, akwamarynowe spojrzenie Dawczyni Życia. - Chciałam zadać ci kilka pytań na temat twojego ojca.

- Nie ma sprawy, ale nie ma zbyt wiele do powiedzenia. Zginął w Chicago, gdy miałam zaledwie czternaście lat.

- Wypadek samochodowy - powiedziała Dylan zza pleców Jenny.

Tess kiwnęła głową. - To prawda. Dlaczego chcesz to wiedzieć?

- Jesteś pewna, że to był wypadek samochodowy? - naciskała Jenna.

- Absolutnie. Był w cabrio, nadmierna prędkość. Mój ojciec zawsze uwielbiał zbyt szybką jazdę - uśmiechnęła się smutno. - Był ryzykantem całkowicie pozbawionym uczucia strachu.

Jennie zrobiło się żal nastolatki, która straciła uwielbianego rodzica.- Co było przyczyną tego wypadku?

- Świadkowie powiedzieli, że chciał uniknąć potrącenia psa, który wybiegł mu przed koła. Gwałtownie skręcił na przeciwny pas ruchu. To była ciężarówka z przyczepą.

Jenna w swojej pracy, gdy była policjantką na Alasce, widziała dość zderzeń czołowych. Mogła wyobrazić sobie, co się zdarzyło. Ale wciąż musiała słyszeć odpowiedź z ust samej Tess.- Co spowodowało jego śmierć?

- Obcięło mu głowę. Umarł natychmiast.

ROZDZIAŁ 36



- NAPRAWDĘ NIE CIERPIĘ PATRZEĆ, jak piękna kobieta pije do lustra.

Tavia nie zadała sobie trudu, by unieść wzrok, gdy garniturowiec w średnim wieku przyszedł za nią do baru z hotelowego holu i w końcu po chwili nerwowego spaceru, zdecydował się na nawiązanie rozmowy. Jej drink dawno już się skończył, a lunch składający się z burgera i frytek stał przed nią ledwie napoczęty.

- Nie szukam towarzystwa.

- Rozumiem cię. Ja też w ciągu ostatnich dni miałem przesyt ludzi. Wakacje to przekleństwo.

Jasne piwo lokalnej produkcji zachlupotało w długiej szyjce butelki, gdy zamasztyłym gestem wskazał na wolny stółek, stojący obok niej. - Mogę się przysiąc?

- A ma znaczenie, czy się zgodzę? - praktycznie warknęła.

Zachichotał, jakby to było zaproszenie i klapnął na tyłek. Nie patrząc na niego, oceniła go po zapachu. Tanie mydło hotelowe i modna woda kolońska na jego skórze, z których żadne nie maskowało śladu pizma po niedawnym seksie. Środek do zmiękczenia tkanin i skrobiowy usztywniacz rozpylony na białym kołnierzyku z wyłogami przypinanymi na dwa guziki, noszony pod garniturem z wyprzedaży, który

wciąż wydzielal cieprki aromat spalin paliwa do silnika odrzutowego, po transporcie w luku bagazowym samolotu. Nie mial obraczki, ale nie musiala sprawdzac, zeby wiedziec, ze na pewno dostrzeglaby jej delikatny slad na opaleniźnie, zlapanej prawdopodobnie w Disneylandzie, który nie tak dawno odwiedzał ze swoją rodziną.

- Jesteś w Bostonie służbowo? - zapytała.

Postawił pustą butelkę na barze i obrócił się na stołku twarzą do niej. - Mam w tym hotelu kilkudniową konferencję na temat sprzedaży, niedawno przyleciałem.

Tavia obdarzyła go cieprkim uśmiechem, ledwie opierając się pragnieniu, by pokazać mu końcówkę kła. - Faktycznie nie tracisz czasu, a czy twoja żona wie, że na swoich delegacjach pieprzysz się na potęgę?

Nagle stał się bardzo ostrożny. - Moja ... co, do cholery wiesz na temat mojej żony?

Uśmiechnęła się z wyższością do swojego talerza, ponieważ w rozdrażnieniu zsunął się ze stołka i odszedł, by dołączyć do swojego towarzystwa.

Tavia, gdy znowu została sama, nie zdołała się powstrzymać od delikatnego chichotu. Wyostrzone zmysły mogły okazać się całkiem zabawne w tym nowym życiu, jako jedna z Rasy.

Skinęła na barmana, dając mu sygnał, że chce zapłacić i zaczęła wsuwać dłoń do kieszeni dzinsów w poszukiwaniu pieniędzy. Dzisiaj, zanim wyszła z domu, wzięła dwieście dolarów z gotówki na specjalne wydatki, która leżała schowana w szufladzie w kuchni. Nie, żeby ktokolwiek za nimi zatęsknił. Niestety, nie wystarczą na długo, a potem będzie musiała wymyślić coś innego.

Już czuła się wystarczająco winna, po zawłaszczeniu pokoju, kiedy hotel odmówił jej wynajęcia go bez karty kredytowej i ważnego dowodu tożsamości. Zaledwie po kilku próbach udało jej się otworzyć wolny pokój usytuowany niedaleko wyjścia na klatkę schodową. Łatwa droga ucieczki, w przypadku gdyby ktoś próbował otworzyć go właściwym kluczem i musiałyby szybko stamtąd zniknąć.

- Czy mogę czymś jeszcze służyć? - zapytał barman, kiedy przyszedł z rachunkiem.

Tavia potrząsnęła głową.- Nie dziękuję, to już wszystko. - Przyjrzała się sumie i zostawiła mu solidny napiwek, bardziej niż gotowa jak najszybciej opuścić to miejsce, tym bardziej, że teraz bar wypełnił się ponad tuzinem biznesmenów, którzy śmierdzieli tanim piwem, papierosami, i duszącą wodą kolońską.

Zsunęła się ze stołka i prawie nie mogła przedrzeć się przez tłum, który gęstniał wewnątrz zatłoczonego holu. Płynęli falą w kierunku monitora o płaskim ekranie zamocowanego w rogu na drugim krańcu baru. Pomyślała, że może jest właśnie emitowana „Wielka Gra”, do chwili gdy kilku zebranych tam ludzi zaczęło kreślić krzyże na piersiach, wbijając przerażone oczy w ekran telewizora.

- Ja pierdołę - wymamrotał ktoś grobowym tonem. - Możesz to podgłośnić?

Kreska oznaczająca poziom głośności powoli pięła się w górę, aż osiągnęła maksimum i Tavia spojrzała z przerażeniem, na relację na żywo z łącza satelitarnego za granicą. Reporter mówił po niemiecku, ale nie było żadnej potrzeby, by rozumieć język, aby pojąć o czym mówiono. Scena rozgrywająca się jednocześnie na kilku monitorach za jego plecami była totalnym Armagedonem.

Ludzie uciekający przez ciemne ulice miasta, krzyki, zawodzenia. Desperacki bieg w celu ratowania życia. Szaleńcza strzelanina rozbrzmiewająca w oddali. Dymy unoszące się do góry z witryn sklepowych i blokowisk. Samochody porzucone



pośrodku skrzyżowań, otwarte drzwi, metal skrzywiony i zgnieciony z brutalną siłą, jakiej ludzkość jeszcze nigdy nie była świadkiem.

I ciała. Tuziny zwłok, rozrzucone wokół, jak połamane, zakrwawione lalki. Reporter mówił dalej, głos mu się łamał, kiedy próbował powstrzymać łzy, podczas gdy jego miasto umierało na oczach całego świata. W końcu, stracił nad sobą kontrolę. Zaniósł się szlochem, a po chwili ten płacz zmienił się w skowyt bólu i przerażenia, jedno słowo w sercu Tavi powtórzyło się echem głośnym jak krzyk.

- WAMPIRY!!!

LUCAN POCZUŁ, JAK UGINAJĄ SIĘ pod nim kolana. Po raz pierwszy w swoim życiu czuł się całkowicie bezsilny. Stał w dużym pokoju ich prowizorycznej, kiepsko wyposażonej siedziby i razem z zresztą Zakonu słuchał przez zestaw głośno mówiący relacji Andreasa Reichena z Berlina.

Po zachodzie słońca, Agencje Nadzoru w całej Europie otworzyły na oścież drzwi ośrodków rehabilitacyjnych, wypuszczając na wolność setki uzależnionych od krwi Szkarłatnych na niczego niepodważających, nieprzygotowanych ludzi. - W tej chwili najgorsza masakra rozgrywa się w dużych miastach - powiedział Reichen, jego pobrzmiwający akcentem głos był ponury i drewniany. - W Niemczech: Berlin, Frankfurt, Monachium. Francja zgłasza ogromną ilość ofiar. Polska i Republika Czeska również. Więcej raportów jest transmitowane na żywo, co godzinę.

Lucan miał ochotę wykrzyknąć swoją furję. Chciał coś zniszczyć, wykrzykiwać swoją wściekłość, aż dom wokół niego zamieni się w stertę dymiącego gruzu. Ale nie był nawet w stanie rozprostować swoich kurczowo zaciśniętych pięści. Prawie nie mógł wydusić słowa z gardła, które stało się suche jak pieprz i ściśnięte od momentu pierwszej wzmianki w wiadomościach o ataku wampirów za granicą, który miał miejsce zaledwie kilka minut temu.

A teraz Reichen potwierdził najgorsze.

Dragos stał za tym wszystkim. To był jego ruch, szach i mat.

To Lucan był tym, który nie potrafił przewidzieć tego, co nadchodzi. To on nigdy nie uwierzyłby, że Dragos zdolny był do zrobienia czegoś tak niepojętego. Tak ostatecznego.

Szydercze słowa Arno Pike'a z wczorajszej nocy, wróciły do niego jak cios pięścią w brzuch.

*Spóźniłeś się... Dragos już wygrał.*

W jaki sposób Zakon zdoła to naprawić?

Jak mieli opanować tę sytuację, skoro liczba uwolnionych Szkarłatnych przewyższała ich wielokrotnie i byli oni rozprzestrzenieni po całym globie? Jak ktoś mógłby mieć nadzieję na cofnięcie szkód, które Dragos wyrządził tym jednym aktem odwetu?

Zasłona tajemnicy... która tak długo... przez tysiąclecia gwarantowała Rasie kruchy pokój... została zerwana. I już nigdy nie będzie można tego cofnąć. Ich rodzaj dał się poznać ludzkiemu światu w najgorszy możliwy sposób.

Jako potwory.

Jako zabójcy bez dusz i sumienia.

A najgorszym piekłem było to, że ataki w Europie były tylko początkiem. Lucan znał Dragosa dość dobrze, by spodziewać się, że taka sama masakra i horror niedługo

nawiedzi też Stany Zjednoczone. Kanadę i Meksyk również.

Pozostało mniej niż trzy godziny dnia.

Zmrok nadchodził szybko. - Złap telefonicznie Mathiasa Rowana - powiedział Gideonowi. - Chcę, żeby każda placówka odwykowa Agencji w Ameryce pozostała zamknięta na głucho. Każ mu niezwłocznie się tym zająć!

Podczas, gdy Gideon pobiegł by zadzwonić, Lucan spojrział na wojowników i ich partnerki zebranych teraz wokół niego. Dante i Tess, tulący ostrożnie ich nowo narodzone dziecko. Tegan i Elise, ponurzy ze świadomością mrocznego świata, jaki odziedziczy ich własny syn. Rio i Dylan, mocno trzymający się za ręce, skażona bliznami twarz Rio napięta i trzeźwa. Niko i Renata, obydwójce tworzący wspólny odważny front, kurczowo trzymając Mirę w obronnym uścisku. Kade i Alex, wtuleni w siebie w pobliżu miejsca, gdzie stali Brock i Jenna, jego ramiona owinięły się wokół niej, podczas gdy z jej oczu cicho płynęły łzy. Hunter i Corinne, spokojni i niewzruszeni, chociaż trzymali się za ręce tak mocno, aż pobielaly im kłykcie, para stała w pobliżu syna Corinne, Nathaa, i Archera. Savannah i Gabrielle stały razem u boku Lucana, dwie kobiety wyprostowane, dumne i zdeterminowane, tak dzielne jak każdy z wojowników.

I był również Chase. Stał przy drzwiach, nieproszony. Niemniej, ubrany w strój bojowy, ciemny mundur i buty. Broń jeżyła się u pasa na jego szczupłych biodrach i ze skórzanych szelek krzyżujących się na jego piersi.

Lucan pochylił swoją głowę w uznaniu. W zaufaniu i podziękowaniu. Do tej misji potrzebowali wszystkich rąk. Chase nigdy nie mógłby mieć lepszej okazji, żeby się sprawdzić. Lucan mógł wyczytać ze spojrzenia wojownika, że właśnie to miał zamiar zrobić. Albo umrzeć próbując.

Każda para oczu utkwiona była w Lucanie, czekając na jego decyzję. Ufając, że zapanuje nad sytuacją. Prowadzi ich do walki, do jakiej nigdy wcześniej nie był wzywany.

Nie mógł i nie chciał ich zawieść.

Gideon wrócił do pokoju i podał telefon komórkowy Lucanowi.- To Rowan. On mówi, że wszystkie północnoamerykańskie obiekty są odcięte i nie ma z nimi żadnej łączności. Nie ma sposobu, by domagać się ich zabezpieczenia.

- Co oznacza, że Dragos to przewidział i podjął odpowiednie działania. - Lucan rzucił poważne spojrzenie na swoich zgromadzonych braci. - Wszyscy mają być gotowi, wyruszamy przed zmierzchem.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 37



TAVIA WCIAŻ JESZCZE DRŻAŁA, gdy późnym popołudniem szła przez miasto. Ludzie wszędzie rozmawiali o potwornościach mających miejsce w Europie. Kraje leżące za oceanem rozpaczliwie błagały Amerykę, oraz inne narody o bezzwłoczną pomoc i wsparcie militarne w tej nadzwyczajnej sytuacji. Wszystko było przerażające i surrealistyczne, stan świata zaledwie kilka godzin po niczym niesprowokowanej rzezi i rozlewie krwi.

A Tavia była pewna, że to Dragos był w centrum tego wszystkiego.

W ciągle emitowanych wiadomościach widziała więcej niż jedno zdjęcie i mnóstwo

materiałów video, które uchwyciły napastników, zdziczałe, poplamione krwią twarze. Wampiry, o których istnieniu ludzkość właśnie się dowiedziała, wszystkie bez wyjątku były Szkarłatnymi.

Z tego powodu, nie był to pierwszy raz od czasu ataku na ludzki świat, gdy wróciła myślami do tego, co powiedział jej Chase, że obiekty odwykowe były kontrolowane przez Agencje Nadzoru. Wspomniiał, jakie akty przemocy mogłyby się szerzyć i jak wielka masakra mogłaby się dokonać, gdyby uzależnionym od krwi Szkarłatnym udało się wydostać na wolność i nagle spaść na ludzki świat.

A teraz Dragos przystąpił do realizowania tego koszmaru za granicą. Tavia była pewna, że to on się za tym krył. Musiał zostać powstrzymany. Zanim będzie miał okazję, by dalej siać terror i wystawiać mieszkańców tej planety na kolejne niebezpieczeństwa. Gdyby tylko mogła dostać się w jego pobliże, wówczas znalazłaby sposób, żeby go zabić. Nasionko planu działania zaczęło kiełkować w jej umyśle już kilka godzin temu.

Gdy pieszo pośpieszyła do dzielnicy willowej na Back Bay, zachód słońca właśnie okrywał miasto całunem chłodnych cieni. Padał drobny śnieg, tłumiąc dźwięki ruchu ulicznego i pełne niepokoju rozmowy przechodniów podążających chodnikami i wąskimi uliczkami.

Przed sobą, po drugiej stronie ulicy Tavia dostrzegła znajomą rezydencję z brunatnego piaskowca. Poczekała aż przejedzie miejski autobus, po czym przygotowała się do przejścia przez jednokierunkową ulicę.

Kiedy rozwiały się kłęb pary i trujących spalin, znalazła się twarzą w twarz z potworem. Szkarłatny stał na skraju krawężnika, ubrany w obszarpany, poplamiony krwią kombinezon, w który wyposażyła go klinika odwykowa. Przekrzywił głowę i wpatrywał się w nią. Jego twarz i szyję pokrywały plamy krwi z niedawnych,

bestialskich zabójstw. Kły Tavi zadrżały od zapachu świeżych erytrocytów, ale fala zalewającej ją adrenaliny nie miała nic wspólnego z głodem. To strach podrażnił jej żyły, biegnąc w górę kręgosłupa.

*O, Boże.*

*Masakra dotarła również tutaj.*

Ze zwierzęcym pochrząkiwaniem i cichym warczeniem, Szkarłatny zszedł z krawężnika i ruszył w jej stronę. Tavia umknęła mu z drogi i uciekła do najbliższego zaułka. Obejrzała się, upewniając się, że za nią biegnie. Węzeł strachu, który utworzył się w jej żołądku, gdy zobaczyła, jak sadyzizm za nią susami z obnażonymi kłami, był zimny jak lód i sprawił, że krew zastygła jej w żyłach. Pobiegnęła jeszcze dalej w głąb alei, sięgając po broń ukrytą w tylnej kieszeni dżinsów.

Kroki Szkarłatnego były ciężkie, chrzęściły na zaskorupiałym lodzie, który pokrywał stary bruk. Tavia przyczaiła się za narożnikiem kamienicy z piaskowca i poczekała kilka sekund zanim pojawiło się niemrawe cielsko wampira. Po czym uderzyła... błyskawicznie i bezszelestnie.

Ostrze przebiło klatkę piersiową Szkarłatnego, osadzając go na miejscu. Burknął coś niezrozumiałego i przycisnął dłonie do rany, która rozkwitła tuż nad jego sercem. Tytan już robił swoje w jego krwiobiegu, mknąc jak trucizna przez zainfekowane żyły i tętnice, dokładnie tak jak mówił o tym Chase. To właśnie dzięki tej radzie, tego ranka Tavia zdecydowała się odwiedzić pobliski lombard, wydając na ten nóż połowę swojej gotówki.

*Ale było warto, pomyślała, patrząc jak ogromne cielsko osuwa się na kolana.*

Używany tytanowy nóż myśliwski, koszt: sześćdziesiąt trzy dolary.

Wartość: bezcenny.

Nie czekała, by przyglądać się, jak ciało Szkarłatnego rozpada się, tworząc kałużę skwierczącej brei, która następnie zamieniła się w popiół. Zamiast tego wytarła ostrze, schowała je, po czym ruszyła w kierunku Mrocznej Przystani Chase'a. Gdy doszła do drzwi opustoszałej posesji z brunatnego piaskowca, usłyszała rozdzierający krzyk z innej części dzielnicy.

Więcej Szkarłatnych na polowaniu i więcej ludzkich zgonów, które miały miejsce nawet w tym momencie.

Nadchodziła noc i przynosiła ze sobą horror.

W CIEMNOŚCIACH ŚWIAT PŁONAŁ i nurzał się we krwi.

Chase przyglądał się rozdzieranej terrorem okolicy z tylnego siedzenia szybko jadącego czarnego Rovera. Dante i Renata w milczeniu siedzieli obok niego. Rio z ponurą miną usadowił się na odchylanym siedzeniu na tyle pojazdu, Lucan z kamiennym wyrazem twarzy i zaciśniętymi szczękami, dzierżąc w dłoniach śrutówkę zajmował miejsce z przodu, obok Niko.

Mieli za sobą wiele mil, ponad pięciogodzinna podróż została zredukowana do zaledwie trzech godzin dzięki szaleńczej prędkości, z jaką prowadził Nikolai. Brock podążał tuż za nimi w drugim samochodzie, wioząc resztę oddziału Zakonu ku misji, jaka czekała na nich w Bostonie. Nawet Lazaro Archer przypiął broń, by dołączyć do bitwy, którą wojownicy mieli stoczyć tej nocy.

Bóg wiedział, że potrzebowali każdej pomocy, jaką mogli otrzymać.

Z tego, co obliczył Mathias Rowan, grupa trzymanyh w odosobnieniu Szkarłatnych, wypuszczona na wolność z obiektów rehabilitacji wzdłuż

wschodniego wybrzeża liczyła sobie dobrze ponad setkę osobników. Powstrzymanie ich zajęłoby całe tygodnie, może nawet dłużej. Nie biorąc już nawet pod uwagę ośrodków w innych częściach Ameryki Północnej, które prawdopodobnie tej nocy zostaną otwarte.

Szansa, by Zakon mógł odnieść sukces była raczej mało prawdopodobna. Ostatecznie musieliby się rozproszyć, by stawić czoło zagrożeniu, które osaczało ich ze wszystkich stron.

Ale to Boston był teraz najpilniejszym problemem. Wydawało się, że właśnie temu miastu Dragos chciał zadać najdotkliwszy cios, bez wątplenia po to, by obnosić się swoją mocą przed oczyma wojowników, rozpoczynając piekło w miejscu, które było kolebką Zakonu.

Im bliżej miasta się znajdowali, tym większy chaos panował wokół.

Po obu stronach drogi płonęły domy, strzelając ku niebu jasnopomarańczowymi językami ognia. Oba pasy jezdni były zatłoczone, ponieważ przestraszeni kierowcy usiłowali wywalczyć dla siebie drogę, uciekając na oślep. Zewsząd słychać było ogłuszający dźwięk klaksonów. A w dzielnicach mieszkalnych i na przybrzeżnych deptakach, gromady ludzi biegały pieszo w chaotycznym zmieszaniu. Z obłędem w oczach i twarzami wykrzywionymi dzikim przerażeniem, uciekali przed niebezpieczeństwem, któremu nigdy nie zdołaliby umknąć.

Wszędzie, gdzie Chase zdołał osiągnąć wzrokiem, panowało totalne, mrozące krew w żyłach szaleństwo.

- Chryste - wysyczał Rio w grobowej ciszy panującej w Land Roverze. Chase dostrzegł kątem oka, jak onieśmielający hiszpański wojownik przeżegnał się i cicho szepcząc słowa modlitwy przycisnął do warg medalik, który nosił zawieszony wokół szyi na cienkim złotym łańcuszku.



Linia horyzontu Bostonu zamajaczyła teraz przed nimi, czarny dym unosił się w górę z tłących się budynków i pogniecionych szczątków samochodów porzuconych na ulicach przez uciekających kierowców.

Krzyki przeszywały powietrze, potęgując kakofonię przemocy, która wisiała nad całym miastem.

Myśli Chase'a poszybowały w stronę Tavi. Nie opuściła jego umysłu ani na moment przez cały czas odkąd wyruszył z Zakonem do Bostonu. Wiedział, że jest blisko, gdzieś w mieście. Mógł poczuć ją w swojej krwi. Jego żyły wciąż drżały bolesnym strachem, który wyczuł od niej niedługo po tym, gdy Zakon wyruszył do Bostonu. Ukłucie było głębokie, ale krótkie i szybko przeminęło. Świadomość, iż była bezpieczna... że żyła... cała i zdrowa była gwarancją, której się uchwycił, podczas, gdy reszta świata na jego oczach pogrążała się w krwi i chaosie.

Mimo to, pragnienie, by jednym szarpnięciem otworzyć drzwi samochodu i pobiec do niej, było bardzo silne. Przytłaczające. Ale w tym momencie najważniejszą sprawą był obowiązek w stosunku do Zakonu, teraz bardziej niż kiedykolwiek. Tak długo jak wiedział, że ona wciąż oddycha był w stanie robić tej nocy to, co musiał. Tavia była silną, zaradną kobietą. Była taka nawet przed zadziwiającym ujawnieniem swojego rodowodu Rasy. Była bystra i rozważna. Wiedział, o tym. Czerpał ulgę z faktu, że jego ukochana... jego partnerka, jeśli on kiedykolwiek zdoła okazać się godnym tego honoru... była najbardziej niezwykłą kobietą, jaką kiedykolwiek widział.

Ale była również odważna i zdecydowana. Te jej dwie cechy powodowały, że czuł węzeł niepokoju zaciskający się w jego piersi na myśl, co ona może zrobić, jeśli dotrze do niej eskalacja przemocy, którą Dragos rozpoczął tu dzisiaj wieczoru. Pomodlił się, żeby przyczaiła się gdzieś do czasu, aż on i Zakon zdołają zacisnąć pokrywę na tej potwornej sytuacji i będzie mógł odłączyć się od wojowników, żeby ją znaleźć.

Z miejsca dla pasażera, Lucan połączył się przez radio z wojownikami jadącymi w drugim pojeździe.- Tegan, zabierz swój oddział na North End i zaczynicie tam sprzątać. Reszta z nas ruszy z Southie, weźmiemy Szkarłatnych w dwa ognie i wytłuczemy, ilu tylko się da.

- W porzo - ponurym tonem odpowiedział wojownik.

Reflektory jadącego za nimi Rovera gwałtownie skrzyły w bok, gdy Brock pokierował SUV-em przez tor przeszkód zablokowanego i chaotycznego ruchu ulicznego.

- Wszyscy przygotować i załadować broń - rzucił Lucan. Patrząc na nich z powagą.

- To będzie długa i krwawa noc.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 38



TERROR TRWAŁ DO BLADEGO ŚWITU. Tavia nie zasnęła nawet na chwilę. Prawdopodobnie nie ona jedna w tym mieście. Chyba nikt, w całym krwawiącym kraju, nie zaznał nawet minuty odpoczynku, tak długo, jak tą straszną, wydającą się nie mieć końca noc przesywały krzyki rozgrywającej się na zewnątrz przemocy. Dopiero brzask zmusił atakujących Szkarłatnych do ukrycia się i przerwania terroru. Wraz z porankiem rozpoczęły się żałobne zawodzenia... następstwo przemocy i wojny, którą niewiele ludzkich umysłów było w stanie pojąć.

A to jeszcze nie był koniec.

Gdy znowu zajdzie słońce, nadejdzie kolejna lodowata fala masakry. Świadomość tego przeszywała Tavię strachem do szpiku kości, gdy wyszła z Mrocznej Przystani w jasne światło dnia. Jej plan odszukania Dragosa skryzalizował się tej nocy. Powzięła niezbędne kroki, opracowała metodę, której mogłaby użyć, żeby dostać się w jego pobliże, a przy okazji i odrobinie szczęścia, również zabić tego sukinsyna.

Scena na zewnątrz rezydencji z brunatnego piaskowca, którą Tavia opuściła żwawym krokiem, krótko mówiąc przypominała Armagedon. Wszędzie stały opuszczone samochody z rozbitymi reflektorami i pogniecionymi dachami, alarmy buczały w dysharmonii z muzycznymi dzwonkami, które wydawały się pochodzić z telefonów komórkowych sygnalizujących tysiące nieodebranych połączeń. Dym i popiół kłębiły się z tłących się resztek zrabowanych witryn sklepowych i rezydencji, które zostały zniszczone w czasie największego nasilenia ataków. Olbrzymie kałuże krwi znaczyły pokryte śniegiem trawniki i opustoszałe trotuary.

Miasto było wymarłe. Nikt nie ryzykował śmierci, nikt oprócz Tavi i ratowników z ponurymi twarzami, którzy patrolowali skrwawione ulice, lub personelu medycznego z powagą zabezpieczającego i zbierającego liczne ciała zmarłych.

Tavia szybko zmierzała ku swojemu celowi, z opuszczoną głową i oczami, które aż bolały od widoku takiej ogromnej ilości brzydoty i zniszczenia. Przeszła przez miasto, z powrotem do Suffolk Departament i odnalazła ten sam posterunek policji, w którym była zaledwie tydzień wcześniej. Wydawało się jej, jakby minęła co najmniej dekada od chwili, gdy została wezwana do zidentyfikowania anonimowego strzelca z przyjęcia Senator Clarenca. Jej świat nie mógłby obrócić się bardziej wokół własnej osi, niż to miało miejsce w ciągu tych kilku minionych dni. Rzeczywistość zmieniła swój układ i teraz ten sam rzekomy szaleniec był osobą, którą kochała najbardziej na świecie. Jedyną, z którą pragnęła spędzić życie. I była zdecydowana ponownie się z nim połączyć, gdy już wypełni swoje zadanie, niszcząc

ich wspólnego wroga.

- Panna Fairchild... Tavia? - Głos detektywa Avery zabrzmiał przez tętniący życiem posterunek w chwilę po tym, gdy tam weszła.

Spojrzała w górę i zobaczyła go, jak śpieszył ku niej, jego przedwcześnie postarzała twarz była ściągnięta i wymizerowana. Patrzył na nią z oczywistym niepokojem.

- Mój Boże, czy wszystko z tobą w porządku?

Czuła się dobrze, ale siniaki i zadrapania na jej twarzy i ciele wskazywały na coś innego. Już samo to przyciągało uwagę, ale oprócz widocznych urazów, na dodatek jej dzinsy i sweter były poszarpane i ubrudzone krwią, a brudne skórzane buty na płaskim obcasie, były nią przesiąknięte. Efekt wędrówki na posterunek.

- Chodź ze mną. Znajdę kogoś, kto opatrzy twoje rany - powiedział detektyw, oczywiście biorąc jej milczenie za szok. Prowadził ją w głąb posterunku, całkowicie wypełnionego chmarą pełnych niepokoju funkcjonariuszy krążących wokół w zbiorowym oszołomieniu.

- Przynajmniej żyjesz. Dziękuję za to Bogu! - powiedział, prowadząc ją do wolnego fotela stojącego w pustym biurze. Drżały mu dłonie, kiedy podnosił słuchawkę czarnego telefonu stojącego na biurku i wybierał numer. Przeklął i rzucił ją z powrotem na widelki.- Zajęte. Wszystkie linie padły. Całe to cholerne miasto po prostu się rozpada. Nawet ja sam nie bardzo jestem w stanie pojąć to, co działo się w ciągu tych kilku ostatnich godzin. Mam na myśli, że nic z tego tak naprawdę nie miało prawa się wydarzyć...

Tavia czuła żal z powodu horroru, jaki cierpiał ten człowiek i reszta jego rodzaju. Ale nie znalazła żadnych słów współczucia, jakie mogłaby mu zaoferować. W tej

sytuacji żadne pocieszenie nie wydawało się odpowiednie. Jej umysł skupił się całkowicie na celu, dla którego znalazła się na posterunku, przyglądała się tuzinom mijających ją twarzy.

Znalazła to, czego szukała: zimne, martwe oczy dotknęły jej zwężonego spojrzenia przez całe morze kłębiących się ciał.

Sługus rozpoznał ją na pierwszy rzut oka, wiedział, czym była.

- Zaraz będę z powrotem - mruknęła Tavia do oficera śledczego.- Muszę napić się wody.

Avery nie zaprotestował, ani nie próbował za nią iść, po prostu odwrócił się w drugą stronę, gdzie umundurowany funkcjonariusz przekazywał kolejne ponure informacje z okopów.

Tavia ruszyła prosto ku Sługusowi, lawirując pomiędzy ludźmi, aż znalazła się tuż przed służącym Dragosowi niewolnikiem umysłu.

- Muszę zobaczyć się z twoim mistrzem.

Sługus wykrzywił usta. - Nie przyjmuję rozkazów od nikogo oprócz niego.

- Przychodzę prosto z siedziby Zakonu - naciskała. - Myślę, że Dragos będzie zainteresowany tym, co mam mu do powiedzenia.

Sługus w mundurze wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę, rozważając za i przeciw. - Chodź ze mną - rzucił.

Tylnymi drzwiami wyszła z nim na parking. Sługus wybrał numer, przeczekał jeden

dzwonek, po czym się rozłączył. Sekundę później, komórka zaćwierkała obwieszczając połączenie przychodzące. Tavia ledwie zdołała ukryć swoją pogardę, kiedy usłyszała głos Dragosa dobiegający z drugiej strony linii, domagający się wyjaśnień, dlaczego zakłócano mu spokój.

Sługus poinformował go, że Tavia zgłosiła się do niego, wówczas otrzymał krótkie polecenie, żeby ją przeszukał, żeby sprawdzić, czy nie ma przy sobie broni. Gliniarz włożył telefon do kieszeni, nie rozłączając się z Dragosem i zaczął ją obmacywać. Błyskawicznie znalazł tytanowy nóż, z zadowolonym z siebie uśmieszkiem wetknął go sobie za pasek i przykrył kurtką od munduru. Po czym jego ręce znowu wróciły na jej ciało, muskając obie nogi i uda zanim dotarły do tułowia. Trochę za długo zamarudził przy jej piersiach, więc Tavia okazała mu swoją dezaprobatę, przy okazji obnażając końcówkę kła.

Sługus cofnął się i podniósł telefon komórkowy do ust. - Jest czysta. Co chciałbyś żebyśmy z nią zrobili, mistrzu?

Głos Dragosa był przepelniony groźbą i podszyty intrygą, która przyprawiła ją o dreszcze. - Przytrzymaj ją tam i czekaj na dalsze instrukcje.

- LICZBA POTWIERDZONYCH OFIAR zeszłej nocy na całym świecie sięga kilku tysięcy.

Lucan pokiwał głową, kiedy tego ranka w swojej Mrocznej Przystani Mathias Rowan przekazał im tą mrozącą krew w żyłach informację. Zakon w końcu poszukał tam schronienia po długiej nocy walki. Nawet zło o imieniu Dragos musiało przegrać ze wschodzącym słońcem. Wraz z nadchodzącym świtem wszyscy pochodzący z Rasy... wojownicy, cywile, a nawet Szkarłatni... zmuszeni byli poszukać kryjówki.

W tle, Tegan, Chase i reszta wojowników oglądali telewizyjne relacje z ataków i ich następstw. To wydawało się niepodobieństwem. Nie tylko relacje o powszechnych, krwawych napadach i zniszczeniach, jakie miały miejsce w przeciągu minionych osiemnastu godzin, ale również otwarte dyskusje prowadzone przez Ludzkie Służby Ochrony Porządku Publicznego o niekwestionowanym istnieniu wampirów.

A ludzkość miała ich, co zrozumiale, za wrogów.

Dzikusów.

Potwory.

Śmiertelną plagę, która wymagała skoncentrowanej i błyskawicznej eksterminacji. Lucan oglądał wizję Miry w relacjach wideo i zdjęciach, które były transmitowane na całym świecie. Przeżył ją ostatniej nocy, gdy jego buty nasiąkały krwią martwych Szkarłatnych i zgładzonych przez nich ludzi, których ciała leżały wszędzie, gdzie zdołał sięgnąć wzrokiem. Czuł również jej smak, w gorzkim cierpkim smaku żalu na swoim języku. Żałował, że nie zdołał zgładzić Dragosa, zanim ten rozpętał to piekło. Czuł żal również z powodu faktu, iż to był dopiero początek koszmaru.

Europa przygotowywała się do nadchodzącej nocy, wzywając na pomoc wojsko, by pomogło zabezpieczyć największe miasta w razie kolejnego ataku. Wszyscy modlili się o to, aby nie nadszedł, ale Lucan i reszta Zakonu wiedzieli, że na pewno nadejdzie. Pomimo, że żaden z wojowników, ani Mathias Rowan o tym nie mówili, to oni wszyscy również musieli się zastanawiać, jak zdołają walczyć z kolejnym atakiem rozmiaru tego, jaki miał miejsce wczoraj.

Było ich tu zebranych z grubsza licząc tuzin, przeciwko setkom Szkarłatnych, rozproszonych na dwóch kontynentach. Dwudziestu przeciwko stu, jeśli policzyliby

Rowena i garstkę agentów, za których on poręczył, prawych mężczyzn, którzy niezwłocznie zobowiązali się pomóc w ich misji. Oraz jeszcze mniejszy oddział za granicą, kierowany przez Reichena. Ale Zakon i jego nowi sojusznicy nie mogli być we wszystkich miejscach na raz. Musiałoby ich być dziesięciokrotnie więcej, żeby wytrzebić uwolnionych Szkarłatnych, zanim ci znowu zaczęliby odbierać niewinne życia. I zanim ludzie zdecydowaliby się przejść do ofensywy.

- Czy została ogłoszona godzina policyjna? - zapytał Lucan.

Przy przerażonych i podejrzliwych ludziach, żadnemu z mężczyzn Rasy nie wolno było się karmić, nie gdy Szkarłatni wciąż stanowili zagrożenie. W tej chwili ludzkość nie była w stanie rozróżnić zdrowego cywila od Szkarłatnego. Dla bezpieczeństwa całej Rasy, Lucan nakazał, by Mroczne Przystanie do odwołania pozostawały zamknięte przez całą noc.

Rowan rzucił mu powątpiewające spojrzenie.- Zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy, ale to przebiega cholernie powoli, gdy większa część infrastruktury Agencji poszła w rozsypkę zaraz po pierwszych atakach.

- Zajmujcie się tym dalej - powiedział mu Lucan. - Mamy i tak wystarczająco dużo roboty, bez martwienia się o cywilów złapanych w krzyżowy ogień walki.

Co do Agencji Nadzoru, to praktycznie rozpadła się ubiegłej nocy. Wszelka komunikacja padła. Ukryta siatka zwolenników Dragosa... w tym dwóch liczących się dyrektorów Agencji, jeden w Seattle, drugi w Europie... wyszło z cienia i otwarcie oświadczyło o swoim oddaniu dla niego i jego celów. Niezliczony personel pozostałych Agencji zbiegł, dołączył do Dragosa, albo porzucił służbę i skupił się na obronie własnych rodzin podczas tych ponurych godzin.

Serce Lucana znajdowało się kilkaset mil na północ, z Gabrielle. Martwił się o nią,



resztę Dawczyń Życia i dzieci, które zostały tylko pod opieką Gideona pośrodku tego całego niepokoju i chaosu. Nie miał wątpliwości, że Gideon będzie je chronił, ale Lucana zabijało to, iż musiał być z dala od swojej partnerki, gdy we własnej krwi czuł jej zagubienie i głęboki niepokój. Wszyscy wojownicy byli dziś trzeźwi, czujni i kompetentni.

Szczególnie Chase.

Prawdopodobnie właśnie jemu Lucan teraz współczuł najbardziej. Wojownik stał samotnie z tyłu z pokoju, spokojny i skoncentrowany, wyraźna zmiana w stosunku do mężczyzny, jakim był w ciągu ostatnich miesięcy, tak niestabilnym, lekkomyślnym i niezdyscyplinowanym. Narażającym na niebezpieczeństwo zarówno siebie, jak i swoich partnerów, z którymi odbywał patrole.

Ledwie rozpoznawał dawnego Chase'a w tym chłodnym, sprawnym wojowniku, który ubiegłej nocy dzielnie walczył u jego boku, pomimo tej całej rozlanej krwi. To dla nich wszystkich była trudna, wymagająca wysiłku noc, ale dla Chase'a w szczególności. Mimo to wytrwał. Nie złamał się. Nawet nie był tego bliski, zgadywał Lucan, napotykając otwarte, skupione spojrzenie wojownika.

Oczy Chase'a patrzyły pewnie, wypełnione stalowym zdecydowaniem. Był zdeterminowany, skupiony na swoim celu, w tym momencie Lucanowi udało się dostrzec w nim przeblysk przywódcy, na którego Sterling Chase się urodził. Przywódcy, jakim jeszcze kiedyś w przyszłości mógłby się stać, jeśli którykolwiek z nich przeżyje, by móc oglądać tą przyszłość.

Lucan pochylił głowę w pełnym akceptacji skinieniu, które powiedziało więcej niż zdołałyby to wyrazić jakiegokolwiek słowa.

Chase odpowiedział mu podobnym skinieniem, świadomy i pełen zrozumienia.

Lucan był dumny, że Harvard jest znowu członkiem Zakonu. Czuł dumę również z powodu tego, iż może nazywać Sterlinga Chase'a swoim bratem i przyjacielem.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 39



JENNA ODŁOŻYŁA SŁUCHAWKĘ telefonu i odchyliła się na krześle. Chociaż jej serce wciąż jeszcze biło od nadmiaru adrenaliny z powodu wiadomości, jaką właśnie usłyszała, to ciężkie znużenie osiadło na jej ramionach ciężarem ołowiu.

- Jak przedstawia się sytuacja u Claire w Newport? - zapytał Gideon, spoglądając z drugiego końca pomieszczenia z ponad obroży UV, na których właśnie eksperymentował.

- U niej wszystko w porządku. Jest bezpieczna i na razie jest tam spokój.

Podczas gdy reszta mieszkańców była przyklejona do telewizora obserwując relacje z ataków Szkarłatnych, Jenna i Gideon rzucili się w wir pracy. Po niezaplanowanej detonacji obroży, Gideon przeszukiwał wszystkie kody w celu odnalezienia tego, który odpowiadał za jej uruchomienie. Udało mu się nawet zaprogramować jedną tak, by mógł ją zlokalizować na mapie za pomocą GPS-u, co bardzo go podekscytowało. To było bardzo pomocne, zająć się czymś konstruktywnym podczas oczekiwania na wiadomości z Bostonu... po których następowały kolejne godziny oczekiwania.

Jenna potarła swoją obolałą, ozdobioną glifem szyję, ból był efektem zbyt wielu

bezsennych godzin i zamartwiania o Brocka i resztę Zakonu. A tak po prawdzie to również martwienia się o cały świat. Nic innego nie wydawało się być ważne w świetle wydarzeń z ostatnich dwudziestu czterech godzin. Przynajmniej wszyscy o których dbała, byli w miarę bezpieczni.

- Lucan i Mathias Rowan wysłali kilku Agentów do Newport, by zaopiekowali się Mroczną Przystanią w czasie, gdy Reichen będzie przebywał za granicą. Claire mówiła, że jest w dobrych rękach.

Gideon kiwnął głową.- Miło mi to słyszeć. Rozumiem, że poczyniła pewne postępy w poszukiwaniu odpowiedzi na temat okoliczności śmierci jej rodziców, zanim dziś w nocy rozpętało się to piekło?

- Taaa - odpowiedziała Jenna. - Tak naprawdę, to właśnie z tego powodu dzwoniła, poza tym, chciała nas także zawiadomić, że u niej wszystko w porządku. Claire skontaktowała się z organizacją humanitarną, dla której w latach pięćdziesiątych pracowała jej mama, a oni przejrzyli informacje o ataku rebeliantów na wieś, w której przebywali jej rodzice. Okazało się, że tamtego dnia zabito więcej osób, trzy należące do organizacji i jeszcze cztery we wsi.

- Czy ojciec Claire był jedną z nich?

Gdy wzruszyła ramionami, Gideon odłożył rozbity pierścień z czarnego polimeru nad którym pracował i marszcząc brwi spojrzał na nią ponad krawędzią niewielkich, bładoniebieskich okularów słonecznych, umieszczonych na czubku nosa.

- Czy ojciec Claire nie został zabity?

- Nie ma nikogo kto by mógł z całą pewnością odpowiedzieć na to pytanie. Według zeznań wieśniaków, którzy byli świadkami tamtej rebelii, został kilka razy postrzelony. Był śmiertelnie ranny, tak samo jak matka Claire i inni.

- Ale? - dociekał Gideon, znowu marszcząc brwi.

- Ale nie ma żadnego zapisu na temat jego ciała.

- Niech to szlag.

- Dokładnie.

Jenna potrząsnęła głową, wciąż trochę wstrząśnięta tą konkluzją.- Został uznany za martwego, tak samo jak reszta ofiar i od tego dnia przestał istnieć. Nikt nie ma pojęcia, co się z nim stało, po prostu mógł wstać i odejść.

- Nie zrobiłby tego, gdyby był śmiertelny - powiedział Gideon, jego poważne oczy były pozbawione wątpliwości.

- To prawda.

Te nowiny, jakie otrzymała od Claire tylko zwiększyły pewność Jenny, że była na właściwym tropie. Gdyby nie konsekwentne zapewnienia Dylan, że jej ojciec był tylko przeciętnym, mężczyzną, a właściwie nieprzeciętnym dupkiem, wszystkie znaki zapytania stojące przy teorii Jenny zostałyby wyeliminowane.

- Jen? - jakby wyczarowana jej myślą, w drzwiach do laboratorium stanęła Dylan. Była blada i wyglądała na zdenerwowaną. W dłoni trzymała połówki, prostokątny kawałek papieru.

- Cześć - powiedziała Jenna, wstając, by do niej podejść. Dylan wyglądała na tak wstrząśniętą i zdenerwowaną, że Jenna objęła ją i przytuliła. - Co się stało? Czy coś złego?

Oczy Dawczyni Życia spojrzały na nią badawczo, z lekkim zagubieniem.

- Przypuszczam że z powodu dzisiejszych wydarzeń, poczułam jakiś dziwny rodzaj nostalgii. Zateśniłam za swoją mamą. Po tym jak umarła w zeszłym roku, wzięłam z jej mieszkania niewielkie pudło pamiątek. Wtedy nie przeglądałam tego wszystkiego, po prostu tylko do niego zajrzałam, by stwierdzić, że zawierało jakieś listy, kartki pocztowe i pamiątki z jej podróży. Naprawdę same głupstwa. Była sentymentalna, miała najbardziej otwarte, kochające serce, jakie kiedykolwiek wiedziałam.

Jenna wprowadziła Dylan do środka i posadziła ją na wolnym, biurowym krześle.

- Powiedz mi, o co chodzi.

- Właśnie przekopałam się przez zawartość tego pudełka. Na samym dnie znalazłam zaklejoną kopertę. To było wewnątrz niej - położyła kawałek papieru na biurku. Coś zostało napisane w górnym prawym rogu pełnym zawijasów, pochyłym charakterem pisma: Zael. Mykonos, '75. Dylan znacząco spojrzała na Jennę.

- Następnego roku przyszłam na świat.

Nie było wątpliwości, co miała na myśli. - Sądziłam, że twoi rodzice byli już wtedy małżeństwem. Masz dwóch starszych braci.

Dylan skinęła głową. - Ale w 1975, moja mama odeszła na kilka miesięcy. Pojechała do Grecji całkiem sama, po prostu spakowała się i wyszła z domu. Powiedziała mi kilka lat temu, że chciała rozwieść się z moim tatą, ale błagał ją, by do niego wróciła. Ale nigdy nie wspomniała mi o tym. Nie powiedziała mi o nim.

Dylan odwróciła leżący na biurku kawałek papieru. To było zdjęcie, zbliżenie niesamowicie pięknego mężczyzny, miał obnażony tors pokryty złocisto-brązową opalenizną i siedział na plaży, na białym piasku. Jego zmysłowe usta wyginał powalający na kolana uśmiech, przeznaczony dla osoby, która robiła to zdjęcie,

przypuszczalnie matki Dylan.

- Czy myślisz, że mogła mieć romans z tym facetem?

- Taaa - sędzę, że były na to cholernie duże szanse - odpowiedziała Dylan.

Jenna podniosła zdjęcie, żeby dokładniej mu się przyjrzeć. Oczywiście, wyłącznie w celu wyjaśnienia tej zagadki. Wpatrywała się jak sparaliżowana w nieskazitelne, muskularne ciało i grzywę muśniętych miedzią blond włosów. Twarz na fotografii była gładka, ponadczasowa, oczy przenikliwe barwy ciemnego błękitu, koloru tropikalnych, turkusowych wód. Mądre i nieziemskie. A zaciśnięty wokół silnego nadgarstka skórzany pas miał wytłoczony srebrny wzór: łąkę... zawieszoną nad kołyską półksiężycą.

ŻOŁĄDEK TAVI WYWINAŁ FIKOŁKA, kiedy czarny helikopter zanurkował w dół ponad rozświetloną słońcem wodą, w kierunku samotnej, porośniętej drzewami wyspy, zlokalizowanej w odległości kilku mil od brzegu w pobliżu miasteczka Maine.

Dwadzieścia minut po tym jak Sługus z posterunku policji skontaktował się z Dragosem, ubrany na ciemno pilot, również Sługus, przybył żeby zabrać ją na prywatne lądowisko dla helikopterów na szczycie bostońskiego wieżowca.

Rejestrowała każdy szczegół podróży, katalogując punkty orientacyjne i zapamiętując lokalizację na wypadek, gdyby musiała poprowadzić wzdłuż nich oddział Zakonu. Pomimo, iż zapewne to nie będzie miało już żadnego znaczenia, jeśli jej plan zgładzenia Dragosa zakończy się fiaskiem i te kilka następnych godzin zakończy się jej śmiercią.

Pilot posadził helikopter na wygładzonej betonowej płycie z tyłu stylizowanej na

fort rezydencji. To był jedyny budynek na tej wyspie, wsparty na niedostępnej bryle granitu i otoczony strzelistymi sosnami. Nie było żadnego sposobu, by mogła opuścić to miejsce, chyba że chciałyby narazić się na zamrożenie, pokonując wpływ Atlantyku, albo wyhodowałyby sobie skrzydła.

- Tędy - Sługus wyskoczył z kokpitu i czekał, żeby do niego dołączyła. Przeszli jakieś sto metrów zmagając się z ostrym, lodowatym wiatrem, po czym skierowali się w górę, w kierunku tylnej części rozległego domostwa.

Drzwi zostały otwarte od wewnątrz i kolejny Sługus dzierżący w dłoniach półautomatyczny karabin, skinął na nią, by weszła do środka.

Myślała, że była przygotowana, żeby stawić czoła Dragosowi, ale jego widok czekającego na nią w domu sprawił, iż poczuła chłód przenikający aż do szpiku kości.

- Panno Fairchild. To naprawdę jest niespodziewana przyjemność.

Był otoczony przez czterech zabójców z pierwszego pokolenia, od stóp do głów odzianych w czerń. Byli również uzbrojeni w pistolety i noże umocowane do ich twardych, szerokich klatek piersiowych i przypięte do masywnych ud. Ale to nie szerokie ramiona, ani ich surowe, ogolone głowy i czarne kołnierzyki UV zaciśnięte wokół ich potężnych szyj stwarzały wokół nich tę śmiercionośną atmosferę. To był brak litości w ich oczach. Brak jakichkolwiek uczuć. To były maszyny do zabijania i jakakolwiek nadzieja, że byłaby w stanie położyć kres życiu Dragosa zaraz po przybyciu do jego kwatery zgasła, gdy zrozumiała, że tych czterech Łowców zgładziłoby ją, zanim zdołałaby uczynić pierwszy krok.

Chociaż stanowili oni ogromne zagrożenie, jednak to obecność Dragosa przyprawiała ją o dreszcze. Było w nim coś, co instynktownie ją zmrażało i to od

pierwszej chwili, w której poznała go w biurze senatora. Teraz, rozumiejąc głębiej jego zła i deprawacji, czuła do niego niemal fizyczną odrazę. Użyła tych niewielkich dreszczy do uzyskania efektu strachu i ulgi. - Nie miałam dokąd pójść. Dziękuję za to, że zechciałeś się ze mną spotkać.

Dragos przyjrzał się jej podejrzliwie. - Przez ten cały czas byłaś z Zakonem - to nie było pytanie, tylko oskarżenie.

- Nie sądziłam, że kiedykolwiek uda mi się od nich uciec.

- A ja miałem wrażenie, że poszłaś z nimi z własnej woli - odpowiedział ostrożnie, przypatrując się jej. - Myślałem, że może Sterling Chase znalazł sposób, by cię oczarować.

- Oczarować mnie?- prychnęła.- On mnie uprowadził i przesłuchiwał. On... mnie bił.

Studiował jej siniaki i skaleczenia, które były już prawie zaleczone. Nieznacznie rozszerzając nozdrza wciągnął jej zapach, poddając w wątpliwość to, co mu mówiła.

- On cię uwiódł, nieprawdaż?

Nie mogła mieć nadziei, że uda się jej całkowicie go oszukać. Mógł poczuć zapach prawdy na jej skórze, wiedziała, że pewnych rzeczy nie uda się przed nim ukryć. Zwiesiła głowę, jakby była pogrążona w głębokim wstydzie.

- On użył przeciw mnie moje własne ciało, zmusił żebym piła jego krew.

- Hmm - zabrzmiał, jakby był usatysfakcjonowany jej odpowiedzią, ale niezadowolony z powodu zaistniałych faktów. - To bardzo niefortunne, Taviu. Więź jest nierozzerwalna.



- Tylko przez śmierć - odpowiedziała, te słowa z trudem wyszły z jej gardła, jednak ich nie żałowała, ponieważ miała nadzieję, że skłonią go, by jej uwierzył.

Podniósł jej brodę i zmusiła się, by wlać zimną nienawiść do swoich oczu... lecz nie tak wszechogarniającą, jak tą, zarezerwowaną dla stojącego przed nią wampira.

- Dlaczego nie powiedziałeś mi, kim jestem? Dlaczego trzymałeś przede mną w tajemnicy prawdę o moim pochodzeniu?

Cofnął się poza jej zasięg. W jego zwężonych, lodowatych oczach błysnęła kalkulacja i znowu zagościła w nich podejrzliwość. Jego strażnicy powoli przesunęli się do przodu, gotowi, by chronić swojego stwórcę.

Tętno Tavi przyspieszyło, kiedy walczyła, żeby utrzymać uwagę Dragosa, by zaintrygować go na tyle, aby jej zaufał. To była jej jedyna szansa, nie mogła dać mu czasu na wątpliwości.

- Co skłoniło cię do tego, by utrzymywać mnie w stanie słabości, chociaż silna mogłabym służyć ci lepiej?

Gwałtowność jej determinacji, by go przekonać sprawiła, że jej oczy zapłonęły złotem. - I mogłabym być dla ciebie czymś więcej, gdybyś tylko pozwolił mi poznać prawdę.

Jego ciemne brwi uniosły się nieznacznie. Powolny uśmiech lekko wygiął kąciki jego warg. - Bardzo dobrze mi służyłaś, Taviu. Byłaś więcej niż przydatna. Ja naprawdę chciałem powiedzieć ci wszystko... i uwolnić tą twoją jakże cudowną część... we właściwym czasie.

- Zamiast tego pozostawiłeś mnie bezbronną. Nie dałeś mi jakiegokolwiek szansy.

Grała na jego ego i tym, że była dla niego w oczywisty sposób atrakcyjna, czuła jak to od niego promieniuje i wstręt przed nim pobudził w niej naturę Rasy.

- Musiałeś wiedzieć, że Zakon mnie przetrzymywał i o tym, iż będą chcieli wyciągnąć ze mnie informację na twój temat... i że mogą wykorzystać mnie seksualnie. Nie chcieli mi uwierzyć, kiedy mówiłam im, że nie wiem kim jesteś, ani gdzie mogą cię znaleźć.

A gdyby znali prawdę o tobie, zabiliby cię z jej powodu - odpowiedział bez emocji.- Ja bym tak zrobił na ich miejscu.

Chłodne słowa z zimnego, czarnego serca. Uwierzyła mu i musiała użyć całej swojej siły woli, by zmusić się, aby następne słowa wyszły z pomiędzy jej warg.

- Byłeś pierwszą osobą, o której pomyślałam, gdy uciekłam. Odszukałam cię, ponieważ jesteś moim stwórcą. Jedyłą osobą, do której mogłam się zwrócić dostatecznie silną, by pokonać Zakon.

- To prawda - wygiął wargi z pełnym samozadowolenia uśmiechu.

Wpatrywał się w nią teraz ciężkim i badawczym spojrzeniem, jego oczywiste zainteresowanie przyprawiało ją o dreszcze. - Byłem tobą zafascynowany od czasu, gdy byłaś dzieckiem, Taviu. Jesteś taka śliczna. Mój kwiat z prywatnego ogrodu, moja osobista Ewa - wzruszył ramionami. - Och, inne też mają swój urok, ale muszę stwierdzić, że do ciebie czułem szczególny sentyment.

Powiedział *inne*. Nie w czasie przeszłym, lecz teraźniejszym. Powróciła myślami do plików doktora Lewisa... szczególnie tych, w których znajdowały się dane zmarłych pacjentów, a których nie miała okazji przeczytać, zanim klinika została zniszczona. Więc, czyżby istniało inne laboratorium tworzące kobiety Rasy, którym udało się przeżyć przedłużające się próby i eksperymenty medyczne? Musiała się upewnić. Jeśli miała siostry, powinna znaleźć sposób, żeby im pomóc.

Dragos wciąż ją obserwował, jego mrożące krew w żyłach oczy dotykały jej skóry jak palce trupa. - Teraz, kiedy jestem królem, wszyscy będą musieli się mi pokłonić, zarówno ludzie, jak i obywatele Rasy... to nastąpi już bardzo niedługo - dodał, uśmiechając się z arogancką pewnością siebie. - I będę potrzebował odpowiedniej królowej.

Tavia przełknęła żółć, która napłynęła jej do gardła na samą myśl o tym, że miałyby do niego należeć.

- Myślę, iż chciałbym cię mieć u swojego boku i w łóżu - mruknął czymś rozbawiony. - A moim ślubnym prezentem dla ciebie będzie Zakon w łańcuchach. Jeśli będziesz tego chciała, możesz osobiście rozprawić się ze Sterlingiem Chasem.

Te słowa... sama myśl o Sterlingu lub innych wojownikach Zakonu wpadających w łapy Dragosa podziałała na nią jak uderzenie w twarz.

Wtedy on podszedł do niej i lekko pogłaskał ją po policzku. Walczyła, by się nie wzdrygnąć, świadoma Zabójców patrzących na nią jak jastrzębie. W jednej chwili mogłaby wgrzyźć się w rękę Dragosa, ale musiała go zabić. I dlatego, musiała znaleźć się z nim na osobności i bardzo blisko. Boże, dopomóż jej, intymnie, jeśli to okazałoby się konieczne.

- Chodź - powiedział do niej. - Za granicą już zachodzi słońce. Właśnie miałem usiąść i obejrzeć wiadomości. Dołącz do mnie, Taviu i bądź świadkiem tworzenia królestwa, które już niedługo ma być naszym.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 40



SZKARŁATNY WŁAŚNIE OSACZYŁ KOBIECĘ w rogu klatki schodowej eleganckiego apartamentowca, w którym mieszkała, kiedy Chase wpadł do przedsiionka i spopielił cholerną pijawkę. Tytanowe ostrze przecięło gardło zdziczałego wampira, posyłając go bryzgającego krwią na podłogę, gdzie zmienił się w skwierczącą breję topiącego się ciała i kości.

Chase stanął nad martwym Szkarłatnym, jego lepkie od krwi palce zaciskały się na rękojeści noża, a czarny mundur i buty pełne były krwawych pamiątek po innych sukinkotach, których zgładził przez te parę godzin, odkąd zaszło słońce. Spojrzał na struchlałą z przerażenia kobietę, która kulila się w przeciwległym rogu klatki schodowej. Bursztynowy blask jego oczu oblewał jej twarz złocistą poświatą. Brązowe włosy były rozsypane, wysunęły się ze schludnego, konserwatywnego upięcia na karku. Ciemna garsonka i biała bluzka z żabotem, w które była ubrana były w nieładzie, miejscami podarte i poznaczone smugami krwi pochodzącej z brudnych dłoni atakującej ją pijawki.

- W porządku, jesteś bezpieczna - zapewnił ją, wycierając zakrwawiony nóż o nogawkę spodni. - Ten Szkarłatny już nie może cię skrzywdzić.

Ona gapiała się na niego z przerażeniem. Wciąż próbowała się cofać gorączkowo kręcąc głową z szeroko otwartymi, pełnymi nieufności oczami. - Ty... o mój Boże, ty też jesteś jednym z nich!

- Nie - powiedział, po czym wysyczał ordynarne przekleństwo, gdy rozważył, jak bliski był zostania taką rozszalałą, wygłodniałą bestią, zbierającą tej nocy swoje krwawe żniwo.

- Nie mam zamiaru cię skrzywdzić. Wstań.

Uwolniła wstrzymywany oddech. - Ja nie rozumiem...

- Nie ma czasu na wyjaśnienia - warknął. - Teraz, do cholery wracaj do swojego mieszkania i zarygluj drzwi. Nie wychodź aż do świtu, rozumiesz? No idź. Już!

Zerwała się na nogi i pobiegła niezgrabnie, ponieważ podczas ataku straciła jeden ze swoich pantofli na wysokim obcasie. Gdy pośpiesznie cofała się w kierunku swojego apartamentu, wyszarpnęła komórkę ze swojej torebki i błyskawicznie pstryknęła mu fotkę w całej jego wampirzej chwale. Zajebicie. Jakby już i tak nie miał wystarczającej ilości zdjęć w ludzkich kartotekach policyjnych.

Wyszedł na zewnątrz i wziął oczyszczający oddech. Albo raczej, ten oddech powinien być oczyszczający. Ale mroźne powietrze nasączone było głębokim aromatem erytrocytów, po części świeżych, a po części koagulujących w zamarznętych kałużach na ulicach i chodnikach. Obecność tak ogromnej ilości krwi, przez tyle godzin, powinna doprowadzić go do szaleństwa. Ale udawało mu się je opanować, koncentrując się na obowiązku wobec Zakonu.

Jego serce było przepelnione miłością do Tavi. Niepokoiło go to, że już nie mógł wyczuć jej bliskości. Chciał ją zobaczyć, dotknąć. Mieć niezbity dowód na to, iż była bezpieczna. I chciał żeby wiedziała, że ją kocha. Pragnął tego bardziej, niż czegokolwiek innego.

Pieprzony Dragos. I cholerna wojna, która w końcu wybuchła Zakonowi prosto w twarz. Robili, ile w ich mocy, by jakoś opanować sytuację, ale walka dopiero się zaczynała. Z ulic Bostonu, gdzie wcześniej tej nocy udało im się zaprowadzić jaki taki ład, Zakon wyruszył do Nowego Jorku, skąd otrzymał raport o wściekłych atakach na Manhattanie i w otaczających go dzielnicach.

Razem z chłopakami od Rowana w ciągu dwóch minionych nocy udało im się spopielić ponad trzydziestu Szkarłatnych. A jeszcze tylu pozostało do sprzątnięcia. Tak wiele miast wciąż ponosiło ciężkie straty, w Stanach i za granicą.

- Harvard - niski głos Dantego przeciął ciemność.

Podbiegł do niego, w dłoniach dzierzył sztylety, a twarz miał brudną po niedawnej walce. - Dorwałeś pijawkę, która tu wlaźła?

- Nie żyje - odpowiedział Chase. Jego wzrok wciąż wypełniała bursztynowa poświata, a kły były wysunięte w odpowiedzi na smród krwi, który przenikał noc.

- Spopielilem drania, kiedy szykował się do zabójstwa. Ofiara uciekła z nietkniętą szyją... i moim zdjęciem, jak stoję nad tłącym się trupem.

To nie był pierwszy raz, kiedy ludzie, których Zakon próbował ocalić, zatrzymywali się, by zrobić zdjęcia wojownikom próbującym uprzątnąć ten bałagan, albo nagrać wideo na telefon komórkowy. Ani nie ostatni.

Dante przeciągnął dłonią po swojej umorusanej twarzy... pierdolona nowoczesna technologia. Czasami bywa cholernie niewygodna, nieprawdaż!!? Co prawda teraz już nie trzeba się starać, żeby nie zwracać uwagi na istnienie Rasy. Po prostu robimy, co w naszej mocy.

Chase skinął głową i z roztargnieniem potarł dłonią środek klatki piersiowej.

- Wszystko w porządku? - zapytał Dante, przyglądając mu się z uwagą.

- Taaa. To tylko...

- Tavia - dopowiedział wojownik, gdy Chase się zająknął.

- Nie mogę znieść tego, że nie ma mnie teraz przy niej.

Wciąż wyczuwał łączącą ich więź krwi, ale jej fizyczna nieobecność sprawiała, że czuł się jakby ktoś wyrwał mu serce. - I nienawidzę tego, iż nie czuję jej w pobliżu.

Dante kiwnął głową, pełny współczucia.- Jeśli ona znajdzie się w tarapatkach, będziesz o tym wiedział. A gdyby tak się stało, będę osłaniał twoje plecy. Cały Zakon pójdzie za tobą.

Ta obietnica... odnowiona przyjaźń i więzy z Zakonem... sprawiła, że gardło Chase'a nagle stało się suche. To uczyło go pokory, świadomość, że Dante i inni wojownicy byli gotowi, żeby znowu przyjąć go do swojego grona. Skłonni, by przelewać za niego krew, tak samo jak on zrobiłby to za każdego z nich. Wśród tych dobrych i dzielnych mężczyzn odnalazł swoją rodzinę. Za nic nie zaryzykowałby utraty tego. Ale nigdy nie zazna uczucia prawdziwego domu, dopóki nie będzie przy nim Tavi.

W tym momencie zaczął wibrować telefon komórkowy Dantego. Wojownik odebrał, pozdrowił Niko, po czym przeklął pod nosem. - Dobijasz mnie! Taaa, możemy do was dołączyć. Harvard i ja jesteśmy pięć minut od ciebie. Zaraz tam będziemy.

Zakończył rozmowę i rzucił Chase'owi poważne spojrzenie. - Czas na rock and roll. Zakon wyrusza stąd tak szybko jak to możliwe.

- Kłopoty? - Chase zadał retoryczne pytanie, jakby to nie było oczywiste.

- Nowa fala Szkarłatnych właśnie wtoczyła się do Waszyngtonu. Pałą, demolują ambasadę i wyciągają ludzi z domów. Jest mnóstwo ofiar.

Chase wyrzucił z siebie ordynarne przekleństwo, po czym ruszył wraz z Dante, by spotkać się z braćmi i rozpocząć następną rundę walki.

NIGDY NIE BYŁA WYSTARCZAJĄCO blisko niego, żeby mieć okazję go zabić. Dragos przez cały czas trzymał swoich Łowców blisko siebie. Jednak, mimo iż był bardzo ostrożny nie wydawał się postrzegać jej jako realnego zagrożenia. Jak mogłaby nim być? Przecież, aby się do niego dostać, musiałyby pokonać czterech wyszkolonych zabójców.

Teraz znajdował się za zamkniętymi drzwiami swojego prywatnego gabinetu, konferując z adiutantami. Nie ulegało wątpliwości, że chełpili się najnowszym terrorem, jaki rozpętali... wypuszczając liczną grupę Szkarłatnych na gęsto zaludniony teren, w tym na sam Waszyngton. Dragos był upojony perspektywą kolejnej fali zabójstw i zniszczenia.

Tavia została zmuszona do ukrycia swojego przerażenia, gdy liczba ofiar przekroczyła tę z poprzedniej nocy. W ciągu tych godzin, jakie minęły, odkąd przybyła do jego kryjówki, zorientowała się, że istnieje tylko jedno miejsce, w którym miałyby szansę znaleźć się sam na sam z Dragosem. Na myśl o tym, że miałyby położyć się obok niego, pozwolić mu się dotknąć, wywracał się jej żołądek, ale zrobiłaby to, jeśli nie byłoby innego sposobu.

Usiadła na kanapie w jego pięknie urządzonej salonie, słuchając sadystycznego śmiechu Dragosa i ożywionego dialogu po drugiej stronie zamkniętych drzwi. Sługus siedzący w pokoju patrzył na nią jak sokół na mysz, zmatowiały błysk jego pozbawionego uczuć spojrzenia spowodował, że po jej kręgosłupie przebiegł dreszcz pogardy i obrzydzenia. Bezczynność i poczucie bezsilności wobec wszystkiego, co czynił Dragos, doprowadzały ją do szaleństwa. Musiała zrobić coś, by mu przeszkodzić, jeśli jej plany zgładzenia go miałyby się opóźnić.



Nagle wstała, wzbudzając czujność Sługusa. - Siedzę tu już od ponad godziny. Muszę skorzystać z łazienki.

Sługus zawahał się, po czym machnął dłonią w kierunku damskiej toalety, mieszczącej się w pobliżu korytarza. Tavia ruszyła swobodnym krokiem, lecz kiedy zamknęły się za nią drzwi do łazienki oparła się o nie plecami. Czuła ciężar przedmiotu, który nosiła przy sobie, w biustonoszu, odkąd tego poranka opuściła Mroczną Przystań Sterlinga.

Srebrna fiolka Szkarłatu była ciepła od jej skóry, zaplombowany woskiem korek wciąż tkwił na miejscu, zabezpieczając śmiertelną dawkę trucizny. Wszystko, czego pragnęła, to mieć okazję, by wsypać ten proszek w głąb gardła Dragosa. Fakt, że narkotyk spowodowałby konwulsje i wypełnioną męką agonię nie powinien sprawiać jej aż tak wielkiej satysfakcji. Ale chciała, żeby cierpiał. Z powodu zbrodni, jakich się dopuszczał w ciągu całego swojego długiego życia, pragnęła, aby Dragos umierał powoli w męczarniach i przerażeniu.

Tavia włożyła fiolkę z powrotem do stanika i ostrożnie otworzyła drzwi, zaglądając do salonu. Sługus nie ruszył się z miejsca. Genetycznie rzecz biorąc, był tylko człowiekiem, tak więc nawet okiem nie mrugnął, gdy z szybkością i zręcznością Rasy wymknęła się z łazienki i pomknęła w głąb korytarza, podążyła za wibracjami, jakie emanowały ze sprzętu komputerowego znajdującego się w pomieszczeniu w pobliżu klatki schodowej na jego przeciwległym końcu. Domyśliła się, że tam właśnie mieściło się centrum operacyjne Dragosa.

Ktoś pisał na klawiaturze, buczenie urządzenia było prawie niesłyszalne z miejsca, w którym stała. Poruszała się cicho i znalazła się wewnątrz, zanim technik, ludzki Sługus zdążył ją zauważyć. Jej siła wzrastała teraz z każdym dniem, wraz z niehumanitarną szybkością i zręcznością. Oburącz chwyciła jego głowę i błyskawicznie skręciła mu kark. Przytrzymała martwe ciało, by złagodzić jego upadek, po czym schowała je do

znajdującej się obok wnekowej szafy.

Ściana monitorów świeciła obrazami z wielu kamer bezpieczeństwa i uruchomionych programów. Tavia przyjrzała się im wszystkim, przyswajając sobie tak dużo danych z centrum Dragosa, jak tylko zdołała. Jeden z komputerów... ten na którym pracował Sługus... ukazywał otwartą bazę danych, z dostępem po zalogowaniu. Tavia przejrzała menu systemu w poszukiwaniu aplikacji, które mogłyby rzucić trochę więcej światła na operację Dragosa.

Po kilku próbach, wchłonęła całe bogactwo plików, w tym dane na temat trzech innych kobiet pochodzących z pierwszego pokolenia, które wciąż były aktywne w programie Dragosa. Z bólem serca odczytała imiona i lokalizację... swoich trzech przyrodniczych sióstr, z których żadna nie zdawała sobie sprawy o istnieniu innych.

- Odnajdę was - zapewniła je wszystkie pełnym pasji szeptem.- Przecież któregoś dnia to wszystko musi się skończyć.

Gdy wgryzła się głębiej w głąb twardego dysku jej oczom ukazało się jeszcze więcej informacji. Przygotowane do wydruku diagnozy doktora Lewisa, wyniki eksperymentów, procedury postępowań medycznych, oraz wzory recept. Baza danych programu Zabójców, w tym dokumentacja całej ich populacji.

Dobry Boże, wszystko czego potrzebował Zakon, by zdławić operację Dragosa znajdowało się przed jej oczami. Musiała znaleźć jakiś sposób, żeby im to przekazać. Skopiowanie tego byłoby niemożliwe. Po prostu, było zbyt wiele danych i za mało czasu. Musiał istnieć jakiś lepszy sposób.

I zdała sobie sprawę, że właśnie go znalazła.

Weszła do programu operacyjnego DOS w komputerze i wpisała polecenie. Ciemny ekran wypełniły linie po linii; kody dostępu, oraz adresy IP. Gdy dostrzegła

ten jeden, szczególnie, błyskawicznie go zapamiętała.

Ale jak przesłać go Zakonowi?

Podbiegła do szafy wnękowej, by przeszukać martwego Sługusa, z nadzieją znalezienia przy nim komórki. Odkryła ją w przedniej kieszeni jego Dokerów. Przebiegła palcami po dotykowym panelu. Ledwie skończyła wysyłać wiadomość, wyczuła jakiś ruch w korytarzu na wyższym piętrze. Wepchnęła telefon z powrotem do kieszeni Sługusa i popędziła schodami na górę... wpadając prosto na Dragosa i jego czterech strażników.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 41



- ZGUBIŁAŚ SIĘ TAVIU?

Kiedy Dragos na nią patrzył, wyraz twarzy kobiety nie zmienił się nawet przez ułamek sekundy. Gdyby tak się stało, rozkazałby swoim Łowcom zabić ją na miejscu. Ale wytrzymała jego badawczy wzrok bez drobiny przerażenia lub poczucia winy. Nie, spojrzenie, którym mu odpowiedziała było spokojne i niewzruszone. Rozświetlone intrygującym blaskiem, który sprawił, że zapragnął przyjrzeć się jej nieco dokładniej. Był w stanie wymyślić wiele zajmujących sposobów, na jakie chciałby studiować piękną Tavię Fairchild.

- Mój Sługus powiedział, że poszłaś szukać łazienki.

- Twój Sługus jest nudziarzem. Zmęczyłam się czekaniem na zakończenie twojego spotkania, więc poszłam trochę pozwiedzać.

Jej usta wygięły się w chłodnym, pewnym siebie uśmiechu, który trafił prosto do jego kutasa. - Zakres twojej operacji jest godny podziwu. Mam nadzieję, że moja ciekawość ci nie przeszkadza.

Nie miał co do tego pewności, ale sposób, w jaki patrzyła teraz na niego... po części jak chętna uwodzicielka, a po części jak ledwie poskromiony drapieżnik... sprawił, że był skłonny jej wybaczyć. Ponadto, był zbyt zadowolony, by troszczyć się o to, czy próbowała go przechytrzyć, czy nie. Wszystko nad czym do tej pory pracował układało się doskonale, jak dopasowane kawałki puzzli. Gwałtownie, krwawo, idealnie tak, jak to sobie zaplanował.

- Czy dobrze się bawiłaś oglądając dzisiejszy spektakl? - zapytał, wnikliwie obserwując jej reakcję.

- Niesamowicie - odpowiedziała spokojnie. Ale przysunęła się bliżej, jej jasne, intensywnie zielone oczy spojrzały na niego, jakby był jedynym mężczyzną na świecie.- Widok takiej ilości przelanej krwi... - lekko zadrżała, a kiedy ponownie uniosła na niego wzrok w jej tęczówkach płonęły bursztynowe błyski. - To wyzwala we mnie pewien rodzaj mocy. Przebywanie w pobliżu tego sprawia, że czuję rzeczy, których naprawdę nie potrafię wytłumaczyć.

Z głębi jego gardła wydobył się pełen aprobaty pomruk. - To cię kręci.

Rozumiał tą reakcję. I nie zaskoczyło go to, że ta kobieta miała odwagę się do tego przyznać. Pochodziła z pierwszego pokolenia i były w niej niemal czyste geny drapieżcy. Pochodziła z tej samej linii co on. Starożytny, z którego nasienia powstała był również ojcem wampira pierwszego pokolenia, który spłodził go kilka wieków

temu. Tavia Fairchild dzieliła jego geny; pomyśl, że mogłaby dzielić również jego mroczne instynkty i pragnienia był tak wielką pokusą, iż ledwie opierał się pragnieniu, by natychmiast to sprawdzić.

- Miałam nadzieję... że pokażesz mi coś więcej - powiedziała, po czym rzuciła wymowne spojrzenie na czterech zabójców, którzy go oskrzydłali, jakby byli czymś przykrym i irytującym, czego bardzo pragnęłaby się pozbyć.- Miałam na myśli, że zrobisz to na osobności.

Dragos nie przeżyłby blisko siedmiu setek lat gdyby był głupcem. Ani też nie miał skłonności, by pozwalać swojemu fallusowi decydować za siebie. Pewna, pełna wyrachowania część, której nigdy nie ignorował podpowiadała mu, że gdyby zszedł na dół do swojego centrum dowodzenia, to jego technik pewnie byłby już martwy, a w systemie informatycznym wykryłby naruszenie zabezpieczeń.

Zdawał sobie sprawę również z tego, że zagarnięcie Tavi przez Sterlinga Chase'a i Zakon prawdopodobnie nie do końca odbyło się wbrew jej woli, jak kazała mu wierzyć. Ale Zakon już nie miał dla niego znaczenia. Jego plany były zbyt zaawansowane, by mogły zostać powstrzymane, a wojownicy Lucana mieli pełne ręce roboty ze Szkarłatnymi, którzy siali spustoszenie w różnych częściach świata. Tavia chciała, aby myślał, że aż się pali, żeby ją wziął do łóżka. Nie widział powodu by ją rozczarować. Będzie ją pieprzył do utraty przytomności... aż zacznie krwawić i błagać o litość... ale dopiero wtedy, gdy jego pozycja władcy będzie stabilna i mocno ugruntowana.

Wyciągnął rękę i pogłaskał jej aksamitny policzek.- Mam zamiar pokazać ci bardzo wiele arcyciekawych rzeczy, Taviu. Zacznę to robić w chwili, gdy zostanę panem i władcą każdej żywej istoty mieszkającej na tej planecie. Ucieszył się widząc błysk niepewności w jej śmiało patrzących oczach. - Teraz pojedziemy do Waszyngtonu. Skoro masz być moją królową, to pragnę, żebyś towarzyszyła mi, kiedy będę przejmował koronę.

W PORÓWNANIU Z TYM, co działo się w Waszyngtonie, ataki w Bostonie i Nowym Jorku wydawały się spacerem po parku.

Szkarłatni nadciągali ze wszystkich stron zalewając ulice śródmieścia i pobliskie dzielnice. Ofiary w ludziach i zniszczenia przekroczyły wszelką skalę. Do walki z ponad dwudziestką wygłodniałych wampirów uwolnionych w gęsto zaludnionym śródmieściu, Zakon podzielił się na trzy zespoły: dwa na ziemi z pistoletami i nożami; oraz jeden ze snajperkami na szczycie wieżowca jakiejś bogatej korporacji, zdejmujący skurczybyków za pomocą karabinków dalekiego zasięgu i mający oko na sytuację drużyn poruszających się pieszo na dole.

Tegan, Hunter, Brock, i Kade właśnie zajmowali się sprawami w Columbia Heights, kiedy Niko przesłał przez radio zespołowi Chase'a wiadomość, że chmara Szkarłatnych właśnie przewróciła autobus pełen pasażerów.

- To się dzieje w pobliżu wylotu Pennsylvania Northwest - powiadomił ich Niko, ze swojego dogodnego miejsca na dachu, gdzie stał na czatach razem z Renatą i Rio.

- Kurwa, w środku musi być przynajmniej trzydzieści osób. To niedługo może stać się bardzo paskudne.

- Idziemy tam. - odpowiedział mu Lucan i skinął na Chase'a, Dantego i Archera.

- Właśnie zbieram odział.

Dotarli na miejsce w ciągu kilku minut, ale masakra już się zaczęła. Pudło autobusu w kolorach srebrnym, czerwonym, białym i niebieskim, leżało na boku pośrodku ulicy, tuzin Szkarłatnych wspinał się na niego rozbijając okna i wyciągając ludzi uwięzionych wewnątrz. Kolejni Szkarłatni zakradali się z pobliskich ulic i zaułków, przyciągnięci wonią świeżo przelanej krwi.

Chase musiał przyznać się sam przed sobą, że jego fizyczna reakcja również była

błyskawiczna, niemal przytłaczająca. Głowa pulsowała mu z głodu, a żyły płonęły pragnieniem pożywienia się tak samo zachłannie, jak te szalone bestie wdzierające się do wywróconego autobusu. Zdławił rozpaloną reakcję swojego ciała, ruszając do walki razem z resztą swojego oddziału, który już był przy autobusie i zaczynał kopanie tyłków Szkarłatnym.

Lucan chwycił największego z napastników i z rykiem zrzucił pijawkę na chodnik. Dwa szybkie strzały i czaszka Szkarłatnego eksplodowała, zabijając go, jeszcze zanim tytan w pociskach zaczął wykonywać swoją robotę. Lazaro Archer szturmował kabinę przewróconego autobusu, w tym samym czasie kierując morderczy ogień na parę Szkarłatnych, którzy wspinali się w przez rozbitą przednią szybę i śliniąc się próbowali dołączyć do czterech innych, którym już udało dostać się do środka i właśnie zaczęli się pożywiać.

Chase i Dante w tandemie skoczyli na tył autobusu, jak czysta furia uzbrojona w tytanowe ostrza. W parę sekund położyli trupem trzy pijawki, po czym ruszyli w głąb pojazdu, by rozprawić się z kolejnymi napastnikami, podczas gdy Lucan zajmował się tymi na górze. Na przedzie, Archer wybił resztki szyby i zaczął ewakuować przerażonych ludzi w bezpieczniejsze miejsce.

Krzyki i ryki w połączeniu z ogłuszającym staccato strzelaniny stanowiły tło dla toczącej się potyczki. Ludzie wylewali się z autobusu w ataku hysterii. To był totalny chaos, krwawy i brutalny. Gdy w końcu opadł bitewny kurz, wewnątrz autobusu leżały tylko cztery ludzkie ofiary, oraz dwa kolejne pokrwawione ciała w pobliskiej uliczce. Straty po stronie Szkarłatnych były dużo większe: rozpadające się przypalone szczątki niemal dwudziestu nałogowców krwi wyglądały na chodniku jak plamy ropy naftowej.

Ledwie jako tako ogarnęli sytuację, a już ponownie rozdzwoniła się komórka Lucana. Przywódca Zakonu oddalił się kilka kroków od pobojuwiska i odebrał

połączenie. Jego niski głos był poważny, ściszony. Gdy wsunął telefon z powrotem do kieszeni płaszcz i odwrócił się, by spojrzeć na Chase'a, jego surowa, poplamiona krwią twarz przybrała wyraz powagi.

- Co się stało? - zapytał stojący obok Chase'a Dante. W tym momencie do wojowników dołączył również Archer.

- To był Rowan - Lucan potrząsnął głową. - Otrzymał sms-a z kodem dostępu dla Gideona. Najprawdopodobniej otrzymaliśmy adres IP prowadzący do centrum dowodzenia Dragosa.

- Kurwa mać - wysapał Dante. - Od kogo?

Trzeźwe spojrzenie Lucana powędrowało do Chase'a i tam pozostało, sprawiając, że serce zjechało mu do pięt, a żołądek wypełnił się lodem.

- To przyszło od Tavi. Wysłała te dane z centrali Dragosa. Ten sukinsyn ją dorwał.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

## ROZDZIAŁ 42



REZYDENCJA W STYLU KRÓLOWEJ ANNY, zbudowana z białej cegły i otaczający ją park zajmowały dużą część kolistego terenu należącego do [United States Naval Observatory](#). Posiadłość ta znajdowała się w samym sercu Waszyngtonu, D.C. Tavia rozpoznała to miejsce na pierwszy rzut oka. W czasie kiedy jeszcze była asystentką senatora Clarence'a, niejednokrotnie miała okazję odwiedzać tą



posiadającą trzydzieści trzy sypialnie perłę architektury. Podczas gdy śmigła pilotowanego przez Sługusa helikoptera cięły nocne niebo ponad rezydencją wiceprezydenta, spojrzała na zewnątrz przez okno na pokryty śniegiem, gęsto zadrzewiony teren i poczuła, jak powietrze gwałtownie ucieka jej z płuc z pełnym zdziwienia sapaniem.

Wokół posiadłości widać było wiele pojazdów wojskowych i aut należących do Tajnych Służb. Ciemne kształty leżące nieruchomo na ziemi, były ewidentnym znakiem walki... konfliktu zbrojnego i strat po stronie ludzi... ponuro oczywistych, kiedy helikopter powoli obniżył lot, by usiąść około stu metrów od domostwa.

Zabójcy Dragosa już tu byli.

Zrozumiała to, jeszcze zanim dwóch z nich wyszło spomiędzy drzew, żeby powitać swojego dowódcę.

- Wszystko zostało zabezpieczone - poinformował go jeden z masywnych przedstawicieli pierwszej generacji, od stóp do głów odziany w czerń. - Człowiek czeka na ciebie w środku, mój panie.

- Wspaniale - odpowiedział Dragos.

Opuścił helikopter, ujął Tavię pod ramię niezbyt łagodnym chwytem i ruszył w stronę budynku, poprzedzany przez dwóch Łowców. Z tyłu podążał zabójca, który przyleciał razem z nimi, jego wzrok śledził każdy jej ruch.

Jeśli scena na zewnątrz rezydencji wypełniła jej serca odrazą i strachem, to to, co zastali wewnątrz rezydencji, uderzyło ją jeszcze mocniej. Wiceprezydent siedział naprzeciw wycelowanej w niego broni, na kremowej kanapie, w gustownie urządzonym salonie. Za jego plecami, na ścianie, ogromny abstrakcyjny obraz w

kolorach seledynu i kremu został spryskany krwią, bez wątpienia należąca do martwego marynarza, który leżał na podłodze w odległości zaledwie kilku metrów od ściany.

- Powiedźcie do cholery, czego ode mnie chcecie! - krzyknął polityk o siwych skroniach, do swoich pozbawionych emocji porywaczy. - Proszę, pozwólcie mi chociaż zobaczyć moją żonę i rodzinę. Pozwólcie im odejść.

- Spokojnie - gładko odpowiedział Dragos, swoim wejściem do salonu przyciągając pełną uwagę wiceprezydenta. - Twoja rodzina jest na górze, cała i zdrowa, pod opieką jednego z moich ludzi. Nie są mi potrzebni.

Twarz człowieka nabrała pełnego niedowierzania wyrazu. - Pan Drake? Na litość boską... i Tavia?

Poruszył się, jakby miał zamiar wstać, ale zabójca stojący przy nim przekonał go do pozostania na miejscu szturchnięciem półautomatycznego pistoletu. - O co chodzi, Drake? Żądam wyjaśnień, co tu się, do cholery dzieje!

Dragos zachichotał.- Ty już nie masz prawa niczego żądać. I nazywam się Dragos. A za parę minut będziesz nazywać mnie swoim panem.

- Ja nie rozumiem - wyszeptał wiceprezydent. - Nie rozumiem niczego, co miało miejsce w ciągu ostatnich kilku dni...

- Doprawdy?

Stojący obok Tavi Dragos na moment pogrążył się w ponurej zadumie. Po czym ruszył do przodu, emanując nagą groźbą. - Czy w końcu nie dotarło do ciebie, jaki jestem potężny? Czyż nie przekonałeś się, co jestem w stanie uczynić... czyż cały świat nie dostrzegł rozmiarów mojego gniewu... może ludzkość w końcu zda sobie

sprawę, że już niczego nie kontroluje? Ten świat należy teraz do nas. Do mnie.

- Pełne bólu oczy starszego mężczyzny, rozszerzył szok. - Czy chcesz mi powiedzieć, że jesteś w jakiś sposób odpowiedzialny za to szaleństwo?

Odpowiedzi Dragosa towarzyszyło niskie warknięcie, które sprawiło, że krew w żyłach Tavi zamieniła się w lód.

- Rasa już wystarczająco długo żyła kryjąc się w cieniu. Zmieniam kolejność priorytetów. Ustawię Rasę na wierzchołku łańcucha pokarmowego, gdzie jest jej miejsce. A ty pomożesz mi to zrobić.

Dłonie Tavi zacisnęły się w pięści. Niepokój zaczął palić ją jak kwas, kiedy poczuła, jak nastrój Dragosa zmienia się z łagodnie rozbawionego w zdecydowanie niebezpieczny. - Tej nocy, zajmę swoje prawowite miejsce jako pan i władca zarówno całej ludzkości, jak i Rasy - ciągnął dalej. - Twoim zadaniem będzie wykonanie rozmowy telefonicznej, aby pomóc mi w rozpoczęciu mojej wspinaczki ku władzy. Dostarczysz mi tu prezydenta.

Spojrzenie Dragosa skłoniło jednego ze stojących na straży zabójców, by ten wyciągnął z kieszeni garnituru starszego człowieka należący do niego telefon komórkowy. Wampir pierwszej generacji podał go wiceprezydentowi, który jedynie wpatrywał się w komórkę kręcąc głową w kategorię odmowie. - Jesteś szalony - powiedział ostro. - Mogłeś znaleźć sposób, by przejść przez moją ochronę i wymordować mój personel, ale niedługo przybędzie odsiecz. Mogę ci zagwarantować, że na pewno już jest w drodze. Właśnie ściągnąłeś sobie na głowę całą armię Stanów Zjednoczonych Ameryki.

Dragos zaniósł się śmiechem. Powietrze wokół niego zadrżało od złowieszczonego chłodu, zanim jego oczy rozbłysły jaskrawo bursztynowym blaskiem, a kły

ekspłodowały z dziąseł. - Zrób to. Zadzwoń.

- Nie mogę - zaprotestował człowiek. - Nie zrobię tego...

W ułamku sekundy, jaką dzieliły te słowa odmowy i skok Dragosa, który uderzył jak atakująca żmija, do akcji wkroczyła Tavia. Jednym super szybkim ruchem wsunęła się pomiędzy Dragosa i jego ofiarę, jednocześnie wyciągając z ukrycia i odkorkowując fiolkę Szkarłatu.

Trzymała czerwony proszek w swojej dłoni... w tym momencie była to jej jedyna broń. Nabrała powietrza, by dmuchnąć dawką trucizny w jego twarz, modląc się, żeby było jej dosyć, aby go obezwładnić, jeśli nawet nie doprowadzić do śmierci w bolesnych konwulsjach.

Jednak ta szansa nie została jej dana.

Poruszając się szybciej niż zdołała zauważyć lub zareagować, szybciej niż mogła to pojąć... chociaż sama była obdarzona podobnymi genami... obezwładniło ją dwóch Łowów chroniących Dragosa. Jeden wykręcił jej ręce na plecy. Drugi zaś chwycił flakonik Szkarłatu. Zdała sobie sprawę z lodowatą pewnością, że w tej chwili wystarczy jedno jego polecenie, by przestała żyć.

Wyraz twarzy wampira był zbyt łagodny, by móc mu zaufać, a jego ruchy niesłychanie spokojne, kiedy odbierał fiolkę Szkarłatu z rąk strażnika i unosił ją do swojego nosa. Powąchał wypełniającą ją zawartość, ostrożnie wciągając powietrze, po czym uśmiechnął się szyderczo z lodowatą złośliwością. - To było niewiarygodnie głupie z twojej strony, Taviu. Szkoda.

Zanim miała szansę na jakikolwiek unik, rzucił się do przodu i wcisnął otwartą fiolkę w jej usta. Zakrztusiła się suchym pyłem, który dostał się do jej gardła. Kaszląc

i dławiąc się upadła na kolana, kiedy narkotyk uderzył jej do głowy brzęcząc jak milion żądających pszczół.

*O Boże*, pomyślała ze strachem i rozpaczą, kiedy Szkarłat połączył się z jej krwiobiegiem przesywając strzałami udręki każdą komórkę ciała.

Zawiodła.

Żałośnie zawiodła Sterlinga i Zakon, a teraz była pewna, że Dragos właśnie ją zabił.

POD CHASEM UGIEŁY SIĘ KOLANA i upadł na ulicę. Poczul dręczący ból, tak gwałtowny, że wydawało mu się, jakby coś rozerwało mu klatkę piersiową.

- Tavia. O Chryste.

Przepelniała go jej męka. Ogień, przesywające sztylety i trucizna... cierpienie tak intensywne, że to cud, iż serce wciąż jeszcze biło w jego piersi. Ale nie, ten cierpiący organ miał zamiar wybuchnąć mu pod mostkiem. Okrucieństwo tego, co czuła, w tym momencie był najstraszniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek przeżył. Nie tylko z powodu surowego, przesywającego ją bólu, ale również z powodu samego faktu, że była na niego narażona.

Jego kobieta, jego partnerka, cierpiała... nie daj Boże umierała... a on nie mógł być u jej boku.- Taviu! - Jej imię wyrwało się z jego ust z ogłuszającym rykiem.

- Chase - wykrzyknął Dante, klękając tuż obok niego, kiedy zwinął się pod wpływem mocy jej agonii. - Jezu Chryste. Mów do mnie, Harvard. Co się dzieje?

- Ona cierpi. Och, kurwa... muszę się do niej dostać!

Desperacja, by do niej iść, gdy przed chwilą dowiedział się, że wpadła w łapy Dragosa, teraz eksplodowała w nim z siłą bomby nuklearnej.

Kiedy Niko i Brock razem z resztą wojowników załadowali się do dwóch SUV-ów, należących do Zakonu, Chase także wtoczył się do jednego z pojazdów. Dante, Lucan, i Archer podążyli za nim.

Tegan rozmawiał właśnie przez telefon z Gideonem, gdy Chase i jego zespół władowali się do Rovera. - Natychmiast ruszamy - powiedział, po czym spojrzał na Lucana i pozostałych. - Gideon namierzył adres IP, który dostarczyła nam Tavia. To miejsce znajduje się w pobliżu Maine, prywatna wyspa niedaleko wybrzeża.

Cierpienie Chase'a nasiliło się, rozszarpując go od wewnątrz. Warknął z powodu furii wywołanej bezsilnością. - Zabierz mnie do niej. Proszę...

Samochody ruszyły, przedzierając się przez spowite dymem ulice D.C.

- Gideon mówi, że dostał więcej danych na temat kodów detonacyjnych obroży UV. On próbuje nanieść ich sygnały GPS na specjalną siatkę, tworząc rodzaj mapy lokalizacyjnej dla wszystkich aktywnych Łowców - poinformował ich Tegan.

Lucan mruknął.- Powiedz mu, żeby lepiej się pospieszył. Możemy potrzebować tych kodów, gdy dojdziemy do kryjówki Dragosa.

Kiedy pędzili przez chaos i masakrę okrytej mrokiem stolicy, ciężki ból klatki piersiowej Chase'a stawał się coraz bardziej dotkliwy. Więż krwi, która łączyła go z Tavią pulsowała, bombardując jego zmysły, jak uderzenia bębna. Wydawała się być tak blisko, prawie na wyciągnięcie ręki. - Nie jedziemy do Maine.

Pytające spojrzenie Niko napotkało jego udreńczony wzrok we wstecznym lusterku.

- Zatrzymaj samochód! - wychrypiął Chase, ledwie zdolny mówić w obliczu intensywnej, druzgocącej świadomości, jaka go teraz wypełniła. - Musimy zawrócić. Czuję ją. Ona jest tutaj. Gdzieś w tym mieście.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

### ROZDZIAŁ 43



LEDWIE BYŁA W STANIE ZNOSIĆ BÓL, który płynął przez jej żyły, paraliżował umysł i wysysał z niej całą siłę. Wgryzał się w nią tak dotkliwie, że traciła rozum i tak mocno zaciskała szczęki, iż prawie miażdżyła zęby.

Tak wyglądała śmierć.

To była prawdziwa agonia, szybkie i całkowite uzależnienie, które rzuciło ją na podłogę, zwijającą się z bólu, krztuszącą się i sapiącą, jakby konała z braku powietrza.

To było piekło, jakiego nigdy nie potrafiłaby sobie wyobrazić. Uczucie, że jej ciało przegrywało z głodem... z dzikim, obezwładniającym pragnieniem... którego nie byłaby zdolna ugasić żadna ilość napoju.

Z twarzą ciężko opartą o podłogę, gdzie zwinęła się w bezsilnej rozpacz, patrzyła zasnutym czerwona mgłą wzrokiem, jak najnowszy Sługus Dragosa dzwoni do człowieka, któremu tak długo i lojalnie służył. Szyja wiceprezydenta wciąż krwawiła z bliźniaczych nakłuc, które zrobił tam Dragos, jednak on już nie odczuwał bólu. Pragnął jedynie zadowolić swojego Mistrza.

- Prezydent jest już w drodze - powiedział Sługus, zwracając Dragosowi komórkę z martwym uśmiechem na ustach. - Odniósł się bardzo podejrzliwie do mojej prośby. Przyjedzie z liczną wojskową obstawą, Mistrzu. Oni będą mieć rozkaz, by strzelać aby zabić, jeśli wyczują, że coś jest nie w porządku.

Dragos skinął głową. - Jesteśmy na to przygotowani. Wszystko, czego potrzebowałem, to go tutaj zwabić. Niedługo on również będzie w mojej mocy, a jego lojalność sprawi, że przybędzie do mnie reszta przywódców świata. Jeden po drugim. Właśnie pomogłeś mi wbić ostatni gwóźdź do trumny „kontroli” ludzkości nad Rasą.

Sługus pochylił głowę w służalczym ukłonie.

Tavia spróbowała wstać, rozpaczliwie mając nadzieję, że coś... cokolwiek... udaremni występne plany Dragosa. Ledwie uniosła głowę, a już ciężki but oparł się na jej karku, osadzając ją na miejscu.

Obcas buta Łowcy groził zmiążdżeniem jej gardła, gdyby nawet śmiała pomyśleć o powstaniu przeciwko jego dowódcy.

Opadła z powrotem na ziemię i poczuła, jak rozwija się w niej nowy, mroczny kwiat agonii. To był Chase. Jej krew wzburzyła się od mocy jego furii... i strachu o nią. Do głębi wstrząsnęła nią świadomość, jak dojmujące było jego pragnienie, żeby być teraz przy niej.

Zbliżał się. To też mogła wyczuć. Była świadoma każdej mili, jaką pokonywał, by do niej dotrzeć... prawie mogła poczuć, jak błagał ją, by trzymała się życia do czasu, aż zdoła się do niej dostać.

Dopiero wtedy poczuła, że po jej twarzy płyną łzy.



Chase szedł po nią, a Dragos i jego armia zabójców będą tu na niego czekać.

- JESTEŚ PEWNY, ŻE TO TUTAJ? - zapytał Nikolai zza kierownicy, kiedy śpieszyli w kierunku rozległego terenu należącego do United States Naval Observatory.

Krew Chase'a wołała nieustępliwym zewem.- Jestem pewny. Ona gdzieś tam jest.

- W pobliżu znajduje się rezydencja wiceprezydenta - powiedział Dante siedzący obok niego na tylnym siedzeniu Rovera.- To miejsce powinno roić się od wojska.

- Nie, jeśli Dragos też tu jest - odpowiedź Lucan była złowieszczą mieszaniną złych przeczuć i ledwie powstrzymanego gniewu. - Dobry Boże, Tavia doprowadzi nas prosto do tego skurwysyna.

Komórka Lucana zaćwierkała, więc nacisnął przycisk włączający tryb głośnomówiący. To po raz kolejny był Gideon. Trzymał rękę na pulsie odkąd rozłączyli się kilka minut temu. Teraz jego głos był napięty i przepełniony entuzjazmem. - Chyba w końcu trafiliście na bogate złoża obróż UV - poinformował ich. - Mam przed sobą, na ekranie mapę i widzę teraz, całe mnóstwo sygnałów wychodzących z terenów D.C.

- A skąd dokładnie? - zapytał Lucan, kiedy Niko ostro ściał zakręt, Brock trzymał się jego ogona.

- Widzę dosłownie dziesiątki pulsujących punktów parę mil na północny zachód od Białego Domu. Ten teren świeci się jak pieprzona choinka.

Lucan rzucił okiem na Chase'a i pozostałych wojowników, ciemne brwi opadały nisko nad jego stalowo-szarymi oczami. - Doskonale wiemy, gdzie to jest. Właśnie tam wjeżdżamy.

- Cholera, może być niedobrze - wymruczał Gideon, przejeżdżając dłonią po potarganych blond włosach, po czym opadł z powrotem na fotel w swoim laboratorium. - To może być pułapka, chłopaki. Możecie wpaść prosto w łapy Dragosa.

Mięsień zadrgał na szczęce Lucana, kiedy napotkał zdeterminowane spojrzenie Chase'a. - Sądzę, że wkrótce się o tym przekonamy. Kobieta Harvarda jest tam uwięziona. Nie odejdziemy bez niej.

Spojrzenie rzucone Niko spowodowało, że wojownik mocniej docisnął pedał gazu. Z piskiem opon na asfalcie, oba Rovery Zakonu gwałtownie przyśpieszyły wjeżdżając na rozległy trawnik przed rezydencją wiceprezydenta.

Chase wyskoczył w połowie drogi i pognął w kierunku budynku z całą nadnaturalną prędkością, jaką zdołał z siebie wykrzesać.

DRAGOS USŁYSZAŁ NAGŁY PISK OPON na zewnątrz. Odwrócił się gwałtownie w kierunku hałasu, wiedząc, że prezydent i jego obstawa nie mogliby tutaj przybyć bez szczegółowego sprawdzenia tego miejsca pod względem bezpieczeństwa.

To był Zakon.

Rzucił okiem na Tavię, przypominając sobie, jak mówiła, że została zmuszona do wzięcia krwi od Sterlinga Chase'a. Mógł się założyć, iż ten na wpół Szkarłatny był agent również spróbował jej krwi. Byli spojeni, a kiedy Dragos zobaczył smugi łez na wykrzywionej cierpieniem twarzy kobiety, zrozumiał, że Chase i ona są związani czymś więcej niż tylko krwią. Ona go kochała, a Dragos stawiał na to, słysząc kakofonię strzelaniny i odgłosy walki rozgrywającej się na zewnątrz, iż Sterling Chase również ją kocha.

- Ty ich tu sprowadziłaś – wybuchnął huczącym śmiechem i zaklaskał w dłonie w udawanym aplauzie. - Gratulacje, Taviu. Zdołałaś uczynić coś, czego mnie nigdy nie udało się zrobić. Zwabiłaś tu Zakon na pewną śmierć.

Rzucił twarde spojrzenie jednemu z Łowców, który stał w pobliżu. - Wszyscy mają umrzeć. Rozumiesz? Każ reszcie zrobić wszystko, co muszą, żeby to osiągnąć. Chcę, żeby Lucan i jego wojownicy byli wreszcie martwi, do jasnej cholery!

Kiedy zabójca odwrócił się, żeby przekazać dalej wydany przez Dragosa rozkaz, frontowe okno rezydencji roztrzaskało się w drobny mak. Do środka przy wtórze serii strzałów i wypełnionego furią ryku wskoczyła masywna sylwetka, zbijając z nóg i przygwożdżając do podłogi jednego z zabójców w rozmytej mieszance szybkości i brutalnej siły.

Dragos przez parę sekund wpatrywał się w tę niespodziewaną inwazję, następnie zanurkował w poszukiwaniu broni, podczas gdy jego Łowca zmagał się z morderczym atakiem Sterlinga Chase'a. Wojownik był oszalały z wściekłości, przypominał dzikie zwierzę. Był niemal wspaniały w swojej śmiertelnej furii.

Kolejny wojownik wskoczył w ślad za Sterlingiem, następnie jeszcze jeden, rozpoczęła się szalona wymiana ognia i śmiertelnych ciosów, która wciągnęła dwóch kolejnych zabójców w coś, co wydawało się być całkowicie bezładną bijatyką. Bójka była brutalna i Dragos doświadczył uczucia niepewności, gdy zobaczył, jak jego dobrze wyszkolone maszyny do zabijania dostawały łupnia od Chase'a, Dantego i Rio z Zakonu.

Dragos dostrzegł kątem oka, że Tavia korzystając z momentu nieuwagi próbowała podnieść się z podłogi. Suka była w złej formie, ale nie miała zamiaru zdechnąć bez walki. Bursztynowe oczy kobiety wpijały się w niego w poprzek pokoju. Jej kły były ostrymi białymi sztyletami, ociekającymi czerwoną pianą powstałą ze Szkarłatu,

który w końcu odebrałby jej rozum i życie. Ale nie wystarczająco szybko.

Uniosła się do przysiadu i skoczyła na niego. Dragos upadł na plecy wypuszczając z dłoni pistolet, gdy rozszalała wampirzyca wylądowała na jego piersi, jak smoczyca, pragnąca wyrzeć mu wnętrzności.

Jednak nie było jej to dane.

Zanim miała szansę coś zrobić, ostatni z jego czterech strażników zerwał ją z niego i rzucił nią o ścianę. Upadła na podłogę jak jęcząca kupka nieszczęścia. Dragos już tam był, gdy próbowała podnieść się do kolejnej rundy.

- Nie tak szybko - ostrzegł ją, przyciskając do jej skroni wylot półautomatycznej dziewiątki. Kiwnął głową do Łowcy, a ten szarpnięciem poderwał ją na nogi. Dragos trzymał wycelowany w nią pistolet, gotowy, by rozpryskać jej mózg na ścianie, gdyby tylko mrugnęła w sposób, który wywołałby jego niezadowolenie.

Po drugiej stronie pomieszczenia, Chase razem z wojownikami wykończyli dwójkę jego zabójców. Na zewnątrz wciąż szalała walka, słychać było serie strzałów i wyjące w oddali syreny, gdzie na polecenie Dragosa pozostawała w oblężeniu reszta miasta .

Dragos uśmiechnął się, gdy Chase zdał sobie sprawę, że jego walka zakończyła się impasem. Oczy wojownika płonęły gorącym bursztynem, kiedy spiorunował wzrokiem pistolet, który w każdej chwili mógł położyć kres życiu jego kobiety.

- Przegrałeś - powiedział Dragos. - Ty i Zakon nigdy nie zdołalibyście wygrać tej wojny.

- Puść ją. - Teraz Chase uniósł swoją broń, mierząc z niej w głowę Dragosa.

- Puścić ją? - Dragos zakpił z surowego rozkazu i niebezpieczeństwa strzału, ponieważ wiedział, że mężczyzna nigdy by go nie zaryzykował. Nie, gdy skroń jego kobiety w tym samym momencie, tak łatwo mogłaby przyjąć kulę. Nie, żeby Tavia Fairchild potrzebowała teraz jakiejś kuli. - Ona już nie żyje, wojowniku. Spójrz na nią. Pieni się i dyszy jak wściekły pies. Odłóż broń.

- Taviu - wychrypiał Chase, jego oczy wypełniał żal, miłość i niepokój. - Powiedz mi, proszę, że z tobą wszystko w porządku. O Chryste... powiedz mi, że cię nie straciłem.

Dragos zachichotał, ciesząc się tą zniszczoną miłością, jak czarny charakter, którym niewątpliwie był. - Powiedziałem ci, żebyś odłożył...

Słowa utknęły mu w gardle, po czym wybuchły z niego ze spazmatycznym krzykiem, gdy wstrząs bólu przeszył jego czaszkę. To było wyniszczające. Rozzadzony do czerwoności szpikulec wbijający się w mózg sprawił, że każdy mięsień w jego ciele skręcił się w agonii. Ugięły się pod nim nogi, a pistolet wypadł z dłoni. Czuł, jakby jego głowa znalazła się w gigantycznym imadle na granicy roztrzaskania się pod wpływem ekstremalnego nacisku i bólu.

Kiedy Dragos upadł na podłogę, dostrzegł szczupłą sylwetkę kobiety odzianej w czarną skórę. Dawczynię Życia o kruczoczarnych włosach i przenikliwych szmaragdowych oczach, które trzymały go w zniewalającej umysł sieci paranormalnej mocy.

KIEDY TYLKO DAR Renaty obezwładnił Dragosa, Chase rzucił się na niego jednym wściekłym skokiem. Nie był w stanie opanować swojej furii.

Jego ryk był czysto zwierzęcy, gdy zaciskał szczęki na gardle wampira i obnażonymi kłami wyrывał mu krtań. Krzyk Dragosa zgasł razem z nim. Sprawca

tak ogromnej ilości aktów przemocy i nieszczęścia, konał w krwawych strzępach ścięgien i posoki buchającej z tętnic, z wybałuszonymi oczami i ustami zastygłymi w wyrazie panicznego strachu.

Chase pragnął dla niego przedłużającej się agonii. Łaknął dla Dragosa brutalnego, morderczego końca, ale nie wtedy, gdy życie Tavi wisiało na włosku. Upuścił ciało wampira jakby było śmieciem, bez jednego spojrzenia za siebie.

Kiedy ostatnia iskra życia opuściła jego ciało, zginęli również wszyscy jego Sługusi.

Za plecami Chase'a, człowiek piastujący stanowisko wiceprezydenta nagle padł martwy na podłogę. We wszystkich miejscach na świecie, gdzie Dragos zasiał swoje nasiona rebelii, wszyscy ludzie, których posiadał w podobny sposób zakończyli swoje istnienia: nagle, cicho i niewytłumaczalnie.

Jednak armia wyhodowanych przez niego zabójców wciąż jeszcze stanowiła zagrożenie. Osaczony przez Dantego, Rio i Renatę, ostatni Łowca pozostający w domu nie był już groźbą, ale ci, którzy wciąż jeszcze walczyli z Zakonem na zewnątrz, nie mieli zamiaru poddać się, dopóki nie wypełnią rozkazu swojego stwórcy.

Chase wiedział, że jego bracia potrzebują go tam.

Miał tego świadomość, mimo to, wszystko, co był w stanie zrobić, to podbiec do Tavi i chwycić w ramiona jej wyniszczone Szkarłatem ciało.

- Zostań z nią - powiedział Dante, w jego oczach koloru whisky nie było żadnego oskarżenia ani pretensji. Jedynie przyjaźń i świadomość związanego krwią mężczyzny, który zrobiłby to samo, jeśli na miejscu leżącej kobiety znalazłaby się

jego Tess. - Chroń ją. My zajmiemy się resztą.

Kiedy Dante i reszta wyszli, żeby dołączyć do potyczki, Chase mocniej przytulił Tavię do swojej piersi. W następnej sekundzie noc na zewnątrz została rozświetlona nagłym błyskiem oślepiającego światła.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA **VIOLA**

#### ROZDZIAŁ 44



LUCAN PADŁ NA ZIEMIĘ i zasłonił oczy, tak samo jak reszta jego oddziału, w chwili gdy usłyszeli buczenie w obrożach atakujących ich zabójców.

Mimo to, siła ich detonacji była jak grom z jasnego nieba.

Wyemitowane światło było niesamowicie jaskrawe... jak grot błyskawicy porażającej za jednym zamachem wszystkich atakujących. Kiedy chwilę później zgasło, szczątki kilkudziesięciu Łowców leżały tam, gdzie upadli. Ich głowy były precyzyjnie oddzielone od ciał przez koszącą moc obroży, które gwarantowały ich lojalność... i przywiązanie... do Dragosa.

- On nie żyje - Dante wybiegł na zewnątrz razem z Rio i Renatą. Ta ostatnia została wciągnięta w żarliwy uścisk Niko, w chwili, w której wojownik ją zobaczył.

- Dragos nie żyje.

- A Chase i Tavia? - zapytał Lucan, spoglądając w kierunku domu, gdy żadne z nich

nie wychodziło.

- Z nią jest naprawdę kiepsko, Lucan.

Ton Dantego nie dawał wielkiej nadziei. - Biorąc pod uwagę to, jak wyglądała... i sposób, w jaki się zachowywała, oraz różową ślinę wokół ust... ja tylko raz widziałem podobne objawy...

- Kiedy Zakon został poproszony o zatrzymanie dilerka Szkarłatu, który rujnował życie cywilnych dzieciaków - dokończył Lucan, przypominając sobie tamtą noc... i zamkniętego w sobie Agenta, który niechętnie przyszedł do nich rok temu i jakimś sposobem został pełnoprawnym członkiem Zakonu. Członkiem wielopokoleniowej rodziny, którą Lucan chroniłby swoim życiem. Widząc, jak bardzo Harvardowi zależało na Tavi Fairchild, akceptował ich więź, która w tym momencie również i z niej czyniła członka tej rodziny.- Musimy zabrać ją do naszej kwatery, znajdziemy jakiś sposób, żeby jej pomóc.

Dante skinął głową, lecz w jego spojrzeniu pojawił się niepokój, nie tylko o Tavię, ale również o Chase'a.- A jeśli ona tego nie...

- Więc, będziemy musieli się postarać, żeby jej się udało.

Komórka Lucana znowu zaczęła ćwierkać. To dzwonił Gideon z centrali. - Skoro odebrałeś, to zaryzykuję przypuszczenie, że moje hakowanie kodów detonacji poskutkowało.

- I owszem - potwierdził Lucan, kiwając głową do Tegana i innych wojowników, którzy również byli świadkami cudu geniuszu Gideona i właśnie podchodzili, żeby dołączyć do reszty grupy.- Najgorsza część wojny z Dragosem w końcu jest za nami, teraz musimy się zająć jej konsekwencjami.



Kiedy wypowiadał te słowa, duży czarny SUV z migającymi światłami na dachu i wojskową eskortującą go obstawą z rykiem silnika pomknął podjazdem w kierunku domu. Lucan poczuł napięcie emanujące ze stojących wokół niego braci, przygotowywali się do kontynuowania walki.

- Spokój - chłodno rzucił im Lucan.- Musimy pokazać tym ludziom, że jesteśmy ich sojusznikami, a nie wrogami. Mam nadzieję, że dadzą nam na to szansę, pomimo tego, na co poważył się Dragos.

Kilka tuzinów gotowych do walki żołnierzy otoczyło Zakon ciasnym kordonem, kiedy SUV zatrzymał się kilka jardów od grupy wojowników Rasy. Człowiek o szorstkim wyglądzie w wojskowym mundurze wysiadł z tylnych drzwi i ruszył ku nim dziarskim krokiem. Cztery haftowane gwiazdy zdobiły pagony jego polowego munduru, kolejna konstelacja gwiazd błyszczała nad daszkiem czapki okrytej maskującym pokrowcem, okrywającej jego posiwiałe włosy. Gdy mężczyzna podchodził bliżej jego bystre oczy oceniały niewypowiedziane zniszczenie i liczyły ciała zaścielające okolicę.

- Generale - powiedział Lucan, pozdrawiając go powściągliwym skinieniem głowy.

Człowiek milczał, oceniając sytuację.- Gdzie jest Wiceprezydent?

- Nie żyje. Znajdziesz jego ciało w środku, wraz z tym, który był odpowiedzialny za wszystko, co wydarzyło się tu dzisiejszej nocy - Lucan wytrzymał oceniające spojrzenie wysokiego rangą oficera. - Ten, który zaaranżował masakrę w tym mieście i na całym świecie już nikogo więcej nie skrzywdzi. Moi bracia i ja zlikwidowaliśmy go. Ale zło wciąż biega wolne po twoich ulicach i trzeba zrobić wszystko, by je powstrzymać. To jest zadanie, które musimy wykonać wspólnie, ludzkość i nasz rodzaj.

Oczy generała zwęziły się w wąskie szparki. - Twój rodzaj. A tak właściwie to czym jest twój rodzaj? Dzikusami. Wampirami, dokonującymi masakry naszych obywateli. Przelewającymi krew na całym świecie, żywiącymi się nami jak pasożyty, na miłość boską.

- Mój rodzaj nazywa siebie Rasą - spokojnie odpowiedział Lucan.- Żyjemy pośród was od wielu stuleci. Nie jesteśmy potworami. Tak naprawdę, to w połowie jesteśmy ludźmi i niezbyt się od was różnimy.

- Nie widziałem żadnych objawów człowieczeństwa w zabójstwach, jakie miały miejsce w ciągu kilku minionych nocy.

Lucan pokiwał głową, nie mogąc temu zaprzeczyć. - Znalazły się pośród nas pewne indywidua, które sądziły, że ludzkość powinna nam służyć, zamiast dzielić z nami ten świat w pokojowej koegzystencji. Ich przywódca już nie żyje.

Generał wpatrywał się w niego nie do końca przekonany. - Jak po tym, co widzieliśmy moglibyśmy kiedykolwiek zaufać któremuś z was?

Lucan pozwolił pogardzie i podejrzaniu spłynąć po nim bez żadnej reakcji. Przecież nie był do końca bez winy. Przypuszczalnie upłyną lata zanim uda się złagodzić strach, który zasiało w ludzkich sercach tych kilka ostatnich nocy. Teraz odbudowanie jakiegoś poczucia ładu mogło potrwać całe wieki. A pewnie potrzeba było jeszcze więcej czasu, żeby osiągnąć jakiegokolwiek pokojowe współistnienie pomiędzy ich rasami.

Ale musieli spróbować.

Ze względu na przyszłość ich wszystkich, oraz nienarodzonych dzieci zarówno tych pochodzących z Rasy jak i ludzkich.

- Zdaję sobie sprawę, że zbudowanie zaufania nie będzie łatwą rzeczą - powiedział Lucan. - Jednak musimy spróbować dla naszego wspólnego dobra.

Generał zaczął coś mówić... pewnie chciał zaprotestować, sądząc po nieprzejednanym wyrazie oczu starego żołnierza. Ale w tym samym momencie, przerwał, by wysłuchać urządzenia komunikacyjnego włożonego w jego prawe ucho. - Tak jest, sir - wymruczał cicho. - Oczywiście, Panie Prezydencie.

Podszedł do właśnie otwierających się tylnych drzwi SUV-a, z którego wysiadł kolejny mężczyzna.

Lucan wziął głęboki oddech, patrząc czujnym wzrokiem, jak wojskowa obstawa rozdziela się robiąc przejście dla najpotężniejszego człowieka w Stanach Zjednoczonych.

Prezydent zatrzymał się przed Lucanem, ubrany był swobodnie w codzienne ubranie i podbitą polarem, ciemno oliwkową krótką kurtkę. Wyglądał na wykończonego, jakby cały ciężar świata opierał się na jego ramionach.

Lucan posłał mu powściągliwy uśmiech, po czym pochylił głowę w pozdrowieniu.

- Powiedziałeś, że ten który spowodował to wszystko nie żyje?

- Tak, sir - odpowiedział Lucan ze skinieniem głowy, zdając sobie sprawę, że prezydent musiał monitorować jego rozmowę z generałem z wnętrza swojego SUV-a.

- A ty i ci mężczyźni... jak również ta kobieta - dodał ludzki przywódca, rzucając okiem na Renatę, która wyglądała tak samo groźnie jak reszta wojowników. - Chcesz mi powiedzieć, że to wy go zgładziliście?

- Tak jest. - odpowiedział Lucan.

Głównodowodzący Stanów Zjednoczonych zamilkł, przez chwilę rozważając fakty. - Otrzymałem raporty na temat grupy żołnierzy... wampirów... którzy ratowali ludzkie życia odkąd dwie noce temu zaczęła się ta masakra. Widziałem zdjęcia i amatorskie nagrania wideo. Wiesz coś na temat tego oddziału?

- Oni są moimi braćmi - odpowiedział Lucan, czując jak jego pierś wypełnia duma.

- Jesteśmy Zakonem. A ja jestem ich przywódcą, nazywam się Lucan Thorne.

Prezydent znowu zaczął oceniać go wzrokiem, tak długo, że Lucan zaczął się zastanawiać, czy zaraz, właśnie w tym momencie nie zacznie się nowa wojna. Po czym człowiek powoli uniósł rękę i podał ją Lucanowi w geście pozdrowienia i wdzięczności.

- Jesteśmy twoimi dłużnikami, Lucanie Thorne. Twoimi i Zakonu.

Lucan zaakceptował ten gest zaufania. Ścisnął swoją splamioną krwią, stwardniałą od walki ręką dłoń człowieka i potrząsnął nią mocno.

TAVI BYŁO ZBYT GORĄCO w jego ramionach, była rozpalona, chociaż wstrząsały nią dreszcze. Szkarłat miał na nią silny wpływ, zbyt silny. Osuwała się w uzależnienie, dryfując coraz dalej i dalej, poza jego zasięg. - Zostań ze mną moja piękna. Nie odchodź.

- Jestem taka zmęczona – szepnęła spieczonymi i popękanymi wargami, kąciki jej ust pokryły się różowawą pianą. - Taka spragniona...

- Wiem - szepnął. - Wiem jak się czujesz, ale krew nie może ci teraz pomóc. Ona by tylko wszystko pogorszyła.

Jęknęła i w tym żalnym, głodnym dźwięku usłyszał echo własnej walki. Jaka to ironia losu; nałóg krwi dopadł Tavię w tej samej chwili, w której on poczuł, że ma szansę z niego wyjść. Jak ciężko było myśleć, że cierpiała tak samo jak on, a wszystko to z pragnienia pomocy Zakonowi i chęci doprowadzenia do klęski Dragosa.

I pomogła.

Gdyby nie to, że zaryzykowała tak wiele, nawet własne życie, nie wiadomo było, do czego Dragos mógłby posunąć się w swoich pokrętnych planach.

Na zewnątrz ucichł już zgiełk walki. Jasna eksplozja światła, które Chase zobaczył kilka minut temu pozostawiła za sobą dziwny spokój. Żadnych odgłosów bitwy, ani strzelaniny. Zabójcy Dragosa nie byli już problemem; Chase zdał sobie sprawę z tego faktu. Co do Szkarłatnych pozostających na wolności w miastach na całym świecie, Zakon musiał kontynuować ściganie ich, dopóki ostatni nie stałby się popiołem na ulicy.

Jutro świat będzie dużo lepszy, dzięki odwadze Tavi i jego braci.

Mieli tak wiele oczekiwań... tyle nadziei na lepszy świat dla nich wszystkich. Ale on nie chciał nawet wyobrazić sobie tego świata bez Tavi. Nawet nie dopuszczał do siebie myśli, że to mogłoby być możliwe.

Będzie ją pielęgnował, aż wróci do zdrowia, nawet gdyby niosło to za sobą uwięzienie się razem z nią do czasu, kiedy w końcu opuści ją gorączka głodu.

Jeśli ją opuści.

Chętnie i w jednej chwili wymieniłby swoje życie za jej, gdyby tylko mógł cofnąć

czas i zamiast niej wziąć śmiertelny Szkarłat.

- Nie - szepnęła, jej głos z trudem wydobywał się spomiędzy w pełni wysuniętych kłów. Nawet pomimo spustoszenia wywołanego przez narkotyki, musiała wyczuć głębię jego uczucia, gdy trzymał w ramionach ją w ostrożnym, rozpaczliwym uścisku. Wpatrywała się w niego, jej dzikie, złociste oczy były smutne i wilgotne od łez. - Zostaw mnie tu, Chase. Idź ze swoimi braćmi.

- Nie - potrząsnął głową, po czym potrząsnął nią jeszcze raz, gwałtowniej. - Nie. Nigdy cię nie zostawię. Nigdy, przenigdy.

Jego głos załamał się, zbyt przepełniony emocjami i uczuciem do tej kobiety. Jego kobiety. Jego drugiej połowy. - Kocham cię... jesteś moja. W głębi serca od początku o tym wiedziałem. Jesteś moją miłością, Taviu, moją jedyną.

- Chase - szepnęła. Z jej oczu popłynęły łzy, spływając słonymi strumyczkami po policzkach i brodzie. - Kocham...

Znowu chwyciły ją dreszcze, to Szkarłat coraz głębiej wnikał w jej krew. Chase czuł tę palącą moc, wrzącą w jego własnej krwi. I poczuł również jej miłość, płonącą pod pragnieniem atakującym z furją jej ciało. Wyczuwał silne i miarowe bicie jej serca... i to, że było one wypełnione miłością do niego.

To było wszystko, co potrzebował teraz wiedzieć, nadzieja, jakiej potrzebował.

Ona z tego wyjdzie, wyleczy się i będzie jego... już na wieki.

Wziął ją w ramiona. Pocałował spieczone usta, po czym wyniósł z tego domu, z dala od masakry, do wojowników, którzy byli jego rodziną.

- Zabieram cię do domu, Taviu.

TŁUMACZENIE *wykidajlo*

BETA VIOLA

## EPILOG



### ROK PÓŹNIEJ. NOWY ROK.

CHASE WYWIĄZAŁ SIĘ ZE SWOJEJ OBIETNICY bycia u jej boku, dopóki nie powróciła do zdrowia.

Tavia czerpała otuchę z jego siły i opieki, a jego obecność była dla niej kotwicą w czasie, gdy jej ciało z trudem powracało znad krawędzi mrocznej otchłani, w którą zepchnął je Szkarłat. Tess pomogła wyleczyć organy, które zostały spustoszone przez narkotyk, ale nawet wyjątkowy dar Dawczyni Życia nie był w stanie złagodzić głodu, który trawił Tavię, niemal pozbawiając ją zmysłów, przez godziny, dni i tygodnie.

Wtedy to sięgnęli do najmniej spodziewanego źródła: Dragosa. Albo raczej, jego Sługusa po medyczne formuły i karty pacjentów, dokumentujące dwadzieścia siedem lat powstrzymywania prawdziwej natury Tavi. Używając doświadczeń doktora Lewisa zdołali powściągnąć jej głód krwi, więc w ciągu kilku miesięcy zdołała dojść do siebie i zwalczyć nałóg.

Być może było to lekką ironią losu, a może jakąś kosmiczną sprawiedliwością, że ta sama podstępna praktyka, która była zdradą jej zaufania od momentu narodzin, miała w końcu, okazać się tym, co ocaliło jej życie.

To i miłość Chase'a.

Płynęła przez nią teraz, gdy stał za nią chroniąc ją obręczą swoich ramion. Bicie jego serca rozbrzmiewało echem w jej własnej krwi, silne i miarowe. Wtuliła się głębiej w jego objęcia, cicho wzdychając, gdy jego ciepły oddech owiał bok jej szyi.

- Czy już mówiłem ci dzisiaj, jak bardzo cię kocham? - wymruczał ciche, intymne słowa przeznaczone tylko dla niej.

- Owszem - szepnęła, uśmiechając się, kiedy poczuła pocałunek za uchem, który wysłał przez jej ciało falę gorąca. - Ale nie sądzę, żeby słuchanie tego kiedykolwiek mi się znudziło.

Warknięcie, które wydał z siebie w odpowiedzi zadrgało na jej kręgosłupie jak zmysłowe mruczenie. - Dobrze, że mamy przed sobą wieczność. Straciliśmy tak dużo czasu.

Pełne sześć miesięcy... tyle zabrał Tavi powrót do życia. To nie było łatwe, ale teraz ledwo przypominała sobie te chwile męki; rzadkie, litościwe wytchnienie od daru jej bezbłędnej pamięci. Ale związany z nią więzią krwi Chase, również musiał przechodzić przez to wszystko. To musiało być dla niego piekłem, by znaleźć dość siły, aby zwalczyć swoją własną chorobę, doświadczając również jej cierpienia, ale jakoś to zrobił.

Przy pomocy braci z Zakonu, jego rodziny.

A teraz to była również jej rodzina.

Tavia spojrzała na ludzi zebranych z nimi dziś wieczorem w słabo oświetlonym pokoju obserwacyjnym Sali Walnego Zgromadzenia Organizacji Narodów



Zjednoczonych na Manhattanie, gdzie Lucan przygotował się, żeby przemówić do ludzkiej delegacji.

Był tam cały Zakon razem z rodzinami. Siedzieli w pierwszym rzędzie prywatnego balkonu: Gabrielle, Savannah i Gideon, Dante i Tess z małym, rocznym Xanderem Raphaelem. Tegan trzymał w kołysce jednego z ramion swojego synka, drugim z miłością obejmując Elise.

Rio z Dylan, Kade, Alex, Brock, i Jenna stali przy dużym szklanym panelu obok Niko, Renaty, i Miry, spoglądając w dół razem z Andreasem i Claire Reichen, oraz Hunterem, Corinne i Nathanem, Lazarem i Kellanem Archerem, na tłum osiemnastu setek delegatów z całego świata zajmujących miejsca poniżej.

Sala zgromadzeń była wypełniona do ostatniego fotela, przepełniona radosnym podnieceniem i oczekiwaniem. Ponieważ, dziś w Ameryce Północnej, tej mroźnej, bezchmurnej, noworocznej nocy, 193 krajów koalicji rozszerzyło swoją kartę o najnowszego członka: naród Rasy.

Serca Chase'a i Tavi uderzały wspólnym rytmem w oczekiwaniu, kiedy Lucan zbliżał się w kierunku mównicy, na której dziś wieczorem miał honor zająć miejsce. Towarzyszyli mu prezydent Stanów Zjednoczonych, oraz kilku innych światowych liderów.

- Nazywam się Lucan Thorne - jego przenikliwe spojrzenie przesunęło się po twarzach delegatów, wpatrujących się w tego onieśmielającego mężczyznę w klasycznym czarnym garniturze, który niewiele zrobił, by rozproszyć aurę mrocznej mocy, jaka od niego promieniowała. - Stoję tu przed wami dzisiejszego wieczoru, przemawiając do waszego świata w imieniu przyjaciół i krewnych... mojego długowiecznego gatunku, zwanego Rasą.

Gdy jego niski głos wypełnił salę, natychmiast zapanował spokój, całkowita cisza.

- Istniejemy obok siebie już od wielu wieków. I nigdy nie wyrządziliśmy wam żadnej krzywdy, chociaż sądzę, że zbudowanie zaufania może potrwać sporo czasu, ponieważ zaczynamy nasze porozumienie na ziemi splamionej krwią.

Przerwał, pozwalając, by zgromadzeni wchłonęli jego słowa, świadomy, że jego odezwa docierała do wielu milionów uszu na całym świecie.- W zeszłym roku obie nasze rasy poniosły wiele ofiar... ludzi, którzy zostali zaatakowani nocą przez Szkarłatnych, oraz członków naszej Rasy, na których polowano za dnia wyciągając ich z Mrocznych Przystani przez tygodnie i miesiące, jakie nastąpiły po pierwszych atakach przemocy. Musimy pogodzić się z tym i próbować zapomnieć o tych bolesnych początkach, oraz ustalić nowy kurs w naszej drodze ku przyszłości. To nie będzie łatwe. Wiem, że zanim osiągniemy sukces musi upłynąć jeszcze wiele lat i może kosztować to nas wiele straconych istnień.

Gdy tłum zareagował szmerem niepokoju na twardą szczerą tych słów, które mogły zostać zrozumiane bardziej jako groźba niż ostrzeżenie, Lucan spojrzął w stronę prezydenta i innych przywódców.

Z cienia, w którym żyliśmy, obserwowaliśmy jak ludzie przez wieki walczyli ze swoimi ograniczeniami i brakiem zaufania. Przychodzę tu dziś prosząc o zjednoczenie mimo wszystkiego, co nas dzieli, dla dobra ludzkości i mojej własnej. Przychodzę tu z nadzieją, że wszyscy mieszkańcy naszego świata znajdą sposób na koegzystencję i porozumienie i przemawiam do was, ponieważ sądzę, że uda nam się znaleźć wspólną płaszczyznę i to, ostatecznie, pozwoli nam wykuć trwały pokój pomiędzy naszymi rasami.

Gabrielle odwróciła swoją uśmiechniętą, zapłakaną twarz w stronę Chase'a, Tavi i reszty osób zebranych w pomieszczeniu. - Kiedy po raz pierwszy spotkałam Lucana powiedział mi, że jest tylko wojownikiem, a nie emisariuszem swojej Rasy. Później, gdy Dragos zaczął szerzyć swoje zło, Lucan martwił się, że nie ma już

nadziei na jakąkolwiek przyszłość.

Spojrzała z miłością na swojego trzymiesięcznego synka, który spał spokojnie wtulony w nią z małą różową piąstką wsuniętą pod brodę.- Nigdy nie byłam bardziej dumna z tego, że jestem jego partnerką niż właśnie w tej chwili.

- To jest prawdziwym przeznaczeniem Lucana - powiedział Tegan, ten groźny przedstawiciel pierwszego pokolenia patrzył na swojego przywódcę i przyjaciela wzrokiem pełnym szacunku i podziwu.- To zawsze w nim było, pragnienie, by zostać tym, który będzie torował nam drogę ku lepszej przyszłości. Właśnie to robił od samego początku. Z honorem reprezentuje swoją rasę.

- To zasługa was wszystkich - dodała Elise, uśmiechając się do swojego partnera, podczas gdy ich malutki chłopiec rozglądał się wokół ogromnymi, ciekawymi oczami, o takim samym lawendowym odcieniu, jak u jego matki.

Wszyscy kiwali głowami albo uśmiechali się w odpowiedzi, bez wątplenia każde serce wypełnione było dumą... i nadzieją... przyszłości, która na ich oczach wykuwała się tu dzisiejszej nocy.

Ale ostrzeżenia Lucana były prawdziwe.

Pomimo, że Tavia zbudziła się pół roku temu wyleczona i silniejsza niż kiedykolwiek, dzięki miłości, którą dzieliła ze Sterlingiem, reszta świata wciąż nosiła głębokie rany z powodu przemocy i terroru, których sprawcą był Dragos. Wciąż pozostawało tyle do zrobienia w nadchodzących miesiącach i latach. Ciągłe brakowało zaufania pomiędzy ludzkością i Rasą. Nadal po obu stronach istniały ogniska niepokoju i przemocy.

Przy pomocy Andreasa Reichena, Mathiasa Rowana, i tuzinów agentów

wykonawczych, którzy włączyli się do walki, by zakończyć rozlew krwi, Zakon oczyścił miasta ze wszystkich Szkarłatnych. Wspólnie pozbyli się również adiutantów i znanych im zwolenników Dragosa. Ale nie można było przewidzieć, czy nasiona jego anarchii, gdzieś w ukryciu, kiedyś ponownie nie wypuszczą swoich korzeni.

Ze względu na bałagan i czystki w kierownictwie Agencji Nadzoru, teraz to Zakon odpowiadał za egzekwowanie praw Rasy.

Jeszcze bardzo wiele zostało do zrobienia, mnóstwo pytań pozostawało bez odpowiedzi, ale wszystko szło w dobrym kierunku. Teraz mieli nadzieję.

Tavia czuła ją, gdy spoglądała w poważne, szczerze twarze swoich przyjaciółek, Dawczyń Życia. Czuła ją, gdy patrzyła na wojowników, stojących tak niewzruszenie i odważnie pod stanowczym przywództwem Lucana. Oni wszyscy przygotowywali się, by rozpocząć ten nowy, nieznany etap życia. Formował się nowy świat, który mieli dzielić na tych samych zasadach zarówno przedstawiciele Rasy, jak i ludzie.

Lecz najważniejszy kwiat nadziei rozwijał się wewnątrz jej ciała, ciepły i trwały, gdy popatrzyła w spokojne niebieskie oczy Chase'a i czuła, jak przepływa przez nią jego miłość... jak w niej rośnie.

Miłość, która przybierze fizyczną formę, gdy na wiosnę urodzą się ich bliźnięta. Tavia czuła radość, a teraz, kiedy patrzyła w oczy swojego mężczyzny, poczuła również, jak wypełnia ją fala idealnego spokoju. Odnaleźli miłość i wieczną więź, która przekraczała swoją siłą nawet to, co łączyło ich przez krew.

Ona i Chase, razem, w końcu znaleźli swój dom.

**KONIEC**

*To już koniec, a może dopiero początek historii Sterlinga i Tavi, mam nadzieję, że wam czytanie tej powieści sprawiło tyle samo przyjemności, co mnie tłumaczenie jej dla was. Chciałam serdecznie podziękować wszystkim chomiczkom, które wspierały mnie swoimi komentarzami, dziękuję wam dziewczyny :\**

*Szczególne podziękowania należą się również mojej becie, Wiolu wiesz, że jesteś nieoceniona :)*

*Z bohaterami Rasy spotkamy się ponownie w kolejnej powieści, która wyjdzie już niebawem, prawdopodobnie zacznę ją tłumaczyć na początku kwietnia.*

*Będę wdzięczna za wszelkie komentarze, pozdrawiam. Gosia*